Kwartalnik Kłosów.

KWARTALNIK
KŁOSÓW

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

pod kierunkiem

Redakcyi Kłosów.

ROK PIERWSZY.

TOM II.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.
Nowy-Świat, Nr. 1258a (39).

1877.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 26 Августа 1877 года.

ANTONI TYZENHAUZ

PODSKARBI NADWORNY LITEWSKI

(1733 † 1785)

PRZEZ

Zygmunta Glogera.

Arcysmutny w dziejach polskich okres panowania dwóch gnuśnych potomków walecznego Wittekinda zbliżał się ku końcowi, wśród echa wojny siedmioletniéj, a widnokrąg polityczny Rzeczypospolitéj zasuwały coraz grubsze chmury, gdy w atmosferze naszego życia społecznego zaczęła świtać jutrznia reakcyi. Reakcya ta przedstawiała z każdym rokiem większą liczbę objawów i faktów, które łącząc się z sobą w widoczny związek, zaczynały przepowiadać nową dobę odrodzenia społeczno-ekonomicznego.

Pierwszym wielkiego znaczenia objawem powyższéj reakcyi, były przeprowadzone przez Czartoryskich na sejmie konwokacyjnym r. 1764 zmiany w urządzeniach Rzeczypospolitéj. A jakkolwiek sejm rzeczony był sam arcynielegalnym i ustawy jego nie wszystkie weszły w życie, to jednak zaprzeczyć nie można, że stanowił on wielką rewolucyą w staréj rutynie ustroju władz krajowych. Nie było urzędu, nie było władzy, któréjby nie dotknęły znaczne zmiany, na sejmie tym uchwalone.

Pierwsze dziesięć lat panowania Stanisława Poniatowskiego były latami upadku, poniżenia i niezwykłéj burzliwości. Lata następne nazywa największy z naszych historyków: „dobą postępu i odrodzenia kultury i światła". Jakoż istotnie, obraz wewnętrznéj budzącéj się pracy narodu przedstawiał już zadziwiającą mnogość faktów niepospolitéj doniosłości. Gdy po zniesieniu zakonu jezuic-

kiego, fundusze jego w innych krajach tylko w części na potrzeby edukacyjne obrócono, to w Polsce na sejmie r. 1775 na ten cel przeznaczono je wszystkie. Kommissya edukacyjna, na wniosek Joachima Chreptowicza, obywatela litewskiego, utworzona według planu, który miał skreślić Ignacy Potocki, była pierwszém z porządku, a najlepszém, ministerstwem oświecenia w Europie. Oto, co uczony cudzoziemiec Bernoulli, zwiedzający Polskę w r. 1778, o Kommissyi téj pisze: „Nic bardziéj nie przynosi chwały teraźniejszemu rządowi, nad to, że za niego przyszedł do skutku zakład, któremu podobnego nie posiada żaden kraj; a ileż to krajów bardzoby go potrzebowało! W kraju, w którym nauki podupadły, zakład taki jest pożyteczniejszym, niż wszystkie akademie umiejętności razem. Bardziéj niż wszelkie inne zakłady na całym świecie ma on powszechne dobro na celu i może je popierać najskuteczniéj" ([1]). Kommissya edukacyjna ulepsza dawne szkoły, zakłada nowe, stwarza całą nową literaturę pedagogiczną i elementarną, reformuje uniwersytet jagielloński w Krakowie i batorowski w Wilnie. Dla tego ostatniego, zamienionego z jezuickiego na świecki, pracuje z wielką korzyścią uczony jezuita i astronom, Poczobut (od r. 1765 do 1807), łożąc własne fundusze. Początek wileńskiemu obserwatoryum dała jeszcze w r. 1753 Elżbieta z Ogińskich Puzynina i późniéj znamienitym funduszem go opatrzyła. Do pisania książek szkolnych wzięli się z zapałem światlejsi Pijarowie, ale nie poprzestano na siłach własnych. Kommissya edukacyjna ogłasza nawet i za granicą konkursa z wysokiemi na owe czasy nagrodami. Uczeni zagraniczni piszą dla szkół polskich. Tak, z matematyki otrzymał 150 dukatów uczony Genewczyk, Szymon Luillier; z nauk przyrodniczych i mechaniki 200 dukatów Hube z Torunia; z gospodarstwa i ogrodnictwa 200 dukatów Rieule; z historyi naturalnéj 100 dukatów Dubois i Carossi w Warszawie; za napisanie logiki 100 dukatów ksiądz Condillac — i wielu innych w kraju i za granicą. Dzieła cudzoziemców panowie i duchowni tłómaczyli na język ojczysty, a wydawane przez Kommissyą edukacyjną książki szkolne sprzedawano po cenach bajecznie nizkich ([2]). Kommissya organizuje mnóstwo szkółek parafialnych dla ludu i miasteczek, a w szkołach wyższych znajduje największą pomoc w zgromadzeniu światłych księży Pijarów. Zakład pijarski na Żoliborzu w Warszawie nie ustępuje najlepszym zakładom wychowawczym zagranicznym. Liczba uczniów we wszystkich szkołach wzrasta. Obok filologii uczono historyi, prawa politycznego, moralności, zasad ekonomii politycznéj i innych nauk, które potrzebne są do wykształcenia ludzi publicznych i zacnych obywateli kraju.

([1]) *Cudzoziemcy w Polsce*, przez Ksawerego Liskego; Lwów 1876 r., s. 247.
([2]) Mam pod ręką *Wypisy z autorów klassycznych*, sporą książeczkę, która kosztowała 5 groszy polskich miedzianych.

Stanisław August wysyła za granicę stypendystów i sprowadza licznych uczonych cudzoziemców do Warszawy. W r. 1768 zakłada, stosownie do życzenia narodu, akademią wojskową, pod nazwą *Korpusu kadetów*, dla stu młodzieńców ze stanu rycerskiego. Reformuje mennicę, zakłada ludwisarnię, pracuje gorliwie nad podniesieniem sztuk pięknych w Polsce, wspiera hojnie artystów, sprowadza z Francyi: rzeźbiarza Lebruna, rysownika i malarza Norblina, z Włoch malarzy: Canalettego, Bechona i Bacciarellego, którzy pendzlem swoim przyozdabiają zamek królewski. Obok nich słynie Smuglewicz, Czechowicz i Wojniakowski. Przewodnikiem szkoły sztuk pięknych jest brat Albertrandego. W budownictwie odznaczają się z liczby Polaków: Gucewicz i Zawadzki. Gust, zamiłowanie w przedmiotach estetycznych było już tak rozwinięte u ludzi możnych, że Polska staje się jedném z głównych targowisk na drogocenne przedmioty sztuki. Powracający przez Warszawę z Petersburga do Berlina Bernoulli powiada, że ścmiło mu się w oczach, gdy wszedł do magazynu Hempla wyrobów srebrnych, bronzowych, kryształowych, marmurowych, waz, posągów i obrazów. Jan Bister, redaktor *Berlinische* (*tak*) *Monatsschrift*, który w kilkanaście lat po Bernoullim zwiedzał stolicę Rzeczypospolitéj, pisze, iż co do przepychu w domach i wygody życia tylko Wiedeń może się równać z Warszawą. Wogóle stolica polska w drugiéj połowie zeszłego wieku szybko zmieniała swoję postać. Wznoszą się piękne pałace, rozwijają się księgarnie, drukarnie i rękodzielnie, w r. 1776 miasto zostaje połączonę z Pragą mostem łyżwowym, ulice dostają oświetlenie i bruki, w r. 1779 i następnym wzniesiono stały teatr przy placu Krasińskich. Wojciech Bogusławski rozwija scenę narodową i kształci artystów krajowych; Zabłocki Franciszek pisze wyborne, jak na swój czas, komedye.

O ówczesnym rozwoju literatury powiada dzisiejszy krytyk Fredry: „Korzenie bujnego drzewa fredrowskiéj komedyi sięgają tych czasów, kiedy w wieku XVIII ta literatura tak pracowicie, tak energicznie dźwiga się z upadku; kiedy chce koniecznie odbić czas stracony i mieć wszystko, co tylko mieć może, wszystko co mają, czém żyją i jaśnieją literatury oświeconych narodów. Ten popęd, który ożywiał Krasickiego, Naruszewicza i cały liczny zastęp uczonych pisarzy stanisławowskich, który im kazał pisać wszystko, od epopei do bajki, który później żył i działał w Towarzystwie Przyjaciół Nauk,—to dążenie i usiłowanie, żeby literaturę polską zbogacić, wyposażyć wszelkiemi rodzajami pisania“ i t. d. ([1]). W szeregu piszących występują zaszczytnie ludzie, tak jezuickiéj jeszcze nauki, jak pijarskiéj. Poczobut, Naruszewicz, Wyrwicz, Piramowicz, Bohomolec, Nagurczewski, Narwojsz i Pilchowski byli Jezuitami, zaś Kopczyński, Waga, Wincenty i Kajetan Skrzetuscy, Jodłowski,

([1]) *Biblioteka Warszawska*; r. 1876, t. II, str. 254.

Teodor Ostrowski i wielu innych, — Pijarami. Łojko, Naruszewicz, Kajetan Skrzetuski, Ostrowski i Waga badają dzieje i prawa Rzeczypospolitéj; Jan Potocki usiłuje wyjaśnić czasy dziejów pierwotnych; Dogiel ogłasza kodeks dyplomatyczny; Albertrandy, wysłany przez króla, szpera w archiwach szwedzkich i włoskich; Trębicki i wielu innych zbierają prawa i przepisy. Do téjże epoki, jak wiadomo, należą: Trębecki, Kniaźnin, Karpiński, Węgierski, Niemcewicz, Czacki, Kołłątaj, Ignacy Potocki i Kościuszko. Największy ruch umysłów wywołał Andrzej Zamojski projektem prawodawczym dla Rzeczypospolitéj (r. 1778) i Stanisław Staszic *Uwagami nad życiem Jana Zamojskiego* (r. 1785) kilkakrotnie przedrukowanemi. Radzono się publicystów zagranicznych: Mablego, Jana Jakóba Rousseau, Benthama i innych. „Na sejmach, powiada Lelewel, płynna, jasna, prosta, męzka i pełna mocy wymowa wyjawiała upowszechnioną języka uprawę i podniesione narodu uczucia.“ Mnożą się gazety i pisma peryodyczne; wychodzi nawet *Dziennik handlowy;* rodzi się dzisiejsza *Gazeta Warszawska.*

Magnaci garną się do nauk i tworzą zastęp mecenasów oświaty narodowéj. Jeszcze za Augusta III uczeni dwaj Załuscy: Józef Andrzéj, biskup kijowski i Andrzéj Stanisław, biskup krakowski, poświęcając na książki wszystkie swoje dochody i odmawiając sobie wygód życia, zgromadzili księgozbiór, zaliczany do rzędu trzech największych wówczas w Europie, bo obejmujący przeszło trzysta tysięcy woluminów. Olbrzymia ta książnica, zapełniająca wszystkie piętra pałacu Daniłowiczowskiego w Warszawie, otwarta r. 1747 dla użytku publicznego, darowaną później została przez Załuskich krajowi i uposażona osobnym funduszem. Obok niej zasłynęły w Warszawie biblioteki: Potockich, Czartoryskich, królewska, zbiory przyrodnicze Michała Ogińskiego het. wiel. lit., tudzież naukowe mineralogiczne, archeologiczne i etnograficzne księcia Stanisława Poniatowskiego. Wincenty Potocki w swoim zbiorze rycin posiadał samych Rubensów 3555 sztuk ([1]). Z uczoności znani są: Czartoryscy, Michał Mniszech, Ignacy Potocki; a Moszyński August, studyując nauki ścisłe, wynajduje nawet jakiś anemometr, wspomniany przez Bernouillego. W r. 1777 kółko uczonych przyrodników, magnatów i krajowców, zawiązuje prywatnie pierwsze „warszawskie towarzystwo naukowe“ zwane także „fizycznem“, w celu popierania nauk ścisłych. Król dla literatów i uczonych daje czwartkowe obiady, słynne z wesołości i dowcipu, na których zaprowadza przyjacielską poufałość ze swymi gośćmi. Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, pisze bezimienne „Listy Doświadczyńskiego“, o wychowaniu młodzieży polskiéj, w których mocno walczy przeciw cudzoziemskiemu wychowaniu paniczów. Kilka wydań téj książeczki rozchodzi się w mgnieniu oka r. 1782. Zacny

([1]) *Cudzoziemcy w Polsce*, str. 249.

autor, patryota, pragnie oddziałać na zepsucie moralne warstwy możnych, rosnące od czasów Augusta Mocnego, a podsycane stosunkami z Francyą i złym przykładem króla.

Zepsucie ówczesnych wielbicieli Woltera doszło do kulminacyjnego punktu. Rozwody są na porządku dziennym. Król ma niezliczone kochanki wśród imion arystokratycznych. Stackelberg po kasztelanowéj... przechodzi w więzy hetmanowéj, pisze historyk. Wojewodzina podolska wozi z sobą l'Abbé Renaud, który chwali się z tego, że choć nosi suknię duchowną, nigdy księdzem nie był i nie jest; księżna marszałkowa wyposaża kawalera Maisonneuve; szulerstwu oddają się w stolicy panowie; magnaci ślą bieliznę do prania do Paryża. „Jest to jednak obraz stolicy raczéj niż Polski, pisze Kraszewski, wyższego świata niż całego społeczeństwa. Obok niego jeszcze istnieje na prowincyi stary porządek i obyczaj dawny, wiara głęboka, pobożność szczera, religia czynna, patryarchalne zwyczaje i prawa".

Hulaszczość szlachty czasów saskich już utraciła dawny swój walor i w ogóle zauważono, że dawne pijatyki przy ucztach nikną (¹). Lelewel powiada: „trzeba wyznać, że duchowieństwo potężnie działało na umoralnienie klass niższych." Księża „otwarcie na ciemnotę i zabobon powstawali, nauczali moralności, powoli z kościołów i obrządków lalki i mniéj przyzwoite przydatki usuwali..... Postęp był ciągły: w lat niewiele ustępowały posępne i zabobonne praktyki; szarlatanizm nie występował tak snadno; z uśmiechem mówiono o dawnem zawierzeniu w czary, w upiory; zjawiska przyrodzone objaśniano rozsądnym sposobem. Do rozpędzenia zabobonów potężnie się przyczyniło dzieło jezuity Bohomolca; przy zmianie pojęć, niechęci różnowiercze uszły przed braterstwa uczuciem. Lud pozbywał się tłumu uprzedzeń, tracił wstręt do nowych pojęć, które stopniami wiodły cały naród na inne stanowisko towarzyskości" (²). Że słowa Lelewela oparte są na faktach, tego nie potrzebujemy dowodzić. Oto, między innemi, mamy pod ręką dość popularną w owych czasach książkę do modlitwy p. n. *Nabożeństwo parafialne*, ułożoną przez księdza Marcina Krajewskiego, w której na początku znajdujemy naganę ogólniejszych zabobonów ludu i nieprzyzwoitych jego zwyczajów w domu i kościele.

Jeżeli powyżéj mówiliśmy o ruchu naukowym w stolicy, to nie możemy zamilczéć i o prowincyi, która niemniejsze daje oznaki życia. Oto np. Anna z Sapiehów Jabłonowska, wojewodzina bracławska, zakłada w swoich Siemiatyczach na Podlasiu drukarnię, gromadzi wielki zbiór dzieł naukowych, gabinet historyi naturalnéj, urządza salę

(¹) W czasopiśmie *Berlinische Monatsschrift: Einige Briefe über Polen, geschrieben im Sommer, 1791.*
(²) *Polska, dzieje i rzeczy jéj.* J. Lelewel, t. VI, str. 88.

fizyczną, zbiory starożytności, medali i osobliwości europejskich, zaprasza do Siemiatycz uczonego Kluka, proboszcza z poblizkiego Ciechanowca, sławnego botanika, którego dzieła wpływają na podniesienie sadownictwa w Polsce. Gabinet siemiatycki księżnej liczony był do najpierwszych w Europie (¹). Zbiory, tak zwane „fizyczne i przyrodnicze", budziły powszechne zajęcie klas wykształceńszych, a możni ludzie ze znacznym kosztem zakładali je w swoich rezydencyach. Joachim Chreptowicz na Litwie gromadzi znowu bibliotekę, bogatą w stare druki polskie (²). Rizzi Zannoni, przy pomocy pieniężnej księcia Józefa Aleks. Jabłonowskiego, wydaje r. 1772 w Paryżu wspaniały na owe czasy atlas województw całej Rzeczypospolitej. Widzimy z tego wszystkiego, jak wielu już panów poczuwało się także do spełnienia obowiązków moralnych względem kraju i pojmowało o ile obowiązki jednostek pod względem materyalnym muszą pozostawać w stosunku do rozległości fortuny.

Reforma skarbowości krajowej zajmuje wszystkie umysły. Dla uregulowania podymnego spisano w r. 1775 szczegółowo dymy we wszystkich wioskach Rzeczypospolitej. Pilna administracya wszelkich podatków i dochodów, tudzież co dwa lata ze skarbu odkładany milion dwakroć sto tysięcy dobrowolnych duchowieństwa składek, umorzyły ciężki 19,750,000 złp. deficyt, w r. 1776 wykazany—tak, że później już zostawał remanent (³).

Dla ułatwienia handlu wewnętrznego, Michał Kazimierz Ogiński hetman wiel. lit. wśród dziewiczych puszcz litewskiego Polesia bije kanał, łączący za pomocą rzeki Szczary i Jasiołdy Niemen z Prypecią, Baltyk z morzem Czarnem. Kanał ten, długi na mil siedm, oddany do publicznego użytku w r. 1784, kosztował hetmana *dwanaście milionów*. To-też Rzeczpospolita, zobowiązana tym wielkim patryotycznym czynem, uchwaliła już r. 1788 wznieść Ogińskiemu posąg, do czego jednak nie przyszło. Podobny kanał (Muchawiecki albo Królewski) przekopuje Tyzenhauz kosztem skarbu i ekonomij królewskich, dla połączenia przez Muchawiec, Pinę i Prypeć Wisły z Dnieprem. Kredyt podnosi się. Powstają w stolicy banki Prota Potockiego, Teppera i Blanka, obracające wielkiemi kapitałami. Możni ziemianie prowadzą rozległy handel zbożowy z Warszawą, Gdańskiem i Królewcem. Chryzanty Opacki, kasztelan wizki, posiada np. całą flotę statków, zwanych *łyżwami* i *szkutami*, na Narwi i Wiśle, skupuje ziarno na Podlasiu i Mazowszu, bierze w komis od sąsiadów

(¹) Gabinet ten po śmierci Jabłonowskiej, zakupiony r. 1803 przez cesarza Aleksandra I za summę 50,000 dukatów do Petersburga, stał się wraz z biblioteką Załuskich podstawą zbiorów naukowych stolicy północnej (ob. *Encykl. powsz.* Orgelbranda, t. XXIII str. 420).

(²) *Roczniki Tow. przyj. nauk*; t. X str. 468.

(³) J. Lelewel: *Polska, dzieje i rzeczy jéj*; t. VI, str, 82.

i z dóbr pani krakowskiej, dostarczając za jednym kontraktem po 7,000 korcy do Elbląga, a pisze w jednym liście: „krwawą pracą dorabiam się fortuny swojej“. Tenże Opacki córkę swoję każe uczyć: prawa krajowego, nauk matematycznych, przyrodniczych, łaciny i greckiego ([1]). Joachim Chreptowicz w dobrach swoich na Litwie wznosi fabryki żelazne i inne, warzelnie soli, zakłada szkoły. Ignacy Konarski, pijar, zakłada w Opolu szkołę rzemieślniczą. Powstają nowe wyrobnie pasów litych, porcelany w Mokotowie, także w Korcu, gdzie Józef Czartoryski, stolnik wiel. lit., zakłada fabrykę sukna i wielkim kosztem usiłuje podnieść i przyozdobić to miasto wołyńskie. Książę Radziwiłł, kasztelan wileński, zakłada fabrykę szkła i inną wyrobów żelaznych w Wieruszowie w Wielkopolsce, a na uroczystość otworzenia zaprasza mnóstwo gości z Warszawy.

Zewnętrzny obraz kraju szybko się zmienia. Panowie wznoszą pałace, dwory i domy; zakładają dziwnej piękności ogrody; murują miasta. Tak powstają Słonim i Siedlce Ogińskich, Puławy Czartoryskich, Jabłonna pod Warszawą prymasa Michała Poniatowskiego, Werki pod Wilnem biskupa Massalskiego, Zofiówka i Tulczyn Potockich, Łazienki, Arkadya, Nieborów i inne. Jan Klemens Branicki, jeszcze za Augusta III, rezydencyą swoję, Białystok w woj. Podlaskiem, przemienia w tak powabną miejscowość i ludne miasto, że przejeżdżający cudzoziemcy zachwycają się, a krajowcy przezywają Białystok „Wersalem podlaskim“. Stary hetman buduje świątynie, upiększa okolicę i, jako prawnuk po kądzieli Stefana Czarnieckiego, wnosi wielkiemu bohaterowi pomnik na rynku w Tykocinie. Bernoulli, przejeżdżając przez Białystok r. 1778, notuje proste, szerokie i wysadzone drzewami gościńce.

Za usamowolnieniem i oczynszowaniem włościan przemawiał nie sam tylko ordynat Andrzej Zamojski, który w kluczu swoim Bieżuńskim lud wyzwalał. To samo czyni Joachim Chreptowicz, podkanclerzy litewski, który gorliwie pracuje nad polepszeniem bytu kmieci i układa dla kraju plany reformy stosunków włościańskich. Paweł Ksawery Brzostowski, referendarz lit., ustanawia gminę z zupełnym samorządem, nakształt oddzielnego państwa. Na Mazowszu, synowiec królewski, Stanisław Poniatowski, przyjmuje w Nowymdworze nad Wisłą całą kolonią dyssydencką, ze swobodą budowania kościoła i szkoły. Wybicki wydaje r. 1777 pismo za zniesieniem poddaństwa. Dobrobytem włościan opiekuje się stary Jan Klemens Branicki, a później pozostała po nim wdowa, Izabella z Poniatowskich. Państwo krakowscy oboje szczególnie protegowali żydów, upatrując w tem podniesienie handlu krajowego; udzielali kupcom pożyczek pieniężnych bez procentu; rozsądzali ich spory, zakładali magazyny

---

([1]) *Tygodnik Illustrowany*; serya II, t. XV, str. 370.

zbożowe dla klas uboższych i wznosili po miastach murowane gmachy z kramami. Targowice takie, czyli bazary, liczące po kilkadziesiąt sklepów, stawiali liczni panowie w swych miasteczkach. Księżna Jabłonowska, o której zbiorach naukowych wspominaliśmy, pragnie ze swoich Siemiatycz na Podlasiu stworzyć ognisko nauk i przemysłu. Wznosi fabryki, zakłada szkołę nauki położniczéj, sama pisze i wydaje ośmiotomową konstytucyą administracyjno-moralną dla włościan, mieszczan i rządców w swoich dobrach. Pani ta chciała, żeby poddani jéj posiadali wspólne kassy oszczędności, magazyny zbożowe i pasieki ([1]). Do nieco młodszego pokolenia dzielnych i zacnych matron polskich należy Marya ze Swidzińskich Lanckorońska, kasztelanowa połaniecka. Umysły tak szybko dojrzewać zaczęły, że gdyby nie wypadki polityczne, które pod koniec zeszłego wieku nastąpiły, radykalna reforma stosunków włościańskich byłaby w niedługim czasie rozwiązaną.

Już za Augusta III, niektórzy panowie polscy biorą się gorliwie do dźwignięcia rolnictwa i administracyi w swych dobrach. Jerzy Fleming szydzi ze starych przesądów rolniczych i dobra swoje terespolskie i włodawskie urządza znakomicie. Jan Klemens Branicki wgląda szczegółowo w zarząd folwarków, sprowadza i uposaża rzemieślników, a hetmanowa każe osuszać moczary, budować groble, zakładać pasieki i, choć jest siostrą królewską, wgląda w najdrobniejsze szczegóły i zna się na gospodarstwie domowém—hoduje na sprzedaż trzodę chlewną i bażanty ([2]).

Pierwszym znamienitym owocem téj reakcyi, która w drugiéj połowie zeszłego wieku nastąpiła, był sejm czteroletni i jego ustawa majowa z r. 1791. Na sejmie tym słyszymy już mówców, którzy, przybywszy z zapadłych ustroni kraju, obradują z głęboką, wytrawną znajomością potrzeb społecznych i rozumem politycznym, godnym najświatlejszych parlamentów. Dosyć np. wspomnieć Butrymowicza, posła pińskiego, który-to „Litwin barczysty z wąsami zawiesistemi i łbem podgolonym", arcyznamienite, zacne i postępowe podawał projekta i drukował rozprawy w kwestyi reformy żydów polskich ([3]). Ogólny obraz, który przedstawia nam sejm czteroletni, pozwalał wierzyć w przeprowadzenie parlamentarne z czasem wszystkich reform społecznych, czego niejeden naród mógł nam pozazdrościć.

Ale jak w atmosferze fizycznéj widzimy często krzyżujące się prądy wiatrów, tak i tu wypadki polityczne postępowały szybko niezależną drogą od procesu reakcyi, który się wywiązywał dopiero

---

([1]) *Stanowisko praktyczne dawnych niewiast*; str. 59, przez Wład. Chomętowskiego.

([2]) W *Kronice Rodzinnéj* artykuły p. n. *Gospodarność dawniejsza*, r. 1870 i 1871.

([3]) *Stan i sprawa żydów polskich w XVIII wieku*, przez Władysł. Smoleńskiego.

w losie społeczeństwa polskiego. Po dobie rozkwitającéj kultury i postępu, która w krótkim czasie tak wielkie zmiany spowodowała w łonie narodu i powierzchowności Rzeczypospolitéj, następuje doba inna, która trwała od wojny r. 1792 i konfederacyi Targowickiéj do kongresu wiedeńskiego r. 1815. Wśród chrzęstu broni i huku dział, który przez 23 lata z małemi przerwami rozlegał się w różnych krajach, historya zapisuje już tylko liczne imiona i hufce ludzi, których zrodziła u nas owa poprzedzająca doba. Za to wielkie wypadki tego peryodu, nieopisany zamęt stosunków miejscowych, wielkie zmiany i klęski, wreszcie mogiły rozsiane w czterech częściach świata, prawie zatarły w tradycyi następnych pokoleń obraz tego ruchu, który ożywiał zacną część intelligencyi polskiéj przed r. 1792. Tylko wprowadzona przez Kommissyą edukacyjną zasadnicza reforma edukacyi szkolnéj kilkadziesiąt lat przetrwała upadek Rzeczypospolitéj, a literatura stanisławowska została macierzą doby Mickiewicza i Lelewela.

Wstępem powyższym uważaliśmy za stosowne poprzedzić życiorys Antoniego Tyzenhauza, tak dla dania kilku rysów téj epoki, w któréj żył podskarbi nadw. lit., a którą ogół nasz mało zna ze strony dodatniéj, jak dla wykazania, że Tyzenhauz, lubo był najwybitniejszym przedstawicielem owéj doby reakcyjnéj, to jednak nie był wcale zjawiskiem oderwaném, jak mniemają niektórzy, mniéj z historyą tamtych czasów obeznani. Wobec tego, co już pisali o Tyzenhauzie: Lelewel, Bartoszewicz i Kraszewski, nie mogliśmy się kusić o przedstawienie rzeczy z zupełnie nowéj strony. Mieliśmy jednak ważne powody wzięcia się do pracy niniejszéj. A to najpierw dla tego, że napotkaliśmy sami niektóre źródła, nieznane tamtym badaczom, powtóre, że piśmiennictwo nasze prawie wcale nie posiada oddzielnéj rzeczy o Tyzenhauzie, w któréjby ogół dzisiejszy, garnący się do pracy i postępu, mógł znaleźć obszerniejszą wiadomość o tak genialnym człowieku na tém polu. Tylko bowiem Bartoszewicz napisał oddzielny życiorys podskarbiego, który, drukowany jeszcze r. 1851 w *Gazecie Warszawskiéj*, jest dziś już dla ogółu niedostępny, a młodszemu pokoleniu wcale nie znany (¹).

Tyzenhauzowie należą u nas do dawniejszych i możniejszych rodzin pochodzenia inflanckiego. Antoni, podskarbi nadw. lit., był synem Benedykta, starosty szmeltyńskiego i Anny Biegańskiéj, wnukiem Michała pisarza wiel. lit. i Aleksandry Radzimińskiéj, prawnukiem Stefana, wojewody nowogrodzkiego i Barbary Szemiotówny. Rodzeństwo podskarbiego było liczne, miał on dwóch braci i ośm sióstr. Kazimierz był starostą dyamentowskim, a Michał possolskim; Magdalena wyszła za Walewskiego, Teressa za Antoniego Tyszkiewicza

(¹) Bartoszewicz pracę swoją streścił później w *Pamiątkach historycznych* Święckiego; Warszawa 1859—i w *Encyklopedyi powszech. Orgelbr.*

generała wojsk lit., Aleksandra za Morykoniego, Barbara za Wawrzeckiego, Benedykta za Niezabitowskiego, Maryanna i Marya Wiktorya zostały zakonnicami, a Ludwika zapewne dzieckiem zmarła ([1]). Ojciec podskarbiego, starosta szmeltyński, żadnych tytułów wyższych nie posiadał. Antoni urodził mu się w roku 1733. Po otrzymaniu pierwszych nauk w domu rodzicielskim, oddany został do szkół jezuickich w Wilnie, które gdy ukończył, rodzic wysłał go na dwór pański do Wołczyna. Był to, jak wiadomo, zwyczaj staropolski, wypływający wówczas z koniecznéj potrzeby. Młodzieniec bowiem każdy, przeznaczony jako szlachcic do życia publicznego, wychodził z pod dyscypliny szkolnéj klasztoru, nieśmiały, sztywny i domochowny. Życie światowe i towarzyskie nie ogniskowało się, jak dzisiaj, publicznie w miastach i nie mogło zazierać do ławek szkolnych, ale wrzało na dworach i zamkach magnackich, gdzie synowie zarówno panów jak szlachty, po ukończeniu szkół, poznawali świat i kraj rodzinny, nabierali poloru, ćwiczyli się w różnych obowiązkach i przez podwoje takiéj szkoły wchodzili do służby publicznéj u Rzeczypospolitéj. Wołczyn, w województwie Brzeskolitewskiém, był rezydencyą księcia Fryderyka Michała Czartoryskiego, którego dwór mógł należéć do najbardziéj dystyngowanych, nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Kanclerz wielki lit. był jednym z największych statystów polskich i niewątpliwie na bystry umysł starościca wywrzeć musiało wpływ zbliżenie się do tego człowieka. „Wśród osób najwybitniejszych i najczynniejszych téj epoki, powiada historyk, co było zdolniejszego i więcéj wykształconego, niemal wszystko wyszło z pod opieki, z dworu, z otoczenia Czartoryskich.“ Do takich wychowańców zaliczyć można i samego króla, i Antoniego Tyzenhauza. Ten ostatni, bawiąc w Wołczynie, mógł nadto przypatrzyć się wielu ulepszeniom i nowościom, które w dobrach terespolskich, o kilka mil odległych, zaprowadzał postępowy Fleming.

W domu Czartoryskich staroście szmeltyński poznał się z wojewodzicem mazowieckim, Stanisławem Poniatowskim, rok tylko starszym od niego siostrzeńcem księcia kanclerza. Poniatowski urodził się był w Wołczynie i często w miejscu rodzinném u dostojnego wuja przebywał. To zbliżenie i rówieśnictwo stały się węzłem serdecznéj przyjaźni na długie lata między młodzianami, z których jeden wyszedł niebawem na króla, a drugi na jego ministra. Charaktery jednak i umysły dwóch młodych ludzi nie były blizkie siebie. Tyzenhauz celował bystrością i tak zwanym rozumem chłopskim; Poniatowski—wiadomościami encyklopedycznemi i galanteryą salonową, która, przechodząc w nieustanne oświadczenia miłostek, wystawiła

([1]) Wiadomości powyższe zaczerpnęliśmy z tablicy genealogicznéj rodziny Tyzenhauzów, pomieszczonéj w II-im tomie *Monografij historyczno-genealogicznych* Kossakowskiego.

go już na pośmiewisko w Paryżu. Tyzenhauz znał tylko Litwę, mowę polską i łacinę, gdy Poniatowski był bywalcem po panujących dworach i w ruchach naśladował króla francuzkiego, a władał kilku językami. Tyzenhauz miał młodzieńczy zapał do czynu i poświęcenia, energią woli, siłę absolutnego charakteru niepospolitą a wychowanie staropolskie, nieco zaniedbane; Poniatowski miał wiele dobrych chęci, ale charakteru żadnego, dobre, niewieście serce, papinkowatość, lekkość, żądzę błyszczenia i rozpusty. Niewątpliwie, pierwotne domowe wychowanie młodzieńców wywarło ogromny wpływ na ich późniejsze losy, lubo matka, Konstancya z Czartoryskich, synowi przekładała, że nie galanteryą, ale zasługą i cnotami należy dobijać się stanowiska.

Bartoszewicz powiada, że gdyby Tyzenhauz miał wszechstronne wykształcenie, byłby to geniusz ekonomiczny, jeden z najznakomitszych mężów świata. „Nie czytał zaś nic i czytać nie mógł, dla prostéj przyczyny, że nie umiał żadnego obcego języka. Mówił zawsze po polsku. Książki francuzkiéj, niemieckiéj ani angielskiéj nie miał nigdy w ręku. A polska literatura biedną wtedy była w dzieła ściśle-naukowe. Gdzież się więc miał uczyć obcéj mądrości Tyzenhauz? Ale zdolności wrodzone zastępowały mu prawie wszystko. Zgadł młody człowiek wiele rzeczy i jego rozum rozwikłał wiele tajemnic. Tyzenhauz domyślił się tego, czego się nie uczył, czego nie wiedział. Za granicą nie był w dzieciństwie, więc nie widział ani filozofów, ani rządów, ani miast. Tyzenhauz nie czytałby może nawet książek, choćby je rozumiał, tak dalece był człowiekiem czynu“ ([1]).

Pierwszy urząd, który otrzymał starościc szmeltyński, stał się dla niego wstępną i praktyczną szkołą zawodu, w którym miał późniéj tak zajaśnieć; otrzymał go w témże Grodnie, w którém późniéj tyle zadziwiających rzeczy dokonał. Dobrami stołowemi królów polskich na Litwie, w skład których ekonomia grodzieńska wchodziła, zarządzał pod koniec czasów saskich podskarbi nadw. litewski, Józef książę Massalski, starosta grodzieński. Między rodziną Massalskich i Tyzenhauzów była zażyłość i książę podskarbi mianował właśnie młodego Tyzenhauza podstarościm grodzkim grodzieńskim, może już dopatrując się w nim zdolności ekonomisty. Ta serdeczna przyjaźń Tyzenhauza z Massalskimi była dozgonną, i późniéj, z powodu stosunków z biskupem wileńskim, naraziła go na wiele przykrości i strat pieniężnych.

Michał Ogiński, pisarz litewski, późniejszy hetman, zrobił niebawem pana podstarościego chorążym w swoim znaku petyhorskim. W r. 1761 Tyzenhauz posłował razem z Joachimem Chreptowiczem raz pierwszy na sejm do Warszawy, zwołany głównie z powodu

---

([1]) *Gazeta Warszawska;* r. 1851, nr. 136.

sfałszowanéj monety polskiéj, za sprawą arcybrudną króla Fryderyka II-go, zwanego Wielkim i filozofem! Znakomity Chreptowicz był tylko kilka lat starszym od Tyzenhauza. Pojechało więc z Litwy między innymi dwóch młodych i bardzo dzielnych ludzi na sejm warszawski. Chreptowicz całe życie pracował mozolnie dla kraju i znamienite położył zasługi. Tyzenhauz dążył szalonym krokiem po drodze czynu. Okoliczności i wcale różne stanowiska, jakie obaj zajęli, rozdzieliły tych dwóch mężów,—żyli też później we wzajemnéj niechęci. Podstarości grodzki grodzieński został r. 1763 pisarzem wiel. lit. Matuszewicz opowiada, że urząd ten kupił najpierw sekretnie od Udalryka Radziwiłła, a przywilej królewski uzyskał podstępem, gdyż nie dostałby go inaczéj, jako „wielki nieprzyjaciel dworski (t. j. Sasów) a affidowany przyjaciel Czartoryskich" ([1]).

Szlachta litewska, ceniąc wysoko w młodym Tyzenhauzie dzielność umysłu, obrała go w czasie bezkrólewia pułkownikiem konfederacyi powiatu grodzieńskiego, a w konfederacyi generalnéj litewskiéj—tegoż powiatu marszałkiem. Jako poseł z pow. Grodzieńskiego, pojechał nasz pisarz wielki lit. na sejm konwokacyjny do Warszawy, gdzie został wyznaczony do spisania paktów konwentów, a następnie do układów z posłem króla pruskiego. W radzie przydanéj księciu prymasowi widzimy go między przedstawicielami Litwy. Musiał być Antoni Tyzenhauz człowiekiem ogromnéj pracy, bo obowiązki sypały się na niego jak z rękawa. Powołano go na konsyliarza do Kommissyi Skarbowéj Wiel. Księztwa Litewskiego i także do innéj, wyznaczonéj oddzielnie dla ekonomii Grodzieńskiéj i Brzeskiéj. Gdy sejm postanowił kommissyą do korrektury praw litewskich, a mianowicie do uproszczenia procedury sądowéj, pisarz wielki lit. został członkiem i tego grona; później znowu wyznaczony został także na kommissarza Rzeczypospolitéj do układów z Repninem.

Jako poseł na sejm elekcyjny pod Wolą, nieprzyjaciel rządów saskich, z radością podpisał wybór towarzysza młodości na króla. „Nie miał téj pychy panów, powiada Bartoszewicz, co rada byłaby świat cały przewrócić do góry nogami, żeby tylko obalić Poniatowskiego, nie dla tego, że Stanisław w tak trudnem położeniu był na króla niezdatny, nie dla fatalnych okoliczności, które dały mu w rękę berło i majestat: ale dla tego, że zazdrościła szczęścia Stanisławowi Augustowi, że pycha czuła się obrażoną. Tyzenhauz przeciwnie, sprzyjał Poniatowskiemu, widząc w nim dobre chęci dla kraju, nawet zdolności; mógł liczyć wreszcie na to, że przyjaciel na tronie otworzy mu szersze pole do zasługi i pracy dla narodu. Przyszłość była jeszcze zakrytą przed oczyma wszystkich. Przekonał się później minister o zupełnym braku charakteru w Stanisławie, a wtedy jeszcze ufał w jego serce" ([2]).

([1]) *Pamiętniki* Marcina Matuszewicza, kaszt. brzeskiego. t. IV str. 10.
([2]) *Gazeta Warszawska*; r. 1851, nr. 136.

Młody król widział w Tyzenhauzie wysoką zacność, przywiązanie osobiste i szlachetną, patryotyczną żądzę dobra ogólnego, za co go też wynagradzał. Mianował go więc (w r. 1764) koniuszym wielkim lit. ([1]) i jednym z pierwszych kawalerów ustanowionego wtedy orderu św. Stanisława. Gdy umarł Massalski r. 1765, król naznaczył koniuszego podskarbim nadwornym lit. i dał mu starostwo grodzieńskie.

Podskarbi nadw. lit. był to właściwie generalny zarządca dóbr stołowych, położonych w W. Ks. Litewskiém, z pensyą, która 20,000, a później 40,000 złp. wynosiła. Takiemiż dobrami w Koronie zarządzał znowu podskarbi nadw. koronny. Olbrzymie dobra królów polskich na Litwie dzieliły się na ekonomie, które znowu zawierały w sobie klucze lub wójtowstwa i leśnictwa. Ekonomia Grodzieńska składała się z *czternastu* kluczy (i czterech leśnictw), w których naliczyliśmy wiosek i folwarków ogółem *dwieście kilkadziesiąt*. W czterech kluczach ekonomii Olickiéj, to jest: Krakopolskim, Olickim, Żuwinckim i Królowokrześlskim, było nomenklatur przeszło sześćdziesiąt. Ekonomia Mohilewska co do liczby siół dorównywała Grodzieńskiéj, ale rozległość prawdopodobnie miała większą. Ekonomie: Brzeska i Kobryńska zawierały po pięć kluczy, a razem przeszło sto wiosek; oddzielnie liczono klucz Kijowiecki i Melejczycki. Ekonomia Szawelska była potężna, zajmowała bowiem znaczną część księztwa Żmujdzkiego; liczyła wiosek kilkaset; dzieliła się na wójtowstwa i liczne tak zwane *obręby leśne*, posiadające oddzielne nazwy. W księgach metryki litewskiéj (w archiwum głównem w Warszawie) znaleźliśmy podziwienia godną lustracyą téj ekonomii z r. 1619. Jest to gruba księga, wykazująca drobiazgowo i systematycznie rozległość wszystkich siół i obrębów leśnych, wymierzoną na włóki, morgi, pręty i pręciki, tudzież dochody i czynsze, nazwiska i imiona włościan w każdéj wiosce i zaścianku. Według téj lustracyi, ekonomia Szawelska miała przestrzeni włók 8446, morgów 27, prętów 12 i pręcików $3\,^{11}/_{46}$, czyli około 30 mil kwadratowych; przynosiła zaś rocznego dochodu w pomienionym czasie florenów 74,469 gr. 29, co na dzisiejszą wartość monety wynosi około pół miliona złp. To też ekonomia ta liczyła się zawsze do najcelniejszych dóbr królewskich. Za Zygmuntów była w stanie kwitnącym; później czas pewien zostawała w ręku królewiczów Sobieskich; za Tyzenhauza widzimy zaliczony do niéj także klucz, zwany Nadkurlandzkim ([2]). Puszcze, należące do dóbr królewskich na Litwie, liczyły się do największych lasów w Europie. Dosyć wymienić tu puszczę Białowiezką, około 25 mil kwadr. rozległą, w któréj przechowywały się żubry, puszczę Perstońską w Augustowskiém, niewiele ustępującą Białowiezkiéj, i inne.

([1]) *Pamiętniki* Marcina Matuszewicza kaszt. brzeskiego; t. IV str. 289.
([2]) t. j. nad granicą kurlandzką położony.

Za panowania Sasów, dobra stołowe pogrążone były w wielkim nieładzie. Królowie ci, nie złączeni z narodem tradycyą ani poczuciem obowiązku, nie mieli przywiązania do ziem polskich; nie wiedzieli dobrze, co mają na Litwie i nie dbali o to. Dobrami dowolnie zarządzali podskarbiowie, płacąc rodzajem dzierżawy królowi rocznie 300,000 złp. Trzeba było dzielnego człowieka, aby kilkodziesięcioletni nieład usunął. Nie mógł Stanisław August zrobić odpowiedniejszego wyboru jak mianując podskarbim Tyzenhauza; ani ten ostatni nie mógłby znaleźć właściwszego pola do działania dla swoich zdolności.

Nowy podskarbi żądał od króla nieograniczonej swobody w zarządzie dóbr stołowych i takową otrzymał. Dla reformatora była ona konieczną do wykonania śmiałych i rozległych zamysłów. Poniatowski obeznany był dobrze z planami podskarbiego i rokował z nich wielkie dla kraju korzyści. Tyzenhauz ujrzał się teraz w swoim żywiole. Bystry jego umysł widział jasno, że kraj dźwignąć się może z upadku przez cywilizacyą, nauki, przemysł, pracę i dobrobyt. Pojmował jasno, że te czynniki są podstawą przyszłości i potęgi narodów. Tyzenhauz nie był teoretykiem ani deklamatorem, jakich do zbytku napłodziły nasze czasy. Był on człowiekiem czynu w całem znaczeniu tego słowa, należał do rzędu ludzi, których zastęp w owej epoce był liczniejszy, niż o tem dziś sądzimy i niż posiadamy go obecnie. Dowodzą już tego same fakta, które przytoczyliśmy na początku niniejszej pracy. Podskarbi chciał oświatą otworzyć oczy wszystkim na niebezpieczeństwa Rzeczypospolitej; chciał wciągnąć wszystkich do pracy w imię obowiązków obywatelskich; chciał w kierunku tak wytkniętym poświęcić wszystkie środki, jakie mógł zdobyć; chciał podnieść rolnictwo litewskie na wzór angielskiego, a z Grodna uczynić wielkie ognisko oświaty i przemysłu krajowego. „Tyzenhauz, powiada Kraszewski, stworzył sobie zadanie olbrzymie, podźwignięcia tego kraju, który był opuszczony i zdany sam na siebie od wieków. Szczególniej brak fabryk, rękodzieł, przemysłu, dróg— wszystkie potrzeby ekonomiczne niezaspokojone, wziął na siebie Tyzenhauz, jakby cudem stworzyć dla Litwy. Nie chciał tego widzieć, iż tak potężna reforma, nawet z największemi środkami przedsięwzięta, gwałtowną być nie mogła. Rozpoczął na raz przeistaczać kraj, przetwarzać, wstrząsając go z posad. Genialne to było zadanie, ale nad siły człowieka.“

Początki nie były łatwe, tembardziej, że Tyzenhauz dźwigał na swoich barkach wiele różnych obowiązków. Zasiadał np. w Kommissyi Skarbowej litewskiej, która odbywała dwa razy do roku posiedzenia sześciotygodniowe. Kommissya ta była ministerstwem skarbu Wielkiego Księztwa, którego budżetem zarządzała, składała się zaś z grona obywateli, przez kraj wybranych. Posiedzenia jej odbywały się w Grodnie; ale raz w raz wypadało podskarbiemu jeździć do Warszawy, to dla narad z królem, to zasiadać na sejmach.

Widzimy także Tyzenhauza w gronie kommissarzy, wyznaczonych do układów z Repninem, gdy sejm zapragnął raz już zakończyć sprawę dyssydentów polskich. Tak więc prace Tyzenhauza były liczne i różnéj natury, a jak temu wszystkiemu podołał, pojąć trudno,— lubo na szerszą widownię polityczną niechętnie i mało występował. A rzecz godna uwagii znamionująca głębszy pogląd, że podskarbi wtedy właśnie podejmował mozolne dzieło ekonomicznego i naukowego odrodzenia kraju, gdy szczęk broni konfederatów barskich napełniał przez lat kilka atmosferę prawie wszystkich prowincyj i zajmował wszystkie umysły.

Ekonomie królewskie pod zarządem podskarbiego miały się stać szkołami przemysłu fabrycznego, rzemiosł i oświaty. Przedewszystkiem do podniesienia rolnictwa, administracyi, uregulowania dochodów i stosunków z włościanami potrzeba było wielu biegłych rządców, rachmistrzów i geometrów (czyli, jak na Litwie ich nazywano, komorników). Ludzi takich, od których zależy poczęści ogólny dobrobyt rolniczy, kraj nasz posiadał liczbę niedostateczną. Tyzenhauz, wybrawszy najzdolniejszego agronoma, Downarowicza, wysyła go na trzy lata do Anglii, stojącéj najwyżéj pod względem gospodarstw rolnych, aby tam wyuczył się angielskiej agronomii i zbadał najlepsze wynalazki dotyczące rolnictwa. Daléj zakłada szkołę buchhalteryi, któréj kierunek powierza Baranowiczowi, najbieglejszemu rachmistrzowi na Litwie, i szkołę miernictwa pod dyrekcyą uzdolnionego geometry Markiewicza. W téj ostatniéj szkole utrzymuje kilkudziesięciu młodzieży, synów ubogiéj szlachty, mieszczan i oficyalistów. Tym sposobem Tyzenhauz usiluje wykształcić całe pokolenie ludzi pożytecznych dla kraju. Jakoż szkoła buchhalterska wydała z czasem wielu biegłych kontrollerów i rachmistrzów, a miernicza—geometrów (¹).

Jednocześnie zaprowadza podskarbi wielkie zmiany w olbrzymich dobrach królewskich. W ekonomii Szawelskiej ulepsza gospodarstwo, a do Szawel, celem podniesienia miasta, przenosi staraniem swojem gród dla czternastu powiatów żmujdzkich. Po kluczach wznosi murowane domy dla zarządów, wówczas zwane *guberniami*. Tak powstaje folwark „Gubernia“ pod Kobryniem, dokąd przeniesiono zarząd miejscowéj ekonomii. Ogólną administracyą dzieli Tyzenhauz na działy i oddziały, a na rządców kluczy i ekonomij, których zwano *gubernatorami* i *kommissarzami*, naznacza ludzi praktycznych i biegłych. Żeby ich zachęcić, podwyższa im płacę i wygody życia, do pomocy zaś przydaje im wyuczonych rachmistrzów. Udziela pomocy Kobryniowi, który spadł był już do rzędu wiosek, a teraz dźwiga się i szybko buduje nowe ulice. Do folwarków zakupuje podskarbi dobre konie, bydło, trzody i ulepszone narzędzia gospodarskie; osusza bagna i łąki.

(¹) *Kronika wiadomości krajowych i zagr.* r. 1858.

Puszczę Białowiezką, w której od czasów Zygmunta Augusta nie postała noga miernika, dzieli na trzynaście *straży*; buduje leśniczówki i zaprowadza rygor w nadzorze leśnym. W wioskach, których ogółem dobra stołowe przeszło tysiąc obejmowały, każe robić pomiary gruntów chłopskich i folwarcznych, a na zasadzie planów oraz klasyfikacyi gruntu, reguluje wysokość czynszów i pańszczyzny. Za pomocą tych wszystkich środków, umiejętnie i sprężyście użytych, Tyzenhauz w ciągu lat kilku podnosi dochód królewski z 300,000 złp. jak było za czasów saskich, do ogromnéj summy półtora miliona rocznie. W skutek atoli wypadków politycznych roku 1772, odpada od Rzeczypospolitéj ekonomia Mohilewska, z któréj podskarbi płacił królowi znaczną dzierżawę.

Tyzenhauz za ognisko swych działań obiera Grodno, jako miasto sejmowe, w którém piastował szalę sprawiedliwości, będąc starostą grodzieńskim, i jako punkt środkowy dóbr królewskich, położony nad główną rzeką Litwy. Kiedy podskarbi obejmował swój urząd, widok upadku wielce smutny przedstawiały wszystkie miasta królewskie. Grodno było lichą mieściną żydowską. Tyzenhauz postanowił uczynić gród erdziwiłłowski przybytkiem wszelkich nauk i przemysłu, stolicą Wielkiego Księztwa, ozdobą Rzeczypospolitéj. Tylko jeden podskarbi mógł coś podobnego przedsięwziąć. Był to zamysł więcéj niż śmiały,—zamysł wielki.

Ażeby bowiem kraj wzbogacić, trzeba było zatrzymać w nim owe miliony, wywożone do obcych za wszelkiego rodzaju wyroby i towary, jednem słowem należało podnieść przemysł miejscowy do wysokości potrzeb Rzeczypospolitéj. Należało wznosić fabryki i wszelkie zakłady rękodzielnicze, do czego wziął się Tyzenhauz, usiłując w Grodnie, dla zapewnienia bytu wielkiéj projektowanéj osadzie fabrycznéj,ześrodkować ruch całéj Litwy. Staraniem téż jego Kommissya skarbowa litewska (czyli ministerstwo skarbu Wielkiego Księztwa) zasiadała nie w Wilnie, ale w Grodnie. Na przeniesienie kadencyj trybunału litewskiego z Mińska i Nowogródka do Grodna wyjednał podskarbi uchwałę sejmową. Na sejmie r. 1768 wyrobił 300,000 złp. na naprawę i opatrzenie w przyzwoite sprzęty zamku grodzieńskiego, w którym odbywały się sejmy, tudzież 10,000 złp. corocznie na utrzymanie go w stanie kwitnącym, czego sam dozorował.

Tyzenhauz mianuje generalnym inspektorem wszystkich mających wznieść się zakładów przemysłowych Jakóba Bécu [1] i wysyła go za granicę, aby sprowadził najbieglejszych rękodzielników do rozmaitych fabryk. Bécu objeżdża więc obce kraje, zawierając ugody z fabrykantami. W Paryżu np. namówił uzdolnionego powoźnika, bo Tyzenhauz zakłada w Litwie fabrykę karet i powozów, żeby nie sprowadzano onych z zagranicy. Policya paryzka, nie życząc

(1) Z rodziny téj pochodził znany dr. Bécu, ojczym Juliusza Słowackiego.

sobie, żeby biegły rękodzielnik opuścił stolicę Francyi, despotycznie osadza go w Bastylii. Tyzenhauz jednak, za pośrednictwem króla Stanisława, postawił na swojém i biedaka wydobyła z więzienia pani Geoffrin.

Tymczasem w Grodnie panuje ruch wielki. Położenie tego miasta sprzyjało wszelkiego rodzaju zakładom przemysłowym. Rzeczka Horodnica, przecinając je, uchodzi tu do bystrego Niemna a Łosośna wpada poniżéj. Okoliczne puszcze dostarczać mogły paliwa i materyałów drzewnych. Nie chodzi Tyzenhauzowi o kilka fabryk, ale o cały przemysł, o fabryki wszystkiego, czego kraj potrzebował. Tyzenhauz marzy o tém, aby kraj wystarczył sam sobie. Zamysły jego sięgały może jeszcze daléj, ze względu na potrzeby sąsiadów. Wszak Niemnem i morzem łatwo towary rozwozić do wszystkich portów baltyckich. Pracowano już nad połączeniem Niemna z Prypecią i Dnieprem, tudzież Prypeci z Bugiem i Wisłą. Pierwsze z tych zadań uskutecznił późniéj Ogiński, a drugie Tyzenhauz. Zuchwały w zamysłach swoich podskarbi pragnął, żeby wyroby litewskie nie ustępowały w niczém, lub były jeszcze lepsze od zagranicznych. Rossya sprowadzała prawie wszystko z zagranicy; Grodno leżało na połowie téj drogi. Rachowano już wtedy na nabywców z Północy, co w części wkrótce osiągnięto.

Wielkie stajnie konnéj gwardyi Augusta III przebudowuje Tyzenhauz w Grodnie na tymczasowe pomieszczenie warsztatów; dwie fabryki założono w mieście, a dla wielu innych obrano przedmieście Horodnicę nad rzeczką tegoż nazwiska, gdzie, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiéj podskarbiego, wyrastają nowe ulice z szeregami drewnianych i murowanych dworków, wygodnych na pomieszkania dla przemysłowców, robotników i oficyalistów. Jednocześnie wypalano cegłę i zbierano na polach kamienie do murowania wielkich gmachów. Podskarbi zamierza bowiem ze wsi Łosośny pod Grodnem zrobić wielką osadę fabryczną, przenieść tam z czasem wszystkie zakłady z Horodnicy iześrodkować cały ruch przemysłowy. Łosośna leżała o trzecią część mili od Grodna. Tyzenhauz zamierzał tu na wzgórzu, w pięknem położeniu, wznieść dom dla głównego dyrektora przemysłu. U tego wzgórza miały się schodzić z wielu stron wycięte w lasku ulice przyszłego miasta rękodzielniczego, zabudowanego w elipsę.

Zjeżdżający się z różnych stron do Grodna, wyborowi rzemieślnicy i fabrykanci, znajdowali gotowe pomieszkania, warsztaty i przygotowane materyały. Tyzenhauz, aby wytworzyć klassę rękodzielniczą z krajowców, wybrał wśród dzieci włościan trzystu chłopców roztropnych i sto dziewcząt. Chłopców rozebrali pomiędzy siebie rzemieślnicy, każdego według zdolności i chęci. Wyporządzono dla dziatwy obszerne izby, według płci, na zabawy i sypialnie. Dozorcy i ochmistrzynie czuwali, przestrzegając pilnie czystości obyczajów,

a kapelan w niedziele i święta uczył katechizmu ([1]). Płci żeńskiéj dano w fabrykach dział odpowiedni jéj ustrojowi fizycznemu, kierując się w téj mierze zdrowym rozumem, bo rozpraw o emancypacyi i pracy kobiet nie znano jeszcze w Grodnie. Z czasem uczniowie i uczennice zadziwili samych mistrzów swemi postępami. Bernoulli, zwiedzający Grodno w r. 1778, pisze iż „chwalą oni bardzo (t. j. ci cudzoziemcy) pojętność i zręczność, z jaką krajowcy tutejsi wszystko naśladować potrafią".

Widzimy tedy powstające na przedmieściu Horodnicy zakłady płóciennicze, wyrabiające głównie bieliznę stołową, serwety i obrusy na 80 osób w jednéj sztuce, a wyroby te pod żadnym względem nie ustępują holenderskim. Urządzono blechy nad Łosośną, która poruszała wielkie magle. Rzeczka ta, mająca znaczny spadek i obfitość wody, dawała się wybornie zużytkować. Bieg jéj skierowano według potrzeby i obwarowano jéj brzegi. Uczony Gilibert, o którym będziemy mówili niżéj, pisze: „Dnia 16 września (1777 r.) wsiadł król o 7 godzinie na konia, aby się udać do Łosośny, miejscowości bardzo przyjemnie położonéj, w któréj w przyszłości mają się złączyć wszystkie pożyteczne zakłady. Kiedy Jego Królewska Mość obejrzał wielkie zabudowania, dla fabryk sukna i jedwabnych materyj przeznaczone i już skończone, oglądał potém z wielką uwagą już przeniesione tu fabryki, zwłaszcza bielniki wosku i fabrykę pochodni i świec woskowych. Potém udał się król do bielników płótna i podziwiał prostotę i wygodę maszyny do prasowania, jako i téj, która wodę z łąk do polewania w górę podnosi. Kazał więc do siebie zawołać cieślę, Szwajcara, który maszyny te jako i model do bardzo śmiałego mostu zrobił, i powiedział mu z owym ujmującym tonem, który mu zawsze w mówieniu towarzyszy:

— Mój przyjacielu! bardzo jestem zadowolony z waszych robót— a zarazem rozkazał generalnemu inspektorowi, żeby mu płacę jego podwyższono" ([2]).

Obok fabryki płóciennicze̍j w Grodnie, założył Tyzenhauz drugą taką samą w Szawlach na Żmujdzi, słynącéj z uprawy lnu. Bernoulli, w podróży swojéj przejeżdżając przez Szawle (r. 1778), powiada, iż gdy przybył do tego głównego miasta ekonomii królewskiéj, zastał w niém znaczny ruch; jak wiadomo bowiem, od objęcia zarządu ekonomii przez Tyzenhauza, podniosły się dobra królewskie niezmiernie. W Szawlach widział 40 do 50 mniejszych lub większych domów, na nowo wybudowanych i to przeważnie z cegieł. Niektóre jeszcze nie były ukończone.

Fabrykę sukna założył Tyzenhauz jedną w Grodnie o 24-ch warsztatach i drugą w Brześciu litewskim o 7-miu. Do sukiennic

---

([1]) *Encykl. powsz.* t. XXV, ob. *Tyzenhauz.*
([2]) *Cudzoziemcy w Polsce*, str. 210.

tych województwo Lubelskie dostarczało najlepszéj wełny, któréj kamień kosztował 3 dukaty. Niebawem sukna tyzenhauzowskie, pod kierunkiem jakiegoś Niemca wyrabiane, chwalone bardzo przez cudzoziemców, zasłynęły dobrocią i pięknością. Najlepszego sukna łokieć litewski, na szerokość do 10 ćwierci, płacono po dukacie.

Z rachunków, które znaleźliśmy w księgach metryki litewskiéj, widzimy, że w istniejącéj w Grodnie tak zwanéj fabryce *złotéj*, wyrabiano: „ordery, siatki na konie, szlify, jedwab' kręcony ze srebrem i złotem, tasiemki do lasek, ubiory na konie, sznurki złote, *porte épée* dla Rossyan, tasiemki do kapeluszy, galony złote dubeltowe, guziki złote duże i małe, korty do liberyi“ i t. d. „Używano w téj fabryce: złota nitkowego massyw, kantylii złotéj, złota i srebra ciągnionego, braku złotego i srebrnego i drótu złotego i srebrnego“. Sprowadzano włóczkę angielską różnéj barwy i skórę pergaminową; r. 1780 znajdowało się w téj fabryce jedwabiu passamonickiego żółtego i białego za złp. 9,758, pracowali w niéj: flitternicy, szmuklerze, passamonicy i dracyer. Bernoulli w notatkach swoich podaje, że w téj fabryce znajdowało się 10 warsztatów i że widział galony wynalazku samego króla, który, jak wiadomo, sprawami liberyi, mundurów i orderów rad się zajmował.

Były w G odnie przędzalnie bawełny i warsztaty, na których tkano: „muśliny, gazy, aksamity, grodetury, materye bite i pasy polskie, tudzież wstążki: jedwabne, czerwone, wełniane, kamelorowe, niciane i czarne do włosów“. Fabryka tak zwana *persyarska* wyrabiała: „szlaki, kamizelki ze szlakami, atłas pikowy, pół-atłasek, kitajkę, dymę, hafty i wstążki“. Tu także odwołamy się do uczonego podróżnika, który, zwiedziwszy zakłady grodzieńskie, powiada: „W pierwszéj fabryce, którą oglądałem, robiono jedwabne materye, aksamity i t. p. ze złotem i srebrem, lub bez nich, liońskim sposobem. Wykonanie i gust bardzo mi się podobały; przełożeni są Francuzi, rozumiejący się doskonale na swéj sztuce. Robią tu mnóstwo *jedwabnych* chustek, któremi Rusinki zwykły owiązywać głowę, tak samo pasy dla Polaków, pomiędzy niemi bardzo kosztowne, do 30 dukatów za sztukę. Wiele z nich jest czerwonych z jednéj, zielonych z drugiéj strony, tak, aby je oficerowie nosić mogli przy obu barwach swych mundurów. Niektóre pasy mają nawet trzy różne barwy po jednéj stronie. Niemniéj pięknie są wyrabiane tu kamizelki i chustki na piersi z tłem złotém lub srebrném. Naliczyłem w ogóle 62 warsztaty, 40 w jednéj, 22 w drugiéj sali; z tych 24 przeznaczone były wyłącznie na wyrabianie polskich pasów..... Płaca robotnika przy każdym warsztacie wynosi 50 dukatów“.

Rachunki, które przeglądaliśmy w księgach litewskich, wymieniają jeszcze w Grodnie fabryki: „kamlotarską, pończoszniczą, koronkarską, kapeluszniczą, farbiernię sukna, farbiernię jedwabiu i drukarnię płótna“. Tyzenhauz założył daléj fabrykę broni, igieł, szpilek, napilników czyli w ogóle instrumentów fizycznych, oraz kart do

gry. Była więc fabryka „mosiężnicza, biksmacherska i officyna warsztatowa, garbarnia, westyarnia i składy różnych materyałów“. O trzy lata wcześniejszy od powyższych ksiąg litewskich, list Giliberta nadmienia, że pończochy wyrabiano jedwabne, koronki brukselskie i wyroby stolarskie bardzo piękne.

O fabryce tak zwanej *karetarskiej* znajdujemy znowu szczegóły, tak w opisie podróży Bernoullego z r. 1778, jak w urzędowych rachunkach z r. 1780. Tyzenhauz, aby robotnikom dać dobre modele, sprowadził wprost z Anglii około 20 powozów (różnego kształtu), nietylko bardzo dobrze wyrobionych, ale i po części bardzo wspaniałych. Fabryka powozów, zostając pod kierunkiem Francuza, zatrudniała około 50 robotników i składała się z pięciu oddziałów: „stelmaszni, ślusarni, kuźni, siodlarni i malarni. Lakiernikiem był Włoch, Salvetti, używał on, między innemi, pięknego pokostu z tartarugi; jest to naśladowanie szyldkretu. Robotnicy jego wyrabiali także pokostowane kapelusze. Malarzem pojazdów był niejaki Bortelmann z Brabancyi. Wyrabiano tu: „karyolki z resorami, karyolki małe, désobligeante (powóz na dwie osoby), diligence papier mâché, diligence en tambour, karety francuzkie, karety vis-à-vis, karety na dwie, ośm, i na dwadzieścia osób (¹) na resorach leżących, karety trypą wybite (tripe de velours — tkanina wełniana, postrzygana jak aksamit), waltrapy lakierowane, wozy małe, kibitki, koła do karet berlińskich, windy do karet, pudła suknem wybijane, pudła staroświeckie, poduszki wewnątrz i dla stangreta, resory z figurami, ubiory na konie, chomąta i siodła“. Do ozdób tapicerskich używano: „galonów, różyczek, sznurków, kutasów, frendzli, guzików, plissy i kulasów do firanek“. Powozy grodzieńskie chwalono powszechnie w Rzeczypospolitéj, a Bernoulli pisze, że „robiły wcale dobre wrażenie“.

W fabrykach grodzieńskich, których liczono 15, było zatrudnionych około 1500 robotników, pod kierunkiem 70 cudzoziemców. Lelewel powiada, iż w r. 1778 pracowało w Grodnie 3,000 ludzi (²). Zapewne jednak dziejopis nasz miał na myśli i najemników, użytych do budowania gmachów i wszelkich innych robót. Ogólny kapitał obrotowy w fabrykach wynosił około miliona złp. ówczesnych. Największy obrót przedstawiała fabryka sukna, po niéj szła karetarska. Wszystkie te zakłady szczegółowo oglądał król Stanisław we wrześniu r. 1777, a z téj okazyi dowiedziano się o nich i w Niemczech przez gazety. Jednocześnie uczony Gilibert kazał wydrukować list otwarty po francuzku (na trzech stronach *in quarto)* do przyjaciela swego, sławnego professora Vitet z Lyonu, w którym opisuje mu

(¹) Były to omnibusy.
(²) *Polska, dzieje i rzeczy jéj;* t. VI, str. 86.

w krótkości, co zaszło przy odwiedzinach królewskich i co tu widzieć można.

Czyniąc z Grodna ognisko przemysłu, Tyzenhauz pamięta i o innych miastach królewskich. Bada potrzeby miejscowe i chce wszystkim naraz zadość uczynić. Nie tylko działa w Brześciu, Szawlach i Kobryniu, ale osadza także fabrykantów w Skółce, położonéj przy trakcie z Grodna do Białegostoku, i pięknemi domami ozdabia duży czworoboczny rynek tego królewskiego miasteczka. Podskarbiemu chodzi zarówno i o przemysł leśny i wiejski. Tysięcy ludzi używa on do pędzenia smoły, dziegciu i wypalania potażu po lasach. W licznych kluczach zakłada: młyny wietrzne i wodne, krupiarnie, olejarnie i browary. Do wyrobu piwa sprowadza najlepszych piwowarów z Czech i daje im do nauki młodych włościan królewskich; dopuszcza i obywatelskich, aby wykształcić dla kraju pokolenie dobrych piwowarów i gorzelników. Dzielny mąż chce pięknemi budowlami przyozdobić kraj rodzinny. Nakazuje więc w królewszczyznach wszystkie domy mieszkalne, zajezdne i przemysłowe, obory, stodoły i śpichlerze, wznosić według planów budowniczego. Ustanawia w tym celu urząd dyrektora zabudowań, na który naznacza biegłego architekta, majora de Sacco, Włocha z Werony, i pod jego kierunkiem zakłada szkołę budownictwa, w któréj uczono rysunków i stawiania wygodnych budowli gospodarskich i pięknych pałaców. Bernoulli powiada, iż był w mieszkaniu „grzecznego i rozsądnego“ p. Sacco, położoném w pobliżu pałacu Tyzenhauza, i tam oglądał kilka dobrych obrazów i innych dzieł sztuki. Zapewne pod nadzorem tego pana Sacco wzniesiony był w Żukowiczach, o półtoréj mili od Grodna, kilkopiętrowy pałac dla Stanisława Augusta. Podskarbi bowiem chciał, by król miał w swoich dobrach stołowych letnią rezydencyą. Budowla ta w następném stuleciu poszła w ruinę i rozebraną została.

Podskarbi nie zapomina i o własnych majątkach. Miał po ojcu Żołudek w pow. Lidzkim, nabył Postawy nad Wilią w pow. Oszmiańskim i trzymał dzierżawą jeden klucz w pow. Nowogródzkim. Liche miasteczko Postawy począł dźwigać, zabudował rynek w czworobok (jak w Sokółce), wzniósł pałac [1], założył szkołę, darował budynki na pomieszczenie szkoły i sądów, pomurował młyny, założył papiernię i fabrykę płócienniczą. Na téj saméj stopie pragnął postawić Żołudek. W majątkach atoli własnych nigdy prawie nie przemieszkiwał, uważając Grodno za miejsce swego publicznego urzędu, przez który patryotycznie poświęcił się dla kraju. Tyzenhauz był wyższy siłą swoich uczuć arcyobywatelskich nad pospolity ludzki

(1) W pałacu tym w kilkadziesiąt lat późniéj, mieszkał, pracował i gabinet swój zgromadził słynny uczony nasz ornitolog i autor, Konstanty Tyzenhauz, wnuk po Michale rodzonym bracie Podskarbiego.

egoizm i o tyle tylko oddawał się własnym sprawom majątkowym, o ile dobra jego, niewielkie w porównaniu do olbrzymich królewskich, mniejsze stosunkowo przedstawiały pole do prac ekonomicznych dla kraju.

Podskarbi nadw. lit., dźwigając rękodzieła, pracował także nad podniesieniem handlu, jako niezbędnego warunku do rozwoju przemysłu. W tym celu, dla obrotów pieniężnych, ułatwienia kredytu i stosunków z zagranicą, zakłada w Grodnie pod firmą „Bécu et Comp.“ dom handlowy, czyli bank i kantor kupiecki, który zarazem obejmuje w sobie kassę oszczędności dla fabrykantów i oficyalistów. Podskarbi pozyskuje sobie tak rozległy kredyt za granicą, że równym nie mogli poszczycić się nawet Tepper i Blanc, dwaj najwięksi współcześni bankierowie warszawscy. Oprócz banku, Tyzenhauz otwiera w Grodnie sklep bławatny, w którym sprzedają się na łokcie i sztuki wszystkie towary, wyrabiane w fabrykach grodzieńskich. Wysyła z Litwy zboże, potaż i drzewo za granicę, a za pieniądze, otrzymane ze sprzedaży tych produktów, sprowadza materyały, potrzebne do przerobienia w zakładach grodzieńskich.

Tyzenhauz podejmuje rozległe prace, aby urządzić w kraju dobre drogi i komunikacye handlowe, będące niezbędnym warunkiem rozwoju przemysłowego. Bije kanał z Muchawca do Prypeci, nazwany *królewskim*; rozszerza i prostuje stare gościńce; wytyka nowe; każe okopywać drogi rowami i sadzić przy nich drzewa, sypać groble, budować mosty; wznosi przy traktach wygodne gospody dla podróżnych. Zagraniczny wędrowiec notuje, że, przybywszy do Grodna, zatrzymał się „w nowéj, wielkiéj, pięknéj gospodzie, lecz pokazało się, że mury były jeszcze zupełnie świeże i wilgotne“, wyjechał zaś z Grodna „drogą bardzo dobrą, prostą, pięknemi drzewami po obu stronach wysadzaną“. Dla ułatwienia żeglugi, Tyzenhauz pragnie oczyścić Niemen. Od Grodna bowiem aż do ujścia Wilii znajdowały się w łożysku pięknéj rzeki liczne głazy granitowe, stanowiące ogromną przeszkodę w żegludze. Np. pod Rumszyszkami i Dworaliczkami w Kowieńskiém, głazy te, w znacznéj ilości nagromadzone. tamowały swobodny bieg wody i groziły niebezpieczeństwem dla wicin. Uproszony przez podskarbiego, Stanisław August polecił niezwłocznie (r. 1775) Kommissyi Skarbowéj litewskiéj zarządzić oczyszczenie Chronusu. Ex-jezuita Franciszek Milkont Narwojsz, matematyk i mechanik niepospolity, trzy lata pracował nad oczyszczeniem Niemna i wiele tak zwanych w mowie ludowéj i flisackiéj *rap*, uprzątnął. Zamierzano mu, w razie dokonania dzieła, wystawić pod Rumszyszkami pomnik z głazów, wydobytych z topieli niemnowych. Dzieło atoli oczyszczenia przechodziło środki materyalne i mechaniczne, jakiemi Narwojsz rozporządzał. Pracowita ręka Tyzenhauza dotknęła tymczasem innych rzek litew-

skich; oto widzimy np. jak na Hańczy buduje podskarbi tamy, żeby dla lepszego spławu podnieść poziom wody ([1]).

Podskarbi, dla polepszenia na Litwie rassy koni, sprowadza ogiery z Brunświku i Holsztynu i zakupuje całą stadninę pociejowską, która do najlepszych w Rzeczypospolitéj należała. Rozpłodowe tabuny umieszcza w kluczach, obfitujących w dobre pastewniki i łąki. Do zarządu stadniną ustanawia koniuszego, majora Rode. Ksiądz Bohusz świadczy, że widział już cug koni kasztanowatych, chowu Tyzenhauza, sprzedany za 600 dukatów, co na owe czasy było bardzo wysoką ceną.

Nic pospolitszego w naszych czasach, jak stawianie za przykład energii i przedsiębiorczości Amerykanów. Słusznie im się to należy. Dla czego jednak nie stawiamy nigdy naszego Tyzenhauza? Czy dla tego, że, ku ogólnemu zawstydzeniu młodsze pokolenia, wiedzą o nim tak mało? A jednak przykład to dziwnie świetny, bo występuje tu człowiek, poświęcający wszystko w imię obowiązków obywatela, pojętych tak szczytnie, działający wśród arcy-nieprzyjaznych okoliczności i łamiący olbrzymie zapory, o których tylko z lekka nadmienia uczony podróżnik zagraniczny, powiadając, że podskarbi „robi co tylko można, a szkoda, że teraźniejsze stosunki nie pozwalają (mu) przeprowadzić niejednego korzystnego zamiaru“. Prawda, że Tyzenhauz podejmował wydatki nad miarę, przedsięwziął dzieła nad siły a walczył często zbyt gwałtownie, i oczywiście ściągnąć w końcu musiał wielką burzę nad swoję głowę. Taki był jednak charakter tego ducha, który wzbił się ponad tłumy, aby pozyskawszy niezapomnianą kartę w dziejach swego kraju, w upadku swoim znaleźć cios tem boleśniejszy.

Jeżeli widzieliśmy Tyzenhauza dźwigającego przemysł i dobrobyt, poznajmy go teraz jako cywilizatora w duchowém znaczeniu. Jest on wyższy od wielu filantropów dzisiejszéj szkoły, wyższy pod względem przedziwnéj równowagi pojęć, z jaką zapatrywać się umiał na dwoiste potrzeby człowieka, w którym widzi zawsze i wszędzie *ducha* i *ciało*.

Podskarbi jest zarówno gorącym protektorem rzemieślników, jak uczonych; zarówno popiera handel, jak nauki; zarówno proteguje różne gałęzie przemysłu, jak wszelkie pożyteczne umiejętności i sztuki; zarówno chce on dźwignąć pomyślność i oświatę *wszystkich* warstw narodu. Przesiaduje godzinami przy warsztacie drukarskim, chcąc zbadać dokładnie sztukę typograficzną i bywa regularnie na egzaminach szkół grodzieńskich, których rozwój serdecznie go obchodzi. Zarówno usiłuje to, co pożyteczne, jak to, co piękne; a wszędzie punktem wyjścia, sprężyną i duszą czynu jest dla niego *obowiązek obywatelski*, to uczucie, które, cokolwiekbądź, było świętym

---

([1]) *Wędrówki po gubernii Augustowskiéj*, przez Polujańskiego.

wyrazem nawet u spaczonych najbardziej umysłów szlachty, w otoczeniu której wzrastał starościc szmeltyński.

Jeżeli najpierw opisaliśmy działalność Tyzenhauza ekonomiczną, a teraz dopiero przystępujemy do działalności jego naukowej, to nie dla tego, żebyśmy tej ostatniej poślednie dawali miejsce, ale że w opowiadaniu wolimy treść przedmiotu podnosić.

Tyzenhauz zamierza założyć w Grodnie najpierw wyższą szkołę weterynaryi, a później medycyny. Ukształconych bowiem weterynarzy Litwa nie posiadała wcale, co było dotkliwem wobec usiłowań w poprawie rass wszelkiego dobytku; lekarze zaś owych czasów byli prawie wszyscy cudzoziemcy, nieliczni i po większej części szarlatani. Z nastręczenia sławnego Alberta Hallera, Tyzenhauz uprosił Giliberta, lekarza z Lugdunu, członka tamtejszej akademii umiejętności, doktora uniwersytetu w Montpellier, uczonego medyka, weterynarza i botanika, a znanego już z pism w swojej ojczyźnie, aby założył w Grodnie szkołę weterynaryi. Gilibert przybył do Grodna w końcu r. 1775 z ogromnym zapasem nasion, otrzymał „piękną płacę, dużo swobody i w najlepszym stosunku stanął z podskarbim“, jak o tem świadczy, zwiedzający Grodno we trzy lata później, Bernoulli. Projektowana jednak szkoła weterynaryi nie powiodła się, ówczesne bowiem pojęcia nie stawiały jeszcze weterynaryi na wysokości *nauki*, a ztąd rodzice nie chcieli synów swoich, którzy zakosztowali już nauk szkolnych, kierować na „konowałów“, i do szkoły Giliberta nikt się nie zapisał. Uczony Francuz otworzył wtedy szkołę medycyny i chirurgii. Ale i do tej szkoły znalazła się mała liczba kandydatów, tak, iż podskarbi sześciu studentów, synów kmieci, na koszcie skarbu utrzymywał. Nie można się nawet bardzo dziwić, że w „stanie rycerskim“ znalazło się mało chęci do zawodu, który był wówczas smutnie u nas reprezentowanym przez podejrzane lub śmieszne dla krajowców postacie przybyłych cudzoziemców, a na prowincyi połączony z obowiązkami cyrulika.

Uczony Bernoulli wielkie pochwały oddaje szkole medycznej grodzieńskiej. Powiada on, że „wyborny zakład ten“, kształcący piętnastu młodych ludzi w historyi naturalnej i całej medycynie, przynosi trwałą chwałę Stanisławowi Augustowi. Uczniowie dzielili się na dwie klasy: z lepszem wychowaniem i zdolniejszych kształcono na lekarzy do miast; (wśród tych była większość młodzieży szlacheckiej);—innych przysposabiano na lekarzy wiejskich i chirurgów. Dom mieszkalny dla młodych ludzi wystawiono wielki i piękny“. Podskarbi wzniósł dom inny dla położnic i sprowadził z Paryża akuszerkę do wykładów. Był więc w Grodnie jedyny instytut medyczny w Rzeczypospolitej, bo w akademii krakowskiej, ani wileńskiej, wydziałów lekarskich jeszcze nie było ([1]). Instytut

([1]) Nie liczymy tu instytutu położniczego w Siemiatyczach, o którym zresztą nic mamy bliższych wiadomości.

grodzieński, który otworzono r. 1776, a w którym ze szczególnym pożytkiem wykładano chirurgią i położnictwo, przezwany *Akademią*, nosił dumny napis nade drzwiami: „*Tu się sama śmierć na korzyść ludzkości obraca*“. Zakład ten opatrzono w bibliotekę i liczne zbiory naukowe, a Bernoulli podaje nam kilka ciekawych w téj mierze szczegółów. „Biblioteka zakładu, powiada ów uczony, jest już wcale kosztowną. Znalazłem tu paryzką encyklopedyą i *mnóstwo najnowszych ważnych dzieł*, wydanych we Francyi i w Niemczech, z dziedziny medycyny i historyi naturalnéj. Pomiędzy innemi widziałem po raz pierwszy wspaniałe dzieło pana Jacquin'a z Wiednia: *Flora Austriaca*. Jeszcze większą osobliwością tego rodzaju, którą mi pan Gilibert pokazał, było 300 miedzianych płyt roślin, które Henryk IV, król francuzki, kazał wyryć, ale których nigdy nie publikowano. Płyty same znajdują się tutaj, a kiedy król zakład przed kilku laty zwiedzał, wydał rozkaz, aby na cześć dobrego króla Henryka, z którym tyle rysów ma wspólnych, pracę tę ogłoszono. Dotąd atoli, o ile wiem, miedziorytów tych nie publikowano, prawdopodobnie dla tego, że p. Gilibert chce tekst do nich napisać“.

„Botanika zdaje się być rzeczywiście główną gałęzią wiedzy tego uczonego—już w Lyonie publicznie o niéj wykładał—i dla tego tutejszy *bardzo wielki* botaniczny ogród w kwitnącym znajduje się stanie. Pan Gilibert zaręczał mi, że w tym roku 2,000 różnych roślin wyhodował. Nie ogranicza on się do tego *herbarium vivum;* widziałem u niego początki trzech różnych dzieł botanicznych: jedno była to powszechna botanika, uporządkowana według systematu Tourneforta, drugie takie same według Linneusza, trzecie zawierało tylko litewskie rośliny. Te służą mu za materyał do napisania dzieła *Flora Lithuanica*, nad którém pan Gilibert pracuje. Znaczną część już widziałem gotową. Według autora znajdą w niém botanicy mnóstwo roślin, o których nie przypuszczają, że są w Litwie *spontaneae*.....“

„Do nauki chirurgii i anatomii także nie zbywa na potrzebnych środkach, kosztownych anatomicznych dziełach, narzędziach, szkieletach ludzkich i zwierzęcych i t. d. Pan Gilibert, bardzo zręczny i pracowity człowiek, zajmuje się także wypracowaniem dzieła *Anatomia comparata*, do którego już wiele rysunków ukończył.

„Gabinet historyi naturalnéj, z którym się łączy zbiór fizykalnych narzędzi, jeszcze wprawdzie w wielu rzeczach jest niekompletny, co do minerałów jednak bardzo bogaty. Główną część jego stanowi zbiór, który posiadał zmarły podpułkownik Magnicki, bibliotekarz zmarłego wielkiego hetmana litewskiego, ks. Michała Radziwiłła, lub też, według innych, sam książe, który to zbiór król zakupił“. W zbiorze tym podziwiał Bernoulli liczną kollekcyą skamieniałości. „Mnóstwo z tych kamieni, zwłaszcza agatów i koralitów, szlifują bardzo starannie w jednéj z fabryk pod Grodnem; widziałem w gabinecie tym różne próby tych wyrobów, np. tabakierki i t. p.“

Najbardziej go jednak uderzył żywy żubr, którego pierwszy raz widział (1).

Ogród botaniczny, o którym Bernoulli zaszczytnie wspomina, założony obok *Akademii* na Horodnicy, był pierwszym w Polsce na tak wielką i świetną skalę i miał nie ustępować innym ogrodom w Europie. Gilibert był niezmordowany w pielęgnowaniu go, a Tyzenhauz dostarczał potrzebnego nakładu. Uczeni botanicy, jak Jacquin z Wiednia, Solander z Holandyi, Pallas z Petersburga, nadsyłali ciągle rzadkie rośliny i kwiaty. Ogrody: strasburski, w Kew, w Chelsea, oraz edynburski, dostarczają flanc w zamian za udzielane im rośliny krajowe. Podskarbi każe wśród włościan litewskich rozpowszechniać szczepienie drzew owocowych i synów ich kształcić na dobrych ogrodników.

Tyzenhauz sprowadza sobie do Grodna pozostałą po Jezuitach wileńskich drukarnię i sam, jak to już wyżej wzmiankowaliśmy, lubo tak zajęty, że zdaje się ani chwili nie miał wolnego czasu, przesiaduje w niej, ogląda, poprawia, zachęca (2). Żeby nie sprowadzać czcionek z zagranicy, zakłada w Grodnie gisernię, w której piękne litery odlewają się dla Wilna i Warszawy. Stemple na matryce do odlewania głosek robiono w Grodnie. Drukarnia Tyzenhauza była nadzwyczaj czynną. Podskarbi, chcąc mieć swój organ, zaczyna w niej wydawać *Gazetę Grodzieńską*. Do dwóch zatem gazet polskich (wydawanych w Warszawie i Wilnie) przybywa trzecia, w Grodnie.

Podskarbi nadw. litewski miał rozległe plany—myślał o całej akademii umiejętności w Grodnie. Więc po zniesieniu zakonu jezuickiego, ściąga do siebie z Nieświeża najuczeńszego z Jezuitów polskich, o którym już wzmiankowaliśmy powyżej, Franciszka Narwojsza i wyprawia go na czas długi do Niemiec, Holandyi i Anglii, dla obejrzenia rozmaitych fabryk i zakładów, zbadania najnowszych wynalazków i sprowadzenia narzędzi astronomicznych do obserwatoryum. Narwojsz, jak się wyżej powiedziało, był niepospolitym mechanikiem i matematykiem, robił mappy kraju i wyznaczał szerokość geograficzną wielu okolic Litwy (3). Bernoulli, który był właśnie z powołania astronomem i dyrektorem obserwatoryum w Berlinie, pisze w tym przedmiocie: „Hrabia (Tyzenhauz) mówił ze mną o nowym zakładzie, który jeszcze wystawić zamierza, to jest o obserwatoryum astronomicznem. Ma ono stanąć obok akademickiego zabudowania; plan, jak mi go wykładał, jest bardzo rozsądny. Już

(1) *Cudzoziemcy w Polsce*, str. 208.

(2) *Gaz. Warszawska*, r. 1851, nr. 140.

(3) Po upadku Tyzenhauza, Narwojsz, wezwany przez Poczobuta na professora wyższej matematyki w akademii wileńskiej, nauczał tam z katedry prawie lat kilkadziesiąt. Żywot jego znajduje się w *Dzienniku Wileńskim*, skreślony przez Tomasza Życkiego.

rzeczywiście robiono dla niego kosztowne instrumenta w Anglii i to pod dozorem przyszłego obserwatora, księdza Narwojsza, zręcznego scholara astronomów wileńskich, który razem z hrabią przez Berlin przejeżdżał i nasze astronomiczne przybory starannie badał".

Pragnął Tyzenhauz przygotować dla Rzeczypospolitéj i zdolnych oficerów, z wyższém wykształceniem. Zakłada więc szkołę kadetów, na wzór warszawskiéj. Kierownikiem jéj czyni inżeniera, podpułkownika Frölich'ą. Ale był czas zakrótki i o uzdolnionych professorów nie tak łatwo, aby zakład powyższy mógł się rozwinąć jak należy. Podskarbi zrobił jednak wszystko, co mógł. Na koszcie Jego Królewskiéj Mości utrzymywał w instytucie powyższym trzydziestu ubogiéj młodzi szlacheckiéj.

Teatr w zeszłym wieku nie był osobliwością na Litwie. Pomijamy przedstawienia szkolne, które oddawna protegowali zwłaszcza Jezuici, ale i na dworach wielkich panów odgrywano często teatra. Tyzenhauz chce podnieść sztukę sceniczną przez założenie stałego teatru w Grodnie. Zamierza wznieść stosowny gmach, a tymczasem każe dawać w swym pałacu komedye i wodewile. Przy teatrze urządza balet, pierwszy w Rzeczypospolitéj. Na dyrektora baletu sprowadza z Paryża tancmistrza Ledoux, ucznia Vestrisa. Szkołę tańca utworzono z dzieci włościańskich. W książeczce, wydanéj r. 1778 w Grodnie p. n. *Balet wieśniaka na theatrum J. W. J. M. P. Antoniego hr. Tyzenhauza*, jest spis baletników, baletniczek i figurantek. W teatrze podskarbiego występował także słynny Petinetti. Balet ten grodzieński został przez króla przeniesiony (w r. 1780) do stolicy. Tym sposobem balet warszawski urodził się w Grodnie. Tyzenhauz był wielkim lubownikiem muzyki i utrzymywał kapelę, więcéj niż 30 osób liczącą, jedną z najlepszych w kraju. Przewodniczył jéj na klawicymbale ksiądz Sitański, kompozytor i pierwszy skrzypek; było w niéj kilku Włochów skrzypków i dwóch sopranów (1).

Do korrespondencyj obywatelskich służył podskarbiemu pisarz wiel. litewski, Benedykt Morykoni, późniejszy członek rady najwyższéj rządowéj litewskiéj w r. 1794 (2), do prawnych—ksiądz Grabowski, trynitarz; sekretarzem Tyzenhauza był Suchodolec, a prezydentem Grodna — Stoliński, któremu Bernoulli daje także tytuł sekretarza królewskiego.

Tyzenhauz był obierany prezesem Kommissyi skarbowéj litewskiéj co dwa lata. Nie przeszkadzało mu to wyruszyć w podróż po

(1) Muzyki a nawet śpiewu nasłuchać się było można dowoli u panów litewskich. Szlachta grywała przy śpiewie na ulubionych zdawna teorbanach; możni utrzymywali teorbanistów. Franciszek Jundziłł z Brzostowicy, podkomorzy grodzieński, utrzymywał kapelę z 24 muzykantów złożoną.

(2) Jeden z Morykonich, może nawet ten sam Benedykt, był ożeniony z rodzoną siostrą Tyzenhauza.

Europie dla bliższego zbadania stosunków społecznych, handlu, przemysłu i rękodzieł na Zachodzie, tudzież werbowania zdolnych rękodzielników. Tak z przyjacielem swoim, światłym księdzem Bohuszem, konfederatem barskim, przebiegł Niemcy, Francyą, Belgią i Hollandyą. Obserwatoryum astronomiczne w Berlinie badał z Narwojszem, jak pisze dyrektor ówczesny tego zakładu, Bernoulli. Widok obywatela polskiego „w mundurze huzarskim, z podgoloną głową“ (1) w towarzystwie księży, mógł zwracać uwagę cudzoziemców, którzy nie odgadywali w podróżnikach ludzi wielkiego poświęcenia, rozumu, zdolności i serca, zacnych wybrańców kraju, dla którego zdolności swe i cały żywot poświęcili. Uczony astronom berliński, zachwycony zakładami grodzieńskiemi, powiada, że: jak znamienicie wywiązał się podskarbi z zadania owéj podróży po Europie, można poznać z tego, co na Litwie dokonał.

Będąc w Paryżu, poznał się Tyzenhauz ze sławnym filozofem genewskim, Janem Jakóbem Rousseau, wielkim przyjacielem Polaków, który nawet pisał dla nas ustawę rządową. Jak wiadomo, Rousseau był odludkiem i powiedział raz, że wołałby mieszkać w Polsce, niż w zepsutéj stolicy francuzkiéj. Tyzenhauzowi błysnęła myśl: chciał, by filozof osiadł na Litwie. Ofiarował się mu więc wybudować wśród olbrzymich i majestatycznych borów Białowieży dworzec i prosił o plan, zapewniał wszystkie wygody życia, utrzymanie, pojazdy i t. p. Chciał podskarbi świetnèm imieniem ozdobić zapadłe ustronie Litwy; chciał głośnego myśliciela osadzić wśród obywateli swego rodzinnego kraju. Podobał się ten wniosek filozofowi, który byłby zjechał niebawem na Litwę, gdyby nie pewien wypadek. Oto zjawił się w Paryżu jakiś nasz ziomek Wiażewicz, kawał szarlatana, który podszedł filozofa udanèm nieszczęściem i oszukał nikczemnie. Rousseau zrobił nader bolesne odkrycie, że i wśród szlachetnego narodu polskiego bywają oszuści, i stanowczo zaniechał wyjazdu do dziewiczéj krainy żubrów. Obrał sobie wtedy ustronne mieszkanie w Ermenonville, gdzie mu odludne schronienie ofiarowano (2).

Na Horodnicy, w pośrodku gmachów fabrycznych, postawił sobie podskarbi pałac. Tutaj, jak wyraża się Bartoszewicz, było siedlisko i stolica wielkiego człowieka, z któréj na wszystkie strony rozrzucał promienie swojego światła. O sprawach Wielkiego Księztwa stanowiono często w tym pałacu; znała go cała Litwa. Bywało tu huczno i tłumno. Podskarbi, pełen staropolskiéj gościnności, zachowywał stare obyczaje. Choć czynny i pracowity niezmiernie, umiał znaleźć czas na wszystko, na pracę i na biesiadę, nie żałował wina — z przyjaciołmi kielich raźno wychylał, wesołość lubił i sam

(1) *Cudzoziemcy w Polsce*, str. 211.
(2) *Starożytna Polska:* t. III str. 781 i *Gaz. Warsz.* r. 1851 nr. 143.

celował dobrym humorem. Przy otwartym jego stole zwykle zasiadało około 40 osób domowników i gości. W wielkiéj i pięknéj sali, w któréj zbierano się przed obiadem i po obiedzie, urządzone było wygodne wywyższenie dla orkiestry. Tyzenhauz w chwilach odpoczynku oddawał się sztukom pięknym i posiadał także szacowny zbiór obrazów.

W pałacu tym obchodzono uroczyście każdą rocznicę koronacyi królewskiéj, a szczególnie dzień 17 stycznia, w którym wypadały imieniny podskarbiego i zarazem urodziny Stanisława Augusta. Szlachta litewska zjeżdżała się wtedy licznie z różnych powiatów i województw W. Księztwa. „Tak w r. 1779, rano, skoro świt, działa Tyzenhauza grzmiały po sto razy na wiwat. Ksiądz Kadłubowski, officyał grodzieński, mszę śpiewał w parafialnym kościele, podczas któréj przygrywała orkiestra podskarbiego na chórze, umyślnie na tę uroczystość wystawionym przodem do obywateli. Potém mówił kazanie z ambony ksiądz Przętocki, kaznodzieja. Kiedy śpiewano *Te Deum*, przed kościołem rozstawione wojsko Rzeczypospolitéj, to jest regiment Morawskiego, garnizon królewski ekonomiczny i chorągiew skarbu W. K. Litewskiego, strzelały z ręcznéj broni. Po nabożeństwie wszyscy z kościoła szli na Horodnicę, do pałacu, składać życzenia Tyzenhauzowi. Uprzejmy gospodarz dawał obiad u kilku stołów; podczas obiadu, kiedy wnoszono zdrowia, znów się odzywały armaty i broń ręczna. Obiad kończyły wety i cukry, ułożone w herby i cyfry królewskie, poczém goście przechodzili do głównéj sali. Tutaj przez kilka godzin orkiestra nadworna gospodarza grała koncert przy śpiewach i kantatach. Około szóstéj po południu rozjeżdżali się wszyscy, żeby przebrać się na bal maskowy, który Tyzenhauz dawał o dziewiątéj wieczorem, w nowo zabudowanym zamku królewskim. Bramy i facyata ozdobione były różnokolorowemi światłami, nad któremi wznosiła się cyfra króla. Artylerya popisywała się ogniem sztucznym w girlandy; wreszcie, po wielu pięknych widokach, paliła na powietrzu ołtarz przecudny, na którym dwa geniusze składały królowi ofiarę z serc obywatelskich. Lud zgromadzony wydawał na ten widok radośne okrzyki. Następowały w zamku tańce i wieczerza; potém zdrowia spełniano i grzmiały działa; potém znów tańce aż do dnia białego“ (¹). W kilka tygodni późniéj Tyzenhauz zaczynał u siebie posiedzenia Kommissyi Skarbowéj (1 marca, 1779), ale już raz ostatni.

Żaden poprzednik Tyzenhauza nie umiał tak, jak on, korzystać ze swego przywileju. Grodno zrobił stolicą Wielkiego Księztwa; zawsze występował na sejmach jako przedstawiciel Litwy. Krol ślepo zaufał zdolnościom i charakterowi podskarbiego; chciał mieć

(¹) *Gaz. Warszawska*; r. 1851, nr. 143.

w nim i miał prawą rękę; przyjacielowi swej młodości powierzał najskrytsze tajemnice; używał go do interesów pieniężnych, do politycznych zabiegów i jednania sobie stronników; postawił go na czele stronnictwa regalistów na Litwie, widział sławę swego panowania w cudach dokonanych przez Tyzenhauza w miastach i dobrach królewskich. Podskarbi miał głęboką polityczną wiarę, że tylko przez wzmocnienie władzy królewskiej kraj uratowanym być może i dla tej władzy energicznie pracował. Jednał więc wszędzie stronników dla Stanisława, mając do tego liczne środki. Żaden bowiem monarcha na świecie nie miał tyle do rozdania ziemi i tytułów, co król polski, żaden nie mógł być tak hojnym i dobroczynnym, bo nigdzie nie było tyle własności koronnych i urzędów publicznych obywatelskich, co w Rzeczypospolitej. Podkomorzych, chorążych, stolników, mieczników i innych powiatowych godności było mnóstwo. Obyczajem narodowym każdy ziemianin musiał mieć urząd w swym powiecie, ziemi, województwie i zaciągniętym być w służbę krajową. Królewszczyzny, starostwa i arendy przeznaczone były prawem dla zasłużeńszych obywateli za opłatą małoznaczącej *kwarty*. Król wszelkie rozdawnictwo na Litwie zdał na Tyzenhauza, który przedstawiał monarsze tylko ludzi przychylnych dworowi, a ceremonii dopełniał we własnym domu, przy uroczystości 17-go stycznia.

Tłumy garnęły się do Tyzenhauza, który tymczasem rozwijał prawdziwą dyktaturę; układał sejmiki, wyznaczał posłów i deputatów, godził spory, nawet kojarzył stadła małżeńskie. Obdarzony niepospolitym rozumem i zręcznością, tego wreszcie dokazał, że Litwa stanęła po stronie króla, u którego sam był wszechmogącym, a nawet Stackelberga potrafił sobie z początku mocno ująć.

To oddanie W. Księztwa na łaskę absolutnego Tyzenhauza obrażało dumę panów litewskich i trwożyło republikanów. Pierwsi, przywykli natrząsać się swoim królom kwoli tylko okazania własnej potęgi, byli teraz zmuszeni rachować się z podskarbim „stolnika litewskiego“. Drugich przerażała, jak widmo piekielne, potęga jednego obywatela regalisty. Wielu niechętnych mnożyło się znów z tego powodu, że ich życzeń nie zadowolnił podskarbi.

Tymczasem nowy projekt, wniesiony do izby delegacyjnej, miał jeszcze podnieść znaczenie i stanowisko Tyzenhauza. Książę Massalski, biskup wileński, osobisty jego przyjaciel, wniósł na sejmie r. 1774, żeby urząd podskarbiego nadwornego wynieść do godności ministra i wprowadzić do senatu. Tyzenhauz, podejmując przeprowadzenie rozległych reform i olbrzymich dzieł dla kraju, pragnął na silniejszych nogach stanąć w hierarchii Rzeczypospolitej. Oświadczył więc publicznie, że nie dla siebie, ale dla Litwy pragnął miejsca w senacie. Projekt Massalskiego napotkał oppozycyą nie tylko w łonie sejmu. Trzej posłowie ościennych mocarstw dowodzili, że projekt ukazał się zapóźno, kiedy już prawo o Radzie Nieustającej uchwalono. Według nich, nowy minister miał łamać równowagę

stanów. Ale Litwa stanęła za projektem i przeprowadziła go ([1]). Podskarbi podniesiony został do godności ministra i od r. 1775 tym sposobem w gabinecie Rzeczypospolitéj Korona i W. Księztwo miały po ośmiu ministrów.

Tyzenhauz już tak rządził trybunałem litewskim, pomimo Czartoryskich i Radziwiłłów, iż mówiono powszechnie o nim, że on pisał wyroki, a trybunał je tylko ogłaszał. Przewaga podskarbiego była widoczną na sejmach, gdzie przeprowadzał swoje projekta dla Litwy, pomimo silnéj oppozycyi posłów koronnych, rodzącéj się z tego powodu, że nie wszystkie wnioski swoje cechował umiarkowaniem. Mąż ten, żyjąc tylko dla Litwy i swoich idei, żądał, żeby W. Księztwo płaciło tylko czwartą część podatków w Rzeczypospolitéj, a posiadało równą Koronie liczbę krzeseł senatorskich, jak już miało równą liczbę ministrów. Chciał do Grodna przenieść stałe posiedzenia sądów assessorskich.

Pierwsze zamachy niechętnych pokazały się już na sejmie delegacyjnym r. 1775, który wyznaczał kilkakrotnie Tyzenhauza na kommissarza do różnych spraw prywatnych, to wreszcie do ostatecznego urządzenia ordynacyi Ostrogskiéj.

Była dość stara i zawikłana sprawa o testament zmarłego brata rodzonego podskarbiego, pana Michała Tyzenhauza, starosty possolskiego, służąca za pozór od lat kilku. Zmarły brat podskarbiego był żonaty z Barbarą Zyberżanką i miał z nią troje dzieci: Ignacego, Tadeusza i Ludwikę ([2]). Starościna, owdowiawszy, wyszła za Michała Kossakowskiego, wojewodę witebskiego. Tyzenhauz jeszcze w r. 1762 dwoje sierot odebrał siłą ich ojczymowi, Kossakowskiemu; dzieci zamknął u siebie w domu, aby ich nie dać pani Borchowéj, która była siostrą matki ([3]) i jako stryj wziął ich majątek w swą opiekę. Pani Borchowa udała się do ambassadora, i opatrzona jego rozkazem do komendanta w Grodnie, aby jéj pomógł do odzyskania siostrzeńców, wraz z komendantem, pułkownikiem Kochowskim, i pięciu kozakami, pojechała do domu Tyzenhauza. Dzieci już siedziały w karecie, gdy słudzy Tyzenhauza sprowadzili pięciuset ułanów królewskich, stojących niedaleko zamku, którzy rzucili się na kozaków i pozabijali ich, a Kochowski z Borchową ledwie z życiem uszli. Kochowski poleciał do miasta po jazdę swoję i już miał napaść z nią na ułanów, dla odzyskania dzieci i pomszczenia kozaków, gdy go powstrzymano. Ambassador dał znać do Petersburga;

([1]) *Gazeta Warszawska*; r. 1851, nr. 142.

([2]) Ignacy, późniejszy szef gwardyi litewskiéj, ożeniony z Maryą Przezdziecką, podkanclerzanką litewską, miał syna Konstantego (1786 † 1853), pułkownika piechoty, sławnego ornitologa; Tadeusz zmarł dzieckiem, a Ludwika wyszła za Paca. (*Monografie historyczno-genealogiczne*), Kossakowskiego. Warszawa, 1868. t. 2).

([3]) Ludwika Zyberżanka, siostra Barbary, była za Janem Borchem, kanclerzem wielkim kor. Zmarła r. 1780.(*Monografie*, Kossakowskiego).

ale król Tyzenhauza obronił. Był później długi proces wytoczony przez Kossakowskich i Borchów, celem obalenia testamentu starosty possolskiego. Siostry bowiem, Kossakowska i Borchowa, miały jakieś prawo do części mienia, które starosta, żonaty z pierwszą, przekazał swoim dzieciom, jako wniosek ich matki. W sprawie téj zapisano 2,000 arkuszy. Ponieważ dobra Borchowéj po zmianie granic z r. 1772 odpadły za kordon rossyjski, więc ambassador Stackelberg, bardzo już niechętny dla podskarbiego, wstawiał się do sejmu za poddanką swéj monarchini. Przeciwników Tyzenhauza popierali także posłowie austryacki i pruski; wszyscy trzej pisali noty. Wiele namiętności obudziła księżna Sapieżyna (siostra hetmana Franciszka Ksaw. Branickiego), rozrzucając tendencyjne pisma po stolicy. Czartoryski, kanclerz litew., miał za sobą literę prawa i niechęci nie taił do podskarbiego, którego popierali posłowie litewscy. Nic jednak tym razem nie dokazali nieprzyjaciele Tyzenhauza i, jak wyraża się Bartoszewicz, „zachowali się na późniéj“.

Bykowski, poseł miński, na sejmie Mokronowskiego, r. 1776, w urzędowéj mowie zalecał narodowi zasługi Tyzenhauza. Powiadał, że minister łączy w sobie wierność ku majestatowi z czystym duchem obywatelskim; chce, żeby szczęśliwy był król przy narodzie i naród przy królu. Wspomniał o tém, że Tyzenhauz o zdrowiu swojém i wygodach zapomina, że żyje tylko dla króla i kraju, że przy wielkich ciężarach i oporze interesów, ciężar niechęci zazdrosnych ludzi wytrzymuje. Dodał wreszcie, że „cnota jego im rzadsza, gorliwość im niespracowańsza, usilność im bardziéj niedorównana, tém względy królewskie muszą być przyzwoitsze“. Jakoż na tym właśnie sejmie pensyą roczną podskarbiego podniesiono do 40,000 złp.

Po śmierci księcia kanclerza Czartoryskiego, owładnął Tyzenhauz umysłem króla i czynił z nim, co chciał, wszystkich tajemnic jego będąc powiernikiem i pośrednikiem w politycznych zabiegach. Przed każdym sejmem i trybunałem zbierał szlachtę (pisze historyk), ugaszczał i kierował nią. Król nieraz, okazując mu swe szczególne względy, zachodził wtedy do niego i kielich za zdrowie przyjaciela wychylał. Z możniejszymi Tyzenhauz mało się wdawał, niewielu ich zapraszał, orszak jego składał się z mas ruchawéj, żywéj, uboższéj szlachty. Zwało się to partyą Królewską, lub Tyzenhauzowską. Toż samo w Koronie, na inny tylko sposób, sprawiał książe Michał Poniatowski.

Po odjęciu królowi rozdawnictwa starostw, podskarbi namówił go, aby się starał o dwadzieścia pięć wakujących. Rada ta, uwieńczona dobrym skutkiem, wpływ Tyzenhauza jeszcze zwiększyła. Król był nieustannie żądny grosza, którym bardzo nierozważnie i zbyt dobrotliwie szafował; gdy go nie stało, uciekał się po radę do podskar-

biego, a ten kaduki, exspektatywy i t. p. pomagał wynajdywać i sprzedawać. Kadukiem takim Wolmer odebrał hetmanowi Ogińskiemu dobra na Żmujdzi, księży Bazylianów wywłaszczono z Bytomia ([1]). Zaufany w swéj potędze, absolutny Tyzenhauz nie znosił żadnego oporu, stawianego jego woli. Przychylność swoje do tych a niechęć do innych okazywał bez ogródek, jak dyktator. Mając np. dla Massalskich starą przyjaźń i długi wdzięczności, bronił biskupa, którego potępiał głos publiczny,—pożyczał mu nawet pieniędzy.

W Litwie zaczęto się na dobre łączyć przeciwko podskarbiemu. W domu tych samych Czartoryskich, gdzie przed dwudziestu laty starościc szmeltyński świat poznawał, odbywały się teraz narady nad obaleniem jego potęgi. Do głównych nieprzyjaciół Tyzenhauza należeli dwaj Kossakowscy: Józef (kanonik i kustosz a wreszcie biskup inflancki) i Szymon, brat jego młodszy, późniejszy hetman, wreszcie Joachim Chreptowicz, wówczas podkanclerzy. Szymon Kossakowski, który jako konfederat barski był i w Turcyi, doradzał jakiś środek, na który oburzył się generał ziem podolskich. Do nieprzyjaciół przyłączyła się i rodzina króla, którą, może oprócz biskupa, podskarbi lekceważył. Król bowiem prawie całą familią utrzymywać musiał i nieustannie dostarczał jéj na zbytki. Tyzenhauz miał mu doradzać oszczędność przez oswobodzenie się z tych więzów. „Królowie krewnych nie mają“, miał się wyrazić do Stanisława Augusta. Familia królewska, na dobra stołowe rozłakomiona: Mniszech z siostrzenicą króla, z Zamojskiej urodzoną, ożeniony, Tyszkiewicz, książę Stanisław i Józef Poniatowscy, zazdrościli dochodów, które podskarbi na fabryki, zakłady i podniesienie kraju obracał, a które inaczéj poszłyby do ich kieszeni.

Pani krakowska, dla któréj Tyzenhauz miał największy szacunek, działać zaczęła przeciw niemu łagodnie, ale wytrwale. Inni intrygowali na zabój. Zarzucano, że podskarbi, na spółkę ze zohydzonym Ponińskim, z dóbr pojezuickich starał się korzystać. Zarzucano mu nowatorstwo i niedbałe szafowanie groszem publicznym; zarzucano, że w kraju niezamożnym zakładał fabryki rzeczy zbytkownych. Nie brano dość na uwagę, że dzieła dokonywane przez podskarbiego wymagały kolosalnych nakładów, a wszystkie zmierzały zarówno do dźwignięcia krajowéj kultury; nie oceniano walki, jaką staczać musiał Tyzenhauz z przeciwnościami. Podskarbi, wyprzedzając swój wiek, widział jaśniéj potrzeby społeczne, niż ci, którzy go krytykowali. Wina leży w tém, że czyny wyprzedzały jego myśli, że chciał zbyt wiele naraz dokonać i dźwignął brzemię, które przywalić go musiało swym ogromem. Tyzenhauz zakładał fabryki

([1]) Rękopism M. Zalewskiego w przytoczeniu Kraszewskiego.

przedmiotów zbytkowych dla tego, żeby zatrzymać w kraju summy, które wychodziły do obcych za owe zbytkowne rzeczy, zakładał fabryki takie, jakich krajowi brakowało. Był temu winien, że nie obliczył sił swoich; ale nie jego było winą, że król zaciągał ogromne długi, które, jak miecz Damoklesa, ciążyły nad głową ministra. Był temu winien, że charakter jego absolutny coraz nowych mnożył mu nieprzyjaciół.

„Odmalowano ambasadorowi niebezpieczeństwo utrzymania dłuższego przy rządach Litwy człowieka, którego słowo jedno mogło kraj za sobą pociągnąć". Stackelberg był już wtedy bardzo nieprzychylny podskarbiemu i przewrotom przez niego dokonywanym, „napisał więc do stolicy, a na jego przedstawienie przyszły rozkazy stanowcze, aby na królu wymódz oddalenie Tyzenhauza". „Skorzystano z pobytu podskarbiego za granicą (pisze Kraszewski, który do historyi upadku Tyzenhauza największą obfitość materyałów zebrał i zużytkował), aby przeciwko niemu wytoczyć skargi do króla, którego oblężono natarczywém domaganiem się, aby go odstąpił. Król wahał się i przyjaciela bronił; powołano go cichaczem z za granicy. (Było to w roku 1778). Wrócił wcale nie ulękniony, ani myśląc zmienić postępowania. Zdaje się, że największą ufność pokładał podskarbi w tajemnicach, jakie oddawna król mu powierzał, w papierach, które miał w ręku, w tém, iż król nie będzie śmiał i mógł go usunąć. Najpierw z rąk Tyzenhauza chciano wyrwać trybunały. Podano więc do laski marszałkowskiéj litewskiego trybunału Tyszkiewicza, królewskiego siostrzeńca, próbując i sądząc, że Tyzenhauz przeciwko niemu nie będzie śmiał wystąpić, acz sami Tyszkiewicze lękali się go i nie ufali, aby się to powieść mogło. Tyzenhauz, wiedząc o wszystkiem, żartował sobie z tego. Na sejmikach deputackich wystąpił, popierając Tyszkiewicza, Michał Zaleski, wojski litewski, człowiek nieulękniony i energiczny, przeciw któremu podskarbi odgrażać się począł, mając po sobie większość szlachty. Miał po sobie i Radziwiłłów, w sporze będących z Czartoryskimi. Zaleski ze zręcznością wielką oderwał mu ich, godząc zwaśnionych. Poszło zatem forytowanie Tyszkiewicza (wówczas pisarza litewskiego) do laski trybunału i Tyzenhauz został pobity. „Było to pierwsze niepowodzenie podskarbiego, pisze Kraszewski, które go do największego gniewu poruszyło". Tyzenhauz, który widział w Stackelbergu najniebezpieczniejszego swego nieprzyjaciela, myślał, że mu się uda wprost w Petersburgu, gdzie miał stosunki, sparaliżować działania ambasadora. To wywołało ostateczną walkę.

Po owych sejmikach deputackich, wojski Zaleski, czynny i śmiały, mimo groźb Tyzenhauza, pojechał do Warszawy, nie kryjąc się z zamiarem działania przeciwko niemu. Król był przekonany, iż podskarbi nie będzie chciał i śmiał działać przeciwko siostrzeńcowi jego. Zaleski, który miał przystęp do Stanisława Augusta, obrażony pogróżkami Tyzenhauza, skarżył się i mówił wiele przeciw niemu.

Król wypytywał się o szczegóły, których Zaleski nie szczędził; oprócz tego rozbudził przeciwko podskarbiemu wszystkich, co w ciszy niechęć do niego żywili.

Zjazd na trybunał litewski w r. 1779, któremu Tyszkiewicz marszałkował, był ogromny; ważyły się na nim losy, biegły sztafety i kuryery na wsze strony. Tyzenhauz na rugach wziął górę, ale króla sobie naraził. W trybunale, przy sekretnych wotach w sprawie Kochowskiego, odstąpili zwolennicy dawni podskarbiego. Znak to był fatalny. Do ogólnej w kraju przeciw Tyzenhauzowi niechęci przyczyniły się głównie, wywołane przez niego, sprawy graniczne ekonomij królewskich.

Już wyżej powiedzieliśmy, że do należytego urządzenia dóbr stołowych brakło dokładnych pomiarów i granic. Przez czasy rządów saskich panował nieopisany nieład w królewszczyznach. Podskarbiowie wydawali każdemu, kto chciał, pozwolenia do posiadania ziemi królewskiej na rozmaitych prawach dożywotnich. Powstawały nowe wioski, osady, awulsy i słobody, często o wątpliwych granicach, które do woli sobie wytykano. Stare nadania, przechodząc na dzieci i wnuków, zmieniały się w dziedzictwa; brano je w posagu. To znowu panowie i szlachta, których posiadłości dotykały królewszczyzn, rozszerzali swoje granice, zwłaszcza w lasach; zacierali stare znaki a robili nowe; karczowali bory i zakładali folwarki. Czynili to zaś poniekąd w dobrej wierze, bo, według tradycyjnych pojęć, ziemię królewską lub książęcą uważano za własność niczyją, a więc dla każdego przystępną.

Zamęt ten, prawie niepodobny do rozwikłania, postanowił usunąć pełen cywilnej odwagi podskarbi, przez sporządzenie dokładnych pomiarów wszystkich królewszczyzn. Trzeba było wypowiedzieć wojnę licznej szlachcie i panom, na co mógł odważyć się tylko Tyzenhauz, który od początku przygotowywał się do tego przez przysposobienie znacznej liczby biegłych geometrów, a sam posiadał nieugiętą siłę woli w sprawach swojego obowiązku. Podskarbi, zapatrując się na dobra stołowe, jako na kapitał narodowy, który mógł i powinien być wielkim czynnikiem krajowej kultury, chciał go ściśle obliczyć, oznaczyć i opisać. Rozesłani po wsiach miernicy wszędzie napotkali opór. Nikt nie chciał dobrowolnie oddać tego, co otrzymał w spadku po ojcu lub dziadzie, co pracą swoją użyźnił i w dobrej wierze posiadał, lub chociażby sam przed laty sobie przywłaszczył. Prawda, że, wobec wątpliwości dowodów w starych kwestyach granicznych, miernicy energicznego podskarbiego mogli nieraz postąpić zbyt stanowczo, a niejeden, który nic nie był winien, mógł zostać ogołoconym z fortuny lub przynajmniej jej połowy. Tyzenhauz zapomniał, że było to w kraju, w którym od wieków królowie tylko rozdawali, a nic nigdy nie odbierali mieszkańcom. To też wszyscy podnieśli krzyk straszny na przemoc i despotyzm ministra. Nagle spadły na Tyzenhauza liczne pozwy do wszystkich sądów o zabory, napaść, zajazdy! Cały kraj zatrząsł

się. Podskarbi prosił króla, żeby wyznaczył osobną kommissyą graniczną do rozstrzygnięcia wszystkich sporów. Oburzyło to interesowanych i ogół w najwyższym stopniu, w kommissyi bowiem takiéj, z poręki króla wyznaczonéj, widziano oczywiście nieopisane straszydło despotyzmu, ucisku i pogwałcenie praw Rzeczypospolitéj. Połączyły się głosy wszystkich przeciwników podskarbiego, podsycane intrygą zagraniczną. W Radzie królewskiéj stanęły naprzeciw siebie dwa stronnictwa. Bronił ministra brat królewski, książe Michał Poniatowski, biskup płocki i prezes Kommissyi edukacyjnéj; powstawał przeciw niemu Franciszek Rzewuski, marszałek nadworny kor. ([1]).

W lutym r. 1780 przypadał trybunał w Wilnie. Tyzenhauz już mocno był zachwiany. Przeczuwał jakąś katastrofę. Zawsze szczery i otwarty w słowach i czynach, zaczął otaczać się pewną tajemniczością. Własne pieniądze oddawał na zachowanie przyjaciołom, na których zacność liczył. Zdaje się, że stracił ufność w królu i lękał się o własne dobra, które odłużał. Widocznie, obawiał się zemsty tych, od których odbierał ziemie królewskie, i odpowiedzialności za to, że używał na roboty publiczne pewnych summ, wziętych ze skarbu litewskiego bez upoważnienia sejmu.

Na nieszczęście król na dochodach z ekonomij litewskich zahypotekował *dziesięć milionów* złp. długu holenderskiego, który miał być ratami spłacany; a Tyzenhauz, który wziął od króla ekonomie w dwunastoletnią arendę i roczną dzierżawę podniósł był z razu do 88,000 czerwonych złotych, teraz, w skutek wydatków, podjętych na olbrzymie dzieła dla kraju, nie miał czém pierwszéj raty zapłacić. Króla to dotknęło. Stackelberg, korzystając z chwili, zażądał złożenia podskarbiego z urzędu, oświadczając, że w przeciwnym razie sam ratę długu zapłaci, a na pewność zwrotu wyłożonéj summy będzie musiał wziąć ekonomie w swój zarząd. W porozumieniu z ambasadorem był wielki nieprzyjaciel Tyzenhauza, Franciszek Rzewuski, milionowy kapitalista, który, obok tych samych warunków, obiecywał jeszcze płacić królowi 40,000 dukatów więcéj, niż Tyzenhauz. Pruski rezydent, Blanchot, popierając Stackelberga, podał notę do Rady Nieustającéj ze skargą, jakoby podskarbi rzemieślników, z Pruss ściągniętych, w Polsce przeciw ich woli siłą zatrzymywał ([2]). Upadek Tyzenhauza został postanowiony. Król podpisał rozkaz, odbierający ministrowi zarząd i dzierżawę. Cios ten przygotowano w tajemnicy, lecz Stanisław August, chcąc złagodzić go, wyznaczył do spełnienia wyroku Jana Kickiego, koniuszego koronnego, człowieka szlachetnego i przyjaznego Tyzenhauzowi. Ale przeciwnicy zapragnęli i tu upokorzyć ministra, paleni żądzą pewnego rodzaju odwetu. Wysłany więc został Walenty Sobolewski, podkomorzy war-

([1]) *Gaz. Warszawska*; r. 1851, nr. 143.

szawski, który zjechał nagle na Horodnicę i ogłosił Rzewuskiego rządcą ekonomij, z podskarbim widzieć się nie chciał, i jeszcze wartę u drzwi jego postawił. Uruski, szambelan, zajechał znowu fabryki i wszystkie zakłady. Jednocześnie rozesłano stosowne zawiadomienia o dekrecie królewskim do wszystkich ekonomij i kluczów litewskich.

Podskarbi napisał list do króla i wyprawił natychmiast księdza Bohusza, świadka tego wszystkiego, do Warszawy, aby przez księcia Michała Poniatowskiego burzę odwrócić. Sam usunął się do kollegium pojezuickiego i pozwał najeźdzcę o napad—do trybunału, pod którego bokiem działo się to wszystko. Wrogowie Tyzenhauza zatrwożyli się, żeby trybunał na zasadzie kontraktu nie kazał przywrócić ministra do dzierżawy. Nadbiegł więc z Warszawy biskup Kossakowski, sprowadził pułk ułanów królewskich, otoczył izbę trybunalską i tych deputatów kazał do niéj tylko wpuszczać, po których spodziewał się powolności. Był to pierwszy w dziejach sądownictwa polskiego wypadek pogwałcenia trybunału. Zebrało się tylko dwunastu deputatów na sessyą i z tych jeszcze siedmiu oświadczyło się przeciw życzeniom biskupa inflanckiego. Kossakowski, z mniejszością pięciu, odsądza pozostałych od głosu i dyktuje wyrok, sekwestrujący Tyzenhauzowi jego prywatną własność. Zatrzymano podskarbiemu wszystkie papiery i regestra, aby nie mógł się porachować z podwładnymi, których podmówiono do rozmaitych roszczeń. Rozpoczęto licytacyą różnych zapasów, które były tak wielkiemi, że np. w składzie ubiorów dla klas wyrobniczych znaleziono 8,000 par trzewików (¹). Nareszcie sam Rzewuski zjechał do Grodna i zamknął te z fabryk, które, według jego zdania, przynosiły więcéj kosztów niż dochodu. Powydzierżawiał wszystkie folwarki przez licytacyą i osiągnął w ten sposób większy dochód niż miał Tyzenhauz, co było naturalném, gdyż dzierżawcy przychodzili już zbierać owoce pracy i nakładów podskarbiego.

Ksiądz Bohusz nic nie mógł sprawić w Warszawie u króla, który, jak pisze Kraszewski, znał podskarbiego nadto, aby się z jego strony zdrady tajemnic obawiał. Sypały się teraz na upadłego oskarżenia bez liku, a przy takich usposobieniach przyszła w sejmie na stół sprawa Tyzenhauza. Pierwsze wystąpienie było bardzo burzliwe. Zarzucano podskarbiemu: że pieniędzy wziętych ze skarbu na kanał, łączyć mający Pinę z Muchawcem, użył na cele inne i robót nie ukończył, a wykonywał je ludźmi z ekonomij spędzonemi; że podwójne księgi dochodów prowadził; że w skarbie brakło pół miliona że (będąc prezesem kommissyi skarbu) samowolnie zabrał summę 50,000 złp. na departament Rady przeznaczoną; że znaleziono blankiety z podpisami kommissyi skarbu, za którą całą sami urzędo-

(¹) Bartoszewicz w *Encykl. powszechnéj*; t. XXV, str. 914.

wali: kassyer Suchodolski, regent Andrzejkowicz i sekretarz Tyzenhauza Suchodolec; że podniósł liczbę i pensyę oficyalistów i tolerował nieporządek w biurach, a pieniędzmi rozporządzał się arbitralnie. Napastowany podskarbi zwrócił się do króla, prosząc, aby go krzywdzić nie dał; do Zaleskiego, który z niepomiarkowaną gwałtownością wystąpił, zawołał: „O, vos quibus est virtus oppressi tollite luctum! Mości panie Zaleski trocki, będę mu winszował, gdy większe okażesz w téj jurysdykcyi nad dzisiejsze rzeczypospolitéj użytki". Powstawali z zarzutami: Gawroński, poseł podolski, Tyszkiewicz, Giełgud, poseł żmujdzki, Swiętosławski, obożny polny kor. i inni. Chciano osobnego sądu na Tyzenhauza, którego bronił powinowaty, Morykoni, poseł wiłkomierski, i Branicki. Wyznaczono deputacyą do rozpatrzenia sprawy skarbu litewskiego, którą składali: Chodkiewicz, starosta żmujdzki, Ignacy Potocki, pisarz W. Ks. Lit. i Bernard Szwykowski, starosta trocki. Najgoręcéj za Tyzenhauzem występował Branicki i nie dał tego dokonać, co zamierzano. Król skłaniając się do żądań Stackelberga, w istocie chciał obronić i osłonić podskarbiego, i jak się domyślano, skrycie używał ku temu Branickiego, a przynajmniéj rad był, że sprawa łagodniéj przeszła. Tyzenhauz długo mówił w swéj obronie, zakończył ją zaś groźbą: — „Venit post me fortior me". Branicki też obiegał Warszawę, stając w obronie obalonego i powtarzając, że los jego spotka innych w łaskach u króla będących — „Hodie mihi, cras tibi".

Słusznie powiada Kraszewski, że z całéj téj sprawy w najlepszém świetle wychodzi jeszcze podskarbi, który, wyczerpawszy wszelkie środki obrony, nadto jest szlachetnym, by króla chciał zdradzić i za sobą pociągnąć. Zrujnowany i splamiony, usuwa się i spędza resztę życia w ubóstwie, na osobności szukając pociechy w księgach i rozmyślaniu.

Rozżalony Tyzenhauz nie chciał przepraszać ani kłaniać się nikomu; ale tylko napisał manifest przeciw gwałtom i przeciw postąpieniu króla, z którym się nie widząc, wyjechał za granicę, zkąd obsypał Stanisława nowemi manifestami i memoryałami. W pismach tych wszakże, pomimo całéj goryczy, nie ubliżył królowi słowem, tylko przekonywał go o swéj niewinności i żądał wymiaru prawa. Tyzenhauz, podług ustaw Rzeczypospolitéj, nie mógł upaść bez sądu. Król nie miał wcale władzy oddalać ministrów, tylko naród przedstawiany w sejmie, za wyrokiem, w skutek zbrodni stanu wydanym. Ponieważ takiego wyroku nie było, podskarbiemu przeto nigdy nie odebrano urzędownie stopnia ministra Rzeczypospolitéj i godność tę, acz tytularnie, zaniósł on z sobą do grobu. Rzewuski był niejako prywatnym pełnomocnikiem króla do zarządu dóbr stołowych na Litwie; późniéj zarządzał dobrami temi Stanisław Poniatowski.

Wyznaczona kommissya, złożona z ludzi nieprzychylnych podskarbiemu, zaczęła surowo przeglądać jego czynności, nicować je, obmawiać i oskarżać. Wykazano pewien deficyt, który był bardzo

usprawiedliwionym, wobec ogromnych przedsięwzięć filantropijnych i olbrzymich dzieł dla kraju już dokonanych. Zrobiono z tego wielki hałas i, na pokrycie niedoborów, zajęto ministrowi majątek prywatny, który nieprędko powrócił w ręce rodziny (dobra Postawy). Wobec ogromnego kredytu, który posiadał Tyzenhauz, deficyt ów nie był groźny. Opowiadano, że jeden z bankierów warszawskich, chciał wszystkie niedobory zapłacić, pod warunkiem, żeby podskarbiego wrócono do urzędu.

Wszystkie obwinienia podskarbiego przez extra-kommissyą zebrane są w sądowéj broszurze ówczesnéj, noszącéj napis: *Wyobrażenie dzieła extra-kommissyi, sejmem r. 1780 do obrachunku skarbu litewskiego naznaczonéj, z Jaśnie Wielmożnym Antonim Tyzenhauzem, podskarbim nadw. lit.* i t. d. Ciekawa ta broszura zawiera najpierw kilkadziesiąt zarzutów przeciw Tyzenhauzowi. Odnoszą się one bądź do zaniedbania drobnych formalności prawnych i biurowych, w które minister, mający tyle prac olbrzymich, nie zawsze mógł wglądać, bądź do nadużyć i facyend, jakich pokątnie dopuszczali się niektórzy oficyaliści podskarbiowscy. Po zarzutach tych następuje *Doniesienie ze strony Tyzenhauza*, to jest odpowiedź, w któréj minister obala wszystkie oskarżenia i wykazuje brak winy. Istotnie podskarbi był tyle winien, że (zajęty wielkiemi sprawami dobra publicznego) zbyt zawierzał ludziom, których podnosząc z nicości, nie przypuszczał, aby go zdradzali. Cóżkolwiek bądź, łatwiéj było tryumfować z wynalezionych usterków, niż ocenić wielkość zamysłów i dzieł, dokonanych przez Tyzenhauza w niespełna lat piętnaście, wśród najbardziéj nieprzyjaznych okoliczności politycznych i niepolitycznych.

W kilka tygodni po upadku podskarbiego, zatrzymał się w Grodnie, wracający z Petersburga, cesarz Józef II. Po nabożeństwie u O. O. Bernardynów i obiedzie, oglądał ogród botaniczny, zakłady przemysłowe i podziwiał Korpus kadetów. W rok późniéj było już w Grodnie prawie pusto; niektóre zakłady upadły lub wyniesione zostały; ludzie rozpierzchli się na wszystkie strony. Z rachunków, dopełnionych w r. 1780, które znaleźliśmy w księgach metryki litewskiéj, widać, że kapitału „manufakturnego" okazało się złp. 740,894 gr. 26, towary zaś, wysłane do Warszawy i innych miejsc na sprzedaż, przedstawiały wartość złp. 74,432, u dłużników było złp. 27,292 gr. 20. W r. 1782 kapitał manufakturny wynosił jeszcze złp. 479,182 gr. 10, w towarach kredytowanych zaś złp. 132,621 gr. 1. Wszystkie rachunki kończą się na r. 1783. Szkoła lekarska Giliberta, przeniesiona do Wilna, dała w tamtejszéj akademii początek słynnemu późniéj wydziałowi medycznemu.

Tyzenhauz, po powrocie z zagranicy, mieszkał czas jakiś w Wilnie na Śnipiszkach, w ubogim dworku, gdzie księża Pijarowie od Ś-go Rafała, nawiedzając go, czytywali mu księgi. Uważano, że wtedy wiele czasu poświęcał na czytanie, które niezmiernie polubił. Przeniósł się potém do Warszawy. Znękany doznanemi przeciwnościami

dostał był lekkiego obłąkania i ledwo wyleczony został. W stolicy żył skromnie, w zapomnieniu, ratowany przez starych przyjaciół, którym dawniéj fundusze swoje był powierzał.

Suchodolec, sekretarz Tyzenhauza, użyty za narzędzie przez nieprzyjaciół ministra, oskarżyciel swego dobroczyńcy, nie wiemy z jakiego tytułu, niewątpliwie jednak przy pomocy przeciwników tyzenhauzowskich, przyszedł później do posiadania owych pojezuickich Żukowicz, w których-to podskarbi wznosił pałacyk dla króla. Suchodolec sprzedał następnie te Żukowicze Jundziłłowi.

Stanisław August, udając się w r. 1784 na sejm do Grodna, w przejeździe ze Szczuczyna (litewskiego), zatrzymał się na śniadanie w Kamionce, miasteczku podskarbiego, w bardzo porządnéj austeryi, niegdyś przez niego zbudowanéj. Żegnali go tu obywatele lidzcy, a siwy Politalski, sędzia grodzieński, mową powitał. Król był wzruszony i jechał z zamiarem, aby przed sejmujące stany wnieść sprawę Tyzenhauza i prosić Rzeczpospolitą za ministrem. Odzywał się w królu głos sumienia.

Gdy wśród obrad sejmowych przyszło do spraw skarbu litewskiego, sprawa Tyzenhauza potrąconą też być musiała. Deficyt z czasów podskarbiego obrachowano na 1,700,000 złp., zarzucano mu, iż sam, będąc prezesem kommissyi, bez wymaganego kompletu pięciu osób, za prywatnemi kwitami brał summy; od marca do września r. 1780 wybrał przeszło 550,000. Dwaj osobiści nieprzyjaciele ministra występowali przeciw niemu: Michał Zaleski, mający zlecenie od Rady Nieustającéj rozpatrzenia czynności i Matuszewicz ([1]), poseł brzeski, szwagier Zaleskiego. Ale namiętności znacznie już były ochłodły. Potocki, wojewoda ruski, powiadając, że nie myśli bronić Tyzenhauza, uznawał w obliczeniu deficytu *przesadę*. Bierzyński przemawiał za podskarbim, iż „skołataną szczęścia łódkę sama każe *ludzkość* ratować“. Drewnowski, podczaszy łomżyński, podobno pierwszy podał do laski wniosek za nieszczęśliwym ministrem. Po tym Mazurze przemówił Litwin Kuszelewski, poseł wiłkomierski. Brzostowski, poseł oszmiański, przedstawiał, że podskarbiemu cały majątek odjęto. Matuszewicz na to dowodził, że kommissya nadzwyczajna dopełniła już w téj mierze wszystkiego, a Tyzenhauza musiała spotkać „kara za występek, gdyż litość byłaby rozgrzeszeniem“. Nareszcie król wystąpił z piękną a długą mową; mówił w niéj o swéj podróży do Pińska: „płynąłem, jechałem, gdzie ludzie dawniéj przejazdu nie mieli. Pińskie widoki tak mnie zniewoliły, iż ciężko było z tego kraju wyjechać.“ Stawiając wniosek o Tyzenhauzie, głos uroczysty podniósł: „A tu idzie o obywatela, którego piętnastoletnie usługi, przymioty jego prawdziwie niepospolite, wzwyczajenie moje najzu-

(1) Syn kasztelana brzeskiego, autora pamiętników, późniejszy minister skarbu za Księztwa Warszawskiego.

pełniejszéj ku niemu poufałości, przez czas tak długi mnie przywiązywały. Ale cóż mówić może przyzwoicie ten unieszczęśliwiony obywatel, który w żałosnym upadku swoim wystawuje wszystkim obraz nauki, jak szczęśliwie wierzyć, jak spuszczać się i na własną umiejętność i na cudze posługi? Może powiedzieć ten biedny teraz, a niegdyś świetny obywatel: chciałem dobrze, a jeżelim zbłądził, to dla tego, żem zbyt wiele razem dobrego chciał rozpocząć. Gdy się gmach przyśpieszonych dzieł moich zatrząsł zbyt ogromny, na prędce chwytałem podpór, a te się w moich ręku łamały". Stanisław August chciał, żeby sejm zwrócił dobra ministrowi. Sprawa Tyzenhauza zawsze wywoływała burzę. Matuszewicz wstawiał się za Baranowiczem; Szydłowski był przeciw oddaniu dóbr; Radziszewski, poseł nowogrodzki, podał wniosek do łaski za podskarbim. Rwali się do głosów przeciwnicy i obrońcy, aż zażądano głosowania i przeszedł większością wniosek królewski o tyle, że postanowiono, po odebraniu pewnéj summy dla Rzeczypospolitéj, zwrócić dobra, co jednak nie nastąpiło za życia Tyzenhauza, którego dni były już policzone. Po śmierci podskarbiego (który umarł bezżennym), do podziału mienia jego przyszli: Ignacy Tyzenhauz, szef gwardyi litewskiéj, syn brata jego Michała i Zofia 1-mo voto Tyzenhauzowa, chorążyna wileńska, 2-do voto Chomińska, wojewodzina mścisławska, jedyna córka po bracie Kazimierzu, staroście dyamentowskim. Cały spadek stanowiły dobra: Postawy, Ihumenów, Żołudek, Rzepichów, Chotynicze, Rakiszki, Podkrzyże i Kamionka.

Bartoszewicz tak pisze o ostatnich chwilach ministra: „Wewnętrzne walki złamały siły dzielnego organizmu. Tyzenhauz już od lat kilku chorował, skołatany nieszczęściem. W Warszawie dokonał ziemskiego zawodu, który mu miał wyjednać koronę nieśmiertelności. Mieszkał samotny, w domku skromnym na Lesznie, kiedy śmierć zbliżyła się. Odgadł czas swój Tyzenhauz. Nadchodziły właśnie święta Zmartwychwstania Pańskiego. W wielką sobotę spowiadał się i drugi raz także nazajutrz, i przyjął ciało i krew Zbawiciela. Potém zajął się doczesnemi interesami. We środę pisał jeszcze dzień cały i dyktował aż do godziny siódméj wieczorem, słaby na ciele, zdrów na umyśle. Ta praca go osłabiła, więc jeszcze raz prosił o księdza. Nadbiegł ks. Grodzicki z parafii ś. Jędrzeja i bawił z umierającym aż do 1-éj po północy. Zacny kapłan ani na chwilę łoża chorego nie odstąpił. O 1-éj skonał podskarbi tak lekko, że Grodzicki tego nie dostrzegł i myślał chwilkę, że chory usnął. Było to już we czwartek po Wielkiéjnocy, 31 marca, 1785 r. Podskarbi Tyzenhauz żył tylko lat 52". Ciało złożone zostało w kościele u Karmelitów na Lesznie, a następnie przewiezione na Litwę do Żołudka, do grobów familijnych, gdzie jednak nagrobka nie wzniesiono.

Ksiądz Łuskina w swojéj *Gazecie Warszawskiéj* poświęcił całą kartę wspomnieniu ś. p. Tyzenhauza, co u niego rzadko się zdarzało

„Nadludzkie talenta, mówił, wciągnęły go w liczne i trudne nad siły zamysły i prace“. Nazywa podskarbiego Łuskina „sławnym ze szczęścia jak z nieszczęścia ministrem“. W tych kilku zdaniach wybornie scharakteryzował Tyzenhauza świadek współczesny. Podskarbim nadw. lit. po zgonie Tyzenhauza został Andrzej Dziekoński, strażnik litewski.

Tak zakończył swój żywot mąż, który we wszystkich czynnościach swoich nie szukał próżnéj chwały, ale pożytku ojczyzny. Możnaby przed nim tradycyą sięgać, powiada Bartoszewicz, do czasów Wierzynka i Bonarów. Miał Tyzenhauz niektóre dziwne nawyknienia. W pomieszkaniu jego np. nigdy nie widziano zegara, sam go nigdy nie nosił, jakby przy ogromie zajęć chciał czas zatrzymać lub mierzył go swoją pracą. Sypiał krótko i gwałtem kazał siebie przebudzać. O pracowitości i uprzejmości Tyzenhauza pisze też uczony Bernoulli: „Pan ten, który wszystkie te fabryki założył i na którym wszystko polega, odznacza się oprócz wielkiéj uprzejmości— niezwykłą pilnością. Podobno w nocy niewiele więcéj nad trzy godziny sypia..... Charakter jego wielce ujmujący, dużo łagodności i uprzejmości w obejściu i to, jak uważałem, tak z krajowcami i podwładnymi, jak z cudzoziemcami“. Matuszewicz (ojciec) pisząc o sporze Łopacińskiego z młodym jeszcze podstarościm grodzkim grodzieńskim, nazywa go już stroną „mądrą, obrotną i żwawą“ (¹). Ludzi z książkowym teoretycznym rozumem Tyzenhauz niewiele cenił, chwaląc się, że woli swój rozum własny. Lubił wszakże otaczać się ludźmi istotnéj nauki i pilnie przysłuchiwał się ich rozmowom: a że miał nadzwyczajną pamięć i niepospolitą bystrość umysłu, uważany więc był za uczonego. Geniusz jego wszystko z siebie wysnuwał. Trudno jest dać wiarę, pisze w kilkadziesiąt lat później do *Kroniki wiadomości krajowych i zagr.*, światły korrespondent z Grodna, żeby w przeciągu niespełna lat piętnastu z półżydowskiego miasteczka, bez żadnego naukowego, handlowego i przemysłowego ruchu, utworzyć kolebkę handlu, przemysłu, nauk i sztuk pięknych, zabudować je pysznemi gmachami, zaludnić uczonymi, artystami, przemysłowcami i rękodzielnikami (²). W istocie, jeśli zastanowimy się nad ogromem tysiącznych przedsięwzięć, dokonanych przez Tyzenhauza w tak krótkim czasie i wśród tak nieprzychylnych okoliczności, nie zdołamy znaleźć dosyć słów na oddanie czci znakomitemu mężowi.

Zdania o Tyzenhauzie były i są bardzo podzielone. „Najlepsze dla kraju chęci, pisze Kraszewski, potężne dary umysłu, łączyły się

(¹) *Pamiętniki* Marcina Matuszewicza, kaszt. brzeskiego, t. III, str. 167 i t. IV str. 10.

(²) Grodno za Tyzenhauza posiadało już 9 świątyń murowanych (w téj liczbie 7 łacińskich i 2 greko-unickie), było zdawna stolicą powiatu Grodzieńskiego w wojew. Trockiem; w r. 1796 naznaczone na miasto powiatowe gub. Słonimskiéj a r. 1809 na stołeczne gub. Grodzieńskiéj.

w nim z wykształceniem niedostatecznem. Charakter dzielnego, ale zbyt absolutnego reformatora, może nie pozwoliłby mu utrzymać się długo w każdéj rzeczypospolitéj, a tembardziéj w Polsce. Obejście się despotyczne zjednało mu nieprzyjaciół, bo szlachta była na tym punkcie bardzo drażliwą, lubo we własnym domu i towarzystwie Tyzenhauz celował uprzejmością dla wszystkich. Podskarbi, który wszystko chciał naraz stworzyć dla kraju, nie posiadając do tego odpowiednich środków, musiał być przywalony ogromem dzieł rozpoczętych i narazić się sprawie skarbu, co spowodowało bolesną zemstę nieprzyjaciół. Obok niegodziwych potwarzy, mamy o nim sądy ludzi takich, jak Wybicki, który pisze: „Był to prawdziwy minister, jakiego kraj nasz potrzebował, był to geniusz, którego puszcze litewskie wydały". Wybicki oglądał i podziwiał zakłady na Horodnicy i w Łosośnie; narzeka on, iż zazdrość i ciemnota sprzysięgły się na dzieło podskarbiego; chwali księcia prymasa, który tylko jeden z całéj rodziny króla oceniał i bronił Tyzenhauza, posiadając tęgość i stałość charakteru. Upadek Tyzenhauza, który umiał z rezygnacyą go przenieść, nie ciskając klątwy na króla i swoich prześladowców, świadczy o szlachetnym charakterze. Podskarbi w nieprzyjaciołach swoich widział tylko narzędzia głębszych planów i zabiegów.

Oprócz tego, co pisały o Grodnie gazety niemieckie w r. 1777 z okoliczności zwiedzenia zakładów tamtejszych przez króla i oprócz drukowanego listu pana Giliberta do professora Vitet z Lugdunu, jeszcze za życia podskarbiego zaszczytną i ciekawą wiadomość o nim i jego pracach mieli podaną cudzoziemcy w dziele: *Johann Bernoulli's, der königlichen Akademie der Wissenschaften zu Berlin und anderer gelehrten Gesellschaften Mitgliedes, Reisen durch Brandenburg, Pommern, Preussen, Curland, Russland und Polen in den Jahren 1777 und 1778*, tomów sześć, wydanych w latach 1779 i 1780 w Lipsku u Kaspra Fritsch'a.

W kraju niechęć przeżyła Tyzenhauza, i w dziele *O ustanowieniu i upadku konstytucyi d. 3 maja* ubliżono jego pamięci. Coś podobnego uczyniono i w *Pamiętniku rolniczym warszawskim*, który wychodził w pierwszych latach królestwa kongresowego, a niezbyt się znał na sprawach kultury. Dopiero, na prośbę Niemcewicza, ksiądz Bohusz napisał „Spominkę o Antonim Tyzenhauzie", drukowaną r. 1820 w *Tygodniku wileńskim*, i wezwał tam przyjaciół prawdy, żeby zbierali wszelkie o podskarbim materyały lub pamiątki i odsyłali do Wilna. Zachęcał serdecznie ks. Bohusz, aby ze składek publicznych wzniesiono w Grodnie przy horodnickim moście pomnik dla ministra. Rozprawa Bohusza obudziła powszechne w kraju dyskussye. Jedni czynili podskarbiemu zarzuty, inni bronili go. *Tygodnik wileński* przedrukował dwa dokumenta: 1) *Oświadczenie J. W. Imci p. Tyzenhauza podskar. nadw. lit. do pretensorów*, z r. 1782 i 2) *Wniesienie do sądu prośby J. W. Tyzenhauza.* O Tyzenhauzie pisał w krótkości Lelewel w historyi panowania króla Stanisława Augusta;

także nieco Jaroszewicz w *Obrazie Litwy* i jednocześnie Baliński pomieścił w *Starożytnéj Polsce* luźne szczegóły przy opisie różnych miejscowości litewskich. Dopiero Julian Bartoszewicz opracował pierwszy a jedyny dotąd życiorys zasłużonego męża, która-to praca, drukowana r. 1851 w *Gazecie Warszawskiéj* a streszczona w *Historycznych pamiątkach* i z małemi dodatkami w *Encyklopedyi powszechnéj*, przypomniała krajowi Tyzenhauza. *Tygodnik Illustrowany* w r. 1860 (nr. 63) podał portret podskarbiego i odpowiedni tekst, skreślony przez Antoniego Wieniawskiego. Na portrecie tym podskarbi przedstawiony już jest w stroju cudzoziemskim, z krzyżem i wstęgą ś-go Stanisława; trzymając w ręku rozwinięty plan jakiéjś rozległéj budowli, siedzi przy stole, na którym leżą papiery, plany i pióro. Postać o dość szczupłéj tuszy, wyraz twarzy łagodny.

Szkoda wielka, że śmierć przedwczesna Bartoszewicza nie pozwoliła temu niezmordowanemu dziejopisowi zużytkować nowych materyałów do życiorysu Tyzenhauza, które pod koniec swego życia był zgromadził. W ostatnich czasach, niestrudzony Kraszewski zebrał i zużytkował najliczniejsze materyały, dotyczące obalenia Tyzenhauza.

Nie stawiając niniejszéj monografii naszéj na wysokości jéj zadania, życzymy piśmiennictwu polskiemu, aby pozyskało wyczerpujące dzieło o mężu, który stał się trwałym wzorem pracy, szlachetnéj i gorącéj miłości dobra swych ziomków i dla możnych przykładem pojmowania obowiązków obywatelskich.

„CULTURKAMPF"

WALKA O KULTURĘ

W NIEMCZECH

i

JĖJ ZNACZENIE W DZIEJACH WSPÓŁCZESNYCH.

Wszyscy, którzy czytają gazety, wiedzą o tym długim i zażartym zatargu, który rząd Kanclerza Niemieckiego prowadzi z kościołem katolickim, jego wyznawcami i obrońcami w Niemczech. Ze względu na rozmiary, jakie przybrał ten zatarg, na ważność kwestyj przez niego podniesionych, na charakter stron walczących, z których jedna jest rządem najpotężniejszego dziś państwa w Europie, druga — wysoką powagą dla tylu milionów w narodach, przodujących, jeżeli dziś już nie pod względem politycznym, to przynajmniéj — cywilizacyjno-historycznym: z tych różnych względów, zatarg ów ma znaczenie europejskie. I nas on bliżéj obchodzi, nietylko ze względu religijnego, ale z powodu przypadkowego stosunku do walki zachodniéj Słowiańszczyzny z Germanizmem.

Jaki jest cel, jaki powód tego zatargu, do czego on zmierza i do czego doprowadzi? Na to pytanie, poza obrębem sfer, z których wyszła inicyatywa walki, niewielu odpowiedzieć chyba może. My też nie podejmujemy się rozstrzygnięcia tak trudnéj kwestyi; ograniczymy się na jak najkrótszém zestawieniu donioślejszych faktów, o ile te dla nas uprzystępnionemi zostały, i wyprowadzimy z nich wnioski, które zapewne są tylko hypotezami, nam jednakże wydają się hypotezami najmniéj nieprawdopodobnemi.

I.

Powodów zatargu jedni szukają w zadaniach polityki Ks. Kanclerza Niemieckiego, który, opierając się na stronnictwie narodowo-liberalnem, pragnie, dogodzeniem jego upodobaniom w zapatrywaniu się na kwestye kościelne, zapewnić sobie poparcie tego stronnictwa dla dalszych swoich widoków politycznych. Zdanie to, jakkolwiek po części uzasadnione, dostatecznie przekonywającém nie jest, albowiem dzieje stronnictwa liberalno-pruskiego pokazują, że nawet bez tych podarków dla rzekoméj opinii tego stronnictwa, mógł Kanclerz z usług jego korzystać. Jeszcze mniéj zaspokajające jest twierdzenie, jakoby Ks. Bismark, z namiętnéj nienawiści do Francyi, ogarniającéj cały romanizm, usiłował zniweczyć jego podstawy zadaniem ciosu katolicyzmowi rzymskiemu. Znany powszechnie praktyczny charakter jego polityki, obcéj wszelkim abstrakcyom i czczemu doktryneryzmowi, stanowczo zaprzecza takiéj hypotezie, opartéj na mdłych tylko pozorach, może umyślnie stwarzanych, dla zamaskowania właściwych celów polityki.

Pisarze i publicyści niemieccy, do panującego tam dziś stronnictwa należący, utrzymują, że to jest nic innego tylko walka, podjęta przez rząd, w obronie praw państwa i nowoczesnéj cywilizacyi przeciwko roszczeniom hierarchii rzymsko-katolickiéj i jéj tendencyom średniowiecznym, ujawnionym w blizkich nam czasach przez sławną Encyklikę Papiezką, z d. 8 Grudnia 1864 r. (Syllabus errorum aetatis nostrae), osobliwie téż przez uchwalony na Soborze Watykańskim d. 18 Lipca 1870 r. dogmat Nieomylności Papiezkiéj i uniwersalny Absolutyzm Stolicy Apostolskiéj nad biskupami wszystkich krajów, które-to uchwały znany pisarz niemiecki Schulte (1) nazywa: „największém szyderstwem, jakie kiedykolwiek wyrzeczone zostało przeciw zdrowemu rozsądkowi — i przez które kościół został podminowany, byt państwa zagrożony, postęp człowieczeństwa niemożebny i t. p.“

„Ultramontanizm—powiada Bluntschli—różni się tém od wszystkich stronnictw politycznych, że właściwa jego zasada tkwi nie w państwie, ale poza obrębem państwa; że państwo nie jest dla niego celem—ale środkiem, owszem dąży on do podbicia państwa pod organizacyą kościoła katolickiego. Jakoż ultramontanizm podkopuje egzystencyą państwa, już-to wstępnym bojem, już-to biernym, ale nieugiętym, oporem przeciwko ustawom państwa, które odpycha, jako znieważające religią i gwałcące sumienie wiernych... Nazywa się to stronnictwo katolickiém i stara się nawet identyfikować z chrystyanizmem, utrzymując, że wiekuistém prawem jego życia i działania jest nic innego, jeno religia chrześciańska.“

---

(1) Bluntschli: *Staatswörterbuch.* II Bd. Zürich. 1872. s. 322.

„Ależ cały bieg nowoczesnéj historyi, wbrew téj idei wieków średnich, wyrzekł nieodwołalnie wyzwolenie państwa z pod opieki kościelnéj,—oddzielenie prawa i porządku społecznego od wyznaniowości,—indywidualną wolność sumienia oraz wyłączną i zupełną zwierzchność państwa we wszystkich stosunkach jego prawnych i politycznych. Więc idea ultramontańska stoi sztorcem w nieprzejednaném sprzeciwieństwie z życiem, z egzystencyą i dążeniem nowoczesnego państwa, a przeto stronnictwo ultramontańskie jest śmiertelnym jego wrogiem"...

„Gdyby to było prawdą, że zasada ultramontańska jest identyczną z chrystyanizmem i katolicyzmem, to narody nowoczesne miałyby wybór pomiędzy religią a państwem nowoczesném i musiałyby albo wyrzec się wiary katolickiéj, albo poświęcić dla niéj egzystencyą państwową.

„Ale tak nie jest. Idea ultramontańska jest raczéj żydowsko-teokratyczną, niż chrześciańską... Pochodzi ona ze źle zrozumianéj nauki Apostołów, jakoby Messyasz miał założyć nowe królestwo Boże na ziemi. Przeciwnie. Chrystus sam nauczał, że jego królestwo nie z tego świata; wykazywał różnicę pomiędzy religią a prawem, państwem a kościołem, kazał oddawać Bogu co jest Boskiego a Cesarzowi co Cesarskiego"...

„Nie jest to nawet prawdą, iżby ultramontanizm równoważnym był z katolicyzmem, gdyż dzieje kościoła Rzymskiego do czasów Grzegorza VII i od czasów Bonifacego VIII stanowczo zaprzeczają tym roszczeniom, które chwilowo znajdowały urzeczywistnienie w papieztwie Innocentego III... Właściwie, jest on tylko stronnictwem w obrębie samego kościoła katolickiego, w czasach nowożytnych odnawia pretensye średniowieczne hierarchii rzymskiéj. Kieruje tém stronnictwem szczególniéj zakon Jezuitów, który nowszemi czasy widocznie ogarnął swym wpływem kościół Katolicki. Ultramontanizm przejęty jest nawskróś duchem wieków średnich, a tém samém stoi nieprzejednany wobec nowoczesnéj cywilizacyi"...

Daléj, wyłożywszy zasady i środki działania tak zwanego Ultramontanizmu, który, zdaniem autora, pomimo postępu cywilizacyi nowoczesnéj, od lat dwudziestu wzmaga się w sile, znamionując działalność swoję opłakanemi następstwami dla nowoczesnego państwa, oświaty i moralności, konkluduje preopinant, że—„lubo nowoczesne państwo, szanując przedewszystkiém wolność sumienia, nie wydziera jéj nawet opiniom błędnym i zabobonnym, ponieważ jednak Ultramontanizm godzi na nietykalność praw państwa, podkopuje podstawy jego bytu, uznając prawa świeckiego społeczeństwa o tyle jedynie, o ile je znajduje dogodnemi dla społeczności kościelnéj, którą stawia ponad państwo; to ostatnie przeto w widokach własnego zachowania ma prawo, opierając się roszczeniom ultramontanizmu, pozbawić go środków, które w jego ręku są rzeczywistém niebezpieczeństwem dla państwa i nowoczesnéj kultury. Ztąd-to banicya zakonu Jezuitów, jako

instytucyi wprost nieprzyjacielskiej państwu, wyjęcie z pod wpływu kościoła katolickiego szkół i instytucyj dobroczynnych, wreszcie, jeżeli nie wyłączenie jego stronników od udziału w urzędach i sprawach publicznych, to przynajmniej nadzwyczajna w dopuszczaniu ich oględność, ścisły dozór nad działaniem sfer ultramontańskich, a zatem wyjątkowe przepisy względem instytucyj kościelno-katolickich (jak zakony, klasztory i t. p.): bynajmniej nie sprzeciwiają się liberalnym zasadom nowoczesnego państwa; owszem uważane być powinny jako środki ochronne liberalizmu, gdyż Ultramontanizm, godząc na nowoczesne społeczeństwo, godzi na samę wolność. Jeżeli zaś usprawiedliwione w ten sposób działanie obronne państwa, godząc w ultramontanizm, godzi i w sam kościół katolicki, to już własna wina tego ostatniego, że się w działaniu utożsamia z krańcowém swojém stronnictwem“ ([1]).

Tak przemawia nie jakiś mówca parlamentu narodowo-liberalny, ale jeden z najznakomitszych pisarzów politycznych naszéj epoki, głośny w całéj Europie uczony i publicysta. Ten jego pogląd na stanowisko państwa do kościoła i na stronnictwo t. z. ultramontańskie streszcza argumentacyą wszystkich tych publicystów, ktorzy dzisiejszy antagonizm rządu pruskiego z katolicyzmem uważają nietylko za spór, z widoków politycznych wynikły, ale za walkę podjętą jakoby w obronie integralnych praw państwa i instytucyj nowoczesnego społeczeństwa (Culturkampf).

Jakkolwiek uderzająca jest zgodność, z jaką najcelniejsi koryfeusze tegoczesnéj publicystyki w Niemczech, tacy jak Sybel, Holtzendorf, Marquardsen, Gneist, a nawet umiarkowany i wszechstronny Robert Mohl ([2]), bądź wprost, bądź pośrednio, łącznie z wyż przytoczonym Bluntschlim, usprawiedliwiają tę tak zwaną Walkę o kulturę; jakkolwiek nawet poza granicami Niemiec, w Szwajcaryi, Belgii, Hollandyi znajduje ona życzliwe echo w sferach naukowéj i politycznéj intelligencyi; jakkolwiek z drugiéj strony zdanie o antagonizmie kościoła rzymsko-katolickiego z nowoczesném państwem, poświadczają poniekąd liczne zatargi Watykanu z różnemi mocarstwami Europy — to jednak nastręcza się pytanie: czy antagonizm ten pochodzi z rzeczywiście koniecznéj obrony państwa od napaści hierarchii rzymsko-katolickiéj? Czy ów broniący się niby, nie jest sam stroną zaczepiającą,

---

([1]) Dla streszczenia poglądu przytoczyliśmy tu z niektóremi skróceniami artykuł autora o Ultramontanizmie z jego *Staatswörterbuch*, wyd. skróc. w 3 tomach. Zürich 1869—74. Por. tegoż: *Allgemeines Staatsrecht*. Lpzg. 1855 II Th. Podobnież Laurent: *L'Eglise et l'Etat depuis la révolution*. Bruxelles 1862.

([2]) Zob. art. Ueber d. Missbrauch der Kanzel w *Staatsrecht, Völkerrecht u. Politik*, Tübingen. 1862—1869 III tom i ostatnie jego dzieło: *Das Deutsche Reichstaatsrecht*. Tübingen 1873, gdzie tylko pobieżnie wspomina o ultramontanizmie, jako wrogu państwa Niemieckiego. Krótka wiadomość o tém piśmie Mohla podana jest w Nr. 7 Gazety Sądowéj z r. 1876.

czy nie jest tu raczéj inwazya wygórowanéj przewagi państwa, wkraczającego w atrybucye, które dotąd zawsze przyznawało kościołowi i które z integralnemi jego prawami nie mają nic wspólnego? Bo wydaje się dziwném, że w tym stanie koniecznéj obrony szczególnie widzi się postawiony rząd najpotężniejszego dziś państwa, i że kurya Rzymską była tak nieroztropna, iż przeciw temu rządowi, z którym dotąd w najlepszych żyła stosunkach, wystąpiła z niesfornemi roszczeniami, w chwili dla niéj najkrytyczniejszéj, kiedy straciła do reszty władzę świecką, kiedy została opuszczona przez opiekujące się nią dotąd państwo, kiedy stosunki jéj z dwoma mocarstwami są zupełnie zerwane, z innemi zaś bardzo wiele pozostawiają do życzenia? Wszak rząd państwa, które sobie tak naraziła Kurya, jest liberalnym, przynajmniéj w téj swojéj walce o kulturę opiera się na żywiole narodowo-liberalnym; a liberalizm, którego hasłem jest, czy ma być, wolność, który ma się opierać przedewszystkiém na przekonaniu wszystkich o słuszności i dobroci swojéj sprawy, użycie siły materyalnéj usprawiedliwić musi ostatecznością. Idzie więc o przekonanie, że t. z. ultramontanizm doprowadził do takiéj ostateczności Państwo Niemieckie, i że to uczynił właśnie w najnowszym czasie.

Dla sprawdzenia tego, wypada nam wspomniéć cokolwiek o pochodzeniu, podstawach bytu i zadaniu stronnictwa, znanego w Niemczech pod nazwiskiem centrum, od przeciwników swoich przezwanego ultramontańskiém albo klerykalném, a które samo nazywa się katolickiém.

II.

Ultramontanizm, jako stronnictwo polityczne, powstał dopiero w blizkich nam czasach. Samo nazwisko, dawno znane we Francyi, oznaczało jedynie frakcyą hierarchii kościelnéj, przeciwną gallikanizmowi, t. j. pewnéj odrębności kościoła Francuzkiego od Rzymu. Mylnie też mieszano z t. z. ultramontanizmem stronnictwa polityczne we Francyi i innych krajach Zachodniéj Europy, co, pod hasłem religii albo katolicyzmu, nie miały nic innego na celu jak przywrócenie porządku rzeczy społecznego i politycznego, który obaliła rewolucya r. 1789. Pomieszanie to wynikło ztąd, że w działaniach swoich stronnictwa te szukały i częstokroć znajdowały poparcie w duchowieństwie, naturalnie przeciwném zasadom rewolucyi.

Nowoczesny t. z. ultramontanizm bierze wyraźny początek dopiéro po r. 1848 pośród reakcyi przeciwko moralno-umysłowemu wstrząśnieniu, sprawionemu wypadkami tego roku. Pomiędzy niemi a rewolucyą r. 1789, podobnie jak pomiędzy reakcyami, które po nich

nastąpiły, jest uderzająca analogia, obok istotnéj różnicy w zadaniu i charakterze działania. W obydwóch tych epokach reakcya i rewolucya wzięły początek z tego samego źródła i miały to samo ognisko. Ruch końca wieku zeszłego i początku bieżącego odbywał się wyłącznie prawie w sferze politycznéj. Zadaniem ówczesnéj rewolucyi było obalenie historycznych monarchij na rzecz państwa gminowładnego (demokratycznego).

Poprzednikiem ruchu r. 1848 był sam Papież; on pierwszy reformami początkowych lat swego papieztwa stawał na czele narodowości i liberalizmu we Włoszech, który to ruch udzielił się innym krajom, aż ulotnił się w pożarze rewolucyi, nietyle już politycznéj, co socyalnéj. Ruch r. 1848, lubo pod względem politycznym niezmiernie małym się wydaje obok wspaniałéj rewolucyi r. 1789, w główném przynajmniéj swojém ognisku posunął się daléj niż ona, wziąwszy sobie za cel główny to, co w owéj epoce było tylko przypadkowém. Zniesienie monarchij, wolność i równość były i tu hasłem, ale właściwe zadanie odnosiło się do sfery ekonomiczno-społecznéj. Po raz pierwszy zakwestyonowano zasadniczo własność i rodzinę; indywidualność poświęcono państwu, jako wielkiéj gminie społecznéj; narodowość ofiarowano uniwersalnéj demokracyi. Reakcya przeciwko tym zapędom zaczęła się téż od Papieztwa, od przywrócenia jego świeckiéj władzy. Co w myśli świeckiego polityka było tylko drogą do pozyskania władzy, która stanowiła przedmiot jego ambicyi, to w przekonaniu licznych umysłów, znękanych burzami i zawiedzionych w oczekiwaniu lepszéj przyszłości, miało się stać erą odrodzenia społeczności, przez umocnienie się tradycyą, przez umoralnienie spadku przeszłości.

W tém spoczywa odrębny od reakcyi r. 1815 charakter tego ruchu, któremu nazwa ultramontańskiego przypadkowo tylko i po części przystaje dla tego chyba, że hasło jego powstało z Rzymu, który względem Francyi, Niemiec i innych krajów środkowéj Europy, położony jest za górami. Bo zresztą bałamutném jest pomieszanie całego obozu, którego duchowieństwo katolickie jest tylko cząstką, z frakcyą, któréj cele i działania nie wychodziły nigdy z poza obrębu hierarchii kościelnéj; błędném jest, gdy zważymy, że doktryna kościelna o wyrzeczeniu się autonomii krajowéj i narodowéj na rzecz Stolicy Apostolskiéj na Soborze Watykańskim najmniéj znajdowała zwolenników w duchowieństwie krajów, względem których Rzym, geograficznie biorąc, jest ultramontańskim. Nazwisko klerykalnych, pożyczone z Belgii, gdzie utworzone zostało przez przeciwników dzisiejszego stronnictwa rządowego, wydaje się także niestosownem, jako oddające pojęcie zbyt ciasne; nie idzie tu bowiem o samo tylko duchowieństwo, ale o wiernych, — interesa świeckie społeczeństwa katolickiego nie są mu obojętniejsze od interesów samego kościoła. Najwłaściwszém wydaje się nazwisko stronnictwa katolickiego, gdyż powstało ono z ruchu, którego pun-

ktem wyjścia był Rzym i który odbywa się głównie w świecie katolickim, z pewnem tylko odbiciem pośród świata protestanckiego i słabe tylko echo zostawia w świecie greko-słowiańskim. Ze względu na stosunki i zasady, możnaby je nazwać neo-katolickiem, gdyby harmonii tego nazwiska nie psuła sekta Döllingerzystów, którzy się chcą nazywać Staro-katolikami.

Jaki jest charakter, jaki cel tego stronnictwa? to ze stosunku jego do różnych stronnictw politycznych, wymiarkować się daje. Zasadami swojemi najwięcej zbliża się ono do stronnictwa zachowawczego, a tam gdzie stosunki państwowe nie są zakłócone rewolucyą albo zamachami stanu, jednoczy się zupełnie z konserwatyzmem państwowym. Widzimy to szczególniej w Belgii, gdzie opinia publiczna dzieli się pomiędzy dwa tylko stronnictwa: katolickie t. j. zachowawcze i liberalne (właściwie stronnictwo mieszczańskie). Ale konserwatyzm stronnictwa katolickiego nie wszędzie jest bezwarunkowym; nie dochodzi do obstawania za każdym porządkiem rzeczy, bez względu na jego początek i podstawy bytu. To też bywa ono poniekąd *reakcyjnem*, cofa się do porządku rzeczy, obalonego przez państwową lub międzynarodową rewolucyą. Ale monarchia prawowita ze stanem uprzywilejowanym, która była głównym celem reakcyi po-napoleońskiej, dla stronnictwa katolickiego jest rzeczą podrzędną; najchętniej ono się z nią łączy, ale się bez niej zupełnie obchodzi. Widzimy też, że w dzisiejszym czasie katolicyzm w daleko lepszych znajduje się stosunkach z rządami republikańskiemi niż z monarchicznemi. Najbliższem prawdy będzie powiedzieć, że katolicyzm jest neutralnym względem wszystkich instytucyj politycznych nowoczesnego świata, żadnej z nich wprost nie zaprzecza, z żadną też bezwarunkowo nie jest solidarnym; w największej części Europy jest monarchicznym albo sprzyja monarchii, mianowicie wszędzie tam, gdzie ona jest formą rządu ustaloną; jest też arystokratycznym o tyle, o ile z powyższych względów znajduje pożyteczną a możebną przewagę klass wyższych w społeczeństwie: ale bynajmniej nie sprzyja przywilejom albo prerogatywom nieopartym na rzeczywistej zasłudze i powszechnem uznaniu; owszem, faktycznie bywa najczęściej przeciwnikiem takich koteryj, szczególniej plutokracyi. Stronnictwo wrzekomo-liberalne pragnie władzy dla przywiązanych do niej korzyści ([1]) jak powiedział nasz Kochowski:

„Zamiast złotej wolności, samo wolim złoto“.

([1]) Kiedy na pierwszej sesyi Parlamentu Niemieckiego r. 1871 posłowie katoliccy oświadczyli się za wolnością stowarzyszenia i nauczania, odpowiedział Lasker przy okłaskach stronnictwa narodowo-liberalnego, że jest przeciwny tym swobodom dla tego samego, że z nich korzystać mogą największe wrogi wolności i oświaty (t. j. katolicy). Trudno dać dokładniejsze świadectwo liberalizmu wrzekomo-liberalnego stronnictwa.

To też z małym targiem sprzedaje drogie niby skarby swoich zasad i idzie w służbę rządu, wmawiając w siebie, że nie ono skłoniło się ku rządowi; ale rząd wyciągnął ku niemu ręce, widząc w niem niby potęgę ducha czasu! Że tak jest, poświadcza ta okoliczność, że ów liberalizm jednoczy się z rządem tam tylko, gdzie on jest potężny, gdzie w działaniach swoich ma powodzenie. Tam gdzie powodzenie rządu jest wątpliwem, gdzie państwo ma przed sobą wielkie trudności do zwalczenia, tam ów liberalizm woli być opozycyą; tam nie chce poświęcać *zasad liberalnych* dla *jedności* państwowéj, wyrzec się *wolności* dla *porządku*. Historya *narodowego liberalizmu* pruskiego dostatecznym jest tego dowodem.

Wszystko to odnosi się nietak do właściwego liberalizmu, bo zasadom prawdziwie liberalnym, które polegają na zapewnieniu społeczeństwu możebnych swobód cywilnych i politycznych, nie jest przeciwny nawet okrzyczany nieprzyjaciel liberalizmu, katolicyzm [1]; ale odnosi się do dążenia i postępowania dzisiejszych stronnictw liberalnych w niektórych państwach Europy, a szczególniéj w Niemczech.

Skoro takie jest tegoczesne stanowisko polityczne katolicyzmu, to możnaż utrzymywać na seryo, że on jest nieprzejednanym wrogiem nowoczesnego państwa? To prawda, że mając zadanie uniwersalne, które stawia ponad chwilowe interesa państwa, bywa on niedogodnym rządowi, który, czy to przez nieudolność swoich kierowników, czy to przez wyjątkowe jakie okoliczności, od niego niezależne, nie może podołać własnemu państwowemu zadaniu. Lecz te trudności, groźne w państwie skołatanem anarchią, dla rządu opierającego się na jednem tylko stronnictwie i od przeciwnych temuż nurtowanego,—wcale nie istnieją dla rządu silnego prawną swą podstawą, dobrą organizacyą władz i środków wykonawczych, oraz zaufaniem narodu. A jak przy ogólnym dobrobycie teorye ekonomiczne socyalistów niewielki znajdą rozgłos w klassie robotniczéj, tak ustalony porządek polityczny przy oświacie i moralności publicznéj może śmiało stawić czoło roszczeniom źle zrozumianéj gorliwości religijnéj, która mniema służyć Bogu, odmawiając Cesarzowi tego, co jest Cesarza.

Ale takie roszczenia w dzisiejszym czasie zaledwie są dopuszczalne. Spór o wyższość władzy duchownéj nad świecką, który tak gniewa mniemanych obrońców praw państwa, dziś istnieje chyba w teoryi. Miał on praktyczne znaczenie w wiekach średnich, kiedy jak to uznaje sam, wyżej przytoczony, Bluntschli, jak stan duchowny wyższym był od cywilnych oświatą, tak i organizacya kościoła miała niezaprzeczoną wyższość nad urządzeniami państwowemi,

---

(1) Przyznają to nawet liberaliści niemieccy poza obrębem walk parlamentarnych. Zob. art. p. t. „Ultramontanismus und Socialismus“ w *Allgemeine (Augsburger) Zeitung*. Nr. 48 z r. b.

które spoczywały w kolebce. Ale dziś, gdy kościół Rzymski pozbawiony został nawet tego cienia władzy świeckiej, do utrzymania której ostatniemi laty zmuszony był udawać się pod opiekę władz świeckich; gdy prawa wyłącznej zwierzchności państwa niepodległego wewnątrz jego terrytoryum nikt już nie zaprzecza; gdy organizm państwowy pochłania wszystkie jego indywidualności — dziś niema już kwestyi: kto z dwóch jest wyższy, rząd czy kościół, czy władza duchowna jest i o ile, obowiązana ulegać władzy świeckiej; ale idzie tylko o wytknięcie właściwych pomiędzy niemi granic, o określenie sposobów usunięcia niezgodności pomiędzy regułami jednego a drugiego. Spory tego rodzaju zasadniczo przynajmniej uregulowane być mogą przez kompromis dwóch tych instytucyj, przez konkordat władzy świeckiej państwa z kościołem, stanowczo zaś zostają usunięte przez oddzielenie kościoła od państwa, które jako instytucya mająca zadanie doczesne nie jest obowiązane zajmować się interesąmi religijnemi społeczeństwa, winno tylko uczynić tyle, iżby te interesa poszkodowanemi nie były ([1]). Więc państwo mając przedewszystkiem na względzie indywidualną wolność sumienia nietylko samo nie uczyni, ale nie pozwoli uczynić, żeby którykolwiek z jego osobników za przekonania religijne był prześladowany, dozwoli nietylko wszelkiej wiary, ale i niewiary; nie będzie tamowało żadnych manifestacyj religijnych; ale nie dozwoli, żeby ktokolwiek do nich był przynaglany; i to mieć będzie na pieczy, żeby ustanowione przez nie obowiązki świeckie wolno wyznawanym obowiązkom religijnym bynajmniej nie uwłaczały; organizacyi władz kościelnych tamować nie będzie, ale też im żadnych atrybucyj politycznych, prócz wynikających z powszechnego prawa państwowego, nie przyzna; uposażenie ich pozostawi wiernym, chyba, że w zamian zaodebranie, dawniej dla duchowieństwa uczynionych, fundacyj stosowne albo umówione przyzna wynagrodzenie; dekretów władzy duchownej wykonywać nie jest obowiązane, ale też i tamować ich nie ma potrzeby; zakony i klasztory akceptuje na równi z innemi stowarzyszeniami albo korporacyami, celu politycznego nie mającemi, ale też nie zniewoli nikogo do zachowania ślubów zakonnych; kontrolować będzie akta stanu cywilnego, nie uwłaczając bynajmniej udzielonej im sankcyi religijnej i nie nakładając na kapłanów zobowiązań niezgodnych z ich sumieniem; uzna małżeństwo bez obrządku religijnego i wymagać będzie zachowania przepisów prawa cywilnego dla związków zawartych w kościele; protegować może nauczanie wy-

---

([1]) Por. Heffter: Das moderne Völkerrecht in Gegenwart. § 40 Bluntschli: Allgem. Staatsrecht. Bd. II. 5 i Staatswort. II Bd. 331 fg. oraz III, 319 fg. M. Block: Dictionnaire Politique v. I. Paris 1873. p. 444, 445, 446, 606—609. Jules Simon: La liberté de conscience Paris. Hach. 1857. Ed. Laboulaye: Des rapports mutuels de l'église Catholique et de l'état" w Rev. de la legislat. XXII. 449 sq. Guizot: Histoire de la Civilisation en France. Paris. 1845 t. I, 3.

łącznie świeckie, ale pozostawi wolność nauczania instytucyom kościelnym, podobnie jak wszystkim osobnikom społecznym. Oto reguły „wolnego kościoła w wolnem państwie“, zasady wygłoszonej przez jednego z największych mężów stanu nowoczesnej Europy (Cavour), zalecanej przez wszystkich prawników i publicystów stojących poza obrębem walk stronniczych, wreszcie przyjętej i podług okoliczności stosowanej w bardzo wielu państwach Zachodniej Europy, nie wyłączając i Prus przed r. 1871, choć w zupełności rozwiniętej tylko w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Nie masz dostatecznej podstawy utrzymywać, że kościół Rzymsko-katolicki przeciwny jest powyższej zasadzie, lubo co do zastosowania jej różnica zdań jest nieuchronna. Gdyby nawet była pod tym względem wątpliwość, to doświadczenie skłonićby musiało Kuryą Rzymską do pogodzenia się z ową zasadą, gdyż dziś, tam właśnie najpomyślniejszy jest stan katolicyzmu, gdzie ta zasada najszerzej jest zastosowana. A jak Bayle (Pensées s. la comète) w płytkiem swojem rozumowaniu pomieszał reguły instytucyj chrześciańskich z samym chrystyanizmem i z przepisami Ewangelii to, co było tylko radą (¹), tak mniemani zapaśnicy swobód nowoczesnego społeczeństwa, w artykułach wyłącznie kościelnego porządku, chcą widzieć koniecznie wyznanie wiary politycznej.

Powiadają oni, że uchwała Soboru Watykańskiego z d. 18 Lipca 1870 r., wprowadzająca nowy dogmat Nieomylności Papieża, otworzyła oczy tym nawet, którzy za jakąbądź cenę pragnęli pojednania nowoczesnego społeczeństwa i państwa z Kościołem. Tak mówią właśnie o rządzie Pruskim, którego niesnaski z Kościołem Rzymskim zaczęły się istotnie wkrótce po ogłoszeniu owej uchwały. Byłżeby ten rząd tak naiwnym, iżby dopiero w r. 1871 dowiedział się o tej nauce, którą wielu laty przedtem w ustronnej parafii Litewskiej głosił z ambony ksiądz Prałat, opisany przez Syrokomlę — a któremu

. . . . . czupryna się najeża
Gdy kanonicznie nam rozprawia,
O nieomylnej władzy Papieża.

Nie jesteśmy teologami i zbyt słabe są wiadomości nasze w materyi tak Dogmatyki jak i Historyi Kościoła, abyśmy mogli sobie zdać sprawę z rozumowań Ojca Hyacynta albo D-rów Döllingera, Reinkensa i t. p. o zgodności czy niezgodności uchwał ostatniego soboru z zasadami i tradycyą kościoła chrześciańskiego; ale biorąc pod uwagę tylko stosunki doczesne Kościoła, a stawiając się zupełnie po-

(¹) „Lorsque le législateur (powiada Montesquieu, Esprit des Lois liv. XXIV ch. 12) au lieu de donner des lois, a donné des conseils, c'est qu'il a vu que ses conseils, s'ils étaient ordonnés comme des lois, seraient contraires à l'esprit de ses lois.

za obrębem interesów wyznaniowo-politycznych, jakie w tej sprawie poruszone zostały, musimy przyznać, że jedność, najważniejsza podstawa pomyślnego działania każdej organizacyi, ostatecznie tylko przez jednowładztwo, niekoniecznie materyalne ale formalne, osiągniętą być może. Wielowładztwo wybranych społeczeństwa w jego imieniu działających, może mieć wyższość przez rozleglejszą sferę światła wielu intelligencyj nad jednę; wszechwładztwo wszystkich członków społeczeństwa może się szczycić wszechstronniejszém, pełniejszém rozumieniem i sprawowaniem jego interesów, zkąd następuje szersze pojmowanie prawa, czyli, jak pospolicie mówią—większa sprawiedliwość. Ale jeżeli takie instytucye mogą w danych warunkach lepiéj odpowiadać zadaniom doczesnym społeczeństwa, być przydatniejszemi dla państwa, które przedewszystkiém zabezpiecza materyalne interesa społeczeństwa tak różnorodne podług okoliczności miejsca, czasu i t. d. a przeto przystępniejsze dla zbiorowéj niż dla jednolitéj organizacyi: to inaczéj mają się rzeczy w porządku moralnym, gdzie przewodniczy jedna myśl, jedna prawda, jeden systemat, którego-to porządku reguła w zasadzie swojéj jest jedna w starożytności jak i w świecie nowożytnym, na starym i nowym lądzie, w Azyi i w Europie; a ta jéj tożsamość jest tak uderzająca, że naukę mędrców pogańskich stawiano nieraz obok Ewangelii a w Wedach i Zendaweście znajdowano zasady prawdziwie chrześciańskie. Jednowładztwo, jak powiedział jeden z naszych pisarzów historycznych (¹) jest formą rzeczypospolitéj idealną; jest ona więc odpowiednia społeczności przeznaczonéj dla celów niemateryalnych jaką jest kościół. Pośród tylu burz politycznych i moralnych Zachodu Europy, cóż ocaliło Katolicyzm Rzymski, jeżeli nie jego organizacya kościelna, oparta na jednowładztwie biskupa rzymskiego (²)? Przyjmując doktrynę wyższości soboru powszechnego nad papieżem, która zapewne ma za sobą i teoretyczne i historyczne dowody, która w hierarchii katolickiéj wielu liczyła zwolenników, którą podniosły w XV wieku sobory Konstancyeński i Bazylejski a odnowił w końcu XVII-go episkopat Francuzki (³)—otwiera się nieznacznie wrota kontrowersyom, zapewne, wcale nieszkodliwym na

(¹) A. Walewski. Zdanie to jednakże nie ma zastosowania, jakie mu daje autor w stosunkach politycznych.

(²) Macaulay w przedmowie do Rankego: „Die Römischen Päpste, ihre Kirche und ihr Staat“.

(³) „Déclaration du Clergé de France, le 19 Mars 1682“, ułożona przez sławnego Bossuet'a, ogłoszona edyktem Ludwika XIV d. 23 Marca t. r. nie zaprzecza jednak wprost nieomylności Papieża, rewindykuje tylko udział Concilium powszechnego: „Quoique le pape ait la principale part dans la question de foi... son jugement n'est pourtant pas irreformable, à moins que le consentement de l'Eglise n'intervienne“ (art. 4).

polu dysput akademickich, ale niebezpiecznym, gdy wejdą w sferę stosunków politycznych.

III.

Ożywiony po r. 1848 ruch katolicki nie wszędzie występuje z równą siłą; warunki miejscowe, etnograficzne i polityczne nadają mu tu i owdzie odrębny charakter (1). W zacofanéj i nietolerancyjnéj Hiszpanii jednoczy się on z bezwzględną, ślepą reakcyą, potępiającą, narówni z excessami rewolucyjnemi, kardynalne zasady nowoczesnego społeczeństwa. We Włoszech zbyt długo absorbują go interesa czysto świeckie, których troska wiele Kościołowi ujęła powagi; po niepomyślnéj walce w obronie upadłych politycznych udzielności, katolicyzm zamyka się w biernym oporze, którego jedynym rezultatem jest przedłużenie walki bez pożytku dla zwyciężców, bez nadziei dla zwyciężonych. W Austryi, gdzie sam rząd, szukając poparcia w katolicyzmie dla swoich celów centralistyczno-germanizacyjnych, konkordatem r. 1855 zapewniwszy swobody kościoła, posunął się aż do abdykowania z niektórych praw państwa, katolicyzm pogrążył się w sennym spokoju, z którego przebudziły go dopiero po r. 1866 napaści wiedeńskiego pseudo-liberalizmu.

Charakterystyka powyżéj skreślona odnosi się szczególniéj do ziem kresowych katolicyzmu; to też i ruch nowo-katolicki najmocniéj rozwinął się tam, gdzie katolicyzm stanął o ścianę z protestantyzmem, albo gdzie duch niedowiarstwa, swawoli i moralnego rozprzężenia w rewolucyjnych swoich szrankach wyzywał go do walki. Z téj walki, która, o ile odbywa się bronią nauki i przekonania, drogą współzawodnictwa na polu oświaty, jest zbawienna i odpowiednia zadaniom nowoczesnego społeczeństwa, katolicyzm teraz, podobnie jak w wieku, który nastąpił po Reformacyi, wyszedł (że użyjemy tu języka buletynów wojennych) zwycięzko na całéj linii, a najświetniéj tam, gdzie pozostawiony samemu sobie, liczyć mógł tylko na własne siły i wiernych swoich (2).

---

(1) Do dziejów odradzającego się katolicyzmu niewiele jest należycie opracowanych materyałów. Celniejsze ze znanych nam: I. H. Reinkens: „Über den Ursprung der jetzigen katholischen Bewegung. Koln. 1872. Laurent: L'Église et l'Etat. Bruxelles. 1862. Obydwa dzieła anti-katolickie; pierwsze nawet polemiką stronniczą zupełnie schodzące z drogi poważnej krytyki. Ze strony katolickiéj: Hr. Montalembert: „Les interets catholiques au XIX siecle. Paris 1852 I. E. Joerg Geschichte der social-politischen Parteien in Deutschland. Freiberg 1867 oraz artykuły tegoż w „Historisch-politische Blatter" wyd. od r. 1871.

(2) W Austryi, przy obliczeniu r. 1850 katolicy Rzymscy stanowili 64,2%

Czynna taka działalność katolicyzmu nie mogła się obejść bez pewnych ostrości w pożyciu z rządami państw, które jakkolwiek nie były wprost przeciwne jego dążeniom, jednakże, zmierzając do jak największéj centralizacyi, która-to dążność widoczna jest naszemi czasy we wszystkich niemal państwach stałego lądu Europy, niechętnie spoglądały na wzrastający wpływ kościoła katolickiego, w którego organizacyi upatrywały dążność do utworzenia jakiegoś

---

ludności, roku 1869: 66%, we Francyi roku 1861: $95,_{5}\%$, roku 1866: 96%, roku 1872: 98%, w Bawaryi roku 1852: $70,_{5}\%$ roku 1871: $71,_{2}\%$, w Badeńskiem r. 1850: $66,_{6}\%$, r. 1871: $69,_{5}\%$. Postęp ten szczególnie jest znaczny w krajach przeważnie protestanckich: tak w Prusach r. 1855 katolicy stanowili $25,_{6}\%$, r. 1871: $33,_{5}\%$, w Hessyi r. 1852: $25,_{6}\%$, r. 1871: 27%, w Anglii r. 1851: $0._{93}\%$, r. 1871: $4,_{6}\%$. W Szwajcaryi gdzie w ogólności stosunkowy przyrost ludności katolickiéj okazuje się nieznacznym (od r. 1850 do 1870 w stosunku $40,_{4}\%$ do $40,_{6}\%$) z powodu emigracyi przeważnie pochodzącéj z wyłącznie katolickich kantonów Tessynu i Wallis, w kantonach mieszanych co do wyznania, postęp katolicyzmu jest widoczny. I tak w Kantonie Bern r. 1850 stanowią katolicy $11_{19}\%$ ludności r. 1870: 13%, w Turgowii: 24% i $25,_{1}\%$, w k. Gryzonów $42,_{2}\%$ i $43,_{4}\%$, Bazylei 19% i $25,_{7}\%$. W Genewie, kolebce kalwinizmu, gdzie jeszcze r. 1850 wyznanie to miało większość, dziś (r. 1870) stanowi ono tylko $46,_{8}\%$, katolicyzm zaś $52,_{3}\%$. Wszystko to jest dziełem ostatnich lat 20; dawniejsze czasy daleko pomyślniejsze dla katolicyzmu pod względem konstellacyj politycznych, okazują, z małemi wyjątkami, stan nieruchomy a nawet ubytek wyznawców religii katolickiéj. (Por. Legoyt. La France et l'Étranger. Paris 1865 vol. I. étude XXXI. Jahrbücher für Preuss. amtliche Statist. I. s. 111. Oettingen: „Die Moralstatistik oder Socialethik". Erlangen 1874, s. 595 ﬁg.

Uderzający jest rozwój instytucyj katolickich w warunkach wyżéj wspomnianych:

W Bawaryi	liczono r.	1847	klasztorów	161	i	972	zakonników obojga płci
„	„	1863	„	441	„	4745	„ „ „
„	„	1872	„	595	„	6264	„ „ „
w Prusach	„	1855	„	69	„	976	„ „ „
„	„	1864	„	243	„	4745	„ „ „
„	„	1869	„	833	„	6923	„ „ „
w Belgii	„	1846	„	700	„	11968	„ „ „
„	„	1856	„	962	„	14853	„ „ „
„	„	1866	„	1822	„	18098	„ „ „

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj gdzie r. 1799 była tylko jedna dyecyzya katolicka, kościół ten liczy obecnie 7 Arcybiskupów, 39 biskupów, 81 Archidyakonów, 3833 księży świeckich, 72 seminarya, 1400 szkół uczęszczanych przez 30000 uczniów, około 3000 kościołów (r. 1860 liczono 1112) a jego majątek szacują na 37 milionów dolarów (r. 1860—8973858 d.). W r. 1850 liczył ten kościół tylko 1223000 wyznawców; r. 1860 przeszło $4^{1}/_{2}$ miliona. Obecnie według przybliżonych obliczeń liczy do 10 milionów wiernych i jest najliczniejszém z mnogich tamtejszych wyznań.

Tymczasem w wyłącznie katolickiéj Hiszpanii, ze wzrastającą anarchią i rozprzężeniem dawniejszego lubo wcale niewzorowego porządku rzeczy, katolicyzm jakkolwiek ciągle uznawany za religią „wszystkich Hiszpanów" coraz bardzéj słabnie. W r. 1768 liczono w Hiszpanii 83118 zakonników i 66687 duchownych świeckich. R. 1787 77665 zakonnych i 59396 świeckich, r. 1797 ogółem stan duchowny liczył 134595 osób, r. 1857 już tylko 43661, r. 1864 39431. Klasztory liczyły r. 1837 duchownych 23935, r. 1854: 8341. r. 1864: 6843. (Por. Kolb. l. c. s. 127, 211, 604, 660, 704. Legoyt. l. c. s. 623.

status in statu. Najmniéj téj ostrości w stosunkach państwa z kościołem katolickim było właśnie w Prusach, gdzie dzięki ustalonéj od czasów Fryderyka W. tolerancyi, kościół katolicki pozyskał znaczne swobody, stosunkowo nawet większe od panującego kościoła Ewangelickiego, uformowanego w r. 1817, który miał króla za naczelnego biskupa. Stosunki administracyjne i ekonomiczne kościoła katolickiego w Prusach regulowała bulla papiezka z d. 16 Lipca 1821 r. „*De salute animarum*“ zaakceptowana przez rząd d. 23 Sierpnia t. r. Od r. 1840 zrzekł się rząd pośrednictwa w korespondencyi biskupów ze Stolicą Apostolską, a Ustawa Konstytucyjna r. 1850 w art. 16 i 18 zawarowała zupełną wolność Kościołowi w administracyi wewnętrznéj i korespondencyi z Rzymem.

Jeżeli jednak w dawniejszéj epoce przed r. 1848 drobne zatargi Rządu Pruskiego z Kuryą Rzymską trafiały się niekiedy, to od czasu zaprowadzenia konstytucyi, szczególniéj téż od wstąpienia na tron dzisiejszego króla i cesarza Wilhelma I, stosunki tych dwóch władz nic prawie nie pozostawiały do życzenia. Ani Austrya, pomimo konkordatu z r. 1855, ani Francya, pomimo załogi wojskowéj w Rzymie,—te dwa największe państwa katolickie, nie były tak dobrze

---

Czynność katolicyzmu szczególnie korzystnie okazuje się przy współzawodnictwie z protestantyzmem. W przeciągu lat 6-ciu (1858—64) w Prusach liczba świątyń protestanckich pomnożyła się o 76, katolickich o 231, pastorów o 109, księży katolickich o 442, jakkolwiek stosunek tych dwóch wyznań był 10 : 6 (Frantz: Bedeutung der Religionsunterschiede für das physische Leben der Bevölkerung, w czasopiśmie: „Jahrb. für Nationalöconomie u. Statistik“ Hildebranda. 1868 s. 48). Podług Zeitschrift de Statist. Bureau in Sachsen. 1866 s. 51 fg. na 100 parafian (dorosłych) w Saxonii przyjmowało komunię:

r. 1862	$121,_{9}$	katolików	$102,_{29}$	protestantów.
„ 1863	$124,_{84}$	„	$101,_{92}$	„
„ 1864	$130,_{02}$	„	$98,_{66}$	„

Inne świadectwo: Przed laty 20 oprócz niewielkiéj liczby czasopism poświęconych teologii i sprawom kościelnym, o prasie katolickiéj wcale nie słyszano. Dziś liczy ona przeszło 850 organów w samych Niemczech i krajach ościennych. Z téj liczby 150 przypada na Francyą, 142 na Prusy, 140 na Belgią, 85 na Austryą (Przedlitawią), 77 na Bawaryą, 53 na Szwajcaryą, reszta w Holandyi i różnych krajach niemieckich. Porównanie tych cyfr z liczbą ludności katolickiéj każdego resp. kraju pokazuje nam, że w przeważnie protestanckich Prusach prasa katolicka pomimo systematycznych prześladowań blizko dwa razy jest znaczniejsza niż w katolickiéj Austryi i prawie równa się Francyi, gdzie ludność katolicka jest cztery razy większa; że liczba tych pism w Niemczech (z wyłączeniem Austryi) w większéj połowie protestanckich jest znaczniejsza niż w dwóch największych państwach katolickich Europy, Francyi i Austryi. Stosunkowo do ludności najwięcéj przypada tych pism w Szwajcaryi (49 na milion dusz) i Hessyi (44), najmniéj w Austryi (5) i Francyi ($4,_{9}$). Wszystkie czasopisma katolickie w Niemczech, mimo niezawsze starannéj redakcyi, posiadają dostateczną liczbę prenumeratorów głównie z niższych klas ludności, do których téż po większéj części są zastosowane (Średnio na jedno pismo przypada około 2000 prenumeratorów). Najpoczytniejsze są: Opiekun domowy z Ratysbony (około 45000 prenum.) i Przyjaciel ludu z Moguncyi (35000 prenum.) Zob. „Die Katholische Presse am Neujahr 1877“. Würzburg.

widziane u Stolicy Apostolskiéj jak protestanckie Prusy. Szczególniéj też od czasu postanowionego wycofania załogi francuzkiéj w skutku konwencyi r. 1864, oraz zmiany systemu rządowego w Wiedniu, które niebawem zakwestyonowały wygodny dla Kuryi Rzymskiéj konkordat, widoki jéj polityczne, zwłaszcza widoki stronnictwa koniecznie obstającego za władzą świecką Papieża, zwróciły się głównie na Prusy. Liczono na tradycye zachowawcze polityki pruskiéj, na religijny sposób myślenia króla i łatwo pogodzono się z tém, że protestanckie Prusy wzięły górę w Niemczech nad katolicką Austryą. Polityka rzymsko-katolicka wyniosła się ponad ciasny legitymizm świeckiéj reakcyi, nic nie widzącéj poza obrębem dawnych dynastyj i dawnego *status quo*. Myśl, że dawny elekto-Brandeburski, dziedzic sekularyzowanego zakonu krzyżackiego, włoży na głowę koronę Ottonów, tak mało niepokoiła Watykan, że na wiosnę r. 1867, gdy wszczęty spór Luxemburski groził już starciem pomiędzy Prusami a Francyą, organa kościoła, *Civilta Catolica* i *Osservatore Romano* nie taiły się z życzeniami powodzenia orężowi pruskiemu, a w Sierpniu r. 1870, gdy po pierwszych porażkach armii francuzkiéj, cesarzowa Eugenia prosiła o modły papiezkie za Francyą, kardynał Antonelli oświadczył, że Papież, ze stanowiska swojego, pragnąć musi przedewszystkiém pokoju w świecie chrześciańskim, że jako pasterz wszystkich Chrześcian, nawet nie należących do Kościoła Rzymsko-katolickiego, musiałby, modląc się za Francyą, modlić się także za jéj przeciwnika.

A przecież od téj wojny, w któréj Kurya Rzymska z pewnością nie zdradziła najmniejszéj złéj woli dla zwycięzcy, owszem, może w głębi ducha stała po jego stronie i na jego tryumfie zakładała swoje doczesne widoki,—datuje niespodziany zwrot w polityce kościelnéj Prus, przejście ze stosunku zgodnego a nawet przychylnego dla Rzymskiego katolicyzmu, do jawnéj nieprzyjaźni, systematycznych prowokacyj i niepraktykowanych dotąd w tém państwie prześladowań; kiedy dowiedziano się z powszechném zdumieniem a nienajmniejszém zapewnie tych, którym ten zarzut uczyniono, że katolicyzm jest największym wrogiem Państwa Niemieckiego i—wykryto wielki spisek, uknuty niby przez Jezuitów zamierzających obalić Państwo Niemieckie z pomocą ultramontanów wszystkich krajów i tchnącéj zemstą Francyi! Dokumenta tak daleko sięgającéj konspiracyi wyjawionéj przez ks. Bismarka w Izbie Panów przy roztrząsaniu prawa o nadzorze szkolnym w Marcu r. 1872, nieprędko zapewne udzielone zostaną publiczności (jeżeli zostaną kiedykolwiek udzielone!); są jednakże fakta, o których dowiedzieć się można z dzienników, rzucające cokolwiek światła na powody, jakie miał ks. Bismark do stworzenia sobie nieprzyjaciela mimo jego woli.

Wypadki wojny r. 1870 jakkolwiek świetne dla oręża pruskiego, nie pod każdym względem pomyślne były dla polityki Bismarka.

Można powiedzieć, że stosunkowo do kampanii r. 1866, która z szybkością błyskawicy spełniła większą połowę zadania tego męża stanu, rezultaty wojny r. 1870 nie były tak wielkie. Wówczas Prusy przez zawarcie traktatów zaczepno-odpornych z d. 21 i 23 Lipca, stanęły na czele całych Niemiec z wyjątkiem Austryi, a moralnie podbiły sobie nawet Niemców austryackich; zupełne zjednoczenie Niemiec było już wówczas tylko kwestyą czasu. Obecnie, zyskały jedynie nominalne stwierdzenie téj jedności przez ogłoszenie Cesarstwa. Ta jedność na zewnątrz była niekompletna; partykularyzm austryacki okazał się silniejszym niż zdawało się dotąd, a w całéj Europie więcéj objawiło się żalu dla upadłéj wielkości Francyi, niż uwielbienia dla raptownie powstałéj potęgi Niemiec; wewnątrz—wcielenie przeciw woli mieszkańców, Alzacyi i Lotaryngii, wzmocniło tylko ujemne żywioły państwa, które nie omieszkały téż ujawnić się. Długa ta i zacięta walka z przeciwnikiem, którego łatwiéj było pokonać niż zniewolić do uznania się za pokonanego, wywołała głuchą niechęć w massie narodu, co poraz pierwszy poznał ciężar organizacyi pruskiéj na stopie wojennéj. Była ona popularna w Niemczech, dopóki szło o odparcie napaści, o odpowiedź na lekkomyślne wyzwanie od reprezentanta dynastyi, z któréj nazwiskiem, bardziéj jeszcze niż z nazwiskiem Francyi, Niemcy łączyły tradycyą *dziedzicznego wroga:* ale zapał, obudzony nadspodziewanemi powodzeniami oręża pruskiego, znacznie się ochłodził, gdy te nadzwyczajne zwycięztwa, przysparzając wciąż klęsk nieprzyjacielowi, nie przynosiły zwycięzkiemu narodowi tego, czego on w duszy najwięcéj sobie życzył, t. j. pokoju. Echem tego niezadowolenia stali się socyaliści, a w cichości powtórzyli je liczni, acz zagłuszeni odgłosem tryumfów pruskich, partykularyści Południowych Niemiec i przemocą annektowanych do Prus krajów. Ale, jeżeli w sferach, gdzie dobrodziejstwa pokoju ceni się więcéj niż sławę krwawo okupionych zwycięztw „utkwione na fortach paryzkich chorągwie pruskie, mierne sprawiały rozkosze"; to z drugiéj strony pokój, który zamknął ten pochód sławy, nie ze wszystkiem téż zadowolnił stronnictwo prusko-wojskowe i sfery dwór otaczające. W tych sferach wojna z Francyą uważana była nietylko jako konieczność usunięcia najbliższego przeciwnika jedności niemieckiéj, ale jako odwet za Jenę i Frydland, niedostatecznie pomszczone walkami r. 1814 i 1815; jako wymierzenie ostatniego ciosu hydrze rewolucyjnéj, któréj jaskinią (w ich opinii) była zawsze Francya, bądź republikańska, bądź cesarska. W tych sferach już zaraz po pierwszych zwycięztwach w Sierpniu r. 1870, mówiono, że pokój tylko w Paryżu może być podpisany, gdyż (jak utrzymywano) Francya, która peryodycznie co kilkanaście lat obala u siebie dynastyą i formę rządu, nie może być traktowana na równi z państwami mającemi rząd prawowity; więc dopiéro z rządem, za pomocą oręża niemieckiego zaprowadzonym w Paryżu, stały pokój mógłby być

zawarty ([1]). W sferach tych miano za złe Bismarkowi, że pozwolił na zaprowadzenie we Francyi rzeczypospolitéj, która już z zasady nie mogła mieć dobrych stosunków z monarchicznemi Prusami, że nie korzystał ze sposobności przywrócenia we Francyi takiego rządu, któryby będąc winien Niemcom swoję egzystencyą, pozostawał w zależności od nich, a przeto dawał rękojmią trwałego pokoju; chętniéj za to zgodzonoby się może sfolgować Francyi w kontrybucyi a nawet w ustępstwach terrytoryalnych. Krytykom tym dalszy bieg wypadków nadał przynajmniéj pozorną słuszność. Po niesłychanych klęskach Francya podźwignęła się szybko; zasobność jéj przeszła wszystko to, co wyobrazić sobie można było; zamęt w stosunkach politycznych nie przeszkodził pomyślnemu ze wszech miar rozwojowi; a przy takich warunkach, myśl odwetu stawała się coraz mniéj nieprawdopodobną.

Insynuacye powyższe stronnictwa junkrów i kamarylli, jakkolwiek zbyt miałkie, aby mogły obalić systemat, który doprowadził Niemcy do szczytu potęgi, były jednak cokolwiek niebezpieczne dla polityki księcia-kanclerza, bo pochodziły ze sfer, z któremi łączyły go tradycye, nawyknienia, stosunki rodzinne i towarzyskie,—do których należeli ludzie posiadający osobiste jego zaufanie, a w których tradycye staropruskiego konserwatyzmu łączyć się zaczynały z obudzającą się zawiścią, jaką wznieca każda nowowzniesiona wielkość. Niejednokrotnie objawiany antagonizm barona Manteuffel'a osobistego przyjaciela cesarza i głośny późniéj proces hr. Arnima nie pozostawiają najmniejszéj wątpliwości o tych robotach zakulisowych, które długi czas po wyniesieniu Bismarka na godność kanclerza Cesarstwa, usiłowały zdyskredytować jego politykę i zmienić, jeżeli

---

([1]) Jeżeli wierzyć ówczesnym dziennikom, taka miała być odpowiedź króla Wilhelma na propozycye rozjemstwa czynione zaraz po bitwie pod Gravelotte (18 Sierpnia). Dosyć charakterystyczny komentarz téj odmowy podaje artykuł współczesny gazety *Ostsee-Zeitung:* „Strategicznie wojna teraz już jest skończona, gdy jedna armia Francuzka, rozbita w samym początku kampanii, w stanie zupełnéj dezorganizacyi błąka się, ścigana przez naszych po drodze do Paryża, druga najważniejsza, zdziesiątkowana naszemi zwycięztwami, przyparta do murów Metzu, stoi ubezwładniona. Czy jednak będziemy mieli zaraz pokój? Nie! pokój może być zawarty dopiero w Paryżu. Bo z kimże będziemy traktować o pokój? Ten *drapieżnik krwią skalany,* który zdradziecko nas wyzwawszy, zdradził też swój naród, bo wojny potrzebował nie dla dobra kraju, ale dla umocnienia swego despotyzmu, Ludwik Bonaparte, czy może być uważany przez nas za naczelnika państwa, z którym, jako równym sobie, nasz monarcha traktować będzie? Nie, zaiste! Weźmiemy miliard kontrybucyi, odbierzemy odwieczne nasze prowincye Alzacyą i Lotaryngią: to należy się nam z prawa wojny, jako nagroda zwycięztw i zapłata naszéj krwi przelanéj, to jest wymaganiem historyi, prawa narodowego i rękojmią bezpieczeństwa naszéj zachodniéj granicy! Ale przysłużymy się też Francyi nadaniem jéj takiéj władzy naczelnéj, jakiéj ona potrzebuje i która zamknie nazawsze erę rewolucyi i niepokojów całéj Europy. Tego naczelnika państwa sami Francuzi nam wskazali. Leopold ks. Hohenzollern musi być królem Francyi!“

nie systemat, który narzucał po części sam bieg wypadków, to osobę sterem rządu kierującą.

Kiedy tak ponad głową kanclerza gromadziły się chmurki, grunt pod nim nie stawał się bynajmniej mocniejszym. Przez połączenie krajów Południowo-Niemieckich z dawniejszym związkiem Północno-Niemieckim partykularyzm otrzymywał nowe, silne żywioły. W Północnych Niemczech, zwłaszcza w krajach pruskich, stronnictwa były liczne, ale samo rozbicie się ich przy braku samodzielności ważniejszych z pomiędzy nich, sprawiało, że rząd czynny i energiczny, korzystając z wrażenia sukcesów jego polityki zagranicznej, mógł łatwo dać sobie radę. Z pominięciem drobnych odcieni, były tu trzy główne stronnictwa, z tych dwa liczebnie przeważne były prawie równe siłami: konserwatywne i liberalne albo narodowo-liberalne, z którém łączyła się frakcya liberalno-demokratyczna czyli t. z. postępowa. Trzecie stronnictwo było katolickie, ważne nie tak liczbą, która wówczas była niewielka, jak spojnością i większą samodzielnością od konserwatystów pruskich, z którymi w ogólnych zasadach polityki było dotąd zgodne; ale miało własne swoje zdanie, podczas gdy dla owych konserwatystów jedyną regułą było: iść bezwarunkowo za rządem.

Inne były stosunki w południowych Niemczech. Tu oprócz drobnéj frakcyi demokratów i socyalistów, istniały tylko dwa stronnictwa: *liberalne*, które zaraz po kampanii r. 1866 oświadczyło się za najściślejszym związkiem z Prusami, i stronnictwo *partykularystyczne*, które w Bawaryi nosiło nazwę *patryotów*, a któremu owi *liberalni* dawali przezwisko *ultramontanów*, z powodu, że stronnictwo to rekrutowało się głównie pośród ludności wiejskiéj, gdzie wpływ duchowieństwa przeważał.

W takiém położeniu rzeczy polityka Ks. Kanclerza miała do wyboru: albo wesprzeć się wyłącznie na stronnictwie liberalnem i przez poślubienie jego upodobań, uczynić je uległem narzędziem dla swoich celów i utworzyć z niego falangę przeciw otwartéj opozycyi partykularystów i ukrytéj złéj woli wyższych sfer prusko-konserwatywnych; albo téż, nie zrywając z oddaném sobie stronnictwem liberalném, pozyskać partykularystów ustępstwami w kwestyach wprost interesu państwa niedotyczących, aby w miarę potrzeby mieć z nich, łącznie z całem stronnictwem zachowawczém, przeciwwagę liberalistom, z którymi łączył kanclerza chwilowy tylko interes, nie zaś sympatya ani téż zgodność przekonań.

Za tą ostatnią drogą przemawiały nietylko dawne tradycye pruskie, nietylko usposobienia najwyższych sfer państwa, a nawet może osobiste przekonania samego kanclerza; ale nadto odpowiadała ona ostatecznemu zadaniu jego polityki, którém nie mogło być chyba nic innego jeno uzupełnienie jedności niemieckiego państwa przez wcielenie do niego krajów dotąd jeszcze znajdujących się poza jego obrębem. Nie należy przytém sądzić, że partykularyzm przeciwny

jest zjednoczeniu politycznemu narodu niemieckiego; opozycya jego skierowana jest tylko przeciwko bezwzględnéj centralizacyi, nic sobie nie robiącéj z historycznych i miejscowych odrębności, w któréj-to centralizacyi słusznie może upatruje raczéj prusyfikacyą Niemiec niż wlanie Prus, podobnie jak innych krajów niemieckich, w ogólną całość narodową. Owszem, jedność tę wspomnione stronnictwo przyjmuje w rozmiarach szerszych niż niedalekowidzący pruski narodowo-liberalizm. Tradycya jego, sięgająca czasów, które poprzedziły utworzenie Północno-Niemieckiego związku, miała za punkt wyjścia wielkie zjednoczone Niemcy, obejmujące to wszystko, co w historycznym porządku należało do Niemiec, a więc bez wyłączenia krajów niemieckich Austryi. W takiém zjednoczeniu bezwzględna hegemonia pruska, oczywiście, zmalałaby niezmiernie; Prusy stałyby się mniéj więcéj tém, czém był Piemont we Włoszech; nie byłoby już patryotów anti-pruskich, ale byłyby całkiem nieszkodliwe frakcye partykularystyczne, pruska, nadreńska i t. p. tak dobre jak bawarska albo saska, które swojém współzawodnictwem równoważąc się wzajemnie, wspólnie dopomagałyby do umocnienia jedności narodowéj. Interesa religijno-kościelne, z których obecna polityka Ks. Kanclerza zrobiła zaporę zjednoczeniu politycznemu, byłyby właśnie podnietą do jego przeprowadzenia, choć, oczywiście, w odmiennych już warunkach; gdyż w Niemczech, w całości zjednoczonych, stronnictwo katolickie przy dzisiejszéj konstytucyi sejmu niemieckiego (która dla niego jest dogodna), przy udziale dzisiejszych partykularystów północno-niemieckich a po części i pruskich konserwatystów,—miałoby stanowczą większość, któréj silna organizacya tego stronnictwa i jego samodzielność nadałyby mu bezporównania większą powagę niż bardzo luźny związek frakcyj liberalnych utrzymywany dotąd (dziś już po części zerwany) wspólną im regułą „trzymania się chociażby klamki“ rządowéj.

Lecz jeżeli wyższe zadania polityki, słuszność i logika, oprócz innych jeszcze względów, wyraźnie taką drogę wskazywały Ks. Kanclerzowi, to praktycznie przedstawiała ona dla niego wielkie trudności. Utrzymanie harmonii pomiędzy dwoma wprost przeciwnemi sobie obozami, które-to przeciwieństwo sam bieg wypadków coraz ostrzéj zarysowywał, wymagało szczególnéj umiejętności dyplomatycznéj, zupełnie obcéj zwyczajom i charakterowi pruskiéj polityki. Nie można jéj odmówić wielkiéj zręczności opartéj na dokładnéj znajomości tych, z któremi ma do czynienia, umié ona machiawelizm okrasić pewną dozą pozornéj dobroduszności; ale jak zręczną jest w korzystaniu z cudzéj gnuśności albo ślepoty, jak dzielnie umié schlebiać żądzom lub straszyć niedołęgów, tak nie ma powodzenia, ilekroć wypadnie jéj działać poza obrębem téj sfery, gdzie najskuteczniejszym środkiem jest przemoc. Słusznie też powiedział marszałek Moltke w mowie przy dyskussyi budżetu wojskowego w Lutym r. 1874, że Prusy w obecnéj chwili nie mają ani jednego

wiernego sprzymierzeńca, a wszędzie znajdują zawistnych lub niechętnych, skrytych lub jawnych nieprzyjaciół. Polityka pana Bismarka jest arcy-pruska, tylko wyzwolona z więzów staro-pruskiéj, doktrynerskiéj prawowitości. Tym sposobem przez sojusz pruskiego militaryzmu z niektóremi żywiołami europejskiéj rewolucyi, wiernym, choć przypadkowym, jéj pierwowzorem stał się Napoleon I. Ma ona tę jego prawdziwią żołnierską szorstkość, powierzchowną otwartość skrywającą niewyczerpany zapas chytrości, jest arcy-praktyczną przy skomplikowanym nieraz planie; za nic sobie ma względy humanitarne, ceni tylko doraźną, czynną, przeważnie materyalną siłę; dla niéj téż jest oględną a nawet, o ile możności, ustępną, przeciwnie, żadnych nie zna względów dla słabych, z którymi chociażby tylko przypadkowy zbieg okoliczności postawi ją w sprzeciwieństwie. Jest ona nawet surowsza, bardziéj samolubna niż rewolucyjny cezaryzm Napoleona I. który na schyłku złotego wieku krótkotrwałych swoich dziejów, przypisywał sobie spełnienie w nowożytnym świecie posłannictwa starego Rzymu:

Hae tibi erunt artes, pacisque imponere morem,
Parcere submissis et debellare superbos.

Polityka ks. Bismarka, jak dotąd, zamyka się wyłącznie w sferze interesów swego narodu, może dla tego, że jest więcéj skrępowana tak duchem czasu nakładającym na działania największych nawet potentatów kontrolę opinii publicznéj, jakotéż i stanowiskiem swego kierownika, który nie jest najwyższą osobą w państwie, choć jest jego najpierwszym sternikiem. Być może za to, że działa powolniéj, ma zadanie prostsze, widoki skromniejsze; łatwiéj uchroni się od tych błędów, które pochód wielkiego dramatu Napoleońskiego skierowały ku katastrofie.

Z takiém usposobieniem i przy takiéj regule postępowania, niepodobna było Ks. Kanclerzowi lawirować pomiędzy stronnictwami. Mógł on tylko, jak dotąd zwykle, nie robić sobie nic ze wszystkich, ufając tylko sile swojego rządu, albo téż stanąć otwarcie po jednéj stronie, dopomagając jéj do zgniecenia przeciwnika całym ciężarem swojéj przewagi. Pierwsze atoli, w obec wyż wspomnianego stosunku p. Bismarka ze stronnictwem wojskowem, było bardzo trudne. Stronnictwo, które wojnę r. 1870 uważało za dokończenie wojny przeciw rewolucyi francuzkiéj, nie widziało już żadnego zadania dla państwa Niemieckiego prócz owéj *Wacht am Rhein* mającéj czuwać, czy na zgliszczach pożaru rewolucyjnego Paryża nie tleją jakie iskierki, których rozbłysk da okazyą Prusom w widokach zapobieżenia ponownemu pożarowi, rzucić znowu nad Sekwanę zwycięzki swój miecz, aby tam uzupełnić to, o czém zapomniał pokój Frankfurcki i zaprowadzić w osobie jakiego Burbona, jeżeli nie Hohenzollerna rząd „bojaźni Bożéj i zacnych obyczajów“. Zdaniem tych

panów, zgromienie Francyi otwierało nową erę nietylko dla Niemiec, ale i dla całéj Europy, która miała być poprawném wydaniem ery r. 1815, w ten sposób, że w nowém Świętém Przymierzu monarchów i rządów konserwatywnych, Prusy, a za niemi Niemcy, miały zająć stanowisko dominujące.

Zbyteczna rzecz tłómaczyć, że idee takie nie mogły mieć żadnéj praktycznéj podstawy, dla tego, że myśl dimarchii, która już za Napoleona I, w daleko pomyślniejszych warunkach, okazała się niemożebną, dziś, gdy interesa państwowe i narodowe wszędzie przeważają ponad względy dynastyczne, tradycyi i zasad politycznych, każdemu, kto ma jakiekolwiek wyobrażenie o stosunkach i interesach państw dotyczących, myśl owa okaże się czystą mrzonką, tak samo, jak powrót do zasady prawowitości, na któréj Prusy więcéj może, niż którekolwiek państwo, straciłby mogły. To też projekta, z owych sfer pochodzące, nigdy, ilekroć zjawiały się, nie znajdowały nawet początku wykonania. Sam wódz tego stronnictwa, marszałek Manteuffel, mierny dyplomata, mierniejszy jeszcze strategik, a najsłabszy może statysta (dziś podobno przejednany dla polityki ks. Bismarka, czy też zrezygnowany?) straciwszy sam wiarę we własne zasady, z żalu za niemi, czy przez zawiść dla szczęśliwszego swego współzawodnika, któremu nie mógł darować, że ten, komu wpływem swoim u dworu pomógł do wyniesienia się, okazał się wyższym od swego protektora (1),—nie mogąc postawieniem własnego programu wystąpić otwarcie przeciw systematowi ks. Bismarka, usiłował, wraz ze swoją koteryą, podjazdowym sposobem krzyżować jego działania. Wiadomo powszechnie, jak baron Manteuffel, który w r. 1866 najmocniéj sprzeciwiał się wojnie z Austryą, upatrując w niéj wyraźne niebezpieczeństwo dla monarchii Pruskiéj, po świetnym rezultacie téj wojny, ubolewał nad losem Niemiec, rozbitych przez wyłączenie Austryi, dowodził, że Prusy postawione zostały pomiędzy młotem a kowadłem: Austryą, pałającą zemstą za Sadowę, i Francyą, zawiedzioną w obietnicach, jakie jéj czynić miał Bismark kosztem drobnych państw niemieckich. Jednocześnie starał się umocnić przekonanie króla i sfer wpływowych w Berlinie, że wojna z Francyą jest koniecznością utrwalenia jedności Niemiec; a w kwestyach Luxemburskiéj i Szlezwickiéj opierał się najmocniéj wszelkim ustępstwom dla Francyi. Kiedy wybuchła wojna r. 1870, łącząc się z chórem tych, którzy nie chcieli podpisać pokoju jak tylko w Paryżu a zabór Alzacyi i Lotaryngii uznawali za konieczność strategiczną, późniéj, jako dowódca korpusu okupacyjnego we Francyi, usiłował

(1) Co do dawniejszych stosunków tych dwóch mężów stanu zob. *Fürst Bismark, eine Biografische Studie* w czasop. *Unsere Zeit. t. VII. Leipzig* 1871, oraz Bamberger: *Herr v. Bismark. Breslau*, 1868.

rozpowszechnić przekonanie, że nikt inny tylko ks. Bismark jest autorem tak twardych dla Francyi warunków pokoju.

Okoliczności te dziejów zakulisowych, zlekka natrącone w dziennikach, po części już ujawnione z dokumentów sławnego procesu Arnima, pozwalają się domyślać, że ks. Bismark gdzieindziéj niż w sferze dawnych swoich przyjaciół szukać musiał poparcia do przeprowadzenia swoich rozległych, a dziś jeszcze wcale niespełnionych, planów. Ciosy, skrycie wymierzane na niego z góry, należało odwrócić oparciem się na mocnéj podstawie popularności i wielkiego zaufania narodu; intrygi osobiście niechętnych i zawistnych zagłuszyć donośnym aplauzem jego polityce ze strony opinii publicznéj; wreszcie odebrać przeciwnikom swoim wszelkie widoki korzystania z jego ewentualnego upadku, wtrąceniem polityki państwa na nowe tory, na których następcy jego niby nie pozostawało innego, jeno daléj prowadzić skrytykowane przez nich dzieło.

Że w takich okolicznościach, mając wybór pomiędzy dawniéj sprzymierzoném z nim stronnictwem zachowawczém, a nowo pozyskaném, narodowo-liberalném, Ks. Kanclerz złączył się stanowczo z tém ostatniém, to bardzo łatwo wytłómaczyć się daje. Stronnictwo zachowawcze, a przynajmniéj część jego prusko-konserwatywna, miała za sobą sfery dworskie i arystokratyczno-wojskowe, gdzie była właśnie główna kwatera skrytych osobistych nieprzyjaciół pana kanclerza. A przytém miało ono przewagę, i to względną, tylko na sejmie pruskim, na sejmie zaś państwa Niemieckiego było już w mniejszości. Zresztą stronnictwo to, w Niemczech Północnych uległe dla rządu, w Zachodnich i Południowych składało się głównie z t. z. ultramontanów, czyli katolików, ściśle skojarzonych z partykularystami, choć niezupełnie z nimi identycznych. Zaraz po otwarciu Sejmu Państwa Niemieckiego okazało się, że rząd nie może opierać się na żadnym z tych żywiołów zachowawczych. Pruski konserwatyzm, przywykły do bezwarunkowego trzymania z rządem, poza obrębem sfer biurokratycznych i wojskowych okazał się zupełnie bezwładnym. Ultramontanizm miał za zadanie obronić niezależność Głowy Kościoła zagrożoną, jeżeli już nie zniweczoną, przez tryumf rewolucyi w stolicy katolicyzmu; w związku z partykularyzmem stanowił on siłę, z którą każdy rząd, zwłaszcza zachowawczy, musiałby się liczyć. Ale tém trudniejsze być musiały układy z tém stronnictwem rządowi, nawykłemu do zupełnéj sobie uległości. Rozwiały się téż, zanim projekt ich ułożyć zdołano. Gdyby nawet stronnictwo katolickie mogło bez żadnych skrupułów zerwać odrazu związek, łączący je ze zwolennikami dawnego porządku w Niemczech, to nie pozwoliłby na to brak dobréj wiary, jakiego doświadczyło ze strony rządu Kanclerza Niemieckiego.

IV.

Jeszcze na początku kampanii r. 1870, gdy załoga francuzka opuściła państwo Kościelne, Kurya Rzymska starała się, za pośrednictwem Niemieckiego episkopatu, pozyskać protektorat potężnego pana Północnych Niemiec. Propozycye te znajdowały wcale życzliwe przyjęcie w sferach dworskich, nietylko dla tego, że zgadzały się ze sposobem myślenia pobożnego monarchy, który zwycięztwa swoje przypisywał zrządzeniu Opatrzności, a jakkolwiek protestant i naczelny zwierzchnik ewangelickiego kościoła w swojém królestwie, dla katolicyzmu był zawsze z poważaniem i przychylnością; ale i dla tego, że odpowiadały téj tradycyi politycznéj, która, po zapewnioném już zwycięztwie nad Francyą, czyniła go naturalnym spadkobiercą Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Wszelako względy praktyczne i formalne skłaniały do odłożenia na późniéj tego planu. Pośród zaciętéj i na długie jeszcze czasy zanoszącéj się wojny z Francyą, zwyciężoną, ale jeszcze niezłamaną, wobec Austryi, którą tylko zupełna klęska Francyi odwiodła od zamiaru powetowania Sadowy, było nieroztropnem narażać sobie Włochy, gdzie nie rząd, nie opinia publiczna, ale sam król Wiktor Emanuel nie mógł zapomniéć o sprzymierzeńcu z r. 1859, któremu głównie winien był koronę włoską. Była téż pewna niestosowność, w tém, żeby król protestancki podejmował inicyatywę podźwignięcia świeckiéj władzy głowy kościoła katolickiego. Względy te, a może przewidywany już w planach pana Bismarka sojusz z przeciwnikami katolicyzmu, sprawiły, że, nie odrzucając propozycyi Kuryi Rzymskiéj, Rząd Pruski uchylał się od dania jéj stanowczego skutku. Poseł Północno-Niemiecki w Rzymie, hr. Arnim, łudził Dwór Watykański obietnicami. Z początku poufnie zapewniał, że rząd królewski użyje swego wpływu na króla Wiktora Emanuela, aby nie dopuścić najazdu na szczątek Państwa Kościelnego. Gdy zaś najazd nastąpił, obiecywał potężne pośrednictwo swego monarchy na kongresie państw katolickich, który przewidywała sama ustawa rządu Włoskiego o gwarancyach dla Stolicy Apostolskiéj. Dawał nawet do zrozumienia, że Francya, gdzie wybory do Zgromadzenia Narodowego w Lutym r. 1871 pozwalały przewidywać restauracyą monarchiczną, w zamian za delegacyą do przywrócenia władzy Papiezkiéj, uzyska od rządu Cesarsko-Niemieckiego znaczne ustępstwa w warunkach pokoju.

W rokowaniach tych trzymano się wiernie owéj tradycyjnéj pruskiéj polityki, która, pozyskawszy życzliwą neutralność Francyi w r. 1866, gotowała temu państwu ciosy, jakie je spotkały w r. 1870. Póki stanowczo nie odrzucono myśli posiłkowania się stronnictwem katolickiem w sprawie zjednoczenia Niemiec, póki nie zdecydowano się na przeprowadzenie tych planów z pomocą giętkie-

go i usłużnego narodowo-liberalizmu,—póty utrzymywano jaki taki *modus vivendi* ze Stolicą Apostolską. Tylko w cichości podsycano przeciwko stronnictwu katolickiemu antagonizm reprezentantów mieszczańskiéj koteryi, gdy ci, z krótkowidzącém sobkowstwem, a raczéj w poziomém służalstwie, upozorowaném abnegacyą patryotyczną, czyniącą niby ofiarę z „wolności dla jedności", otwarcie wyrzekali się własnych zasad dla pozyskania sobie rządu.

Rok 1871 przeszedł na ciągłych wycieczkach stronnictwa liberalnego przeciw katolicyzmowi i frakcyi *centrum*, dosyć wyraźnie popieranych przez rząd, który jednak ciągle trzymał się na uboczu. W różnych zajściach, wywołanych przez secessyą starokatolicką, i w skutku cenzur kościelnych na duchownych, opierających się uchwałom Soboru i rozkazom władzy swéj zwierzchniéj, rząd, nie wchodząc w istotę zajścia, stawał po stronie dotkniętych cenzurami Kościoła teologów, powołując się na wolność sumienia i osobistą niezależność każdego obywatela w granicach praw państwa. Oględniéj, lubo widocznie w tymże duchu, dana była odpowiedź cesarska (d. 18 Października r. 1871) na adres biskupów Pruskich w obronie szanowanéj dotąd w tém królestwie wolności kościoła. Zawierała ona nawet stanowczą zapowiedź przepisów, mających usunąć zajścia między władzą świecką a kościelną, o których znaczeniu dała niebawem wskazówkę uchwała Sejmu Niemieckiego d. 28 Listopada r. 1871 o artykule dodatkowym do Kodeksu Karnego, dotyczącym nadużyć ambony (*Kanzelparagraph*).

Był to jednak dopiéro prolog dramatu, którego pierwszy akt zaczął się od powołania na ministra wyznań d-ra *Falk'a*, pierwszego i jedynego dotąd reprezentanta narodowo-liberalizmu w rządzie pruskim, w miejsce nienawistnego temu stronnictwu prawowiernego protestanta, ale bardzo umiarkowanego dla katolicyzmu, d-ra *Mühler'a* (¹). Stronnictwo narodowo-liberalne powitało w tym nowym ministrze ziszczenie najgorętszych swoich pragnień; w sferach rządowych bowiem wszystko było dotąd albo prusko-konserwatywne, albo poprostu bez żadnych wyraźnych opinij, bezwarunkowo uległe temu, co myślał i postanowił naczelnik rządu. W mniemaniu więc narodowo-liberalnych nominacya dr. *Falk'a* była dowodem stanowczego zwrotu rządu ku ich stronnictwu, które już marzyło o pochwyceniu pożądanéj władzy. W rzeczywistości zaś szło o pozbycie się zdolnego w urzędzie, ale nieco sztywnego ministra, osobiście niemiłego ks. kanclerzowi, dla stosunku z nieprzyjaznemi mu kołami: dworskiém, arystokratyczném i wojskowém; oraz — o zastąpienie go całkiem

(¹) Niechęć do tego dygnitarza ze staropruskiéj urzędowéj sfery, była tak wielka, że humorystyczny *Kladderadatsch* proponował, żeby w zamian za kontrybucyą wojenną, ukarać Francyą zobowiązaniem jéj do oddania na lat kilka teki ministra wyznań i zdrowia publicznego D-rowi *Mühler!*

oddaną sobie kreaturą, odpowiednią do zadań danéj chwili. Dalszy bieg rzeczy pokazał jasno, że panu kanclerzowi ani się nie śniło pozbywać dogodnych mu fachowych pomocników — i to, czego się spodziewali narodowo-liberalni, było ich własném złudzeniem.

Ten pierwszy akt dramatu, którego najwydatniejsze sceny stanowią: uchwała Izby deputowanych pruskiéj o nadzorze szkolnym z d. 11 Marca 1872 r. i oparte na niéj postanowienie królewskie z d. 15 Czerwca t. r. usuwające zakony od udziału w wychowaniu publiczném, wreszcie banicya Jezuitów, uchwalona na Sejmie Niemieckim d. 4 Lipca t. r., — jest stanowczą epoką w dziejach polityki kanclerza Niemieckiego. Z walką z katolicyzmem, wypowiedzianą wewnątrz państwa, w dziwnéj staje symetryi zwrot napozór arcypokojowy polityki zewnętrznéj, zawiązanie sprzymierza trzech cesarstw, niby inaugurowanego na zjeździe Berlińskim we Wrześniu r. 1872. Właściwe znaczenie tego trój-cesarskiego sprzymierza, o którego trwaniu dziś jeszcze zapewniają, pozostaje ciągle bardzo sporném. Zdaje się jednak, że pomimo licznych komentarzy, mało dotąd zwrócono uwagi na jego stosunek do „Walki o kulturę“ a przynajmniéj na rzeczywisty związek w tym względzie wewnętrznéj polityki ks. Bismarka z zewnętrzną. Cokolwiek światła na tę kwestyą rzuca rozpatrzenie się we współczesnych stosunkach politycznych i rokowaniach, które poprzedziły zjazd Berliński.

Pogrom Francyi nie był wcale rozwiązaniem kwestyi, nie tylko Europejskiéj, ale nawet Niemieckiéj. Zapewnił on chwilowy pokój, ale tylko o tyle, o ile żadne już państwo, z wyjątkiem chyba Rosyi, nie było zdolném do stawienia czoła potędze pruskiéj; dokonanie jednak dzieła pana Bismarka pozostało jeszcze zadaniem przyszłości. Umysły przenikliwe, a p. Bismark jest nim niezawodnie, widziały dobrze, że świetna konstellacya, jaka zajaśniała na horyzoncie politycznym Niemiec w początku r. 1871, niedługo przyświecać mu będzie; że Francya, jako posiadająca zasoby rzeczywistéj potęgi, nie będzie potrzebowała zbyt wiele czasu do podźwignienia się po doznanych klęskach, a w żądzy powetowania ich, chętnie poświęci tradycye swéj polityki i narodowe sympatye, dla pozyskania sprzymierzeńca, którego sam bieg wypadków jéj wskaże. Wiedział téż p. kanclerz, że jak koła dworskie i wojskowe Wiednia nie zapomniały o sprzymierzeńcu z r. 1849, a wcale nie wyrzekły się stanowiska Austryi przed kampanią r. 1866, tak i drugie mocarstwo, mimo najlepszych chęci dla „stuletniego swego przyjaciela“, w razie wznowionéj akcyi nad Renem, nie pozostanie tak bezczynnym widzem, jak to uczyniło w r. 1870, wbrew przeważnéj większości opinii publicznéj, która dla swego kraju widziała szkodę, a nawet niebezpieczeństwo, w przeniesieniu środka ciężkości polityki europejskiéj z Paryża do Berlina.

Tę ewentualność koalicyi austro-rosyjsko-francuzkiéj zawczasu przewidział pan Bismark i uprzedzając sam jéj pomysł, podług zasad

prawidłowéj strategii, zaczął od uderzenia w najsłabszą jéj stronę. Jeszcze wrzała z całą mocą wojna Niemiecko-Francuzka, gdy kanclerz nowego państwa Niemieckiego, w notyfikacyi urzędowéj z d. 14 Grudnia 1870 r., otworzył drogę do przyjaznych stosunków tego państwa z Austryą. Działanie jego w téj stronie zyskało zupełne powodzenie. Czysto podmiotowe względy odwetu za Sadowę musiały ustąpić przed niezbitym argumentem konieczności własnego zachowania, która wymagała stanowczego oświadczenia się bądź za Prusami, bądź za Rossyą, podczas gdy sojusz z tą ostatnią stał się nadzwyczaj trudnym, nietylko z powodu oziębnięcia stosunków tych dwóch mocarstw od r. 1866, ale z powodu zbyt jawnéj sprzeczności interesów oraz wstrętu do niego głównych narodowości Austryi i panujących stronnictw. Stanowczemu zbliżeniu się Austryi ku Prusom nie przeszkodziły: ani dawny antagonizm ówczesnego kierownika polityki austryackiéj, hr. Beusta, ani ministeryum federalistyczne hr. Hohenwarta; owszem to ostatnie sprzyjało może pomimowolnie widokom pana Bismarka, gdyż powstała przeciwko temu ministerstwu agitacya Niemiecko-liberalnego stronnictwa pokazywała, że prawomyślność austryackich Niemców, a przynajmniéj mieszczaństwa, jest zależna od systematu rządowego, zapewniającego im przewagę w Przedlitawii.

Jaki był przedmiot konferencyj, rozpoczętych we Wrześniu r. 1871 w Ischl i prowadzonych daléj w Salzburgu, to może wyświeci dalszy przebieg agitującéj się dzisiaj kwestyi Wschodniéj. Tymczasem musimy poprzestać na (większéj czy mniejszéj wiarogodności) komentarzach dzienników inspirowanych, które najpierw zapewniały, że przedmiotem owych rokowań była protekcya żydów Rumuńskich i przedsiębierstw kolejowych p. Stroussberga, oraz obmyślenie środków przeciwko Międzynarodówce; potém zaś, już po zjeździe Berlińskim, z powagą proroków faktu spełnionego, odkryły, że w Salzburgu dokonany został wstęp do trój-cesarskiego sprzymierza; a to zgodnie z sentencyą, wygłoszoną przez pana Beusta o „przyjaciołach naszych przyjaciół".

Ile zaś miały podstawy alarmy, podniesione wówczas przez pewną część prasy rosyjskiéj; czy jest prawdą, co na wiosnę r. 1871 miał mówić ks. Bismark hr. Bray'owi, co hr. Bray udzielił d-rowi Joerg, i co znowu ten otwarty oponent polityki ks. kanclerza tak niedyskretnie obwieścił na sejmie Niemieckim w Listopadzie r. z.; czy te konferencye miały jaki wpływ na rychły potém upadek ministeryum Hohenwarta i zastąpienie Beusta przez Andrassego, który jako Węgier mógł nie żałować stanowiska Austryi z czasu przed kampanią r. 1866; czy prawdą jest, że trójcesarski zjazd z Września r. 1872, który nastąpił zamiast poprzednio projektowanego spotkania się dwóch dawniejszych przeciwników z r. 1866, czy ów zjazd był szachem, zadanym kombinacyom kanclerza Niemieckiego przez dyplomacyą Petersburską, dzięki nieprzyjaznym mu wpływom na

dworach Berlińskim i Wiedeńskim, które przynajmniej na czas pewny odwiodły p. Bismarka od urzeczywistnienia daleko sięgających planów ([1]); czy prawdą jest wreszcie, że wielki tryumf polityki kanclerza Niemieckiego, jaki dzienniki Niemieckie opiewały w trójcesarskim związku, był tylko zamaskowanym odwrotem: wszystko to dziś jeszcze jest polem rozległych domysłów. To widoczna, że łącznie z zapewnieniami owych dzienników, iż zjazd Berliński miał na celu pośrednictwo Niemiec w zbliżeniu Austryi do Rossyi, na podstawie zaakceptowania przez Austryą polityki kościelnéj, podjętéj przez Prusy,—łącznie z temi ciekawemi informacyami, udzielanemi publiczności z powagą wieszczów politycznego Olimpu (przy dokładnem wyłuszczeniu niebezpieczeństw, jakiemi grozi niepodległości mocarstw dogmat nieomylności Papieża!), w tém dziennikarstwie uderzono w wielki dzwon na blizki wybuchu pożar mściwéj Francyi, podżeganéj przez Jezuitów (!) która, tylko wyglądać, jak rzuci się na Niemcy! A jakie zrządzi spustoszenia, jak nie poprzestanie na odebraniu *niemieckiéj* Alzacyi i Lotaryngii, ale musi obalić całe państwo Niemieckie! jak wszędzie zaszczepiać będzie ultramontanizm (!) jak zagrozi interesom, których sama Rossya będzie musiała bronić! Rzecz prosta, że wobec takiego nieprzyjaciela tylko trójcesarskie, silnie spojone sprzymierze, ocalić może pokój Europy i cywilizacyą!

Risum teneatis! Jeżeli jednak, rozpatrzywszy się w stosunkach państw i stronnictw, zwrócimy uwagę na uderzający, acz przypadkowy, związek pomiędzy wyżéj przez nas wspomnionymi przeciwnikami ks. Bismarka w samych Prusach a reakcyą, dążącą do przywrócenia monarchii prawowitéj we Francyi, któraby ułatwiła dojście do skutku sprzymierza francuzko-rossyjskiego, dobrze widzianego w pewnych kołach Wiedeńskich, opierających się na przeciwnikach zaprowadzonego w Austryi dualizmu; to poza sceną, na któréj dla odurzenia widzów odgrywa się wstrętna komedya za pomocą prasy najemniczéj, pozbawionéj wiary i sumienia, dostrzeżemy rozległy pomysł mistrza, który, w jasnem pojęciu swego zadania, ogarnął wieloliczne i dziwnie nieraz skomplikowane stosunki interesów, żądz i pobudek swoich kontrahentów. Wtedy też skłonni będziemy do przyjęcia hypotezy, że ciosy, tak gwałtownie miotane na katolicyzm, mierzone były na tych, którzy mogli go użyć dla swoich celów ([2]);

([1]) Zob. art. *L'entrevue de Berlin et les Cours du Nord*—w *Revue des Deux Mondes. Novembre* 1871.

([2]) W art. p. t. *Nasi Nieprzyjaciele*, berlińska *Post* w jednym z Nr. z Kwietnia r. 1875 powiada: „Nasi nieprzyjaciele, pomijając Francyą i ultramontanów, przebywają na różnych dworach. Między nimi są wywłaszczeni i niewywłaszczeni monarchowie, którzy chcieliby dawny porządek w Europie przywrócić; są dyplomaci, siejący niezgodę pomimo woli i wiedzy swych rządów; nakoniec w ogóle stronnicy dawnego systematu rządowego i członkowie tak zwanego wielkiego świata“. Dzien-

owe zaś alarmy z odgróżkami, a nawet z formalną zapowiedzią wojny przeciw „dziedzicznemu wrogowi“ z tamtéj strony Renu, — były to podjazdy da zbadania pola kampanii, w któréj główna kwatera nieprzyjacielska może się znajdować w zupełnie przeciwnéj stronie.

Inna jest kwestya: czy nie nadużyto środków dla zwiększenia efektu dekoracyj, któremi rzeczywisty plan akcyi zamaskowano? Czy mianowicie owa „walka o kulturę“, mająca na celu, wraz z osłabieniem partykularyzmu Niemieckiego, utrudnienie planów tym, którzy się opierali głównie na staro-pruskim konserwatyzmie, nie posunęła się zadaleko? czy nie zużyła w zwalczaniu katolicyzmu sił, potrzebnych do innych walk i trudów? Czy politycznem jest wyzywać ciągle „dziedzicznego wroga“ wtenczas, gdy do rzeczywistego wystąpienia przeciw niemu nie ma się ani powodu, ani interesu? Czy nie odstąpiono od téj reguły, zalecanéj podobno przez Talleyranda, że jak w zaufaniu dla przyjaciela nie należy zapominać, iż on może stać się kiedyś naszym przeciwnikiem, tak w zwalczaniu nieprzyjaciół zachować należy taką miarę, iżby ewentualnie można było skorzystać z ich nawrócenia? Na to pytanie odpowie dopiéro przyszłość, choć może już niedaleka. Trudno jednak zaprzeczyć, że jeżeli celem tak zwanéj „Walki o kulturę“ było tylko zwalczenie szkodliwego, albo mogącego stać się szkodliwym dla państwa Niemieckiego, wpływu duchowieństwa, to przedsięwzięte środki prewencyjne okażą się tak wygórowanemi, iż z właściwą sobie metą koniecznie minąć się muszą.

V.

Ażeby się o tém przekonać, wypada przejrzéć treść ważniejszych uchwał i postanowień, odnoszących się do owéj walki o kulturę. Uchwała sejmu Pruskiego z d. 11 Marca 1872 r. od któréj zaczyna się stanowczo pierwszy okres niniejszéj walki, oddaje szkoły publiczne pod bezpośredni kierunek władz rządowych, pozostawiając tym ostatnim nietylko plan nauk i ogólne urządzenie, ale wybór nauczycieli i szczegółowy programat nauk. Ponieważ i przedtém szkoły średnie i wyższe znajdowały się w Prusiech prawie wyłącznie pod kierunkiem rządu, niniejsze więc prawo miało szczególne zastosowanie do nauczania początkowego, gdzie duchowieństwo posiadało wpływ rozległy. Ustawa z d. 11 Marca wprowadzała do edukacyi publicznéj monopol rządowy, a pośrednio przynajmniéj, bezwyznaniowość; nie tę bezwy-

---

nik ten, jak wiadomo, należy do znanéj *Prassy Gadzinowéj* ks. kanclerza i on to właśnie na wiosnę r. 1875 zaniepokoił sfery dyplomatyczne swoim artykułem *o wojnie za pasem* (we Francyi).

znaniowość, która, wychodząc z zasady doskonałego oddzielenia państwa od kościoła, w widokach zupełnej wolności sumienia i równouprawnienia wyznań, usuwa z normalnego planu nauk religią, jako rzecz wychodzącą z obrębu działania państwa; ale tę bezwyznaniowość nietolerancyjną, narzucającą się sumieniom wiernych, wkraczającą w prawa cywilne obywateli i attrybucye rodziny, za pośrednictwem jakiejś religii państwowej, — ponieważ obok dawno już zaprowadzonego w całych Prusiech przymusu szkolnego, na mocy prawa z d. 11 Marca, nauka religii pozostaje obowiązującą, ale wybór jej nauczycieli, podobnie jak do innych przedmiotów, pozostawionym jest bezwarunkowo uznaniu rządu. Zresztą, ostrze tego postanowienia skierowane było nietylko bezpośrednio przeciw kościołowi katolickiemu, czynniejszemu od innych wyznań na polu nauczania, ale w ogóle przeciw wolności nauczania w najrozleglejszém jej znaczeniu.

Z drugiéj strony praktyczna doniosłość téj ustawy mogła nie być wielka; w zasadzie nie wyłączała ona duchowieństwa od nauczania publicznego, nie stawiała żadnych ograniczeń względem osób, instytucyj lub wyznań; tylko sprawę edukacyi oddawała bezwarunkowo państwu: wszystko więc zależało od tego, jaki zrobi użytek rząd ze swego prawa. Pan minister wyznań, z otwartością godną swego mistrza, odrazu usunął wszelką wątpliwość co do tendencyi zapadłéj uchwały; pragnąc zapewne odciągnąć od opozycyi sejmowéj pewną część konserwatystów protestanckich, więcéj ceniących względy władzy, niż swoje zasady, p. Falk oświadczył, że prawo jest skierowane głównie przeciw katolicyzmowi, że rząd oszczędzać będzie pastorów, usunie tylko księży katolickich. Jakoż, niebawem po uchwaleniu tego prawa, wyszło postanowienie (d. 17 Czerwca r. 1872), usuwające w całém królestwie zgromadzenia duchowne od utrzymywania szkół i wykładania w szkołach publicznych. Ponieważ to postanowienie nie miało wstecznego skutku, więc skorzystano z zastrzeżeń, objętych uchwałą 11 Marca, i postanowieniem z 18 Kwietnia 1873 pozamykano wszystkie szkoły klasztorne, albo utrzymywane przez osoby, do zgromadzeń religijnych należące.

Przepisy te niekoniecznie dobrze były widziane w innych krajach Niemieckich, nawet po-za obrębem sfer katolickich. Ażeby jednak i tu dać się we znaki tym sferom, książę kanclerz, korzystając z większości posiadanéj w Sejmie Państwa, wniosł prawo, wzbraniające w całém cesarstwie pobytu Jezuitom „jakotéż członkom innych im podobnych stowarzyszeń religijnych". Znając charakter téj większości, nie można się dziwić skwapliwemu przyjęciu tego wniosku, który otrzymał moc prawa obowiązującego w d. 4 Lipca r. 1872. Na niém zamknął się ogólno-państwowy *Culturkampf*, którego dalszy ciąg odbywa się już wyłącznie na terrytoryum Pruskiém. Dziwna rzecz, że w téj akcyi, podniesionéj w widokach zjednoczenia Niemiec, postępowano tak, jakby chciano

odstręczyć katolickie Niemcy od zbliżenia się z protestanckiemi Prusami. Tak powstały owe sławne *Prawa Majowe*, gruba karykatura *Constitution civile du clergé* z epoki Rewolucyi Francuzkiej, dziwaczne pomieszanie atrybucyj państwa i kościoła, reminiscencyj starego liberalizmu XVIII wieku z dokuczliwemi praktykami nowoczesnego fiskalizmu, — niefortunna próba utworzenia w protestanckiém królestwie jakiegoś prusko-katolickiego kościoła.

Oto są główne przepisy uchwał sejmu Pruskiego d. 11, 12, 13 i 14 Maja r. 1873.

Prawo z d. 11 Maja reguluje porządek nominacyi na urzędy duchowne. Każdy przełożony parafii ma być poddanym Niemieckim i mieć świadectwo z ukończonego kursu teologii, bądź na fakultecie uniwersyteckim, bądź w wyższém seminaryum, którego kurs byłby uznany na równi z uniwersyteckim i wykładany podług planu, przez rząd zatwierdzonego. Do seminaryum, albo na kurs teologii, nikt nie może być dopuszczony, bez złożenia przepisanego przez rząd egzaminu. W razie odstąpienia od tych przepisów, rząd może odmówić przyznanego duchownemu uposażenia. Professorowie seminaryum, duchowni czy świeccy, obowiązani są również składać egzamin. Przełożeni duchowni (resp. biskupi) obowiązani są przedstawić kandydata prezesowi prowincyi, który w ciągu 30 dni może założyć oppozycyą z powodu: 1-e braku kwalifikacyi kandydata, po 2-ie zostawania tegoż pod odpowiedzialnością sądową, po 3-cie wreszcie, jeżeli władza świecka ma powód mniemania, że *kandydat może się okazać nieuległym prawom krajowym*. Nominacye bez dopełnienia powyższych warunków są żadne. W razie nieobsadzenia wakansu, władza duchowna, do której należy nominacya, podlega zasekwestrowaniu przyznanego postanowieniem królewskiém z d. 23 Sierpnia 1821 r. uposażenia, oraz grzywnom do wysokości 1000 talarów. Przepisy te działają wstecznie o tyle tylko, że obowiązują księży niekrajowców do uzyskania indygenatu.

Ustawa z d. 12 stanowi co do praw karności władz duchownych. Kary dyscyplinarne wymierzać mogą jedynie władze krajowe do *maximum* udeterminowanego; wyżej zaś, jedynie po zatwierdzeniu władzy wyższej, której należy przedstawić na piśmie decyzyą wymotywowaną. Spory ztąd wynikłe rozstrzyga Trybunał do spraw kościelnych, złożony z 11 członków nierugowalnych.

Powyższe ustawy stosują się do wszystkich wyznań chrześciańskich. Ustawa z d. 13 Maja dotyczy wszystkich wyznań w ogólności: zabrania ogłaszać kary kościelne, oraz wymierzać takie, któreby mogłyby być ubliżającemi — a to pod karą pieniężną 200 do 500 talarów i roku więzienia.

Ustawa z d. 14 t. m. określa stosunki cywilne osób, któreby wyrze-

kły się swego wyznania, czy to przez przejście na inne wyznanie, czy przez podanie się za *bezwyznaniowych*. Artykuł tej ustawy uwalnia właścicieli-żydów od udziału w wydatkach na wyznania chrześciańskie.

Na pozór wszystko tu gładko; instytucye z d. 11 i 12 Maja nie są nawet nowością w Prusiech i zupełnie odpowiadają organizacyi tamtejszego kościoła ewangelickiego, którego król pruski jest naczelnym biskupem. Ale kościół katolicki przez ustawę z d. 12 Maja zostaje faktycznie w Prusach oderwanym od Rzymu; najwyższą jego władzą administracyjno-sądową jest Trybunał, złożony z urzędników świeckich. Wiadomo, że, dzięki skrzętności tego Trybunału, wszyscy prawie biskupi pruscy siedzą w więzieniu, albo poprostu otrzymali dymissye, jako urzędnicy, nie mający zaufania władzy. Powiadają, że to jest skutek nieposłuszeństwa prawom Majowym. W istocie, prawa te, w stosunku do kościoła katolickiego, pozostały dotąd na papierze, z wyjątkiem artykułów represyjnych. Zdaje się jednak, że sam prawodawca nie bardzo wierzył w ich wykonanie. Przypuszczając bowiem nawet uległość biskupów, jakiż byłby sposób obsadzania wakansów, w razie, gdyby z proponowanych przez nich kandydatów nikt zgoła nie uzyskał aprobaty władzy? A przy usposobieniu, jakie przypisują duchowieństwu katolickiemu, i przy nazbyt rozległém prawie *veto* dla władzy świeckiéj, ta hypoteza jest bardzo dopuszczalną. Drugi punkt, który nie pozwala brać na seryo przepisów administracyjnych tych ustaw, jest to stosunek prawa d. 14 do prawa z d. 12, ograniczający, a nawet redukujący, do zera władzę dyscyplinarną zwierzchności duchownéj. Prawo z d. 14 powiada, że nikt nie może być pociągany do odpowiedzialności za opuszczenie wyznania, *eo ipso* i kapłan katolicki. Postanowienie Trybunału do spraw kościelnych, zgodnie z duchem tego prawa, oświadczyło, że władzy świeckiéj nie obchodzą dogmata, że wrazie sporu uznaje ona za katolika każdego, kto się nim nazwie, że przeto t. z. starokatolików od innych katolików nie odróżnia. Nie ma więc prawa biskup usunąć proboszcza, któryby zaprzeczył dogmatom, uznanym przez kościół katolicki. Wiemy nawet, że z tego powodu wytoczono liczne processa biskupom, obłożono ich grzywnami i fantowano. Konsekwentnie, na mocy ogólnéj wolności wyznań i wobec téj organizacyi kościoła rządowego, czy ma prawo zwierzchność duchowna oddalić kapłana, któryby przeszedł na judaizm, lub poprostu ogłosił się bezwyznaniowym? Z ogłoszeniem praw Majowych zaczyna się drugi okres walki o kulturę, nacechowany systematycznemi, bezwzględnemi, zjadliwemi prześladowaniami. Jeżeli celem tego postępowania było: doprowadzić stronę przeciwną do ostateczności i strącić ją na drogę, która, usprawiedliwiając pozornie repressyą, musiałaby się zakończyć zupełném rozzbrojeniem podnieconéj przez sam rząd oppozycyi, to cel ten w pewnéj tylko części osiągniętym został. Jeżeli w pierwszych chwilach, inicyatywę napaści na katolicyzm dzieliło z rządem stron-

nictwo narodowo-liberalne, to w dalszym ciągu widocznem było, że głównym promotorem téj kampanii zaczepnéj jest ks. kanclerz; owszem, on sam starał się, tak gwałtownemi swojemi mowami na sejmie, jak dokuczliwém wykonywaniem skierowanych przeciwko kościołowi uchwał sejmowych, okazać, że jemu głównie należą się laury Culturkampfu. Trudno nawet było wątpić o tém każdemu, komu znana zupełna bierność względem kanclerza, tak jego urzędowych, jak i parlamentowych pomocników. Wiedziano przytém dobrze, że do takiéj zawadyackiéj polityki wcale nie było upoważnienia w sferach najwyższych,—i w słowach następcy tronu, wyrzeczonych przy zwiedzaniu jednéj starożytnéj świątyni na Szląsku, „że kościół potrzebuje cokolwiek wolnego powietrza“ upatrywano alluzyą do ucisku, wywieranego na kościół katolicki. Uważano wreszcie, że każde wzmocnienie się stanowiska ks. Bismarka u steru rządu, po interwallach, w których zatrzymywała go rzeczywista czy udana choroba, i kiedy mówiono o jego zamiarach usunięcia się, że każdy taki powrót był inaugurowany nowemi wystąpieniami przeciw katolicyzmowi. Zamach Kullmana (13 Lipca r. 1874), którego wszystkie zabiegi urzędowéj i sejmowéj świty ks. kanclerza nie zdołały uczynić narzędziem stronnictwa albo nawet wpływowych tegoż osób, wystarczył jednak jego panegirystom. Najbliższe potém dzieje pokazały, że z oburzenia częścią szczerego, częścią dworackiego swoich wielbicieli przeciw tym, których „Kullmann za poły się chwyta“, umiał skorzystać ks. kanclerz dla uniemożebnienia wszelkiéj oppozycyi, choćby ta pochodzić miała z własnych jego szeregów.

Najbliższém następstwem musiały być oczywiście zwiększone jeszcze prześladowania katolicyzmu. Uwieńczeniem ich były prawa, wniesione na sessyi kwietniowéj r. 1875 sejmu Pruskiego, o cofnięciu duchowieństwu uposażenia skarbowego, o zniesieniu klasztorów i zgromadzeń zakonnych, wreszcie o abrogacyi art. 15, 16 i 18 Konstytucyi, orzekających wolność kościoła; które to wnioski rządowe liberalna większość, jako prawdziwa *chambre introuvable* ks. kanclerza, uchwalała skwapliwie, prawie bez sądu i dyskussyi, pod zaklęciem słów mistrza, uroczyście deklarującego „bronić wolności obywateli pruskich od uciemiężenia *jakiegoś* biskupa z za gór“, pod hasłem: „nie pójdziemy do Kanossy!“ Hallucynacya szanownego zgromadzenia doszła do tego stopnia, że nawet tak zwani *postępowi*, niezależni, głosowali chórem z narodowo-liberalnymi za prostém i nieokreśloném ograniczeniem niezbyt już wielkich rękojmi konstytucyjnych; a pruscy konserwatyści protestanccy „dla ochrony państwa od papizmu“ zaaprobowali oddanie na dyskrecyą władzy świeckiéj kościoła ewangelickiego wraz z katolickim, poprzestając na gołosłownem zapewnieniu ministra wyznań, że owe uchwały skierowane są głównie przeciw katolicyzmowi.

Uchwały te zamykają drugi okres Culturkampfu. W okresie trze-

cim, który trwa do obecnéj chwili, walka o kulturę, wyczerpana już na drodze prawodawczéj, wchodzi wyłącznie w sferę działalności rządu.

Wzmocniona atoli repressya przeciw kościołowi i stronnictwu środkowemu nie była największym rezultatem moralnego tryumfu ks. kanclerza. Koszta jego wraz z obozem katolickim poniósł i prawowierny protestantyzm, przeciw któremu, mimo słodzonych zapewnień ministra wyznań, skierowane także były prawa wyznaniowe, zwłaszcza ustawy z d. 11 Marca 1872 r., d. 9 Marca 1874 r. (o małżeństwach cywilnych w Prusiech), d. 25 Stycznia r. 1875 (takaż uchwała Sejmu Niemieckiego) i 20 Kwietnia t. r. o rękojmiach konstytucyi Pruskiéj dla kościoła. Miał on tylko tę satysfakcyą, że pomagał do skręcenia bicza na własną skórę.

Wraz z nimi tryumf ks. Bismarka opłaciła cała sfera prusko-konserwatywna ciosem, jaki uderzył w jednego z najcelniejszych jéj koryfeuszów, dawnego przyjaciela i poufnego pana Bismarka, hr. Arnima, w kołach ultramontańskich bardziéj znienawidzonego od otwartych wrogów katolicyzmu, za swoję dwulicowość w czasie sprawowanego przezeń poselstwa w Rzymie ([1]). Proces tego ulubieńca dworu, który uchodził za najpierwszą zdolność w nowéj dyplomatycznéj szkole Niemiec, (lubo okazał więcéj ambicyi niż zdolności, i w gronie przeciwników ks. Bismarka z téj sfery był tylko jednookim pomiędzy ślepymi), jest istotnie chwilą stanowczego przesilenia w obecnym okresie dziejów polityki ks. Bismarka. Ci jego nieprzyjaciele przegrali ostatnią bitwę: porażka ich była równie walna, jak zasłużona; nie umieli obronić swojéj sprawy, bo brak im było wyższéj myśli, rozumieli tylko cel swój najbliższy—obalić przeciwnika,— ale co z pozostałą po nim sukcessyą robić będą, nie wiedzieli; powodowała nimi zawiść i próżność, pobudki czysto-negacyjne, których téż rezultat mógł być tylko ujemnym.

Wszelako zwycięztwo było kosztownem i korzyści jego, jak dotąd, okazują się wątpliwemi. Naprożno usłużna ks. kanclerzowi większość sejmowa uchwala jedne za drugiemi wszystkie jego wnioski, nietylko przeciw słuszności, ale przeciw własnym zasadom, nawet przeciw własnemu dobrze zrozumianemu interesowi; naprożno, jakby w odpowiedzi na potępione przez nią, a widocznie prowokacyjne, uwięzienie pośród obrad sejmowych posła D-ra Majunke, udziela votum zaufania autorowi tego zamachu na prawa osobiste wybranych narodu (18 Grudnia r. 1874); naprożno, za powództwem kanclerza Niemieckiego, wszystkie mocarstwa, oprócz Rossyi, uznają rząd w Hiszpanii, nie mający ani prawnéj ani materyalnéj podstawy: polityka ks. Bismarka staje się coraz bardziéj zagadkową, w gronie nawet bezwzględnych jego wielbicieli spostrzegać zaczynają, że rezultaty jéj, jak dotąd, są raczéj ujemne niż dodatnie. Wewnątrz,

([1]) Papież, dowiedziawszy się o aresztowaniu hr. Arnima, oświadczył, że widzi w tém zrządzenie Opatrzności, która miesza szyki niesprawiedliwych.

zjednoczenie państwa postępuje bardzo leniwo, pomimo wielu uchwał, rozszerzających kompetencyą instytucyj cesarstwa, kosztem attrybucyj pojedynczych krajów; moralnie, jedność Niemiec raczéj straciła, niż zyskała od r. 1871: Culturkampf nie pozyskał wcale dla Prus krajów katolickich Niemiec, a ledwie nie całkiem odstręczył Niemców Austryackich, którzy zaraz po r. 1866 nie mogli się odżałować oddzielenia od związku Niemieckiego,—w każdym razie nie pomógł on do osłabienia partykularyzmu. Sekularyzacya urządzeń, mających związek z instytucyą kościoła, mieszanie się władz świeckich w sprawy religijne i propaganda bezwyznaniowości, rozszerzyły tylko demoralizacyą w massach ludności i zaszkodziły zarówno protestantyzmowi, jak i katolicyzmowi (1), przyczém tamten, który zachował się biernie względem takiéj polityki rządu, tyle stracił moralnie, ile ten ostatni wytrwałym swoim oporem zyskał. Wybory do sejmów, tak Pruskiego jak państwowego, z r. 1873 i 1874, były prawdziwą katastrofą pruskiego konserwatyzmu, który ze stanowiska panującego, a przynajmniéj z pojedynczo branych stronnictw najliczniejszego, spadł do lichéj frakcyi, ledwie około 30 głosów liczącéj, otrzymując w ten sposób nagrodę od opinii publicznéj za niedołężną swoję pruską prawomyślność i niekonsekwencyą, z jaką pośrednio przynajmniéj popierał walkę o kulturę, upatrując w niéj tylko rewindykacyą praw państwa. Tymczasem stronnictwo środkowe, które na sejmie r. 1870 miało tylko 43 głosy, wzmogło się do stanowiska drugiego liczebnie po panującéj narodowo-liberalnéj partyi. Wiemy, że wybory z Grudnia r. 1876 do Izby Pruskiéj i Stycznia r. 1877 do Sejmu Niemieckiego nie zmieniły bynajmniéj tego stosunku, szczególnie też ostatnie przyniosły stanowczą porażkę panującemu stronnictwu narodowo-liberalnemu. Tymczasem militaryzm, coraz dotkliwiéj ciążący na całym narodzie, fatalnie wpływa na jego rozwój ekonomiczny. Napływ pieniędzy, skutkiem pobranych w latach 1870 i 1871 kontrybucyj wojennych, sprawił tylko podrożenie przedmiotów do życia potrzebnych, a obudzony przytém chwilowo ruch handlowy obrócił się w podejrzane spekulacye, które zamknęły się bankructwami i upadkiem kredytu; rolnictwo okazuje się coraz mniéj produkcyjném i cofanie się jego na téj drodze jest uderzającém (1);

(1) Cickawe pod tym względem szczegóły co do stolicy nowego Cesarstwa można wyczytać w dziełku bezimiennego autora: *Berlin's sittliche und sociale Zustände.* 1872 Freiburg oraz: *Das Verbrecherthum in Berlin* w *Blätter zur Gefängnisskunde.* Berlin 1872. VII. 5 Lfg.

(2) Niedawno ogłoszony memoryał stronnictwa t. z. Agrarnego (frakcya zachowawcza większych właścicieli ziemskich) zawiera cyfry, świadczące bardzo niekorzystnie o dzisiejszym stanie rolnictwa w Niemczech, które przecież są w ogólności krajem przeważnie rolniczym. Podczas gdy w latach $18^{34}/_{43}$ wywożono średnio rocznie 841638 centnarów żyta, w latach $18^{44}/_{53}$ przewyżka przywozu nad wywóz wyniosła rocznie 142340 cent. W następném 10-leciu (1854—65) doszła do 2504880 cent., a w ostatnich latach zapotrzebowanie żyta zagranicznego przybrało

wreszcie przemysł niemiecki. dawniéj pomyślnie konkurujący z przemysłem krajów najbardziéj fabrycznych, przyszedł do stanu. który go tak skompromitował na wystawie w Filadelfii. A katastrofa ta ekonomiczna Niemiec staje się jeszcze bardziéj uderzającą, obok pomyślnego rozwoju ekonomicznego Francyi po jéj klęskach r. 1870 i 1871.

Jeszcze mniéj pomyślną okazała się ta polityka w stosunkach zagranicznych. Przeniesienie „walki o kulturę“ na pole europejskie nie zjednało dla téj polityki tych nawet, których interesom zdawała się odpowiadać, z powodu zerwania stosunków ze Stolicą Apostolską; we wszystkich zaś innych, którzy w tym zatargu byli neutralni, obudziły podejrzenie nagabania anti-papiezkie rządu kanclerza niemieckiego. Namiętne wystąpienia tego męża stanu przeciw papieztwu, wzrastająca gwałtowność walki, któréj trudno było dostrzedz praktycznego celu, obudziły mniemanie, że ks. Bismark, zadarłszy niezręcznie z katolicyzmem i posunąwszy się zadaleko w jego zwalczaniu, usiłuje wszystkich wciągnąć do sporu, który nie ma nic wspólnego z ogólnemi zadaniami cywilizacyi, a wiąże się nie tyle nawet z rzeczywistym interesem państwa niemieckiego, ile z przedmiotem własnéj ambicyi kanclerza tego państwa. Sprzymierze trzech cesarstw, którego zawiązanie dzienniki niemieckie podawały swojego czasu za wielki tryumf polityki ks. kanclerza, dzięki przybranéj od tegoż, roli błędnego rycerza antipapizmu i nieustannym, a niczém nie usprawiedliwionym, wycieczkom przeciwko Francyi, w któréj jego dzienniki chciały koniecznie widziéć zapaśniczkę ultramontanizmu, niesmacznie dowcipkując na temat: *Dei gesta per Francos*,—owo sprzymierze okazało się korzystném tylko dla Rossyi, któréj powaga wzmogła się, zwłaszcza po owém fiasco dyplomacyi pana Bismarka w sprawie rządu marszałka Serrano, który tylko czterema miesiącami przeżył uznanie go przez wszystkie mocarstwa, z wyjątkiem Rossyi. Nawet wcale nieprzychylni temu ostatniemu państwu zaczęli się skłaniać ku zapatrywaniu się na nie, jako na główny filar pokoju europejskiego i rękojmię przeciw równie niespokojnéj jak niesprawiedliwéj polityce ks. kanclerza niemieckiego (¹). Rezultatem więc

---

prawdziwie niepokojące rozmiary. W r. 1871: 5240983 cent., r. 1872: 9554380 c., r. 1873: 12553983 c., r. 1874: 15730050 c. Pszenicy, któréj dawniéj znaczne partye wywożono za granicę (w latach 1834/64 średnio rocznie około $1\frac{1}{2}$ miliona cetn.) w r. 1871 wywóz przeważał nad przywóz tylko na 2058175 c., r. 1872: 1296235 c. a w r. 1873 okazało się 941043 cent. przewyżki importu. Jęczmienia przywieziono r. 1872: 5789477 c., r. 1873: 5959738 c., r. 1878 blizko 8 milionów cent. Tak więc kraj, znajdujący się w tak korzystnych warunkach topograficznych i klimatycznych dla rolnictwa, a przytém stosunkowo do Anglii, Belgii i Niderlandów wcale nieprzeludniony, wydaje rocznie do 150 milionów marek na wyżywienie swojéj ludności, któréj przytém niedostatek obok instytucyj militarnych corocznie około 100000 osób w sile wieku wysyła za ocean!

(¹) Zob. art. wstępny *Tages-Presse* Wiedeńskiéj z d. 6 Grudnia r. 1874.

tej polityki wewnątrz państwa okazał się tylko coraz większy zamęt, wzrastające nieukontentowanie, moralne rozprzężenie i upadek ekonomiczny; zewnątrz, pomimo niezaprzeczonéj potęgi militarnéj, zmniejszenie powagi państwa w systemacie politycznym Europy, którego środek ciężkości, przeniesiony w r. 1871 z Paryża do Berlina, zaczął się chwiać następnie pomiędzy Berlinem a Petersburgiem, z wyraźną perspektywą na korzyść téj ostatniéj stolicy, przy dalszém trwaniu tak natężonego a całkiem nie pewnego stanu zbrojnego pokoju.

Taki rezultat polityki, opartéj na Culturkampfie, zachwiał już wiarę najgorliwszych jego zwolenników. I kiedy ostatniemi czasy znany mówca liberalnego stronnictwa, Lasker, oświadczył się za rewizyą praw wyznaniowych (d. 28 Lutego r. b.), większość sejmu, w téj liczbie nawet wielu narodowo-liberalnych, widocznie, lubo nie stanowczo, wniosek ten potwierdziła. Czy rząd ks. kanclerza skorzysta z tego zwrotu opinii publicznéj dla zejścia z drogi, któréj trudno nie uznać za chybioną, jeżeliby nie miała innego celu, prócz tego, jaki jéj przypisują sami autorowie? Dotychczas nic nie upoważnia do takiéj nadziei. Prześladowania katolicyzmu w Prusiech trwają ciągle, a pogłoski o układach, mających na celu pojednanie rządu Berlińskiego z Watykanem, wcale się nie sprawdziły. Miałżeby ks. Bismark za zadanie antytezę tych, o których mówiono, że są bardziéj papiezkimi od Papieża? Chciałżeby dla honoru naczelnika nowego Cesarstwa, w środku drugiéj połowy XIX wieku szukać odwetu za upokorzenie cesarza Henryka IV w wieku XI-ym? czy pod wrażeniem tego wspomnienia wieków średnich, ułożył sobie nowy systemat kościoła w państwie, który chce przeprowadzić *per fas aut nefas?* czy na seryo uwierzył w to, co każe głosić swoim dziennikom, że kościół jest największym nieprzyjacielem nowego Cesarstwa? Gdybyż tak było, to dziwić się należy, że doświadczony mąż stanu dziś poraz pierwszy wybrał się w kampanią, nie znając swego przeciwnika. Czyżby nie przewidział, co teraz jest widoczne, że katolicyzm, gnębiony ciosami materyalnemi, moralnie zyskał? Gdyby nawet sprawa jego była, jak utrzymują pseudo-liberalni, bezwarunkowo przepadła wobec nowoczesnych warunków cywilizacyi, to prześladowania, których stał się przedmiotem, musiały go o tyle podnieść w przekonaniu wszystkich bezstronnych, o ile poniżyły tych, którzy tak źle czy niezręcznie użyli swojéj przewagi. Zapewne gdyby stronnictwo katolickie nie miało innych celów, oprócz władzy lub udziału w niéj i ztąd wynikających korzyści (tak jak to w rzeczywistości okazało się z jego przeciwnikami), to w dzisiejszych stosunkach politycznych, w najwyższym stopniu niekorzystnych dla kościoła katolickiego, z pewnością nie wytrzymałoby ciosów, zadanych mu przez rząd najpotężniejszego państwa w Europie.

Wprawdzie i katolicyzm ma swoje słabe strony, pochodzące nie tak z jego istoty, jak ze składających go w społeczeństwie żywiołów. Jest on, że tak powiemy, zanadto *romantycznym*, może dla

tego, że wyrósł w wiekach średnich na gruncie cywilizacyi romańskiéj. Szczęściem jednak dla niego, szczęściem, rzec możemy, dla cywilizacyi, racyonalizm jego przeciwników zbyt jest jednostronny, nazbyt spaczony w ciasnym horyzoncie ich wyobrażeń, zamkniętym brakiem wyższéj idei i sobkowstwem. Tych najlepiéj ocenił ks. Bismark, zrobiwszy ich posłusznem narzędziem swojéj polityki, któréj zadania z pewnością niewiele mają wspólnego z poniżeniem katolicyzmu. Jego umysł, bystry w objęciu, praktyczny w działaniu, wolny od wszelkiego fanatyzmu i doktrynerstwa, czyni go nieprzystępnym dla pomysłów, do właściwego mu zadania nieprowadzących. Po drodze do tego zadania zmierza on wprost, druzgocąc niemiłosiernie, cokolwiek mu zawadza; ma on czasem za ciężkie ręce, ale nie mierzy na oślep, ale nie bawi się ani w jałowe szermierki, ani w sentymentalne przyjaźni. Już wytknęło się powyżéj, jak, za pomocą owéj sobkowskiéj i płytkorozumnéj kliki, rozproszył on niedoszłą wprawdzie ale bardzo możebną koalicyą swoich przeciwników, którym tak zwany ultramontanizm mógłby się stać dzielną pomocą. Z gnuśnością niedaleko-widzącego egoizmu, ci, ktorych owa koalicya chciała postawić na czele, zostawili katolicyzm odosobnionym w walce, pochlebnie dla tych upozorowanéj, którzy byli rzeczywistym jéj pocisków celem. Ale w téj walce ks. Bismark, niemiłosierny dla słabych, mógł się przekonać o sile tych, których przeciw sobie postawił. Tak rozumiany cel téj walki, podług nas, jest już dokonanym; dzisiejszy przeto jéj okres jest już chyba ostatnim. Widzieliśmy już, jak taktyka ks. kanclerza, łącząca głęboko obmyślaną chytrość z ujmującą szczerością obejścia, zręcznie korzysta ze słabéj strony przyjaciół, których wywodzi w pole, podczas gdy szuka sprzymierzeńców pośród dawniejszych przeciwników. Kto wie, czy z giętkością sobie właściwą nie postara się w wyklętym przez siebie ultramontanizmie znaléźć sprzymierzeńca, wcale przydatnego pod nową konstellacyą polityczną, którą rozwój wypadków dzisiejszéj chwili na horyzont dziejów sprowadzić może?

Roman Buczyński.

ANDRZEJA ŚWIĘCICKIEGO

TOPOGRAFICZNY OPIS MAZOWSZA.

Z języka łacińskiego przełożył, objaśnił i życiorys autora dodał

Władysław Smoleński.

ANDRZÉJ ŚWIĘCICKI.

Dawna literatura nasza, tak dokładnie odzwierciadlająca publiczną działalność szlachty i tak subtelnie przedstawiająca to wszystko, co strony obyczajowéj dotyczy, — zbyt mało rzuca światła na oblicze téj ziemi, na któréj wstęga życia społecznego mieniła się w barw tyle, w takie chmurzyła się cienie i takiém światłem tryskała. W nieustającym wirze obywatelskich zabiegów, w ciągłéj szermierce to o formę ustroju państwowego, to o zasady wierzeń religijnych, uczona społeczność ówczesna, mając ciągle na oku walkę intellektualną, mało zwracała uwagi na człowieka w związku z glebą, na któréj wyrosł, płodami któréj nie tylko sam siebie, lecz i obce narody pożywiał. Ztąd fizyognomia kraju i zrosłego z nim ludu w staropolskiéj literaturze wystaje tak niewyraźnie i jest tak bladą, w porównaniu z różnorodnie kreślonym wizerunkiem oblicza szlachty, lub nawet mieszczaństwa. I jeżeli się pojawił jaki topograficzny opis, to autor jego błądził zwykle po wspaniałych gmachach miast i miasteczek, mierzył wzrokiem wyniosłość świątyń, lub obejmował szérokość murów zamkowych, mało bacząc na obszary leśne, zapełnione zwierzyną, na rybne jeziora, ożywiające handel i przemysł domowy, lub na cuchnące bagniska, zabijające ludność trującemi wyziewy. Życie polityczne pochłaniało wszystkie siły narodu, gdy

znajomość rodzinnej ziemi i oparta na niej praca ekonomiczna w najsmutniejszem zaniedbaniu leżały. Dzisiaj wiadomości w tym względzie czerpać musimy z opisów cudzoziemskich, z opowieści ludzi, którzy, przejechawszy kraj w pewnym kierunku, — postrzeżenia zebrane na jednem miejscu przenoszą na cały obszar, ćmiąc obraz jego baśniami różnemi. Pobieżność i niedokładność Kromerów, Krasińskich, Sarnickich, Stryjkowskich i Starowolskich dopełniać musimy pracami Zeiler'a, Ogerius'a, Connor'a, Pacichellego, Cellarius'a, Beauplan'a, Choisnin'a, de Thou, uwagami różnych posłów i rezydentów, którzy pod wpływem wywróconego na niewygodnej drodze powozu, lub z powodu zabłocenia swych sukien, prawią o barbarzyńskim narodzie i o ziemi „godnej być płazów siedliskiem, nie ludzi". Z podobnych opisów niepodobna przedstawić sobie dokładnie fizyognomii kraju historycznie, a to tem bardziej, że dzieje tej fizyognomii są tak ruchliwe i zmienne, jak życie publiczne Polski ówczesnej. A dzieje to przecież ciekawe, zdolne niejedną stronę przeszłości rozświetlić! Niepodobna bowiem zrozumieć historyi narodu odłącznie od gleby, na której naród ten osiadł, sokami jej żył i zasilany niemi dojrzał i działał. Po-za kipiątkiem obrad publicznych wrzało inny — w puszczach ciemnych, gdzie każdy dąb, siekierą karczownika zwalony, przepuszczał światło zachodu, gdzie każda socha, spulchniając ziemię jałową, zatykała na bezludnych przestrzeniach sztandar życia nowego.

Śród nielicznych prac, przedstawiających fizyognomią kraju w danej epoce, niepospolite zajmuje miejsce przełożony przezemnie opis Mazowsza, autorowi którego kilka słów poświęcić wypada.

Andrzej Święcicki, herbu Jastrzębiec, był synem Macieja, wojskiego nurskiego, (1) wnukiem Mikołaja i Barbary z Noskowskich,

---

(1) *Andreas Święcziczki, filius olim generosi Mathia, tribuni nurensis*, czytamy w źródłach Archiwum głównego (*Acta conventionalia* grodu warszawskiego z r. 1585 ks. 4 f. 1057, z r. 1589 ks. 5 f. 1468, z r. 1597 ks. 10 f. 4, 11, 17, 26); współczesny zaś Paprocki pisze (*Herby rycerstwa*, Kraków 1860 str. 183), że wojskiego, który zmarł w r. 1569, rodziła Barbara, siostra biskupa Noskowskiego. Niesiecki, poprawiając Paprockiego, robi wojskiego (*Herbarz*, wyd. Bobrowicza VIII. 573) synem drugiej siostry biskupa, Anny, a Barbarę wydaje za Jakóba Święcickiego, starostę bolemowskiego, który miał spłodzić naszego autora. Według takiego rodowodu, był Andrzej synem rodzonej babki, lecz nie był synem swojego ojca wojskiego. Pisarze późniejsi jeszcze bardziej rzecz zagmatwali. Według Mizlera de Kolof nasz Andrzej był synem Mikołaja (swojego dziadka) i Anny Noskowskiej (ciotecznej babki), gdy znowu p. Sobieszczański (*Encykl. pow.* XXIV str. 387) trzyma się powagi Niesieckiego, z tą jednak różnicą, że z Jakóba starosty bolemowskiego robi Mikołaja. Ze źródeł przytoczonych wyżej płynie dowód niezbity, że ojcem Andrzeja był Maciej, wojski nurski (matki nie znamy), — gdy z drugiej strony Zygmunt Święcicki w przedmowie do życiorysu biskupa Noskowskiego potwierdza, co wyrzekł Paprocki, że ojciec jego, Andrzej, był wnukiem Barbary, biskupa siostry. Jam tego nie czytał, bo dziełko rzadkie, lecz dość znać kartę tytułową (*Andreae Noscovii vita per Andream Święcicki, ejus ex sorore nepotem*), by się o tem przekonać. Wprawdzie Niesiecki, na zasadzie tytułu tegoż pisma, nazwał Andrzeja synem Bar-

siostry biskupa płockiego. Z trzech synów wojskiego: Mikołaja, Andrzeja i Marcina, — dwaj pierwsi pozostawili po sobie pamięć, jako ludzie uczeni, po Marcinie zaś i córce Annie Ossowińskiéj żadnych nie można odszukać śladów. Mikołaj, o którym czytamy w topografii, że pełen światła i pięknych obyczajów, w stanie duchownym zgasł w kwiecie wieku, — był to znany Paprockiemu kanonik pułtuski „świadom ziem wiela", według Niesieckiego „mąż w naukach znacznego poleru"; Andrzéj zaś uczył się prawdopodobnie u jezuitów pułtuskich, których tam brat babki jego, biskup Noskowski, w r. 1566 z Brunsbergi sprowadził, — być może nawet, że i wszechnicę krakowską zwiedził, a to korzystając z bursy *philosophorum*, zwanéj *Collegium Masovitarum*, którą dla młodzieży mazurskiéj tenże biskup fundował „10,000 złotych na to wysypawszy". Choćby nasz Andrzéj poprzestał tylko na szkole pułtuskiéj, to i tak wykształcenie otrzymać mógł piękne, gdyż „starożytną tę szkołę Noskowski ciągle summami pewnemi zasilając, sprowadzonymi z akademii krakowskiéj nauczycielami obsadzał". Po studyach szkolnych bawić musiał na dworze krewnego biskupa, (2) gdzie, obznajamiając się praktycznie z życiem publiczném, poloru nabierał, poczém, ożeniwszy się z córką Jana Ciołka, Małgorzatą, która mu wniosła w posagu trzy wioski: Ostrołękę, Schowę-Ostrołękę i Zakrzewo nad Pilicą, w ziemi czerskiéj, powiecie wareckim leżące, — piastował różne urzędy, gospodarzył, robił pieniądze, processował się, pisał dzieła uczone, – słowem, żył wszechstronnie w téj atmosferze działalności publicznéj, w któréj ówczesna szlachta wygląda tak czerstwą i bujną. W majątku posagowym przepędził Andrzéj najpiękniejszą epokę życia i snać ją w wiejskiéj zaciszy przeżył spokojnie, skoro w aktach współczesnych, oprócz kilku zapisów, nie spotykamy z téj doby żadnych processów i kłótni, o jakie naówczas było tak łatwo. W r. 1596 nabywa od żony wspomniane wyżéj trzy wioski z kmieciami, obowiązanymi do dziesięciu dni roboty i z wieczystém prawem prezenty ostrołęckich proboszczów; (3) w następnym roku, widocznie z powodu jakichś prawnych wybiegów, dobra te znowu ceduje mał-

---

bary, lecz uczynił to błędnie, gdyż wyrażenie: *ex sorore nepos* tak dobrze oznacza wnuka po siostrze, jak i siostrzeńca, a w tym razie jedynie wnuka, zgodnie z niepodejrzanemi źródłami archiwalnemi i ze współczesnym autorowi typografii — Paprockim.

(2) Nie pojmuję, zkąd się dowiedział Siarczyński (*Obraz wieku pan. Zygm. III* Lwów 1828 II. 243) i na jakiéj zasadzie powtórzył za nim p. F. M. Sobieszczański w Encyklopedyi, jakoby Święcicki bawił na dworze St. Łubieńskiego biskupa płockiego, kiedy ten dopiéro w siedmnaście lat po śmierci naszego autora objął katedrę płocką.

(3) *Acta conventionalia* grodu warszawskiego z r. 1596 ks. 9 f. 2000.

żonce ([4]) i jednocześnie Ostrołękę i Zakrzewo oddaje w zastaw Szałapskiemu z Powsinka za summę 5,000 złp. ([5]).

Nad Pilicą żył Andrzej szczęśliwy, w uniesieniu nad pięknością krajobrazu, do którego później z piaszczystych równin wschodniego Mazowsza niejednokrotnie zatęsknił. Zdradza też swą sielankowość, wspominając w topografii o dawnéj siedzibie „godnéj być siedliskiem muz samych, sprzyjającéj bardzo uprawie nauk“. Była tam wyniosłość, przez większą część roku od żyznéj zieleniejąca trawy, a z jéj podnóża tryskało przezroczyste źródło, klassycznie *Callirhoë* (od καλός i ῥέω, pięknie rozpływające) zwane, które, szeleszcząc niewielką swą wodą, do przyległego wpadało jeziora, zkąd, jakby przez loch podziemny wchłonięte, żadnego nie znajdowało wyjścia. W téj-to Ostrołęce wychował Andrzéj ośmioro dzieci: Jana, Macieja, Piotra, Aleksandra, Zygmunta, Trojana, Marcina ([6]) i córkę Dorotę ([7]) i w niéj-to przedwczesna śmierć jednego z synów mocno zasmuciła uczonego rodzica. Gdy bowiem starsi bracia w obszernem dziedzictwie ojca zajmowali się rolnictwem, — najmłodszy Marcin, według zwyczajów ówczesnych „będąc na posłudze wielebnego w Panie Chrystusie ks. biskupa Łuckiego (Terleckiego) swojego pana“ smutnemu uległ wypadkowi. Dnia 16 stycznia 1595 r. „szlachetny Andrzéj Hulewicz, syn Wasila, wojskiego włodzimierskiego, zapomniawszy bojaźni bożéj i miłości bliźniego, ku wzgardzie i zgwałceniu prawa, Mikołaja Święcickiego, młodzieńca uczciwego i spokojnego, w gospodzie jego własnéj w Łucku, u mieszczanina Szczepana, gwałtem z kilkudziesiąt osób w nocy naszedłszy, z łuku aż prawie ku samemu sercu postrzelił, zabił i zamordował“ ([8]). Bracia jego kilkakrotnie z tego powodu zanosili skargi do króla i sejmów, domagając się kary na zbójcę.

Od r. 1598 poczyna się nowa faza w życiu Andrzeja. Otrzymawszy rejenturę nurską ([9]). przenosi się na pogranicze niegdy Jaćwieży, gdzie w powiecie kamienieckim posiadał w części po ojcu, w części nabyte przez siebie lub trzymane dzierżawą: Krągi, Sitno, Łosino, Zdzieborz, Ostrowy, Rybno-małe i Olszankę. Odtąd do końca życia w ciągłych zostaje sporach: w r. 1598 z Humięckim o Sitno, a w latach: 1606 i 1607 z Ciołkiem Poniatowskim, Sulimierskim, Krzewskim i innymi ([10]). W r. 1605 kwitowany był przez Czerniakowskiego z wypłaty 2000 zł., zabezpieczonych na Ostrołę-

---

([4]) Tamże z r. 1597 ks. 10 f. 4.
([5]) Tamże z r. 1597 ks. 10 f. 11, 17.
([6]) Tamże z r. 1596 ks. 9 f. 2262; z r. 1597 ks. 10 f. 300.
([7]) Tamże z r. 1615 ks. 19 f. 387.
([8]) Tamże z r. 1596 ks. 9 f. 2262, z r. 1597 ks. 10 f. 300.
([9]) Tamże z r. 1598 ks. 11 f. 1288.
([10]) Tamże z r. 1606 ks. 15, f. 1324; z r. 1607 ks. 15 f. 1411, 1449, 1455, 1543, 1376, 1481, 1494, 1497.

ce ([11]), a jednocześnie, trzymając od kapituły warszawskiéj połowę wójtowstwa we wsi Stara-Warka, po dwakroć pociągany był o niewypłacenie 5000 złp. summy dzierżawnéj ([12]). Wójtowstwo to trzymał do r. 1606. W r. następnym, pokwitowawszy Stanisława Jankowskiego, podstarościego kamienieckiego ([13]) z procesu, z wszelkich spraw tak cywilnych jak i kryminalnych, nie rzucając rejentury, zostaje pisarzem grodzkim ostrowieckim, przy czém dwukrotnie, w r. 1607 i 1609, obrany był sędzią, jako deputat z ziemi nurskiéj na trybunał piotrkowski ([14]). W r. 1609 processuje się z Szałapskim, w r. 1611 z Łoskimi o wieś Sitno, granicę któréj stanowiła rzeka Rządza, zmierzająca do Buga ([15]) i w tymże roku umiera ([16]), pozostawiając dzieciom obszerny majątek i nawał interessów, które liczne rodzeństwo jątrzyły boleśnie. Jan, Piotr, Aleksander, Maciéj, Zygmunt i Trojan, synowie Andrzeja, ciągnęli daléj, rozpoczęty przez ojca, proces z Łoskimi. W r. 1618 Piotr umiera bezpotomnie, ([17]) Jan zaś, ożeniony w r. 1614 z Zofią ([18]) córką Floryana na Gójskiéj-Woli Gójskiego, ciągle zadziera ze sprężystym bratem Zygmuntem, aż w końcu, zapisawszy swéj żonie złp. 1000 z summy 2500, jakie miał zabezpieczone na Krągach, Sitnie, Zdzieborzu i Łosinie ( ) z majątku ojczystego wyszedł i zamieszkał z braćmi w macierzystéj Ostrołęce, o którą się tak Zygmunt w dopisku do topografii obawia, aby w obce nie przeszła ręce. Zygmunt najrządniejszym widać był z braci: wydawszy siostrę Dorotę za Kacpra Kossowskiego ([20]) i spłaciwszy pozostałe rodzeństwo, cały majątek ojcowski objął na siebie, i zamieszkał w Sitnie, gdzie pisał dedykacyą biskupowi Łubieńskiemu i gdzie w r. 1615 Krągi — Niedziałkowskiemu ([21]), a w r. 1649 Rybno i Olszankę Gulczewskim sprzedawał ([22]).

Jak pod względem umysłowym, tak i pod materyalnym, Andrzéj Święcicki, pośrednio przynajmniéj, niemało musiał zawdzięczać biskupowi Noskowskiemu. Rodzina Święcickich, do mniéj zasobnéj licząca się szlachty, dopiéro przez skolligacenie się z bogatym biskupem trwalszą pod sobą znalazła podstawę. Ksiądz Noskowski „na synowców swoich i inszych do siebie należących siła spendował z dóbr kościelnych zebranych pieniędzy, chociaż i na Boga nie żałował ko-

([11]) Tamże z r. 1605 ks. 14 f. 772, 773.
([12]) *Acta donationum* grodu warszawskiego z r. 1606 ks. 33 f. 47. 972.
([13]) Metr. z r. 1607 ks. 152 f. 185.
([14]) *Acta donationum* z r. 1607 ks. 34 f. 251, 1290; z r. 1609 ks. 35 f. 1022.
([15]) Tamże z r. 1609 ks. 37 f, 187, 453; z r. 1611 ks. 39 f. 56.
([16]) Tamże z r. 1611 ks. 39 f. 1721.
([17]) Tamże z r. 1618 ks. 46 f. 305.
([18]) Tamże z r. 1614 ks. 42 f 481.
([19]) Tamże z r. 1614 ks. 42 f. 475.
([20]) *Acta donationum* z r. 1616 ks. 45 f. 866.
([21]) *Acta conventionalia* z r. 1615 ks. 19 f. 372.
([22]) *Acta donationum* z r. 1649 ks. 51 f. 411.

sztu“ ([23]). Andrzej, jako właściciel odziedziczonych po ojcu wiosek i posagowych dóbr nad Pilicą, był już człowiekiem bogatym i nie z potrzeby zapewne na urząd się wyniósł. Nie mógł on liczyć na korzyści, z rejentury i pisarstwa płynące, gdyż na Mazowszu dochody urzędników sądowych były niewielkie. Excepta mazowieckie „dla zachowania ubogiej szlachty“ uwalniały ją od płacy przy wyjmowaniu aktów urzędowych i zmniejszały opłatę od różnych tranzakcyj. Za wyszukanie i przeczytanie rzeczy, nowo od roku zapisanej, nic się nie płaciło; wyżej roku — grosz tylko ([24]). Pisarz ziemski od obywateli księztwa mazowieckiego, od extraktów i zapisów wszelakich „bierze jeno tyle, jako w excepcyach stoi“. Zasobność przeto Andrzeja płynęła oczywiście, pośrednio przynajmniej, ze szkatuły biskupa. Wypłacał się też za to prawowiernością religijną, pogardą heretyków, których Noskowski z granic Mazowsza wszelkiemi siłami usuwał, i niekłamaną miłością, którą, z obrazą nawet prawdy historycznej, życiorys dobroczynnego biskupa oświetlił.

Przy zajęciach gospodarskich i urzędowych, Święcickiego zajmowały dzieje Mazowsza, w których na początku XVI wieku tyle scen tragicznych dopatrzeć można. Pół wieku tylko oddzielało go od zagadkowej śmierci ostatnich książąt, żył przeto pod niezatartem jeszcze wrażeniem niedawno zaszłych wypadków, kiedy separatyzm mazowiecki całą siłą pulsował. Za spójnię z tą niedawno ubiegłą przeszłością służył Andrzejowi ojciec, stary wojski, opowieści którego tak często w swej topografii cytuje. Patrzał ten stary naocznie, jak niechętne Mazowsze wsiąkało w ciało Rzeczypospolitej; sam niezawodnie bolał nad tem i część tej boleści w synowską pierś przelał. Ztąd ten nastrój podniosły i gorycz w Andrzeju, gdy traktuje o konaniu samodzielności Mazowsza, ztąd nieco dumy, gdy mówi o męztwie i uczoności Mazurów.

Dwie tylko prace, i to we dwadzieścia kilka lat po śmierci, syn jego Zygmunt wydał w Warszawie. Najpierw, w r. 1634 wyszła *Topographia* ([25]), a we trzy lata wydrukowano życie biskupa Noskowskiego ([26]). Prócz tego Święcicki pisał, również w języku łacińskim, dzieje książąt mazowieckich, które się znajdowały w rękopiśmie w bibliotece Załuskich. Pomiędzy niemi miała być ciekawa rozprawa p. t. *De obitu Stanislai et Janussii Ducum Masoviae, a meretrice veneno extinctorum, e vetusto quodam manuscripto libro depromata* ([27]).

([23]) Niesiecki, VI. 576.

([24]) *Vol. legum.* II pod r. 1576.

([25]) *Topographia, sive Masoviae descriptio, auctore Andrea Święcicki, Notario territorii Nurensis. Cum licentia superiorum. Varsaviae, apud viduam Joannis Russowski, S. R. M. typographi. Anno Domini* 1634 in 4⁰ plag. 7.

([26]) *Andreae Noscovii Episcopi Plocensis vita. Per Andream Święcicki, Notarium territorii Nurensis, ejus ex sorore nepotem. Cum licentia superiorum. Varsaviae, apud Joannem Trelpiński* 1637 in 4⁰ kart. n. 14.

([27]) Wiszniewski. Hist. lit. VIII. 81.

Pierwsze wydanie topografii w ośmnastym już wieku było niezmiernie rzadkie. Niesiecki wątpi, czy podobne dzieło wyszło kiedy z druku; a Załuski w wierszowanym katalogu powiada: „książeczka to tak przedziwnie rzadka, iż, nie mogąc jéj dostać, — przepisać kazałem i dałem ją (t. j. odpis) Mizlerowi, przyjacielowi memu, by przedrukował w kollekcyi" ([28]). Mizler de Kolof w pierwszym tomie swojego zbioru zamieścił i topografią ([29]); lecz do wydania tego, uskutecznionego, jak sam wyznaje, z niedokładnego odpisu ([30]), zakradło się, nie wyłączając tytułu, mnóstwo błędów. Szczęściem, kiedy jeszcze ostatnie karty nie wyszły z pod prassy, Marszałek W. Kor., Franciszek Bieliński, przysłał z własnéj biblioteki w r. 1634 drukowany egzemplarz. Wydawca zdążył błędy sprostować w dopiskach, dodał przy tém do tekstu ważne objaśnienia, które jednak obecnie, przy dokładniejszéj znajomości i opracowaniu źródeł, nie mają wielkiego znaczenia. Prócz dwóch powyższych, innego wydania topografii nie było, myli się przeto p. F. M. Sobieszczański, jakoby Dogiel w pierwszym tomie kodeksu dyplomatycznego dziełko to przedrukował ([31]). Do osobliwości bibliograficznych należy również życiorys biskupa Noskowskiego, którego Załuski jeden tylko egzemplarz widział i rzadkość jego podziwiał ([32]). Lecz pracy téj Święcicki dokonał stronnie: „związkami krwi powodowany, bardziéj jako panegirysta niż rzetelny historyk postępuje i z tego względu mało co można zeń uszczknąć" – powiada Łubieński ([33]).

Święcicki ma tę niezaprzeczoną zasługę, że pierwszy dokładniéj przedstawił Mazowsze. Piszący przed nim: Krasiński, Kromer, Sarnicki, Stryjkowski — dotknęli téj obszernéj prowincyi mimochodem, ograniczając się na wyliczeniu miast ważniejszych. Późniejszy Cellarius nie jest wyższym od poprzedników, a Starowolski, chociaż Mazowsze traktował nieco przestronniéj, korzystał nawet z opisu naszego autora, — nie dorównał mu jednak w bogactwie i różnorodności szczegółów. Święcicki góruje nad wszystkimi wszechstronnością. Za ozdobnemi gmachami miast ludnych i wieżycami warownych

([28]) J. J. Zaluskiego biblioteka historyków, wyd. Muczkowskiego, Kraków 1832 str. 5.

([29]) *Historiarum Poloniae et Magni ducatus Lithuaniae scriptorum collectio magna. Edidit Mizlerus de Kolof. Varsaviae* 1761, folio, od str. 477 — 500.

([30]) Nie z autografu biblioteki Załuskich, jak fałszywie ogłaszał w prospekcie, robiąc przy tém autorem Zygmunta i mylnie podając tytuł (*Acta litteraria Regni Poloniae, trimestre tertium* p. 220).

([31]) P. S. zna również kollekcyą Mizlera in 16⁰ z r. 1777, która jednak nie egzystowala nigdy (ob. *Encykl. powsz.* t. XXIV str. 387).

([32]) Polska w obszernych wiadomościach swoich etc. R. P. 1768. (Rękopism z biblioteki po C. Walewskim) str. 155.

([33]) Łubieński St. *Series, Vitae, Res Gestae episcoporum plocensium. Cracoviae* 1642 str. 170.

zamków, widzi lud mazowiecki rojny i oryginalny i ziemię obszerną a piękną. Gawarecki ([34]) niesłusznie się nań gniewa, że zamiast mówić „o erekcyi świątyń i znakomitszych budowlach", znaczną część opisu Płocka poświęcił rybołówstwu. Wszak nierównie ważniejsze są wiadomości o samorodnym przemyśle ludu, niż uczone wywody o erekcyi świątyń i gmachach wspaniałych. Święcicki tém właśnie jest wyższy od wszystkich, że kiedy inni autorowie opisywali Polskę ze strony, jeżeli tak powiem, zewnętrznéj, powierzchownéj, to on przedstawił Mazowsze w jego wnętrzu — w ludzie. Takiego rodzaju szczegóły jak te, które przytacza, opisując obyczaje niewiast, niegodziwość adwokatów i ucisk włościan, — dają świadectwo o niepospolitéj odwadze i prawości autora i tłómaczą zarazem, dla czego ta praca tak długo leżała w ukryciu. Nieocenionéj wartości wzmianki o mikroskopijnych patrycyuszach mazurskich, o tych wpół-dzikich mieszkańcach z nad Mrogi, których zuchwalstwo postrach szerzyło wokoło, — dobitnie malują rozkład moralny szlachty ówczesnéj, reprezentującéj demokracyą i smutne dają wyobrażenie o tych wybrańcach fortuny, którzy, dumni będąc ze szlachectwa krwi swojéj, w bezbożnych rękach dzierżyli pałkę zbójecką. Słowem, dzieło Andrzeja, choć szczupłe i nieimponujące erudycyą, zawiera wszystko: oprócz ważnych szczegółów do dziejów i oświaty Mazowsza, są tu wiadomości o handlu i przemyśle, urodzajności gleby i lasach, o rzekach, jeziorach i błotach; jest tu wiele rysów do etnografii Mazowsza i mnóstwo innych ciekawych szczegółów, jakich żaden inny nie podał pisarz. Z powiązania tych różnorodnych rysów, powstał piękny, poetycznie skreślony obraz, wobec którego blado wyglądają suche opisy Sarnickich, Kromerów i innych. Obraz ten jednak zeszczuplał pod nożycami Zygmunta. Tłómaczy on się wprawdzie, że tylko rzeczy niepotrzebne wyrzucił, a w zamian własne, ważniejsze pomieścił dodatki, — lecz, pomimo tego usprawiedliwienia, dodatki jego, choć ważne, zawsze będą niezręcznie przyklejonemi łatkami, na których obraz pocięty nie wiele pewnie mógł zyskać.

Praca Święcickiego w bieżącém stuleciu znalazła wielkie uznanie: nikt z piszących o Mazowszu nie pominął topografii, wszyscy (prócz Gawareckiego) wysoko ją cenią. Baliński z Lipińskim i Święcki w opisach Starożytnéj Polski, Kownacki w Dziejach Księztwa Mazowieckiego, Niemcewicz w Podróżach Historycznych, Kozłowski w Dziejach Mazowsza, Wójcicki w Studyach literackich, korzystając z dzieła Święcickiego obficie, przyznają mu wysokie zalety.

Powodowany ważnością pracy uczonego Mazura, niniejszy jéj przekład oddaję na pożytek ogółu. Czynię to tém chętniéj, że topografią uważam za wstęp do studyum nad drobną szlachtą mazurską nad którem od lat kilku pracuję, dość obfity do niego posiadając materyał.

([34]) Pamiętnik hist. płocki Warszawa 1828 str. 79.

Tekst objaśniam o tyle, o ile to potrzebne do dokładnego zrozumienia: obawiałem się zbytecznego nagromadzenia szczegółów, które w dziełach właściwych z łatwością odszukać można.

Warszawa 29 Lipca 1875 r.

Tłómacz.

Jaśnie oświeconemu i najprzewielebniejszemu Ojcu w Chrystusie, panu a panu

STANISŁAWOWI ŁUBIEŃSKIEMU,

z Bożéj i stolicy apostolskiéj łaski biskupowi płockiemu, panu i dobroczyńcy najłaskawszemu.

Niniejszy opis Mazowsza, tak długo leżący w ukryciu, a który mój ojciec, idąc za przykładem geografów, dawnemi czasy przygotował, — obecnie na światło wynoszę, jaśnie oświecony pasterzu! Uważam bowiem za rzecz chwalebną, żeby ta ziemia, o któréj dotychczas nikt z cudzoziemców nie pisał, a z naszych mało kto i to mimochodem cóś wspomniał, — żeby, mówię, ta ziemia, dotychczas prawie nie znana, obecnie w prawdziwém świetle przedstawiona i dla odległych narodów nie była obcą. Należy jéj się to tém bardziéj, że od najdawniejszych czasów jaśnieje nad nią światło wiary prawdziwéj, że ozdobami cnót wszelkich i oświatą kwitnie i że równie rozległością swych granic, jak i obfitością rzeczy różnych, żadnéj prowincyi tego królestwa nie ustępuje. Dla czego zaś pod twojém imieniem wydać postanowiłem tę pracę — z dalszego toku niniejszego pisma wywnioskujesz i poznasz dokładnie. Tyś jest cnoty i świątobliwości osobliwym wzorem; głośną jest sława mądrości twojéj; nadto tyś jest i panem w téj prowincyi: (1) nie jestże więc sprawiedliwszém raczéj tobie, znakomitemu dygnitarzowi, niż komuś-tam innemu to dzieło przypisać? Pominąwszy wiele innych twych zasług, tak tę prowincyą, jak też i cały obszar polski ty dostojeństwy swojemi

(1) Miasto Pułtusk z okręgiem należało do biskupów płockich i ich rządom do r. 1796 ulegało. Wbrew ustawom krajowym pisali się oni: *Princeps territorii pultoviensis*, a później — *Dux pultoviensis*. Święcicki nie nazywa Łubieńskiego *księciem*, gdyż tytułu tego znacznie później zaczęto używać.

ozdabiasz i dobrodziejstwy obsypujesz. Choć wspomnę tylko, że tego królestwa niespożyte dzieje niezrównaną wymową, na podobieństwo wyroczni, potomnym przekazujesz wiekom. A nie opierasz ich na powadze lub opowieściach innych, lecz prawdę sam z siebie dobywasz: osobiście przez lata długie publicznemi sprawami się trudzisz, więc i zapanowałeś nad niemi. Ojczyznę w trudnych okolicznościach również często wspierasz i utrzymujesz roztropnością swoją a radą. Na téj oparty zasadzie, osądziłem nietylko za słuszną, lecz owszem za rzecz niezbędną, oświadczyć ci wdzięczność wspólnej ojczyzny imieniem. Pobudziły mnie także do tego i zaszczyty rodu twojego, które, według mnie, są niepospolite, a nie wiem, czy gdziekolwiek o nich w Polsce przedtém słyszano. Jakież to owe zaszczyty? Oto, że ród to starodawny i sławny jest, a czyż to samo nie jest niepospolitém i wielkiém? Pomijam tu nawet świątobliwych rodziców twoich, nad których królestwo nasze nie znało i nie zna nikogo, coby jaśniał taką uczciwością, bogobojnością i poważaniem, — nie mówiąc już o szczęściu, gdyż być rodzicami tak znamienitych dzieci jest to, zaiste, posiadać szczęście niezwykłe. Widzimy was czterech braci rodzonych, z których dwaj jesteście biskupami i to pierwszorzędnymi, ty—płockim, drugi—kujawskim (*Vladislaviensis*), przyczém zasiadacie wspólnie w senacie, mężowie roztropni i w naukach biegli. Inny z twych braci, niepospolitą zaszczycony godnością i równéj z wami powagi, jakgdyby waszym przykładem zagrzany, do tegoż co i wy podąża znaczenia. Ostatni powziął zamiar poświęcić się życiu zakonnemu i w Towarzystwie Jezusowém pracuje. W końcu, siostra rodzona jest dziewicą zakonną: ksieni ta we wszelkich chwalebnych umiejętnościach z wielką starannością jest wyćwiczona (²).

(²) Świętosław Łubieński na Łubnie (blizko Sieradza) z Barbary Zapolskiéj miał siedmiu synów i trzy córki. Dwaj synowie i córka w młodym wieku zmarli; z pozostałych: 1) Stanisław r. 1628 objął biskupstwo płockie, umarł 1640 r. w Warszawie. Brat jego, Maciéj, pochował go w katedrze płockiéj i nagrobek mu tamże wystawił. Stanisław jest autorem kilkunastu dzieł, po łacinie pisanych. Prace jego historyczne, razem zebrane, wyszły w dwóch tomach p. t. *Stanislai Lubieński, episcopi plocensis opera posthuma historica, historico-politica etc.*, w Antwerpii r. 1643. Na język polski przekładał je Jocher i wydał w Petersburgu r. 1855. Najważniejszém z dzieł Łubieńskiego jest opis rokoszu Zebrzydowskiego i podróży Zygmunta III do Szwecyi. 2) Maciéj za czasów Święcickiego siedział na katedrze Kujawskiéj, a w r. 1641, po Janie Lipskim, prymasem został. Umarł r. 1652. O nim-to powiedział Urban VIII: *In Polonia multi sunt praelati — solus Mathias est episcopus.* 3) Trzecim, o którym wspomina Święcicki, był Wojciech, proboszcz pułtuski, kanonik gnieźnieński i krakowski. 4) Marcin był jezuitą, rektorem kollegium w Kaliszu, przełożonym u św. Barbary w Krakowie. Umarł r. 1651. 5) Zofia ksieni w klasztorze Cystersek w Ołobsku. O Janie, protoplaście dzisiejszych hrabiów i o Małgorzacie Starczewskiéj, Święcicki nie wspomina, gdyż przed r. 1634 pomarli. (Niesiecki: *Herbarz Polski* wyd. Bobr. VI, 277. X. Bujdecki Floryan: *Vita venerabilis Servi Dei Mathia Łubieński.* Kalisz 1752 r. *fol.* Ks. L. U.: *Życie Macieja Łubieńskiego.* Leszno 1854 r.)

Bez wątpienia, że to niepospolite! i nie dla tego wspominam o tém, żeby to było nieznane, lecz że jakby rękę Bożą widzę w tém wszystkiém. Są wprawdzie tacy, co nadzwyczajne rzeczy, przekraczające po większéj części granicę przyrody człowieczéj, wygłaszać o innych i takowe podziwiać w nich zwykli: co do ciebie — poprzestaję na wyliczeniu tych jedynie przymiotów, które są istotnie niepospolite i bardziéj wybitne. Zresztą, ponieważ ta prowincya jest ozdobioną dziełami twego geniuszu, zaszczyconą dostojeństwy i udarowaną hojnością twoją, — słusznem jest przeto, że pracę ś. p. ojca mojego wydaję ozdobioną blaskiem rozgłosu, sławy i mądrości takiego męża. Obyś ją tylko błyskiem swéj łaski udarował! a od burz wszelkiéj niechęci będzie bezpieczną. Przyjm moje pozdrowienie.

Sitno, 20 Czerwca, roku od narodzenia Chrystusa 1634.

Jaśnie oświeconego pana
najpokorniejszy sługa

Zygmunt Święcicki, syn autora.

Zygmunt Święcicki

syn autora

Czytelnikowi pozdrowienie.

Wszystko, co się w tém dziele cieńszemi znakami czyli literami wydrukowane znajduje, — miły czytelniku! — ja to dodałem ([3]), lecz nie w zamiarze popisu, ani w chęci ubiegania się o chwałę. Jakiéjż bowiem spodziewać się chwały z roboty lichéj? Czyż z błahéj sprawy może wytrysnąć sława? Wiadomo mi zresztą, jak bezbożną byłoby rzeczą cenić się wyżéj nad naukę i talent ojcowski. Nie to mną powoduje. Wszystko, co rodzicielskie, rzecz nawet najlichsza, jest i będzie dla mnie zawsze najdroższą, co więcéj — świętą. Jakiż więc powód, zapyta ktokolwiek, żem się nad tém oto mozolił? Ponieważ mój ojciec sprawy niektóre, uwagi godne, opuścił; o niektórych zaś nie wspomniał dla tego, że za życia jego nie istniały jeszcze; inne zaś rzeczy, chociaż już wówczas istniały, lecz teraz żaden, lub bardzo mały ślad po nich widzieć się daje: przeto jedne wiadomo-

([3]) Dodatki te zamykamy w nawiasach.

ści uzupełniłem, inne umyślnie wyrzuciłem, a niektóre, trudniejsze do zrozumienia, objaśniłem dobitnie a krótko. Jedne z nich z najpoważniejszych autorów wypisałem; inne zaczerpnąłem z opowiadań ludzi rozumnych; inne wreszcie z zasobów własnej dobyłem nauki. Jako zaś zajrzeć sławie ojcowej, lub chcieć ją przyćmić uważam za występek; — tak naodwrót: iść prawdy torem — za chwałę poczytuję. Bądź zdrów.

Topografia, czyli opisanie Mazowsza.

Ziemia Mazowiecka jest częścią Królestwa Polskiego. Od południa i zachodu graniczy z Polską, od wschodu z krawędzią ziemi lubelskiéj i z Jadźwingami (*Jazygis*), z północy z Prussami sąsiaduje. Mazowsze, przed przybyciem Słowian, było okolicą dziką i pustą: dopiéro kiedy Wandalowie, opuściwszy swą ojczyznę, nowych siedzib poczęli szukać, wtenczas starożytni Sarmatowie, z tajemniczych okolic północy wyparci, wytępiwszy pozostałych Wandalów, nietylko Mazowsze, które po obu stronach koryta Wisły się ciągnie, lecz i obszerne, na zachód leżące przestrzenie zamieszkali. Za panowania króla Mieszka (*Mesconis*) Sarmacya cała, za zgodą wszystkich, przyjęła zasady nauki Chrystusa: wtenczas-to przodkowie nasi, przyjrzawszy się postępowi sąsiadów, otwarte szerokiéj Hercynii przestrzenie zabudowywać i uprawiać poczęli ([1]). Niektórzy mniemają, że ten naród od starodawnych Massagietów, jak twierdzi Sarnicki, pochodzi, i że ztąd właśnie, przez nieznaczne skażenie wyrazu, nazwisko Mazurów otrzymał; lecz na jakich dowodach to opiérają? nie wiadomo. My, przekładając wcześniejsze, a więc wiarogodniejsze świadectwa nad wywody subtelne, jesteśmy tego przekonania, że Mazowsze przed pięciuset przeszło laty tak się nazywać poczęło. Miało to miejsce wtenczas, kiedy po wysłaniu Kazimierza Mnicha do Francyi przez niegodnéj pamięci matkę jego Ryxę, naród Sarmacki pozostał bez monarchy. Znaleźli się wówczas ludzie, dumą i pychą zaślepieni, co, tworząc stronnictwa różne, podczas bezkrólewia godność monarszą chcieli sobie przywłaszczyć. I świeżą jest dotąd pamięć mężów dwunastu, którzy w nieobecności króla, gdy Rzecząpospolitą chciwie i niegodziwie rządzili, — wnet, przygniotłszy swobodę gminu, za zgodą możnych, zwyczaje tyranów przyjęli. Takową żądzą panowania zaślepieni, niektórzy przygotowywali się naprzód do tego tajemnie; w końcu rządy, częścią przez postrach nikczemny, częścią obietnicami,

([1]) Pod Hercynią starożytni rozumieli w ogóle góry, lasami porosłe. Podług Brinken'a (*Mémoire descriptive sur la forêt de Białowieża*. Varsovie 1826 p. 5) jest to toż samo, co puszcza Białowiezka. Święcicki nazywa Hercynią lasy, które niegdyś od dzisiejszéj Białowieży w głąb Mazowsza zachodziły.

pozyskali i całą ojczyznę jako zdobycz posiedli. Najgłówniejszym z tyranów był bez wątpienia Mazos, w ziemi płockiéj, stosunkami i majętnością potężny, który, gdy łaskawości pana, z wygnania wracającego, nie dowierzał, a widział go w nieliczne zaopatrzonego szeregi, — sądząc, że pokona słabego monarchę, na czele hufców olbrzymich przeciwko temuż wystąpił. Lecz Mazos, który Kazimierza, za kratą klasztorną wdrażanego w pobożne ćwiczenia, za niezdatnego do boju uważał, gdy do walki przyszło, pokonany i na głowę zgromiony, w pośpiesznéj ucieczce do Prussaków się schronił. Ci zaś Prussacy nietylko wygnańcowi dali przytułek, lecz go, żeby mógł marzone posiąść królestwo, w różne zaopatrzyli posiłki. Po otrzymaniu onych, Mazos, wzmocniony przytém barbarzyńskich Jadźwingów zastępami, gdy w pochodzie grabieży i gwałtu pełnym na Kazimierza niespodzianie napadł,—w ogromnéj bitwie pokonanym został powtórnie. Niewielu uszło rąk zwycięzkich i ścigających wroga Sarmatów. Mazos zaś, po tym niefortunnym dla siebie wypadku, gdy znowuż do barbarzyńców uciekł, ujęty przez nich i haniebnéj poddany karze, za niewierność i pychę wyniosłą słuszną otrzymał zapłatę. Odtąd kraj ten, którego panem ogłosił się Mazos, miano Mazowsza otrzymał. Mazowsze ciągle, za pamięci jeszcze ojców naszych, znajdowało się pod władzą Piastów; lecz z wielu panujących w tym kraju najbardziéj zasługuje na uwagę syn Kazimierza Sprawiedliwego, a wnuk sławnego w pokoju i w walce książęcia Bolesława Krzywoustego, Konrad Stary, w potomstwie którego starodawny ród Piasta przetrwał do naszych prawie czasów. Ponieważ z władców Sarmacyi był najmożniejszym (panował bowiem nad Mazowszem, ziemią sieradzką, łęczycką i Kujawami) przeto bezustannie z sąsiednim wojował Prussakiem. Lecz wówczas i siły Prussaków były potężne: barbarzyńców od wszelkiéj napaści zewnętrznéj osłaniała ich ziemia niedostępna, bagnista i pełna olbrzymich lasów; sami zaś, znanemi sobie ścieżynami znienacka się przedzierając, na całéj przestrzeni Mazowsza z mieczem i ogniem szaleli bezkarnie. Przecież i Konrad, przez męztwo Krystyna Liligera (5), sławnego w bojach wodza, tych dzikich ludzi, pośród ich własnych bagien, niejednokrotnie uśmierzał. Ten-to jest właśnie Krystyn, który podczas nieletności Leszka i brata jego Konrada, pod Zawichostem, przez pogrom i śmierć Romana, walecznego króla Rusinów,— pamiętne odniósł zwycięztwo. Wkrótce jednak, z powodu zawiści,

---

(5) Mowa tu o Krystynie herbu Gozdawa „wielkim i sprawnym“ wojewodzie płockim, którego Prussacy *mazowieckim Bogiem* zwali (Bielski: *Kronika*, wyd. Gałęz. II. 73. 85). Święcicki nazywa go Liligerem, bo w herbie lilią nosił. Według Długosza zamordowany został we wsi Kowalewie pod Drobinem, w dzisiejszém p. Jabłońskiego dziedzictwie. Dziwi mnie, że Niemcewicz (*Podróże historyczne*, Paryż 1858 r. str. 148) nic o tym mężu nie wiedział i napróżno pod nazwiskiem Liligera w Niesieckim i Paprockim go szukał.

z wysokości takowego szczęścia został zepchniętym. Konrad bowiem, nie mogąc przenieść, że sława tak wielkiego zwycięztwa przypisywaną jest Krystynowi, zazdrością rozpalony, czy też podburzony księdza Jana Andrzeja ([6]) namowami, niewinnemu Krystynowi kazał życie odebrać. Prędko jednak do skruchy przywiedziony, przejęty nienawiścią ku swemu doradzcy, i Andrzeja, nie zważając na jego stan duchowny, bezbożnie, w sposób okrutny zamordować i jako ostatniego łotra powiesić kazał. Ta niesłychana zbrodnia tyrana cały stan duchowny zapaliła gniewem; głównie za staraniem Piotra, arcybiskupa gnieznieńskiego, Konrad, klątwą rażony, ze wszystkimi poddanymi wykluczonym został z kościoła. Nie zniósł Konrad tej hańby: bojaźnią kary bożej strwożony, upamiętawszy się i skruchę okazawszy, przez wyzucie się z części ojcowizny, stosowne arcybiskupowi zrobił zadosyćuczynienie, a gdy przez Prussaków ciągłemi bywał szarpany napady, za morderstwo uległ podwójnej karze ([7]). Skoro zaś Prussacy bezustannie Konradowi ciążyli, — ten, nie czując w sobie odwagi, ani sił odpowiednich, — do uproszenia zewnętrznej pomocy uciec się zamierzył. I przywołał na pomoc Krzyżaków, Giermanów rodem, którzy wówczas, z Syryi przez Saracenów wyparci, — nowych dla siebie szukali siedzib. Przywołani przez Konrada, ziemią dobrzyńską i chełmińską udarowani ([8]), chętnie Polakom przybyli na pomoc. Po długich walkach, pokonawszy i ujarzmiwszy barbarzyńskich Prussaków, wszystką ich ziemię zagarnęli; a od szczęścia pychą nadęci, na samych Polaków i Mazowszan wrogi zwrócili oręż i to z taką zapalczywością, że długo z rozmaitem szczęściem najokrutniej walczono. Polaków nie za sąsiadów i dobroczyńców, lecz za wrogów mieli — i dopiero po zniesieniu tych napastników, mógł zawitać upragniony pokój śród skołatanych długiemi bojami.

Po śmierci Konrada, państwo pomiędzy jego dzieci podzielone zostało. Kazimierzowi do Kujaw i ziemi łęczyckiej przydano Sieradz; Ziemowit otrzymał to tylko, co miano właściwego nosi Ma-

---

([6]) Właściwie Jan Czapla, scholastyk płocki, kanclerz książęcy (*Bielski*. II. 85).

([7]) Konrad, dla przebłagania arcybiskupa, „dał Łowicz miasto ze wszystkiemi przyległościami wiecznie na arcybiskupstwo gnieźnieńskie: k' temu, aby tenże arcybiskup i następcy jego w płockim kościele byli kanoniki, a z łowickiego klucza tylko grzywnę złota miał dawać każdy rok książęciu mazowieckiemu. Działo się to lata pańskiego 1240.“ (*Bielski* II. 133).

([8]) Właściwie tylko ostatnią, pomiędzy Drwęcą i Ossą. Sprowadzeni przez Konrada Krzyżacy wprawdzie przywłaszczyli sobie i część ziemi dobrzyńskiej (posiadłość Braci Dobrzyńskich, złożoną z zamku dobrzyńskiego i przestrzeni wzdłuż Wisły po rzekę Mień), lecz tej roku 1235 zrzec się musieli. Dopiero Jan luksemburski, z powodu roszczonych sobie praw po Wacławie, zająwszy w r. 1329 zamek, po obu stronach Wisły leżącą ziemię dobrzyńską sprzedał Krzyżakom. Traktatem kaliskim r. 1343 wróciła ona do Polski.

zowsza. Pomiędzy licznem potomstwem Kazimierza był Władysław, Łokietkiem zwany, Kazimierza Wielkiego ojciec, który tém się najbardziéj wsławił, że zmiennéj fortunie zawsze opierał się hardo i że Rzeczpospolitą, dziwacznie przez wielu królików rządzoną, rozprzężeniem sił osłabioną, pod stér i rozkazy jednego powrócił znowu. Po jego wybornem panowaniu, syn tegoż Kazimierz i Ludwik Węgierski, wnuk po córce, następnie — Litwin Jagiełło, zięć Ludwika, z wielkim mozołem złączywszy pod jedno berło dwa najdzielniejsze narody, rzeczpospolitą do stanu takiego, w jakim ją dzisiaj widzimy — do sił i świetności przywiedli. Drugi syn Konrada, Ziemowit, podczas jakiegoś napadu od Litwinów pokonany, padł pod ciosami morderców. Z następców jego zasługują najbardziéj na uwagę: Ziemowit, książe płocki i rawski, który, pojąwszy w małżeństwo Aleksandrę, króla Jagiełły siostrę i w posagu otrzymawszy władzę nad ziemią bełzką, licznem obdarzony potomstwem, w wielkiém z tego powodu szczęściu przepędził życie. Córkę, imieniem Cymbarkę, Ernestowi Austryackiemu, władcy Noryku, w małżeństwo oddał, a ta zrodziła Fryderyka III, wielkich królów i cesarzów protoplastę. Z synów zaś, Aleksander, kardynalską zaszczycony purpurą, był również patryarchą akwilejskim i biskupem trydenckim. Drugi syn, imieniem Władysław, objął rządy po ojcu, gdyż po zejściu bezżennych braci nikt się więcéj nie ubiegał o władzę. Władysław zaś, umierając, zostawił syna, tegoż imienia, i drugiego, Ziemowita, których w rozkwicie życia, jaśniejących chwałą cnót wielu, Gotard Rybiński, człowiek obfitemi przez nich obsypany darami, niewdzięcznie a zdradziecko, — z powodu jakichś podejrzeń, — ze świata zgładził trucizną ([9]). Odtąd wielkie nieporozumienia się wszczęły pomiędzy dziećmi stryjecznego brata Bolesława i królami polskimi, gdyż każda ze stron, że spadkobierców bezpośrednich nie było, do otrzymania dziedzictwa równe rościła prawa. Spór zakończył się w ten sposób, że po przyłączeniu ziemi bełzkiéj do Rusi i po oderwaniu od Mazowsza ziemi rawskiéj, — król polski, nie bez pewnych trudności, ustąpił płockie, które Jan, syn Bolesława warszawskiego otrzymał: jednakże po jego zejściu bezdzietnem, według umowy, księztwo to przeszło do króla polskiego. Przy reszcie Mazowsza z trudnością się utrzymał brat Jana, Konrad; albowiem król Jan Albert znowu położył warunek, że — po bezdzietnem zejściu trzech braci Konrada, ziemie, w ich posiadaniu będące, dziedzictwem króla zostaną. Jednakże nieporozumienie to po przyjacielsku zostało załatwionem, gdy Konrad przyrzekł po śmierci swojéj wszystko do Korony przyłączyć, z wyjątkiem ziemi czerskiej, którą oddano dwom synom Konrada

([9]) Gotard z Rybna Radwańczyk, kasztelan sochaczewski, zgładził ich trucizną z zemsty za odjęcie mu wioski. (Wapowski. *Dzieje korony*. Wilno 1847 r. III, 438).

z zastrzeżeniem, że i ta, po ich bezpotomnem zejściu, do Korony przejdzie. Mówią, że Konrad, pod grozą spisku niektórych z otaczających go panów, przyjął tak uwłaczające imieniu i powadze swojej warunki podobnej ugody. Już bowiem Mazurowie, sprzykrzywszy sobie dumę swych książąt, szukali tylko sposobności, żeby ten ciężar zrzucić ze swych ramion i sposobność tę właśnie znaleźli. Gdy bowiem Konrad Radzimińskiego, męża walecznego, nie mającego w Mazowszu równego sobie co do zamożności i chwały w bojach, z całej fortuny wyzuł, — ten, krzywdą dotknięty, do Alberta, jako pana zwierzchniego, uciekł. Na radzie publicznej, obnażywszy gwałty Konrada, przedstawiwszy własne i współobywateli swych krzywdy,— nienawiść przeciw książęciu rozniecił. Był zaś ten Radzimiński tak samemu królowi, jak i senatorom dobrze znany: pamiętali oni tego męża walecznego, podczas potrzeby wołoskiej z pięciuset mazurskimi rycerzami walczącego z olbrzymią massą nieprzyjaciół, kiereszującego ich karki mieczami ostremi. Konrad więc łaskę utracił: rada senatu najsurowiej go upomniała i postanowiła, żeby się zrzekł braterskich posiadłości. Ze starych opowieści to wiemy, że Konrad, gdy mu poseł królewski uchwałę senatu przedstawił, takim się gniewem zapalił, iż, chwyciwszy za miecza rękojeść, w te słowa wybuchnął: „Albert nieuczciwie i niegodnie postąpił, gdyż sobie wbrew zwyczajom i prawu narodów najoczywistsze prawa dziedzictwa przywłaszcza; jeżeli przeto bez użycia wojska rozstrzygnąć chce zajście, niech ze mną, zaufanym w sprawę najlepszą, której sam Pan Bóg sprzyjać się zdaje, równą bronią w pojedynku walczy: spór o prawo niewątpliwe niech los zakończy zacnem zwycięztwem, lub śmiercią szlachetną“. Rzekłszy to, płakał, przeklinał Alberta i imieniu Jagiellonów urągał. Słowa te przyjęto na dworze ze śmiechem raczej niż z gniewem: w taki sposób złorzeczenia ci tylko przyjmują, których najsprawiedliwiej one dotyczą. W końcu, gdy Konrad zmiarkował nadchodzącą ostatnią żywota godzinę, przywoławszy panów, dzieci im swoje polecił i przysięgą zobowiązał każdego, że zachowa im wierność niezłomną, że dopóty nie będą szukać sobie pana gdzieindziej, dopóki ten szczep nie wygaśnie, którego łagodnych rządów przodkowie ich doświadczali przez tyle wieków. I tak, ze spokojnym umysłem, świętościami po chrześciańsku opatrzony, we wsi Osiecku, gdzie chętnie dla łowów przebywał, zgasł, żonę Annę opiekunką państwa i dzieci postanowiwszy. Ta zaś, ze świetnej rodziny litewskiej pochodząc, była siostrą rodzoną Grzegorza Radziwiłła, i przez Konrada, już wtóry raz wdowca, z pierwszych niepłodnych małżonek wcale niemającego potomstwa, z wróżbą lepszego szczęścia za żonę pojęta, dwóch synów i tyleż zrodziła córek. Rządziła ona z największą sprawiedliwością i z męzką wyraźnie energią na wszystkie sprawy państwa zwrócone miała oczy, bez nagany obowiązki króla (*tak*) spełniała; lecz niepohamowane umysły dzikiego narodu łaskawością raczej i powolnością, niż dobrem i surowem pano-

waniem ugłaskane być mogły. Mazurowie też wkrótce pozbyli się rządów niewieścich, do czego i to się przyczyniło, że o Annie, kobiecie najskromniejszéj, gadatliwość niepohamowanego pospólstwa puściła plotkę, iż z Zalewskim ([10]), śród panów mazowieckich odznaczającym się gładkością rumianego oblicza i długim, kędzierzawym nieco włosem, przestaje poufaléj, niżby przystało niewieście, pochodzącéj z krwi książąt. I tak, podczas niespodzianego rozruchu, próżno boskiego i ludzi wzywającą ratunku, z dziećmi małemi i z Zalewskim w zamku Makowskim oblegli; a uważając, że dla mężów walecznych niegodną jest rzeczą słuchać niewieścich rozkazów i że książęta pod narodu, a nie matki, opieką znajdować się powinni, — o ich wydanie wołali śród wrzasku. W tém zamieszaniu, gdy z obu stron pociskami na się rzucano, jeden z książąt od strzału puszczonego przez kogóś ledwo zabitym nie został. Wkrótce, za wdaniem się niektórych panów, rozruch został poskromiony i, stosownie do ich żądania, Anna przyrzekła przypuścić synów do rządu, aby tylko broń złożono i nie wymagano przymusem, co po przyjacielsku otrzymać można. Przedtém jeszcze, Aleksander, król Sarmacyi, książę łagodnego i poczciwego charakteru, złagodziwszy surowość braterskiego dekretu, zmieniwszy umowę, — wielkomyślnie pozwolił Stanisławowi i Januszowi, nieletnim synom Konrada, nad témi władać ziemiami, którémi ich ojciec zarządzał. Zmienił to jednak nowy monarcha, Zygmunt, istny wzór cnoty dla wszystkich, najsławniejszy z królów ówczesnych. Przez wielką łaskawość swoję znaczenie książąt utrwalił, gdyż po zaprowadzeniu ładu w sprawach Mazowsza przez Jana Łaskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, poruczył opiekę nad krajem starszemu Stanisławowi, który dojrzałą już zdolność okazał do rządów. Był on łagodnego a roztropnego umysłu, pełen przytém walecznego ducha i energii rycerskiéj. Dał on późniéj świetny dowód męztwa, gdy przeciwko zbuntowanemu w Prussach Albertowi, mistrzowi Krzyżaków, siły swe z hufcami Zygmunta złączywszy, w uczciwéj potrzebie wroga około Pissy (*ad Pysyam*) ([11]) rozgromił. Lecz Jan, we wszystkiém równy bratu, przewyższał go siłą fizyczną. Nikt bowiem nie wyrzucał zręczniéj ogromnego koła, olbrzymich kamieni nie dźwigał; nikt łatwiéj nie rwał grubych postronków i żelaznych podków nie łamał; nikt celniéj od niego nie umiał naprężać łuku. Mówią, że miał podwójną kość pacierzową, pierś szeroką, bary olbrzymie, z postawy do starodawnych bohaterów podobien. Tylko nos spłaszczony i zakrzywiony, przez dziwaczny

---

([10]) Kozlowski (*Dzieje Mazowsza* 357. 363), Czacki (*Dzieła*. Poznań 1845, III, 466) i p. Wójcicki (*Album literackie*. Warszawa 1848 r. *Szkice hist.* Kraków 1869) — nazywają go Zaliwskim. My trzymamy się ściśle tekstu naszego autora tém bardziej, że i Kownacki (*Dzieje w Ks. Mazow.* Pam. Warsz. z r. 1820) tak samo to nazwizko przywodzi.

([11]) Rzeki, wpadającéj do Drwęcy.

przyrodzenia kaprys, całą wspaniałość téj pięknéj postaci oszpecał. Obadwaj zaś domowém obejściem, wytwornością światową, samym zresztą rynsztunkiem wojennym, wielu królów przewyższali i godnymi byli następcami sławnych swych przodków. Lecz los im nie był przyjazny. Tych pięknych przymiotów rozgłosem zwabiony Aloizy Pechri, z przydomkiem *Nadersponnus*, z magnatów węgierskich godnością i majątkiem najznakomitszy, prosił książąt usilnie o spowinowacenie się i zaślubił siostrę ich Zofią, przedziwnéj urody i najczystszych obyczajów dziewicę, którą brat Stanisław z licznym i znamienitym pocztem rycerzy odprowadził do Węgier. W tym czasie, gdy się zmian żadnych w Mazowszu nikt nie spodziewał, nagle książęta w samym życia rozkwicie, nieubłaganą losów koleją — zgaśli. Skoro się bowiem młodzieńcy bezwstydnie miłostkom oddali, skoro czas śród biesiad rozpustnych i nocnych hulanek trwonili, — śmierć znaleźli przedwczesną. Pierwszy zgasł Stanisław; w ośmnaście miesięcy umarł Jan, zaraźliwą nawiedzony chorobą.

Dwojakie było mniemanie o ich śmierci: jedni przypisywali ją niepomiernemu użyciu wina, gdyż biesiadując, książęta nie odznaczali się wstrzemięźliwością; drudzy, zdradę za powód kładąc, twierdzą, że młodzieńcy silni fizycznie nie mogli uledz chorobie, że niewątpliwie do pozbawienia ich życia trucizna użytą była. Niosła później wieść powszechna, że niejaka Katarzyna, wojewody Rawskiego córka, później Konrada Oborskiego małżonka, gdy gwałtowną ku nim zawrzała miłością,—do niewątpliwéj zguby przywiodła nierozważnych młodzieńców. Użyła ona do tego czarów, czém do obłąkania ich doprowadziła, sądząc, że, pokonani miłością, natrętnéj dziewce ulegną.

Podejrzanych wzięto na tortury: rycerz Jordanowski ([12]) pod miecz położył głowę, a powiernica Katarzyny z największą pokorą zniosła zadaną jéj karę. Wściekły i nienawiścią przejęty gmin i na samę Katarzynę przekleństwa miotał; od zemsty powstrzymała go tylko obawa króla, pod opieką którego ojciec Katarzyny i cała Rawska prowincya zostawała oddawna. Żaden bowiem naród nie doznał większéj boleści z powodu śmierci swych panów, jak Mazurowie: a dziwić to mogło tém bardziéj, że jak Konradowi, książęciu wypróbowanéj roztropności, niechętnie ulegali, tak młodych synów jego, jakoby z wszelkiéj surowości otrząśnieni, niesłychaną ogarnęli miłością. Przypisać to należy téj okoliczności, że książęta łaskawém postępowaniem, wspaniałomyślnością i ową uprzejmością, która serca ludu ujmuje najbardziéj, ojca Konrada, z natury cierpkiego, przewyższali niezmiernie. Dodawało żalu i sieroctwo po rodzinie królewskiéj: szczep bowiem, więcéj niż cztery wieki panujący w Ma-

([12]) Wapowski objaśnia, że Jordanowski, będąc w służbie u Janusza, miał mu ułatwiać stosunki z Katarzyną.

zowszu, po wyniszczeniu męzkich potomków, zupełnie wygasłym widzieli. Byli i tacy, co wierzyli, że Katarzyna, za radą wyższą, książętom powolną truciznę zadała, a to żeby, za pomocą téj nikczemnéj przysługi, kraj stał się króla dziedzictwem. Jest jednak rzeczą niewątpliwą, że to wszystko bez jego wiedzy dokonaném zostało. Cóż bowiem jest bardziéj niedorzeczném nad wiarę, że Zygmunt, pan sprawiedliwy, świątobliwości takiéj, który ofiarowane sobie przez Węgrów, Duńczyków i Czechów najokazalsze królestwa z wielką sławą skromności swojéj odrzucił, żeby, mówię, pan taki na śmierć niewinnych zezwolił książąt? Możnaż przypuścić, żeby się ku wiecznéj hańbie, za pośrednictwem zbójców, na tak małą łakomił puściznę?

Wkrótce po zejściu książąt, król Zygmunt, przybywszy dla uśmierzenia rozruchów, samą powagą swojego imienia uspokoił burzliwych Mazurów. Albowiem jawnie sprzyjali oni Janowi Odrowążowi, natenczas wojewodzie podolskiemu, który, obok szlachetności rodu i męztwem znamienity, młodszą siostrę książąt miał za małżonkę, a przeto do odziedziczenia księztwa wyraźne sądził mieć prawo. Mazurowie, do rządu własnych panów przez tyle wieków nawykli, niechętnie widzieli Zygmunta, zmierzającego do władania nad nimi. Sądzili, że król ten, potężny bogatych narodów władzą, nad szlachtą mazowiecką, nie mogącą sprostać dostatkom pańskim, albo niedbałą rozciągnie opiekę, albo z pogardą pomiatać nią będzie. Lecz w postępowaniu Zygmunta tyle widniało rozsądku i sprawiedliwości, że wyrazem twarzy łagodnéj i wymową, przy stosownem jednak zachowaniu dostojności monarszéj, wszystkich pociągnął ku sobie. Mazurom praw starych i obyczajów używać pozwolił, prócz tego do dawnych przywilejów wiele nowych dodał, przez co pozyskał miłość narodu, który, nie orężem, lecz siłą odwiecznych praw braterstwa złączony z Koroną, po ludzku traktowanym się widział.

Póżniéj Mazurowie usilnie błagali Zygmunta, żeby im dał syna Augusta, niedorosłego naówczas księcia; lecz tego im odmówiono, z tego mianowicie powodu, żeby Mazurowie tém usilniéj starali się usunąć wszelkie przeszkody, a przeto, żeby Augusta wspólnie z Polakami mieli za króla. I tak, po zamienieniu państwa na prowincyą (13)

---

(13) Ziemie: Rawską, Gostyńską i Bełzką w r. 1462; Sochaczewską w r. 1476; Płocką w r. 1496 z Koroną złączono. Z pierwszych dwóch i Sochaczewskiéj utworzono województwo Rawskie; Bełzka na Rusi i Płocka stanowiły oddzielne województwa. Resztę Mazowsza przyłączył Zygmunt I w r. 1526, z pozostawieniem go przy dawnych prawach, pod oddzielnym zarządem namiestników, czyli Vicesgerentów; w r. 1529 reprezentacya mazowiecka do rady i sejmu weszła. Dopiero w r. 1576 zrzekli się Mazurowie swych praw oddzielnych, „warując tylko sobie osobliwe niektóre zwyczaje, dla zachowania ubogiéj szlachty potrzebne, jako lżejsze i znośniejsze“. Stefan Batory te *Excepta* na sejmie Toruńskim potwierdził i, zniosł-

ustanowiono vice-króla, który narodowi pod nieobecność samego monarchy sprawiedliwość wymierzał. Godności téj dostąpił najpierw Wawrzyniec Prażmowski, zarazem wojewoda mazowiecki: ten we wszech rzeczach tak wielką posiadał władzę, iż całkiem zastępował króla i każde zdanie jego tyle miało powagi, jak gdyby od samego wychodziło monarchy. To ciężkie jarzmo, nałożone na Mazurów, którzy już dawniéj na surowość własnych rządców sarkali, i równych sobie słuchali niechętnie, —tak źle ich usposobiło, że później, podczas bezkrólewia, na radzie publicznéj magistraturę tę prawnie znieść chcieli; lecz nie stało się zadość ich sprawiedliwemu żądaniu, z powodu oporu monarchy.

Po królu, pierwsza w narodzie godność należy się wojewodom, których jest trzech: Płocki, Czerski albo Mazowiecki i Rawski ([14]);

szy Vicesgerencyą, wojewodów mazowieckich z takimiż dygnitarzami innych prowincyj porównał.

Województwo płockie miało trzech senatorów krzesłowych (biskupa, wojewodę i kasztelana); Rawskie—dwóch (wojewodę i kasztelana); Mazowieckie—trzech (wojewodę, kasztelana Czerskiego, a od r. 1768 i kasztelana mazowieckiego).

Kasztelanów mniejszych, powiatowych, czyli drążkowych, województwo Płockie miało dwóch (Raciązki i Sierpecki); tyluż Rawskie (Gostyński i Sochaczewski); Mazowieckie—sześciu (Warszawski, Wizki, Wyszogrodzki, Zakroczymski, Ciechanowski, Liwski).

Posłów na sejm województwo Płockie wysyłało trzech, a od r. 1764 czterech; Rawskie—sześciu t. j. po dwóch z każdéj ziemi; mazowieckie—dwudziestu.

W województwie Płockiém sejmiki odbywały się w Raciążu, za St. Augusta przeniesiono je do Płocka; w Rawskiém każda ziemia sejmikowała u siebie (Rawa, Gostynin, Sochaczew); w Mazowieckiém podobnież.

Województwo Płockie w zwykłém miejscu wybiérało dwóch deputatów na trybunał i jednego kommissarza, czyli sędziego skarbowego do Radomia; popisy rycerstwa odbywały się na polach Raciąża. Obywatele Rawscy odbywali generały, czyli sejmiki generalne wszystkich ziem—w Bolemowie (od r. 1766), gdzie kolejno każda ziemia obiérała po dwóch deputatów na trybunał i kommissarza skarbowego. Popis pod Sochaczewem. Województwo Mazowieckie generał miało w Warszawie. Wybierano dwóch kommissarzy i tyluż deputatów na trybunał w ten sposób, iż co piąty rok kolejno obiérała każda ziemia swego deputata. Popis w każdéj ziemi, a w niektórych, z powodu wielkiéj liczby szlachty,—w każdym powiecie. W ogóle, Mazowsze w senacie i w izbie poselskiéj $^1/_6$ reprezentacyi posiadało.

Województwo Płockie starostę grodowego miało jednego (Płocki); niegrodowego—jednego (Mławski). Województwo Rawskie, pierwszych tylu, ile ziem; drugich—trzech (Bolemowski, Wiskicki, Długołęcki). Województwo Mazowieckie pierwszych—dziesięciu t. j. ile ziem (do starosty Wizkiego należał gród Wąsocki; do Łomżyńskiego grody: Kolno, Zambrów, Ostrołęka; do Różańskiego—Maków; do Nurskiego—Kamieniec i Ostrowie); starostów niegrodowych—dziewięciu (Błoński, Osiecki, Garwoliński, Przasnyski, Radziłowski, Latowicki, Zaszkowski, Ostrołęcki, Piaseczyński). Sądy ziemskie, czyli roki, odbywały się w terminach oznaczonych, w każdym powiecie, zwykle trzy razy do roku. Zasiadali na nich: sędzia, podsędek i pisarz, obierani na sejmikach przez szlachtę każdéj ziemi.

([14]) Z początku jeden był tylko wojewoda—Mazowiecki, późniéj przybył drugi—Czerski, który od r. 1341, t. j. od utworzenia Księztwa Warszawskiego z części Czerskiego, zwał się niekiedy Mazowieckim, a dawniejszy Mazowiecki tytułował się Płockim. Od r. 1462 przybył trzeci--Rawski (Kozłowski: *Dzieje Mazowsza.* 425).

tenże sam porządek panuje w senacie co do zasiadania miejsca i podawania głosów. Drugą, najbliższą wojewodom powagę, mają kasztelanowie, albowiem i ci do rady królewskiéj należą. Starostowie zaś grodowi *(praefecti)*, sędziowie *(judices)*, burmistrze i podkomorzowie (*finium regundorum judices*) w swoich okręgach sprawiedliwość wymierzają. Oprócz tych, są urzędnicy, którzy stałych obowiązków nie pełnią. Są to urzędy dworskie, od wieków ustanowione. Kuchmistrze (*praegustatores*), stolnicy (*dapiferi*) i ich zastępcy podstolowie, chorążowie (*vexilliferi*), poborcy (*quaestores*), łowczowie (*venatores)* t. j. zarządzający łowami,—daléj wojscy *(tribuni)* i pisarze (*scribae*)—wszystko to są tytuły urzędów honorowych, których służby żeby wyliczyć, zaiste, niepospolitego na to potrzeba umysłu, a jednak to wszystko Marcin Kromer, jeden z najgruntowniejszych pisarzy, z niezrównaną biegłością, w porządku przedziwnym, w swym Polski opisie zamieścił.

Teraz położenie kraju, miasta, znamienitsze wioski, miejscowości ważniejsze, zamożność, zwyczaje i oświatę narodu opiszemy, z prośbą jednak do Zoilów, ażeby od nas nie żądali rzeczy zbyt wielkich. Do pracy téj bowiem przystąpiliśmy z tém przekonaniem, że to, co zasługuje na poznanie, co się robi z chęcią przyniesienia czytelnikowi korzyści, ze względu na dobro kraju lekceważoném nie będzie.

Mazowsze w wielu miejscach jest bardzo ludne; ziemia zawiera pola przydatne pod zasiew. Gdzieniegdzie słońce dopieka tak mocno, że śród najurodzajniejszych gruntów — tu i owdzie nieżyzne bieleją piaski; wszędzie jednak, czy-to z przyrodzonéj płodności, czy z powodu troskliwéj uprawy rolników, pola zwracają zasiew obficie. Wszelkiego płodu ziemi obfitość wielka; wystarcza ona nietylko na potrzeby domowe, lecz ją i do Gdańska, na ów znany rynek handlowy, wysyłają rzekami spławnemi. Różnego gatunku zwierząt i bydła roboczego jest dużo; a innych rzeczy, do utrzymania życia niezbędnych, takie masz mnóstwo, że przez to tracą na swojéj wartości. Myśliwstwo wielorakie: jelenie, łosie, żubry nietylko w Skwańskim znajdują się lesie (*silva Sequana*); w puszczy zaś Jaktorowskiéj (*silva Hectorea*), stada olbrzymich turów napotkasz. Zwierz ten dla samych tylko królów jest zostawiony, i pod karą niewolno go nikomu innemu zabijać.

[W dawnych czasach, zwierzę to zamieszkiwało lasy giermańskie; teraz, o ile mi wiadomo, nigdzie w całéj Europie, jak tylko na tym skrawku, ze starożytnéj Hercynii pozostałym, spostrzegać się daje. Wielkością przechodzi naszego wołu, lecz z postaci jest doń podobny. Zwierzęta te zdumiewającéj są prawie zręczności, gdyż gnój nawet, podczas wydawania go z siebie, nim na ziemię upadnie, — igrając płocho, podrzucają rogami. Samice, obcujące z wołami domowemi, woń przed samcami zdradza; odpędzają je daleko od trzody na pastwę dzikiego zwierza, żeby karę odniosły za skażenie swojego rodzaju. Odznaczają się zaś taką siłą, że podniesionego

rogami jeźdźca z łatwością rzucają o ziemię. Uważano często, że jeden tur dzielny, za pomocą rogów i kopyt, rzetelne nad kilku wilkami odnosił zwycięztwo. Nic bardziej nie jest pożądaném przez myśliwców, nad *turzywicher* t. j. środkową, kędziorami kosmatą część ciała, jeżeli mianowicie żyjącemu jeszcze turowi ją wydrą; posiadany bowiem kawałek mięsa przez kobiéty brzemienne zapobiega poronieniu i łatwy sprawia poród. Sądzą również, że tęż własność posiadają pasy, które, po rozcięciu skóry w kształcie koła,— z nieżywych turów bywają ściągane. Jeżeli się ich nie drażni— napotkanego człowieka lub zwierzę dzikie mijają spokojnie; lecz drażnione, zapalczywie się srożą. Cezara jednak, który inaczéj to opisuje, nie obwiniam o podanie fałszu: mogło się bowiem wydarzyć, że zwierzę, w owych olbrzymich puszczach Germanii wychowane, podróżnych ścigało. Teraz tury, w szczupłych zamknięte lasach, z konieczności łagodniejszemi się stają].

Cała ziemia Mazowiecka na trzy dzieli się województwa: Mazowieckie, Płockie i Rawskie ([15]). Opiszemy naprzód pierwsze, od granic Polski zacząwszy.

Zawiera ono miast jedenaście: Czersk, Warszawę, Zakroczym, Wyszogród, Ciechanów, Wiznę i Liw. Temi kasztelanowie zarządzają; pozostałe zaś: Łomża, Zambrów, Różan i Nur—od niższych zależą urzędników. [Województwo to potężniejsze jest od innych, albowiem 45,000 rodzin rycerskich posiada, a żadna z nich nie jest tak biedną, żeby przynajmniej jednego męża na koniu zbrojnego nie wystawiła na wojnę. Niektóre, według zamożności, dają więcéj, a są, co i całe uzbrajają hufce. Gmin miejski i wiejski dostarcza piechoty] ([16]). Przestrzeń tego województwa dotyka ziemi Sandomierskiéj tam, gdzie rzeka Radomka (*Radominia*) przebiega; daléj rozciąga się po obu stronach Wisły, pod Wyszogrodem zwróconéj na północ; od województwa płockiego oddzieloną jest nędznemi lasami, następnie z Prussami, a w końcu z Jadźwingami i Łukowianami, narodem nawpół ruskim, graniczy.

Nad Radomką, na samej granicy Polski, leży Głowaczów (*Glovaczevia*) sławny pamięcią swego założyciela, starosty Leżańskiego, który na wyprawę azyatycką towarzyszył Witoldowi, mężnemu

---

([15])

Woj. Mazow.	mil kw.	385,	miast	68,	wsi	3688.	dymów	69129,	ludn.	402368
„ Płockie	„ „	87,	„	14,	„	1093,	„	13564,	„	53768
„ Rawskie	„ „	92,	„	19,	„	865,	„	18273,	„	62469
Razem . . .	„ „	564,	„	101,	„	5646,	„	100966,	„	518605

Taki był stan tych województw w XVIII wieku. W Mazowieckiém wypadało na m. kw. dymów 179; głów—1045. Dymów miejskich i wiejskich dziedzicznych 45163; w dobrach królewskich dymów 13308. *(Głos JW. Moszyńskiego na sessyi sejmowéj 19 Kwietnia 1790 r.).*

([16]) Toż samo przywodzi Starowolski: *Polonia sive status R. P. descriptio* (u Mizlera I. 461).

księciu. Zamek Leżański (*arx Lezennicia*), miejsce urodzenia starosty, stał jeszcze za naszej pamięci. [Powyższe miasto podwójnie okrywa się chwałą, z powodu Ma... Leżańskiego, odznaczającego się bogactwy i przymiotami pięknego umysłu. Wywiązując się z uroczyście uczynionego ślubu, że w Jerozolimie grób Zbawiciela odwiedzi,—gdy do Włoch wracał, nudą długiej żeglugi strawiony, umarł na Zacyncie]. Zwróciwszy się od Głowaczowa ku rzece Pilicy, spotykasz najpierw małą mieścinę Białobrzegi (*Bialobriga*), następnie Przybyszew (*Pribiscvum*) i Wyszemirzyce, należące do opactwa płockiego. Niedaleko ztąd leży Warka, miasto dobrze zabudowane i ludne. Cała prawie przestrzeń nad rzeką Pilicą jest żyznym ogrodem, który poblizkim miastom dostarcza ogromnej massy ogórków, cebuli i wszelkiego gatunku jarzyn. Sama Warka posiada znaczną liczbę wybornych rzemieślników, sześć kościołów i siódmy, bardzo wspaniały, z klasztorem księży Dominikanów, w którym są groby Trojdena i Ziemowita, książąt Mazowieckich, oraz Anny, siostry Witolda. Ztąd, o sześć tysięcy prawie kroków (17), wspaniała Pilica (*Pilicia*) płynie mimo Ostrołęki, wioski dla przyjemnego położenia godnej być siedliskiem Muz samych, sprzyjającej bardzo uprawie nauk. [Wieś tę Małgorzata Ciołkówna (*Vitellia*), żona autora, a moja najdroższa matka w dom Święcickich wniosła; lecz obecnie, z powodu różnych nieporozumień, a raczej dla marnotrawstwa niektórych z mych braci, niewątpliwie do innej przejdzie rodziny]. Pilica, z powodu wielu stojących na niej młynów,—licznemi nasypami osłabiona i przyduszona, gwałtowniej, niż przy zupełnej swobodzie, dąży do Wisły i długo jeszcze przyrodzony zachowuje blask wody, aż w końcu, pokonana i ujarzmiona falami Wisły, barwę zwycięzkiej rzeki nadziewa na się. Wzniesienie za wsią leżące, przez większą część roku od żyznej zieleni się trawy, a wypływa z pod niego przezrocze źródło Callirhoë, sprawiające mi wielką przyjemność. Szemrząc niewielką swą wodą, do przyległego wpada jeziora i ztamtąd, jakby przez loch pochłonięte podziemny, żadnego nie znajduje wyjścia. Od północy Czersk (*Cyrisco*) widać, niegdyś najwspanialsze na Mazowszu miasto, ze starożytnym dawnych książąt zamkiem,—obecnie nędzna mieścina. Nic w nim nie zasługuje na uwagę, prócz zamku, który nietyle warownością, ile samą starożytnością zdumiewa. Potrójne jego baszty, zdaleka widzialne, z wyniosłego pagórka, zbliżonego do samej Wisły, otwierają szeroki widok na pełne powabu lasy, po obu brzegach rzeki leżące. U stóp pagórka znajduje się winnica, zaszczepiona i uprawiana staraniem Bony. Od zachodu mieszczanie posiadają pełne wybornych fruktów ogrody, według zdania Sarmatów, żyzne jak niebo. Dalej, w głąb postępując, spotyka się Goszczyn (*Goscinium*) niczem się

---

(17) Cztery tysiące kroków liczono na milę. (*Wapowski*. II. 173).

nieodznaczający, chyba zauważysz, że przy dość rozwiniętém rękodzielnictwie, wszyscy prawie jego mieszkańcy są wybornymi sitarzami. Częścią sita z końskich włosieni na sposób tkanin wyrabiają,—częścią, po obdarciu i zmiękczeniu łyka lipowego, dowcipnie plotą przetaki, służące młynarzom do oczyszczania otrąb. Sitarze ci przedzierają się z wielkim trudem do Węgier, aż do Mezów i Tryballów i, rozproszywszy się z towarami znanéj taniości, w złoto zaopatrzeni, wracają do kraju. Powracający przynoszą z sobą o tych narodach przeróżne wieści, które przez wywiady i podsłuchy, często z wielkiém niebezpieczeństwem, podejrzani o szpiegostwo, zbierają.

Ztąd Grodziec (*Grodecia*) ([18]) o ośm tysięcy kroków jest odległy. Leży on na trakcie krakowskim, kilka murowanych domów i kościół dość piękny posiada. Mieszczanie, ponieważ są pozbawieni rzeki, niezbędnéj do prowadzenia handlu, jedynemu rzemiosłu pospolicie się oddają. Wprawną ręką wyrabiają z delikatnych kiszek baranich do lutni służące struny, które następnie do odległych roznoszą krajów. Ziemię Czerską od województwa Rawskiego oddziela mała rzeczka Mogilniczka, a od ziemi Warszawskiéj—Jeziorka. Z prawéj strony Wisły ziemia ta szerzéj się ciągnie. Nazywają zaś tę okolicę Polesiem, bo nieoddawna, po wytrzebieniu lasów, na pole zamienioną została. Miasta ma następujące: Garwolin, dość zaludniony i sławny z wyrobu najlepszego piwa; daléj Latowicz—oba na wschód Czerska położone. W ich obwodzie, wzdłuż i wszerz ziemia jest bardzo urodzajna, użyzniana przez spore rzeczki: Wilgę (*Wilka*) i Świder, które, w stosownych miejscach zasilane połączonemi za pomocą małych kanałów jeziorami, — poruszają zbożowe młyny i w różny gatunek ryb obfitują. W niewielkiéj odległości są zamki: Kozłowski i Parysowski (*Parisopolis*), rybnemi zewsząd stawami okolone, i Sebastyanowski, który Sebastyan Branicki, biskup poznański, założył i nazwał od swego imienia. Nieco daléj leży Kuflewo i Seroczyn (*Serocinum*), nędzne mieściny, własnością mazowieckich panów będące; bliżéj Czerska jest Kołobiel (*Kolubella*), nad szeroko rozlanym położony Świdrem. Trochę daléj leży Mińsk, najludniejsze w tych stronach miasto, posiadające dwa znakomitych panów pałace. Odtąd odległy jest o ośm tysięcy kroków Wawrzyszew (*Laurentinum*) i Osieck (*Ossecycum*), na trakcie Czerskim leżący, ogromnemi zaroślami otoczony zewsząd. Tu nic tyle nie sprawia podziwu, jak dający się widzieć w blizkości zwierzyniec, nieprzebytemi obwarowaniami okrążony. Urządzili to dawni książęta mazowieccy, dla napędzonych tu, w celu rozrywki, jeleni i kóz dzikich. Toczy się przez zwierzyniec wstęgą srebrzystą strumyk przezroczy, który podczas najsilniejszych mrozów nie krzepnie, jak znowu śród największych upałów chłód zachowuje, odkrywając dostępne tu i owdzie

([18]) Dziś Grójec, miejsce urodzenia Piotra Skargi (1536 r.).

brzegi dla zwierząt spragnionych. Ciągnie się tu las ogromny, który od granic Mazowsza, na drugi brzeg Wisły, aż do rzeki Narwi dosięga. Przezeń Świder zmierza do Wisły, a w blizkości leży Karczew, przez nieliczną zamieszkany ludność.

Następnie Warszawa od Czerska o dwadzieścia tysięcy kroków jest odległą i śród miast mazowieckich jest niewątpliwie najpierwszą. W naszych czasach znaną jest z posiedzeń senatu i odbywania obrad publicznych Sarmacyi. Leży na wyniosłym pagórku, który, do saméj docierając Wisły, impetu bystréj rzeki, ani kamieniami, podmywanemi i wypadającemi ciągle, ani czém inném powstrzymać nie może. Od północy zwraca oczy przechodnia najwspanialsza z budowli i wieżami najeżone świątynie. Zresztą ta część miasta jest bez obwarowań, gdyż mieszkańcy samą przyrodą urwiska i korytem rzeki ogromnéj zdają się być zabezpieczeni od wszelkiéj napaści wrogów; z innych zaś stron otacza miasto mur podwójny i fossa dość płytka. Przedmieścia tak są rozległe, że przewyższają ogrom samego miasta. Dają się w nich widzieć rozkoszne ogrody, szlachetnemi drzewami zasadzone. Pomiędzy świątyniami pierwsze zajmuje miejsce wspaniała katedra pod wezwaniem Św. Jana Baptysty, tak ogromem budowy jak i starodawnością swoją godna podziwu. Posiada ona zgromadzenie duchownych, naprzemian służbę bożą pełniących. Jeden z tych mężów, którzy dla znanéj czystości obyczajów i nauki, obierani są zwykle—godnością śród innych góruje. Znajdziesz tam wiele innych świątyń i klasztorów, na przedmieściach nawet. Jeden z nich, przy którym mieszkają zakonnicy reguły Bernarda Seneńskiego,—budowy jest wielkiéj i okazałéj; po pałacu królewskim najbardziéj uderza oko. Prócz tego jest klasztor Św. Jerzego, również księży Dominikanów, a w samém mieście braci Eremitów, zachowujących regułę św. Augustyna. Masz jeszcze kilka innych wspaniałych świątyń, które dawnemi czasy ludzie nabożni stawiali tak hojnie. Sam pałac królewski był wprawdzie niegdyś staroświeckiéj budowy, lecz za naszych czasów odnowiony został staraniem króla Augusta. [Obecnie kosztem potężnego Zygmunta III, przyrodzonym dowcipem włoskich architektów takie otrzymał kształty, w jakich go właśnie widzimy]. Dziełem tegoż króla sławnego jest most palowy na Wiśle, niepospolicie pięknéj budowy. [Był niegdyś most palowy na Wiśle, lecz ten w minionych latach ogromnym prądem wody i ustawicznemi wirami całkiem został zniszczony. Dotychczas nie zastąpiono go niczém, nawet starań około tego nie widać, albowiem jedynie murowaną wystawiono przystań]. Miasto to, że dla przybywających leży w miejscowości bardzo dogodnéj, bo w środku prawie tak dla Polski jak i dla Litwy, — król August przeznaczył do roztrząsania spraw ważniejszych, późniéj zapowiedziane w niém zostały sejmy dla całéj Sarmacyi, a i sam król, dopóki nie umarł, niechętnie gdzieindziéj bawił ([19]).

([19]) W r. dopiero 1569 (*Vol. leg.* II, 780). Warszawę na miejsce obrad nazna-

[Równie i teraz torem Augusta podąża król Zygmunt III, którego Sarmacya uwielbia, jako starodawnej cnoty gorliwego naśladowcę. Wielce się z tego powodu w ludność wzmogła Warszawa; świetną jest przez okazałość zabudowań, bogactwo mieszkańców i obfitość rzeczy, wszelkich tak dalece, że niewielu polskim ustępuje miastom].

Tarczyn, Błonie, oraz Piaseczno niedaleko Warszawy leżą: ostatnie o dziewięć tysięcy kroków, a tamte blizko o dwadzieścia są od niéj odległe. W obwodzie Warszawskim ziemia bardzo urodzajna i głównie pszenicę rodzi. Lecz około Błonia wielki jest brak drzewa na opał, gdyż, po zupełném wyniszczeniu lasów, wszystko grunta orne zajęły. Po drugiéj stronie Wisły ziemia Warszawska rozciąga się szerzéj; obejmuje lichą mieścinę Okuniew i Stanisławów. Ostatni jest dobrze zaludniony, założony przez Stanisława, ostatniego z książąt mazurskich. Okolicę przerzyna rzeczka Rządza (*Ranza*), która, niedaleko ztąd biorąc początek, w kierunku poprzecznym tę przestrzeń ziemi przebiega; wiele w różnych miejscach jezior, przy pomocy natury, lub sztuki ludzkiéj, formując — do rzeki Buga dociąga. Przed niedawnemi czasy okolica ta lasem była porosłą; teraz zaś, uprawiona, — obficie wydaje zboże.

Następnie spotykasz Liw ([20]), najbliższe Jadźwingów i Łukowian, częstemi pożarami zeszpecone miasto. Posiada zamek, w wyborném położony miejscu, a przeto, jeśli się jeszcze ludzka przezorność dołoży, najpewniejszą ma przyszłość. Ziemia Liwska, z wyjątkiem samego miasta, nie jest zbyt okazałą. Dobre nic godnego imienia miasta nie posiada. Pełno tu jest szlachty, która, z przyczyny mnogiego potomstwa i podziału swych dziedzictw, mało będąc zasobną, — jedynie z ducha wolności i rycerskiéj dzielności słynie. Ziemia ta otrzymała swą nazwę od rzeki Liwca (*Livecius*), który, od wschodu płynąc i Jadźwingów w miejscach niektórych od Mazurów odgraniczając, małemi potokami zasilony, blizko Kamieńca łączy się z Bugiem.

Kamieniec (*Camonecia*), nad Bugiem położony, jest częścią ziemi Nurskiéj. Grodu tego ani natura, ani też sztuka nie czyni bezpiecznym. Ziemia Nurska od Radzymina i Serocka, (który leży przy złączeniu się Buga z Narwią) do rzeki Nurca (*Nurcium*), przeszło na sześćdziesiąt tysięcy kroków się ciągnie i zawiera: Nur, Kamieniec i Ostrowie. Niektóre ubogie miasta należą do panów, jak: Radzymin, (*Radziminum*) od Warszawy o dwadzieścia tysięcy kroków odległy, i blizki Kamieńca Ślubów (*Slubovia*), licha bardzo mieścina. Mieszkańcy nieżyznych piasków mało się trudzą rolnictwem, więcéj

---

czono. W r. 1673 (*Vol. l.* V, 108) postanowiono, aby każdy sejm trzeci w Grodnie się odprawiał. Sejmy konwokacyjne zawsze odbywano w Warszawie; elekcyjne — na zachód Warszawy między Wolą i Powązkami. Tylko elekcye Henryka i Augusta III odbyły się przy wsi Kamień, na wschód Warszawy.

([20]) Tu sławny biskup Woronicz w r. 1795 był proboszczem.

rybołówstwem się bawią, a najobfitszy mają połów przy blasku kagańców, w miesiącu Marcu. Nigdzie niema takiego połowu, jak na całej rozciągłości Buga. Znaczną część tej ziemi posiada biskup Płocki: Wyszków (*Vyscovia*) i, ludniejszy od poprzedniego, Brok, po obu brzegach Buga leżący. Oprócz powyższych — Złotorya, pośród bagien położona, i Andrzejów, Andrzeja Krzyckiego znakomitego biskupa dzieło, z obszernemi posiadłościami pod rozkazami biskupa płockiego zostają. Przestrzeń koło Ostrowia i Nura cała prawie do szlachty należy. Rzeczka Brok, zasilona małą rzeczką Broczkiem (*Broculus*) i licznemi, przezroczystemi strumieniami, urodzajne przebiega pola. Okolicę, po drugiej jego stronie leżącą, zowią Łętownicą (*Lantovicia*); odznacza się ona urodzajnością ziemi i obfitością wszelkiego gatunku zboża. Znaczna część okolicy podlega władzy biskupa płockiego; resztę zajmuje niezliczona liczba rodzin szlacheckich. Lasy w tych stronach były niegdyś ogromne; lecz skoro Jadźwingowie i Litwini przyjęli wiarę Chrystusa, — książęta mazowieccy, uspokoiwszy się z sąsiadami, w niezaludnionych miejscach rolnikom liczne osady zakładać poczęli. Żadna część Mazowsza nie jest tak ludną, choć szlachta pospolicie bardzo jest biedną. I dziwnem się to może zdawać, że, wyjąwszy posiadłości biskupich, niełatwo w tak wielkiej liczbie ludzi napotkać człowieka gminnego. Szlachta zaś, z samego nieokrzesania i szczupłych majętności, zdaje się być bez różnicy bardzo uboga i nie poczytuje sobie za hańbę bawić się łotrowstwem i od sąsiadów unosić zdobycz. Najubożsi ludzie, nędzą domową do ostateczności niekiedy doprowadzeni, — wchodzą w służbę bogatszych, a przez panów, podczas zupełnego nawet pokoju liczne rodziny utrzymujących, lichą zapłatą znęceni, opatrzeni po żołniersku, zaciągają się do szeregów rycerskich. Nur od Broku o dwadzieścia tysięcy kroków, tyleż Brok od Kamieńca, a od ostatniego o tyleż kroków Radzymin jest odległy. Nur, chociaż po wiejsku jest zabudowany i mało posiada okazałych budowli, jednakże zamożnością mieszkańców — przewyższa inne. Mieszkańcy gorliwie zajmują się handlem i z żyznej okolicy niewielkim kosztem zebrawszy plon roczny, — statkami go spuszczają do Gdańska. Bug bowiem, przyjmując pod Brześciem Litewskim Muchawiec, — płynie najpierw mimo Drohiczyna, w ziemi Jadźwingów; następnie, uprowadzając z sobą Nurzec, mimo Nura przebiega, poczem, nieznacznie zwróciwszy się na zachód, tak mocno do Narwi się zbliża, że nigdzie więcej nad trzydzieści dwa tysiące kroków nie jest od niej odległy, a w niektórych miejscach mniej o połowę. Łączą się w końcu pod Serockiem i płyną razem do Nowego Dworu. Narew tak uporczywie i tak silnie opiera się chcącej ją pochłonąć Wiśle, że aż do Płocka, podmywając ciągle prawy brzeg rzeki, zatrzymuje ciemną swą barwę ([21]).

([21]) Ciekawe i dokładne *Opisanie rzeki Narwi od jéj źródła do ujścia*, Wuckego, w Dzienniku Warszawskim z r. 1826 t. IV i V.

Temi trzema rzekami nietylko Mazurowie i Jadźwingi, ale Litwini, Wołynianie, Rusini i Polacy, z odległemi narody handlując, do Elbląga i Gdańska, najznakomitszych na całej północy rynków, płyną statkami. Od wiosny do zimy statki tam i napowrót się przesuwają; a żeglarze przy spotkaniu obrzucają się obelgami i pytającym o cokolwiek odpowiadają zelżywie. Płynąc z wodą, — robią wiosłami; w przeciwnym płynąc kierunku, — rozpinają żagle. Podczas gdy wiatry nie wieją i cisza zapanuje, — odwiązawszy sznury z najwyższych masztów, po opuszczeniu drągów żaglowych, ciągnąc statek linami, odbywają swą podróż. W sąsiedztwie ziemi Nurskiej, z téj strony rzeki Seliny (*Selina*), leży ziemia Zambrowska, a stronę przeciwną Jadźwingowie Bielscy zajmują. Ziemia Zambrowska, tak z sąsiedztwa, jak ze sposobu życia mieszkańców i gatunku ziemi, jest bardzo zbliżoną do Nurskiéj. Samo miasto jest ludne, lecz nie ma nic godnego widzenia, nie posiada nic takiego, coby swą sławą, lub samą istotą rzeczy do siebie wabiło.

W stronie północnéj nad Narwią leży Wizna, któréj okolicę rzeczka Biebrza (*Bebrias*), przyjąwszy Łyk (*Lyco*) i spławną Jegrenię, od Jadźwingów, Nowe-Miasto, Augustów, Rajgród i Goniądz zamieszkujących — oddziela. Okolica to żyzna, sąsiaduje z Prussami, jest nader rybna. Ma obszerne jeziora: Gajwę (*Gajva*) i Tocylowę (*Thocylovum*), zraszaną jest przytém małą rzeczką Wyssą (*Vissa*) i Jurą, z połowu pstrągów sławną; oprócz Wizny, posiadającéj zamek, jest tu miasto Wąsosz i Radziłów. Umysły ludzi tę okolicę zamieszkujących są niespokojne, do zawichrzeń skłonne, co zresztą jest wspólne wszystkim Mazurom.

Łomża do ośmiu tysięcy kroków niżéj nad tąż Narwią leży. Miasto nader przyjemne i po Warszawie, wspaniałością murowanych domów, zamożnością i uprzejmością obywateli, oraz okazałością placów targowych żadnemu nie ustępuje miastu. Dwór królewski w Łomży jest bardzo obszerny, odwiedzany był często przez książąt mazowieckich, teraz zaś służy za siedzibę starosty. Ratusz i inne gmachy publiczne zbudowane są wytwornie, a śród nich odznacza się kościół pod wezwaniem św. Stanisława Kostki, za pamięci mojego ojca przez Jana Wojsława, pięknéj sławy męża, z wielkim zbudowany nakładem. Domy obywateli okazałe; lecz wokoło miasto obwarowań nie ma żadnych i tego tylko braknie dla dopełnienia jego świetnosci. W grodzie tym mieszka Jan Biedrzycki (22) sławny z bie-

(22) Gąsiorowski w Zbiorze wiadomości do hist. sztuki lekarskiej nic o nim nie wie. Z prac poetycznych znaną jest jego epigramma na czele dzieła Myliusa p. t. *De conjunctione fidelium cum Christo Jesu.* Crac. ap. Lazar 1561, 4°. Przy dziele St. Orzechowskiego: *Fidei Catholicae confessio,* Crac. 1561 znajduje się przy końcu Jana Biedrzyckiego do Orzechowskiego wierszy ośm i *ad Chrystianum lectorem* wierszy sześć. (Juszyński: *Dykcyonarz* I. 24. 324. Jocher: *Obraz bibl. hist.* II. 475. Nr. 2764).

głości w sztuce lekarskiej, z zamiłowania w sztukach pięknych, a szczególniej w poezyi, w której przedewszystkiém celuje. Jako znanego z głębokiej nauki, ze wszystkich Łomżan za najpierwszego go mamy. Blizko Łomży, ku Ostrowiu leżącego miasta Kleczkowa (*Clescovia*) opuścić tu nie możemy, albowiem wspaniały kościół posiada, który za pamięci mojego ojca Budyński, wielkiej pobożności proboszcz, choć sam ubogi, z użebranych składek gruntownie i okazale wystawił. Do tego dopożyczył ktoś ze szkatuły prywatnej, i kościołowi dodano obwarowanie, oraz mur, wieżę na sobie mający, co świątyni obronnego zamku nadaje pozór. Z téj strony Róż (*Rhusus*) i Orz (*Orus*), małe rzeczki różnemi, drogami zmierzają do Narwi. Pamiętni jednak na plan powzięty z góry, znowu na tamtą stronę Narwi powracamy i opowiemy o odległém na dwadzieścia tysięcy kroków od Łomży Kolnie ([23]) (*Colonia*), mieście Pruss blizkiém, znaném z handlu marynowanemi rybami. Niedaleko niego znajduje się bardzo rozległe jezioro Krusko ([24]), które obficie we wszystkich porach roku różnego gatunku ryb dostarcza. Połów ich jest największy szczególniej w zimie. Lody jeziora rozbijają siekierą i wiadomym sposobem, zarzuciwszy sieci, ryb tak wielką dobywają ilość, że sieci rwą się niekiedy. Złowione ryby, częścią od zimna skostniałe, częścią zapakowane w beczki, gospodom gościnnym rozprzedają na całe Mazowsze.

Pod Kolnem płynie Pysia, rzeka rybna, z pruskich lasów wypływająca: pod Nowogrodem, o ośm tysięcy kroków odległym od Łomży, do Narwi wpada. Tu Narew, zrobiwszy znaczne zakrzywienie, na polnoc się zwraca: przebywszy las Skwański, część starożytnej Hercynii, do Prussaków i Samogitów podąża. Znajduje się w puszczy Skwańskiej różnego rodzaju zwierzyna, jak: jelenie, żubry, łosie, nie oswojone osły, dziki leśne, a także posiada małe kuny, których futerka, odznaczające się nadzwyczajną delikatnością, przewyższają swą dobrocią futra pochodzące z Moskwy i Litwy. Nie brak tam pantery i niedźwiedzia, a pszczół w całym lesie jest wielkie mnóstwo; w wydrążeniach drzew różnych w wielu miejscach miód wyrabiają. Szlachetne sokoły, do łowów tylko przez szlachtę używane, w tymże lesie wylęgają pisklęta; — bez pierza jeszcze, z gniazd wyjęte, z wielkiém staraniem i zachodem przez ptaszników wychowywane bywają. Ptaszków, jarząbkami zwanych, wielkie jest mnóstwo. Ten gatunek leśnych ptaszyn, tak wybornego smaku, delikatności i koloru mięsa, nader zachwalany, widzieć możesz tylko w zastawie na stołach panów. Środkiem, przez nieuprawne i puste

([23]) Tu się urodził sławny Jan z Kolna (*Scolnus*), który, według Lelewela, miał się przyczynić do odkrycia Ameryki.
([24]) Tak nazwane od rzeki Krusza i wsi tegoż nazwiska, obecnie zowie się Serafinem.

pola, płynie Omulew (*Homulvia*) bardzo czysta rzeka, pełna ryb, pomiędzy któremi, zdaniem wszystkich, najwyborniejsze posiada pstrągi. Ostrołęka, miasto królewskie, blizko której Omulew do Narwi wpada, odległa jest od Łomży o dwadzieścia tysięcy kroków. Następnie idą Sielunianie, po obu stronach rzeki mieszkający. Sieluń jest stolicą okolicy, sama zaś okolica, uboga i ciemna, podlega władzy płockiego proboszcza ([25]).

Nad Narwią leży i Różan, miasto ludne, a ziemia Różańska po obu stronach Narwi się ciągnie. We środku, w bok Narwi jest Maków, przy którym bieży Orzyc (*Oryx*), rzeczka rybna i sposobna do obracania kół młyńskich, — wpada do Narwi. Od Makowa do Pułtuska liczą dwanaście tysięcy kroków.

Pułtusk, jedno z miast pierwszorzędnych, rezydencya biskupa płockiego, w porównaniu z innemi grodami jest bardzo wielki. Płynie pod nim rzeka Narew', w wielu miejscach szeroka. wylewająca na wiosnę i przeto byłaby groźną poblizkim mieszkańcom, gdyby brzeg jéj nie był utrzymany w karbach, z jednéj strony piaszczystemi wzgórkami, — z drugiéj olbrzymiemi palami i innym materyałem. Z nakierowanym bez przerwy do pędu rzeki grzbietem, wznoszą się pod miastem pagórki, które, począwszy od przyległości, do kościoła św. Krzyża należących, aż do wioski, znanéj z pięknéj powierzchowności, letniéj rezydencyi biskupa, — zielenieją, ozdobione winnicami i ogrodami żyznemi. Z tej strony jezioro, które rzeka Narew za pomocą upustu napełnia, słabą falą o miejskie mury uderza. Mieszczanie, utrzymując ciągłe stosunki handlowe z Gdańszczanami, codziennie przysparzają majątku. Tak zgromadzeń duchownych, jak i świątyń jest dużo. Z dwóch najważniejszych, jedno zgromadzenie nazywają Kanonikami, których obierają z mężów znanych ze znakomitéj nauki i wybornych obyczajów; drugiém jest Towarzystwo Jezusowe. Temu, za naszéj jeszcze pamięci, biskup Andrzéj Noskowski, własnych zasobów według pobożności chrześciańskiéj używać przywykły, bardzo wspaniały dom z cegły palonéj zbudował; darował im przytém dziesięciny snopie od ludzi dostatnich. Ojcowie ci w szkołach publicznych młodzież w wybornych naukach ćwiczą i, co jest z wielką korzyścią mieszkańców prowincyi, z wiadomościami naukowemi zasady chrześciańskiego postępowania łączyć potrafią. Zgromadzenie Kanoników znacznie opatrzył Paweł Głogowczyk ([26]), dziekan płocki, starzec sławny z głębokiéj nauki i z wybornéj znajomości Greków i Rzymian. Wielkie-m także pokładał nadzieje w bracie moim Mi-

---

([25]) Księztwo Sieluńskie leżało częścią w z. Łomżyńskiéj, częścią w Różańskiéj. O smutnych dziejach szlachty tego księztwa wkrótce oddzielną wydamy pracę.

([26]) W kościele katedralnym płockim ma nagrobek, który przywodzi Gawarecki (*Pamiętnik hist. płocki.* Warszawa 1828 str. 70).

kołaju Święcickim, którego w kwiecie wieku, odznaczającego się wyborną nauką, pięknemi obyczajami, godnością duchowną zaszczyconego, jako jedyną życia mojego pociechę, zniszczoną przez śmierć przedwczesną, niedawno straciłem. Biskup Noskowski wielu różnemi budowlami ozdobił Pułtusk. Kościół Maryański bardzo powabnym zrobił przez dodanie przybudowań, sklepienia w piękne malatury ozdobnego i przez podwyższenie wieży kościelnej. Przybudował kaplicę, w której sobie za życia wspaniały grobowiec z wielkim kosztem urządził i ołtarz poświęcił, przed którym śmiertelnicy, dla oczyszczenia się z grzechów i dla ubłagania szczęścia dla dusz pokrewnych, do Boga zanoszą modły. Szpital dla nieszczęśliwych i kościół św. Panny Rodzicielki na przedmieściu wyrestaurował do gruntu, w majątek i dochody wyposażył, że już pominę wiele innych jego szlachetnej szczodrobliwości pomników, wyliczanie których w tem miejscu przechodzi zakres mojego zadania. Który z biskupów zbudował zamek — nie jest dotąd pewnem. Lecz wiadomą jest rzeczą, że Erazm Ciołek, Rafał Leszczyński, Andrzej Krzycki i Noskowski dobrze się przyłożyli do jego ozdoby i rozszerzenia. Świeżo Piotr Myszkowski, przy pomocy geniuszu włoskich sztukmistrzów, dawną mu piękność przywrócił. Przed zamkiem założył rozkoszne ogrody, które pod innem niebem zrodzonych drzew i latorośli ziół zagranicznych podostatkiem zawierają w cieplarniach. Miejsce to nader przyjemne i równego w całej nawet prowincyi znaleźć nie łatwo. Przy krawędzi ogrodów postrzega się okrągłej budowy świątynię, staraniem biskupa Andrzeja Krzyckiego wzniesioną. Mówią zaś, że tą szczupłą budową chciał Panteon, dzieło Agryppy, naśladować i nie miał sobie za hańbę, iż potędze świetności rzymskiej, jeżeli nie kosztem olbrzymim, to przynajmniej kształtem budowy dorównać się starał.

Od Pułtuska poczyna się rozległa równina i ztąd okolicy nazwę *pola* nadano, że na otwartych i dobrych pod zasiew równinach nigdzie nie widać lasu. Przestrzeń ta z trzech ziem się składa: Ciechanowskiej, Zakroczymskiej i Wyszogrodzkiej.

Ciechanów (*Cechanovia*), miasto ludne nad rzeką Łydynią, słynie z wyrobu cegieł i z kilku gmachów publicznych ([27]). Lecz gród ten wielością mieszkańców i liczbą domów prywatnych daleko przewyż-

---

([27]) Posiadał zamek, według podań miejscowych, przez Bonę zbudowany. Królowa ta, trzymając Mazowsze tytułem oprawy, często w nim przebywała. Na wzgórzu, śród bagien stojący, z południa oblany rzeką Łydynią, z innych stron przekopem otoczony,—na początku XVIII wieku uległ zniszczeniu. Dziś pozostał tylko czworogran, z olbrzymiemi basztami po bokach, do 10,000 łokci zajmujący. Szczątki tej wspaniałej niegdyś budowy opierają się hardo ręce zniszczenia: zamiar rozebrania tego pomnika, dla wielkiej mocy murów, zaniedbanym być musiał. Według miejscowej tradycyi, do spajania cegieł tego zamczyska, używano wapna z białkiem jaj mieszanego i to właśnie taką trwałość ma nadawać budowie.

sza Przasnysz, miasto duże, sławne jarmarkami na woły. Posiada on kilka murowanych budynków, choć reszta domów nie jest zbyt okazałą. Otacza go okolica żyzna, znajdziesz w niej wielką taniość wszelkich rzeczy, ściągających się do potrzeb życia; jedynie ryby z sąsiednich Pruss otrzymuje. Przasnysz, Chorzele i Janów, do Pruss zbliżone, od puszczy Skwańskiej nie są bardzo odległe. Ziemia Ciechanowska graniczy z Zawkrzyńską. Od Pułtuska do Ciechanowa droga wynosi dwadzieścia cztery tysiące kroków, a ztąd do Przasnysza dwanaście tysięcy. Ziemia ta jest tak ludną, że, jak utrzymują, siedm tysięcy rodzin szlacheckich zawiera, z których żadna nie jest tak biedną, żeby jednego rycerza na pospolite ruszenie nie stawiła. Rodzina Romanów, w rycerskie potomstwo obfita, a przeto liczbą i siłą potężna, najbardziej jest znaną. Ci Romanowie ród swój z samego Rzymu od Waleryuszów, znakomitych obywateli, wywodzą i na dowód starodawnego pochodzenia, kruka noszą w rodowych herbach ([28]). Reszta szlachty z téj okolicy, również waleczna, z powodu zapamiętałéj odwagi zdaje się śmiercią pogardzać. Lecz ziemia ta, pod surowem niebem leżąca, co aż do ziemi Zawkrzyńskiéj i Płońska ma miejsce, doznaje wielkiego braku drzewa. Lasów rębnych nigdzie niewidać, ogołocona zewsząd płaszczyzna się ciągnie. Powodem tego jest ta okoliczność, że ponieważ ziemia z przyczyny przyrodzonéj tłustości urodzajne przedstawia grunta,—przeto chciwych mienia rolników do uprawy zachęca, gdyż żyzny zboża urodzaj

([28]) Toż samo przywodzi Starowolski (*Polonia* u Mizlera str. 461) w słowach: ..... *vetustissima Romanorum Valeria familia, corvum pro gentiliciis insignibus gestat, et foecunda sobole est, ut ad duo millia familiarum prope accedat.* Ustępu tego tłómacz Starowolskiego W. Fr. Gołębiowski (*Opisanie Król. pols. za czasów Zygmunta III.* Wilno 1765), ani Kozłowski, ani Wójcicki — nie zrozumieli dobrze. Nieoznajomieni z miejscowemi stosunkami, z nazwiska rodziny Romanów (*Romanorum familia*), przymiotnik „rzymski“ (*familia romana*) robią, nie wiedząc, jak się ta rzymska rodzina nazywa. Gołębiowski (przekładu str. 94) nadaje jéj miano Walencyuszów; Wójcicki (*Szkice historyczne*, Kraków 1869 r. str. 53 w przyp.) niby-to dosłownie przytaczając Starowolskiego, nazywa ją raz Walezyuszami, to znowu, idąc za Gołębiowskim, Walencyuszami (*Encykl. powsz.* XVIII 244); a Kozłowski (*Dzieje Mazowsza*, str. 430 w przyp.), przytoczywszy tekst fałszywy,—nadał rodzinie Romanów od herbu Kruka (*corvus*) nazwisko Korwinów i wywodzi ją od jakiegoś mytycznego Warcisława. Tymczasem tak Starowolski, jak i Święcicki (*Romanorum familia notissima est, ii stirpem ab ipsa urbe Roma Valeriaque familia, nobilissima gente, repetunt* etc.) mówią o rodzinie Romanów (wywodzącéj się od rzymskich Waleryuszów) w dawnéj ziemi Ciechanowskiéj rozrodzonéj. Rodzina ta musiała być liczną, skoro z saméj ziemi Ciechanowskiéj elekcyą Augusta II siedmnastu podpisało Romanów, z których jedni pisali się *de Romany*, drudzy—*de Czarne.* (*Vol. leg.* pod r. 1697, str. 944). W dzisiejszym powiecie Przasnyskim, w parafiach: Wielka i Mała Krzynowłoga, jest ośm wsi szlacheckich nazwiskiem Romany, z przydomkami: *Fuszki, Janki, Janowięta, Karcze, Ścibory, Sendzienta, Zalesie, Zejki.* We wszystkich Romanowie mieszkają. Znałem kilku tego nazwiska i uderzył mnie w ich twarzach jakiś anti-słowiański wyraz. Bruneci, cery śniadéj, z włosami kędzierzawemi i wysmukli—zdają się być ludźmi innego plemienia, w ich żyłach krew romańska zdaje się płynąć.

zdaje im się przewyższać wszelki drzewa dostatek. W około wiosek i domów sadzą wierzby, ponieważ tego drzewa gatunek, po ogołoceniu z liścia zielonego, najprędzéj znowu się krzewi. Niektórzy ogrzewają piece zbitemi wiązkami mierzwy.—Ztąd, zmierzając ku Wiśle, spotyka się Sochocin (*Sonchocinum*), liche zresztą miasteczko.

Daléj znów Nowe-Miasto, o dwadzieścia tysięcy kroków odległe, w którém widziéć można kościół, sławny grobem książęcia Bolesława, Konradowego brata. Od Nowego-miasta o ośm tysięcy kroków Nasielsk (*Nosellia)* leży, miasto, w którém prócz kościoła nic niéma ważnego. Proboszcz Nasielski słucha rozkazów Czerwińskiego opata. Ztąd prosto dochodzi się do Serocka (*Serocia*), niedaleko którego rzeka Wkra, z Pruss wypłynąwszy, po przebyciu województwa Płockiego i złączeniu się z małemi rzeczkami: Płonką, Łydynią i Soną, pod wsią Pomnichowem gwałtownie z Narwią się łączy. [O Narwi zaś Jan Długosz powiada, że w niéj się węże nie rodzą, i skądinąd przeniesione do niéj, żyć nie mogąc,—natychmiast niszczeją].

Z rzek mazowieckich, po Narwi i Bugu, Wkra nie jest ostatnią i prawie Pilicy się równa. Zakroczym, na urwistym pagórku leżący, nad zasiloną wielu wodami Wisłą wisi. Oprócz kościoła i jednego prywatnego domu, żadnych murowanych nie posiada budynków, jednakże jest ludny i znany z handlu solą polską.

Czerwińsk o ośm tysięcy kroków od Zakroczymia, na tymże samym leży pagórku i ma klasztor mnichów, zachowujących regułę Św. Augustyna. Sam klasztor jest murowany i na pomieszkanie przełożonego, z powodu swéj okazałości, bardzo stosowny. Opat klasztoru cieszy się wielu przywilejami i najznakomitszym w kraju osobom się równa. Wyszogród o ośm tysięcy kroków jest ztąd odległy, z zamkiem, znanym z piękności. Otaczają wokoło miasto pagórki, ozdobne w winnice i ogrody rozkoszne. Ziemia Wyszogrodzka niewielki zajmuje obszar, lecz odznacza się nadzwyczajną urodzajnością, gdyż grunt ma tłusty, najobficiéj rodzący jęczmień. Miast w téj ziemi, prócz samego Wyszogrodu i Bodzanowa, niéma żadnych. Posiadała niegdyś zamek wieś Orszymów, lecz go przed trzystu laty Mendog, król litewski, bezecny z powodu okrucieństw i niecnoty, podczas oblężenia zburzył i zrównał z ziemią. Pod Bodzanowem płynie rzeczka ([29]), województwo Mazowieckie od Płockiego oddzielająca.

Województwo Płockie sąsiaduje z ziemią Dobrzyńską i z Prussami i z dwóch obwodów się składa. Pierwszym jest sam Płocki, do którego Raciąż, Płońsk, Bielsk i Sierpc się zalicza: drugim—ziemia

([29]) Multawa.

Zawkrzyńska (*Zaphcre*), w któréj: Szreńsk, Mława i Niedzbórz ([30]). Płońsk, od Ciechanowa o szesnaście tysięcy kroków odległy, położony nad rzeką Płonką (*Plona*), zamieszkany jest przez kilka rodzin żydowskich i nic murowanego, prócz kościoła, nie posiada. Zawkrze zachodzi bardziéj na północ, a pierwsze w niém miejsce zajmuje Szreńsk (*Srenscum*), sławny z wybornego zamku, który za pamięci mojego ojca Feliks Szreński, wojewoda Płocki, z rodu i męztwa znamienity, tak doskonale wystawił, że żadnego magnackiego zamku, tak co do kosztowności jak i piękności, okazalszego w całém Mazowszu nie znajdziesz ([31]). Szreńsk posiada i nader ozdobny kościół. Widzieć w nim można wspaniałéj budowy grobowiec, który wspomniany Feliks z wielką pobożnością wystawił dziadowi swojemu. Ten zaś dziad Feliksa doczekał się nadzwyczaj późnego wieku, pewną jest bowiem rzeczą, że żył lat sto czterdzieści. Mława, od Szreńska o tysiąc kroków odległa, założona została nad rzeczką Mławką. Sławna w téj okolicy góra Niecko (*Nęsco*) najbliżéj Pruss leży. Ztąd województwo Płockie znów do ziemi Prusskiéj i Dobrzyńskiéj na zachód aż do Wisły zachodzi, nigdzie foremnych nie mając granic. W środku masz Raciąż (*Rhaciąsum*), do biskupa Płockiego należący, a daléj rozsiane są możnych panów grody: Zieluń, Bieżuń ([32]), Chamsk (*Chamsya*) i zamek Karnyszyński. Oprócz tych jest i miasto Drobin ([33]), własność rodziny Kryskich. Wydał on, za pamięci mojego ojca, Wojciecha Kryskiego, człowieka pięknego umysłu, znamienitego okazałością cnót wielu. [Drobin i za naszéj pamięci wydał Fortunata, albo Feliksa Kryskiego, kanclerza wielkiego koronnego, męża z Cycerońskiéj wymowy znanego, przeznaczonego niewątpliwie do chwały i sławy]. I samo miasto jest bardzo przyjemne z powodu pięknych ogrodów. W sąsiedztwie ma wieś nazwiskiem Starożrzeby (*Starorzębium*), staraniem Wojciecha Starorzębskiego, biskupa Przemyskiego, w zadziwiające przystrojoną ozdoby. Kształtem budynków i wytwornością świetnych ogrodów ustronia włoskie naśladuje szczęśliwie. Sierpc (*Sicpryc*), na saméj

---

(30) Właściwie Międzybórz (*Medyboria*), dziś wieś z kościołem parafialnym, niegdyś stolica jednego z trzech powiatów ziemi Zawkrzyńskiéj. Należał do gen. Zielińskiego, późniéj do Sztenkielerów, obecnie do p. p. Kisielnickich.

(31) Zamek ten, śródbłot stojący, bywał schronieniem konfederatów Barskich. Broniąc się w nim mężny Józef Sawa Caliński, marszałek ziemi Wyszogrodzkiéj, w niewolę wzięty został.

(32) W nim się urodził w r. 1716 Andrzéj Zamojski Kanc. W. K. Po złożeniu kanclerstwa przemieszkiwał tu, zajmując się uszczęśliwieniem włościan i układaniem zbioru prawa cywilnego. Okolica Bieżuńska obfitą jest w ryby i raki, połów których przynosi mieszkańcom znaczny dochód i ztąd przysłowie, że bez nich zginęli-by Bieżuniaki.

(33) W wydaniu Mizlera mylnie wydrukowano: Dobrzyń (*Dobrinum*), czego przecież niektórzy pisarze (np. T. Święcki) nie dostrzegli. Pomyłkę tę pierwszy sprostował brat mój, ks. Maciéj Smoleński w książce: *Cztery kościoły w ziemi dobrzyńskiéj*. Lwów, 1869 r. str. 134.

8*

granicy ziemi Dobrzyńskiéj, jest miastem bardzo ludném, ma kościół, czcią okolicznego narodu sławny. Nawet odlegli mieszkańcy, dla wykonania ślubów za ocalenie życia, albo téż z ciężkich chorób uzdrowieni, z wielką czcią go nawiedzają. Bielsk (*Biliscum*), od Sierpca o tysiąc odległy kroków, mieścina nikczemna. Płock (*Plocia*), starożytnością samą, przyjemném położeniem, wspaniałością znakomitego kościoła, do tego jako stolica biskupa—wszystkie mazowieckie miasta przewyższa. Leży na wzgórku wyniosłym, którego podnóże Wisła, olbrzymie bałwany wód wiodąca, podmywa i piękną wyspę tworzy na środku. Opasują gród ten starożytne mury. Świątyń jest dużo: trzy klasztory mnichów, czwarty dziewic zakonnych na przedmieściu. Zamek budową swoją nad zamkami miast innych celuje; jest zaś dziełem Kazimierza Wielkiego, który, po zejściu książąt bez męzkich potomków, Płocką krainę w prowincyą zamienił. Na miejscu drewnianego, zamek z palonéj cegły zbudował i przed napaścią Prussaków i Litwinów, którzy drewnianą warownię kilkakrotnie niszczyli pożogą, miasto mocném obwarowaniem osłonił. Sród niego nieraz i sami Mazurowie, podczas niespodziewanego napadu wroga, bezpieczne znachodzili schronienie. Śród obwarowań najwspanialszą jest katedra, pod wezwaniem Zygmunta, Franków (*) króla, którego w srebro oprawna czaszka tu się znajduje. Świątynia ta ołowianą blachą pokryta, z wieżą podwójną, kształt kościoła watykańskiego posiada. Bogatą jest w różne ozdoby, lecz najbardziéj z miejsca spoczynku umęczonego biskupa Wernera ([34]) i z podwójnego grobu królów: Władysława Hermana i syna jego Krzywoustego, posiada sławę. Jest i drugi kościół, blizko bramy stojący,—należący do mnichów reguły Benedykta, nad którymi jest przełożonym zamożny opat. Pod zamkiem znajduje się plac obszerny, zamieszkany przez osoby duchowne ([35]). Stoją przy nim i biskupa obszerne budynki; są tam, prócz tego i inne domy, w części murowane, po części drewniane, ozdobnie jednak, podług miary z balek ociosanych wzniesione. Dwa są w mieście zgromadzenia osób duchownych: jedno z trzydziestu sześciu, drugie z dwudziestu księży się składa. Pierwsi u św. Michała, drudzy w kościele katedralnym pełnią swą służbę. Mężowie ci, zalecający się pobożnością, cnotą i nauką, podlegają w części jurysdykcyi monarszéj, w części biskupiéj. Nie łatwo plebejuszowie do tego zgromadzenia się dostają; chyba ci tylko, którzy biegłością w sztukach wybornych, a miano.

([34]) W r. 1170 Bolesta Jastrzębiec, kasztelan Wizki, z powodu sporu o wieś Karsko, nienawiścią ku Wernerowi przejęty,—wysłał brata swego Bieniasza, żeby biskupa zabił. Bieniasz napadł nań we wsi Biskupicach, pod Drobinem leżącej i okrutnie go zamordował. Bolestę w Gnieźnie, wyrokiem Bolesława Kędzierzawego, żywcem spalono. O Bieniaszu zaś wieść niosła, że „w ziemię przepadł“. (*Bielski*, t. II, str. 30).

([35]) Dziś zwany rynkiem Kanonicznym, na którym w r. 1867 skwer założono.

(*) Właściwie Burgundów. Panował około r. 515. *(P. R.)*

wicie w nauce teologii i filozofii celują, oraz mężowie, dla niepospolitéj cnoty na wieńce chwały i szlachectwo zasługujący, do takich przychodzą honorów. [Osobliwą także ozdobą tego miasta jest kollegium Jezuitów i gimnazyum wspaniałe, które za naszéj pamięci Stanisław Łubieński, miejscowy biskup, mąż rozumny i pasterz wzorowy, na którego szczęśliwe życie z największą patrzymy pociechą,— wspaniale odbudował, zaopatrzył w dostatki, i nauczycieli, nietylko z nauki, ale z pobożności także i cnoty znanych,—dostarczył. Co więcéj! muzykę, która przez tyle czasu w zaniedbaniu była, znów zaprowadził i, żeby nadal sztuka tak użyteczna i potrzebna (w starożytności w takiém była poważaniu, że ją tak muzycy, jak poeci i mędrcy uprawiali) nie zaginęła u ziomków,—wyraźnie to sobie zastrzegł. Przynajmniéj jak wiele innych znamienitych dzieł tego biskupa, tak i to staranie i wielka szczodrobliwość jego, w wielu pochwały godnych rzeczach, została ocenioną przez wszystkich. I przyszłość to oceni, co ma na celu dobro powszechne i Bóg wszechmocny obficie mu za to zapłaci]. Biskup duchowieństwu tylko przewodzi i żadnéj zresztą w mieście nie ma władzy; na przedmieściach jednak obszerne folwarki, a w województwie Mazowieckiém i w ziemi Dobrzyńskiéj wielką władzę i dobra znaczne posiada. Samo miasto zamieszkuje lud uprzejmy, który po części pola i ogrody, pełne drzew owocowych, uprawia; częścią bawi się handlem, do czego pobudza mieszkańców najpierw dogodne położenie, a przedewszystkiém płynąca tuż Wisła, najcięższe unosząca statki. Tego tylko do zupełnéj wygody miasta braknie, że jest wielka trudność w dostarczaniu wody; gmin miejski wodę do picia, lub do innych potrzeb niezbędną, naczerpaną w dzbany, dzwigać musi pod górę. Wodociągów bowiem niema w tém mieście, a studnie najgłębsze nawet, na wyniosłem znajdując się miejscu,—skąpo mogą dostarczać wody. Tak pod Płockiem jak i w innych miejscach, znakomite jest w Wiśle rybołówstwo. Sumy w miesiącu Marcu przez ujście rzeki wkraczają gromadnie i pod lodem, wstecz wody, aż do Sanu, pod Sandomierz dochodzą. Mieszkańcy nadrzeczni, nabiwszy palów w korycie i w innych dogodnych miejscach, ryb tych, które napróżno usiłują przebyć ogromne zapory, lnianemi więcierzami tak wielką zwykle łowią obfitość, że, pociąwszy je na sztuki,—towarem tym zapełniają wszystkie poblizkich miast rynki. Po jesiotrze, który, według jednozgodnego zdania smakoszów, pierwsze miejsce śród ryb sarmackich zajmuje, po pstrągu i po sumie—najlepszą jest ryba, srebrnemi łuskami lśniąca, dla wielkiéj tłustości bardzo chwalona, a którą w rzekach innych okolic niełatwo podobno znaléźć. Województwo Płockie ma wielu mężów rycerskich i wszystkiego, co do życia potrzebne, podostatkiem także posiada. Narodem rządzi wojewoda, od którego są zależni trzéj niżsi przełożeni, zwani kasztelanami t. j. Płocki, Raciązki i Sierpecki. Dwa są sądy ziemskie:

Płocki i Zawkrzyński. Rozległość tego województwa więcéj niż o połowę jest mniejszą od mazowieckiego.

Po drugiéj stronie Wisły województwo Rawskie się ciągnie. Graniczy ono na zachód z Kujawami, od południa z Wielkopolską; od wschodu z województwem Sandomierskiém i Mazowieckiém, a z północy z Płockiem sąsiaduje. Województwo Rawskie posiada trzy miasta, z których najozdobniejszem jest Rawa, nad rzeką tegoż nazwiska, posiadająca kollegium Jezuitów, klasztor reguły Ś. Augustyna i zamek. Każdém z miast zarządza własny starosta: w Rawie, Sochaczewie i Gostyninie ilu kasztelanów tyluż i burmistrzów. Odległość Gostynina od Płocka dwadzieścia cztery tysiące kroków wynosi, Gombin trochę bliżéj leży. W Gostyninie, prócz zamku ([36]) i kościoła, nic więcéj godnego nie zobaczy ciekawy podróżnik. W okolicy leży Szczytno i Głowin, a nieco daléj Kiernozice (*Carnosa*), oddzielny zarząd mające. Środkiem województwa przebiega rzeka Bzura, zasilona Rawą; biorąc początek w Łęczyckiém—na wschód się zwraca, następnie w pełnym zakrętów biegu płynie na północ i na przeciwko Wyszogrodu, pod wsią Kamionem, (*Camionum*) łączy się z Wisłą. Od Gostynina do Łowicza wynosi droga dwanaście tysięcy kroków. Takaż odległość jest między Łowiczem i Sochaczewem. Ostatni za rządów dawnych książąt Mazowieckich bardzo był ludny, a Łowicz, własność arcybiskupa, wygląda wspaniale. Gród ten ze znacznym obwodem ziemi arcybiskupowi gnieźnieńskiemu darował Konrad Stary, aby po spełnioném na księdzu Czapli morderstwie, tym hojnym darem nagrodził zrządzoną krzywdę. Łowicz jest nietylko obszerny, ale ze wszystkich miast drewnianych w Polsce największy. Leży nad rzeką Bzurą, która, zalawszy trzcinowe krzewy, otacza wokoło zamek, wybornym zbudowany kunsztem. Założył go Bogorya Skotnicki, a ozdobiony został przez jego następców, z których Mikołaj Dzierzgowski salę olbrzymią zbudował, gdzie wszystkich królów i książąt, od Lecha pierwszego króla Sarmacyi począwszy, aż do ostatniego Zygmunta, odmalowanych z dodaniem krótkich napisów możesz zobaczyć. Nad tą salą urządzono wieżystą kaplicę, zkąd rozległy na otaczającą okolicę szerzy się widok. W środku zamku znajduje się źródło, które za pomocą drewnianych kanałów ustawicznie dostarcza wody. Po prawéj stronie spostrzega przechodzień prześliczny pałac, staraniem i kosztem Jakóba Uchańskiego, arcybiskupa, rozpoczęty, lecz jeszcze nie skończony. Domy mieszczan z lekkiego są materyału, zbudowane jednak wykwintnie, jodłowemi

([36]) W zamku gostyńskim car Wasil Szujski i bracia jego: Dymitr i Iwan w r. 1611, przez Żółkiewskiego w niewolę wzięci, zostali osadzeni. Iwana uwolniono; a dwaj pozostali, zmarli tu po roku i ciała ich pochowano tymczasowo przed bramą zamkową (Niemcewicz: *Dzieje pan. Zyg. III.* Kraków 1860. t. II, str. 254, t. III, str. 105).

gontami częstokroć pokryte. Jest kilka rynków i wielkich ulic; na obszernym placu stoi wspaniały kościół i gimnazyum dla kształcenia młodzieży. Istnieje i zgromadzenie kanoników, kilka kościołów, dwa klasztory—jeden Dominikański, drugi—Bernardynów. Mieszkańcy są zamożni i dla obcych gościnni, pilnie zajmują się handlem. W oznaczonym czasie, każdego roku na jarmarki tutejsze wiele odległego ludu się zbiega. Na polach łowickich obfity jest połów wybornych ptasząt, śniegułami (*sniegulae*) zwanych. Gdzieindziéj albo ich wcale niéma, albo téż nie dadzą się złowić. [Są to, zdaje się, ptaki zimowe, co i Kromer potwierdza, gdyż nietylko, że podczas zimy się zjawiają, ale i z zimą razem gdzieś nikną].

Przechodzącemu tuż przy granicy ziemi Łęczyckiéj,—daje się widzieć mieścina Jeżow (*Jezovia*), do opata lubieńskiego (w Wielko-Polsce) należąca. Nieco daléj, blizko Łowicza, znajdują się Skierniewice, miasto z okolicznemi posiadłościami arcybiskupią będące własnością. W tych stronach województwo Rawskie dochodzi do rzeki Pilicy, a na najdalszym krańcu, na wschód, leżą Łęgonice [*Langonice* (*tak*)]. Daléj Nowe-Miasto, o którém wzmiankę zrobiliśmy gdzieindziéj, jest daleko znakomitsze, posiada oddzielnych przełożonych, wybieranych przez miasto. Środek województwa sama zajmuje Rawa, stolica téj okolicy, dawnych książąt siedlisko. Odległą jest ona od Łowicza przynajmniéj o dwadzieścia cztery tysiące kroków, a o dwanaście tysięcy od Nowego-Miasta. Nazwę swą otrzymała od skromnéj rzeczki, przez środek miasta płynącéj. Wokoło obwarowań żadnych, wznosi się tylko zamek mocny, starodawnéj budowy. Biała uznaje władzę biskupa chełmińskiego ([37]). Nie tyle się odznacza zaludnieniem, lub wykwintnością,—albowiem tego wcale tam niéma,—lecz z rozboju sąsiadów u najodleglejszych Mazurów jest znaną. Szlachta okoliczna nieustraszona, ale z powodu płochości swojéj i zuchwalstwa skłonną jest do przyjęcia udziału w każdém bezprawiu. Postrach dla możnych, z dziką swawolą się bestwi, krew rozlewając i szerząc pożogi. Niedaleko ztąd zamieszkują Pomrożanie, przezwani tak od strumienia, zwanego Mrogą. Bezecne ich obyczaje i niesłychane zuchwalstwo napiętnowane zostało niesławą w pieśniach pospólstwa. Śród ludu tego, za pamięci mojego ojca, mordy były rzeczą tak zwykłą, że mąż szłachecki, a zatém szlachetny, nie miał sobie bynajmniéj za hańbę mordować własnemi rękoma. Dziś przez obcowanie z sąsiadami, pod wpływem ustaw prawnych, złagodniały te dzikie umysły. Na zachód Rawy leży Bolemów, pod którym rzeczka Rawa dość duże jezioro tworzy, a na niém pływają stada łabędzi. Z jeziora tego wynurza się Bzura. Tu już poczyna

---

([37]) Mikołaj Kościelecki, biskup chełmiński, otrzymał od Króla Aleksandra połowę téj majętności; drugą zaś część, własnym nabywszy kosztem r. 1510, wieczyście do dochodów swego biskupstwa przyłączył.

się znana owa Jaktorowska puszcza ([38]), z pobytu turów w kraju naszym sławna, część starożytnéj Hercynii. Puszcza ta od Bolemowa do Wiskitek, a ztąd przez Kałęczyn (*Calentinates*) i Drogunie (*Drogunii*), których pola szklany przebiega strumyk,—aż do Mszczonowa się ciągnie. Nieco za Mszczonowem leży miasto Radziejowice, starożytnym zamkiem i pięknością, a bardziéj jeszcze znamienite cnotą i sławą rodziny Radziejowskich. Odległość Mszczonowa od Bolemowa dwadzieścia cztery tysiące kroków wynosi. Mieszkańcy tych okolic są nieludzcy i niegościnni, co się sprzeciwia obyczajom innych Mazurów. Przechodzący tamtędy, lub przejeżdżający podczas ulew szkaradnych czy zawieruchy, dla braku gościnnych gospód,—albo do lasu uciekać, albo pod gołém niebem muszą nocować, co i mnie, podróżującemu w tych stronach, zdarzyło się niegdyś. W téjże okolicy leży Grodzisk, miasto wprawdzie niewielkie, lecz sławne pamięcią Tomasza Okunia. Był on niegdyś właścicielem tego miejsca, a gruntowną nauką, nieskazitelnością życia i uczciwością zajaśniał szeroko. Na saméj granicy ziemi Czerskiéj leży Mogilnica, od tuż przepływającéj rzeczki tak zwana, sławna z tkactwa i z wyrobu niewykwintnych sukien. W tych właśnie granicach zawarte jest dzisiejsze Mazowsze.

Mazurowie z resztą Polaków jednakowe mają obyczaje i wspólnego używają języka. Szlachta, według zwyczaju, z wielką serdecznością podejmuje swych gości. Każdy z możnych, tak okazałością domu, liczbą dworzan, jak wystawnością w biesiadach i różnego rodzaju łowami, - godność swego rodu zachować się stara; i ledwie za szlachcica się poczytuje, kto mnóstwa dzielnych koni i licznéj psiarni nie może okazać. Ci, co w gospodarstwie o oszczędności pamiętają,—za sknerów są uważani. Często sprawiają biesiady, pośród których oddają się wszelkim uciechom, a ucztują okazale przy obfitéj zastawie. Pod różnemi potrawami uginają się stoły; nie brak na nich i przysmaków zamorskich. Mają zwyczaj pić dużo i uważa się to za ubliżenie, jeżeli kto wznoszącemu zdrowie nie odpowie kielichem. Najbardziéj jest w użyciu piwo i trudno wyrazić, ile tego nektaru pospólstwo na swych biesiadach zużywa. Często zabawa kończy się bójką i z błahéj przyczyny, z powodu opilstwa, uciecha krwawą kończy się walką. Spokojniejsi spełniają kielichy przy brzmieniu bandur, trąb i kotłów. Znajdziesz tu osobliwy instrument muzyczny—dudę, z kosmatéj skóry koźléj zrobioną, która, gdy się ją nadmie przez rurę,—wydaje głos mocny. Tańcują przy jéj dźwiękach wieśniacy, przekładający te proste tony nad wszelką inną, najprzyjemniejszą nawet muzykę. Przy spotkaniu pozdrawiają się grzecznie z wypowiedzeniem wielu komplementów, bo trzeba wie-

([38]) Tak nazwana od wsi Jaktorowa, nad rzeczką Tuczno, w pow. Mszczonowskim. Długa $2^1/_2$, szeroka mil 2.

dzieć, że świadczyć sobie godność Mazury lubią. I o nic nie jest tak łatwo, jak o zacięte kłótnie, które się wywiązują z powodu najmniejszego uchybienia. Na każdą wzmiankę o męztwie i chwale,— na największe niebezpieczeństwo się narażają, w ogóle bowiem męztwem i śmiałemi czynami jaśnieć pragną i gnuśny nawet za leniwego do oręża uchodzić nie chce. Kłamstwa, rzuconego w celu zelżenia, mieczem w walce nie pomścić—hańbą jest; i najbezwstydniej obelgę znieść musisz, jeżeli kłamcy nie wyzwiesz do walki. Na zgromadzenia publiczne i jarmarki zbrojni przybywają: najlichszą sprawę mieczem rozstrzygać gotowi. Broń palna w powszechnem jest u nich użyciu. Nie jeden dwa a nawet cztery nosi pistolety, i gdy się kłótnia rozpocznie, wystrzałami ją rozstrzygają, w czem liczne zabójstwa znajdują swe źródło. Podczas wojny, takiż jest obyczaj i karność, jak i u innych Polaków. Ubiór do tureckiego podobny, z tą tylko różnicą, że zamiast zawojów na głowie,—zwyczajem węgierskim, niewielkich używają czapek. Służący wojskowo, naśladując dawnych Macedończyków,—golą głowy, policzki i brodę; inni—brodę po usta,—zostawiając, jakby dla tem większego postrachu, wąsy najdłuższe. Obuwie tureckie, w kształcie półksiężyca, bywa w użyciu. Podbijają zaś obcasy żelazną podkówką, żeby się rośléjszymi okazać i żeby się pewniej na miejscu ślizkiem utrzymać. Mazowsze, przez tyle wieków, trzech tylko znakomitych wydało wodzów: Krystyna Liligera, wielu zwycięztwy i smutnym zgonem sławnego; Krystyna Świerczowskiego, który, wspólnie z Konstantym Ostrogskim, za Zygmunta Pierwszego, znakomite nad Moskalami przy Dnieprze odniósł zwycięztwo; i trzeciego, z naszych czasów, Stanisława Leśniowolskiego, który spartańskiemu Leonidasowi, w starodawnych dziejach greckich sławnemu, w męztwie dorównał, bo z małą garstką niezmierne siły moskiewskie pokonał pod Newlem. W tem jednak od owego bohatera był szczęśliwszy, że przy nienadwerężonem wojsku, panem zwycięztwa został, że jako wódz biegły chwały dostąpił. Prócz tego, że szlachta mazowiecka z zuchwałej odwagi słynie,—chętnie się zaciąga do szeregów rycerskich: naród ten dostarcza królowi polskiemu do prowadzenia piechoty najmężniejszych setników, do lekkiej jazdy dzielnych rotmistrzów, w ogóle najbieglejszych dowódzców. Lud ten waleczny, śmiercią gardząc, chwałę wojenną nad inne chwały przenosi; lecz nie są u niego i nauki bez czci stosownej. Język łaciński używany bywa powszechnie: niéma prawie szlachcica, któryby nim nie władał: — co więcej! — użycie tego języka już się i do nieokrzesanych chłopów przenosi. Młodzież, skoro starania dołoży,—pojętnością i rozsądkiem cudzoziemcom nie ustępuje bynajmniej: przeto uczonych znaczna jest liczba. Wielu po obcych krajach wędruje chętnie, zkąd, ogłady nabrawszy, zaopatrzywszy się w wiedzę potrzebną, do ojczyzny powraca znowu. Tacy od reszty widziani są niechętnie, im bowiem przed innymi,—do otrzymania zwłaszcza dostojeństw

duchownych,—dawane bywa pierwszeństwo. Za naszych czasów, kiedy literatura łacińska z upadku powstaje, i w Mazowszu też szerzy się uprawa wybornych nauk, z wielką chwałą dla pracowników tej niwy. Cóż bowiem zdoła kiedykolwiek zatrzeć pamięć Stanisława Grzebskiego, który na akademii Krakowskiej język grecki niegdyś wykładał. Oprócz komentarzy do dwóch poematów Nazyanzena, po łacinie napisanych,—znane jest jego wybornie ułożone dzieło o monecie hebrajskiej (39). I wiele innych ważniejszych i doskonalszych—by wypracował, — gdyby go, w połowie zmierzającego do celu, czarna melancholia nie przyprawiła o śmierć przedwczesną. Żyją dotąd i cieszą się z wielkiego rozgłosu swojego imienia: Jakób Górski, który zasady dyalektyki, oczyściwszy ją z niedorzeczności sofistów, wyśmienicie wyłożył; przez wypracowanie subtelnego dzieła o peryodach, przez wykład sztuki krasomówstwa w sposób dokładny i pociągający, drogę do wybornego mówienia rodakom naszym wskazał najpierwszy. Wawrzyniec Goślicki, z dowcipu i z wielu odbytych poselstw sławny, napisał po łacinie o najlepszym senatorze (*de optimo senatore*) wyborną księgę, wytłoczoną we Włoszech. Również dwaj bracia Warszewiccy, Stanisław i Krzysztof, niemniej ze starodawności rodu, jak z nauki i biegłości w języku łacińskim, sławni. Pierwszy z nich przełożył na język łaciński historyą Aeliana, wstąpiwszy zaś w Rzymie do Towarzystwa Jezusowego,—miano najświątobliwszego i najuczeńszego męża pozyskał; drugi — ogłosiwszy mów wiele, dał świetny dowód pięknych zdolności. Nie bez zasady zaliczam do sławnych Mazurów Stanisława Sokołowskiego. Ten, zbadawszy wszechstronnie Platona i Cycerona, gruntownie obznajomiony z zasadami Arystotelesa,—imię uczonego filozofa i biegłego w języku łacińskim mówcy otrzymał we Włoszech. Mamy jego uwagi nad kościołem wschodnim, księgę o znamionach prawdziwego kościoła i mnóstwo odezw do ludu. Niepoślednią jest sława Stanisława Iłowskiego, który, zwiedziwszy wiele akademij we Francyi i Włoszech, do szczytu wiedzy doszedł; kilka prac Dyonizyusza z Halikarnassu i Bazylego Wielkiego Mowy o obyczajach na język łaciński przełożył (40).

Prawa dla Mazurów i Polaków obecnie, gdy to piszę, z małemi różnicami wspólne,—niegdyś dla obydwóch narodów były oddzielne.

---

(39) Ur. 1524 r. w Grzebsku około Mławy, zm. w Krakowie w r. 1570. W r. 1565 wydał w Krakowie komentarze dwóch poematów Ś-go Grzegorza z Nazyanzu: *De virtute hominis* i *de vitae itineribus*. W r. 1566 wydrukował po polsku Geometryą; a w r. 1568 wydał w Antwerpii dzieło treści numizmatycznej: *De multiplici Siclo et Falento hebraico*. (Grabowski: *Starożytności hist. polskie*. Kraków, 1840 r. t. I, str. 457).

(40) Oprócz pism Dyonizyusza z Halikarnassu, przełożył dzieło Demetryusza Falerejczyka o wymowie. Przekład ten wydał w Bazylei w r. 1557 z własną rozprawą o pisaniu historyi (Wiszniewski: *Hist. L.* t. VI str. 197. I. S. Bandkie: *Dzien. Warszawski* z r. 1826, III, str. 272).

Wszystkie akta i wyroki do publicznych archiwów wnoszą w języku łacińskim. Lecz w sądach absolutnie patronowie przewodzą. To najszkodliwsze rodu ludzkiego plemię, spory ze sporów wywiązując, w niesłychany sposób Rzeczpospolitą gnębi, życiem i majątkami obywateli frymarczy bezwstydnie. Do tego już stopnia czelności doszli, że lepszém wynagrodzeniem znęceni, nie wstydzą się występować przeciwko sprawom, które się podjęli byli prowadzić, w których już nawet stawali. Nieraz, żeby większe wykrzesać zyski, ze spraw najprostszych robią zawiłe, i chociaż ani nauki żadnéj, ani cnoty nie mają, - chcą, żeby ich słowa za głos wyroczni każdy uważał. Lecz rzadko ich spokojny życia nawiedza koniec. Za bezczelną gadaninę i zdradę, jako podżegaczy do kłótni, — pokrzywdzeni o śmierć gwałtowną przyprawiają ich najczęściéj.

Plebejusze, w miastach i wioskach mieszkając, bawią się handlem i uprawiają rzemiosła. Kmiecie, do ziemi przywiązani, w tém są położeniu, że szlachta ich głowami, mieniem, dziećmi nawet, w ogóle wszystkiém—rozporządza dowolnie. Po większéj części obchodzą się z nimi nieludzko, za najmniejsze uchybienie karzą surowo i ciężką pracą najnielitościwiéj ich dręczą. Szlacheckie niewiasty ubiegają się z sobą w przepychu i strojach; lecz wstyd największą jest u nich zaletą. Jednakowoż poufale żartować, gawędzić ze znajomymi i tańczyć—za żadną nie poczytują zakałę. Mężowie, w niewinność ich wierząc, wszystko na lepsze tłómaczą i nigdy nie podejrzewają zazdrośnie cnoty małżonek. Największą dla Mazurów jest chwałą, że w wierze, którą przed sześciuset laty przyjęli, trwają niezachwianie i chociaż chętnie zwiedzają obczyznę, żadnych jednak nowości do kraju nie wnoszą. Dogmata katolickie, ku wielkiemu pożytkowi swojemu, zachowują z upodobaniem i ściśle. Cóż bardziéj zdobi chrześcianina, jeżeli nie to, że szczerze i bez skazy zachowuje Boga wielkiego prawo, że płonie czcią nieskalaną dla wiary? Tak, zasługując na błogosławieństwo nieba, udarowani są Mazurowie hojnie tém wszystkiém, czego tylko znikome życie śmiertelnych pożąda. Opatrzność bowiem dozwala im w domu zażywać pokoju najlepszego i zgody, i nie da się im lękać napaści wroga. Czegóż więcéj pożądać?—jeżeli nie tego, żeby po zgasłém cnotliwém życiu pewnym być wiecznéj nagrody?

DWIE SYNTEZY FILOZOFICZNE,

(K. LIBELTA i H. STRUVEGO).

ROZEBRAŁ

T. T. Hodi.

OD REDAKCYI.

Ogłaszając powyższą pracę, Redakcya miała na uwadze jéj niezaprzeczone zalety, jakiemi są: stanowisko historyozoficzne autora, zasługujące na szczere uznanie, oraz styl, pełny życia i siły. Z tém wszystkiem jednak Redakcya nie zgadza się bezwzględnie na zarzuty autora, wymierzone przeciwko dążnościom filozofii krajowéj. Filozofia z natury swojéj, jako *nauka*, ma przeważnie charakter *teoretyczny*, jéj celem jest *prawda* i naukowe jéj udowodnienie. Jeżeli tedy autor różnym teoryom i poglądom filozoficznym, o których wspomina, nie może odmówić uznania ze stanowiska *teoretycznego*,—natenczas słowa potępienia, wypowiedziane ze stanowiska *historyozoficznego*, pozbawione są podstawy naukowéj. *Prawda* zawsze i wszędzie może być tylko zbawienną; wyrzeczenie się zaś dążności do jéj poznania dla tego tylko, że jéj światło przeziera nieraz z poza chmur historyozoficznego pessymizmu,—byłoby grzechem względem prawidłowego rozwoju i postępu społeczeństwa.

I.

W piśmiennictwie naszém niéma dotąd powszechniéj uznanego i ustalonego wyobrażenia o tém: co to jest filozofia, jaki jéj przedmiot, jakie zadanie? Jest-li ona szańcem obronnym „dwóch odwiecz-

nych podwalin ducha, osobowości Boga i nieśmiertelności duszy", jak to w r. 1845 utrzymywał Karol Libelt? i żorawiem myśli, czerpiącym wiedzę z „nieprzebranéj, wciąż szczodréj i świętéj, stwórczéj i żywéj wszechbytu i wszechmyśli studnicy, którą jest Bóg", jak w lat ośmnaście po Libelcie pisał Bronisław Trentowski? Albo też, czy nie jest ona raczéj kopcem skromniejszym, w tym jedynie celu sypanym, ażeby się człowiek mógł z niego „podnieść do ogólnego i rozległego widoku dzieł umysłowych, który stanowi filozofią myślenia i poznawania, opartą na zasadach konstytucyi ludzkiéj i zawierającą w swém łonie filozofią każdéj prawie nauki", jak to na lat pięćdziesiąt przed Trentowskim wyrzekł był Jan Śniadecki i potwierdził za dni naszych Henryk Struve, powiadając, że „filozofia jest badaniem krytyczném zasadniczych podstaw ludzkiego poznania i dążeniem do wytworzenia na tych podstawach ogólnego poglądu na świat, o ile można zupełnego"... Słowem, jest-li filozofia nauką o rzeczach bożych i tamtoświatowych? jest-li umiejętnością spraw ludzkich i toświatowych?—zagadnienie to, rozstrzygnięte zapewne w przekonaniach jednostek, z powołania śledzących rozwój kontrowersyj filozoficznych w Europie, pozostaje po dawnemu ciemném i zagmatwaném dla ogółu naszego, zrażonego i zniechęconego stuletniemi blizko *niedoczynami* umysłowych prób i usiłowań, przeskakujących z krańca na kraniec wybitniejszych zachodnich kierunków, to szkockich, to niemieckich, to francuzkich.

Wybór przecież między jednym a drugim światem zdaje się tu być koniecznym. Trzebaż nareszcie, — powiadają nam ludzie doświadczeni — w ten czy inny sposób wyciągnąć graniczną linią między dwiema połowami czegoś, co się mieniło filozofią, bez różnicy, czy traktowało o obcowaniu duchów na tamtym świecie, czy też się zajmowało jedynie wyznaczeniem związków, zachodzących w naukach ścisłych, w ścisłém znaczeniu ziemskich. Albowiem oczywistém jest, że żyć ciągle na samych miedzach nie sposób; chcąc zaś z nich zejść, zejść musimy na lewo lub prawo. Co znaczy, że jeżeli zbiorowi rozpraw i dumań nad pierwszą, libeltowską kategoryą wyobrażeń każemy się nazywać filozofią, to zbiorowi dociekań i doświadczeń nad zjawiskami kategoryi drugiéj, podchodzącéj pod określenia Śniadeckiego i Struvego, nieodwołalnie nadać musimy tytuł zapożyczony u innéj jakiéj litery z alfabetu nomenklatur. Natura żadnéj mowy, żadnego umysłu, ścierpieć długo nie zdoła, by jeden i ten sam znak wiedzieć nam dawał i o nauce wymierzającéj szczęśliwość wieczną, i o nauce zapewniającéj pomyślność doczesną. Sama przeciwwaga sposobów pojmowania tego, co boże, święte, nieśmiertelne, i tego, co ludzkie, czasowe, zmienne,—nie czczym jeno domysłem ostrzega nas, że tu do czynienia mamy z całokształtami poznania, zasadniczo wzajem się wykluczającemi w systematyce naszych wiadomości.

I nie inaczéj kwestya stanęła dziś na Zachodzie. Z dziedziny pojęć, poglądów i przeczuć, składających niegdyś bezgraniczne pań-

stwo filozofii, uczeni oddawna oddzielili już poletek tamtoświatowy, zaziemski; uczynili zaś to na mocy dwóch następujących względów. Najpierw,—powiadają—wszystkie zagadnienia, należące do owego zaziemskiego świata, rozwiązała lub rozwiązywała i rozwiązuje umiejętność, od filozofii bez porównania dawniejsza, starożytniejsza: umiejętność teologiczna. Ona-to była po wsze czasy arką depozytów niebieskich, ich stróżem tradycyjnie znanym i uznanym, ich tłómaczem przysięgłym. A lubo świadectwa swe o żywocie przyszłym, o „podwalinach naszego ducha“ wykładała nie zawsze językiem zrozumiałym, to wszakże pokazują dzieje, że jéj zdanie, sądy i wyroki stokroć szerszy dokoła wpływ wywierały, niźli uzurpatorskie do téj materyi wtrącania się rzekoméj filozofii. Nie widać zaś powodu, dla któregoby dziś bardziéj niż kiedykolwiek odwieczny zakres teologii należało uszczuplać lub jéj powagę w wątpliwość podawać. Jedno z dwojga: albo nam filozofia składać pragnie twierdzące dowody istności Boga, nieśmiertelności duszy, realności życia pozagrobowego — w takim razie axiomata jéj, jako pochodzące z drugiéj ręki, ulegają nieodparcie kontroli pierwszo-źródłowéj, teologicznéj; albo też zamiary jéj względem tych dogmatów zaświatowych pójdą w kierunku zaprzecznym lub ograniczającym — w takim zaś wypadku sprawa wchodzi na drogę krytyki ogólnéj, która swe punkta wstępne i swe linie zaczepne osadzać ma prawo na każdym bez wyjątku umiejętnym gruncie, na naukach przyrodzonych zarówno, jak i na naukach społecznych, na historyografii zarówno, jak i na filozofii; ta więc ostatnia nie jest tu sędzią wyłącznym ani wyłącznie kompetentnym. Powtóre, jak z uwagi na uczonych i erudytów, zaświatowość wszelka stanowi nieodjęty przedmiot teologii, tak z uwagi na profanów należy ona zasadniczo, z treści i formy, do sfery wiary, do sfery religijnéj. To zaś skazuje ją, zaświatowość onę, na absolutną od filozofii niezależność; o każdym bowiem systemacie filozoficznym, wkraczającym w religijne powiaty wiary, o każdym całokształcie rozumowań, gdzie kamieniem węgielnym Bóg-duch-wieczność-nieśmiertelność, powiedzieć trzeba słowami znakomitego poety o filozofii chrześciańskiéj Bochwica: „filozofii takiéj nie można pisać, bo temu, co wierzy, nie trzeba dowodzić potrzeby wiary, temu zaś, co nie wierzy, nie pomoże filozoficzna dyalektyka“...

Owóż, jeżeli takie „wyjście spraw bożych z pod praw ludzkich“ niezbędném się okazało w filozofii zachodniéj, jeżeli wszystkie ludy europejskie, Hiszpanią wyjąwszy, a więc ludy, które równo z nami podążały niegdyś na drodze oświaty, na tém właśnie skończyły swe ewolucye umysłowe; jeżeli wszystkie one pod właściwą definicyą filozofii zgarnęły jedynie ziemską, toświatową treść wiedzy, treść taką, która daje faktyczną podstawę i materyał rozumowaniom o celach i przeznaczeniach naszego żywota, a tém się wyróżnia od treści niebieskiéj, teologicznéj, że nie przypuszcza, wzorem téj drugiéj, rozumowań wyłącznie pojęciowych, sklepionych na czém inném, nie na

podwalinach i kolumnach z faktów;—to zachodzi pytanie, któreśmy właśnie obrali za przedmiot naszego studyum, dla czegoby u nas miało być inaczéj?

A jest rzeczywiście inaczéj.

II.

Napomknęliśmy, że w filozoficznych swych próbach i usiłowaniach społeczność polska przerzucała się z krańca na kraniec wybitniejszych kierunków zagranicznych, szkockich, francuzkich lub niemieckich. Ruch ten, na pozór przypadkowy i nieracyonalny, miał przecież własny swój wykładnik, dążył we własną swoję stronę. Intelligencyi naszéj chodziło w nim, rzekłby kto, jakby o pokazanie, że lubo naśladuje Zachód, biorąc od niego tę lub owę doktrynę, to jednak doktryny te układa według swojego planu—planu dość oryginalnego, przyznać to trzeba. Zaledwo w początkach bieżącego stulecia Jan Śniadecki położył pierwszą szkocką cegiełkę filozofii rozumowéj, na naukach ścisłych opartéj, gdy wraz po nim sadowi się u nas metafizyka Kanta, późniéj Szellinga, późniéj Hegla, i pracę „pierwszego polskiego pozytywisty“ zasuwa w cień głęboki na długo, na pół wieku blizko. Sama ta atoli metafizyka kończy niebawem na czémś podobném do teologii pół-naukowéj, pół-uczuciowéj, na mistycyzmie, i w ten sposób dopełnia trójcowego porządku, w jakimby się myśl ludzka rozwinęła była, gdyby bieg swój nawspak teoryom A. Comte'a zatoczyła. Po latach kilkunastu zjawia się, drugim niby zawrotem, i sam ten pozytywizm comte'owski,—czyliż nie dla rozpoczęcia nowego cyklu podobnych-że obrotów odwrotowych od materyalizmu naukowego do spirytualizmu idealno-teologicznego?...

Nie dość tego. Nie tylkośmy pojedyncze ogniwa wszech-umysłowego naszego rozwoju w wieku XIX nawiązywali na nić historyczną wbrew i przeciwko zasadniczym dążnościom obcokrajowym, których wyznacznikiem jest coraz widoczniejsze zestępowanie myśli od ideału do realizmu, od ogółu do szczegółu, od syntezy do analizy; ale téż jeszcze, najgłówniejszą, najpromienistszą, najgoręcéj ukochaną ze swych doktryn, nacechowaliśmy takim-że samym przekazem. Wbrew postępowi umysłu na Zachodzie,—z dniem każdym oczywiściéj zasadzającemu pewność i jednolitość rozwoju umiejętności filozoficznych na wyosobnieniu i odgrodzeniu od nich tego wszystkiego, czego człowiek nie zdoła ani wyprowadzić na jaśnię poznania ze stałego biegu fenomenów, z bezpośredniéj, faktycznéj obserwacyi i doświadczenia, ani wywnioskować z nauk logicznie wyrosłych na przedmiotowym gruncie owéj obserwacyi i owego doświadczenia, ani sprawdzić za pomocą redukcyi pojęć ogólnych do zjawisk złożonych,

a zjawisk złożonych do faktów prostych — wbrew, mówię, rozwodowemu temu nastrojowi umysłów w Zachodniéj Europie, myśmy wszystkie siły wytężali, z podziwu godną wytrwałością, ku temu właśnie, by dwa, niepojednalne gdzieindziéj, światy pojednać.

Zjawisko szczególne! Od Cieszkowskiego *Prolegomenów do historyozofii*, od Trentowskiego *Podstaw filozofii powszechnéj* aż do Henryka Struvego *Syntezy dwóch światów*, najznamienitsi filozofowie nasi, najpracowitsi słudzy kraju, najzaufańsi jego mistrze i przyrodnicy, dary swe, starania i nadzieje swe składali, bynajmniéj nie przy pożegnalnéj furcie tośwatowości z tamtoświatowością, wiary z rozumem, religii z nauką, teologii z kosmopeją; lecz przeciwnie,—tuż u stopni tronu Przedwiecznego, zkąd zapowiedzią wieków tysiąca spłynąć ma kiedyś błogosławieństwo nierozerwalnym już odtąd ślubom niebios z ziemią, królestwa bożego z królestwem ludzkiem. Wszystko, co się zwie chlebem nauki i solą poezyi, wszystko co jest szkarłatem wyobraźni i złotem wymowy, co jak poranek wiosenny świeżością uczuć oblewa, co jak zachód jesieni tęsknotą goni w zaświetne krainy dumania: wszystko to uczeni nasi zleli w jedną wielką, panteońską syntezę pewników słonecznie jasnych i pragnień przedświtnie zamroczystych, — w jedną wspaniałą i niebotyczną, jak kobierce majowe ukwieconą, jak pogodna noc letnia cichą i ciepłą, jak serce rozkochane głęboką i niezmierzoną, ale jak mleczne gwiazd drogi na firmamencie odległą i niedostępną pieśń godową: *Ciebie Boga chwalimy!*

I niema oka, coby zapatrzone w bezdeń tych blasków, niema ucha, coby wsłuchane w toń tych dźwięków,—nie doznało złudzeń, jakich ani sen, ani jawa daćby człowiekowi nie były zdolne: sen dla tego, że zamało rzeczywisty i cielesny, jawa dla tego, że zamało powiewna, przejrzysta i duchowa. Któż w *Ojcze Nasz* A. Cieszkowskiego choć jednéj chwili tak górnie nie przeżył, jak prawnukowie nasi żyć może będą wiek swój cały? Kto w *Panteonie* Trentowskiego własnemi stopami nie deptał przepysznéj téj gleby nadeufratowéj, kędy tradycya biblijna rajskie ogrody osadziła? Kto własnemi rękoma na gruncie onym nie wznosił kościoła, w którym przyszłość pojedna wszystkie wiary, wyznania, ewangelie, korany, bożnice, katedry, meczety, pagody? I kto choć raz w swém życiu, nad temi wyroczniami pochylon, niebył pewien, że za pierwszym znakiem Opatrzności, za pierwszém uderzeniem berła Wszechmocnego o stary grób świata—trzecia wszechdziejowa księga, trzecia wszechświatowa synteza, trzecia wszechreligijna Świątynia, z gruzów Salomonowych odkopana, krzyżem Chrystusowym uwieńczona, na podwaliny wiedzy tegoczesnéj wdźwignięta, nie zapłynie naraz taką powodzią jasności wszechwiednéj, nie zakołysze się takim chorałem wieszczb wszechproroczych, nie powionie takiemi balsamami westchnień wszechmęczeńskich, że się w nich w czczość i marę rozwiąże wszystko, co nas tu ostrą i nielitościwą stroną bytu dolega, co nas

tak niemiłosiernie chłoszcze jednostronnością sądów i przesądów ludzkich, co nam tak po katowsku rozdziera serce widokiem klęsk niezasłużonych bez liku i miary... i że wnet, po nad falami temi wszechuśmierzającéj harmonii świateł, tonów i kadzideł, nie zaszumi w przestworzach nieskończoności biało-skrzydły gołąb' czasów nowych, nie obejmie płomienistym deszczem natchnienia zarówno rzekoméj *istoty* wszechrzeczy, jak i ich szaty pozornie *zmysłowéj*, i nie wyłoni z nich morza kształtów i wyobrażeń, przedmioto-podmiotowo tych samych zawsze od stworzenia świata, a jednak, odnośnie do poprzednich sposobów zapatrywania się filozoficznego, całkiem świeżych, bo już odsłoniętych w swéj formacyi pierworodnéj, bo już odtąd krysztalizujących się nie tylko według materyi lub ducha, lecz według ducha i materyi w jedni...

Zaprawdę, wielkie to są cuda! Zaprawdę, potężne to są natchnienia! I gdyby w pomysłach ludzkich nie było i tyle nawet przędzy żywotnéj, ile trwałości w siatkach tych oto pajęczych, które pierwsze lato rozsnuwa i pierwsza zima niweczy; gdyby rojenia i obrazy nasze, w takich zachwytach poczęte, w takich bólach na świat wydane, śród takich burz wychowane i wyrosłe, nie miały w sobie tyle nawet cementu rzeczywistości i prawdy, ile przyroda sił wlała w tę oto grudkę gliny, która nam jutro powieki na wieczny spoczynek przysypie,—jeszczeby i wtedy świętą i drogą dla człowieka być nie przestała ta Modlitwa Cieszkowskiego, ta Synteza Struvego, ta Chowanna lub ta Myślini Trentowskiego, — święte w tych koronach natchnień poetyckich, drogie w tych cudownych szatach mowy naszéj dziewiczéj!...

Niezawodnie. Ale mają odświętne nadzieje Ducha ludzkiego swoje prawa; a ma powszednia bieda ludzka swoję także logikę, swoje wymagania, swoje modlitwy i syntezy, więc też mieć musi i swoję własną także filozofią.

Wiemy, że osobistych wrażeń za dowody stawiać nie wolno. Ale kto zaręczy, że co my dzisiaj czujemy, tego czuć jutro nie będą tysiące młodszych od nas rozbitków nieochybnéj téj dla każdego przeprawy z zatoki *skończoności* na ocean miejsc i czasów nieskończonych?... Więc powiemy: pewno nam maluczkim pierwszy kawałek rodzimego chleba łzą gorzką matka wilżyła, gdy rodzic szalał w uciechach; pewno kolebkę nam ojciec słał z przekleństw, gdy matka błogosławiąc na śmiertelnéj konała pościeli, skoro na widok tylu skarbów, rozsianych szczodrą ręką poetów i filozofów u ślubnego kobierca wiary z wiedzą,—przejmowała nas nie jedna tylko bojaźń boża, ale też jeszcze i strach przed szatanem; skoro za każdém spojrzeniem do wnętrza tego kościoła wiedzo-wiedzy polsko-słowiańskiéj, za każdym szelestem stuły téj, z własnych naszych atłasów, z własnego naszego lnu wytkanéj a wiązać mającéj niebiosa i empireje zgodą wiekuistą, zawsze *podwójne* uczucie nas ogarniało: uczucie rozkoszy bezmiernéj, i bezdennego smutku. Rozkoszy najpierw,

bo ilekroć przypominaliśmy sobie, że każdy kamyczek do téj świątyni filozofii przyszłéj społeczność nasza przyjmowała z zapałem i uniesieniem, że cała architektonika przepysznéj téj budowy, z rzeźbami, posągami i malowidłami, otrzymała nawet nazwę uświęconą — własną, rodową nazwę, na któréj brzmienie nie było u nas serca, coby się nie oblało gorącem i chłodem czegoś podobnego zarazem do żalu i do nadziei,—tylekroć dobry duch pocieszenia tak nam do duszy przemawiał: „Pisarze, tworzący podobne arcydzieła dla narodu, i naród, pisarzów swych darzący współczuciem podobném, nie mogli przecież jednocześnie stać się igraszką obłędnéj wyobraźni; wszakże szały podobne nie mogą opanować, od góry do dołu, społeczności całéj; we wzajemném tém poręczycielstwie wiernych i kapłanów leży zatém rękojmia rzetelności pragnień wspólnych; szczere zaś offertoryum pragnień, azaliż się nie tak ma do czynów urzeczywistnienia, jak myśl do słowa?“...

W ślady atoli obietnic tych promiennych, szła tuż zaraz bolesna i ciemna faktów rozwaga; i ilekroć na jéj głos chłodny powolniśmy byli, tylekroć upiór szyderstwa jedno wciąż do ucha nam powtarzał: „Wszechzbawienia, wszechwiary, wszechjęzyki!... ach, spojrz raczéj na lud ten czerstwy i zdrowy, a głuchy i przesądny, na te pola urodzajne a własnéj tylko płodności zostawione, na zmurszały ten handel miasteczek, na archeologiczną tę bezwładność miast jagiellońskich, na przemysł od wieków w pieluchach, na nauki od wieku w całunach—spójrz i powiedz: gdzie tyle olbrzymich pomysłów spadło a takie karłowate owoce wzeszły, jest-że tam o czém daléj radzić i mówić? jest-że tam z kim i cokolwiek daléj robić?... Daremnie! pójść-by oto lepiéj w ciemny gdzie kątek przyszłéj téj filozoficznéj katedry, głowę o zimniejszy jéj węgieł oprzéć, i szepcąc pacierze za dusze zmarłe zewnątrz drugiego tego czy trzeciego testamentu nowego, zasnąć tak sobie na wieki,—precz odpędziwszy wpierw wszystkie owe dawne przysięgi prawom myśli indywidualnéj, przysięgi, tak, zdawało ci się, niepodkupne w sobie, jak przywiązanie synowskie, i tak groźne dokoła siebie jako rozpacz matczyna“...

Ale sen—mara! Zejdźmy do szczegółów.

III.

Na schyłku pierwszéj połowy bieżącego stulecia, w najpiękniejszym okresie rozwoju literatury naszéj, zjawił się człowiek nieposzlakowanéj szczerości przekonań, wymowy wspaniale pięknéj, duszy szlachetnéj i niezłomnéj. Mówimy o Karolu Libelcie, którego pisma doczekały się oto powtórnego nareszcie wydania.

W pierwszym tomie swego dzieła o Filozofii i krytyce, dzieła

rozgłośnego w swoim czasie, skoro echo jego nie przebrzmiało w sercu obecnego pokolenia, znakomity ten publicysta zostawił nam wielkiéj doniosłości świadectwa. Wskazał właśnie, z jakich-to materyałów powstać ma ów gmach wiedzy słowiańsko-polskiéj, o którym Trentowski zawczasu uprzedzał Mickiewicza, „że się w nim znajdzie ławka dla każdego wyznania“ i prawdopodobnie „złoty ołtarzyk“ dla wszelkiego nabożeństwa. Książkę Libelta uważać można z tego powodu za prawdziwe ziarno nasienne drzewa, które wkrótce niebo i ziemię objąć miało swemi konarami w pismach Hoene-Wrońskiego, Kremera, Cieszkowskiego, Trentowskiego i samegoż Libelta.

Zapewniwszy pokilkakroć w założeniach swych, „że jeżeli ma być słowiańska filozofia, ku czemu wszelkie jest prawdopodobieństwo, to filozofia ta wypływać musi z pierwiastku słowiańskiego, a w szczególności polskiego, gdzie najwięcéj śladów budzącego się ducha“,—autor *Filozofii i krytyki* utrzymuje następnie, w rozdziałach dalszych, „że motywa filozofii onéj zaczerpnięte być muszą na gruncie niemieckim“; i w końcu, jakby dla pogodzenia sprzeczności oczywiście bijącéj z dwóch powyższych zdań, tak nam powiada dosłownie: „Nie utrzymuję tego, aby wypadki filozofii niemieckiéj porzucić należało, sądzę i owszem, że *tylko z nich i przez nie* do słowiańskiego systemu zestąpić można; lecz twierdzę, że wypadki owe, i konieczny ich zwrot w takim razie, u pierwiastku narodowego *uczepić* należało, aby tym sposobem filozofią z filozofii, ale oraz i z narodu wyprowadzić, i *zrobiwszy* ją *własnością narodu*, mieć pewność koniecznego jéj rozkrzewienia się w narodzie“.

Słowa te nie mogą ulegać wielorakiemu tłomaczeniu. Są proste i, pomimo niejakiego wstępnego wahania się, stanowcze. Początki rodzaju filozofii słowiańskiéj zaznaczone w nich zostały jasno, kategorycznie. Filozofia ta, jeśli będzie, być musi, zdaniem Libelta, koniecznie szczepowo-niemiecką; grunt dla siebie obierze wprawdzie nie-niemiecki, niemiecczyźnie obcy, najprawdopodobniéj polski; ponieważ jednak owoc nie od gruntu, ale od szczepu gatunek swój bierze, ztąd wniosek logiczny, nieodparty, że filozofia słowiańska rozwinięta — będzie niczém więcéj, tylko dalszym ciągiem filozofii niemieckiéj, na polskim gruncie wydłużonym. Nie rozstrzyga to jeszcze bynajmniéj kwestyi pożytków, ani jéj nawet nie potrąca; plony przeszczepowe pójść mogą zarówno na zdrowie mieszkańcom ziemi, na któréj się rozrodzą, jak i na ich niemoc, wedle specyficznéj natury szczepu: gruszka posili, blekot omdli i oszołomi; w każdym zaś razie, i jakikolwiek byłby gatunek przyszłéj téj filozofii polsko-słowiańskiéj, zjawi się on niechybnie z krain *niemieckich*, bo ztamtąd jest jego ostatnie przed słowiańskiem pokolenie.

Takiém jest wstępne twierdzenie Libelta.

Na pytanie: zkądby motywom niemieckim przyszła ochota przesiedlania się na grunt słowiański? i dla czegoby one raczéj u siebie

w domu pozostać nie miały?—rzecz tę wyjaśnia z kolei filozof nasz treściwą historyą filozofii nowoczesnéj, od Kartezyusza, Spinozy, Leibniza do Kanta, Fichtego i Hegla. Przyjąwszy za postulat, że „osobowość Boga i nieśmiertelność duszy są dwiema głównemi podwalinami ducha“, a tém samém i uniwersalnemi zasadami filozofii wszelkiéj, autor roztacza przed nami obrazy walk ciężkich, jakie z podwalinami onemi odbywał *rozum* ludzki w ciągu niespełna dwóch wieków po ogłoszeniu rzekomego swego samowładztwa w sławnéj formule *cogito ergo sum*. Co jednak rzeczywiście miał na celu, w wyprawach swych wojowniczych ciekawy ten rozum? dojrzéć nam tego dokładniéj Libelt nie dozwolił. Z wywodów jego dowiadujemy się tylko, że z napaści téj—podwalinom, im samym, to jest Bogu i nieśmiertelności, żadna ujma nie urosła; natomiast rozum awanturnik, szalejąc coraz bardziéj, wzbierając z jednéj strony na dumie, z drugiéj tracąc z dniem każdym na powadze i na siłach, w końcu schnąć i domierać począł. Nie pomogło mu nic, że z gruntu francuzkiego, od pierwszego wysiłku wyjałowiały, zatoczył się na grunt niemiecki. Stargany, zużyty, napróżno wołał o ratunek do takich potęg umysłowych, jak krytyka Kanta lub dyalektyka Hegla. Wszelkie ratunki ludzkie zawiodły. Przeto—powiada Libelt w konkluzyi—gdy mu w końcu do niemocy już i starość z ciężarami przybywała, więc sam siebie pokonawszy, zapragnął wiary, zapragnął zbawienia. Że zaś właśnie tuż za blizką granicą mieszkał lud serdecznie w wierze praojców rozkochany, stałoż więc jeszcze na to rozumu rozumowi temu, że, przybrawszy pokorę za przewodniczkę, w tamte strony przenieść się postanowił.

Jak widzimy, nie masz nic nadzwyczajnego, na ogół biorąc, w dziejowym tym przebiegu filozofii zachodnio-europejskiéj w krainy słowiańskie. Cała ta historya jest żywém odbiciem podań biblijnych o grzechu pierworodnym (samowładztwo rozumu), o upadku człowieka i niezbędności odkupienia. Nieco więcéj uderzającym wydałby się sam tylko wniosek, że zbawcą nowym rodu ludzkiego z nowéj onéj katastrofy, sądzono być wierze polskiéj i jéj kościołowi, filozofii słowiańsko-niemieckiéj...

Ale już bez porównania więcéj pobłażliwości wymaga historyczny zarys Libelta, w punkcie ustosunkowania pierwiastków, występujących do dwuwiekowéj walki, która rozum niemiecki, znękany i pobity, do Polski zapędzi. Pomijamy główny postulat znakomitego naszego pisarza. Orzeczenie, że „osobowość Boga i nieśmiertelność duszy są dwiema podwalinami ducha“, obleczone przez autora w pewność realną i nieomylną, do dyskussyi filozoficznéj pod żadnym pozorem przypuszczone być nie może. Nadmienimy przecież, że w naukowéj czy praktycznéj sferze, uniwersalne owe podwaliny Libelta zdają się nam być zbyt rozległemi na cele i potrzeby *cywilnéj* społeczności naszéj. Bo gdybyśmy, przypuśćmy, jedną tylko z dwóch powyższych posad wzięli na własną filozoficzną odpowiedzialność,

gdybyśmy drugą, nieśmiertelność, całkowicie przy Niemcach zostawili: jeszcze i wtedy trzebaby nam było poczuć, iż Bóg jest Istotą tak bezwzględnie świętą, dobrą i potężną, a zdania nasze o Nim tak względnie liche, kruche i bezdarne, że broniąc jedynie czystości tego Ideału od wciąż nalatujących nań skażeń pojęciowych, jużbyśmy i przez to zniewoleni byli zrzec się i opuścić przynajmniéj połowę zagadnień ziemskich, mniéj wprawdzie wzniosłych, ale też za to i piekłu dostępniejszych. Jakaż-by ztąd w rezultacie wygrana wypadła dla wszechmocy bożéj? — żadna; a jakie straty dla wyjątkowo biednéj chudoby naszéj? — nieobliczone, niepowetowane.

Zgódźmy się atoli na założenie autora, nie jako filozofowie, lecz jako wierzący, dla których słowa objawienia więcéj w tym razie stanowią, niż wszystkie niedoszłe pół-religijne systemata mędrców. Nie ocali to historyi Libelta o nierozumnych wyprawach tak nazwanego przezeń rozumu. Przeciwnie, niestosowność i nieproporcyonalność jéj przesłanek (premiss), — tém gwałtowniéj tylko na zewnątrz wystąpi. Ponieważ jedna z tych przesłanek: Bóg-nieśmiertelność—narzuca się nam jako coś z natury swéj nieprzepartego, nieprzezwyciężonego; o tyleż więc druga, rozum, w tym czy innym celu szturmujący do wszechjasności i wszechwidoczności, staje się w oczach naszych istną niedorzecznością i głupstwem wierutném. I zaprawdę, jest-że to rozum—rozum, o którym Libelt powiada zkądinąd „że co on zdobył, tego mu nikt nie wydrze“, rozum, który ludzkość z niemowlęctwa wyprowadził, który dla niéj przyrodę zhołdował, którym dziś—po Chrystusie—wszyscy „żyjemy, oddychamy i jesteśmy“,—jest-że to ten sam jeszcze rozum i wtedy, gdy oto, zwijając naraz sztandar swój, tylu przedniejszemi zwycięztwy wsławiony, hufce swe rzuca przeciw urojonemu nieprzyjacielowi (czy może przyjacielowi, nie wiemy), w krainy—według założeń samego autora—niewidziane, niesłyszane, ciemne, niebywałe dla jego posłańców i robotnic—zmysłów? Jest-że to rozum, jest-że to nawet rozum zarozumiały, ów rozum w książce Libelta, co natrafiwszy na granice przepaścisto kończące stałą i twardą podstawę jego bytu, jedyną podstawę, którą znał, któréj kiedykolwiek dotykał, tém niemniéj przecież pędzi na oślep w przepaść, jak rozhukana lokomotywa na most w nocy zerwany? Jest-że to rozum, jest-że to nawet rozum-pyszałek, ów rozum nagle pokutniczy, co potłuczony, złachmaniony, wygrzebuje się z pod własnych ruin, i jak przed tém pędził przed siebie na to, czego dosiądz nie mógł i nie widział, tak teraz, z równém *à propos*, decyduje się sam siebie zbatożyć pokorą jakąś, pół-protestancką i pół-przeniewierczą? Jest-że to rozum, a nie ostatnia jego negacya, rozum ten waryacki i zbezczeszczony, co nareszcie, po tylu dowodach nieudolności i warcholstwa, zarzuca na plecy szelingowskie jakieś sandałki i z ziemi krzyżackiéj śpieszy po wiarę słowiańską?... Ależ, jeżeli to rozum jakikolwiek, francuzki, angielski, czy niemiecki, to jakże mu za

pierwszym zaraz zrobionym krokiem myśl w głowie nie zaświta, że naprzeciw niemu wyjść może, z braku czegoś, co się słowiańskim zwie rozumem, choć kropla jedna rozsądku zdrowego, rozsądku, który przybysza przez usta bodaj wiejskiego pacholęcia spyta: po wiarę naszę waszmość przychodzicie, a w domu, ze swoją, cożeś-ta zrobili?... Jeżeli zaś to nie jest już rozum, jeżeli nim nigdy nie był, jeżeli to tylko jego suknią przyodzian samozwaniec, wywiadujący się: jakby tu w zamian za błyskotki, uzbierane po wszystkich scholastyczno-spekulatywnych katafalkach, co rychléj wyjść z pajaca na Paca,—jeżeli to, powiadam, nie jest już rozum i nigdy nim nie był: to jakiém-że prawem założyciele przyszłéj filozofii naszéj tak grubo w rodowodach się prześlepili?...

Idźmy jednak daléj za rozwojem pomysłów Libelta.

Wprowadzając na glebę słowiańską rozum, w powyższy sposób unicestwiony, i jego motywa niemieckie, autor *Filozofii i krytyki* raz jeszcze powtarza nam lekcyą o narodowości. „Na samym progu—powiada—trafia nas zagadnienie: czy rzeczywiście filozofia może być narodową? Gdy nikomu na myśl nie przyszło napisać matematyki albo fizyki narodowéj, zkądże filozofia a jeszcze logika może być taką? Filozofia ma ten sam przedmiot co religia, a Chrystus narodowéj Ewangelii nie opowiadał; zkąd-że myśl, będąca świecznikiem całéj ludzkości, przybierać ma formy, jednemu tylko narodowi właściwe?“ —Na co, powołując ku świadectwu historyą filozofii, Libelt oświadcza, że właśnie wszystkie filozofie, jakie tylko były, były narodowe i jedynie narodowe. Była filozofia indyjska, chińska, grecka, niemiecka, i każda miała osobne swoje pierwiastki, które się tylko w łonie tego, a nie innego, narodu rozwinęły. Wnioskuje przeto autor, że i filozofia przyszła, polsko-słowiańska, będzie nie inną, tylko narodową...

Przystajemy. Jestto może jedyna część pracy Libelta, w któréj—pominąwszy porównanie filozofii do religii—zarzuty do nieznaczącego minimum dałyby się sprowadzić. Czytelnikowi atoli, dbającemu o przedmiotowe uzasadnienie rzeczy, nie zaś o powtarzane onéj deklaracye, nie na wiele się przyda wiadomość, azali w Indyach, Chinach, Grecyi, Rzymie, Francyi, Niemczech, filozofie w istocie narodowemi były. W danym wypadku chodziłoby raczéj o przekonanie się, czy rzeczywiście filozofie owe ugruntowały się tam w taki lub choć podobny sposób, w jaki się ugruntować ma filozofia słowiańska? Niemcy np. czy istotne ze zwiędłych płonek francuzkiéj idei filozoficzne swe początki uszczknęły? Kartezyusz czy gotową już jaką naukową doktrynę do Francyi przeniósł? Rzym czy wtedy bogi cudze do swego Panteonu zabierał, gdy cudzoziemcy w tryumfie synów jego do niewoli wlekli? Weda i inne księgi święte Hindusów czy na zagranicznym szczepie kwiat i owoc swój wykołysały? — O kwestyach, tych, których rozstrzygnięcie mogłoby było rzucić niejakie światło na niezbędność przesiedleń spokorniałego w Niemczech

rozumu na ziemie słowiańskie—o tych kwestyach głucho w pracy Libelta. Filozof nasz nie troszczy się nawet o wytknięcie różnic, mogących zachodzić między narodowością a narodowością. Z wiary słowiańskiéj wysnuje-li przybyły pseudo-rozum zachodnio-europejski filozofią swoję po chińsku, wyprzędzie-li ją po grecku,—sprawa to dla niego jakby obojętna. Byle czémprędzéj próg przestąpić! byle czémprędzéj motywa niemieckie oczepić!

A i do samych tych oczepin autor trafić postanowił dziwnie ciemném jakiémś uboczem. „Zaznaczyliśmy — mówi—że wypadki filozofii niemieckiéj u pierwiastku narodowego uczepić należy, aby tym sposobem filozofią z filozofii, ale oraz i z narodu wyprowadzić. Widzieliśmy również, jakie to są powody, dla których spuścizna poniemiecka pójść ma na Słowiany, na ich pierwiastek plemienny. Aleśmy dotąd nic nie mówili o samym tym pierwiastku narodowym. Gdzie go szukać? W ludziach-li światłych, uczonych?—Takby ze wszystkiego wypadać mogło. W rzeczywistości atoli mają się rzeczy inaczéj. Jeżeli bowiem wiedzy, doświadczenia, istotnie gdzieindziéj znaléźć nie można, jedno w intelligencyi narodu; to nawzajem pierwiastek narodowy kryje się tylko wśród ludu, nietkniętego intelligencyą, która amalgamuje narody i zaciera narodowe odcienia...

W tém znowu twierdzeniu Libelt przemieszał, jakby umyślnie, dwa pojęcia różne i już za jego czasów dokładnie rozdzielone: pojęcie ludu, który jest glebą rodzącą i zasilającą oświatę, i pojęcie narodu, który jest cywilizacyą, wyprowadzoną już na jaśnię poznania i organicznie się rozwijającą w literaturze, w sztukach, w filozofii, w ekonomice, w dziejach. Raz używa wyrazu we właściwém znaczeniu, drugi — gdy chodzi o osadzenie wyblakłych i suchotniczych motywów rozumu niemieckiego na dziewiczéj roli słowiańskiéj—utożsamia naród z ludem, massą bezwiednie twórczą, i na gmin przelewa wszystkie cnoty i właściwości narodowego dostojeństwa. Taką koleją, w sprawie kolonizacyjnych zakładzin filozofii ojczystéj, umiejętności, przez pisarzów naszych stawianéj wyżéj nad wszelką inną umiejętność,—wiedzy, z powołania i istoty swojéj rozsądzającéj i wyrokującéj, Libelt daje jedynie żywiołom czującym, tęskniącym i rozmarzonym, a zarazem, zkądinąd, głęboko egoistycznym i zmateryalizowanym, do uogólniania wrażeń niezdolnym; usuwa zaś od narad to wszystko, co z wnętrza żywiołów onych na obszary postępowego rozwoju w ludzkości wyłoniło się wiarą, myślą, wolą i czynem—czynem mniéj więcéj światłym, mniéj więcéj samowiednym, lecz w każdym razie nie ślepym wyłącznie, nie instynktowym tylko. Żeby zaś logice swéj pozostać wiernym, żeby predylekcyą swą do ludu i wyniesienie go do godności narodowi przynależnéj, uzasadnić i usprawiedliwić, autor wieńczy wszystkie poprzednie swe wywody jedną z najgrzeszniejszych, a w piśmiennictwie naszém najgłębiéj zakorzenionych, hypotez: hypotezą jakiegoś nadprzyrodzonego, wyższym warstwom społecznym niedostępnego, jasnowidzenia w ludzie

prostym. Naprzekor podaniom biblijnym, głoszącym, że gdy wielki prawodawca izraelski udał się był niegdyś po dziesięcioro przykazań bożych na Synai, rzesze jego, cielcom wraz złotym cześć oddawać poczęły,—Libelt lud nasz słowiański całkiem innemi skłonnościami uposaża, bo mu przyznaje jakby intuicyjną władzę odróżniania proroków fałszywych od prawdziwych—co może po części i jest prawdą (dodajmy nawiasem), skoro niemieckich bogów dotąd nie przyjmował. „Nazywamy te massy ludu ciemnościami—pisze—dla tego, że ich promień ogólnej oświaty nie rozjaśnił; atoli kiedy *oświata jest jasnością z wierzchu*, narodowość jest jasnością wnętrza, która się swoim właściwym manifestuje sposobem, swojém osobném, duchowém tylko żyje życiem, i w łonie swém przechowuje pierwiastki, z których się ma złożyć przyszłość duchowego świata. Podobnie jak w głębinach wód oceanu, na dnie morskiém, są wody od czasu tworzenia się naszego planety, których żadne burze na powierzchni się srożące nie dojęły, tak i nad ludem naszym przeszły burze religijne i polityczne, socyalne nawet, i nie dosięgły ani nie rozwiały pierwiastku jego narodowego. Szerokie potoki cywilizacyi, płynące na Polskę od Włoch, Niemiec i Francyi, rozlały się tylko na powierzchni narodu i nie przesiąkły do tych ostatnich warstw społeczeństwa. Tak więc, nietknięty, pierwotny zachował się pierwiastek narodowy; tam tkwi *główny dogmat słowiański, wiara w ciągłe działanie świata niewidomego na widomy*. Lud nasz przechowuje u siebie wiarę w bezpośredni stosunek świata ziemskiego ze swiatem duchów, które go jako opiekuńcze istoty otaczają... Nie tylko on czuje ten świat duchów, ale i ogląda zmysłami swemi"...

Jest to najwyższy, kulminacyjny punkt doktryny Libelta, jego ostatnie słowo w sprawie syntetycznego pojednania dwóch światów na gruncie filozoficznej syntezy słowiańskiej.

Zanim i o tej konkluzyi zdanie swe wyrazimy, niech nam wpierw wolno będzie wtrącić słówko o celu, o pobudkach moralnych niniejszej analizy wyjątkowych błędów wielkiego człowieka; przyszliśmy tu bowiem do granicy, którą przekroczywszy bez zastrzeżenia, samibyśmy o sobie gotowi pomyśléć, żeśmy rzecz tę podjęli w niepojętej jakiejś chęci ubliżenia pamięci jednego z najczcigodniejszych mistrzów naszych.

Tak zaś nie jest. Pewien bowiem rozdźwięk, pewne nieporozumienie pokolenia późniejszego, młodszego, z poprzedniém, starszém, jawi się jako konieczność, złożona w samej naturze rzeczy tam wszędzie, gdzie dążność do postępu nie zamilkła jeszcze. Odwieczne prawa rozwoju skazały nas na widzenie zdarzeń minionych w świetle wciąż odmiennem, jeśli nie zawsze jaśniejszém i prawdziwszém. Inaczej na czém-byśmy opierali różnicę zastoju i śmierci od ruchu i życia? Istnieje i tu przecież pewne maximum, które prześcignąwszy, postępowe różnicowanie prawd i poglądów żywotnych staje się szkodliwém i zgubném, grozi bowiem zerwaniem ciągłości

tradycyjnego gromadzenia się doświadczeń raz nabytych, zamiast ciągłość tę barwić kolorami z duchem czasu zgodnemi. W jakich-że tedy razach odświeżenie „ram i obrazu pojęć naszych“ obiecywać nam może skutki dobroczynne, a przynajmniej nie-ujemne i niestratne? — W takich tylko, kiedy odmianę jesteśmy zdolni wytłómaczyć i uzasadnić mniéj więcéj powszechną odmianą warunków, w jakich dane zjawisko lub wyobrażenie powstało. A właśnież, wobec początkowych prac Libelta znajdujemy się w położeniu nie innem. Pierwszy tom jego *Filozofii i krytyki* powstał w okresie, nad którego pracami i pragnieniami wszechczarujące swe skrzydła roztoczyła była *poezya*. We wspaniałém i pogodném pojutrzu wypadków burzliwych i krwawych, twórczość wieszcza cudami swemi otoczyła nie tylko własne swe ideały, lecz promienie swe rozlała jeszcze na królestwa, innym władzom posłuszne i innemi się prawami rządzące. Żadna potęga myśli, żadna potęga woli oprzéć się jéj nie mogła. Na dziełach, pozornie najbardziéj z przedmiotu czy z metody chłodnych i poziomych, legł ślad powszechnego tego ciążenia. Lecz okres ten przeminął dzisiaj. Cóż z niego pozostało? — W sztuce, w poezyi, co wówczas było ideałem-rzeczywistością, ideałem-prawdą, ideałem-koniecznością, to i podziśdzień nie przestało się cieszyć blaskiem niespożytym, wiekowiecznym; ale co z poezyi przeszło, w chwilach zachwytu i uroku, na nauki ścisłe, na historyografią, na sprawy społeczne, na filozofią, to ze zmianą atmosfery duchowéj, musiało stać się w oczach naszych ideałem-mrzonką, ideałem-swawolą, ideałem-fałszem. I oto dla czego, usprawiedliwiając Libelta, czujemy się w obowiązku fantazyjną i poetyczną jego syntezę filozoficzną z r. 1845, potępić na dzisiaj — potępić najgłówniéj z racyi jéj wniosków, z racyi jéj epilogu.

Jakoż, moglibyśmy jeszcze wybaczyć autorowi, że nam osobę Przedwiecznego zamięszał do spraw czasowych, ułomnych, których wiązadłem może być statecznie tylko nauka, wysnuta z faktów i postrzeżeń przedmiotowych, nie zaś z niedzielnych podniesień ducha naszego. Mniejby również bolał kogokolwiek i pryzmat ten cudacki, nazwany filozoficznym rozumem zachodnim, przez który autor nasz kazał mędrcom nowoczesnym patrzéć na wszech-dobro i wszech-piękno boże, aż dopóki patrzących nie wypadło w końcu ogłosić za półgłówków lub za kuglarzy. Ale myśliciel nasz poszedł o wiele daléj jeszcze. Wypłukawszy pryzmat ów niemiecki z rzekomego samowładztwa, nic lepszego i właściwszego nie miał do uczynienia nad to, żeby go pogrążyć w ukropowe farby wyobraźni gminnéj, słowiańskiéj, nieocenionéj w dziedzinie artystycznéj, gdzie proces twórczości polega na coraz wyższém syntetyczném kształtowaniu pierwiastków samorodnych, lecz zabójczej dla nauk, których moc i powaga oddychają — rzeklibyśmy — powietrzem miary i stosunku. I na tém nie koniec. Pomalowawszy w ten sposób, po słowiańsku, szkiełko rozumu, ongi niemieckiego, Libelt tak je ustawił między

niebem a ziemią, żeby na jego powierzchni zbiedz się mogły i objąć dwa promienie z dwóch różnych, sprzecznych, antypodycznych krain: promień nie-bożéj w ludzie cudowności—zabobon, i promień bożéj nad światem czujności—religia. Można-ż, godzi-li się, przy dzisiejszym rozwoju wiedzy, nazywać syntezą filozoficzną oczepiny prądów tak ostatecznych, tak krańcowych, z których jeden, zdaniem kościoła, jest najwyraźniéj rodem z piekieł, a drugi, w błękitach niknący, filozofia, ze swojéj strony, milczeniem uznała za pochodzący od Boga?...

I jakże straszna potęga natchnień genialnych, u źródeł swych skierowanych na tory niewłaściwe! Libelt całe swe dzieło o nauce słowiańskiéj, cały pierwszy tom swéj *Filozofii i krytyki*, poświęcający temuż samemu przedmiotowi, który niegdyś strawił był i pochłonął umysły takie, jak Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, choć ci na własnym gruncie stali, chociaż czego nie wolno filozofii, to i owszem wolno poezyi—Libelt uderza pod koniec swego dzieła na kolumny duchów, które kto inny, mniéj tylko uczenie od niego, poustawiał! Co za złudzenie! Jakby to mniéj przystało majaczyć mistykom, zagrzebanym w zaciszach ponarskich lub szwajcarskich, niźli mędrcom, żyjącym śród ruchliwych fal rzeczywistości! Jakby to logika filozoficznych pseudo-objawień nauki nowéj mniéj pilnie baczyć mogła na swe konsekwencye niż logika pseudo-proroczych objawień wiary nowéj!

Zwrot za późny. Kto swą społeczność postanowił przekonać, że jéj umiejętność najwyższa, jéj wiedzo-wiedza, obyć się nie jest zdolną bez rozczynów idei obco-i wrogo-plemiennéj; kto téj społeczności dowieść zamierzył, że przez takie oszczepienie, ona nam świat cały, naturę, Boga może nawet samego, odnowi; kto ją w końcu umyślił nakłonić do uwierzenia, że wszech-bytowy ten przewrót dokona się właśnież przez to, iż gminne warstwy narodu zdolne są takich rzeczy zmysłami dosięgać, widzenia których najwyższa ziemska mądrość bez przerażenia pożądać nie może; kto na ten szczebel rozumowania swe zawiódł,—czemuż-by sobie pożałować miał reszty? Zaludniwszy świątynię swą gromadami ludowych białych i czarnych bogów, z jakiéj-że-by racyi wzdragał się wyznaczyć dla nich odpowiednią missyą i dać im odpowiedniego Messyasza?... Toż w ten sposób raz i na zawsze zamknęłoby się może wielką księgę moralnego doskonalenia się ludów—biblią, i wielką księgę rozwoju ich umysłowego—filozofią rozumową i doświadczalną; a duch samodzielnego i swobodnego badania, ujęty w więzy podwójnéj téj tezy, bluźnierczéj tezy: *Bóg i gusła gminne*,—daremnieby wówczas dyalektyzował po francuzku, po niemiecku lub po słowiańsku: dni jego byłyby już policzone. Z nad Sprei wolnoby mu może było wynieść się gdzie za Atlantyk; we Francyi po dawnemu odbijałby się jeszcze czas jakiś młynkami rewolucyjnemi; ale u nas, z upadkiem sztuki

krzyżowéj, z tryumfem sztuki krzyżackiéj, wypadałoby z nim skończyć koniecznie — i żywcem go pochować.

IV.

Doktryna ta stanęła w swym zenicie, w roku 1844.

Rok to i z innych względów fatalny, ten rok czterdziesty czwarty. Co przed nim zdaje się być jakby niedzielą kwietnią wielkiego zmartwychwstania, to po nim wygląda jakoby słońc gaśnięcie na niebie naszego piśmiennictwa. Niepojętą geniuszu swego poniewierką, abdykuje Mickiewicz; coraz wyżéj i na ciemniejszych coraz chmurach ideały swe krzyżuje Krasiński; po ognistéj ulewie uczuć, na ciężką jakąś i posępną mgłę rozwiewa się słowo Juliusza; milknie słowicza pieśń Bohdana; przy spiżowym posągu *Zamku Kaniowskiego* kamienieje Goszczyński, jakby zaklęty chórem duchów bratnich, odlatujących w krainy nie-ziemskie; Cieszkowski na wstępném przeżegnaniu się pacierz swój urywa; Kremer literalnie zatapia się w przepychach estetycznych; Libelt przerzuca się na pole zagadnień społecznych, którym, w pismach swych pomniejszych, stawia gmach wspaniały, dotąd niedorównany, bo téż samotny prawie; z filozofów sam tylko Trentowski nie przestaje rozprawiać za wszystkich, oprowadzając swe myśli po labiryncie stylowych szarad. Przepada bez wspomnienia, umiera w sercu następców zamiłowanie do umiejętności Poczobutta, Kluka, Jundziłła, Sniadeckiego Jędrzeja. Migoce gdzieniegdzie filologia klassyczna, grecka i rzymska; ale nowo-powstająca na Zachodzie nauka pierwotnych narzeczy wschodnich nie znajduje echa; w historyografii stary Lelewel upada pod ciężarem trudów benedyktyńskich... i jak jemu, okrytemu płaszczem dziurawym i zapylonym, brakło nieraz w piersi oddechu, tak samo i społeczności naszéj całéj, zdawało się niekiedy, że ją śród tych przedświtów poezyi i filozofii naszéj, ogarniać poczynała dziwna owa zamrocz myśli i wyobrażeń, któréj na chwilę przed snem doznajemy, i która zapewne zgon nasz poprzedza...

Tkwi snać wszelakoż wiele prawdy w tém powiedzeniu Libelta, że wiatry cywilizacyjne, dmące niegdyś na nasz naród z Włoch, z Francyi, z Niemiec, o jego tylko powierzchnie muskały, głębin nie dotykając. Nie mylił się całkiem Mickiewicz, gdy młode pokolenia upoważniał nie dbać o chłód skorupy, a szukać pod nią tętna świeżego życia. Gdy tak bowiem, z jednéj strony, od góry, tysiącoletni dąb samoistnego bytu i rozwoju traci u nas swój owoc przed kwieciem, traci kwiat przed zielenią, traci zieleń przed wyrostem gałęzi, i śmiertelnie się wreszcie obnaża; gdy najprzedniejsze i najwyższe w narodzie władze umysłu i serca: poezya, ginie w pogoni za filozofią, a filozofia

kładnie się w białą, dziewiczą trumienkę poezyi: oto od strony drugiéj, od dołu, nad samą ziemią, dąb młode konary puszczać zaczyna. Na czarnych od przyrodzenia a od spiekoty posiniałych niwach, zjawiają się siejbiarze nowi, siejbiarze skromni i roztropni, darów swych nierzucający z podniebnych wyżyn, gdzie je i burza rozwiać i ptactwo żarłoczne rozchwytać może, lecz ziarno po ziarnie sadzący w głębokie brózdy téj ziemi, która. zanim się stanie królestwem bożém, zanim z szatańskiéj się mocy uwolni, była i jest tymczasem tylko materyalną siedzibą człowieka i jego matką karmicielką. Na czele robotników tych w ogrójcowéj winnicy pańskiéj, najwcześniéj staje Kraszewski, człowiek rzeczywiście opatrznościowy, prawdziwe uosobienie wszystkich wielkich i drobnych przymiotów swojego rodu. Dobra ta i szlachetna dusza w ciele wiecznie domierającem, z którego uczyniła rodzaj machiny do pisania, dusza powołana do genialności w chwili, gdy społeczność geniuszów nie potrzebowała, a przynajmniéj nie potrzebowała geniuszów myśli i pióra, wynosi z martwoty powszechnéj na słabych swych barkach cały świat dostępnéj wówczas narodowi wiedzy: powieść, dramat, historyą, archeologią, estetykę, bibliografią, ikonografią, krytykę, poezyą, dziennikarstwo'... W ciągu lat czterdziestu tworzy, pisze, zbiera, drukuje, wydaje, kłóci się, gniewa, przebacza—za kraj cały, za ludzkość niemal całą. Przy nim, dokoła niego, zdala, zblizka, formują się zastępy pracowników niemniéj wytrwałych, nie mniéj sumiennych. Wzrasta i potężnieje powieść, z Korzeniowskim, Rzewuskim, Kaczkowskim, Jeżem, Zacharyasiewiczem i z wielu innymi pisarzami niepospolitego talentu; rodzi się krytyka literacka i naukowa, którą Kaszewski, Lewestam, Siemieński, Tyszyński, podnoszą na wysoki stopień udoskonalenia; wstaje z niemocy historyografia i historya prawa w Maciejowskim, Bielowskim, Helclu i nieśmiertelnym Szajnosze; mężnieje publicystyka pod przewodem jedynego przez lat kilkadziesiąt poważniejszego czasopisma, *Biblioteki Warszawskiéj*, któréj kierownictwo bierze na jakiś czas w swe ręce nestor naszéj poligrafii, zasłużony zbieracz zabytków dziejowych i podań gminnych, K. W. Wojcicki; budzą się umiejętności ścisłe, przyrodnicze, ekonomiczne, występując w szacie powszedniego, popularyzacyjnego wykładu; sama nawet poezya, jakby posłuszna nowemu temu, przyziemnemu kierunkowi, poloty swe wymierzać zaczyna w *Gawędach* Syrokomli i *Lirence* Lenartowicza, nie według utajonéj w narodzie summy jego cywilizacyjnych pragnień, lecz według niezbędnych dla jego piersi pierwiastków konserwacyi i wytrwania; na dowód zaś, że ograniczenie się takie jest zeznaném i warunkami wymuszoném, że według praw ducha i praw siły organicznéj, żadna sfera działalności nie powinna być ani obcą, ani niedostępną społeczeństwu, malarstwo polskie rozwija sztandar swój, na cały widzialny horyzont wszecheuropejskiéj oświaty, a improwizacye

Deotymy ognistym proporcem wysuwają się na taką aż wyżynę, kędy im żaden ziemski piorun już nie sprosta.

W chórze tym wszelakoż jednéj brak nuty: filozoficznéj. Czemu? bo zawczesna. Zanadto gleba jest dziewiczą, zanadto sposoczoną bezładnie, iżby tego rodzaju gmachy, jéj godne, u podwalin się nie rozprzęgły; by już wydać mogły ów owoc dojrzałego już doświadczenia, który się zowie filozofią *syntetyczną*, filozofią polsko-słowiańską.

Więc, ostatecznie, w syntezę tę wierzymy? jéj przyjścia oczekujemy i pożądamy?... Ależ, bezwątpienia! Albożeśmy kiedykolwiek co innego mówili? albożeśmy kiedykolwiek w czém inném nadzieje swe pokładali? Nie zrzeka się ten jeszcze królestwa bożego, kto o chléb powszedni modły zanosi. Nie gasi ten jeszcze świateł na przyszłéj uczcie braterstwa wszech-wyznań i wszech-zdań, kto pokazuje, że w domu — czeladź, głodna, bosa, odarta i ciemna.

Pewność i niezbędność pojednania, na gruncie pracy i czynów słowiańskich, umiejętności z religią, rozumu z sercem, siły ze sprawiedliwością, materyi z duchem—jest punktem wiary naszéj kardynalnym—ale nie na dzisiaj. Dzisiaj to jedno tylko i dowodnie wiemy: że najgenialniejszy w tym zakresie pomysł wlecze dla nas za sobą nieodwołalny szereg następstw zgubnych, zabójczych. Żądacie objaśnień? żądacie przykładów?—przykład oto macie najświeższy (by ostrzeżenie nie przyszło za późno): *Syntezę dwóch światów* Henryka Struvego.

V.

W rozbiorze jednéj z niemieckich prac D-ra Klemensa Hankiewicza, zamieszczonym w piśmie „Wiek“, czytamy te słowa Struvego:

„Mówiąc o filozofii słowiańskiéj, o jéj charakterystycznych cechach. należy mieć na uwadze nie *przyszłość*, lecz *przeszłość;* wyłącznie tę ostatnią. Tylko historya może nam dać prawo mówienia o filozofii słowiańskiéj; filozofia ta musi nam się przedstawiać jako dzieło dokonane w przeszłości, rozwinięte przynajmniéj ze względu na swoje zasadnicze podwaliny; inaczéj, taka nazwa wydać się może tylko mrzonką, tylko wynikiem ognistéj fantazyi, marzącéj o przyszłości bez należytych podstaw w realnym bycie narodów słowiańskich, w ich historycznéj przeszłości. Ztąd wynika, że o filozofii słowiańskiéj może mówić tylko ten, kto zbadał historyczną przeszłość umysłowego rozwoju ducha słowiańskiego i w téj przeszłości odkrył pewne dane, usprawiedliwiające podobną nazwę, doprowadzające do przekonania, że w całym szczepie słowiańskim objawia się wspólna

dążność filozoficzna, wspólny sposób zapatrywania się na zasadnicze kwestye istnienia i życia.

„W tym celu należałoby najpierw zająć się porównaniem mitologicznych poglądów wszystkich narodów słowiańskich, ich poglądów na bóstwo, początek świata i człowieka, na jego istotę i przeznaczenie, doczesne i przyszłe, o ile to wszystko się wyraża w obyczajach, zwyczajach, podaniach i przysłowiach ludowych. Na tych-to podstawach możnaby dać pojęcie o pierwszym okresie filozofii słowiańskiéj, to jest o jéj okresie ludowym, nie mającym wprawdzie jeszcze formy filozoficznéj, zawierającym jednak w sobie materyał myśli dla przyszłego, bardziéj systematycznego, obrobienia kwestyj filozoficznych.

„Na zasadzie podobnych studyów należałoby daléj zająć się badaniem chrześciańskiéj filozofii u Słowian, jako drugiego okresu ich filozoficznego rozwoju. Tu należałoby wykazać: czy pierwotne poglądy ludowe wpłynęły na pierwszych chrześciańskich pisarzów słowiańskich? jaki charakter przyjęła scholastyka u różnych narodów słowiańskich? jaki zasób samodzielnych, nowych myśli spotykamy w tym okresie? A to wszystko należałoby znowu wyłożyć porównawczo, żeby dać jasne pojęcie o ogólnym umysłowym stanie szczepu słowiańskiego w tym okresie.

„Ostatnie zadanie historycznego badania filozofii słowiańskiéj polega na wykazaniu jéj nowoczesnego rozwoju. Jakie pierwiastki samorodne napotykamy w tym okresie? jaki wpływ wywierała obca literatura na poglądy słowiańskich myślicieli przy wyrabianiu samodzielnych poglądów i przeistaczaniu poglądów zkądinąd zaczerpniętych? Jaka tradycya duchowa łączy tych myślicieli z ogólnym umysłowym rozwojem, tak obcych narodów jak i całego szczepu słowiańskiego? — i t. d.

„Oto zarys różnorodnych kwestyj, które według naszego przekonania rozwiązane być winny, jeżeli chcemy mieć jasne pojęcie o filozofii słowiańskiéj“...

Widzimy, że od r. 1845 do 1874, pojęcie o tém, co należy trzymać o konstytucyjnych pierwiastkach filozofii ojczystéj, znacznie podrosło, wyklarowało się i na oględności zyskało. Nie masz tu już wcale mowy o jakichkolwiek obcoplemiennych przesiedlinach rozumu, ani o zaszczepianiu motywów zagranicznych na karczach wyobrażeń gminnych. Dzieje wieków dziesięciu uwzględnione; umysłowy kapitał pokoleń poprzednich do rachunku przyjęty; łatwym lecz nietrwałym i zwodniczym podmiotowym wyrównywaniom ostatnich wyników wiedzy odprawa dana w sposób stanowczy, wyrok bowiem, który Struve w tym-że rozbiorze swoim wydaje o Trentowskim, stosuje się zarówno i do dzieł innych filozofów naszych z okresu ubiegłego. „Dzieła te—możnaby powiedzieć jego własnemi słowy — opierają się nie na żadnych studyach indukcyjnych, lecz wyłącznie na nieograniczonéj ufności w moc osobistéj genialności i intuicyi

swych autorów; na zasadzie téj-to ufności każde z nich utożsamia swoje dążenia filozoficzne z ogólnemi dążnościami szczepu słowiańskiego, i utrzymuje, że jego zasady najwierniéj wyrażają ducha szczepowego i są jedynym, absolutnym kompasem, wskazującym przyszły rozwój filozofii słowiańskiej".

Przestawiona na tę stopę, kwestya zmienia całkowicie charakter, zmienia nawet ton i zewnętrzne właściwości swego objawu, swéj racyi bytu. Filozofia osadzona na tym gruncie historyczno-powodowym, traci nasamprzód przymiot twórczości, przynależny poezyi i sztukom pięknych, a wchodzi w dziedzinę faktów rozumowych, podlegających ściśléj kontroli naukowéj. Nie jest już zbiorem dowolnych doktryn indywidualnych, mniéj więcéj genialnie wyprzędzonych sposobem dedukcyjnym z kilku twierdzeń teologicznego lub metafizycznego pochodzenia, lecz wielobarwném, wieloosnownêm, wciąż narastającém, pasmem wierzeń o świecie, które społeczność pewna organicznie wyrabia w sobie, ciągiem dziejowych kolei umysłowego swego żywota, na ostatni, zamknąć się kiedyś mający, całokształt prawd. I pomimo, że nabiórczéj metodzie Struvego możnaby ten sam zarzut uczynić, jakibyśmy chcieli dowodnie postawić przeciw wszelkiéj zgoła indukcyi, ujętéj w ograniczony szereg zdarzeń; pomimo, że wbrew trybowi Libeltowskiemu, za wiele ufającemu subjektywnym konkluzyom ostatniego w danéj chwili postrzegacza, tryb Struvego zamało znowu zdaje się mieć ufności owéj w samorodztwo pomysłów osobistych tego ostatniego w oznaczonym okresie badacza; pomimo, że proceder głosowawczy w filozofii o tyle przynajmniéj ulega krytyce Trentowskiego („ci, co się głęboko zakorzenili w historyi, stracili niepodległość filozoficzną"), iż podległości owéj nigdzie końca nie kładzie: ani w dochodzeniach mających na widoku ukonstytuowanie wszech-umiejętności, ani w pracach zakładających skromniejszy cel okazania, swoim czy obcym, zasadniczych téj wiedzy danych;—to jednak, w przyrównaniu do dawniejszych naszych sposobów całkowania filozoficznego, metoda Struvego ma nad niemi tę jeszcze przewagę i wyższość niezaprzeczoną: 1°, że zgodną jest z metodami używanemi dziś we wszystkich ściśle-naukowych zakresach poznawania i dochodzenia: 2°, że, zastosowaną będąc do filozofii polsko-słowiańskiéj, podprowadza ją pod wspólną miarę tegoczesnych kierunków filozoficznych na Zachodzie, w których dogmatyczne *a-priori* ustąpiło miejsca racyonalnemu *a-posteriori;* i 3°, (co jest tylko uogólnieniem dwóch punktów poprzednich), że w poszukiwaniu oryginalnych wytyczno-plemiennych znamion jakiegokolwiek całokształtu pojęć, metoda ta jest w tém znaczeniu bezstronną i sprawiedliwą, iż od udziału we współzawodnictwie o rozwiązanie wszechbytowych zagadnień żadnéj poszczególnie społeczności nie usuwa, i żadnéj też szczególném w téj mierze posłannictwem z góry nie obarcza.

Wzgląd to ważny, dotyczy bowiem tych stron wszelkiego filozoficznego problematu, w których *metoda*, w ściśłem znaczeniu, prawa swe narzucać zaczyna temu, co się w filozofii zwie systematem, gdzie *sposób* dochodzenia prawdy zahacza o *formę*, o budowę rusztowań mających prawdę tę osłaniać i wspierać. W uniwersalności trybu postępowania, według którego przeszłość jest integrującym wykładnikiem kwestyj bieżących, leży już jakby zarys planu wszelkiéj filozoficznéj konstrukcyi. Każda nowa faza w rozwoju umysłu ludzkiego przedstawia się tu w kształcie powszechnéj, wszechczłowieczeńskiéj potrzeby, żądzy, dążności, unoszącéj się ponad urzeczywistniającą glebą plemiennych i narodowych usposobień; nawzajem, usposobienia te plemienne i narodowe, w historycznym okazie swych bogactw, przybierają jakby postać wielobarwnych słupów tęczowych, wciągających w siebie z oceanów twórczości przyrodzonéj zasoby odnówcze, przeznaczone następnie spaść na ziemię kroplami urodzajnego deszczu, lub odświeżającéj rosy. Metoda indukcyjna jest zatém sama przez się pewnego rodzaju negacyą fatalnych, wyłącznie miejscowych posłannictw. Ilekroć jedna z cywilizacyjnych posuch, zwanych przesileniami lub zwrotami przełomnemi, wysunie na widnokrąg intellektualnego życia problemat pewien lub żądzę odtwórczego sił pokrzepienia, w saméj téj już, powiadamy, metodzie zawiera się axiomat, że „motywa“ i „pierwiastki“ onego pokrzepienia nie koniecznie mają być czerpanemi z łona jednéj jakiéjś jedynéj rasy, z łona tego oto mianowicie, a nie innego ludu; lecz, że niezbędne w takim razie żywioły zadośćuczynienia wzniosą się na wysokość potrzeby humanitarnéj ze wszystkich bez wyjątku dziejowych skarbców rozwoju pojedyńczych społeczeństw, posiadających odpowiednie na każdy wypadek iścizny. Oczywistém jest, że przewaga wnośnych czynników żywotnych pewnego jednego społeczeństwa względną przewagą odzwierciedli się dlań w summie, stanowiącéj rozwiązanie danego wszechbytowego zagadnienia; czego znowu następstwem prostém jest to, że i nowopowstałą ztąd filozofią, społeczność owa, najzamożniejsza, ma niejakie prawo nazywać filozofią swą narodową — w znaczeniu jednakże niezmiernie ograniczoném, niezmiernie względném; ma się tu bowiem do czynienia ze zjawiskami, natury istotnie niemal atmosferycznéj. Gdy wiatr południowy spiekotą uderzy o wybrzeża włoskie lub francuzkie, azaliż powietrze Włoch lub Francyi staje się przez to afrykańskiem? a gdy z kolei gorączka ta afrykańska dopomni się o zaspokojenie pragnień w chmurach, powstałych przeważnie z wód Prypeci, czyliż ulewa nad Tybrem lub Sekwaną będzie w skutek tego ulewą pińską?

Synteza dwóch światów Henryka Struvego, wydana w lat niespełna trzy po rozbiorze dziełka D-ra Hankiewicza, takim właśnie uniwersalnym, nikogo plemiennie nie wyłączającym ożywiona jest duchem, w takim metodycznie uogólnionym trzyma się tonie. Jest-li ta synteza syntezą słowiańską? — niezawodnie, jeśli wzniosły nastrój uczuć,

jeśli natchniony polot myśli błogich i pokrzepiających, przy czarujących wdziękach słowa uważać należy za dostateczne wykreślne znamiona słowiańskości. Przymioty wszakże nie-słowiańskie większą tu jeszcze odgrywają rolę. Chłodna i ostra logika, wijąca się śród powabów obfitéj mowy polskiéj, jako ruczaj wód górskich po dolinach ogrzanych słońcem, okrytych zielenią bujną, pracę Struvego, będącą odświętnem streszczeniem rozpraw tegoż autora w języku niemieckim, odnieśćby raczéj nakazywała do rzędu celniejszych dyalektycznych kreacyj umysłu germańskiego. Z większą także słusznością możnaby utwór ten zaliczyć do wyborowych traktatów filozoficznych literatury angielskiéj, a to z powodu psychologicznéj natury jéj strojów i wiązadeł, hartowanych w ogniu krytyki iście wielkobrytańskiéj. Z tém wszystkiém, wszechstronność składowych elementów syntezy Struvego — ona sama — czyliżby przeszkadzała głównemu pomysłowi autora stać się i u nas, u nas nawet wyłącznie, węgielnym kamieniem nowego filozoficznego kierunku i arką przymierza między dawniejszemi naszemi, systematami, a świeżemi prądami czasów obecnych? — Bynajmniéj. Pełnia uogólnienia nie jest w żadnym razie wrogiem nieprzebłaganym szczegółowéj realizacyi. Nigdy za wielką nie może być ilość materyałów, zgromadzonych pod rozkwit idei, któraby wytworzyć zdołała pojednawczy związek między pokoleniem bezpotomnie zeszłem do grobu z niespełnionemi wieszczbami Trentowskich i Wrońskich, a pokoleniem, dobijającém się dziś, pod początkującym przewodem Chmielowskich, Limanowskich, Ochorowiczów, o prawdę prawdziwą, o rzeczywistość rzeczywistą,— o tę prawdę i o tę rzeczywistość, które nam obecnie nic już podobno obiecać nie chcą, i nie mogą. Gdyby więc moc tworzenia cudów, gdyby władza uzdrawiania chorych spoczywała wyłącznie w rękach lekarzy i cudotworców, z jakiéj-że przyczyny dzieło, poświęcone pamięci Kremera i Libelta, dzieło osnute na ostatnich i najwyższych rezultatach badań tegoczesnych, a ożywione najgorętszą dobrą wolą, staćby się nie miało zcalającém ogniwem naszych własnych dwóch światów? — światów, tak dziś osamotnionych i w osamotnieniu swém bezsilnych, jak, z jednéj strony, świat ideałów odległych, na którego przeszłościowym krańcu błyszczy niezaciemnionym dotąd blaskiem, w milczeniu schodząca gwiazda Augusta Cieszkowskiego, a z drugiéj, świat empiryi i doświadczenia, na którego tle porannem coraz wyraźniéj występować zaczyna poważna, wiekową niepamięcią chmurna, postać Jana Śniadeckiego?...

Ale jest w życiu potęga silniejsza od wszystkich potęg proroctwa, apostolstwa, męczeństwa, od wszystkich dźwigni mądrości i świętości. Nie posiada ona ogólnego miana. Jak wszystko, co zacofane, co ciemne, co leniwe, co zrozpaczone, co rozbite, co w prochu drobiazgów się tarzające, co pozbawione zdolności stania o własnych siłach,— potęga ta lęka się i wstydzi właściwego nazwiska. Trzyma się pozorami. Jest-to pewnego gatunku kredyt — kredyt listu zastawnego,

którego ubezpieczenie gruntowe uleciało z fajczanym dymem fantazyi; kredyt banku, którego dyrekcya i księgi rachunkowe w porządku, ale tyleż tylko co dyrekcya i księgi; kredyt stowarzyszenia, którego jedynie strona spożywcza jest czynną. W praktyce oznajmia to chęć cieszenia się owocem swoim bez swojego drzewa, w teoryi daje filozofią bez umiejętności ją powodujących. Słowem — tytuł narodowy, bez narodowego majątku.

Nie gardzimy jednak tytułem, nie lekceważymy jedynego przywileju, jaki nam w rodzinie ludów europejskich bez podziału pozostał. Niech się sobie gorszy zachodowiec, żeśmy swą filozofią uwieńczyli przymiotnikiem, który gdzieindziej służy dla odróżnienia gmachów i instytucyj publicznych od urządzeń lub zakładów prywatnych. Właśnież dla tego, żeśmy nie Anglicy i nie w Indyach, żeśmy nie Niemcy i nie w Lotaryngii lub Poznańskiém, żeśmy nie Francuzi i nie w Algierze, że okrętów naszych nie tylko na oceanach ale już i w Gdańsku nie widać, że na wodach Buga pływa nam coś tak dalece ojczystego, że się aż berlinką zowie: właśnież dla tego pawilon nasz żadnéj nauce ubliżać, żadnéj nauki krzywdzić nie może! — własnież dla tego imiona Kremerów i Libeltów w wiecznéj czci naszéj zostaną, bez względu czy jedno lub drugie z ich usiłowań ogniem świętym w duszy nam zapłonęło, czy tylko dymem na umysł legło! Pod tym względem o wyrok przyszłości spokojni być możemy. Ale zarazem nie zapominajmy, że każdy zaszczyt, imienny nawet, dwojako obowiązuje: nietylko tych, co go uznawać mają, lecz i tych, co z uznania korzystać pragną. Wiemy, co kto, z powodu godła, winien nam i filozofii naszéj; nie zapominajmyż jednocześnie „co się i od nas komu należy z tegoż powodu. Nie dość na czoło umiejętności pewnéj włożyć dyadem z pereł najdroższych, bo ostatnich; trzeba jeszcze w nią samę wlać siłę, zdolną ciężar ten dźwigać. Spójrzmy na synów Albionu: z jaką-to dumą i pochopnością flagi swe rozwieszają wszędzie, gdzie tylko stopę postawią, gdzie tylko ramieniem dosięgną! Wpływ ich na oświatę tegoczesną nie jest bynajmniéj mniejszym od wpływu na materyalne stosunki ludów; i gdyby w filozofii oryginalność pomysłów, połączona z szeroką i mocną w społeczeństwie podstawą, była w ich oczach dostatecznem swiadectwem na przywilej noszenia kolorów narodowych, — filozofii angielskiéj już-by oddawna z pod kokard widać nie było. Hardy wszechoceanowy pływacz odmówił sobie przecież téj pociechy. Dla czego? mniéj-żeby dbał o swe zdobycze umysłowe niż o swe podboje materyalne? mniéj-że-by mu chodziło o to: gdzie swym rozumem obce przekonanie nacechuje niźli o to: gdzie swe etykietki na towar umieści? A może sądzi, że myśl jego dość krzepko przemówi sama za siebie i bez znakowego odcisku? — W każdym razie niezawodném jest to, — że gdyby Anglikowi dowiódł kto: albo, że jego filozoficzne rozumowania jakościowo, z natu-

ry swéj, różnią się czemkolwiek od rozumowania świata całego, albo też, że nie są one, przy tożsamości zasadniczéj, o całą głowę wyższe, o całą cieśninę Kaletańską głębsze od każdych innych; w pierwszym razie logiczny wyspiarz gotów byłby swą filozofią, a w drugim mówiącego do Bedlam zasadzić.... A u nas? Wystarczałożby u nas miéć kilka znakomitych książek o fiilozofii, żeby się filozofia nasza stała narodową?... Gorzka, zaiste, dola społeczności, gdzie najlepsze chęci szklannemi oczyma patrzéć muszą na usiłowania mędrców i przewodników, chcących na gruzach dawnéj potęgi i chwały zatknąć chorągiew umysłowego odnowienia, — patrzéć i nie miéć czém wzmocnić osypującego się pod nimi gruntu, — patrzéć i w ciągłéj umierać obawie, iż tyle wielkości i poświęcenia, wspartych na tak ruchoméj podstawie,—pierwsza już chyba zachcianka, pierwszy kaprys zdmuchnąć i rozchwiać jest mocen.

Wobec takiego stanu rzeczy, czyliż weźmie nam za złe autor *Syntezy dwóch światów*, gdy, roztrząsając jego pracę, własne tylko niedostatki i własną biedę zaletami jéj oświetlimy?...

VI.

Pospołu ze wszystkimi głównymi przedstawicielami filozoficznego naszego ruchu w wieku XIX, Struve uważa, że stare na świecie porządki już się dopełniły i przeżyły, że obecny ustrój, tak społeczny jak i umysłowy, całkowicie podupadł w opinii powszechnéj, a niezadowolenie z rzeczywistości powtarza się jednomyślnie we wszystkich dziedzinach życia i rozwoju ludzkiego. „Wszystkie zdolności człowieka — powiada — tak myśl, jako też uczucie i wola, znajdują się pod wpływem dziwnego tego nastroju; wszystkie przejawy tych zdolności, zarówno nauka jak sztuka i religia, zarówno życie społeczne jak i dążności umysłowe, podkopują stopniowo własne fundamenta, a nie mając jeszcze innych, stają się chwiejnemi, niepewnemi...“ Na ciemne strony cywilizacyi tegoczesnéj autor nie narzuca jednak zrazu pogrzebowych piasków; nie pieści jéj cieniów złowrogich z miłością ojcowstwa, które ma niebawem porodzić panaceum, tém cudowniejsze, im straszniejszą się chorobę wyhodowało w swéj imaginacyi. Bolą go owszem i drażnią potworne te antytezy czerwone i czarne, któremi tak wysoko pną się całokształty Trentowskiego ku niepodobnemu już, bez nowego objawienia, rozwiązaniu. Zaznacza złe trapiące ludzkość, ale zaznacza je *sine ira et studio*, bez goryczy i bez zadowolenia, — z chłodną rozwagą doświadczonego badacza, którego niezdrowie, stan patologiczny ludzkości, dziwi nie więcéj niż zdrowie, stan jéj normalny. Dopiero imiennie wytknąwszy

czynniki rozkładu, trawiące pokolenia nowożytne, i wskazawszy gdzie i jakie są środki przeciwdziałania, — drugim zwrotem myśli w krainy teraźniejszości, chłoszcze dobrowolną lub swawolną ślepotę tak optymistów jak pessymistów, z podniosłą żywością uczuć, przypominającą przepyszne wstępne karty Cieszkowskiego Modlitwy Pańskiéj. Wierny zaś swéj metodzie, która początków rozstroju, jak i źródeł ładu, nie szuka jedynie w epilogu dziś dojrzewających następstw, Struve rzuca w kilku zwięzłych lecz silnych ustępach historyozoficzny pogląd na ujemne bieguny rozwoju człowieczeństwa. „Roztwórz — woła — ową księgę grubą, nieforemną, oprawną w zbutwiały pargamin z kościotrupem na grzbiecie; księgę, co w sobie mieści tragedyą rodu ludzkiego; przerzuć jéj karty, krwią pomazane; wniknij w uczucia, myśli i dążności działających postaci; zdaj sobie sprawę z każdego aktu, z każdéj sceny od pierwszéj do ostatniéj; a przyznasz, że pogląd mój na zboczenie ducha ludzkiego jest tylko słabym, maluczkim zarysem, w porównaniu z istotną treścią owéj strasznéj tragedyi... Czy mam ci przed oczy stawić jéj obraz? Musiałbym na to wziąć do ręki pędzel wzgardy i nienawiści, umaczać go w jaskrawych barwach trucizną zaprawianych, trapić twe oko i serce widokiem potoków krwi bratniéj... Musiałbym ci z jednéj strony przedstawić dziką postać bratobójcy Kaina, z drugiéj — wskazać krwawy sztandar komuny paryzkiéj, a w pośrodku na smętnym pagórku Golgoty wznieść krzyż ze Zbawicielem świata, co zwiesiwszy cierniem ukoronowaną głowę na pierś zbolałą, z ostatniém jeszcze tchnieniem życia, rozwarte ramiona ku ludzkości morderczéj wyciąga!... Gdyby cię ten obraz dziejów miał przejąć zbyt wielką zgrozą, boleścią, to przykryj go czarnym kirem żałoby, nakreśl na nim krzyż zapomnienia i powróć do swego codziennego trybu życia!... A może powiesz, że obraz mój jest zbyt ponury, że zbyt uwydatnia ujemne strony ludzkości? Ale wtedy wskaż mi: zkąd mam wziąć promieni światła dla złagodzenia jego ciemnych tonów? Gdzie mam szukać weselszych postaci, których widok mógłby serce napełnić otuchą, a na lica sprowadzić uśmiech radości? Czy do takich postaci weselszych zaliczysz czasem: proroków, kamienowanych przez własny naród? Męczenników pożeranych przez tygrysów? Czarowników wrzuconych do rzek? Czy mędrców, co jak Sokrates, z rąk współobywateli puhar trucizny przyjęli? Czy reformatorów, co jak Huss, *in majorem Dei gloriam* na stosie życie zakończyli? Albo może do weselszych scen zaliczysz bachanalią Sardanapala, widowiska owego Nerona, co z lirą w ręku pląsał po gruzach spalonego przez siebie Rzymu? Lub może noc św. Bartłomieja? A do postaci prawdziwie wielkich czy mam zaliczyć Aleksandra Macedońskiego, Cezara, Napoleona i tylu innych? Prawda, w nich było wiele życia, ale w około nich więcéj jeszcze jęków boleści, krwi i śmierci!...“

Lecz jeśli taką jest przeszłość dziejowa rodu ludzkiego i jéj prawowita następczyni, teraźniejszość, to jakąż radę, jaką żywotną naukę dać nam może indukcya historyczna, wyniesiona przez autora, jakeśmy to widzieli, do godności kierowniczego sposobu odkrywania zasadniczych cech wszelkiego pojedyńczego, a tém samém i powszechnego rozwoju? Zadawszy kłam optymistom, utrzymującym, że wszystko co istnieje, istnieje rozumnie — *alles was ist ist vernünftig* — jakiż z kolei damy odpór pessymitom dowodzącym, że wszystko, cokolwiekby rozumnego na świecie było, rozumniéjby było, gdyby wcale nie było?...

Count o'er the joys thine hours have seen,
Count o'er thy days from anguish free;
And know, whatewer thou hast been,
'T is something better — not to be....

Są dzieje i dzieje — odpowiada na to Struve. Jest historya pisana dymnemi zgłoskami pożarów gwałtów, ucisków, bezprawi, — i jest historya ryta słonecznemi literami wolności, pracy, prawdy i sprawiedliwości. Są kroniki, od których się odwracamy ze wstrętem i ohydą, — i są kroniki, w których znajdujemy otuchę i siły do życia. Jest biografia człowieka-zwierzęcia i jest biografia człowieka-anioła. Gdy pochylon nad zwitkiem pargaminów, odczytujesz w nim wzrokiem zbolałym zagadkę przeznaczeń swojego plemienia i dumasz nad niedolą, co cię zmusza pergamin ten odnieść jutro lichwiarzowi, by miéć czém opłacić lekarstwo choréj swéj siostry, — to są dzieje zewnętrzne twego żywota; lecz gdy na chwilę przed tém, śród chłodów twego otoczenia rozbłysło ci serce radością, żeś w téj księdze odczytał myśl zdolną brata twego pokrzepić i do wytrwania zachęcić— to są twe dzieje wewnętrzne. Gdy matka w cierpieniach porodu okrzykiem boleści i niedoli oznajmia przyjście nieszczęśliwego niemowlęcia, to jéj historya ziemska; lecz gdy w lat trzydzieści późniéj niemowlę kolana jéj uścisnie, jako kraju obywatel zacny, jako kapłan prawdy bożéj i społecznego trudu, — to będzie jéj historya niebiańska. Gdy na was, coście obyczaj uświęcony złamali z chłodném postanowieniem spojrzenia w żywe oczy obłudnym czcicielom formy jego martwéj, gdy na was zgraja świętoszków i uliczników ciska za to błotem oszczerstw, — to wasza biografia faktyczna; lecz gdy wy, konając pod temi śmieciami i popiołami, uśmiech spokoju szlecie ku przezroczom swego sumienia i swéj powinności, — to wasza biografia duchowa... Jak się zaś rzecz ma z jednostką, tak się ma i z narodami; jak z narodami, tak z ludzkością całą. Gdy patrzysz w Kaina tego twarz obrzękłą i nalaną żądzami mordu i grabieży, których żaden promień ludzkiego uczucia nie osłabia, w których nie widać ani jednego drgnięcia woli rozu-

mniejszéj, ani jednéj zmarszczki obawy światlejszéj, ani jednéj instynktowéj oględności na własne bezpieczeństwo: czyliż zarazem wyraz oblicza Abla nie uderza cię strumieniem świateł Chrystusowéj już, rzekłbyś, litości i przebaczenia?— przebaczenia, które, odbite od miedzianego czoła bratobójcy, czyliż błyskawicznie nie zwinie się nad nim w wężowy splot zgryzot bez miary i końca, co go następnie przerobią na pradziada biednéj dzisiejszéj ludzkości, bezdennie w sobie rozpłakanéj, jak pokutnica święta, a jednak w grzechach cielesnych brnącéj, jak nędzarka nikczemna? A gdy następnie, strapiony wzrok przenosząc z jednego, wschodzącego, na drugi, zachodzący, kraniec rozwoju, zastanowisz się przerażony i nad dziełem téj saméj Komuny paryzkiéj, ohydnym rakiem wyrosłéj na skatowanych policzkach narodu, który był i jest dotąd piastą oświaty nowożytnéj: czyliż jednocześnie, z poza tych płomiennych kolumn szaleństwa i zaślepienia, nie przemówi do ciebie niczém od wieków błogosławioném ta blada twarz księżyca, z takiém smutném współczuciem wpatrująca się w piekielne pod sobą igrzysko, w koronie gwiazd miliarda? Nad temi kłębami dymów czarno-czerwonych ażaliż nie wyżéj się wyniesie w twych oczach błękit przeczysty, stary świadek przyrzeczeń Jezusa dla wszystkiego, co ubogie, cierpiące i pognębione? W piekielnéj téj wrzawie spiżu krwią rozpojonego i piersi rozpaczą rozdartych, alboż twe ucho zatraci choć jeden dźwięk z wiekuistéj owéj harmonii sfer, o któréj już Platon nielegalne niósł biedactwu wieści? Ten zaś majestat niebios, zawieszony nad kipiącemi namiętnościami ziemi, byłżeby czém inném, nie zaś na wieczność całą rozwiązanym problematem ewangelicznym, a tu śród ludzi zgmatwanym przez szatana ciemnoty i przesądu? Te błękity, gwiazdy, te księżyce byłyżby czém inném nie zaś kobiercem tronu Najwyższego, na którym leży cicha, zgnębiona modlitwa ludu o niedzielny bodajby choć spokój i dostatek, o świąteczną choć radość i wesele, których się tu ani dorobić pracą ani zdobyć walką.

Tak jest. W łonie tegoż samego wszechstworzenia, które w ludziach głuszy nieraz najwznioślejsze, najświętsze przykazania braterstwa, przyjaźni, miłości, obowiązku; które prawicę naszę uzbraja puginałem, a usta powleka sinawą trucizną wiarołomstwa i kłamstwa; — w łonie tegoż samego wszechstworzenia biją i inne także tętnice, gorą inne natchnienia, tryskają inne uczucia, i inna także krew płynie: ta, co nam oczy oburzeniem zasłania,— ta, co nam oddech w sercu dławi na widok każdéj krzywdy, zadanéj prawdzie, swobodzie, uczciwości... Niewątpliwie! Ale czy ma to oznaczać, że przyszła synteza wszechdziejowa powstanie ze stopienia i zlania się w chaotyczny globus, w kosmiczną jakąś całość i tych wszystkich ujemnych i tych wszystkich dodatnich objawów istnienia? i tego wszystkiego, co na wierzch człowieczego bytu wydobywa się bolączkami zepsucia i egoizmu, i tego wszystkiego, co wier-

ny wyznawca Chrystusa do duszy swéj przyjmuje z ofiarnego Jego kielicha?

Gdyby taka być miała myśl Struvego, byłaby ona — nie kryjemy się z tém — rozstajną drogą naszych uwielbień dla znakomitéj jego rozprawy; i jak mieliśmy odwagę precz odrzucić pokrzywę porastającą śród róż i nieśmiertelników na świeżym grobie Libelta, u którego pomnika możeśmy uklęknąć nawet nie godni; tak starczyłoby nam również śmiałości na otwarte wytrzebienie chwastu, zdradliwie krzewiącego się w zdrowym i świeżym plonie wiedzy drugiego z zasłużonych naszych uczonych, do którego wyrozumiałości i pobłażania, na przypadek mimowolnego błędu, wolnoby nam przecież było w każdym się czasie odwołać. Z tém wszystkiém, wyznać musimy, że i Struve, zadaleko posuwa jednoczących swych pomysłów następstwa, zadaleko szczególnie dla nas, którzy nielitościwą dwóch światów antynomiczność nie od dzisiaj na sobie dźwigamy...

Chwila zastanowienia powinnaby nas o tém przekonać.

Jakeśmy to widzieli, autor dość stanowczo rozgranicza *zewnętrzność* spraw i dzieł ludzkich od ich historyi *wewnętrznéj*. To, co w dziejach naszego rodu liche, marne i w czasowości téj swojéj złe, zawzięte, barbarzyńskie i rozbestwione,— posiada u niego wszystkie właściwości rozhukanych bałwanów morskich; to zaś, co w przyrodzeniu wzniosłe, wielkie, ofiarne i w niezgłębionych tajnikach człowieczego przekonania wieczne i nieśmiertelne, — porównaćby się dało do prądów powietrznych, nad oceanami falujących. Stosunki i związki między niebem a ziemią zachodzić tu mogą, i rzeczywiście zachodzą, ciągłe i wielorakie. To nie ulega wątpliwości. Teoretycznie, stało się w wieku naszym od czasów już Monteskiusza axiomatem przyjętym, że na świecie wszystko ma swoje prawa, wszystko posłuszne jest pewnym ustawom, grającym rolę wspólnych mianowników w arytmetyce przypadłości cząstkowych. W sferach ducha, czy w sferach materyi, istnieją niezaprzeczenie pewne uogólnione i uogólniające pasma faktów, którym podlegają i wiatry-opinie i nawałnice-rewolucye i zarazy-fałsze i wiosny-nadzieje, — przyroda i ludzie i bogowie. Poeci i metafizycy, oni nawet, od ludzi wyżsi, od bogów swobodniejsi, podlegać im muszą. Patrząc na błyskawiczne migotania wyobraźni wieszczów, to czerwone na tle czarnem, to złote na błękitach, raz olśniewająco-ulewne, to znów tajemnicze i łagodne, jak uśmiech kochanki nieśmiałéj; wpatrując się w kłębiaste nurty oderwanego filozoficznego myślenia, chwytające za własną istotę w nadziei osadzenia jéj na dnie wszechbytu — gotowiśmy rzec, iż nic nad te bujania swawolniejszego, i nic dowolniejszego nad te wiry: a jednakowoż, dość zbadać nastrój atmosfery społecznéj lub wymierzyć skręty i pochyłości łożyska historycznego, ażeby się przekonać, że i te nadzwyczajne zjawiska twórczości poetyczno-metafizycznéj są wynikami zasad, dla duszy ludzkiéj nieporównanie świętszych, bez kwe-

styi, lecz w prawidłowém sprzężeniu skutków z przyczynami równie prostych, równie w swoim czasie i miejscu *naturalnych*, jak i owe, któremi się zajmowali Toricelli lub Fossombroni. W ostatecznéj tedy likwidacyi, a w sensie najszerzéj abstrakcyjnym, nie wykracza teh przeciw filozofii, kto utrzymuje, że, jak stan wód od stanu atmosfery, tak świat naszych czynów od świata naszych pojęć, materya od ducha, przyroda od Boga zależy. Ale nie bezwarunkowo. Zależność bowiem nie jest jeszcze wspólnością, nie jest jeszcze jednością. Punktów styczności, przez które świat jeden oddziaływa na świat drugi, często szukać należy poprzez długi szereg eliminacyj czyli wykluczeń indukcyjnych, w których znika wszelki parallelizm, wszelkie zbliżenie i podobieństwo między królestwem idei a królestwem faktu. Życiu wewnętrznemu życie zewnętrzne nie odpowiada zawsze oddźwiękiem bezpośrednim. Ilekroć np. żywioły podniebne wystąpią z sobą do walki; ilekroć nauka, poezya, moralność, religia w rozterce: tylekroć z mniejszą lub większą pewnością oczekiwać należy, że i powierzchnie wód do obłąkanych wstaną zapasów, że i po powierzchniach naszego bytu konwulsyjne przebiegną dreszcze. Zapowiedź-to burzy w przyrodzie, zapowiedź przejść ciężkich w ludzkości, — zgodność między jedną a drugą prawie zupełna. Lecz czyliż nie częściéj zdarza się i inaczéj całkiem? Oto w powietrzu panuje najzupełniejsza harmonia; oto w dziedzinach myśli i wyobrażeń żadnych nie czuć zatargów, -- przeciwnie, najbardziéj anarchiczne przewiewy i ciągi ogarnia nagle solidarność taka, iż wszystkie razem w jednym wyrównanym pędzą kierunku; morza tymczasem czyliż przestają ciskać pianami w kierunkach najrozmaitszych; rozigrane żądze i namiętności ludzkie czyliż przestają do głębi wstrząsać szczęściem i pomyślnością narodów? Nawzajem, ileż to razy nad uśmierzonych oceanów zwierciadłem, nad biegiem zewnętrznych dziejów człowieczeństwa, pojednanych i umilonych wdziękami pokoju, duch ludzki, życie nasze wewnętrzne, parte nagłym przypływem zagadnień, łamać się i pasować w sobie musiało nad ich daremném najczęściéj rozstrzyganiem!

I tu właśnie powstaje obawa, którąbyśmy ująć chcieli w wyrazy jak najtreściwsze i najoględniejsze, — obawa syntez, być może najprawdziwszych *in potentia*, a jednak, *in actu*, prowadzących do błędów grubych i fatalnych.

Zdarzyło ci się może, czytelniku, przechodzić ulicą większego miasta w chwilę po spadłym deszczu, a naprzeciw promieniom zachodzącego słońca, równolegle ku ziemi w twarz ci bijącym. Przypominasz sobie zapewne olśnienie, jakiego się wówczas doznaje. Ze skupienia tyla naraz blasków, bezpośrednich, odbitych i przełamanych, rażących cię z wilgotnych szyb, z bruku, z dachów, tworzy się rodzaj mgły świetlanéj, przez którą na kilka kroków przejrzéć nie zdołasz, a która przedmioty otaczające odziewa ci w jakieś

gazowe suknie uroku, czyniące je podobnemi raczéj do mar powiewnych, niźli do postaci i kształtów realnych. Wrażenie otrzymane ze świata powietrznego przenosisz w ten sposób niejako i rozciągasz na świat ziemski, i niewiele trzeba, żebyś sam siebie pytał: ażali przypadkiem nie unosisz się w obłokach, zamiast stąpać po twardym makadamie paryzkim...

Coś podobnego dzieje się i w *Syntezie dwóch światów* Henryka Struvego.

Postawiwszy twierdzenie, że „życie wszechbytu — to ciągła spójnia ducha i materyi“, autor pojęcia, wytłómaczone z definicyi *ducha*, roztacza i zarzuca na dziedzinę pojęć, wypływających z definicyi *materyi;* czyni zaś to z taką mocą argumentacyi, z tak ścisłém ujęciem najświeższych wyników wiedzy w karby zwięzłego i nieporównanie świetnego streszczenia, że się wydaje, jakobyśmy tu stanęli nagle w samym punkcie owego „przecinania się dróg, kędy wszystkie się światła zbiegają“, o którém powiada E. Quinet w swéj *Idei nowéj:* „Pochłania nas naraz jakby illuminacya prawd, słonecznie się krzyżujących i przepływających z krainy numenów w kraj fenomenów, by w końcu syntetycznie się zewrzéć i rozbłysnąć w ostatniém swém ognisku, w źrenicy źrenic, w umyśle ludzkim“.

„Czém jest *duch?* czém *materya?* — pyta Struve.

„Duchem jest wszystko, co *czuje*, *myśli* i *działa.* Czy to abstrakcya? Ty sam wiesz dobrze, że to rzeczywistość! Czy to abstrakcya: miłość lub nienawiść, radość lub zgryzota, co twojém wewnętrznęm istnieniem wstrząsają? Czy to nie myślenie *rzeczywiste*, które twój umysł przenika? Czy to abstrakcye: twe pragnienia i chęci, twe dążności i działania? Czy wreszcie abstrakcyą jest twoja świadomość, która twe uczucia, myśli i dążenia skupia, i zaświadcza ci żeś *osoba*, czująca, myśląca i działająca? To wszystko są rzeczywiste, realne objawy istnienia, życia — twego wewnętrznego istnienia, twego wewnętrznego życia. A zatém, mówiąc o duchu, nie wystawiaj sobie jakiéjś istoty nieokreślonéj, nieznanéj, lecz wiedz, że ta istota, która *czuje, myśli* i *działa* jak i ty, istota, w któréj tętni życie wewnętrzne, podobne do twego, — to osoba czująca, myśląca i działająca. Gdzie niéma czucia, myśli *lub* działania, tam mów o wszystkiém, tylko nie o *duchu.* Wymysłów abstrakcyi, cieniów fantazyi, które w tobie tylko żyją, a same w sobie nie czują, nie myślą, nie działają, nie nazywaj duchem. Za to — wszędzie, gdzie napotkasz najmniejszy ślad czucia, myśli *lub* działania, tam szanuj objaw ducha, podobnego do twego, żyjącego w sobie, jak ty w sobie żyjesz.

„A teraz, czém-że jest *materya?* Czy materyą jest wszystko, co *nie* czuje, *nie* myśli, *nie* działa? Tak ją określają zwykle owi sztukmistrze, co na scenę świata wyprowadzają dziecinną walkę szkieletów z duchami! Lecz sam się zastanów! Tyś jest *osobą*, a zatém

tylko o *sobie* wiesz jasno i dokładnie: czy czynisz lub nie, czy myślisz lub nie, czy działasz lub nie. Zkąd-że chcesz wiedzieć, czy istota *obca*, czy to, czém *nie* jesteś, czuje lub nie czuje, myśli lub nie myśli, działa lub nie działa? Czyliż zdolen jesteś wyskoczyć ze siebie i przenieść się w serce innéj, obcéj istoty, aby wyrokować o jéj stanach wewnętrznych? Łatwo zrozumiesz, że o tych stanach wewnętrznych obcéj istoty nic bezpośrednio sam z siebie wiedzieć nie możesz; że to wszystko są tylko wnioski, jakie wyprowadzasz z zewnętrznych objawów téj obcéj istoty“...

„Cóż z tego wynika? Oto, że z braku objawów, wykazujących stany wewnętrzne obcych istot, nie można wyprowadzać wniosków o naturze tych stanów, nie można im zaprzeczać charakteru życia duchowego, czucia, myśli, dążenia. Gdzie się z takiemi zewnętrznemi objawami spotykamy, tam mamy zupełne prawo mówić o duchu, podobnym do naszego; gdzie zaś takich objawów niéma, tam nic nas jeszcze nie upoważnia do zdania, że mamy przed sobą istotę pozbawioną ducha, bo duch może w niéj żyć i działać, nie przejawiając się na zewnątrz w sposób widzialny i dotykalny *dla nas*...

„Materyą nie jest więc to, co *nie* czuje, *nie* myśli, *nie* działa, co jest pozbawione wszelkiego życia wewnętrznego; lecz tylko to, co nam opór stawia, co stanowi tamę dla naszéj działalności, co zmuszeni jesteśmy odróżnić od nas samych, co naszemu wewnętrznemu istnieniu przeciwstawiamy jako zewnętrzne. *Ja* jestem duchem, bo czuję, myślę, chcę, bo bezpośrednio poznaję me *życie wewnętrzne*. Wszystko zaś, czém ja nie jestem, co jest dla mnie nie-ja; wszystko to, co ogranicza moje czucie, moję myśl, moję wolę, co stawia opór mym dążnościom i jest granicą zewnętrzną dla mego wewnętrznego życia: wszystko to jest dla mnie materyą. Po-za wrażeniem ograniczenia, oporu — *materyi* niéma....

„Przeto, ponieważ materya polega wyłącznie tylko na wrażeniu oporu, ograniczenia, tamy, jakich doznajemy, a nic nie orzeka o saméj istocie, która nam opór stawia, nasze czucie, myślenie i dążenie ogracza, tamą zewnętrzną otacza; niéma więc żadnego powodu twierdzić, iż istota ta nie może być duchem. Przeciwnie, jeżeli sposób i forma doznanego przez nas oporu, tak nazwanych przeszkód materyalnych, są tego rodzaju, że przedstawiają oznaki życia zewnętrznego, podobnego do naszych uczuć, myśli i dążności; — natenczas, w imię prawdy, zmuszeni jesteśmy powiedzieć, że istotą owego oporu, ograniczenia, jest działanie obcego czucia na nasze czucie, obcéj myśli na naszę myśl, obcéj woli na naszę wolę, czyli, jedném słowem, obcego ducha na naszego ducha. Wszystko, co *obce*, co nie-ja, przedstawia mi się jako materya; a zatém i obce czucie, obca myśl, obca wola, będąc czémś zewnętrzném względem *mego* czucia, *méj* myśli, *méj* woli, stanie mi przed oczy zawsze i wszędzie w formie materyi“...

Oto jest fundament, rdzeń, zasadnicza treść syntezy Struvego. Autor nie łączy tu nic; żadnych odwrotnych, antynomicznych, kontradykcyjnych światów do jedności nie niewoli, i do jarzma trzeciéj jakiéjś wyższéj idei ich nie zaprzęga. Ani szczep romański nie jest u niego materyalistą wyłącznym, ani szczep germański wyłącznym spirytualistą; przeto i szczep słowiański, jeśliby miał mieć jakie powołanie, to chyba nie powołanie godzenia Niemców z Francuzami. Zgoda owa zresztą, — zgoda materyi z duchem — nie jest w gruncie rzeczy do spełnienia; jest bowiem i była od wieków faktem spełnionym. Duch i materya, niebo i ziemia, Bóg i przyroda: to dwa tylko błyski, dwie chwile, dwa tryby, dwie iskry jednego i tegoż samego istnienia. Gdyś Ablem, Kain wobec ciebie materyą; gdyś Kainem, tyś względem Abla duchem, i naodwrót. Dopókiś pospołu ze zdradzonym Paryżem pałał goryczą i żalem, że cię nikt nawet na śmierć poprowadzić nie umie czy nie chce, dopótyście,. i ty i Paryż twój, — duchami; ale od chwili, jak ten sam Paryż, ogłodzony, oszukany, zelżony, sponiewierany, oszalał z rozpaczy, a ciebie Wersal powołał, byś szaleństwo to leczył bagnetem i kartaczem, — tyś został duchem, Paryż stał się materyą, — i na odwrót...

Sprawiedliwość przedewszystkiem! Pomysłowi Struvego, istotnie i w całém znaczeniu słowa, głębokiemu, choć się tak prostym na pozór i łatwym wydaje, nic zarzucić nie podobna, ani ze stanowiska wiedzy, ani ze stanowiska wiary, i zgodzić się nań mogą i zgodzić się nań w końcu muszą zarówno nauka jak religia. Prawda, zawarta w syntentycznym tym kluczu filozofii nowej, jest jasną, oczywistą, jest — że tu *miejski* nasz przykład podejmiemy — jak owe słońce zachodnie, prostopadle w twarz nam uderzające... Lecz słońce ożywia tylko i oświeca,—dla czegoż mówiliśmy o olśnieniu? Zkąd-że się biorą majaczenia te wzroku i umysłu, dla skonstatowania których w dziele Struvego musieliśmy się odwołać aż do osobistych wrażeń i wspomnień czytelnika? — Obłęd płynie nie z prawdy, nie ze słońca, lecz z powietrza jedynie. Na nas wszystkich, autorów czy krytyków, rozciąga ono ćmy swe oślepiające, ukryte w tych oto kroplach rosy, lśniącéj z dachów, z okien, progów i bruków, i ku niebiosom ztąd parującéj. Spadły-li owe krople z deszczem, wypłakały-li je raczéj ziemie już suche, czy może wysączyły się one z żył nędzą i pracą do ostatka już wyczerpanych? kwestya to obojętna, a do rozwiązania trudna; pewném zaś w każdym razie jest to, że zanim nowe kształty życia, z odwiecznéj syntezy wysnute, rosę tę wyzbierają, ona-to nam dziś — perlistość owa powietrzna — przełamuje i całkowicie zmienia kąt widzenia *rzeczy*, tak zkądinąd drogiéj, zarówno przeszłym jak i przyszłym dziejom naszym! A przełamuje ją tak radykalnie, że już bez uniesienia, już prawie z ironią chłodną, notujemy dalszy ciąg wykładu Struvego....

„Nawet najczystszego ducha, samego Boga — powiada autor —

nie ujrzysz nigdy inaczéj, jak w formie materyalnéj, w formie czegoś względem ciebie zewnętrznego, w formie zapory, ograniczającéj twego ducha. Spojrzyj na wszechświat nieograniczony, począwszy od pyłku aż do słońc niebieskich: ile tam rozumu i mądrości, ile piękna i wielkości! Oto myśl Boża, duch Boży w widzialnéj i dotykalnéj dla ciebie formie. Duch ten ogranicza twego ducha, a w skutek tego doznajesz jego działania, jako czegoś zewnętrznego, od ciebie różnego, i mówisz, że to *materya;* ale w istocie to *sam duch Boży*, który na ciebie działa....

„Przejmij się tą rzeczywistą, realną wszechobecnością Boga, a uwolnisz się coraz bardziéj od wszelkich niegodnych pojęć jakoby Bóg zdaleka światem rządził... Bóg sam jest wszędzie; we wszystkiém działa jego duch wiekuisty...

„Jeśli zaś rozbierając jedną małą literkę świata, jedną z nieskończonéj liczby form jego zewnętrznych, i nie napotykając w niéj ducha zupełnego, twierdzisz uporczywie, że w całości takiego ducha niéma, że jéj brak uczucia, myśli, podniosłych dążności; toś tylko żak uparty, bawiący się jedną zewnętrzną formą abecadła, jedną *grafiką*, a niechcący pojąć *składni* i *stylu* istnienia, nie wnikający w jego *myśl*, w jego *ducha* żywego!

„Bierzesz kamień do ręki i mówisz: to materya bezmyślna, pozbawiona wszelkiego śladu życia, ducha. Czy pewnyś? A spojrzyj na kryształ. Czyż w jego symetrycznym układzie, w jego pięknych formach, nie przejawiają się ślady myśli, porządku, poczucia estetycznego, podobne do twéj myśli, do twego pojęcia ładu i piękna?... Jakich-że innych oznak życia wewnętrznego od kryształu wymagasz? Czyliż ma koniecznie przemówić do ciebie dźwiękami, wyrazami słyszalnemi, dla tego tylko, że nie chcesz zadać sobie pracy zrozumienia jego *mowy migowéj*, stworzonéj przez systematyczną kombinacyą tysiąca pojedyńczych, na pozór rozstrzelonych, ruchów?...

„To mistycyzm, fantazya! — zawołają *realiści*. Więc kryształ ma czucie i myśl, może nawet duszę!? Odpowiem pytaniem: Palec u twéj ręki czy posiada sam w sobie czucie, myśl, a tém więcéj duszę? Bynajmniéj. Gdy go od całości odłączysz i na cząstki składowe rozłożysz, nie napotkasz w nim ani śladu czucia, myśli, życia — i gotów jesteś powiedzieć, że to gruba, bezmyślna *materya*. A jednak, w łączności z ręką i z całém twém ciałem, czyż palec nie żyje? Czy nie jest narzędziem dla przejawu twego czucia, twéj myśli i woli? Czy go dusza nie przenika?... Dla czegóżbym nie miał powiedzieć, że wszystkie kryształy ziemi, wraz z niebotycznemi wierzchołkami jéj gór, są palcami jednéj olbrzymiéj prawicy, w któréj się przejawiają czucie, myśl i wola, o tyle potężniejsze od twego ducha, o ile Mont-Blanc i Dawalagiry większe są od twéj drobnéj ręki?... Będąc pyłkiem ledwo widzialnym na dłoni téj olbrzymiéj prawicy, lub, jeśli wolisz, jedną z jéj mikroskopijnych komórek, zrazu, naturalnie, nie jesteś w stanie objąć jéj całokształtu, a tém bardziéj nie możesz

z pierwszego wejrzenia wytworzyć w sobie jasnego pojęcia o owém nieskończoném ciele, nazwaném wszechświatem, do którego ta prawica, jako część składowa, należy. A jednak to olbrzymie ciało żyje; żyje życiem nieskończenie wyższém od twego życia!...“ Żyje życiem, rozumie się, *Bożém*...

Wzniosła to i kojąca synteza!... my wszakże wynikłości jéj odrzucamy stanowczo i nieodwołalnie, o ile one byt wewnętrzny i jego prawa tam tylko uznają, gdzie tego bytu zewnętrzny istnieje objaw; przyjmujemy je tylko o tyle, o ile jest inaczéj. Nie dosyć tego: od skutków i zastosowań na przypadek pierwszéj alternatywy pójdziemy do źródeł i zasad. I jeżeli ten duch Boży, *we wszechświecie fenomenów się objawiający*, taki sam całun słonecznych swych blasków położyć nam gotów na uczucia, jaki już położył na nasze zmysły, (śród téj powodzi klęsk, co nam przyrodę zamieniły w jedno nadmoczarowe siedlisko ogników błędnych) — pożegnamy w takim razie i zasadę systematu genezyjną, jakeśmy się pożegnali z konsekwencyami kosmogonicznego jéj uwydatnienia, i zamykając *Syntezę dwóch światów*, powiemy:

„Jak filozofia Libelta poświęciła rozum na rzecz czegoś, co nie jest wiarą, tylko gminną jéj aberracyą, tak filozofia Struvego, w danem, wątpliwością osłabionem przypuszczeniu, poświęca wiarę na rzecz czegoś, co nie jest rozumem, tylko doktrynerską jego parafrazą. Wiara bowiem niewiarą, gdy w niéj Boga niéma. A cóżby to był za Bóg, ów Bóg syntezy nowéj, który się unosząc na wszechobjawu cielesnych falach, głuchym i niemym byłby — wzorem kaulbachowskiego anioła nad potopową arką Noego — na błagania tonącéj pod niemi, w ich głębi, *duszy?* Takiego Boga nie mieli w swych sercach ojcowie nasi, nad których prochami, bądź co bądź, żadna indukcya dziejowa wiatrem pustym nie przewieje przecież. Nie wiemy i my nic o takim Bogu, — my, dla których Bóg jest dzisiaj jedyną ucieczką i mocą. Bóg to, zapewne, ów Bóg wszechzjawiskowy; ale ani Bóg-Duch Ś-ty, oczekiwany przez mędrców świata, ani Bóg-Syn, opiekun i pocieszyciel maluczkich, ani Bóg-Ojciec starego Izraela,— wielki, potężny, surowy, lecz w sprawiedliwości tylko nieprzebłagany sędzia.

VII.

Zjednoczenie wiedzy z religią, nauki z wiarą, jest celem godziwym filozofii; inaczéj, najpiękniejsza gałęź umiejętności ludzkich stałaby się dzisiaj, przy rozejściu się podrzędniejszych zadań umysłu na działy specyalne, gałęzią martwą.

Kraje słowiańskie w zakresie tym oddać mogą ludzkości przysługę ważną i od ich woli wyłącznie zależną. W pracach bowiem nad odnowieniem moralném i społeczném ludów przez wytworzenie syntezy wszechświatowéj i wszechdziejowéj, zagadnienie elementarne, o związku pojęć zachodnio-europejskich z wierzeniami azyatyckiego wschodu, — cywilizacyi w najwyższym jéj objawie rozumowym z cywilizacyą w początkującym rozkwicie pierwiastków jéj religijnych, zagadnienie to kapitalne nie może, mówię, otrzymać rozwiązania żywotnego bez współudziału plemienia, ktore z jednéj strony, jest jakby bezpośrednim spadkobiercą moralnych tradycyj Wed i Zendawesty, a z drugiéj — jakby dłużnikiem materyalnéj oświaty nadatlantyckiéj, u któréj się zapożyczyło i zapożycza ekonomicznie, naukowo i społecznie.

Powołaniu owemu, wynikającemu zarówno z warunków geograficznych i etnograficznych Słowiańszczyzny, jako też i z ogólnego w ludzkości zastoju, którego powodem: więdnienie wiary bez wiedzy na Wschodzie, bezsilność rozumu bez religii na Zachodzie — powołaniu owemu plemię nasze nie może jednak zadość uczynić gołosłownie, to jest, bez poprzedniego trudu assymilacyjnego, bez poprzedniéj krytycznéj oceny obu cywilizacyjnych inwentarzy, stanowić mających przyszły kapitał ludzkości, syntentycznie przez *nas* wyrównany.

Ponieważ na świecie sama tylko imaginacya wszystko od razu zdobywa, w długiéj więc i ciężkiéj pracy dobijania się o rezultat plemiennego swego przeznaczenia, ludy słowiańskie z największą bacznością śledzić muszą każdy umysłowy wynik, tymczasowe materyały wiedzy zcalający i uogólniający; są to bowiem stopnie niższe syntezy powszechnéj, bez których stopień ostatni na wieki wieczne pozostałby w niebiosach oderwanéj dowolności. Czy téj lub owéj doktrynie wszechzcalającéj tak wiele braknie pod każdym względem, jak dotkrynie Libelta; czy tamtéj trzeciéj lub czwartéj tak dużo znowu nie dostaje pod jednym tylko względem, jak doktrynie Struvego: niech nas nie mylą i nie uwodzą cierpkie o nich niekiedy zdania recenzentów codziennych! Mistrze wznoszą gmachy, robotnicy na ich szczyty się wdzierają, a jednak drudzy pierwszym do pasa nawet nie dorośli, choć wszyscy razem powinność swą tylko pełnią. Syntezy przejściowe są jak owe latarnie morskie: w biały dzień, na twardym lądzie i z oddalonego zacisza powszedniéj egzystencyi nie sztuka dostrzedz, że płomień ich gore blado, ciemno i mizernie; lecz porzuć na chwilę biedkę rozwożącą po zakątkach wiejskich drobne pożytki domowego twego bytu, wnijdź na okręt hurtownéj wymiany spraw ludzkich, od któréj w ostatecznym bilansie i twój zagrodowy wexel zależy, spójrz w sam środek nocnéj téj nawalnicy gruchoczącéj najsilniejsze maszty z twych dąbrów, — a wtedy osądzisz: jakiego oddechu trzeba na rozdmuchanie jednego z takich oryentujących nadmorskich ognisk, jak synteza Struvego,

a jakiego na zapalenie kagańca, przy którym ci krytyk-przewodnik złamany schodek latarni pokaże...

Tém nie mniéj sama ta pilność na jednoczące w danéj chwili kierunki filozoficzne, samo to zamiłowanie uogólnień czasowych, będzie i być musi zawsze przedwczesném, lub zawsze poniewczesném, dopóki *brutto* uogólnień wszelkich — nie zwiezione. Piętrzyć wciąż syntezy religijno-naukowe na syntezy naukowo-religijne — gdy erudycya podań świętych od Wedy do Syllabusa i erudycya doświadczeń świeckich od Archimedesa do Bismarka, w kolebce, — wyjdzie to społeczności koniecznie na jedno, jak gdyby chciała budować latarnie morskie, gdy okrętów niéma, — budować okręty, gdy portów nie stało, budować porty, gdy morze uciekło.

Gorzéj! Wszelka bowiem, mała czy wielka synteza, bez gruntownego analitycznego procesu, bez dokładnych roztrzęsin materyałów jéj wychowawczych, nietylko wyrośnie u Słowian niepożytkiem, nietylko w gorącéj ich wyobraźni spłonie pajęczyną nietylko jednorazowym oczaruje zachwytem; lecz jeszcze, lecząc raptownym zniechęcenia chłodem, raptowne zapału wyskoki, doprowadzić może umysłową organizacyą szczepu do téj drażliwości nerwowéj, która ze starości zdejmuje nimb sędziwego doświadczenia, berło hartu wytrąca z rąk dojrzałości, skrzywionym uśmiechem, sceptyzmu zaciąga na twarz młodzieży i jątrzy się we wszystkich sercach szyderczą uciechą ze wspólnéj niemocy; gdyż — nigdy z pamięci tego nie spuszczajmy — każda z nich, z tych syntez antycypujących skutki filozoficzne bez powodów naukowych (pomijając już nawet szczególne i wyjątkowe wypadki moralnéj klimatologii narodu, o których wspominaliśmy w ustępie VI-m) każda z nich nosi na sobie, w sobie saméj, najniebezpieczniejsze dla konserwacyi społecznéj miazmata. Nie zawadzając tym razem o teoretyczne prawdy wyższego rzędu, ileż to np. zdradliwych zasadzek mieści w swém łonie syntentyczna ta prawda, iż „stan wód od stanu atmosfery zależy“, gdy się nie wspiera na wiekuistym komentarzu faktów, w których ją umysł ludzki wykrył i wypielęgnował! Rzuć ją, tę prawdę, między społeczność, która pierwsze i empiryczne wyobrażenie o związku chmury z falą powzięła może jeszcze w czasach napadów normandzkich; która o ten związek nie jedną późniéj „armadę“ u swych brzegów rozbiła; która dziś, dla sprostowania tysiącznych jego zboczeń i niewierności, posiada obserwatorya meteorologiczne niemal u wszystkich zagięć wybrzeżnych, niemal na wszystkich wierzchołkach górskich, — rzuć ją tam, a pierwszy marynarz wraz ci na palcach wyliczy w ilu razach na sto ogólnik ten wart dukata, a w ilu nie wart złamanego nawet feniga. Ale przepój-no tym samym wnioskiem intelligencyą słowiańską, do przysłów pochopną i, jak powierzchnia ziemi jéj, do krzywizn indukcyjnych nie wdrożoną! Będziesz-li pewnym, że biorąc dwuramienność orzeczenia za proste odzwierciedlenie parallelizmu zjawisk

w naturze, nie weźmie ci ona, intelligencya ta, najprostszéj rekonesansowéj boreasza zawiei za początek skończenia starego świata i nie wyskoczy ci wesołym hołubcem czynu na ciche przestworza jutrzennéj pogody — w samę paszczę czyhającéj na nią o poranku nawałnicy? Mądrość przywlecze się następnie z odsieczą, to pewna; ale jak ongi, jak wczoraj, jak dzisiaj, jak zawsze: nie na termin.

Żal-że się więc Boże i naszemu tu ziarnu rozwagi, rozkwitającemu dopiero wtedy, gdy oddawna owoc-by już zebrać należało!

SKARBIEC KATEDRALNY

W WILNIE.

PRZEZ

A. H. Kirkora.

I.

Skarbce świątyń pańskich wszelkich wyznań, jak i same świątynie, przechowały do dni naszych niemało zabytków z przeszłości gdy poza obrębem ich czas i ludzie wiele zniszczyli przez nieświadomość, lekceważenie lub złą wolę. Świątynie przeto, szczególnie w ziemiach słowiańskich, ze swojemi skarbcami, grobami, pomnikami, stanowią dziś niejako Walhalle, panteony dziejów ubiegłych, z któremi łączą się wspomnienia, nietylko historyczne, ale rodzinne i pamiątkowe.

Jak sobory i ławry w Moskwie, Nowogrodzie, Pskowie, Kijowie, kościół katedralny w Pradze, sławny Wawel w Krakowie, katedry: Gnieźnieńska i Poznańska, skarbiec Częstochowski, tak samo i skarbiec katedralny Wileński do takich zabytków drogocennych należy.

Katedrę Wileńską, opisywali: Kraszewski, Baliński, Narbutt, Homolicki, Jan ze Śliwina; ale skarbiec katedralny, bogaty w zabytki od czasu założenia kościoła św. Stanisława, a i dziś jeszcze przechowujący nader cenne i ciekawe zbiory, nie ma dotąd dokładnego i szczegółowego opisu.

W rękopiśmie pozostałym po ś. p. prof. Michale Homolickim p. t. *Fragmenta Witoldowskie*, a przekazanym byłéj kommissyi archeologicznéj w Wilnie, zawierało się niemało szczegółów i o skarbcu katedralnym, chociaż wiadomości te, jako dodatkowe, nie stanowiły całości. Nie wiemy co się stało z tym rękopismem; ale jeszcze za

życia ś. p. Homolickiego mieliśmy udzielonych przez niego kilka ważnych spostrzeżeń.

Przez lat wiele pracując nad zabytkami Wilna, zebraliśmy wiele notat, czerpanych z aktów kapituły, z wizyt kościołów, z akt wójtowskich i innych wiarogodnych źródeł.

Z tych tedy materyałów ułożyliśmy opis skarbca katedralnego wileńskiego, tém przynajmniéj różniący się od innych, że sięga najodleglejszych czasów i zawiera szczegóły czerpane ze wszystkich ważniejszych źródeł.

II.

Skarbiec katedralny wileński był nader bogaty. Mnożyły go dary panujących: Jadwigi królowéj, Anny Witoldowéj, Barbary Radziwiłłówny. Witold troszczył się o bogate uposażenie kościoła; królowie: Aleksander, Zygmunt stary, Zygmunt August, wzbogacali skarbiec kosztownemi darami. Nawet Bona pamiętała o téj świątyni wileńskiéj, gdyż jéj-to staraniem i kosztem wzniesiony został wspaniały pomnik sławnemu Witoldowi. Biskupami wileńskimi byli najczęściéj ludzie do najznakomitszych i najbogatszych rodzin na Litwie należący, jak np. Wojciech Tabor, Wojciech i Jerzy ks. Radziwiłłowie, Jan z książąt litewskich, Paweł ks. Holszański, Waleryan Protasewicz, Benedykt Wojna, Eustachy Wołowicz, Jerzy Tyszkiewicz, Aleksander Sapieha, Mikołaj Pac, Konstanty Brzostowski i tylu innych znakomitych biskupów. Każdy z nich uważał za obowiązek wzbogacać skarbiec. Nic więc dziwnego, że katedra Wileńska od XIV wieku zaczęła już słynąć bogatemi sprzętami, znakomitemi przedmiotami sztuki, oraz pamiątkami po wielu zasłużonych mężach. Każda wojna, każde zwycięztwo wzbogacało skarbiec katedralny. Ale zwykłą koleją rzeczy ludzkich, niezawsze były zwycięztwa, a w razie niepowodzeń, w razie napadów krzyżackich, i skarbiec ulegał zniszczeniu, a jednocześnie z nim i dokumenta archiwalne kościoła katedralnego, tak dalece, że same akta kapitulne zaledwo od roku 1500 ocalały ([1]), a najstarsza wizyta kościoła, zawierająca spis sprzętow kościelnych nosi datę r. 1598 ([2]).

Ciekawy ten inwentarz, przez prałata Mikołaja Diciusza sporzą-

([1]) Akta kapituły wileńskiéj przełożył na język polski niedawno zmarły prałat Wileński, ks. Mamert Herburt z Fulsztyna.

([2]) Regestr sprzętu złota y srebra w kościele Ś. Stanisława Cathedralnym na zamku Wileńskim spissany y rewidowany w roku Pańskim 1598. (Protokół wizyty dziekana Mikołaja Diciusza ks. 1 — 14, 48, 62).

dzony, zawiera opis *dwóchset trzydziestu* naczyń lub sprzętów złotych i srebrnych, jakie się jeszcze znajdowały pod koniec XVI wieku, ale opis ten jest bardzo niedokładny. Wyznaczony do sporządzenia go podkustoszy nie trzymał się zgoła żadnéj kolei chronologicznéj, prawie nigdzie nie wymienia nazwiska dawcy, jeżeli o niém nie uwiadamiał już napis na samym sprzęcie położony, często zaś nie może wyczytać *staroświeckiego*, jak nazywa, pisania, i wtedy je całkiem pomija. Co gorsza, że i herby, miejsce napisów zastępujące, albo do nich przydane, jedne niedostatecznie i niedokładnie, drugie niewłaściwie lub opacznie mianuje; łatwiejsze zaś do wykreślenia rysuje piórem, i w ich liczbie niektóre takie, jakich nie znajdziesz w żadnym Herbarzu. A nawet i w liczbie narysowanych herbów, na niektórych tarcze, lub kolumny postawione na wywrót.

Wszakże ten inwentarz daje nam możność wymienienia kilkudziesięciu przedmiotów, o których z herbów, lub z innych skazówek dojść było można, że z daru królów, lub wielkich książąt pochodziły. Zaledwie na dwóch lub trzech zaświadczały o tém same już napisy, przez podkustoszego wyczytane.

Wypisujemy tedy (*dosłownie*) najpierwéj sprzęty z ofiary wielkich książąt lub królów.

1) „Krzyż staroświecki, srebrny, pozłocisty; na nim Pogonia y herb *Witułtów* y kamieni ośm; w pośrodku krzyż kryształowy, cztery szafiry w nim; a na stolcu corona, która nie cała jest; a na wierzchu goździe niemasz, którym się krzyże spaiaią; nad *sedes* około kapy siódmey sztuki niemasz.

Herb *Witułtow*, t. j. Witolda, a właściwiéj *Witowta*, który oprócz Pogoni Litewskiéj znamionował pobożny upominek tego księcia, nie co innego musiał oznaczać, jak *kolumny*, albo *słupy* t. j. familijne godło trzeciéj dynastyi wielkich książąt Litewskich. Herb ten, w rodzaju bramy genueńskiéj, widzimy na najdawniejszych monetach Litewskich od czasów Gedymina, jak również i na pieczęciach ([3]). Wiadomo, że w bitwie Grunwaldzkiéj, z pomiędzy czterdziestu chorągwi wojennych Litwy, na dziesięciu były *Kolumny*, gdy trzydzieści innych nosiły na sobie *Pogoń*. Podkustoszy nie wiedział o tym herbie, nie umiał go nazwać właściwie, tak dalece, że raz mianuje go nawet *szubienicą* ([4]), a dopiéro w wyliczeniu apparatów kościelnych, widocznie przestrzeżony przez prałata Diciusa, lub innego znawcę, już i bez rysunku mianuje słowy: *herb Kolumny*. W końcu, w opisaniu *staroświeckiego krzyża*, prócz Pogoni wymienia tylko nieokreślonym wyrazem jakiś inny jeszcze *herb Witułtów*, nie rysując go wcale. Mogła więc to być druga tarcza ze czterema

([3]) Ob. moją Numizmatykę Litewską w „Starożytnościach Moskiewskiego Tow. archeol.", 1870 r. tabl. VII, N. N. 4, 11 — 21.

([4]) Protokół téjże wizyty f. 62.

herbami, jakie widzimy na niektórych pieczęciach Witolda, a mianowicie: litewska pogoń; krzyż prosty, równoramienny, do samych krawędzi przedziału sięgający, herb wołyński; niedźwiedź, herb żmujdzki, i rycerz w zbroi z włócznią na puklerzu wsparty. Na innych pieczęciach można widzieć kolumny, nie jako herb główny i odosobniony, lecz jako znak na puklerzu jeźdźca Pogoni (5). Czterech zaś herbów używano zwykle na pieczęciach majestatycznych, przyczém na pieczęciach Kejstuta i Witolda ta tylko zachodziła różnica, że jeździec z włócznią, unoszoną w poprzek ponad głową, biegł nie w prawą, ale w lewą stronę. Nie od rzeczy będzie dodać na tém miejscu, że mitra wielko-książęca Witolda, którą prócz herbów oznaczony był jego podarunek, nie miała na sobie krzyżyka; nie było go téż i na pieczęci jego majestatycznéj i na starożytnym, współczesnym, portrecie Witolda, przywiezionym do Wilna z Brześcia Litewskiego (6) po skasowaniu kościoła księży Augustyanów, którego Witold był założycielem, ani téż nad znaną cyfrą Witolda, zdjętą ze staréj chorągwi wojennéj (7). Brakiem tego krzyża na mitrze tłómaczą pochodzenie jéj z czasów jeszcze pogańskich, wskutek czego niektórzy téż ją nazywają „Mitrą Gedymina". Chociaż podług zasad heraldycznych książęce i elektorskie mitry, wyjąwszy książąt w stanie duchownym zostających, powinnyby tylko nosić u wierzchu prostą gałkę, czyli globus, bez żadnego krzyżyka, który przystoi tylko królewskim i cesarskim koronom (8). Ale niewcześnie usłużni malarze, na późniejszych kopiach obrazów Witolda, zmienili i kształt starodawny jego mitry i uwieńczyli ją krzyżykiem.

2) „Kielich srebrny pozłocisty, na którym są dwa herby: orzeł w czyrwonym polu (na emalii) z jednéj strony, a z drugiéj strony Pogonia. Przytym sześć sztuk (wizerunków) wyrytych, gdzie jest S. Clemens, a na sedes napis taki: Wladislaus Dei gr—a Rex Poloniae Lithuaniae hoc opus fecit.

3) „Ampołek para, srebrne pozłociste, stare, na których napisano: Wladislaus Rex Poloniae hoc opus fecit. Na wierzchu herby: Orzeł y Pogonia.

(5) Ob. dawne herby w Zbiorze Praw Litewskich hr. Działyńskiego tab. I. a, b. Tab. II. a,—oraz Pomniki Hist. i Lit. Wiszniewskiego t. IV, 92, gdzie są nader rzadkie pieczęcie książąt: Witolda, Korybuta i Lingwejna. Ob. téż o Pieczęciach, T. Żebrawskiego zeszyt 11, 1871 r.

(6) Portret ten Witolda, jedyny dziś, jako współczesny, stał czas jakiś w kościele Augustyanów wileńskich, aż do zamknięcia onego w r. 1854, późniéj zaś w letniém mieszkaniu na Antokolu Arcy-Biskupa Żylińskiego, po śmierci którego w r. 1863, nabywca tego domu, p. Kamiński, przewiózł go do swoich dóbr Józefowa w Inflantach. Zostaje ten zabytek pod szczególną opieką p. Szachny, zięcia p. Kamińskiego, mieszkającego w tych dobrach, człowieka światłego, umiejącego cenić podobne pamiątki.

(7) Na winiecie chromolitografowanéj w moich *Zarysach Litwy*—1854 r. w Wilnie.

(8) J. Alex. Jabłonowski: *Heraldica*, Sign. 2.

Dla braku zapewne miejsca skrócono na kielichu tytuł królewski, który na przywilejach kapitulnych zwykle bywał taki: *Vladislaus, Dei Gratia Rex Poloniae Lithuaniaeque. Princeps supremus et heres Russiae.*

4) „Kielich srebrny pozłocisty; na sedes (t. j. na wyższéj powierzchni stopy) herb kolumny, (pismem nakreślony), około niego staroświeckie pismo, którego nie może wyczytać.

Dla czego nie może wyczytać? — Czy że pismo było już zatarte, lub że nie zdołał go wyrozumieć? W każdym razie, skoro na kielichu herb kolumny, bez orła i pogoni, dowodzi to, że jest darem którego z książąt z rodu Gedymina.

5) „Krzyż srebrny pozłocisty po części na *sedes* Orzeł, a z drugą strone Pogonia y twarzyczki Anyelskie, których jest sześć s pierścionkami. W pośrodku crucifix srebrny, lity; około niego czterech Ewangelistów pozłocistych. A z boku Panna Marya pozłocista y Ś. Jan.

6) „Krzyż srebrny, pozłocisty; we środku po jednéj stronie krzyżyk kryształowy y kamieni cztery po rogach; a po drugiéj stronie Passya odlana pozłocista, a po rogach czterey Ewangelistowie. Na stolcu korona królewska połamana i gwoździka niemasz, którym się krzyże spajają.

7) „Tablica (właściwie obraz ryty na srebrnéj blasze) wielka srebrna, na któréj jest *Beatissima Virgo* (Najś. Panna) w słońcu pozłocisto. Na jedney stronie herb królewski Orzeł, a drugi herb Pogonia. Na wierzchu gałeczka pozłocista y około tey gałki poczęści jest złoto.

8) „Lichtarzów dwie parze srebrnych, jednakich, miescami pozłocistych, na nich herby królewskie Orły y Pogonie". (Świeczniki te znajdowały się w staréj kaplicy królewskiéj S. Kazimierza).

9) „Krzyż staroświecki srebrny, pozłocisty, na nim Passya odlewana, około tey passyey kamikow dwadzieście cztery; z jedne strone obraz Panny Maryey a z drugi strone Ś. Jan pozłocisty; tamże krzyżyk składany pozłocisty, w nim kamików siedm, a osmego nie dostaje. *Na sedes* Orzeł, drugie miejsca próżne".

Z czyjego mianowicie daru pochodziły sprzęty wyżéj wymienione?—żadna cecha szczególna nie wskazuje. Wszakże herby przekonywają, że były to dary królewskie, a więc Jagiełły, Kazimierza, Aleksandra i Zygmunta I-go, jak również zapewne i ich małżonek. Wielcy książęta bowiem: Witold, Swidrygiełło, Zygmunt, orła w herbie zgoła nie używali.

10) „Obraz (posążek) Ś. Stanisława srebrny, lity, miescami pozłocisty, s kurwaturą (pastorałem) srebrną: na nim herb królewski Orzeł, podle tego herbu Piotrowin pozłocisty, lity; a w tyle, na Czyrwonym polu, Pas Biały".

11) „Kielich srebrny, wszystek biały (bez pozłoty) na *sedes* sześć herbów: pierwszy Orzeł z koroną. Drugi herb, Pas Biały

(w polu czerwonem). Trzeci, Pogonia. Czwarty, Chorągiew s krzyżem. Piąty, Lew. Szósty, Kolumny".

12) „Kielich mały, srebrny, pozłocisty, w który kładą żelazo zimie dla mrozu. Gałeczka u niego gładka. Na *sedes* orzeł z koroną y pięć herbow. Patyna srebrna pozłocista, na niéj znak krzyża".

Pięć herbów na tym kielichu były to téż same, co i na poprzedzającym; na żadném inném naczyniu lub przyborze, wyjąwszy tylko dwa tu opisane, tyle się razem herbów przy orle nie mieściło.

13) „Kielich srebrny pozłocisty, z herbami Orłem, Kolumnami i Lwem. Do tego Kielicha ampuły srebrne, miescami złociste; na nich herby, Orły". (Kielich ten znajdował się w staréj kaplicy królewskiéj).

W zupełném przeświadczeniu twierdzimy, że to są dary pobożnéj królowéj Elżbiety Austryaczki, matki S. Kazimierza. Czego najpierwéj już dowodzi, na dwóch sprzętach wyraźnie wymieniony, na innych podobno niedojrzany lub opuszczony, herb familijny domu Austryackiego, czyli dawnych margrabiów rakuskich: *Pas biały* w polu czerwoném ([9]). Idzie na poparcie wniosku, następujący po kolumnach lub Pogoni Lew, bez żadnéj wątpliwości herb królestwa czeskiego: *Lew srebrny z dwóma ogonami pod koroną królewską*, w polu czerwoném ([10]). Daléj znowu *krzyż chorągiewny*, na kielichu (pod liczbą 11) między innemi godłami położony, — był to niezawodnie drugi herb królestwa węgierskiego,—na tarczy wzdłuż napoły rozciętéj, ma po prawéj stronie, w polu czerwoném, *cztery Pręgi poprzeczne srebrne* (*białe*) oznaczające podług powszechnego mniemania, cztery główne rzeki krajowe: Dunaj, Sawę, Cissę i Drawę; po lewéj zaś stronie w polu, także czerwoném, stoi *krzyż srebrny patryarszy*, t. j.

([9]) Niesiecki t. I, część II, str. 323.—Edycyi zaś Lipskiéj t. III, str. 151.

([10]) Johann Christoph Gatterer: *Praktische Heraldik.* Nürnberg, 1791. 8., S. 19. Porównaj pieczęć Władysława króla czeskiego i węgierskiego w Zbiorze Działyńskiego, tab. XII c. Bardzo podobny Lew srebrny z rozdwojonym ogonem, pod koroną, w polu czerwoném, znajdował się na chorągwi miasta Królewca, czy też podkomtura królewieckiego w bitwie Grünwaldzkiéj, z dodaniem tylko, w wyższéj części chorągwi, krzyża Zakonu. Musiało być pod nią wielu zaciężnych Czechów. Że dawni książęta Wielkopolscy, Przemysław I, czy też Przemysław Pogrobek kładli na tarczy *Lwa*, bynajmniéj to ściągać się nie może do użycia podobnego herbu na kielichach królowéj Elżbiety Austryaczki. Książęta Kujawscy, posadzeni między Lwem Wielkopolskim a Orłem Mazowieckim, mogli dla tego właśnie, przybrać połowę jednego i drugiego za herb, który województwu Kujawskiemu pozostał (J. Lelewel—przy edycyi lipskiéj Niesieckiego t. I, str. 524). Ale Jabłonowski zdaje się być najmocniéj przekonanym, że Władysław Łokietek ojczystym swoim księztwom, późniéj województwom, Sieradzkiemu i Łęczyckiemu, nie dla innéj przyczyny nadał za herb *pół Lwa* i *pół Orła*, grzbietami ze sobą zrosłych; tylko na pamiątkę, że niegdyś Czech, brat Lecha, nosił na tarczy Lwa, albo z nim pospołu i Orła (*Heraldica*, Sign. 12).

podwójny, godło apostolatu węgierskiego od czasów św. Stefana króla, podnoszących się z korony złotéj, opartéj na środkowym ze trzech wzgórków zielonych, które wyobrażać mają trzy najwznioślejsze w têm królestwie góry [Tatry, Fatry i Matry] ([11]). Właściwie tedy są dwa herby węgierskie, zwykle kładzione na jednéj wspólnéj tarczy. Lecz na pieczęci majestatycznéj Ludwika, króla Węgierskiego i Polskiego były rozdzielone one i postawione, każdy na osobnéj tarczy, po bokach tronu, jak i przy wizerunkach tego króla bywał oddzielny krzyż patryarszy ([12]). Niedziw więc, że i królowa Elżbieta mieściła herb węgierski tylko jeden, w rzędzie kilku innych, jakiemi oznaczała swe ofiary.

Słusznie, zaiste, mogła królowa Elżbieta zaszczycać się Lwem czeskim i Krzyżem Apostolatu węgierskiego. Będąc albowiem po matce swéj wnuczką cesarza Zygmunta Luxemburczyka, córką cesarza Alberta II Austryaka, a siostrą zgasłego tak wcześnie Ładysława Pogrobka, królów węgierskich i czeskich, miała do obudwu tych tronów, lubo jeszcze elekcyjnych, domniemane prawo, na synów jéj spadające ([13]). Dla tego téż Czechowie, po zgonie Jerzego Podiebrada wzięli na królestwo pierworodnego jéj syna Władysława; a Węgrowie, niechętni Matyaszowi, byli sobie wybrali królem Ś. Kazimierza, późniéj zaś przyzywali Jana Olbrachta, ale go brat, Władysław, uprzedził. Słowem, z herbów, znamionujących jéj podarki kościelne, łatwo już było można wyczytać dostojność i krewieństwo: królowéj polskiéj (Orzeł biały), wielkiéj księżnéj litewskiéj (Pogoń), małżonki książęcia z rodu Jagiellońskiego (Kolumny), z domu zaś księżniczki austryackiéj ([14]) (Pas biały w polu czerwonêm), wreszcie—dziedziczki królestw: czeskiego (Lew srebrny z dwoma ogonami) i węgierskiego (Krzyż patryarszy podwójny) ([15]).

([11]) Do czasów Ś. Stefana króla herbem Węgier był Orzeł, a podług innych Jastrząb' w koronie.

([12]) Niesiecki t. I, s. 6; t. VIII, s. 576.—W pieczęci Władysława Warneńczyka, któréj, jako król węgierski używał, dwa te herby, na czterodzielnéj tarczy, leżą na przemian z Orłem polskim i Pogonią litewską. Władysław zaś, syn Kazimierza Jagiellończyka, król czeski i węgierski, kładł tylko w tarczy głównéj cztery poprzeczne Pręgi węgierskie naprzemian ze Lwem czeskim, a Krzyż patryarszy stawiał na boku, w rzędzie innych sześciu herbów. (Działyński, VII Tab. i XII). Ale na tych pieczęciach nie widać ani najmniejszego śladu nawet owych trzech wzgórków z koroną, mających służyć za podstawę krzyżowi podwójnemu. Zapewne też późniéj były przydane.

([13]) Ojciec królowéj Elżbiety na pieczęci majestatycznéj zaraz po Orle jednogłowym, którego używał jeszcze jako król rzymski, kładł herby węgierski i czeski przed innemi, nawet przed Pasem białym austryackim. Widać, że układał herby podług ważności i rozległości krajów, państwo jego składających.

([14]) Dawne margrabstwo rakuskie, czyli księztwo austryackie, zyskało tytuł arcyksięztwa dopiéro w r. 1477, od cesarza Fryderyka III, którego syn Maksymilian I począł się mianować arcy-księciem austryackim.

([15]) Z pomiędzy czterech królów, synów Elżbiety Austryaczki, jeden tylko Aleksander, na wielkiéj pieczęci królewskiéj mieścił w środkowym puklerzyku gló-

Dodać tu winniśmy, że jeden z wymienionych kielichów (pod liczbą 13) był pierwiastkowym sprzętem kaplicy królewskiéj, którą właśnie mąż téj królowéj, Kazimierz Jagiellończyk, założył.

Dla związku rzeczy nie możemy pominąć téj uwagi, że węgierski krzyż patryarszy (srebrny) co do samego kształtu niczém się prawie nie różni od podwójnego krzyża litewskiego (złotego, w polu czerwoném), na tarczy jeźdźca, t. j. Pogoni. Wprawdzie niektóre późniejsze rysunki dają krzyżowi węgierskiemu dolny trzon dłuższy nieco, niż zwykle bywa w litewskim. Ale na pieczęci węgierskiéj Władysława Warneńczyka dolny trzon krzyża podwójnego jest owszem cale krótki, tak, że zaledwie poprzecznemu ramieniu wyrównywa. Zgoła, podobieństwo obu znaków tak jest wielkie, że na pieczęciach Kazimierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta I, nie łatwobyś zgadnął azali znajdujący się w liczbie przydatkowych herbów krzyż podwójny przeniesiony był z tarczy jeźdźca Pogoni Litewskiéj, albo-li też ma wystawiać drugi herb węgierski, gdyby takiż sam zupełnie, widzieć się nie dawał na pieczęciach Warneńczyka i jego synowca Władysława, czeskiego i węgierskiego króla ([16]).

Początek i znaczenie podwójnego krzyża litewskiego na tarczy „Pogoni“ dotąd nie jest wyjaśnione. Jedni utrzymują, że miał on być przybranym na pamiątkę zwycięztw, odniesionych przez Litwinów nad Krzyżakami (Jabłonowski). Okolski zaś dowodzi, że jakoby już Mendogowi Innocenty IV razem z koroną królewską nadał i krzyż podwójny. Znaną jest bulla Innocentego (1252 r.), w któréj papież oświadcza Mendogowi swą radość z powodu nawrócenia, i mianuje go *królem Litwy* (rex Luthaviae); ale ani w téj bulli, ani też w późniejszych ([17]) niéma najmniejszéj wzmianki o nadaniu krzyża. To tylko wiadomo, że Jagiełło pierwszy zaczął używać krzyża podwójnego, najpierw na chorągwi dworskiéj, gończą zwanéj, a potém na puklerzu jeźdźca Pogoni.

---

wnéj tarczy herb macierzysty: *Pas biały w polu czerwoném*. Kardynał Fryderyk kładł na swéj czterodzielnéj tarczy herb familijny austryacki w środku, między dwoma orłami i dwiema Pogoniami, na przekąt leżącemi (Działyński Tab. IX i XII).— Na pieczęci królewskiéj Zygmunta I Pas biały austryacki leży u góry po lewéj stronie, naprzeciw Pogoni litewskiéj, w wianku herbów, otaczających główną tarczę z samym tylko Orłem białym w koronie *(tamże tab. X)*. Nakoniec na pomniku Jana Olbrachta herb familijny austryacki umieszczony jest w osobnéj tarczy, po prawéj stronie Orła białego, a po lewéj Pogoń Litewska. (*Monumenta Reg. Pol. Cracov.)*.

([16]) Ob. ciekawy wizerunek Ś. Kazimierza sztychowany w Wilnie w r. 1746 nakładem Antoniego Tyszkiewicza, biskupa Żmujdzkiego. Patrz też Działyńskiego Tab. VI, d.; VII, a; VIII, a; IX, a; X, c; XII, c. W ziemiach ruskich niektórzy używali w herbie krzyża podwójnego, zupełnie do węgierskiego podobnego, jak np. herb *Świenczyk;* ob. Niesiecki, t. I, s. 549, t. VIII, s. 576.

([17]) Patrz bulle Papieża Innocentego IV i Aleksandra IV u Daniłowicza (Skarbiec) t. I. N. N. 121, 122, 140, 141, 148, 150.

14) „*Tabernaculum* wielkie, srebrne, pozłociste, w którym są trzy głowy: iedna głowa S. Praxedis, a druga głowa z Dziesiąci Tysięcy Rycerzów, a trzecia głowa S. Candidae. Na tym tabernaculum są herby Papieszkie. Te reliquiie przywieziono (*tak*) od oyca Papieża Alexandra, Ciołek będący proboszczem Wileńskim" ([18]).

Był to podarunek papieża Aleksandra VI, przysłany przez prałata proboszcza Erazma Ciołka albo Vitelliona w r. 1501 dla króla Aleksandra, który oddał go do katedry.

15) „Pacificał s szczerego złota, w którym, około *osculum* (całunku) kamieni szesnaście. W nim te są reliquie: Ś. Andrzeia, Ś. Marka, Ś. Macieja, Ś. S. Kozmy i Damiana, Ś. Barbary, Ś. Katarzyny, Ś. Jerzego, Ś. Filipa i Ś. Ś. Dziesiąci Tysięcy Rycerzów męczenników".

Prof. Homolicki sądzi, że to był dar któregoś z królów, a najprawdopodobniej — Aleksandra ([19]).

16) „Tablica (raczej skrzyneczka płaska z przegródkami) srebrna pozłocista, w której komorek czterdzieści dwie szkłem zaprawione *cum reliquiis sanctorum:* około tey tablice kamienia różnego dwadzieścia cztery; na drugiey stronie tablice dwie pozłociste, a trzy białe niepozłociste".

Dzieje kapitulne już pod rokiem 1503 wspominają o téj tablicy, czyli skrzyneczce. Relikwie przywiezione przez tegoż prałata Ciołka ([20]).

17) „Ręka wielka srebrna miejscami pozłocista, s trzema kamieńmi, na którey napisano: manus s. Bartholomae; s podpisem w około. Pod tym textem dwa herby: jeden orzeł w koronie, a drugi herb Oślia głowa a Infuła".

Papież Aleksander VI przysłał ramię ś. Bartłomieja Apostoła. Zapewne król Aleksander kazał oprawić cząstkę w srebro, za staraniem, a może i z udziałem w nakładzie biskupa Wojciecha Tabora (1490—1507). Ztąd na relikwiarzu jest herb królewski Orzeł i herb biskupa Półkozic ([21]).

18) „Pacyfikał stojący, srebrny, pozłocisty, z kamieniami y perłami. Na *sedes* u tego pacyfikała po jednéj stronie, napisano: Bona Sphorcia R. P.".

Był w staréj kaplicy królewskiéj ś. Kazimierza.

([18]) Nazywano wówczas *tabernacula* nie same tylko przybytki właściwe do przechowywania Najświętszego Sakramentu, lecz i relikwiarze w kształcie niby monstrancyj lub wieżyczek wykonane albo słupkami lub filarkami srebrnemi oprawione.

([19]) Wiz. i Roz. Nauk., 1840, t. XIII, III.

([20]) Tom I, na karcie 14.

([21]) W czasie wizyty biskupa Zienkowicza (1730—1762) były dwa posążki srebrne z relikwiami Ś. Bartłomieja.

19) „Kielich srebrny, wszystek biały. Na *sedes* Pogonia, drugi herb Pas Biały (w polu czerwonem), a herb Kolumny".

Widocznie była to ofiara Elżbiety Austryaczki, pierwszéj żony Zygmunta Augusta, jako wielkiéj księżnéj litewskiéj.

20) „Puszka srebrna z nakrywką do hostyi; na tey iest herb królewski i kapitulny, z napisem Anno 1548".

21) „Kielich srebrny, pozłocisty; na *sedes* Wąż s koroną z jedne strone, a z drugą strone krzyżyk".

22) „Kieliszek srebrny, pozłocisty, pod herbem jako y pierwszy, Wężem s koroną, a po drugiey stronie krzyżyk".

Po tym wężu domyślać się można, że były to podarunki Bony, która miała w herbie Węża Sforzów. Bardzo być może, że te kielichy przywiozła ze sobą z Włoch jeszcze, dla tego niema na nich herbów Polski i Litwy.

23) „Kielich wielki srebrny pozłocisty, s patyną srebrną złocistą, wielką. Na nim, na *sedes* sześć obrazków *Passionis Domini* sadzonych; a na patenie imago B. V. Mariae (wizerunek N. Panny) i dwie wieże".

Te wieże musiały być *Kolumny*. Herbu *dwie wieże* używali najwięcéj na Szlązku, herbowni zaś (Kozłowski, Kaszyc, Nidecki i inni) nie należeli w owym czasie do liczby magnatów, którzyby mogli podobny bogaty kielich ofiarować.

24) „Kielich srebrny, pozłocisty. Na *sedes* figur trzy wyrysowanych i iedna *flagellatio Salvatoris* (Zbawiciel ubiczowany), Ś. Franciszek s jedne strone, a z drugą S. Bernardinus. Odispod (*tak*) herb Krzyż s Podkową".

Krzyż z Podkową—niezawodnie znany herb *Jastrzębiec.* Z tego powodu niektórzy z badaczy mniemali, że to mógł być dar pierwszego biskupa wileńskiego Andrzeja Wasiłły, herbu Jastrzębiec, kapłana franciszkańskiego zakonu. Ale na kielichu wyrysowany oprócz ś. Franciszka i ś. Bernardyn; Wasiłło umarł w r. 1399, ś. Bernardyn zaś umarł w r. 1444, a kanonizowany w r. 1450. Mógł więc to być późniejszy podarunek którego z kniaziów Łukomskich, albo kniaziów Połubińskich, którzy téż używali herbu Jastrzębiec.

25) „Kielich srebrny pozłocisty i na sedes herb *Saitarius*, a pod brzuchem znak taki":

[Tu wyrysowane dwa słupy i między niemi trójkąt ostrym wierzchołkiem w dół obrócony].

Kielich ten należał niezawodnie do najstarożytniejszych zabytków. Z rysunku domyśléć się łatwo, że to były *Kolumny*, a nawet kolumny, jakich używano w bardzo odległych czasach. Następnie *Sagittarius*, t. j. łucznik, albo starożytna Pogoń, na któréj jeździec w prawą stronę pędzący z łuku wstecz się odstrzeliwa, jak to jeszcze widzimy na pieczęci Korybuta; albo też był to znany herb Hippocentaurus, jakiego używali książęta Holszańscy, albo

Olszańscy ([22]), ze krwi książąt Litewskich pochodzący, a z których jeden, książę Paweł, był biskupem Wileńskim, chociaż brak godeł biskupich nie pozwala przypuszczać, ażeby to był dar tego biskupa; raczéj domyślać się można, że kielich został ofiarowany przez Zofią, czwartą małżonkę Jagiełły, córkę Andrzeja, księcia holszańskiego i wiaziemskiego, w takim bowiem razie łatwiéj wytłómaczyć *łucznika* i *kolumny*.

26) „Tabernaculum srebrne, pozłociste, iakoby pacyfikał, s kratką, z reliquiami: dentes S. Stanislai (zęby ś. Stanisława), co królowey daią całować".

27) „Ręka wielka, srebrna, pozłocista, z reliquiami Ś. Stanisława; na palcu pierścień z kamieniem. Na tey ręce krzyż, skąd widać kości święte".

28) „Lampa srebrna wszystka, po wielkiej części złocona, na cztyrech łancuszkach zawieszona. W pośrodku korona wielka, nakształt korony krolewskiej; na wierzchu gałka pozłocista z krzyżykiem, a na spodku anyołki są cztyry, odlewane, srebrne. A na tey koronie kamików sadzonych różnych dosyć".

Widocznie więc, że to musiał być dar którego z panujących. Chociaż nie należące do darów królewskich, zasługują jednak na wspomnienie trzy miejscowe pastorały katedry wileńskiéj XVI wieku:

29) „*Baculus pastoralis* (pastorał biskupi) srebrny wielki, z wierzchu pozłocisty; u niego dwa kamienie u wierzchu pod Passyą (więc był krucyfiks na pastorale?), jeden czyrwony, a drugi zielony, u którego jest herb ([23]) Biskupa Waleryana (Drzewica), za żywota iego renowowany".

Biskup Waleryan Protasewicz zasiadał na katedrze biskupiéj w Wilnie od r. 1555—1580.

30) „*Baculus pastoralis* srebrny mnieyszy, u wierzchu po części pozłocisty, pod herbem Jerzego Albinusa, sufragana Wileńskiego, Trzy kroie, i napis iego" ([24]).

31) „*Baculus pastoralis* srebrny mniejszy; na nim wzgore obraz (posążek czy płaskorzeźba?) Beatissimae Virginis, pozłocisty w słońcu, a z drugiej strony Ś. Stanisława złocisty; niżej pozłocisto na kształt zegarka cieknącego, pod takim herbem":...

[Tu piórem wyrysowany herb *Lis*. Herbu tego używał Jan z Domanowa, biskup Żmujdzki, a kanonik Wileński, który zapisał też

([22]) Ob. moją *Numizmatykę litewską*, tab. VII, N. 26 (łucznik), oraz N. N. 11, 16. 17 i 18 (łucznik i kolumny).—Niesiecki, VII, 353.

([23]) O tym sufraganie ob. *Wiz. i Roz. Nauk.* r. 1841, t. XXII, s. 59 i 1842 r., t. XXIII, s. 66. Znakomity uczony, doktór obojga praw z akademii Krakowskiéj. Sprzyjał kalwinom; publicznie odprawiał mszę ś-tą *w języku polskim*. Umarł w r. 1570; sufraganem został w 1550 r.

([24]) Akta kap. Wil. 1560. f. f. 239 i 243 i 1563 f. 232.

testamentem w r. 1563, dla katedry Wileńskiéj, prócz bogatych apparatów kapłańskich, miednicę i nalewkę srebrną, w części pozłocistą z herbem Lis; dwa kielichy z patynami i dwie pary wielkich ampuł srebrnych złoconych; krzyż ołtarzowy i pacyfikał srebrny pozłocisty, oraz mszał w srebrnéj pozłocistéj oprawie].

Z pomiędzy siedmdziesięciu kielichów, znajdujących się pod rokiem 1598 w katedrze Wileńskiéj i jéj kaplicach, zaledwie kilka (pięć lub sześć) było mniejszych, jakie dziś są w używaniu: i dla tego opisujący nazywał je *kieliszkami*. Że inne były daleko większych rozmiarów, niżeli zwyczajne teraźniejsze, dowodzi sama już mnogość, na znacznéj ich liczbie, wizerunków rytych, wybijanych lub płaskorzeźbowych godeł, ozdób i herbów na emalii.

Przeglądając księgę wizyty prałata Diciusa, naprożno szukaliśmy dokładnego wymienienia owych naczyń świętych i *ochędóstwa* kościelnego, jakiemi, podług powieści wszystkich naszych historyków, obdarzyła nową katedrę wileńską królowa Jadwiga. Ale żadne wyraźne cechy rozpoznać ich nie dają. Przypuszczamy wszakże, że właśnie sprzęty, któreśmy wymienili pod liczbami 5, 6, 7 i 9 z Orłem i Pogonią, — były darem małżonki Jagiełły. Nie możemy jednak twierdzić tego z pewnością: wspomnieliśmy już, że skarbiec katedralny tylokrotnie ulegał najrozmaitszym klęskom, w skutek wojen i pożarów, które niszczyły najdroższe zabytki. W r. 1530 straszliwy pożar zniszczył katedrę. Zginęło wiele sprzętów ze skarbca. Wszakże uratowano krzyż Witolda, kielich z ampułami Władysława Jagiełły, dary matki św. Kazimierza i wiele innych zabytków, które weszły w protokół wizyty prałata Diciusa. W r. 1590, zawsze jeszcze przed wizytą Diciusa, jak to widzimy z dziejów kapitulnych, na potrzebę naprawy dachu kościelnego przedano część *starych* lub nieprzydatnych i połamanych sreber, które, podług wierzytelnego szacunku i obliczenia Jakóba Miniszki, rajcy magistratu i dozorcy mennicy wileńskiéj W. Ks. Lit., ważyły grzywien ośmdziesiąt i łutów pięć ([25]). W ich liczbie znajdował się pulpit Gasztoldowski, używany jako podstawa do mszału, wagi trzynastu grzywien, i jakaś *bardzo dawna starzyzna*, monstrancya srebrna, ważąca grzywien czternaście i łutów siedm. Tak-to w owym czasie kapituła wileńska ([26]) sama dopomagała łupieży wojennéj i pożarom do niszczenia pamiątek narodowych!

([25]) Akta Kap. 1590, f. 149.—W r. 1590 *grzywna* zawierała w sobie 13 złotych 21 groszy. Złoty zaś z r. 1590 podług stopy 1766 r. zawierał w sobie 8 złotych 17 gr. a więc te dwa tylko sprzęty miały wartości przeszło 11000 zł. Ob. *Numizmatykę* Bandtkiego.

([26]) W r. 1590 biskupem Wileńskim był kardynał Jerzy Radziwiłł; ale ten ostatnie lata przepędził w Rzymie i w Krakowie, gdzie nieco późniéj był mianowany biskupem Krakowskim, w Wilnie zaś, aż do daty śmierci Radziwiłła, t. j do d. 21 Stycznia 1600 r. rządziła kapituła dopóki nie został obrany biskupem Abraham Wojna.

Niemało postradał skarbiec katedralny za czasów Jana Kazimierza. Przed zajęciem Wilna d. 8 Sierpnia 1665 r., przez wojska rossyjskie pod dowództwem ks. Chowańskiego, wcześnie już przewidywaném, skoro już Oszmiana i Lida były wzięte, kosztowne naczynia i porządki kościelne zdało się bezpieczniéj dwoma oddziałami i odmienną drogą uprowadzić. Jeden więc oddział, składający się mianowicie z bogatych przyborów i ozdób kaplicy królewskiéj św. Kazimierza i pewnéj ilości sprzętu wielkiéj zakrystyi, uwieziony został przez ówczesnego prałata-kustosza, a razem proboszcza kaplicy królewskiéj, ks. Jerzego Białłozora i naprzód w dobrach familijnych na Żmujdzi pod czujną strażą ks. Bartłomieja Ładzika podkustoszego, potém w różnych tajemnych miejscach, najdłużéj zaś podobno w zamku Sapieżyńskim Różanéj, przechowywany, prócz małéj bardzo zguby przypadkowéj, uszedł szczęśliwie i po wojnie (1667) wrócił do skarbca katedralnego.

Drugi zaś oddział srebra kościelnego uradzono wyprawić statkiem na rzece Wilii. Nastręczył się do uiszczenia zamiaru kapituły Mikołaj Judycki, kasztelan nowogrodzki, dowódzca artyleryi W. Ks. Lit. i naczelnik arsenału wileńskiego, który, za wyliczoną sobie nagrodę sześciuset czerwonych złotych, podjął się na własnym strugu, z przydaniem bezpiecznéj zasłony, uprowadzić te sprzęty do Królewca, dokąd i biskup wileński Jerzy Tyszkiewicz już nieco wcześniéj był wyjechał. Ale bogaty ładunek, zaraz po odpłynięciu statku z Wilna, przejęty został i pochwycony przez wojsko ([27]).

Kapituła, tak srodze zawiedziona, dopominała się potem o zwrot marnie zapłaconych 600 czerwonych złotych; lecz Judycki odpowiedział, że te pieniądze policzył sobie jako żołd wojskowy, statku zaś użyczył był z łaski, ze szczeréj przyjacielskiéj uczynności i nie winien straty jego przypadkowéj.

Na nieszczęście, oddział ten zawierał najdawniejsze sprzęty kościelne, może od kapituły dla niewytwornego kształtu albo uszkodzenia mniéj cenione, lecz dla saméj starożytności i nazwiska dawców nieskończenie szacowne: dary wielkich książąt, królów i możnych rodzin Litewskich, sięgające czasów powszechnego w Litwie zaprowadzenia chrześciaństwa.

Nie na tém wszakże koniec zniszczeniom i łupieży skarbca katedralnego. Niesnaski między biskupem Konstantym Brzostowskim, a wojewodą Wileńskim i wielkim hetmanem Litewskim, Kazimierzem Sapiehą, które się rozpoczęły w r. 1693, a zakończyły pamiętną bitwą pod Olkienikami, doprowadziły do ruiny nietylko dobra duchowne, jak świadczą akta, ale i same kościoły, tak dalece, że kapi-

---

([27]) Akta Kap. 1667 f. 5 i 7.

tuła zmuszoną była oddać w zastaw drogie sprzęty ze skarbca katedralnego ([28]).

Nie znajdujemy widocznych śladów, jak dalece uległy zniszczeniu zabytki kościelne w ciężkich latach od 1705 — 1715, kiedy naprzód Piotr W., później Karól XII, a następnie głód i morowe powietrze nawiedzały bez przerwy Wilno, a nie tylko obcy, ale i swoi, szczególnie nienawidzące się stronnictwa Ogińskich i Sapiehów, wybierali kontrybucyą, łupieztwu zaś i swawoli granic nie było. Były to straszne czasy, kiedy w samém Wilnie wymarło przeszło 30,000 chrześcian, blizko 4 tysięcy żydów, a 118 jezuitów życie utraciło na usługach publicznych. Były to czasy, kiedy ludzie uważali za przysmak, jeżeli mogli zjeść szczura, lub mięso psów i kotów; kiedy, jak świadczą współcześni, głodni zjadali trupy żon własnych. Nie podobna więc przypuszczać nawet, ażeby i skarbiec nie uległ zniszczeniu.

Nie wszystko wszakże czas i wypadki zniszczyły; skarbiec katedralny i dziś jeszcze posiada kilka nader ciekawych zabytków przeszłości; ale nim przystąpimy do ich opisu, wróćmy jeszcze do wizyty prałata Diciusa, ażeby wskazać czytelnikom naszym niektóre inne jeszcze bogate dary, jakiemi wzbogacały skarbiec katedralny zamożne litewskie rodziny, szczególnie mające znaczenie historyczne. Proste bowiem wyszczególnienie wszystkich sprzętów podług téj wizyty, chociażby droższych, lub wytworniejszych, nie obudziłoby zajęcia pod względem historyi miejscowéj.

III.

Wojciech, syn Marcina, Gasztold, hrabia na Geranonach, dziedzic i pan na Tykocinie, wojewoda Wileński, kanclerz w. W. Ks. Lit., starosta Bielski i Mozyrski, Bobrujski, Borysowski i Uciański dzierżawca, testamentem danym roku 1539, do kaplicy swojéj rodzinnéj przy kościele głównym Wileńskim św. Stanisława, w któréj żąda być pogrzebionym, zapisuje naczynia złote i srebrne, ozdoby ołtarzowe i ubiory kapłańskie. „Po zejściu testatora, syn jego, Stanisław, wojewoda Nowogrodzki i żona, Zofia, wydadzą ze skarbca

([28]) Obacz nader ciekawe współczesne broszury: 1) „Epistolae Stanislai Chochłowski quondam Ordinis Franciscanorum in Conventu Volnensi Guardiani de Episcopolitigiosa“ etc. 1695. — 2) „Informacya od kościołów zruinowanych Dyecezyi Wileńskiéj w pierwszym punkcie zbiór praw y wolności swoich, w drugim opisanie teraźniejszego ucisku y wypadłey klątwy (na Sapiehę), w trzecim replikę na zarzuty przeciwnych zawierająca, Stanom Rzeczypospolitéj koronnym y W X. Lit. na seym w Roku M.DC.XCV. przypadającym odprawujący się, w Warszawie podana.“ Pierwsza broni Sapiehy, druga — biskupa.

domowego wszystkie te porządki, które mają być chowane w składzie warownym przy kaplicy, czyli w osobnéj sklepionéj zakrystyi, skrzętnie na ten cel zbudowanéj, pod strażą mansyonarza doznanéj wiary, przez kapitułę wybranego, i pod jéj opieką" ([29]).

Stało się zadość ostatniéj woli kanclerza, zmarłego w r. 1540. Lecz po zgonie w roku 1549 Zofii księżniczki Druckiéj-Sokolińskiéj Gasztoldowéj, którą syn, Stanisław, pierwszy mąż królowéj Barbary, o siedm lat uprzedził do grobu, kapituła przeniosła sprzęty Gasztoldowskie do wielkiéj zakrystyi katedralnéj, nie bez skarg powinowatych zgasłego domu, jakie aż do króla Zygmunta Augusta dochodziły ([30]). A gdy w późniejszym czasie, Chodkiewiczowie, za przywilejem króla Stefana Batorego objąwszy kaplicę — dopominali się o powrócenie sprzętów Gasztoldowskich, kapituła odpowiedziała, że nie mają do nich żadnego prawa dziedzicznego; wszakże podług woli testamentu, nie wzbroni ich na uroczyste święta do czasowego używania w kaplicy.

Gdy tym sposobem sprzęty Gasztoldowskie zjednoczyły się ze sprzętami wielkiéj zakrystyi katedralnéj, do ich oddzielenia i wykazu posługiwać się musimy, prócz herbów i napisów nie wszędzie wymienionych, wizytą prałata Diciusza, porównywając ją z testamentem Gasztolda.

1) „Monstrancya wielka, pisze prałat Dicius, srebrna pozłocista, Gasztoldowska, ze cztyroma herbami na zmalcowanych polach: jeden herb Abdaniec (t. j. Abdank), drugi herb Głowa lisia z płomieniem (Płomieńczyk, albo Zadora), trzeci herb Lilija, czwarty Lew z murzu (*tak*). Około Melchisedeka obrazów cztery (posążków, albo płaskorzeźb?) Po obiedwie stronie passy cztery także promienie słoneczne. A na wierzchu gniazdeczko, około tego gniazdeczka lilie."

Herby tu wymienione łatwo dają się wytłómaczyć. Pierwszy *Abdank*, herb samego Gasztolda; drugi *Płomieńczyk* — Elżbiety Dowgiałłówny, babki jego po ojcu. Trzeci — *Lilia* rzadko znaczyła u nas sama przez się herb pod swem własném nazwaniem, gdyż lilie w rozmaitym układzie, liczbie i połączeniu z różnemi przydatkami i w polach odmiennéj barwy, dawały początek tyluż herbom, właściwe nazwiska noszącym. Z pomiędzy najdawniejszych i najwięcéj używanych na Litwie, lilie — stanowiły herb *Gozdawę*. — Czwarty, *Lew z murzu* musiał być lew z muru wyskakujący, t. j. herb *Prawdzic*. Lilie tedy, a raczéj Gozdawa i Prawdzic musiały być herbami macierzystemi lub pokrewnych domów, do wyjaśnienia których nie mamy materyałów.

([29]) Przywileje kapitulne, księga z zamkiem, f. CXXX — CXXXIV.

([30]) *Pamiętniki o królowéj Barbarze* M. Balińskiego 11, 153.

Monstrancya ta cale różna od istniejącej do dziś dnia w skarbcu katedralnym, zwanéj *Gieranońską*, ofiarowana przez ojca kanclerza, Marcina Gasztolda, wojewodę Kijowskiego (po księciu Siemionie Olelkowiczu).

2) „Kielich szczerozłoty drutowany, z kamieńmi y z perłami, na którym herby cztery s textem napisanym pod koroną Hic est Calix Domini Gastolt, Palatini Trocensis.“

3) „Kielich srebrny pozłocisty. Na *sedes* cztery figury złociste sadzone, cztery Ewangeliste smalcowane sadzone; a odispod (*tak*) tego kielicha napisano: „*S. Adalbertus*“ y biskup s kurwaturą y z infułą wyrysowany, y herbik taki: — [Tu ks. podkustoszy rysuje piórem mały krzyż podwójny z puszczykiem nad poprzecznemi ramionami prawéj strony].

Kanclerz zaś w testamencie powiada: „Zapisuję też do kaplicy kielich z pateną srebrny, wszystek pozłocisty, staroświeckiéj roboty (vetusti laboris), na którym; jak za rzecz pewną twierdzą i podano jest, święty Wojciech, biskup Pragski, ofiarę Chrystusa Zbawiciela w ołtarzu zwykle niegdyś sprawował.“

Więc owe wyrznięcie postaci biskupa na spodzie kielicha, z napisem *S. Adalbertus*, musiało być późniéj na pamiątkę przydane.

4) „Ampułek para, srébrne, pozłociste, drotowane, — z kamikami i s smokowemi gębami, ktorendy woda idzie, y s herbem Gastoltowskim, s Abdańcem.

Dla szczególnéj postaci kładziemy opisanie dwóch innych ampułek, chociaż nie Gastoldowskich, ani królewskich: „Ampułek para, srébrne, po większéj części pozłociste; u nich gęby lwie, a na wierzchu angyołowie trzymają litery A. V.“ (Protokół Diciusa f. 11).

5) „Krzyż kryształowy wielki, w pośrodku Passya wielka, srébrna pozłocista; po jednéj stronie około Passyey wieniec srebrny, pozłocisty. U tego krzyża *sedes* srebrne, pozłociste; do niego gałka kryształowa. Nad sedes (t. j. na powierzchni podnoża czyli postumentu) herby cztery: po jednéj stronie Abdaniec a Quitaurus (Hippocentaur), a po drugiéj stronie głowa Lwa (Płomieńczyk), a czwarty znak taki...“ — [Tu nakreślony piórem krzyż, a w jego kątach cztery półksiężyce w szerz przeciwległe].

W testamencie zaś wyrażono: „Też odkazuję do kaplicy wielki krzyż kryształowy, w srebro oprawny, ze wszystkich stron wyborną sztuką przyozdobiony, wagi dwudziestu grzywien samego srébra.“ — Krzyż ten przechowuje się do dziś dnia w skarbcu katedralnym.

6), 7) i 8) W testamencie kanclerza czytamy dalej: „Też zapisuję do kaplicy krzyż srebrny, w części pozłocisty, ważący dwadzieście i pięć grzywien srebra. Też, dwa inne krzyże srebrne, białe, wagi 13½ grzywien.“ Nie mając innych szczegółów o tych krzyżach, trudno je wyróżnić wpośród dwudziestu kilku również bogatych krzyży (nie licząc pacyfikałów), jakie jeszcze pod koniec XVI wieku w skarbcu się znajdowały.

9) „Tabernaculum białe, srebrne, częścią pozłociste, a *sedes* na czterech główkach anyelskich. Melchisedek s czułem zaprawiony; w nim kark (kość pacierzowa) ś. Jana. Nad Melchisedek Panna Marya z dzieciątkiem w słońcu (w promieniach); nad Panną Maryą obraz ś. Jana; w około cztery anyołki, a na wierzchu *Salvator*. Na sedes napisano: Zophij Gastołtowey“. — Ważył ten relikwiarz 24 grzywien srebra.

10) „Tabernaculum srebrne białe, miejscami pozłociste, z zębami świętych Panien: ś. Apolonii, ś. Barbary, ś. Doroty, w pacyfikale w bryłę szklanną osadzonemi. Nad bryłą *obraz ś. Barbary* lity, a na wierzchu ś. Zophia z mieczem s koronami. Nad kupą dwa herby: Orzeł ze dwiema głowami y głowa murzyńska po obu stronach.“ Sprzęt wagi 24 grzywien. — Homolicki w swoich notatach uważa ten sprzęt za dar Zofii księżniczki Druckiéj przed jéj zamęzciem z Gastoltem. Ale Druccy mieli inny herb; głowa murzyńska — musiała oznaczać inny herb, znany *Mora*, też nie mający nic wspólnego z herbem Druckich. Korony zaś i orzeł mogłyby naprowadzić na myśl, czy nie był to dar Zofii Holszańskiéj (Sonki), czwartéj żony Jagiełły; dlaczego wszakże tu orzeł dwugłowy? — wytłómaczyć nie umiemy.

11) *Tabernaculum* srebrne, pozłociste, z relikwiami ś. Wojciecha.

12) Tryptyk, niewłaściwie w opisie „tablicą“ nazwany. „Tablica srebrna po jedney stronie pozłocista. Z wierzchu na jedney tablicy obraz Panny Maryey ryty, *cum verbis: Ecce ancilla Domini*. Na drugiéj tablicy Anyoł ryty, z napisem: *Ave gratia plena*. Wewnątrz tego relikwiarza *reliquiae Sanctorum*, w poduszeczkach rozmaitych, aszlugami y perłami osadzone. Pod relikwiarzem, na *sedes* cztery herby, to jest: Abdaniec, Kitaurus, głowa lwia s płomieniem y jeden znak taki... Klamerek nie masz, któremi się tablice zamykały.“ Herb wyrysowany niezawodnie *Druck*, a więc był to dar Gastolta, wspólny z małżonką Zofią, księżniczką Drucką-Sokolińską.

13) „Lichtarzów para srebrnych; w pośrodku ich słupikow sześć u każdego, a przy tych słupikach naksztalt ciekącego zegarka; a odispod po trzy anyołki u każdego.“

Inwentarz, czyli protokół wymienia jeszcze pięć par świeczników srebrnych, pozłocistych.

Dla osobliwości kształtu przywodzimy opisanie dwóch innych świeczników, chociaż nie królewskich, ani Gasztoldowskich. „Lichtarzów para srebrnych, po większéj części pozłocistych. Odispod

u każdego po trzy anyołki złociste; a na wierzchu u każdego po dwie rurze srebrne i po trzy goździe do stawienia świec.“

W rok po wizycie dziekana Diciusa, Benedykt Wojna, ówczesny kustosz i administrator dyecezyi, z przychodów niezajętego jeszcze biskupstwa kazał sporządzić dwa świeczniki srebrne, grzywien 94 i skojców pięć ważące, dla przystawienia z boków wielkiego ołtarza. Kapituła zaś na sprawienie tych świeczników dołożyła ze skarbu własnego sto kop groszy litewskich ([31]). To daje nam pojęcie, jak były kosztowne te sprzęty. Chowano je w olstrach, czyli puzdrach, aksamitem czerwonym obitych, wystawując w znaczniejsze tylko uroczystości.

Ze względu na stan ówczesnéj sztuki i sposób przystrajania grobu znakomitych osób, ciekawa jest inna jeszcze puścizna i rozrządzenie testamentu Gasztolda. „Zapisuję do kaplicy rodzinnéj, na ustawiczną pamiątkę obraz (tabulam) Przesławnéj Boga Rodzicy, greckim obyczajem malowany, kamieniami drogiemi i perłami sadzony. Niechaj go postawią w głowach grobu mojego, gdzie wiecznie trwać, a z tego miejsca ruszany lub gdzieindziéj przenoszony być nie ma. Także wizerunki z alabastru i rogu jednorożcowego, przednim kunsztem rzezane, w srebro zewsząd oprawne, które zwykle *seysussy* (?) zowią, chcę aby postawiono z boku przy grobie moim i nigdy stamtąd nie ruszano.“

I pod tym względem wola Gasztolda nie spełniona. Grób jego i pomnik istnieją dotąd w katedrze, a niéma ani obrazu, ani téż owych wizerunków.

Nie od rzeczy tu będzie wspomniéć o tym pomniku, jak również i o saméj kaplicy.

Dom Gasztoldów jest jednym z najdawniejszych na Litwie. Gasztoldowie byli tu pierwszymi wyznawcami wiary Chrystusowéj. Sławni już byli ze zwycięztw nad Krzyżakami od wieku XIII. z czasów Gedymina i Olgierda. Piotr Gasztold za panowania Olgierda ożenił się z polką Buczacką, przyjął wiarę chrześciańską i sprowadził do Wilna OO. Franciszkanów, dla których kościół i klasztor zbudował. Następcy jego również byli krzewicielami katolicyzmu i przez nich-to zbudowaną została kaplica, Gasztoldowską zwana, przy katedrze Wileńskiéj. Czas założenia kaplicy nie daje się ze ścisłością oznaczyć, dla straty dawnych jéj napisów ([32]). W r. 1433 Jan Gasztold, ochmistrz młodego wówczas Kazimierza

([31]) Akta kap. 1590, f. 149. — Grzywna w r. 1590 ważyła 763 grany i zawierała w sobie 13 złotych, 21 grosz. Skojec v. Skojciec zawierał 2 grosze. Kopa Litewska 21 złotych 12 groszy. Grosz ówczesny zawierał 8 dzisiejszych groszy polskich, złoty zaś ówczesny 8 zł. 17 gr. dzisiejszych. Zatém redukując na dzisiejszą monetę, wartość tych wizerunków wynosiła 4396 rs. 13 k.

([32]) Visit. gener. E. C. V. a 1742, f. 141.

Jagiellończyka, — wojewoda Trocki, następnie Wileński, za wiedzą króla Władysława Jagiełły i W. Ks. Lit. Zygmunta Kiejstutowicza zapisał kościołowi katedralnemu wioskę, Rzeszniki Gasztowta zwaną, ale nie wspomina jeszcze o téj kaplicy. ([33]) Musiała więc być założoną w drugiéj połowie XV wieku, albo przez Marcina Gasztolda wojewodę Trockiego, namiestnika Kijowskiego, ([34]) albo też przez syna jego Wojciecha, wojewodę Wileńskiego i sławnego kanclerza W. Litewskiego. W roku bowiem 1495, Wojciech Tabor, biskup Wileński, w zapisie na kaplicę biskupią Wniebowzięcia wspomina, że leżała od południa, w środku *pomiędzy kaplicą Gasztolda*, a wyższą wieżą czoła kościelnego ([35]).

Pożar 1530 r. znacznie uszkodził tę kaplicę; kanclerz Gasztold nanowo ją odbudował i przyozdobił, na pierwotnéj posadzie, ale posuwając więcéj ku południowi, dla rozszerzenia kościoła. Po wygaśnięciu Gasztoldów, prawo opieki nad kaplicą Gasztoldowską przeszło na Jana Chodkiewicza, kasztelana Wileńskiego, znanego w dziejach starosty Żmujdzkiego, który też testamentem roku 1579 porobił znaczne zapisy na utrzymanie 4 mansyonarzy przy kaplicy, przez co nazywano ją czasami *Chodkiewiczowską* ([36]).

W téj tedy kaplicy spoczywają zwłoki sławnego Wojciecha Marcinowicza Gasztołda, zmarłego w r. 1540 wielkiego kanclerza Litewskiego, pod którego przewodnictwem dokonany był układ pierwszego Statutu Litewskiego. Syn jego Stanisław, pierwszy mąż Barbary królowéj, wzniósł mu wspaniały pomnik, do dziś dnia istniejący, wyobrażający zbrojnego męża, którego postać wyryta w płaskorzeźbie na marmurze.

Długo nie wiedziano, czyje prochy pokrywa ten wspaniały grobowiec. Mniemali nawet czas jakiś, że sam Witold wyobrażony na grobowcu. Nawet Kraszewski, w swojém znakomitém „Wilnie", ([37]) idąc za wizytą kościelną z r. 1828, mylnie podaje, jakoby ten pomnik

---

([33]) Privilegia Capitularia f. 303. Metryka kancellaryi większéj W. K. L. Lib. 213, f. 73.

([34]) Po śmierci Siemiona Olelkowicza, książęcia Słuckiego i Kijowskiego, w r. 1471. Niesiecki opuścił Marcina Gasztolda w spisie Trockich wojewodów a że piastował ten urząd, to widoczne z testamentu syna jego Wojciecha, w którym ojca swojego Marcina mianuje *wojewodą Trockim*.

([35]) Priv. Capit. Lib. perg. f. 112.

([36]) Wizyta kościoła katedralnego w r. 1828 fałszywie poczytała kaplicę za Montwidowską, któréj położenie między statuą bronzową pozłacaną biskupa Jerzego Tyszkiewicza, a głową z marmuru Samuela Paca, nawprost trzeciego i czwartego filaru południowego, w opisie wizyty biskupa Zienkiewicza najwyraźniéj określone. Porównaj: Opisanie Statystyczne Wilna, Balińskiego, str. 176. Inni znów kaplicę tę nazywali Trojecką (ś. Trójcy). I to jest błąd. Kaplica ś. Trójcy, przed restauracyą katedry, w ciągłéj kolei z południa czwarta od wielkiego ołtarza, czyli trzecia od marmurowéj ś. Kazimierza, gdzie dziś kruchta od południa.

([37]) Wilno, II, 241.

wzniesiono Aleksandrowi Hawnulewiczowi Nadziwojowi, kasztelanowi Wileńskiemu, lub synowi jego, wojewodzie Trockiemu, a to opierając się na herbach umieszczonych na tarczy. Za nim zaś i inni powtarzali to błędne mniemanie. Kraszewski dobrze zasłużył się rodzinnéj Litwie i jéj stolicy, bo jego *Wilno*, jego *Litwa* i *Witold* utorowały drogę przyszłym badaczom; ale Kraszewski nie mógł w zupełności korzystać z aktów kapitulnych i wielu innych źródeł, które dopiéro późniéjszym badaczom dostępnemi się stały i do wyjaśnienia rzeczy dopomogły.

Szerzéj rozpisujemy się tu nad udowodnieniami stanowczemi, że ów bogaty grobowiec jest niezawodnie pomnikiem Wojciecha Gasztolda, dlatego, że wzmianka ta nasza będzie pierwszą w druku ściśléj opracowaną, chociaż już dawniéj krótko wzmiankował o tém Homolicki w *Wizerunkach i Roztrząsaniach naukowycch*, (t. XXII, 143), a i my wspomnieliśmy w *Przechadzkach po Wilnie* (str. 24), oraz w *Wilnie* (str. 104) ([38]).

Że to jest niezawodnie grobowiec Wojciecha Gasztolda, przekonywa nas i wszelką wątpliwość usuwa czterodzielna tarcza, na tymże grobowcu wyryta i dokładnie dotąd przechowana. Na téj tarczy widzimy te same herby, jakie są na monstrancyi Gieranońskiéj, przez tegoż Gasztolda ofiarowanéj, a do dziś w skarbcu katedralnym przechowującéj się. Znając zaś zapis testamentowy i rodowód Gasztolda, łatwém jest wyjaśnienie tych herbów ([39]).

I tak na pierwszém, czyli wyższém prawém miejscu tarczy, znajdujemy ojczysty herb *Abdank*. W drugim, albo wyższym lewym przedziale tarczy, w którym, podług prawidła ogólnego, kładzie się herb macierzysty, umieszczony Hippocentaur, to jest rodowity klejnot księżniczki Trabskiéj, córki Siemiona Siemionowicza i Maryny z książąt Trabskich, a żony Marcina Gasztolda, wojewody Trockiego. Książęta Trabscy, od posiadania zamku Traby tak nazwani, z linii Dowszprungowskiéj pochodzący, wspólnego książęcego herbu używali Hippocentaura. Traby, miasteczko niegdyś Starościńskie, dziś skarbowe, nad rzeką Gawią, w powiecie Oszmiańskim, gubernii Wileńskiéj, były stolicą księcia Trabosa, nad znaczną dzielnicą Litwy w drugiej połowie XIII wieku panującego. Wspomniana zaś przez nas Maryna, księżna Trabska, świekra Marcina Gasztolda, była wnuczką Siemiona Iwanowicza księcia H. Olszańskiego, przezwane-

([38]) Wszakże i Homolicki nie zgłębił do gruntu rzeczy, skoro w tychże *Wizerunkach* wątpił o pokrewnych stosunkach Gasztolda z Pawłem księciem Holszańskim, którego grobowiec w téjże kaplicy umieszczono.

([39]) Monstrancya zwana *Gieranońską* inną jest od opisanéj już przez nas podług inwentarza Diciusa, zwanéj *Gasztoldowską*, zatraconéj na statku Judyckiego, a na któréj, oprócz wspólnego rodowitego herbu Abdank, inne trzy były całkiem odmienne.

go „Lutym" wielkorządcy Nowogrodu, a rodzonego brata wielkiéj księżnéj Litewskiéj, Julianny Witoldowéj ([40]).

W trzeciéj, albo niższéj lewéj dzielnicy tarczy, zwykłéj osadzie rodowitego klejnotu babki z ojca, położony Płomieńczyk, albo Zadora, jest herbem Elżbiety Dowgiałłówny, córki Jana Hanullewicza Dowgalisa, chorążego Litewskiego, przodka domu Dowgiałłów ([41]).

([40]) Jabłonowski w swojéj *Heraldyce* (Sign. Mm) uważa tę Marynę, księżnę Trabską, za córkę Dymitra księcia *Zubrowieckiego;* Baliński zaś, w *Starożytnéj Polsce* (II, 224), mieni ją być córką książęcia Dymitra *Dąbrowickiego.* Takiego księcia nie było nigdy, a byli książęta *Dubrowieccy* z linii Dowszprunga; *Zubrowieccy* zaś z linii Włodzimierza Wielkiego, t. j. książąt Kijowskich. Rzecz niezawodna, że Maryna była córką Dymitra nie Dubrowieckiego — ale Zubrowieckiego, chociaż Niesiecki nie wiedział nawet o téj znakomitéj rodzinie, widocznie mieszając ją z Dubrowieckimi. Dodać tu jeszcze winniśmy, że — jak z innych źródeł pokazuje się — ów Dymitr był szwagrem, nie zaś ojcem księżnéj Maryny Trabskiéj, jak to dowodzą nasi historycy. Twierdzenie to opieramy na spisach metropolitalnego niegdyś archiwum litewskiego, dokładnie wyjętych z autentyku przez prof. Michała Homolickiego i nam w odpisie udzielonych. Otóż z tych spisów widzimy, że w roku 1486 d. 7 sierpnia, Zofia księżna Dymitrowa Zubrowiecka i Maryna księżna Siemionowa Trabska zapisały na cerkiew katedralną wileńską Przeczystéj Bogarodzicy, wyłącznie zaś na korzyść samego metropolity wileńskiego, kijowskiego, halickiego i całéj Rusi, Symeona Rusina i jego następców, majętność swoję *ojczystą* w Turcu, którego część już był dawniéj na tęż cerkiew legował *dziad ich*, kniaź Siemion Iwanowicz Holszański. Obecnym był zapisowi *brat* ich, książe Symon Juryewicz Holszański, *wnuk* księcia Siemiona, fundatora. Więc podług tego świadectwa, Zofia ks. Zubrowiecka i Maryna ks. Trabska były córkami Jerzego, a wnuczkami Siemiona Holszańskiego, przezwanego *Lutym.* Zachodzi tu jeszcze jedna wątpliwość: Stebelski w swojéj Chronologii (t. III, 184) powiada, że Symeon Rusin był metropolitą od r. 1477 — 1482; albo więc data (1486) zapisu mylnie położona w summaryuszu, co się często przydarza, przez niedokładną redukcyą rachuby lat greckiéj od stworzenia świata, na rzymską od Narodzenia Chrystusa; albo się i Stebelski mógł pomylić.

([41]) Ten Jan Hanullewicz, albo Hawnulewicz, syn Aleksandra Hawnulewicza Nadziwoja, kasztelana Wileńskiego, a wnuk Hanulla, Hanulona, albo Hamillona (który ułatwił Jagielle odzyskanie wielkiego księztwa od Kiejstuta) za Zygmunta Kiejstutowicza, roku 1435, w bitwie Litwinów pod Wiłkomierzem, przeciw Swidrygielle i Krzyżakom, dawszy nadzwyczajne dowody męztwa, nazwany był po litewsku *Dowgalis*, to jest przemożny, od czego i cały ród przezwał się Dowgiałami. Przodek tego domu, Hanull, otrzymał herb Zadora albo Płomieńczyk na zjeździe Horodelskim. Bezzasadny jest domysł niektórych, jakoby Jawno, wojewoda Trocki za Witolda, miał być synem Hanulla (o którym wyżéj wspomnieliśmy), dowódzcy zamków wileńskich pod Kiejstutem, a namiestnika Wilna pod Jagiełłą, wysłanego w liczbie innych do królowéj Jadwigi w Krakowie, gdzie wraz z Jagiełłą i jego braćmi przyjął wiarę katolicką. Jawno, czasami nazywany Hanko, po litewsku nazywał się Jawinis, (Działyński *Zbiór Praw*, str. 21) przez Polaków nazwany Hanulem. Nie było to imię — ale nazwisko. Tytułował się on, zwyczajem od Polaków przyjętym, dziedzicem na Kienach, a właściwie na Nakienach, *haeres in Nakienni*, jak go mianuje przywiléj Zygmunta I z r. 1522, wyliczający i potwierdzający wszystkie dawne nadania na klasztor Franciszkanów w Wilnie. Antoni Grzybowski bodaj pierwszy (w swoim *Skarbie nieoszacowanym OO. Franciszkanów*) przez złe wyczytanie tego tytułu utworzył dziwaczny wyraz „Nakiemna", niby nazwisko familijne Hawnula, co téż i inni za nim długo powtarzali.

Niesiecki (II, 76, 184, ed. Lipskiéj III, 392 — IV, 88) mylnie po dwakroć wydaje ją za Marcina Gasztolda; widzieliśmy bowiem, że ten ostatni miał za sobą księżniczkę Trabską, i że Elżbieta Dowgiałłówna była nie żoną, ale matką Marcina, co téż dowodzi i samo położenie rodowego jéj Płomieńczyka na niższém lewém miejscu tarczy Wojciecha, kiedy przeciwnie na monstrancyi Gasztoldowskiéj, którąśmy wyżéj opisali, po ojczystym Abdanku, drugie zaraz miejsce zajmował herb macierzysty Płomieńczyk. Niesiecki powiada, że Jan Gasztold, wojewoda Wileński, ochmistrz młodego Kazimierza Jagiellończyka, a od r. 1440 do 1446 prawie rządca W. Ks. Litewskiego, zmarły w r. 1460, zostawił kilku synów, ale w liczbie ich nie wymienia Marcina, wojewody Trockiego; znajdujemy jednak dowód w dokumentach archiwalnych, że Marcin był synem Jana. W roku bowiem 1433 Jan Gasztold, nadając kapitule Wileńskiéj wioskę, Rzesniki „Gasztowtowskie“ zwaną, pisał się dziedzicem na Gieranonach, a wielki kanclerz Wojciech tytułował się hrabią na zamku Gieranońskim (comes a murata Gieranoni). Więc ta majętność, należąca do liczby ogromnych dóbr, przez Zygmunta Kiejstutowicza Janowi podarowanych, równie jak Tykocin, bądź wcześniejszym działem, bądź już po zgonie starszych jego synów, prostą sukcessyi zstępującéj drogą spadła na Marcina, wojewodę Trockiego, ojca kanclerza ([42]).

Nakoniec na ostatniéj, t. j. czwartéj albo niższéj lewéj dzielnicy rodowéj tarczy kanclerza, widzimy, obok dłuższego ramienia krzyża, cztery horyzontalne półksiężyce, rogami obrócone do siebie, po dwa z każdéj strony. Jest to herb Druck pierwiastkowy, gdyż późniéj zamiast krzyża postawiono między czterema półksiężycami goły miecz, krzyżową rękojeścią prosto do góry, a ostrzem na dół obrócony. Zofia bowiem — księżniczka Drucka, Sokolińska, była żoną kanclerza.

Co do przydatkowych części herbowéj tarczy: nad hełmem korona zwykła szlachecka, a w szczycie wystający więcéj niż do pół ciała mąż zbrojny z mieczem gołym w dwóch rękach, za oba końce ponad głową poprzecznie wyniesionym. Na nagrobku, właściwa tarcza zamiast bocznic objęta jest większą, floryzowaną po brzegach

([42]) Dostatki i zamożność tego domu, przed blizkiem jego zgaśnieniem, zwiększyły się i przez to jeszcze, że jeden z synów Jana Hanullewicza Dowgalisa, chorążego, Marcin Dowgiałło, dziedzic na Daugieliszkach, będąc bezpotomnym, uczynił dóbr swoich dziedzicem siostrzeńca swego Gasztolda, którym był właśnie Marcin, wujowskie imię noszący. Nadto i świekra jego, Maryna z Zubrowieckich księżna Trabska, zamek i majętność Traby zapisała dla swego wnuka Wojciecha Marcinowicza Gasztolda, natenczas wojewody Trockiego. Ztąd tedy owa świetność dworu, bogactwo i przepych, jakiemi ostatni z tego rodu Stanisław, towarzysząc w r. 1515 Zygmuntowi I na zjazd z królmi Węgierskim i Czeskim, Władysławem i Ludwikiem i z cesarzem Maksymilianem I w Presburgu i Wiedniu, Niemców i Węgrów zadziwiał.

wyginaną tarczą, którą trzyma przed sobą wspięty za nią do połowy lew, w takiéj-że jak nad chełmem koronie. Na wieku grobowém, z pięknego szwedzkiego marmuru czerwonego, w wybornéj płaskorzeźbie wyobrażony zbrojny wizerunek Gasztolda, większy od naturalnéj wielkości, trzymający w ręce prawéj chorągiew wojewódzką o dwóch końcach.

Wspomnieliśmy już o wyświeconém pokrewieństwie kanclerza Gasztolda z Pawłem książęciem Holszańskim, którego on bratem (stryjecznym) nazywał w aktach familijnych ([43]); z tego zapewne powodu w tejże kaplicy po drugiéj stronie wzniesiono pomnik temu znakomitemu biskupowi, naprzód Łuckiemu, a późniéj Wileńskiemu, pogrzebionemu (w r. 1555) naprzód w Taborowskiéj kaplicy Wniebowzięcia, zkąd późniéj kości jego przeniesione zostały do kaplicy Gasztoldowskiéj, i tu w ścianie za wiekiem złożone. Na wieku grobowém, z takiegoż szwedzkiego marmuru czerwonego, w pięknéj płaskorzeźbie, a niezawodnie roboty jednéj i téj saméj ręki, która i grobowiec Gasztoldowi rzeźbiła, jednostajnych z tym ostatnim rozmiarów, wyobrażony biskup Holszański z pastorałem, w infule i szatach biskupich, z księgą dużą w lewéj ręce.

Czterodzielna tarcza herbowa, znamionująca nagrobek Pawła książęcia Holszańskiego, ([44]) taka jest zupełnie, jaką na pergaminowych jego przywilejach widzimy, a jaką dokładnie opisał Jabłonowski w swojéj *Heraldyce*. W pierwszéj, albo wyższéj prawéj dzielnicy umieszczony własny herb książąt Holszańskich z linii Dowszprunga; t. j. Hippocentaurus; w drugiéj — Pogonia książąt Olelkowiczów Słuckich; w trzeciéj herb macierzysty Trąby Sudymontów; w czwartéj — Leliwa Montwidów. Nad tarczą bez hełmu mitra książęca i nad nią infuła biskupia ze sterczącemi nieco ukośnie z tyłu tarczy, pasto-

---

([43]) „Dalijeśmy Jeho Miłości (Wiżajle, biskupowi Żmudzkiemu) plac swój otczyznnyj z budowaniem i korczmoju wolnoju, u wotmenu za tol plac T. M., kotoryj J. M. miał *od brata naszeho* kniazia Pawła Aleksandrowicza Holszańskaho biskupa łuckaho" (22 czerwca 1531).

([44]) Paweł książe Holszański, syn Aleksandra Juryewicza kasztelana Wileńskiego, starosty Grodzieńskiego, prawnuk Siemiona Iwanowicza Algimunta, wielkorządcy Nowogrodu, przezwanego *Lutym*, a brata rodzonego wielkiéj księżnéj litewskiéj Julianny Witoldowéj, koło roku 1507 uczęszczał na akademią krakowską i pilnie się do filozofii przykładał (Wiszniewski, Hist. Lit. IV, 305). Narbutt (t. VII dodatek X, 417) mylnie mieni go synem Symona Juryewicza, nie zaś Aleksandra, wprawiony w błąd przez kronikę ruską, która Jerzemu Holszańskiemu daje dwóch tylko synów Siemiona i Daniela (poległego w bitwie pod Wiłkomierzem); miał bowiem Jerzy i trzeciego syna Aleksandra, ojca biskupa Pawła.

Do jakiego zaś stopnia niedbale i nieumiejętnie robione były wizyty kościołów przez kanoników, wyobrażenia żadnego nie mających o historyi, dość jest przytoczyć, że w tejże wizycie r. 1828 (f. 207), przez niewyrozumienie jednego przywileju Zygmunta I, grób nawet Kazimierza Jagiellończyka naznaczono w Trojeckiéj kaplicy przy katedrze Wileńskiéj.

rałem od prawéj strony, a od lewéj mieczem, jako godła, że biskupi Wileńscy mieli prawo miecza, od króla Aleksandra nadane.

Sądzimy, że wyjaśnienie to dostatecznie przekonać może, iż piękne grobowce w kaplicy Gastoldowskiéj (dzisiaj z obrazem Ukrzyżowanego Zbawiciela, pędzla Czechowicza, a nieco wcześniéj z obrazem Wszystkich Świętych, pędzla Barkoffa), w katedrze Wileńskiéj, które najrozmaiciéj tłómaczono, wzniesione zostały nad zwłokami wielkiego kanclerza Litewskiego, Wojciecha Marcinowicza Gasztolda, zmarłego w r. 1540 i pokrewnego jego, Pawła książęcia Holszańskiego, biskupa Wileńskiego, zmarłego w r. 1555, a nie mają nic wspólnego z grobowcami Witolda, Nadziwoja albo Dowgiałły, jak również biskupów Wojciecha Tabora, albo Abrahama Wojny, jak to nawet wizyta kościelna z r. 1828 (f. 81) fałszywie twierdziła.

Jako niewątpliwe, jeszcze udowodnienie pogrzebania tu zwłok Gasztolda, dodać winniśmy, że tenże Wojciech Gasztold, testamentem r. 1539, o którym mówiliśmy już wyżéj, wyraźnie zastrzega, że chce być pogrzebionym w kaplicy rodzinnéj, Gasztoldowską zwanéj, przy kościele głównym św. Stanisława na Zamku Wileńskim, jak również, że tymże testamentem zapisał dla probostwa Infułacyi Gieranońskiéj monstrancyę, o któréj powiemy niżéj, a która do dziś dnia przechowała też same herby, jakie widzimy na wieku grobowém.

IV.

Kościelne ubiory kapłańskie, mniéj trwałe od sprzętów metalowych, prócz nieuchronnego zużycia, jeszcze i zkąd inąd pod koniec XVI wieku narażone były na zatarcie znamion swego pochodzenia pierwiastkowego.

Po wstąpieniu kardynała Jerzego księcia Radziwiłła na biskupstwo Krakowskie, opat Aleksander Comulei, nadzwyczajny wizytator apostolski niezajętego przez dziesięć prawie lat (1590 — 1600) biskupstwa Wileńskiego, kazał dawne aparata kościelne na sposób w Rzymie zaprowadzony (more romano) poprzerabiać z przychodów stołu biskupiego. Pierwszą taką reformę, z polecenia kapituły spełniając kanonik Jędrzéj Jurgiewicz, ze zbywających okroin od uszczuplonych ornatów starych zebrał czystego srebra grzywien cztery i skojców sześć ([45]). Po niéj tuż nastąpiło drugie przetworzenie obyczajem rzymskim, wszystkich aparatów, zwątlonych lub

([45]) Akta kap. 1596, f. 269 i 1597, f, 295. Protokół wizyty pod artykułem kościelne, str. 15 — 45, 48 — 49, 63 — 64.

uszkodzonych dawnością, lecz które jeszcze do użycia przydać się mogły. Niepodobna, żeby przy takiem przerabianiu nie ucierpiała lub nie znikła pewna część herbów i godeł, jakiemi dawniéj, nietylko królowie i wielcy książęta, lecz i znakomitsze osoby oznaczały dary swoje do kościoła.

Mimo to jednak, podczas wizyty dziekańskiéj prałata Diciusa, spełnionéj w rok po reformie, znajdowało się jeszcze do trzydziestu aparatów i przyborów ołtarza, niewątpliwie pochodzących z daru panującéj rodziny. Wyliczymy ważniejsze z tych ostatnich, jak również ciekawsze zabytki Gasztoldowskie, oraz biskupów: księcia Holszańskiego i Protasewicza.

(W protokóle wizyty prałata Diciusa jest nadto ostrzeżenie, że oprócz wyliczonych przez niego sprzętów było jeszcze wiele innych, tylko, że bardzo są *wiotche i inacz się nie zgodzą*).

1) „Ornat złotogłowy, reformowany na axamicie modrym. Na kolumnie złotogłów w kostki z figurami czterema; a w końcu kolumny dwa herby: Pogonia y Kolumny. A na przodku Passya, a pod nią *flagellatio* (biczowanie). Ten ornat podszyty płotnem modrym“.

2) „Ornat kamchy ([46]) czyrwonéj reformowany. Miasto kolumny Passya, w któréj krzyż z pereł drobnych. Między tą passyą Panna Marya y Ś. Jan. Po końcu tego figura Maryey Magdaleny; a niżéj dwa herby W. X. Litewskiego. Stuła i manipularz inszey materyey“.

Herby wymienione na tych dwóch ornatach, dowodzą, że były one ofiarowane przez którąś albo którego z panujących W. książąt Litewskich.

3) „Antependium (*tak*) adamaszku czarnego wiotche. Na nim są figury ruskie: w pośrodku trzy a na końcu jedna. Na jednym końcu herb Pogonia, a na drugim końcu herb Kolumny. U wierzchu także jest figur ruskich kilkanaście. Podszyte płótnem modrym“.

Co rozumie spisywacz protokółu pod wyrazami: *Figury Ruskie* — nie wiemy. Byłyż to wizerunki świętych, czy téż znaki jakie, godła, lub napisy? W każdym razie domyślać się można, że to żałobne zakrycie ołtarza, bez orła i korony, musiało być sporządzone na pogrzeb jednego z książąt Litewskich, a że było *wiotche*, więc w czasach odległych, książąt Korygajły, Wigunda, Witolda, albo jego żony Anny, Zygmunta Kiejstutowicza, lub wreszcie Swidrygiełły.

4) „Ornat stary na modrym adamaszku wzorzystym, z figurami ruskiéj roboty, ze złota y srebra tkanemi. A wposrzodku krzyż złoty, na nim Passya; a na końcu dwa herby ruskie, (?) podszyty kitajką zieloną.“

([46]) Kamcha — adamaszek.

5) „Antependium na adamaszku różney farby, czyrwoney, błękitnéy y zieloney, z figurami apostolskiemi ruskiemi, z literami ruskiemi; podszyte płotnem czyrwonym".

6) „Opona stara na czarnym axamicie. W posrodku jest krzyż ruski z blaszek srebrnych, pozłocistych; a około niego figury ruskie, srebrne pozłociste. U wierzchu lisstwa z floresami perłami aftowanemi, i figury ruskie, srebrne, pozłociste. Na niéj są dwa herby królewskie y herb Bony. Podszyta płotnem błękitnem".

Te trzy sprzęty są nader ciekawe. Można przypuszczać, że były sporządzone z wytworniejszych *ryz* cerkiewnych, z jakiéj wyprawy przywiezionych. Ale co znaczą te dwa niewiadome herby ruskie? A jeszcze ciekawsza, dlaczego zamieszał się na oponie herb Bony? jeżeli tylko tó był rzeczywiście *wąż siny wspięty, pod koroną;* bo skoro, jak widzieliśmy, ks. podkustoszy nie znał nawet herbu panującéj rodziny, *Kolumn*, nazywając je *szubienicą*, to bardzo być może, że się i w oznaczeniu herbu Bony omylił. W końcu sam powiada, że opona była stara. Bona przyjechała do Polski w r. 1517 († 1557); protokół zaś spisany w r. 1598; a więc gdyby nawet opona sporządzoną była wkrótce po przyjeździe Bony, nie mogła jednak, w obec innych *wiotkich* jak nazywa sprzętów, zestarzeć tak dalece w przeciągu 70 kilku lat.

7) „Ornat kamchy zieloney reformowany, Kolumna na nim wąska, tkana złotem, ze czterema figurami, a z herbami królewskiemi, Orłem i Pogonią; także y na przodku są herby Orzeł i Pogonia".

8) „Kappa aksamitna pstra, z ptaszkami białemi y zwierzątkami czyrwonemi. Szczyt haftowany złotem; na nim figura Panny Maryey z dzieciątkiem y z herbem Pogonią. Kutas zielony jedwabny; listwy robothy aftarskiej, z herbami królewskiemi Orłami y Pogoniami. Podszyta bogatą modrą".

9) „Velum postne na ołtarz wielki s płotna czarnego, a w pośrodku jego krzyż biały, srebrogłowy na axamicie czarnym; na nim są herby królewskie złotem haftowane".

10) „Ornat altembasowy ([47]), aftowany, przeszywany. Na nim perłowy krzyż *et effigies SS. Trinitatis* (wizerunek ŚS. Trojcy). Po stronie Anyołowie dwa, perłami osadzone; a trzeci na wierzchu, który trzyma dwie kolumny małe, perłami sadzone (więc to herb *kolumny*). A niżey figura S. Andrzeja perłami osadzona. A na samym końcu herby cztery: dwa Orły a dwie Pogonie. Humerał (naramiennik) y alba teyże materyey, s kamieńmi u rękawow. Stuła złotogłowowa, manipularza nie masz. Ten ornat podszyty kitayką zieloną".

([47]) Materya jedwabna grubo tkana ze złotem; altembas tém różni się od złotogłowiu, że w altembasie osnowa jest jedwabna, wątek złoty, a w złotogłowiu osnowa złota, wątek jedwabny.

11) „Ornat axamitny reformowany z kolumną złotogłowu czarnego, z herbami Orłem, y Pogonią y Trąbami Trzema; podszyty płotnem czarnem; z stułą y manipularzem“.

12) „Cappa axamitu czarnego, przodki teletu ([48]) białego, z szczytem białym; kutas czarny, jedwabny; a na przodkach herby królewskie Orzeł y Pogonia y Trzy Trąby“.

13) „Dalmatyk para, axamitu czarnego; na końcu ich herby królewskie, aftarskiej roboty, Orzeł, Pogonia y Trzy Trąby podszyte płótnem czarnym.

14) „Dalmatyk druga para axamitnych, czarnych, z takiemiż herbami: Orłem, Pogonią y Trąbami Trzema. Podszyte płótnem czarnym“.

15) „Antependium axamita czarnego, z herbami królewskiemi, Orłem, Pogonią y z Trąbami Trzema. Frandzle iedwabiu czarnego, podszyte płotnem czarnym“.

Ostatnie pięć sprzętów stanowią bolesną pamiątkę historyczną. *Trzy Trąby Radziwiłłowskie* obok herbów królewskich wymownie świadczą, że te żałobne ubiory kapłańskie i przybory ołtarzowe umyślnie sporządzone były na pogrzeb królowéj Barbary, który się odbył w katedrze Wileńskiéj d. 23 czerwca 1551 roku.

Nie od rzeczy tu będzie powiedzieć słów kilka o tytule książęcym Radziwiłłów, jak również wytłómaczyć, dlaczego na ubiorach kapłańskich, wyżej przywiedzionych, były oznaczone tylko Trzy Trąby Radziwiłłowskie, a nie Orzeł czarny, jakiego do dziś dnia używają Radziwiłłowie. Nieświadomi zwykle mianują Barbarę królową *Księżniczką Radziwiłłówną*, a niektórzy pisarze ([49]) mylnie dowodzą, jakoby już Mikołaj II Radziwiłł, *Priscus* przezwany, miał otrzymać od Maksymiliana I w r. 1508 tytuł księcia.

Mikołaj III na Goniądzu i Medelach Radziwiłł, wojewoda Wileński i kanclerz wielki Litewski, posłując na sejm augsburski w r. 1513 ([50]), policzonym był najpierwszy z tego dworu pomiędzy książęta ś. państwa rzymskiego przez Maksymiliana I cesarza, otrzymawszy w herbie jednogłowego Orła czarnego (jakiego niegdyś używali tak zwani królowie rzymscy przed swoją koronacyą na cesarzy Rzeszy niemieckiéj), w złotéj koronie królewskiéj na głowie ([51]),

---

([48]) *Telet* albo Tylet gatunek materyi kosztownéj.

([49]) Jak np. powiedziano w *Żywocie Bogusława Radziwiłła.* Poznań, 1840 str. 10. — Nawet *Niesiecki* (VIII, 43) fałszywie mówi, jakoby ten Priscus był założycielem kościoła N. P. M. Śnieżnéj i Ś. Jerzego. Nie Priscus, t. j. Mikołaj II; ale syn jego, Mikołaj III założył ten kościół między 1506 a 1507, na pamiątkę zwycięztwa nad Tatarami pod Kleckiem odniesionego.

([50]) Mylnie podaje Kotłubaj w szacownem dziele: *Galerya Nieświezka*, (str. 36) jakoby to się stało na zjeździe w Presburgu, w r. 1515.

([51]) Podług Niesieckiego w mitrze książęcéj na głowie. Ale w późniejszym przywileju Karola V, przywracającym używanie tegoż samego herbu dla Mikołaja Czarnego, powiedziano: *Aquilae caput aurea corona regali coronatum.*

z tarczą na piersiach, noszącą ojczyste Trąby Radziwiłłów; a w hełmie takiegoż w pół wystającego orła w koronie, ale bez Trąb na piersiach. Ociągającemu się z przyjęciem niezwyczajnego jeszcze w Litwie (która dość miała swoich książąt litewskich i ruskich, z krwi panującéj Gedyminowiczów i Korybowiczów), tytułu książęcia ś. państwa rzymskiego, Maksymilian przysłał dyploma cesarskie, przez ks. Wawrzeńca Miedzielewskiego, prałata proboszcza Wileńskiego, w roku 1518. Ale ten tytuł i herb, jako nadany samemu jedynie Mikołajowi III z jego potomstwem, nie rozciągał się do młodszego brata, Jerzego, kasztelana Wileńskiego i hetmana wielkiego Litewskiego, *ojca królowéj Barbary*, który tylko trzech Trąb ojczystych mógł używać ([52]).

Zaledwo w r. 1547, cesarz Karól V znowu do téjże godności książęcéj ś. państwa rzymskiego wyniósł Mikołaja Czarnego na Nieświeżu i Ołyce, Radziwiłła, marszałka wielkiego i kanclerza Litewskiego, od Zygmunta Augusta na sejm Rzeszy niemieckiéj posła, z bratem jego Janem, Krajczym Litewskim, i stryjecznym ich, a rodzonym królowéj Barbary bratem, Mikołajem Rudym, na Birżach i Dubinkach dziedzicem, przywracając dla nich i używanie za herb Orła czarnego w złotéj koronie królewskiéj, z tarczą rodową czterodzielną na piersiach i z przydaniem dwóch nowych pobocznych hełmów, heraldycznie połową Gryfa i Lwa przystrojonych, co król Zygmunt August w tymże samym roku potwierdził, a Rzeczpospolita na sejmie Brzeskim przyjęła ([53]). Wszakże rzecz jasna, że ani tak wznowiony tytuł, ani herb z orłem nie mógł się odnosić wstecznie do zmarłego już Jerzego Radziwiłła, a zatém i córka jego Barbara królowa przy dawnym tylko klejnocie rodowitym domu, Trzech Trąbach myśliwskich, pozostać musiała.

16) „Ornat altembasowy, karmazynowy, czyrwony; na krzyżu Passya perłowa na blaszcze pozłocistey; na głowie korona srebrna, pozłocista, miasto ciernia. Po stronie dwa Anyołowie więtsze, a mnieysze cztery anyołki, perłami osadzone. U iednego, co po prawey y lewey stronie, kieliszek mały, srebrny, pozłocisty. Ten anyołek wszystek perłami osadzony, przy którym jest kamień wielki, a cztery małe. Anyołek więtszy, po prawey ręce Passyi, wszystek perłami aftowany, na którym kamikow dziesięć różnych. A na dru-

---

([52]) Młodszymi braćmi Mikołaja III byli: Wojciech biskup Wileński, Jerzy, kasztelan Wileński i hetman wielki Litewski, i Jan, kasztelan Trocki, marszałek wielki Litewski, ojciec Mikołaja Czarnego. Mikołaj III miał 3 synów, książąt na Goniądzu i Medelach, Stanisława, Mikołaja IV i Jana, który miał tylko 3 córki; Stanisław umarł młodo bezdzietnym a Mikołaj IV — był biskupem Żmujdzkim. Ze śmiercią Jana zgasł ród Radziwiłłów książąt na Goniądzu i Medelach. Dobra te, wraz z historycznym Knyszynem, biskup Żmujdzki zapisał Zygmuntowi Augustowi.

([53]) Niesiecki, VIII, 58 — Rodowód Radziwiłłów w Nieświezkiém archiwum u Kotłubaja, str. 37.

giej stronie Anyołek perłami aftowany, na nim kamików także dziesięć; przy tym anyołku macica perłowa. Odispod Passyi iest obraz Panny Maryey y Ś. Jana; a na końcu spodu iest obraz Ś. Andrzeia, y Maryey Magdaleny z słoykiem srebrnym, pozłocistym. Wszystkie obrazy perłami osadzone y kamieńmi rozmaitymi: na obrazie Panny Maryey kamików różnego koloru ośmnaście, a dwie perle wielkich; a z drugą strone u Ś. Jana kamikow różnego koloru trzynaście, a pod Passyą głowa *cadaveris* srebrna, pozłocista. Niżey przy obrazie Ś. Andrzeia, kamikow piętnaście, a u Maryey Magdaleny kamikow ośmnaście. Nad Passyą obraz Ś. Troyce, przy którym iest kamikow różnych siedm y dwie perle więtszych. Humerał do tego ornata perłami osadzony; w posrodku jego Ś. Anna, spuntalikami srebrnymi pozłocistymi aftowana; z iedne strone Jachim z barankiem, a z drugą strone Jozeph z bartą (toporem ciesielskim), perłami oboie osadzone. Stuła do tego ornatu staroswiecka, z altembasu czyrwonego, iako y ornat, u dołu iey kamieni dwa. Manipularz takiegoż altembasu".

Jest to jeden ze sławnych ornatów Gasztoldowskich, sporządzony, jak wyraża kanclerz w swym testamencie, jeszcze przez ojca jego Marcina, wojewodę Trockiego.

17) „Ornat złotogłowy, przeszywany; na nim krzyż perłowy. W posrodku obraz Ś. Troyce; po prawey iego stronie *Resurrectio*, a przy niey trzy rycerze z blaszek srebrnych; po lewey zaś stronie iest Descensus Christi ad inferos (zstąpienie Chrystusa do piekeł). *Sub imagine S. Trinitatis* (pod obrazem S. Trojcy), *Passio* (krzyż z wizerunkiem Zbawiciela), około której iest Panna Marya y Ś. Jan, perłami obsadzone. Pod passyą cztery herby Gastoltowskie. Ten ornat podszyty kitayką zieloną. Humerał perłami osadzony; na nim są trzy figury perłami osadzone. Alba teyże materyey, iako y ornat, staroswiecka, u niey kamienie z obu stron. Stuła takieyże materyey i manipularz. Pasa nie masz".

Siedm było również bogatych ornatów Gasztoldowskich, które kanclerz w swym testamencie wyszczególnia. Ale pozostałych pięciu niepodobna rozróżnić w spisie w pośród innych, z któremi się zmięszały.

Wypisujemy tu jeszcze ornaty i inne sprzęty dwóch znakomitszych biskupów: Pawła książęcia Olszańskiego i Waleryana Protasiewicza.

18) „Ornat altenbasowy czyrwony s krzyżem aftowanym. Na tym krzyżu Passya, a około passyey cztery Ewanielistowie. Podispod biskup aftowany z perłami y herby cztery (Hippocentaurus, Pogoń, Trąby i Leliwa) nieboszczyka X. Pawła Biskupa Wileńskiego. Alba, stuła y manipularz teyże materyey. Humerał aftowany perłami, z Weroniką, którą dzierżą Anyołowie. Ten ornat podszyty kitayką zieloną".

19) „Ornat altenbasowy kosztowny z herbem ś. p. X. Waleryana Biskupa Wileńskiego (Drzewicą). Na nim krzyż tkanice złotey. Alba s kamieńmi po staroswiecku, teyże materyey. Pas iedwabny. Podszyty ten ornat kitayką zieloną".

20) „Cappa axamitu czarnego; u niey sczyt złotogłowy, także y przodki złotogłowowe. Kutas ze złota y iedwabiu czarnego, a na przodkach herby X. Waleryana Biskupa".

Jedno takie nakrycie, aksamitne czerwone, na grób ś. Kazimierza ofiarowała Berta Kościelecka, kasztelanka Wojnicka, która lubo aż do zamęzcia z Iliją książęciem Ostrogskim chowana ciągle na dworze u królowéj Bony, odwiedzała jednakże matkę swą, długo w Wilnie przebywającą ([54]).

Po znakomitéj pracy ś. p. Al. hr. Przezdzieckiego o Beacie Kościeleckiéj i jéj nieszczęsnéj córce, Halszce, wyczerpującéj wszelkie źródła — nie wiele-by się dało powiedziéć. Wszakże nie od rzeczy będzie, dla uzupełnienia téj szacownéj pracy, dodać parę szczegółów o matce Beaty, zaczerpniętych ze źródeł nieznanych Przeździeckiemu.

Matka Beaty, Katarzyna Telniczówna Szlązaczka, kochanka Zygmunta I i matka Jana z książąt Litewskich biskupa Wileńskiego, a późniéj Poznańskiego, wtedy już wdowa po Jędrzeju Kościeleckim, kasztelanie Wojnickim, podskarbim wielkim koronnym, zmarłym w r. 1515, długo przemieszkiwała na dworze przedślubnego syna swego w Wilnie, wdając się nie tylko w urządzenia domowe, lecz i duchowne sprawy i rządy jego dyecezyi. Mieliśmy w ręku list Andrzeja Krzyckiego, podobno wtedy jeszcze kanclerza królowéj Bony, roku 1525 w listopadzie pisany do ks. Jakóba Staszkowskiego, kanonika Krakowskiego, a pierwszego prałata Scholastyka Wileńskiego, który był kanclerzem, czyli audytorem spraw przy Janie z książąt Litewskich biskupie. Krzycki, odpowiadając w nim na poufne zwierzenie się przyjaciela swego Staszkowskiego, tak się w końcu wyraża:

— „Wielce ubolewam, że jak u nas w Krakowie, tak i u was w Wilnie, wszystkie sprawy duchowne i świeckie snują się i toczą na kądzieli." (Doleo vehementer, idem agi vobiscum, quod apud nos etiam agitur, ut a colo divina et humana omnia dependeant. O mores! o tempora!) Na tymże samym liście dopisano inną ręką, po łacinie, w sposób kommentarza: „że kasztelanowa Wojnicka, kobieta zła, przewrotna i zjadliwa, opanowawszy zupełnie syna swego biskupa, wszystkiem samowolnie trzęsąc i wichrząc w jego domu i rządach, srodze nienawidziała ks. Staszkowskiego, który, jako mąż prawy, na przekorę jéj knowaniom, dawał biskupowi rady, z jego dostojnością i pasterskim urzędem zgodne. Wszelkiemi więc sposo-

([54]) Akta kapituly Wileńskiéj 1525, fol 89.

bami usiłowała wyrzucić go ze dworu i nakoniec wygryzła. W jéj to obecności, a może i z powodu wtrącania się jéj w rządy synowskie, Mikołaj III Radziwił, wojewoda Wileński, przyszedłszy na dwór Jana z książąt Litewskich, i żwawo się z nim o coś zwaśniwszy, zwaśniwszy, porwał się do szabli na biskupa i ciął go nieszkodliwie. O tém zdarzeniu akta kapitulne bardzo krótko, w sposobie niby protestacyi, ale z łatwo zrozumiałą ostrożnością, wzmiankują (55).

Między starym i nieprzydatnym do użycia sprzętem, wymienia się w wizycie prałata Diciusa ciekawych „Dalmatyk para wiotchych bardzo. Przez nie wzdłuż nakształt tkanic, a między temi litery na kształt liter arabskich". Dalmatyki te niezawodnie musiały być sporządzone z jakiego łupu na Tatarach.

Skarbiec katedralny posiadał jeszcze 11 kosztownych infuł biskupich, z tych cztery szczególnie bogate. Przy końcu XVI wieku wizyta wymienia infułę Radziwiłłowską, zapewne biskupa Wojciecha Jałmużnika.

1) „Infuła kosztowna nowo przerobiona perłowa, y z dwiema pasoma perłami osadzona. Z iedne strone w posrodku tey infuły kamień wielki otoczony perły wielkiemi uryańskiemi; po teyże stronie kamieni srzednich rozmaitych dwadzieścia, a mnieyszych sześćdziesiąt trzy. Z drugą strone tey Infuły kamień ieden większy takiegoż koloru jako i pierwszy; około niego kamieni srzednich rozmaitych dwadzieścia, a mnieyszych sześćdziesiąt dwa. Item cztery pierścienie między perłami".

2) „Infuła s pasami na czyrwonym telecie, perłami wszystko osadzona. Na iedney stronie kamieni sadzonych rozmaitych, tak większych iako i srzednich trzydzieści; około tych kamieni są perły mniejsze. Po drugiej stronie tey infuły, na zadzie, także kamieni różnych na pontałach, więtszych y mnieyszych trzydzieści".

Niewiadomo, czy to te same infuły, czy téż dwie inne, ale nadobnego kształtu i utworu (mitras duas episcopales, affabre factas) kardynał Jerzy Radziwiłł, przenosząc się na biskupstwo krakowskie, zapewne przez roztargnienie marszałka jego dworu, uwiózł był z sobą, które kapituła, przez umyślnie wysłanego do Krakowa ks. Jana Ryszkowskiego, prałata archydyakona, odzyskała (56).

W pierwszéj połowie XVII wieku przybyły do tych jeszcze dwie, przepyszne i bogate infuły: jedna Wołłowiczowska, druga nie wymienionego biskupa, może Abrahama Wojny, albo Jerzego Tyszkiewicza.

(55) Wiadomość tę mieliśmy od Mikołaja Malinowskiego, którego bogate zbiory rękopiśmienne zawierały niemało ciekawych szczegółów o Katarzynie Kościeleckiéj. Zamierzał nawet napisać o niéj artykuł do Teki Wileńskiéj, ale pozbawiony wzroku, nie mógł wyszukać tych materyałów, a po śmierci jego biblioteka była za długi opieczętowaną, i co się z nią stało, nie wiemy.

(56) Akta kap. Wil. 1592, f. 195.

3) „Infuła wszystka perłami, w nawijanym szczero złotym drócie, na samem tle mniejszemi, a we wzorach bujnemi, uryańskiemi, gęsto natkana, z obu stron kamieniami drogiemi, po środku dużemi, a w około mniejszemi sadzona; po brzegach łancużkiem ze szczerego złota bramowana; po końcach zaś, złotą frendzlą nawisłych, oznaczona dwiema szczerozłotemi Bogoxiami (herb biskupa Wołłowicza), takąż infułą, mieczem i pasterałem uwieńczonemi".

4) „Infuła wszystka sporemi haftowana perłami, z obu stron różnemi kamieniami dużemi we trzy rzędy wysadzona, ze srebrną pozłocistą obwódką szelążkową; u góry ozdobiona główkami szkrzydlatych cherubinow ze złoconego srebra, a u dwóch końców mająca po cztery herby i po pięć dzwoneczków srebrnych pozłocistych".

Wszystkie te cztery infuły za Jana Kazimierza uwiezione do Częstochowy, a w ciągu wojen szwedzkich za Augusta II przechowywane w Królewcu, gdzie wówczas przebywał i biskup Konstanty Brzostowski, jeszcze się znajdowały podczas wizyty biskupa Zienkowicza, ale już bardzo stare, i wielu w nich kamieni i pereł brakowało ([57]).

Obok infuł, pod koniec XVI wieku chowano też w skarbcu cztery pierścienie biskupa szczerozłote; jeden *z turkusem*, dwa *z topaszassem*, a czwarty pierścień ze szczerozłotym krzyżykiem i łańcuchem po ks. Cypryanie Wiliskim, sufraganie i kanoniku wileńskim (zmarłym 1594).

Akta kapitulne i wizyty kościołów wyświecają niektóre szczegóły w zwyczajach obrzędowych i przyborach kościelnych, później zaniedbane, lub wyszłe z użycia. Tak np. podczas mszy wielkiej dyakon śpiewał Ewangelią na pulpicie żelaznym, przykrytym zasłoną adamaszkową z galonami, której barwa, podług dnia lub uroczystości odmienną być musiała. U niektórych ołtarzy świeczniki srebrne lub mosiężne były o trzech, pięciu, lub sześciu, albo nawet, jak w jerozolimskim niegdyś kościele, o siedmiu ramionach; używane zaś do mszału, — dwuramienne, lub czteroramienne. W kaplicy Trojeckiej stały na ziemi trzy duże świeczniki żelazne do lepienia świeczek ofiarnych, które, jak widać, lud przynosił z sobą, albo w zakrystyi kupował. ([58]) Prałat lub kanonik, *tydzień trzymający*, nie inaczej szedł do ołtarza kapitulnego na mszę wielką, jutrznią, nieszpory, jeno z krzyżem w ręku. Używano do tego małego krzyża ręcznego, srebrnego, pozłocistego — kanonicznym zwanego. Starożytny ten zwyczaj jeszcze się wieku XVII, a nawet XVIII utrzymywał ([59]).

([57]) Akta 1712, f. 47; 1743, f. 265.
([58]) Protokół wizyty Diciusa, f. 12, 35, 51, 72.
([59]) Akta kap. 1698, f. 4; 1743, f. 262.

V

Pozostaje nam skreślić obecny stan skarbca katedralnego, a ze smutkiem do tego przystępujemy, gdyż z tak wielkiéj liczby zabytków, o których wspomnienia tylko w aktach kapitulnych i w wizytach kościoła znajdujemy, niewiele już dziś pozostało.

Podajemy tedy, na ile nam starczą źródła, najdokładniejszą wiadomość.

1) *Ręka srebrna*, wielka, ze znaczną relikwią prawéj ręki od łokcia ś. Stanisława; na palcu pierścień biskupi z kamieniem. Na téj ręce krzyż, zkąd widać kości święte. Ma to być najdawniejszy zabytek, nadesłany z katedry Krakowskiéj, przy założeniu biskupstwa Wileńskiego. Wspomnieliśmy już o tym zabytku podług opisu w protokóle prałata Diciusa; dziś wszakże ręka ta ma już odmienną nieco oprawę. Całunek, zaprawiony szkłem kryształowem, nie ma dziś formy krzyża, ale podłużnego czworokątu, od spodu zaś przydana jest srebrna, w części pozłocista osada, rzeźbą w kształcie wianka ozdobiona. Dzieje kapitulne wspominają, że przerobienie to nastąpiło między rokiem 1733 a 1739.

2) *Monstrancya Gieranońska*. W testamencie z r. 1539 Wojciecha Gasztolda, wielkiego kanclerza Litewskiego i wojewody Wileńskiego, o którym wspominaliśmy już wyżéj, czytamy: „że zaś i kościół ś. Mikołaja, przy zamku hrabstwa mojego gieranońskiego leżący, za pozwoleniem stolicy apostolskiéj z parafialnego wyniosłem na kollegiatę, stanowiąc przy nim proboszcza infułata i dziesięciu kapłanów prebendarzy, dla codziennego ustawicznemi czasy śpiewania godzin kanonicznych, wespół ze trzema wikaryuszami, których wszystkich w uczciwe i tak dostateczne przychody opatrzyłem, że radzi na swéj doli pozostają; więc i do tego kościoła (oprócz innych kosztownych sprzętów, naczyń i apparatów, bogatéj infuły z pastorałem) zapisuję monstrancyą wielką, srebrną, pozłocistą, ważącą grzywien pięćdziesiąt i sześć, dla wystawiania w znakomitsze uroczystości“.

W póżniejszym czasie, kiedy ze śmiercią (w r. 1542) syna kanclerza Wojciecha, Stanisława, ustała linia męzka, a Gieranony przeszły na króla, monstrancya ta, jak już wspomnieliśmy, z częścią bogatszych apparatów przeniesioną została z probostwa infułacyi do katedry Wileńskiéj, gdzie i do dziś dnia się znajduje pod nazwą Gieranońskiéj. Ogólna postać i szczegółowe ozdoby téj monstrancyi noszą wyraźne cechy stylu gotyckiego. Wysoka jest na dwa łokcie i siedm cali. Podstawa jéj, czyli stopa, ma na wyższéj powierzchni, po prawym i lewym boku, dwie duże, jednostajne tarcze rodowe czterodzielne; a na każdéj z nich, w płaskorzeźbie, cztery herby, w takiéj kolei położone: *Abdank*, *Hippocentaur*, *Płomieńczyk* i *Druck* (wykład tych herbów podaliśmy już wyżéj). Pomiędzy zaś tarczami, płasko-

rzeźbione godła czterech ewangelistów. Trzon, misterną robotą rzeźbiony, na wyższéj, klinowato rozszerzającéj się części, ponad rękojeścią, oznaczony z obu stron jednym tylko herbem ojczystym *Abdank*, a z tyłu wyrytą nad herbem liczbą 1535, — daje osadę poprzecznemu brusowi, rzeźbą téż okrytemu. Na nim, z obu stron obwódki czyli oprawy, wznoszą się po trzy pary filarków, z których dwie odśrodkowe, przeciwlegle na przodzie i z tyłu rozstawione, mieszczą pomiędzy sobą dwa odlewane posążki: z prawéj strony ś. Wojciecha, a z lewéj ś. Stanisława. Nad obwódką, na półkulistéj podstawie, ogrodzony do koła gęsto ustawionemi, drobnemi balaskami, w gotyckim smaku rzniętemi, stoi posążek Bogarodzicy z Dzieciątkiem, w promieniach. Podstawa ta, za pomocą sześciu słupków dosyć wysokich i naśrodku długości ozdobionych tyluż drobnemi wizerunkami Świętych, u góry łączy się z drugim, prawie półkulistym i podobnież ogrodzonym baldaszkiem, unoszącym na sobie mniejszy odlewany posążek Zbawiciela. Sam wierzch monstrancyi, ponad tym wizerunkiem Zbawiciela i dwóch świętych Biskupów, uwieńczony jest trzema gotyckiemi wieżyczkami, albo igłami, z których środkowa ma na swém ostrzu krucyfiks, a pod nim dwa drobne posążki Bogarodzicy i ś. Jana; na dwóch zaś mniejszych pobocznych igłach, stoją dwaj aniołkowie z proporczykami, od których dziś tylko już trzonki pozostały.

3) *Krzyż Gasztołdowski*, kryształowy, w srebro oprawny i kamieniami ozdobiony; ten sam, o którym wspomniano i w wizycie Diciusa, ale już wyzuty z postumentu srebrnego, pozłocistego, na którym był osadzony, a na którym téż miały być cztery herby Gasztoldowskie. Niéma i dwóch kosztownych pierścieni, testamentem biskupa Wileńskiego Aleksandra Kotowicza zapisanych, a dla ozdoby w oprawie krzyża w r. 1681 osadzonych ([60]).

4) *Stypuła*, albo laska srebrna, pozłocista, któréj na wielkie święta używał kantor u pulpitu i na processyach; odnowiona przez biskupa Waleryana Protasewicza w roku 1563.

5) *Kielich* srebrny wyzłacany, na kubku siateczką srebrną pozłocistą, a na gałce trzonu 6-cią rubinami ozdobiony, w r. 1536 zrobiony, a w r. 1559 przez Wojciecha Nowopolskiego (Alberta Novocampiani), profesora Krakowskiego ofiarowany. Ten Nowopolski był nauczycielem Jana Zygmunta z ojca Jana z Zapolya, króla Węgierskiego i Izabelli Jagiellonki zrodzonego, a w dzieciństwie królem Węgierskim obwołanego, kazał przeto położyć napis u spodu na stopie kielicha: Albertus Novicampianus, Praeceptor serenissimi Joannis Sigismundi, Regis Hungariae.

6) *Monstrancya Tyszkiewiczowska*. Na dwa lub trzy lata przed zdobyciem Wilna, (1655) biskup Jerzy Tyszkiewicz (1649 — 1656)

([60]) Akta kap. 1687, f. 52.

podarował do katedry kosztowny sprzęt szczerozłoty, składający się: ze szczerozłotej, drogiemi kamieniami sadzonej monstrancyi, kielicha z pateną, złotego krzyża z kamykami i dużej szczerozłotej kadzielnicy. Wszakże wyjeżdzając przed wojną do Królewca, przymuszony był wszystkie te porządki zastawić w połowie ceny u sławetnego Burby, mieszczanina, i Henryka Monesa, kupca wileńskiego (później administratora ceł w W. Ks. L.). We cztery lata po śmierci biskupa, zaszłej w Królewcu roku 1656, wykupił je u wierzycieli kustosz Jerzy Białłozor zlewkami z części złota kaplicy królewskiej i nazad kościołowi powrócił ([61]). Do porządków Tyszkiewiczowskich liczyły się też dwa ogromne świeczniki srebrne, z boków wielkiego ołtarza (zamiast dzisiejszych cynowych) przystawiane, sporządzone w r. 1652. Zastawione w Warszawie przez Jerzego Białłozora, już wtedy biskupa Wileńskiego, a później przez kapitułę odkupione, centnar przedniego srebra ważące, z herbem Tyszkiewiczów, Leliwą, i kapitulnym, Trzema koronami, znajdowały się jeszcze podczas wizyty biskupa Zienkowicza w r. 1743. Jaką koleją później znikły — nie wiadomo.

Monstrancya zaś Tyszkiewiczowska, widocznie współczesnej roboty, w stylu późnego renesansu przechodzącego w barocco, po dziś dzień się znajduje. Szczerozłota, dyamentami i różnemi kamieniami sadzona, dziś najbogatszy sprzęt zakrystyi katedralnej stanowi. Na stopie monstrancyi ozdoby rzeźbione, w części emalią pokryte. W pośrodku tych ozdób herb Leliwa, na tarczy, uwieńczony infułą i pastorałem, a w okrąg herbu litery początkowe: G. T. D. G. E. V. (Georgius Tyszkiewicz, Dei Gratia Episcopus Vilnensis). Na trzonie, w podobnąż rzeźbę przybranym, ponad gałką rękojeści stoi posążek Bogarodzicy, odlewany, na brylantowym półksiężycu, w brylantowej przepasce i brylantowych promieniach nad głową; twarz i ręce biało emaliowane. Oprawa *melchisedeka* sercowata, kamieniami sadzona; koło niej, promienie krótkie, ze szmaragdami; nad samą oprawą duży rubin, niby w pierścieniu z obwódką koronkową. W okrąg oprawny wianek z winnej latorośli, pod własną barwę szmelcowany. Nad wiankiem korona, z emaliowanemi ozdobami, kamieniami sadzona, kłosami pszenicy uwieńczona i zakończona krzyżykiem brylantowym.

7) Kształtem i wielkością najwięcej zbliża się do starożytnych przepyszny *kielich* srebrny, pozłocisty, około czterech funtów ważący, na floryzowanej pokrywie czaszy i samej stopy, srebrnej, pozłocistej, osadzony różnemi kamieniami i ozdobiony sześciu medalionami z wizerunkiem męki Zbawiciela, na białej emalii malowanemi, a na gałce rękojeści—główkami skrzydlatych cherubinów ze srebra lanemi. Jest to kielich, na którym wojewoda Trocki, marszałek trybunału litewskiego, kasztelan, a wreszcie biskup wileński, Mikołaj, popry-

([61]) Akta kap. 1658 i 1661.

micye swe w Rzymie odprawiwszy, podarował go katedrze wileńskiéj w r. 1683.

8) i 9) Ale szacowniejszym jeszcze upominkiem tegoż biskupa, prócz *puszki* szczerozłotéj z nakrywką do chowania hostyi, jest śliczna *monstrancya* srebrna, w niektórych zaś częściach, mianowicie na stopie, obwódce i promieniach pozłocista, kamieniami drogiemi sadzona. Stopę jéj zdobią cztery główki aniołów. U trzonu ponad gałką rękojeści, stoi cherubin srebrny, odlewany, nieco zaś wyżéj, pod samą oprawą, podobnyż wizerunek lity Matki Bolesnéj. Z boków obwódki dwaj anieli odlewani trzymają godła i znamiona męki Chrystusowéj. Nad obwódką pelikan, pisklęta swe karmiący, a nad nim niewielki krzyż z figurą Zbawiciela. Jeszcze wyżéj wizerunek Ojca Przedwiecznego w obłoku, przez dwóch aniołków unoszony. Na samym zaś wierzchu krzyżyk pozłocisty, kamieniami po rogach sadzony, a w przecięciu jego ramion wyobrażenie Ducha świętego. Rysunek w ogóle piękny i umiejętnie wykonany.

10) *Relikwiarz* srebrny pozłocisty, wizerunkami Świętych w płaskorzeźbie, rubinami i ametystami ozdobiony, a zawierający, w szczerozłotéj z perłami uryańskiemi oprawie, cierń z korony Zbawiciela i cząstkę drzewa krzyża ś. Jest to dar Mikołaja Pawła Jasińskiego, prałata Scholastyka Wil.. r. 1602.

11) Sześć prostokątnych tablic srebrnych, na kilkanaście cali długich i szerokich, z *wizerunkami* w płaskorzeźbie życia i cudów ś. Kazimierza. Data niewiadoma.

12) Ryty obraz, wyobrażający *Wieczerzę Pańską*, na srebrnéj, miejscami złocistéj blasze, dar biskupa Eustachego Wołłowicza (1616 — 1630). Obraz ten, ostatniemi czasy wprawiono w arkę srebrną kapitulnego ołtarza.

13) *Kielich* srebrny wytwornéj roboty, rzeźbą pokryty, darowany przez kanonika Marcina Szulca Wolfowicza, r. 1624.

14) Posążek srebrny, częścią pozłocisty, ś. Kazimierza, przez Ewę Pacównę Gosiewską, wojewodziankę Smoleńską i córkę jéj, Helenę, księżnę Sanguszkową, wojewodzinę Witebską, w r. 1637 ofiarowany, a dzisiaj na podwalinie przybytku (tabernaculum) z prawego boku postawiony.

15) Kielich srebrny biały, z herbem Wojnów: *Trzy Trąby*.

16) *Relikwiarz* srebrny w kształcie małéj trumienki, z dwoma na wierzchu litemi posążkami aniołów, grecką mitrę biskupią unoszącemi. Relikwiarz ten zawiera w sobie kość skroniową i dwa pacierze szyjowe św. Józefata.

17) *Kielich* szczerozłoty z pateną, z herbem biskupa Brzostowskiego (1687 — 1722).

18) *Kielich* z herbem biskupa Pancerzyńskiego (1723 — 1729).

19) *Kielich* biskupa Zienkiewicza (1730 — 1762).

20) Do darów z nowszych czasów należy *kielich*, ofiarowany w dzień ś. Kazimierza d. 4 marca 1854 r. przez Michała hrabiego Ty-

szkiewicza, ordynata Birżańskiego. Srebrny ten *kielich*, misternego kunsztu, wysoki 20½ cali, ma wagi siedm funtów i dzieli się na cztery kondygnacye: *pierwsza*, w dwunastu płaskorzeźbionych wizerunkach na srebrze, wyobrażająca Narodzenie, Umęczenie i Chwałę niebieską Jezusa Chrystusa; *druga*, w sześciu wybornie wymalowanych emaliach, przedstawiająca Zbawiciela, Najświętszą Pannę i 4 Apostołów, pod któremi, jako ornament, są wyrzeźbione w srebrze cztery postacie, wyobrażające tryumf niebios i podeptanie sił piekielnych; *trzecia*, również płaskorzeźbiona, w srebrnej, wielce kunsztownej robocie, wyobrażająca, w czterech sklepionych niszach, cnoty i występki, jako to: miłość rodziców ku dzieciom; bluźnierstwo, z emblematem u stóp: szatana okręconego wężem; miłość dzieci ku rodzicom; i rozpacz, z emblematem śmierci, która je pochwytuje; *czwarta*, stanowiąca podstawę samego już kielicha, wyobraża ośmiu Apostołów, drugą kondygnacyą nie-objętych.

W późniejszych czasach, do skarbca katedralnego przeniesione zostały monstrancye, kielichy, rozmaite naczynia, sprzęty i aparata z kościołów wileńskich: missyonarskiego, franciszkańskiego, trynitarskiego, panien wizytek, karmelitanek bosych, nadto z kościoła dominikanów Trockich, bernardynów Słonimskich, karmelitów Głembockich, benedyktynek Dereczyńskich, dominikanów Poporckich i innych. Rzecz jednak godna uwagi, że w liczbie tych przedmiotów zgoła niema takich, któreby nosiły cechę starożytną, lub miały znakomitszą wartość materyalną. Domyślać się należy, że te ostatnie udzielone zostały innym istniejącym kościołom.

WIADOMOSCI Z NAUK PRZYRODNICZYCH I STOSOWANYCH

PRZEZ

Prof. **Karola Jurkiewicza.**

Nowe ciała niebieskie. Oczekiwane na początku roku przejście przez tarczę słoneczną—przypuszczalnej planety, o której mówiliśmy obszerniej w tomie I Kwartalnika, nie ziściło się bynajmniej. Naprożno astronomowie pilnie w dniach 21, 22 i 23 Marca dopatrywali czarnej charakterystycznej plamy na owej tarczy: plama nie ukazała się wcale. Sam zresztą p. *Leverrier* wątpił o pomyślnym skutku obserwacyi, pokładając więcej nadziei w następnem możliwem przejściu, które wszakże dopiero w Październiku 1882 roku, według jego obliczeń, nastąpić może. Początek za to bieżącego roku obfitym był w odkrycia nowych teleskopowych planet, których cały rój istnieje pomiędzy Marsem i Jowiszem. Tak p. *Perrotin* w obserwatoryum Tuluzkiem odkrył nową (170 z kolei), w dniu 10 Stycznia, dwie zaś inne (171 i 172) p. *Borelly* w Marsylii, w dniach 13 Stycznia i 5 Lutego. Trzy również komety w ciągu pierwszych czterech miesięcy dostrzeżone były przez tego ostatniego.

Ostrzeżenia meteorologiczne. Niezmiernej wagi znaczenie stałych a ścisłych spostrzeżeń meteorologicznych, na rozmaitych punktach globu dokonywanych i odległym okolicom za pomocą telegrafu oznajmianych, ujawnia się coraz bardziej i pożądane wielce sprowadza skutki. Burze nawiedzające Europę po największej części spadają na nią od zachodu; zachodnie więc wybrzeża najpierwej przez burze owe nawiedzane bywają. Oddawna już angielscy i francuzcy meteorologowie okoliczność tę zauważyli i zażądali od władz angielskich, ażeby spostrzeżenia meteorologiczne, dokonywane w Ameryce,

były codziennie przesyłane telegrafem do Europy. Rzeczywiście odbywało się to przez pół roku. Wszelako wiadomości te, ograniczając się do jednego tylko punktu, a mianowicie do obserwacyj robionych w Heart's-Content, w Newfoundlandzie, punkcie, w którym lina telegrafu zanurza się w oceanie, nie mogły dawać wskazówek co do kierunku przebiegu burz, zmierzających od brzegów amerykańskich przez północny Atlantyk ku Europie. Doświadczenie okazało, że burze Newfounlandu, oznajmiane telegrafem, po największéj części nie dochodziły do Europy, ginąc gdzieś ku północy w czasie swego przez ocean przebiegu; rząd więc angielski uważał przesyłanie codziennych meteorologicznych depesz za rzecz nieużyteczną i zaniechać je polecił. Toż samo stało się z przysyłaniem wiadomości o burzach, powstających na wyspach Azorskich, z którego również wiele sobie obiecywano pożytku. Przekonano się bowiem, że z zaburzeń atmosferycznych na téj stacyi ledwie 40 na 100 dosięga wybrzeży europejskich. Stacyę więc meteorologiczne w Newfoundlandzie i na Azorach zniesione ostatecznie zostały.

Rzeczywiście, obserwacye luźne, z jednego jakiegoś odległego punktu oznajmiane, nie mogą mieć praktycznego znaczenia. Nabierają go one wtedy tylko, kiedy zestawione będą z obserwacyami dokonywanemi współcześnie i ciągle na wielu punktach. Burza, srożąca się na brzegu Newfoundlandu, sama przez się uważana, nie wskazuje bynajmniéj, zkąd się wzięła, ani ku jakim podąży okolicom; ale obserwacye na rozmaitych punktach północnego amerykańskiego kontynentu pozwalają już ściśle wyznaczyć kierunek jéj i szybkość przebiegu. Dziwić się więc wypada, że angielscy meteorologowie, zamiast rozszerzenia swéj, oczywiście niedostatecznéj, działalności pomnożeniem stacyj spostrzegawczych, woleli, nie otrzymując spodziewanych wypadków, zwinąć raczéj już istniejące. Inaczéj zapatruje się na tę kwestyą jeden z najsłynniejszych dzienników amerykańskich, nowojorkski *Nowy Herold*, który zjednał już sobie obok szerokiego rozgłosu i poczytności, nieraz i wdzięczne uznanie ogółu za zasługi ważne, a poza obrębem bezpośredniéj działalności dziennikarskiéj leżące, że tu wspomnimy tylko naprzykład fakt taki, jak wysłanie Stanleya na odszukanie Livingstona, i dotychczasowe badania środkowéj Afryki, kosztem redakcyi pisma, przez owego Stanleya dokonywane. Otóż dziennik ten od połowy ubiegłego Lutego stale przesyła do Europy ostrzeżenia meteorologów amerykańskich o zaburzeniach atmosferycznych, zjawiających się w północnéj Ameryce, z wymienieniem zarazem liczby dni, w jakich dana burza, we wskazanym kierunku przebiegłszy Atlantyk, brzegów europejskich dosięgnąć prawdopodobnie może. Z siedmiu podobnych ostrzeżeń, przez drugą połowę Lutego i miesiąc Marzec przesyłanych, sześć się sprawdziło, jak to wykazują buletyny meteorologiczne, ogłaszane codziennie przez dziennik francuzki *Temps*. Kiedy znowu przez dni dziesięć żadne nie przychodziło ostrzeżenie, brzegi francuzkie i an-

gielskie nie doświadczyły rzeczywiście żadnego atmosferycznego wstrząśnienia, któreby na nie od zachodu spadło. P. *Leverrier*, dyrektor paryzkiego obserwatoryum, wobec tych faktów odzywa się z wielkiem uznaniem o użyteczności depesz meteorologicznych nowojorkskiego *Herolda*, zapewnia mu swe współdziałanie w tym kierunku, i ogłaszanie w wydawanym przez siebie „*Atlasie ruchów ogólnych atmosfery*“ wszelkich kart i danych, jakie mu przez redakcyą przesłane zostaną. Obserwacye te, zestawiane ze spostrzeżeniami w Newfoundlandzie i na wyspach Azorskich, a nadto zaprowadzenie stałej meteorologicznej stacyi w Julianshaab, w południowej Grenlandyi, dałyby istotny i nader pożądany obraz stanu meteorologicznego na całym Atlantyku w danej chwili. Lina podmorska, poprowadzona z Julianshaab przez wyspy Orkadzkie i Szetlandzkie, oznajmiałaby drogę burz, nawet takich, które zerwawszy się z brzegów amerykańskich giną gdzieś na północy. Meteorologia międzynarodowa, posiadająca cztery miejscowości stałe: Julianshaab, Valentia (w Irlandyi), Heart's Content (w Newfoundlandzie) i wyspy Azorskie, które stanowią wierzchołki olbrzymiego czworoboku na oceanie, miałaby wciąż czujne oko zwrócone na olbrzymi wód obszar, przez niezliczone statki ustawicznie przebiegany, a nie przecięty bynajmniej żadnym lądem, ani archipelagiem, któreby kierunek przebiegającej burzy odchylać mogły. Jeżeli więc kierunek burz podlega, jak przypuszczają, pewnym stałym i normalnym prawom, to prawa te na Atlantyku najłatwiej wykryć się dadzą.

Meteorologowie *Herolda*, przypisują znanemu powszechnie stałemu prądowi oceanowemu, *Gulfstreamowi*, wpływ przeważny na kierunek burz atlantyckich i uważają go za głównego ich kierownika. Ciepłe bowiem jego wody, zmierzając ku północy i stygnąc, wydzielają ogromną ilość pary wodnej, tworzącej w atmosferze niby olbrzymi korytarz, wzdłuż którego przebiegają trąby wodne, czyli cyklony. Olbrzymia ta rzeka ciepłej wody, przerzynająca ocean i stanowiąca massę dziesięć tysięcy razy większą od przepływu Missisipi, ulega, według pór roku, ważnym zmianom, pod względem mianowicie swej szybkości, położenia geograficznego, a nawet ocieplenia,—co wszystko winno być brane w rachunek przy systematycznem przepowiadaniu burz możliwych. Ogrzanie wody gulfstreamu, podtrzymywane bądź działaniem wewnętrznego ciepła ziemi, bądź skutkiem nieznanych nam jeszcze przyczyn, jest faktem wielce poważnym. Olbrzymi ten strumień w przebiegu swoim niewiele z ciepłoty swojej utraca, bo wychodząc z kanału Bahama posiada 30° C., a dosięgając Newfoundlandu zachowuje jeszcze niekiedy 25° C. Traci więc mniej więcej ledwie 5° w przebiegu od 300 do 400 mil geograficznych wynoszącym, a trwającym przeszło trzy tygodnie. Na długiej tej drodze ogrzewa on stykające się z sobą powietrze, zmniejsza jego ciśnienie, i tym sposobem wytwarza swobodniejszą dla burz drogę. Na przypuszczeniach podobnych meteorologowie

amerykańscy opierają kierunek przebiegu burz od zachodu wybiegających. Jeżeli obserwacye bezpośrednie fakt ten stwierdzą, wtedy meteorologia morska wielkiego praktycznego nabędzie znaczenia. Zestawienie obserwacyj meteorologicznych na kontynencie amerykańskim z obserwacyami na okrętach ocean przebiegających i na brzegach europejskich wykaże ostatecznie, o ile burze europejskie są dalszym ciągiem i ostatecznym wynikiem wstrząśnień atmosferycznych, poczętych na drugiéj półkuli. Początkowanie w tym względzie zawdzięczamy właśnie nowojorkskiemu dziennikowi, którego ostrzeżenia sprawdzać się zaczynają. Tak np. 14 Kwietnia wyprawiono z Ameryki telegram, że burza dosięgnie brzegów europejskich w dniu 21 lub 22. Nazajutrz, 15-go rozpoczęła się burza od wschodu i północo-wschodu, srożąca się z niezwykłą gwałtownością. Dwa tylko porty: Scarborough i Yarmouth straciły 44 statków rybackich z 250 ludźmi. D. 19 burza cichnąć zaczyna i wiatr stopniowo słabnie; 20-go wysokość barometru przychodzi do równowagi w całéj Europie, następnie się zwiększa i pogoda wszędzie panuje. Wszelako ku wieczorowi w Walencyi barometr lekko opadać a morze burzyć się zaczyna, pomimo bardzo słabego wiatru, — co jest nieomylną oznaką burzy na pełnem morzu. D. 21 nagle w Paryżu deszcz się pojawia, a w całéj Anglii stacye meteorologiczne zapisują niepogodę bynajmniéj nie oczekiwaną. Niepogoda ta od zachodu wysuwa się na Europę i trwa przez dnie 22 i 23, z wybuchami, od czasu do czasu, gwałtownego zachodniego wiatru i gradem w Anglii i Francyi. Dopiéro 24-go wiatr zamienia się na północny i cisza ustala. Burza więc, na tydzień przedtém z Ameryki zapowiedziana, nie zmieniła swego kierunku i ziściła się w zupełności.

Prace Prof. Radziszewskiego nad fosforescencyą. Wszystkie prawie nasze pisma donosiły już niejednokrotnie o odkryciu Prof. chemii w uniwersytecie Lwowskim, p. *Radziszewskiego*, mianowicie zjawiska fosforescencyi, czyli świecenia w ciemności pewnych związków organicznych. Fakt sam streścić się daje w ten sposób: że cały szereg szczególnych związków, otrzymywanych sztucznie w pracowniach chemicznych, jak *np.* tak zwane: hydrobenzamid, amaryna, lofina, paraldehyd, metaldehyd, furfuryna, anisidyna i t. p. posiadają szczególną własność błyszczenia mniéj lub więcéj żywem światłem różnéj barwy, jeżeli tylko znajdują się w zetknięciu z roztworem wyskokowym potażu gryzącego. Fosforescencya ta, według zdania uczonego naszego chemika, jest wynikiem bardzo powolnego utleniania się owych związków kosztem tlenu powietrza przy współudziale potażu gryzącego. Ciekawe to odkrycie przedstawione paryzkiéj Akademii Nauk wywołało uwagi jednego z jéj członków, słynnego chemika *Chevreula*, który do pewnego stopnia pierwszeństwo jego przyznawał sobie, przywodząc dawniejsze prace swoje nad utlenianiem ciał organicznych w łonie roztworów alkalicznych, które dowodzą, że alkaliczność roztworów sprzyja w ogóle pochłanianiu

tlenu i pochłanianie to przyśpiesza. Prof. *Radziszewski* w odpowiedzi swojéj nie przeczy bynajmniéj znaczenia rezultatów dawniéj przez francuzkiego chemika otrzymanych, zwraca wszakże uwagę, że jemu wcale o co innego chodziło, a mianowicie, o szczególne warunki, w których zjawisko fosforescencyi się przejawia. Warunkiem istotnym jest właśnie powolność odczynu chemicznego, bez któréj fosforescencya nie pojawia się wcale, pomimo utleniania.

Z naszéj strony pozwolimy sobie zrobić uwagę, że odkrycie Prof. *Radziszewskiego* jest stwierdzeniem poglądów nad przyczyną fosforescencyi ciał w ogóle, przed trzydziestu laty przez znakomitego włoskiego fizyka *Matteucci* wypowiedzianych. Badając powody świecenia ciał w ciemności, a między innemi i robaczków świętojańskich, uczony włoski doszedł na drodze doświadczalnéj do przekonania, że błyszczenie ich zależy od powolnego niezmiernie utleniania się pewnéj materyi węglowéj zawartéj w dwóch ostatecznych pierścieniach ich odwłoka. Pierścienie te, odcięte od zwierzęcia, błyszczały żywém światłem w atmosferze tlenu, a gasły natychmiast w atmosferzu kwasu węglanego, wodoru lub azotu.

Badania nad karbunkułem. Zaraźliwa choroba niszcząca całe trzody koni, bydła rogatego, owiec, nieprzepuszczająca nawet człowiekowi, znana pod nazwiskiem *Karbunkułu*, *gangreny śledziony*, *czarnéj krosty*, istnieje od niepamiętnych czasów, a od przeszłego wieku starannie badana jest z powodu strasznych klęsk, jakie wszędzie, od czasu do czasu, sprowadza. Wszystkie wszakże nad nią, a bardzo liczne prace, do ostatnich czasów dokonywane, zajmowały się wyłącznie badaniem zjawisk i etiologii choroby, ale nic prawie nie wyrzekły o jéj przyrodzie i sposobie rozszerzania się. Jako powód jéj podawano niezdrowe miejscowości, obecność w pokarmach grzybków mikroskopijnych, nadmiar pożywienia, lata wilgotne, długie ulewy po upałach i t. p. Częste srożenie się jéj spostrzegano w okolicach bagnistych, lub w miejscowościach o gliniastém i nieprzepuszczalném podłożu. Powstawanie jéj przypisywano w ogóle zaraźliwym wyziewom ziemnym, a następne rozszerzanie się zaraźliwości przez bezpośrednie zetknięcie. Badania pośmiertne ograniczały się na grubym oględzie głównych organów i słabe światło rzucały na przyrodę choroby. W 1863 r. *Davaine* oznajmił Paryzkiéj Akademii Nauk, że we krwi zwierząt dotkniętych karbunkułem istnieją stale pewne włoskowate ciałka, podobne do wymoczków fermentu masłowego. Ciałka te wskazywali przedtém i inni już badacze; wszelako istnienie ich przypuszczali tylko we krwi gnijącéj zwierząt na karbunkuł padłych. *Davaine* nazwał je *bakterydyami* i odróżnił od zwykłych bakteryj, napotykanych w gnijących zwierzęcych i roślinnych materyach, tém, że są w ogóle dłuższe, od $^1/_{100}$ do $^?/_{100}$ milimetra wynoszące, i żadnych

ruchów nie przedstawiają. *Ferdynand Cohn* w swych znakomitych pracach nad grzybami mikroskopowemi, pomieścił bakterydye Davaine'a w grupie *schizomycetów* (grzybów mikroskopowych), w rodzaju *Bacillus*, nazywając je gatunkowo: *Bacillus anthracis*.

Davaine doświadczeniami swemi wykazywał, że obecność bakterydyów warunkowała rozwój choroby karbunkułowéj, co wszakże nie zawsze stwierdzoném bywało przez próby innych badaczów. Wyłączna rola bakterydyów w zaraźliwości karbunkułu nie objaśniała pierwszych wypadków doraźnych, rozpoczynających każdą epidemią, bo krew, zawierająca bakterydye, zachowuje swą zaraźliwość przez kilka tylko tygodni w stanie suchym, a przez kilka dni w ciekłym. Niepodobna więc było przypuszczać, ażeby bakterydye, pogrzebione z ciałem zwierzęcia w gruncie wilgotnym, mogły przechowywać swą żywotność przez długie lata i następnie wywoływać chorobę, skoro w jakikolwiek sposób pochłonięte przez zwierzę zostaną. Na téj zasadzie teorya *Davaine'a* wielu miała przeciwników, którzy nie uważali bakterydyów za jedyny powód karbunkułu. Znajomość dopiéro rozwoju i warunkow życiowych tych jestestw, mogła wyjaśnić kwestyą ich udziału w etiologii chorób karbunkułowych. Otóż d-r *Koch*, opiérając się na niedawnych pracach *F. Cohna* nad bakteryami, wykonał w roku przeszłym szereg spostrzeżeń i doświadczeń, stwierdzających poglądy Davaine'a, i rzucających nowe światło na niewyjaśnione dotąd teoryi téj wątpliwości.

We krwi, płynach i tkankach chorego zwierzęcia *Bacillus anthracis* rozwija się i rozmnaża nader szybko, według normy rozwoju innych bakteryj. Stanowiący go *pręcik* (bacillus) wydłuża się w dwójnasób, przewięża w środku swojej długości, dwie połówki rozdzielają się i tworzą dwa nowe jestestwa. Szczepiąc krew karbunkułową z jednego zwierzęcia na drugiém, można tym sposobem rozmnażać *prątnika karbunkułowego* do nieskończoności. Przy badaniu pośmiertném śledziona i gruczoły limfatyczne są nim przepełnione — we krwi zaś występuje on w ilości zmiennéj. U świnki morskiéj ilość pręcików dosięga, a nawet przewyższa, liczbę czerwonych krążków krwi; u królika, a témbardziéj u myszy, ilość ich bywa daleko mniejszą. Przy kolejném szczepieniu krwi zatrutéj całemu długiemu szeregowi zwierząt żywych, przenosząc ją z jednego na drugie, prątnik rozmnaża się jedynie w sposób wyżéj wymieniony. Ale w trupie dzieje się inaczéj.

Jeżeli prątnika karbunkułowego włożymy w surowicę krwi, albo w jakikolwiek płyn organiczny, i utrzymywać go będziemy w temperaturze 35° — 37° w zetknięciu z wilgotném powietrzem, wtedy wydłuża się on niezmiernie, staje się kilkadziesiąt i sto razy dłuższym, zgina się, splata i tworzy gęste zwoje; następnie traci swą przezroczystość, we wnętrzu każdego wydłużonego pręcika pojawiają się wyraźne ziarnka oddzielne, tuż przy sobie jedno obok drugiego leżące i nadające pręcikowi postać różańca. Następnie ziarnka te,

związane z początku materyą śluzowatą, oddzielają się od siebie, i każde z nich staje się istotnem nasieniem, czyli *sporą*, podobnie jak to i u innych bakteryj, według spostrzeżeń *Cohna*, ma miejsce.

Koch śledził pod mikroskopem wszystkie te kolejne przeobrażania się prątnika, od wydłużania aż do rozdziału na zarodniki; przyczem starannie zbadał warunki rozwoju. Przy 35° pręciki rozwijają się szybko i po 20 godzinach już dają zarodniki. W 18° spory rozdzielają się dopiero na drugi lub trzeci dzień. W temperaturze niższej od 12°, lub w wyższej od 45°, pręciki się nie rozwijają. Obecność powietrza niezbędną jest dla rozwoju. Bez obecności tlenu pręcik rozpada się na drobne kawałki i obumiera; we płynie gnijącym istnieją wtedy zwykłe tylko bakterye. Przeciwnie, w przystępie powietrza prątnik karbunkułowy rozwija się i daje zarodki w obecności i innych mikroskopowych jestestw (bakteryj, wrotków); jeżeli wszakże płyn zbyt jest rozcieńczony wodą, to pręciki umierają, zanim rozdzielą się na ziarna. Ślady kwasu karbolowego rozwój pręcików całkowicie niszczą.

Zarodki grzybka karbunkułowego, włożone do surowicy krwi lub wodnego płynu, rozwijają się dalej i wytwarzają pręciki. Zarodek każdy okrywa się massą galaretowatą, przezroczystą, stanowiącą kulkę, wydłużającą się w jednym kierunku w kształt jajowaty, a zarodek leży w jednym jej końcu. Ta massa przezroczysta wyciąga się ostatecznie w pręcik; zarodek maleje, rozpada się i ostatecznie znika. Zarodek więc zdaje się być kropelką materyi oleistej, silnie załamującej światło, otoczoną galaretowatą zarodzią (protoplasma).

Fizyologiczne objawy stwierdzają całkowicie te mikroskopowe spostrzeżenia. Zwierzęta, którym zaszczepiono płyn zawierający jedynie zarodki grzybka, umierają szybko na karbunkuł, a krew ich i śledziona są po śmierci przepełnione pręcikami. Przebieg choroby tem jest krótszy, im większa jest ilość zaszczepionych zarodków. Pręciki, przechowywane w płynach lub wysuszone, tracą w kilka dni własność wywoływania choroby, ale zarodki inaczej się zachowują: w czystych płynach, a nawet w gnijących, zatrzymują swoję żywotność po trzech miesiącach. Kawałki śledziony, wysuszone i zawierające zarodki, wywoływały chorobę po czterech latach.

Fakta te, tak ważne ze względu na etiologią choroby, łatwo objaśniają różnicę wypadków osiąganych przez rozmaitych badaczy przy szczepieniu zwierzętom krwi lub materyj, pochodzących ze zwierząt padłych na karbunkuł. Jedni szczepili krew szybko wyschłą i zawierającą jedynie pręciki, które w tym razie prędko tracą żywotność swoją; inni używali krwi wyschłej powolnie, w której pręciki miały czas się rozwinąć i wydać ziarnka zdolne do rozwoju przez długi jeszcze czas po swem wyschnięciu. Drobne kawałeczki śledziony, gruczołów limfatycznych i t. p., wzięte ze zwierząt karbunkułowych, przez wysuszenie tracą swą zaraźliwość po kilku godzinach, najpóźniej po dniach kilku; mikroskop wtedy wykazuje

w ich tkance tylko mniej lub więcej wydłużone pręciki, które w zetknięciu z płynem pozostają nieprzezroczystemi i dzielą się na nieforemne kawałki: są to martwe pręciki. Ale większe kawałki tkanek, wolniej wysychające, przechowują długo swoję zaraźliwość, zawierając wewnątrz ziarnka zarodkowe grzyba.

Bacillus anthracis zdaje się stanowić oddzielny gatunek, właściwy chorobie; bo jakkolwiek inne gatunki prątników czyli bakteryj istnieją w zgniłej krwi normalnej i wytwarzają ziarnka z pozoru podobne do *B. anthracis*, to wszakże ziarnka te czy pręciki, zaszczepione zwierzętom, nie wywołują żadnych przypadłości, albo takie tylko, które nic z karbunkułem wspólnego nie mają. Tak samo inne grzybki, żyjące w materyach lub płynach gnijących, nie sprowadzają karbunkułu. Grzybek karbunkułowy nie rozwija się wcale u psa, kota, u ptaków, ani u zwierząt zimnokrwistych, i rzeczywiście nigdy tej choroby u nich nie widziano.

Z badań więc *Kocha* pokazuje się, że istotnym powodem karbunkułu jest wprowadzenie do organizmu prątnika karbunkułowego, bądź świeżego, bądź wysuszonego, ale posiadającego jeszcze żywotność, bądź wreszcie ziarnek czyli zarodków jego. Pierwszy sposób zarażenia najczęściej występuje u człowieka. Czyściciele i grabarze, mając do czynienia z trupami lub skórami świeżemi zwierząt na karbunkuł padłych, ulegają często czarnej kroście. Owady siadające na chorych zwierzętach lub świeżych ich zwłokach mogą bardzo łatwo przenieść chorobę ukąszeniem. Wiadomo, że w upały częste są wypadki czarnej krosty z tego powodu. U zwierząt choroba pojawia się najczęściej przez wessanie pasożyta w stanie wysychającym, lub zarodków jego. Zwierzęta domowe prawie zawsze mają na skórze jakieś drobne ranki, czy zdarcia skóry przypadkowe. Otóż ranki te są otwartemi wrotami, przez które grzybek do krwi się dostaje. Być może, że wprowadzany on również bywa przez drogi oddechowe lub pokarmowe.

Trup zwierzęcia karbunkułowego, zakopany płytko w lecie, w gruncie wilgotnym; odchody chorych zwierząt, zawierające krew i zmięszane ze zwykłym nawozem, lub złożone na wilgotnem miejscu: znajdują się w najprzyjaźniejszych dla rozwoju prątnika i ziarn jego warunkach. Powiedzieliśmy, że ziarna te są wielce trwałe: kilkoletnie schnięcie, obecność wody lub gnijącego płynu, przemienność suszy i wilgoci, bynajmniej siły ich rozrodczej nie niszczą. Jeden więc trup może wytworzyć nieskończoną ilość zarodków i zarazić całą okolicę. Pojawienie się zarazy po wylewach wód, endemiczne panowanie karbunkułu w bagnistych okolicach, jest naturalnym skutkiem rozwoju grzybka w odpowiednich mu warunkach. Jedynym więc środkiem zapobiegającym pojawianiu się i rozszerzaniu chorób karbunkułowych jest zniszczenie wszelkich materyj, mogących zawierać prątnika karbunkułowego. W pojedyńczym jednym wypadku łatwo jest przez spalenie lub środki chemiczne zniszczyć trup padłego na

zarazę zwierzęcia, ale wielce trudném i prawie niepodobném do wykonania staje się to podczas epidemii, wobec mnóstwa padłych zwierząt. *Koch* proponuje w tym razie grzebanie trupów w oddali od mieszkań, w dołach na kilkanaście łokci głębokich, przez co pozostawałyby one w temperaturze niższéj od 15°, bez zetknięcia z powietrzem, a więc w dwóch warunkach powstrzymujących rozwój grzybka. Tym sposobem kradzież czy sprzedaż mięsa i skór ze zwierząt karbunkułowych, tak zwykle szerząca zarazę, niemożliwąby się stała. Głębokie to zakopywanie nie jest jednakże łatwém do wykonania. Zważywszy wszakże, jak wielkie klęski sprowadza często karbunkuł, na który np. w ciągu trzech lat (1867 — 1870) w gubernii Nowogrodzkiéj padło 56,000 owiec, koni i bydła rogatego, obok 528 ludzi, a w okręgu Mansfeldzkim w Saksonii, w jednym tylko roku 186,000 owiec, łatwo pojąć, jak kwestya zapobieżenia podobnie srogim epidemiom ważną jest dla rolników i weterynarzy. Wpływ zabójczy kwasu karbolowego na rozwój prątnika karbunkułowego, stwierdzony przez *Kocha*, niepoślednią w tym względzie odegrać może rolę.

Spostrzeżenia d-ra *Kocha* zwróciły na siebie baczną uwagę uczonych i do nowych skłoniły ich badań. Otóż słynny fizyolog paryzki, p. *Paweł Bert*, na jedném z posiedzeń Towarzystwa biologicznego w miesiącu Styczniu r. b. oświadczył: że za pomocą zagęszczonego tlenu zabijał prątnika w krwi karbunkułowéj, następnie krew tę szczepił, a zwierzę zaszczepione zdychało na karbunkuł, pomimo nieobecności bakterydyów. Wnioskuje więc z tego, że bakterydye nie są ani powodem, ani skutkiem niezbędnym karbunkułu; choroba zatém jest, według niego, wynikiem innego, specyficznego jadu.

Wiadomo jest, że p. *Bert* w ostatnich czasach pracował wiele nad wpływem zabójczym zgęszczonego tlenu na jestestwa żyjące. Zwracając szczególniéj uwagę na objawy rozmaitych fermentacyj, przekonał się, że fermentacye wywoływane w skutek obecności jestestw żyjących, jak np. gnicie, kwaśnienie wina i piwa, fermentacya wyskokowa i t. p., wstrzymują się całkowicie pod wpływem, nawet chwilowym, zgęszczonego tlenu. Przeciwnie, fermentacye wynikłe przez działanie materyj rozpuszczonych: dyastazu, pankreatyny, emulsiny i t. p., opierają się najzupełniéj działaniu podobnego tlenu. Tlen zgęszczony staje się więc doskonałym probierzem, czy dane objawy chemiczno-fizyologiczne zależą od obecności jestestw żyjących, czy od wpływu materyi rozpuszczonych w cieczy? bo pierwsze wpływem swoim całkowicie niszczy, przeciw drugim jest bezsilny. Robiąc doświadczenia nad jadem skorpionów, bądź świeżym, bądź wysuszonym a następnie rozpuszczonym w wodzie, p. *Bert* stwierdził, że tlen zgęszczony na jad ten nie działa. Zatrucie więc nie zależy tu od organizmów żywych w jadzie zawartych. Toż samo ma miejsce z jadem ospy i nosacizną — wreszcie z jadem karbunkułowym, który pomimo zabicia w nim bakterydyów zaraźliwym być

nie przestaje. Istota więc, wywołująca zarazę, jest we krwi rozpuszczona i powinna dać się z niéj wydzielić, jak dyastaz z wyciągu słodowego. Nad tém właśnie p. *Bert* pracuje.

Tym więc sposobem, d-r *Koch* i p. *Bert* stoją dziś przeciwko sobie z wprost przeciwnemi teoryami. Do rozjaśnienia sporu zabrali się również słynni badacze, pp. *Pasteur* i *Joubert*, którzy w dotychczasowych swoich sprawozdaniach Akademii więcéj zdają się stwierdzać spostrzeżenia *Kocha*. Mianowicie dotąd sprawdzili oni, że bakterydye karbunkułowe mogą się mnożyć we wszystkich płynach właściwych ich warunkom życiowym; że płyny te, przecedzone i zaszczepione, nie wywołują ani choroby, ani śmierci; że bakterydye, rozmnażając się w płynie, nie wytwarzają żadnych cząsteczek stałych, które według badań p. *Chauveau* są niezbędnemi działaczami w jadach zaraźliwych; że zatém w krwi karbunkułowéj nie wytwarza się żaden jad specyficzny, któremuby przyczynę choroby przypisywać należało. Obadwaj uczeni badania swoje prowadzą daléj i spodziewają się za pomocą odpowiednich metod, wyjaśnić sporne kwestye dotyczące karbunkułu, a dzielące dziś, jak widzimy, zdania fizyologów.

Cynk w organizmach. PP. *Lechartier* i *Bellamy* stwierdzili normalną obecność cynku w organizmie ludzkim i zwierzęcym, jak niemniéj w wielu roślinach. Wykryli go w wątrobie ludzkiéj i innych częściach ciała, w wątrobie cielęcéj, w mięsie wołowém, w jajach kurzych, ziarnach pszenicy, kukurydzy, jęczmienia, w fasoli i wyce. Ciekawą jest rzeczą, czy fakt ten jest stałym i ogólnym; tymczasem daje on wskazówkę, że wykrycie w organizmie cynku przy badaniach sądowo-lekarskich nie może stanowić dowodu otrucia tym metalem.

Podróż Camerona. Wśród licznych a śmiałych podróżników, jacy w ostatnich dwudziestu latach z nieustraszoną odwagą i istotném poświęceniem badali rozmaite okolice tak mało do naszych jeszcze czasów znanego olbrzymiego kontynentu afrykańskiego, jedno z najcelniejszych, bez zaprzeczenia, miejsc zajął porucznik angielski *Cameron*. Młody ten marynarz w roku przeszłym wrócił do Anglii po trzechletniéj podróży, w któréj po Livingstonie jemu pierwszemu udało się przejść w poprzek całą Afrykę, od Zangwebaru nad oceanem Indyjskim, do Bengueli nad oceanem Atlantyckim. Jeżeli samo przebycie 650 mil geogr. pieszo, przez nieznane pustynie, wśród niezliczonych dzikich murzyńskich plemion, dla pojedynczego Europejczyka jest już nadludzkim prawie wysiłkiem, zasługującym na wysokie uznanie, to świetne rezultaty naukowe, jakie Cameron osiągnął w swojéj słynnéj podróży, jednają mu niepożytą sławę. Dokładne zbadanie przez niego jeziora Tanganyika, i wyśledzenie rzeczywistego przebiegu rzeki Kongo, rozstrzygnęło wiele wątpliwych kwestyj geograficznych i rzuciło nowe światło na topografią zachodnich obszarów podrównikowéj Afryki, dotąd jeszcze stopą europejską nietkniętych. Śmiały podróżnik,

czyniąc zadosyć zaproszeniu paryzkiego Towarzystwa geograficznego miał w dniu 26 Stycznia r. b. publiczny odczyt w Sorbonie, w którym licznie zebranym uczonym opowiedział dzieje swojej wędrówki. A są one wielce, zaprawdę, ciekawe. Chcielibyśmy tu w najtreściwszym, o ile można, zarysie podać czytelnikom naszym wiadomość o téj podróży i jéj rezultatach, co wszakże nie łatwą jest rzeczą, tém bardziéj, że dotąd na żadnéj najnowszéj nawet karcie Afryki odkrycia Camerona nie są jeszcze zaznaczone, z wyjątkiem jedynie szczegółowych kart, podawanych w ostatnich latach przez specyalne dzienniki angielskie. Postaramy się wszakże opowiadanie nasze streścić w ten sposób, ażeby ono wobec najnowszych kart Afryki Kieperta lub Stiehlera zrozumiałém się stało.

Dwudziesto-ośmioletni porucznik marynarki angielskiéj Cameron, znany już z poprzednich swoich podróży, wysłanym został w Grudniu 1872 roku przez Towarzystwo geograficzne Londyńskie do Zangwebaru, jako naczelnik wyprawy afrykańskiéj, mającéj na celu dostarczenie Livingstonowi rozmaitych przedmiotów, do dalszéj jego podróży niezbędnych, a następnie nowe badania podrównikowéj Afryki, według wskazań doświadczonego w tym względzie Livingstona; przedewszystkiém zaś staranne studya nad systematem wodnym jeziora Tanganyika.

Cameron w dniu 18 Marca 1873 wyruszył z Bagamoyo w Zangwebarze ku środkowi Afryki, w towarzystwie przyjaciela swego p. *Dillona,* chirurga marynarki, należącego do wyprawy, oraz dwóch amatorów, pp. *Murphy,* oficera artyleryi i *Moffata,* siostrzeńca Livingstona, posiadacza znacznych plantacyj w Natalu, w południowo-wschodniéj Afryce, który, zapalony żądzą podróży, sprzedał wszystkie swoje majętności, ażeby połączyć się z wujem i dalsze dzielić z nim losy. Pierwszy okres podróży, od Zangwebaru do kraju Unyanyembe, z więcéj znaną główną osadą Kazeh, trwał półszósta miesiąca i ciężką dolą odbił się na całéj wyprawie. Niebawem po rozpoczęciu drogi Murphy i Moffat, złożeni febrą, musieli wypoczywać, kiedy wytrwalsi Cameron i Dillon ruszyli daléj i przez miesiąc w jednéj miescowości czekali na przybycie pozostałych w tyle. Jeden wszakże tylko Murphy się pojawił — młody i zapalony Moffat uległ chorobie. Pozostali trzéj wędrownicy, zwalczywszy tysiące trudności, dosięgli wreszcie Unyanyembe d. 4 Sierpnia. Ale siły ich były zużyte. Najwytrwalszy z nich, Cameron, przez dwadzieścia dziewięć dni nie wstawał z łoża, trapiony febrą, która go długi czas późniéj nie odstępowała, a do czego i gwałtowne zapalenie ócz się przyłączyło. Towarzysze jego w bardziéj jeszcze opłakanym znajdowali się stanie. Przytułek znaleźli w Kuikuru, stolicy kraju Unyanyembe, gdzie gościnni Arabowie otoczyli ich czynną pomocą, a gubernator o siedmiowyrazowém nazwisku, (które tu pomijamy) oddał im na mieszkanie dom, w którym niedawno Stanley odszukujący Livingstona zamieszkiwał. Tu w końcu Sierpnia posłaniec Mtezy, władcy kraju Uganda,

z nad jeziora Wiktorya Nyanza, doręczył Cameronowi list od słynnego podróżnika Bakera i odniósł zaraz odpowiedź. Przy końcu Października, kiedy podróżnicy nasi, trapieni chorobą i ciągłą ucieczką tragarzy, bezczynnie przesiadywać na miejscu musieli, zjawił się nagle *Chouma*, ów wierny sługa Livingstona, zwiastujący zgon jego i zbliżanie się pogrzebowego orszaku. Cameron wysłał natychmiast na spotkanie zapas odzieży, na której orszakowi owemu wielce zbywało. Za przybyciem zwłok, wszyscy znaczniejsi Arabowie zebrali się dla uczczenia pamięci wielkiego podróżnika. Nie znalazłszy przy życiu Livingstona, Cameron zajął się gorliwie urządzeniem karawany, któraby śmiertelne jego szczątki i wszystko, co po nim pozostało, do Zangwebaru pomyślnie dostawić mogła. Ponieważ służący mówili, że niektóre papiery, a mianowicie karty Livingstone'a własnoręczne pozostały w Udżydży, nad jeziorem Taganyika, przeto podróżnik nasz uważał za niezbędny swój obowiązek odzyskanie ich przedewszystkiém, a następnie dalsze posuwanie jego odkryć. Postanowił więc ruszyć ku zachodowi z mocném postanowieniem oparcia się aż na brzegach Atlantyku. Pomimo znękania chorobą, Murphy i Dillon, który jedno oko postradał, chcieli jednakże mu towarzyszyć. Odradził im to wszelako ze względu na stan zdrowia i brak tragarzy. Obadwaj więc udali się ku wschodowi wraz z ciałem Livingstona d. 9 Listopada 1873 r., a Cameron sam ruszył dalej ku zachodowi. W kilka dni później 17-go przyjaciel jego, zdolny i gorliwy Dillon padł ofiarą wycieńczenia i zabójczego klimatu.

Idąc dalej przez nieznane dotąd kraje i opłacając wymagany przez rozmaite plemiona haracz umówioną liczbą łokci perkaliku, Cameron badał po drodze południowe strumienie i w ogóle cały padół rzeki Malagarazi, wpadającej od wschodu do jeziora Tanganyika, i d. 21 Lutego 1874 r., stanął na jego brzegach. „Nie chciałem temu wierzyć“ powiada „widząc przed sobą olbrzymi obszar wód szarych, zlewający się, jak oko sięga, z horyzontem; góry Ougoma otaczające go z zachodu wydawały mi się odległemi chmurami“. W stolicy Udżydży, Kaouele, Arabowie przyjęli go gościnnie i oddali wszelkie papiery pozostałe po Livingstonie. Teraz zajął się badaniem jeziora. Trzeba bowiem wiedzieć, że jezioro owe od lat szesnastu było przedmiotem rozmaitych zdań i sporów dla współczesnych geografów. Burton i Speke odkryli je d. 13 Lutego 1858. W marcu tegoż roku Speke przepłynął je w poprzek i z Udżydży na wschodnim jego brzegu dostał się na wyspę Kasenge, leżącą u zachodniego. Przez Kwiecień i Maj obadwaj ci podróżnicy w dwóch otwartych czółnach badali północną część jeziora, ale z końcem Maja dla braku żywności musieli wrócić do Udżydży. Chociaż więc zakres ich badań był stosunkowo niewielki, wszelako Burton zebrał od Arabów dużo ciekawych danych o jeziorze. Opisując zatém jego położenie powiada, że stanowi ono zachodni kraniec wschodniej jednej trzeciej części szerokości afrykańskiego kontynentu i leży równolegle do średnio-

afrykańskiéj linii wulkanicznéj. Sądząc z powierzchowności i z gór wznoszących się prawie nieprzerwanym łańcuchem po obu jego brzegach do wysokości od 2 — 3000 stóp na długość przeszło 60 mil geograficznych, Burton jezioro samo uważał za rodzaj wulkanicznego krateru, a nie za rodzimy zbiornik wód z owych gór spadających. Wskazał główne rzeki wpadające do jeziora, ale dowodził, że żadna z niego nie wypływa, że więc poziom jego pozostaje niezmienny w skutek równoważenia się parowania wód z dopływem. Inni geografowie utrzymywali, że rzeka Rusizi wpadająca doń według podania Burtona na północy, wypływa raczéj z niego, że zatém Tanganyika jest główném źródłem Nilu. Teorya ta do pewnego stopnia popartą została wiadomościami zebranemi niedawno przez *Bakera*. Były również zdania, że rzeka Ruaha albo Lufidży wychodzi z jeziora na wschodniéj stronie i wody jego niesie do oceanu Indyjskiego; kiedy przeciwnie d-r *Beke* zaprzeczał wszelkiego wypływu. Livingstone niejednokrotnie był u Tanganyiki. Pierwszy raz dosięgnął południowego krańca jeziora w Kwietniu 1867 r., ale według własnego opowiadania był wtedy tak chory, że spostrzeżenia jego żadnéj nie mają wartości. W 1869 r., również chory, płynął pod wiatr przez czternaście godzin wzdłuż zachodniego brzegu w głębokiéj ciemności i nie zwrócił uwagi na główny punkt, w którym właśnie woda z jeziora uchodzi. W Listopadzie 1871 r. był znowu na północnym jego końcu i badał ujście rzeki Russizi. Utrzymywał, że wszystkie rzeki w około północnych brzegów wpadają do jeziora, i tém potwierdził zdanie Burtona. W ogóle Livingstone nie miał wyrobionego zdania o hydrografii Tanganyiki. W Udżydży obserwował, że wody jeziora od Lutego do Listopada płyną ku północy z szybkością około 700 sążni na godzinę. „Wtedy parowanie, powiada on, jest najsilniejsze; potém woda zaczyna zwolna płynąć ku południowi, dopóki znowu w Lutym wielkie nie spadną deszcze“. Przypuszczał więc zmienność kierunku wód zależną od parowania i deszczów na całéj długości jeziora, wynoszącéj sześćdziesiąt kilka mil geograficznych. Raz zdawało mu się, że jezioro nie ma żadnego odpływu; drugi raz nie wątpił, że gdzieś wody jego uchodzić muszą, ale nie zdołał odnaleźć tego miejsca; kiedyindziéj znowu tę lub ową rzekę uważał za wypływ, co znowu przy dziwném pomieszaniu nazw stanowiło nieodgadnioną dla geografów zagadkę.

W obec tedy tych zdań chaotycznych, hydrografia Tanganyiki była niezmiernie ważną dla nauki kwestyą, tém bardziéj, że znaczna część jeziora przez nikogo jeszcze zwiedzoną nie została. Otóż, zadanie to oczekiwało ostatecznego rozwiązania, kiedy Cameron d. 21 Lutego 1874 stanął u brzegów jeziora, ściśle w lat szesnaście po jego odkryciu. Badania Tanganyiki, dwumiesięczna żegluga po jeziorze, stanowią drugi okres działalności niezmordowanego podróżnika.

Przedewszystkiém zajął się on dokładném wyznaczeniem położenia geograficznego Udżydży za pomocą licznych i ścisłych obserwacyj

księżyca i wysokości południka. Długość geograficzna, otrzymana, wynosi 30° 4′ 30″ d. wschod.; szerokość — 4° 58′ 3″ szer. południ. Wzniesienie Tanganyiki nad poziom morza wyznaczano temperaturą wrzenia wody przy pomocy siedmiu termometrów, a nadto czterema aneroidami Casellego i dwoma rtęciowemi barometrami Georges'a. Punkta wrzenia dały 2710 stóp, barometry 2711,2, aneroidy takiż sam wypadek. Po raz to pierwszy barometry rtęciowe użyte były do mierzenia wzniesień w środkowéj Afryce. Następnie Cameron na czółnie wypłynął w Marcu z Udżydży i posuwał się wzdłuż wschodnich, południowych i zachodnich brzegów jeziora aż do Kasenge. Tym sposobem zwiedził całkowicie nietylko południowy, przez nikogo dotąd nie zbadany jego obszar, ale poznał jezioro w trzech czwartych jego długości, badając każdy strumień z niém się łączący. W podróży téj odkrył 96 rzek rozmaitéj wielkości, nie licząc mnóstwa podrzędnych strumyków z gór spadających. Na wschodnim brzegu wszystkie one rzeczywiście wpadają do jeziora, ale na zachodnim brzegu w odległości pięciu mil na południe od wysepek Kasenge, znalazł 31 Maja rozwiązanie ostateczne zagadki: rzekę wypływającą z jeziora. Rzeka ta zowie się *Lukuga* i płynie z szybkością 1,2 węzłów na godzinę. Cameron wpłynął na nią, ale daléj nad milę geograficzną posunąć się nie mógł, dla nieprzebytych trzcinników i traw, któremi jest zarosła. Naczelnik plemienia zamieszkującego nad tą rzeką przyjął go przyjaźnie i opowiedział mu, że rzeka ta wpada do rzeki *Luvwy* (*Lualaby* Livingstona). Cameron powrócił do Udżydży. Zamiarem jego było przedrzéć się przez dzikie, trawami olbrzymiemi zarosłe obszary wzdłuż koryta Lukugi aż do ujścia jéj do Luvwy, ale nikt mu towarzyszyć nie chciał; ani jeden z Arabów nie znał téj drogi, a żaden z jego tragarzy nie chciał iść bez przewodnika. Dziewiętnastego więc Maja 1874 r. odesłał przez swego wiernego służącego i dwóch murzynów dziennik swój i papiery Livingstona do Zangwebaru, gdzie się szczęśliwie dostały, sam zaś postanowił udać się w dalszą drogę ku zachodowi. Przedewszystkiém zaś powrócił do Kasenge, punktu, w którém niegdyś Speke dosięgnął zachodniego brzegu Tanganyiki, a odprawiwszy wszystkich ludzi, którzy daléj z nim iść nie chcieli, z wyborowymi d. 20 Maja puścił się w drogę, pełen zapału, ale z bardzo ograniczonemi zapasami, które mu po większéj części w Udżydży rozkradli właśni jego ludzie pozostawieni tamże podczas podróży jego po Tanganyice. W ogóle znalazł on wiele gościnności u Arabów w Udżydży, którzy z wielkiém zadowoleniem słuchali jak im rozmaite powiastki opowiadał — co zarazem wybornym było dla niego środkiem udoskonalenia się w języku. Łagodny jego charakter i uprzejmość dla Murzynów z którymi się stykał, wielce mu podróż ułatwiały. Przekonał się wzajem, że mnogie plemiona Negrów odznaczają się niezwykłą intelligencyą. Sam oświadcza, że w okolicach Tanganyiki nie doświadczył nigdy najmniejszéj przykrości starając się ze swojéj strony nie dawać żadnego powodu do obrazy.

Opuściwszy Kasenge Cameron przebył południowy kraniec gór Ougoma, mnóstwo strumieni wpadających do Lukugi, kraj Ougouha, góry Bambarre, w parowach których rosną olbrzymie drzewa, na 100 do 160 stóp wysokie. Następnie wszedł do rozległéj krainy Manyuema, w któréj każda wioska ma swego niepodległego władcę. Mieszkańcy tutejsi stanowią piękne plemię murzyńskie, uzbrojone jedynie w tarcze i ciężkie oszczepy — nie znają łuków ani strzał, ale są doskonałymi kowalami a żelazo z własnych rud wytapiają. Pieszo doszedł do rzeki Lualaby, gdzie z trudnością dostawszy czółna, dopłynął w Sierpniu do Nyangwe, najdalszego punktu, do jakiego doszedł Livingstone. Przekonał się niebawem, że Livingstone miejscowość tę oznaczył o 20 mil geograficznych za daleko ku zachodowi, i że leży ona tylko na 1400 stóp nad poziomem morza, co odrazu wyłącza możliwość jakiegokolwiek związku Lualaby z wodnym systematem Nilu. Gondokoro wzniesione jest przeszło na 1600 stóp. Lualaba przy Nyangwe niesie w suchéj porze 126,000 stóp sześciennych wody na sekundę; kiedy Nil przy Gondokoro niżéj punktu, w którym wszystkie strumienie weń wpadają, niesie tylko między 40 a 50,000 stopami wody w sekundzie. Lualaba zamiast płynąć ku północy zwraca się ztąd ku zachodowi, a następnie przepływa przez wielkie jezioro Sankorra. Mnóstwo rzek wpada do niéj od południa a jedna, bardzo szeroka, Lowa, zlewa z nią swe wody z północy równika. Tym sposobem cały olbrzymi systemat wód, biegnący z południa i północy równika, składa się na Lualabę, która niewątpliwie, według zdania Camerona, jest właśnie niczém innem jeno górną Kongo. Starał się on pod tym względem zasięgnąć jak najbardziéj szczegółowych wiadomości od handlarzy arabskich, których opowiadania, jakkolwiek krytycznéj muszą podlegać ocenie, wszelako niezmierną ważność przedstawiają i z tego względu zasługują na pilną baczność podróżników. Od nich właśnie dowiedział się Cameron, że Lualaba daléj po za Nyangwe zowie się *Ugarowwa.* Jeden z nich opowiadał mu, że idąc raz 55 dni wzdłuż téj rzeki doszedł do miejscowości, w któréj napotkał okręty i białych handlarzy kupujących wielkie ilości oleju palmowego i kości słoniowéj i słyszał od nich nazwę *Kongo.* Cameron jest zdania, że fakt ten niewątpliwie wskazuje, iż Ugarowwa i Zaire czyli Kongo są jedną i tąż samą rzeką. Postanowił więc stwierdzić to o ile możności. Opowiadanie powyższe bardzo zasługuje na wiarę, wiadomo bowiem, że byli Arabowie, którzy z Zangwebaru dostawali się aż na zachodni brzeg Afryki. I tak d. 31 Kwietnia 1852 r. trzech Arabów z 40 tragarzami przybyło do Bengueli, przeszedłszy przez Udżydży, Tanganyikę i terrytoryum Kasembe. Ponieważ przyjęci byli doskonale przez Portugalczyków i w ogóle z korzyścią dla siebie podróż tę pierwszą odbyli, prawdopodobnie więc w następstwie znaleźli naśladowców. Dotąd istniało przekonanie, że nazwa *Kongo* jest

portugalskiego pochodzenia, nieznana Arabom. Zdanie to jest błędném. *Diogo Cam*, który, o ile wiadomo, pierwszy z Europejczyków dosięgnął w 1484 roku téj rzeki, odkrył ją pod tém miejscowém mianem, a postawiwszy u jéj ujścia słup kamienny (padrao) nazwał ją *Rio do Padrao.* Krajowcy nazywali ją także *Zaire;* ale wyraz ten oznacza u nich każdą wielką rzekę. Następnie rzeka ta nosiła zawsze nazwę *Kongo* od kraju, którego stanowiła granicę. Kiedy zatém arabscy handlarze doszli do stacyj portugalskich, nic dziwnego, że słyszeli tę nazwę i powtórzyli ją Cameronowi w Udżydży.

W Nyangwe Cameron pozostawał przez trzy tygodnie przemyślając nad sposobami dalszego śledzenia przebiegu Lualaby, która według niego, jak powiedzieliśmy, niewątpliwie jest górną Kongo. Szerokość jéj przy Nyangwe wynosi około wiorsty, ale w innych punktach jest daleko znaczniejsza; głębokość przy końcu suchéj pory roku 6 stóp, jakkolwiek w niektórych miejscach do 18 dochodzi. Hippopotamów i krokodyli w niéj mnóstwo; podczas pobytu Camerona w Nyangwe krokodyle porwały kilku niewolników czerpiących wodę. Nie mógł tu dostać czółen, żeby puścić się dalej z biegiem rzeki, ale przybyły Arab Tipo-Tipo, a nawiasem mówiąc pierwszy, który z południo-wschodu doszedł do tych okolic, oświadczył mu, że jeśli zechce udać się z nim do jego obozu, odległego o ośm dni drogi na południe od Nyangwe, to będzie mógł ztamtąd dostać się do wielkiego jeziora (Sankorra), w które wpada Lualaba. W obozie Tipo-Tipo liczni krajowcy, którzy znali to jezioro opowiadali mu, że leży ono o dziesięć lub piętnaście dni drogi od obozu, że znajdzie tam tkaniny i inne przedmioty, które dowożą na bardzo wielkich statkach z masztami i żaglami ludzie ubrani w spodnie i kapelusze. Nie ulega więc wątpliwości, że do Sankorry dopływają handlarze z Angoli, a może nawet rzeczywiści biali Portugalczykowie.

Tymczasem nowa i niezwalczona wystąpiła przeszkoda. Wódz plemion zamieszkujących nad rzeką Lomami, wpadającą do Lualaby, oświadczył stanowczo, że nie dozwoli nikomu przejść przez swoje terrytoryum. Tym sposobem Cameron pozbawiony został wszelkiéj możności udania się z biegiem Lualaby, dostania się na Sankorrę, a następnie sprawdzenia osobistego, że Lualaba jest istotnie górną jedynie częścią Kongo. Nie chcąc więc rozpoczynać wojny z Murzynami, musiał mimowolnie odstąpić od powyższego zamiaru, ale bynajmniéj nie od głównego swego założenia: dostania się na Atlantyk. Droga, którą obrać postanowił, nie mniéj była ważną dla nauki. Wziąwszy trzech przewodników od Tipo Tipo puścił się ku południowi wzdłuż prawego brzegu Lomami do Kilemby, stolicy wielkiego wodza Kasongo, panującego nad całym niezmiernym obszarem Urua. O kraju tym pierwszą wzmiankę zrobił Burton w swojém dziele: *Lake Regions of Central Equatorial Africa*, nazywając go *Uruwwa*, środkowym krajem na zachód od Tanganyiki leżącym, którego władca sprzyja Arabom, sprzedaje im kość słoniową, niewolników i miedź z Katangi.

Livingstone także słyszał o tym kraju i zwie go Rua; pierwszy wszakże dopiero Cameron odkrył go rzeczywiście i wyznaczył jego położenie geograficzne. Po drodze do owéj Kilemby w jednych okolicach Murzyni przyjmowali go przyjacielsko, w innych znowu, gdzie w obcych przybyszach widzieli dotąd jedynie handlarzy niewolników, całe wioski uciekały a przez to nieraz głód zagrażał Cameronowi i jego karawanie. Przechodziła ona dziewicze lasy, wśród których tylko zrzadka ukazywały się wioski; nieprzebyte trzcinniki, przez które ogniem dopiero torować sobie drogę wypadało. Tu i owdzie sypały się na nich strzały z łuków, Cameron jednakże w ostateczności tylko uciekał się do użycia broni palnéj, ograniczając się paru wystrzałami i lekkiém zranieniem. Raz tylko widział się zmuszonym spalić całą wioskę, kiedy mu własny jego obóz spalono, i bronić się kilka dni w zasiekach, zanim pokój nastąpił.

W Kilembie Cameron przebywał od Października 1874 do Maja 1875 r. Jest-to punkt środkowy najważniejszy, do którego zdążają handlarze ze wschodu i zachodu. Samego królika Kasongo w chwili swego przybycia nie zastał Cameron w stolicy, ale za to znalazł w niéj wielce mu następnie użytecznego arabskiego handlarza Jumah-ibn-Salima z Zangwebaru i dwóch handlarzy mulatów: Alveza i Coimbrę z Bihe w prowincyi Benguela. Dosyć długi stosunkowo pobyt swój w Kilembie poświęcił on na zebranie wielu bardzo ważnych geograficznych faktów dotyczących całego tego obszaru środkowéj Afryki, a mianowicie szczegółowych i, o ile podobna, dokładnych wiadomości o rzekach i jeziorach zasilających Kongo z południa. Przedewszystkiém zwiedził na północ nieco od Kilemby leżące jezioro Mohrya, ciekawe ze względu na istniejące na niém osady nawodne, współczesny nam wizerunek owych niegdyś mieszkań na palach, odkrytych w szwajcarskich jeziorach. Następnie udał się na południe dla zbadania jeziora Kassali albo Kikondża, przez które przepływa Lualaba. Ale o kilka godzin drogi od jeziora jeden naczelnik plemienia stanowczo zagrodził mu drogę tłómacząc się rozkazem Kasongi niedopuszczania nikogo do jeziora. Cameron zdołał jednakże wysłać tam swoich ludzi, którzy przebyli jezioro i znaleźli je ogromném, jakkolwiek w znacznéj części pokrytém przez pływające rośliny; mieszkańcy kładą na nie kłody drzewne, a na nich ziemię, którą następnie uprawiają stawiając zarazem chaty. Odrywając wreszcie sztuczne te wyspy od zbitéj pływającéj roślinnéj massy, posuwają je według woli i potrzeby po jeziorze. Wody jego obfitują w ryby i Cameron mniema, że oprócz zakazu Kasonga także i obawa kapłanów bałwochwalczych, żeby obecnością swoją nie sprowadził wysuszenia jeziora i zniknięcia ryb wpłynęła na niedopuszczenie go do jeziora.

W dalszych swoich z Kilemby wycieczkach Cameron odkrył, że rzeka Lomami jest rzeką oddzielną i inną niż Kassabe, że do pierwszéj wpada od zachodu szeroki strumień zwany Luwembi, wycho-

dzący z jeziora Iki (prawdopodobnie jeziora *Lincoln* Livingstona). Dalej przekonał się, że słynny swemi miedzianemi rudami okrąg Katanga, leży wewnątrz kraju Urua, pomiędzy dwiema rzekami, Lualabą i Lufirą, które łączą się z sobą, przepływają połączone przez cały szereg wązkich jezior, i wreszcie przyjmują do siebie *Lualabę* Livingstona, a właściwie wspomnioną już wyżéj Luvwę. Tym sposobem ze zbiegu trzech tych rzek powstająca ogromna jedna przepływa przez jezioro Lanji (*Ulenge* Livingstona) i pod nazwą Lualaby przechodzi pod Nyangwe. Odtąd zowie się Ugarowwą, która przyjąwszy w siebie z południa rzekę Lomami, a z północy Lowę, przepływa przez jezioro Sankorra i odtąd pod nazwą Kongo spływa ku Atlantykowi. Najważniejszą właśnie zasługę Camerona stanowi sprawdzenie położenia geograficznego i nazwy tych rzek oddzielnych, co daje nam dopiero dokładne obecnie pojęcie o całym systemacie wód porzecza wyższéj Kongo.

Nie porzucając zamiaru zwiedzenia jeziora Sankorra i przedostania się z biegiem Kongo do oceanu, Cameron napróżno starał się w Kilembie o przewodników. Prosił więc królika Kasongo o danie mu czółen, na którychby rzeką Lomami mógł się dostać na Sankorrę. Kasongo jednakże, ze względu na niebezpieczeństwo podobnéj podróży z niewielką drużyną, odmówił mu tego i oświadczył, że nie puści go od siebie inaczéj, jak z karawaną Alveza. Otóż handlarz Alvez, po załatwieniu swoich interesów miał się udać do domu, to jest do Bihe i zabrawszy z sobą Camerona wskazać mu następnie bezpieczną drogę według jego wyboru, do Loandy w Angoli czy do Bengueli. Wybieraniu się jednakże Alveza z Kilemby nie było końca, co wielce niecierpliwiło Camerona. Drugi za to handlarz arabski, Jumah-ibn-Salim, spotkany w stolicy Kasongi, okazał niezmiernie wiele przysług Cameronowi, nietylko bowiem żywił go przez czas pobytu w Kilembie, ale nadto zaopatrzył go na drogę w taką ilość ryżu i mąki, że mu to przeszło na trzy wystarczyło miesiące.

Po długiéj wreszcie zwłoce Cameron z karawaną Alveza wyruszył w Maju 1875 r. do Bengueli i to stanowi czwarty okres jego podróży. Po kilkunastu dniach wędrówki spotkali oni wspólnika Alveza, prowadzącego kilkadziesiąt niewolnic murzynek obciążonych łupem; niektóre z nich niosły nadto swoje niemowlęta. Kobiety te były resztą ludności z czterdziestu lub pięćdziesięciu zniszczonych wiosek, których cała ludność męzka albo wymordowaną została, albo w trzcinniki zbiegła, gdzie mogła jedynie dziki owoc znaleźć na pożywienie lub umrzéć z głodu. Cameron ma mocne przekonanie, że dla zdobycia tych pięćdziesięciu niewolnic zabito przynajmniéj pięciuset mężczyzn broniących swego domowego ogniska, nie licząc znaczniejszéj jeszcze liczby rozpędzonych i skazanych na tułactwo. Wszystkie te kobiety były związane w pasie jedna z drugą grubemi sznurami, a ilekroć zwalniały kroku, bito je niemiłosiernie. Spodziewać się należy, że obecnie zawiązane Stowarzyszenie międzynaro-

dowe, na skutek szlachetnéj inicyatywy króla Belgijskiego, wywrze wpływ zbawienny na ową strasznę plagę, hańbiącą ludzkość całą. Cywilizowana Europa musi wynaleźć skuteczne na nią środki. Najokrutniejszymi dla niewolników są mulaci portugalscy i murzyńscy handlarze, kiedy arabowie w ogóle dobrze się ze swoimi obchodzą. Niewolnicy, chwytani w środkowéj Afryce, nie są sprowadzani, jak dawniéj bywało, na morskie wybrzeża, ale pędzeni na południe, do państwa Sekeletu nad rzekę Czobe, gdzie ludność jest nieliczna i chętnie wymienia niewolników na kość słoniową. Handlarze więc udają się do wnętrza Afryki na połów murzynów, wymieniają ich u Sekeletu, kość zyskaną wiozą na wybrzeża i na nowe łowy się wyprawiają. Niewolnicy w całéj środkowéj Afryce pełnią obowiązki tragarzy czyli zastępują bydło pociągowe; ubytek ich przez zgon i ucieczkę jest ogromny, więc i zapotrzebowanie nieustanne. Handel ten wyludnia całkowite obszary, a nieszczęśliwi zbiegli niewolnicy zmuszeni są przedawać się wzajemnie za trochę żywności. Obecnie za chłopca lub dziewczynę od 14 do 20 lat mających daje się dwie kozy—gdzieindziéj koza kosztuje 24 łokcie perkaliku, a dobry niewolnik 30. Wszelkie wysiłki Anglii dla powstrzymania tego handlu, jakkolwiek arcy-chwalebne, nader mały osiągają skutek, bo złe leży w dotychczasowych obyczajach samychże krajowców. Każdy Afrykański murzyn kradnie lub kupuje drugiego murzyna, jeśli tylko może. Zbiegli niewolnicy są nieustannem złem, bo łącząc się w gromady rozbójnicze napadają na wioski spokojne i ludność ich uprowadzają na sprzedaż. Znaczna znowu liczba Arabów osiedlonych dziś we wnętrzu Afryki potrzebuje mnóstwa niewolników do przenoszenia towarów. Najgorsze zaś leży w tém, że właściciele karmią ich tylko w drodze, to jest wtedy, kiedy przenoszą towary, ale wróciwszy do osady, zostawiają ich własnemu przemysłowi. Więc dla tych biedaków jedynym wtedy utrzymaniem jest rozbój. W podróży swojéj Cameron w setnych miejscach widział szczątki wiosek, których mieszkańcy uprowadzeni zostali w niewolę. Otóż ten to właśnie wewnętrzny handel niewolnikami i ciągły na nich popyt jest obecnie złem miejscowém, wobec którego parowce angielskie, strzegące brzegów, nie mają żadnego znaczenia.

W dalszéj podróży wędrownicy nasi przechodzili blizko źródeł Lomami i Luwembi i przez rozmaite strumienie wpadające ostatecznie do Lualaby. Cały kraj odznacza się zadziwiającą żyznością, a nawet malowniczością swych wzgórz i lasów. Na całém porzeczu Lualaby rośnie obficie palma woskodajna (Elais gujanensis), i handlarze ogromne ilości oleju palmowego wywożą ztąd do Bengueli. Kraina ta zowie się Ussumbi; właściwie należy ona do Kasongi z Kilemby, jakkolwiek mieszkańcy jéj opłacają także daninę i innemu jeszcze władcy, Muata-Yanwo, lennikowi Kasongi, mającemu swą stolicę w Kabebe albo Musumba.

Przebywszy Ussumbi, karawana weszła na terytoryum Ulunda, co w miejscowém narzeczu oznacza krainę lasów, a następnie na terytoryum Lovale, obok źródeł Zambezi. Nieco dalej ku zachodowi istnieją niezmierne płaszczyny, pokryte podczas pory deszczów wodą na parę stóp wysoko i obejmujące całą przestrzeń pomiędzy porzeczem Kongo i Zambezi. W czasie zalewów znajduje się tu wielka ryb obfitość, które krajowcy łowią, suszą i sprzedają plemionom sąsiednim. Podróżnicy nasi znaczny również ich zapas kupić musieli, bo mieszkańcy okolic, które następnie przebywać mieli, produkta żywności wymieniają jedynie na ryby, jeżeli przybysz z Lovale do nich przychodzi. Przechodząc przez Katembe Cameron przecinał drogę, po której szedł Livingstone, udając się z kraju królika Sekeletu, leżącego znacznie dalej na południe, do Loandy. Mieszkańcy pamiętali jeszcze o Livingstonie, jako o cudzoziemcu jadącym na byku. W kilka dni później karawana przebywała granicę pomiędzy Lovale i Kibokoue. Ten kraj ostatni jest okolicą górzystą, bardzo lesistą, obfitującą w strumienie, ale z produktów rodzinnych obfitujący jedynie w pszczoły, których wosk w ogromnej ilości zabierają karawany z Bihe, a miód przerabia się na dosyć mocny napój. U królika Peho, władcy części terytoryum Kibokoue zatrzymał się Cameron przez dni kilka. Ztąd udał się przez kraj Kimbandi, rozciągający się po obu brzegach rzeki Kuanzy, gdzie spotkał pierwsze karawany z Bihé zakupujące wosk, i inne udające się po miedź do Katangi. Miasto Bihe jest stolicą królika Kaniombe a zarazem największą osadą, jaką widział Cameron w Afryce środkowej; ma bowiem blizko milę geograficzną obwodu. *Król Antonio*, jak się Kaniombe sam nazywa, przyjął go cały ubrany czarno, w starym kapeluszu z szerokiemi skrzydłami, w szalu szkockim na ramionach, ale boso i zupełnie pijany. Oświadczył Cameronowi, że uważa się za bardzo wielkiego człowieka, niepodobnego do innych afrykańskich naczelników, że posiada daleko jeszcze piękniejsze suknie, złote koronki i wiele innych pięknych rzeczy, że wreszcie poprzestanie na niewielkim podarku z uwagi, iż Cameron tak daleką odbył podróż, spodziewa się wszakże czegoś większego, kiedy doń drugi raz przybędzie. W parę dni Cameron udał się do osady senora Gonzalveza, handlarza portugalskiego, gdzie zdziwiony był znalazłszy się nagle wśród komfortu europejskiego, z którym się od tak dawna nie spotykał. Opuściwszy Bihe, wstępował po drodze do kilku jeszcze handlarzy portugalskich, którym, jakkolwiek uprzejmej od nich doznał gościnności, wyrzuca wszelako niecny ów handel niewolnikami, który tak szkodzi w oczach krajowców Europejczykom, że nawet mizerny ów królik Antonio nie dopuszcza tych bogatych zresztą cudzoziemców choćby na podwórze swego szałasu, ale udziela im posłuchania opodal od swego zamieszkania. Pod wielkiém drzewem, gdzie znajduje się mnóstwo głazów, sam zasiada na najwyższym, a tym sposobem zniewala owych panów do siedzenia prawie

u stóp swoich. Na zachód od kraju Bihe leży dalej terrytoryum Bailunda, oddzielone od pierwszego rzeką Kutato. Terrytoryum to, według Camerona, jest jedną z najpiękniejszych okolic, przedstawiającą, jak oko sięga, przepyszne góry ocienione lasem, a na ich szczytach wioski w cieniu drzew, przypominające osady europejskie i godne pędzla malarzy. Tu zaskoczyły Camerona obfite deszcze, a ludzie jego zmordowani długą podróżą zaczęli ulegać skorbutowi, z którego nawet jeden umarł. Dalszy pochód przeto stał się tak powolnym, że Cameron, mając jeszcze przed sobą do brzegów Atlantyku 30 mil geograficznych, pozostawił całą swoją karawanę, której rychle pomoc obiecał, a sam z kilkoma najsilniejszymi ze swych towarzyszów podążył do kresu. Nazajutrz obozował na najwyższym punkcie swéj drogi, wzniesionym na 5800 stóp, mając jeszcze o kilkaset stóp wyższe góry nad sobą. Odtąd droga ku morzu zniżać się poczęła, ale była nader uciążliwą. Potrzeba było przechodzić przez liczne i przykre parowy, przebywać mnóstwo szerokich rzek i strumieni wśród gór stromych, na pochyłości których coraz częściéj jednak widniały wioski, a doliny przedstawiały się już jako uprawne pola. W trzy dni po rozstaniu się ze swoją główną karawaną przybył do Kaisandży, gdzie po raz pierwszy w ciągu całéj swojéj podróży napił się mleka, chociaż pierwsze bydło napotkał już w Lovale. Od Kaisandży do morza niéma już mieszkańców. Cały kraj jest jednym pasmem nagich i dzikich skał granitowych, a skielety leżące wzdłuż drogi świadczą o trudności podróży. Pomimo wszystkiego jednak, ostatnie 30 mil geograficznych Cameron odbył w ciągu półszostéj doby, czując wszakże silne bóle w krzyżu i nogach. Ostatniego Października 1875 stanął w Katombeli na brzegu Atlantyku, odległéj o kilka mil na północ od Bengueli, a nazajutrz zapadł na skorbut, który mu przez dni kilka nie dozwolił mówić ani połykać. „Radość wszakże ze spełnienia mego zadania, powiada, postawiła mnie na nogi“. Tu doznał najgościnniejszego przyjęcia i opieki od p. Cauchoix, kupca francuzkiego, dawnego oficera marynarki. Z Katombeli Cameron popłynął do Loandy, gdzie wypoczywał długo po trudach podróży i starał się odzyskać mocno nadwerężone zdrowie, odesławszy wprzód towarzyszących mu krajowców do domu. Najwierniejszymi jego towarzyszami do końca podróży byli stary Bombay, znany sługa wielu poprzednich podróżników i mały chłopiec Jacko z Unyanyembe, który nie opuszczał go do ostatka.

Cały niezmierny obszar środkowéj Afryki, rozciągający się pomiędzy jeziorem Tanganyika a oceanem Atlantyckim, jest, jak świadczy Cameron, z małym jedynie wyjątkiem, iście błogosławioną pod względem żyzności i rodzinnych produktów miejscowością. Żelaza i miedzi w nim obfitość; srebro, złoto, a nawet węgiel tu i owdzie się natrafiają; palma olejna, bawełna, drzewo muszkatołowe, mnóstwo gatunków pieprzu i kawy — rosną dziko wszędzie. Krajowcy uprawiają dużo roślin oleistych, a Arabowie, o ile wewnątrz kontynentu

osiedli, zaprowadzili uprawę ryżu, pszenicy, cebuli, zasadzili wiele drzew owocowych, co wszystko wybornie się przyjmuje. Kraje Bihe i Bailunda, znaczniéj nad poziom morza wzniesione, nadałyby się doskonale do uprawy wszelkich roślin południowo-europejskich. W Bihe u p. Gonzalveza, osiadłego tam od lat trzydziestu, drzewa pomarańczowe są piękniejsze niż we Włoszech, winogron i róż mnóstwo, kartofle i ogrodowiny udają się doskonale. Nieprzeliczona ilość rzek i strumieni, przerzynających podrównikową Afrykę, stanowi systemat wodny, jakiemu równego niéma na całéj kuli ziemskiéj. Pomiędzy wielkiemi rzekami wpadającemi z jednéj strony do Kongo, a z drugiéj do Zambezi, kanały kilkunastomilowe, w piaszczystym i płaskim gruncie nader łatwo przekopać się dające, połączyłyby dwa olbrzymie systemata wodne, wpadające do dwóch przeciwległych oceanów. Na wschód od Lovale kość słoniowa znajduje się w takiéj obfitości, że kupcy arabscy z Nyangwe za pięć jéj funtów płacą funt kolorowych paciorków, a wielu z nich za stary nóż lub miedzianą bransoletkę cały kieł słonia dostaje.

Ale nad tym pięknym krajem ciężkie zawisło brzemię: ohydny handel niewolnikami. Odkąd okolice nadmorskie wyludnione zostały przez wywóz niewolników do innych części świata, dziś szukać ich już chciwi handlarze muszą w środkowych krainach, gdzie tacy królikowie jak Kasongo z Kilemby, Muata-Yanwo, Mtesa, Kamrassi, Rumanika, Sekeletu i tylu innych opisywanych przez Granta, Speka, Bakera, Livingstona i Camerona za parę strzelb lub kilka garncy rumu pozwalają łupić tyle wiosek i chwytać tylu niewolników, ile się komu podoba. Są jednakże i takie plemiona murzyńskie, które chociaż same posiadają niewolników, przekładają wszakże śmierć nad niewolę. Opowiadano Cameronowi, że byli tacy, którzy uprowadzeni w niewolę do Zangwebaru, zdołali pojedyńczo i z obciętą jedną ręką ujść i powrócić do domowego ogniska, leżącego w środku Afryki. Wstyd tém większy dla Europy, że głównymi czynnikami tego handlu są ludzie zowiący się sami Portugalczykami. Handlarze i osadnicy arabscy kupują wprawdzie niewolników, ale używają ich wyłącznie tylko jako tragarzy i robotników w swoich osadach, nie sprzedając ich wcale. Jedynym środkiem zniesienia handlu niewolnikami jest urządzenie w Afryce wymiany towarów i płodów na zasadach przyjętych na całym świecie, czyli zaprowadzenie normalnych handlowych stosunków, ku czemu znowu stanowczą będzie pomocą odpowiednie zużytkowanie wspaniałego systematu wodnego rzek wewnętrznych.

Jako mąż dzielny i wytrwały, zajął Cameron jedno z pierwszych, a jako badacz naukowy wyjątkowe stanowisko wśród wszystkich dotychczasowych afrykańskich podróżników. Sam Burton z szlachetną bezstronnością nazywa go „drugim odkrywcą Tanganyiki“, bo spostrzeżenia jego są dokładniejsze i ważniejsze niż wszystko, co dotąd zrobiono, a wyśledzenie istotnego hydrograficznego układu rzeki

Kongo zapewnia mu wiekopomną sławę. Królowa angielska mianowała go niedawno kapitanem marynarki, a Towarzystwo geograficzne Paryzkie na posiedzeniu ogólnem w miesiącu Kwietniu r. b. odbytem przyznało mu jednomyślnie wielki medal złoty. W ostatnich miesiącach wyszedł właśnie opis szczegółowy podróży Camerona w obszernem dwutomowem dziele, p. t., „*Wpoprzek Afryki*“ (Across Africa, by Verney Lovett Cameron. London 1877).

Winniśmy też dodać, że sprawozdania Camerona o barbarzyństwie Portugalczyków afrykańskich względem niewolników, powtórzone we wszystkich dziennikach angielskich, wzburzyły wielce opinią publiczną w Lizbonie. Akademia nauk tamtejsza zaprotestowała publicznie przeciwko tym faktom, cytowanym jednakże przez wszystkich bez wyjątku podróżników po Afryce; jeden z deputowanych interpellował ministra osad: co wszystko wszakże ani usuwa bynajmniej smutnej rzeczywistości, ani zaciera plamy, jaka obecnie, zdaniem naocznych świadków cięży na państwie, zaliczającem się do grona mocarstw europejskich.

Stanley w Afryce. W miesiącu Kwietniu otrzymano z Afryki ostatnie wiadości od tego słynnego poszukiwacza Livingstona. Donosi on, że opłynął Tanganyikę w około i nakreślił jego kartę. Zdaje się, że jezioro to ulega znacznym przeobrażeniom, zwiększając corocznie swoją objętość. Stanley przebiegając rozmaite miejscowości zwiedzone przez Camerona z przewodnikiem, który towarzyszył ostatniemu, przekonał się, że mnóstwo ławic piaszczystych, które, jak ów przewodnik świadczy, sterczały wtedy nad wodą, dziś o kilkanaście stóp pod nią się znajdują. Stanley sprawdził zarazem, że ziemia Ubuari w północnej stronie jeziora, naprzeciw Udżydży leżąca, nie jest wyspą, ale raczej półwyspem, tworzącym głęboką zatokę, którą Stanley nazwał *zatoką Burtona*. W liście swoim przesyła on zarazem ciekawe szczegóły o miejscowych zwierzętach i obyczajach krajowców.

Projekt Nachtigala. Znany afrykański podróżnik d-r Gustaw Nachtigal, na marcowem posiedzeniu Berlińskiego geograficznego towarzystwa oświadczył, że ma zamiar odbyć nową podróż do środka podrównikowej Afryki, któraby stała się dalszym ciągiem badań przerwanych niedawno przez zgon niemieckiego podróżnika, Edwarda Mohra.

Projekt Nordenskiölda. Niezmordowany w ostatnich latach badacz brzegów oceanu północnego, professor upsalskiego uniwersytetu *Nordenszyld* (Nordenskiöld), o którego podróżach w 1875 i 1876 roku z morza Karyjskiego do ujścia Jenisseju podaliśmy wiadomość w tomie I Kwartalnika (str. 286 i 287), przygotowuje wyprawę na rok 1878. Ma on zamiar badać ocean Lodowaty w dalszym ciągu, od Jenisseju do cieśniny Berynga. Król Szwedzki daje mu do żeglugi parostatek *Zofią*, na którym Nordenskiöld odbywał już podróż w 1868, a znany amator-podróżnik, p. Oskar Dickson, — potrzebne

fundusze. Wielu rossyjskich podróżników objawiło życzenie uczestniczenia w tej wyprawie.

Stacye meteorologiczne na górach. Oddawna już fizycy i meteorologowie uznali ważność badania atmosfery w wysokich jej warstwach, tam mianowicie, gdzie tworzą się właśnie obłoki i chmury, deszcze i grady. Wszelako do ostatnich czasów pod tym względem niewiele było zrobionem. Kilka narzędzi fizycznych, przesłanych zakonnikom zamieszkującym przytulisko na szczycie Ś. Bernarda, kilka stacyj alpejskich, nie nader szczęśliwie obranych, skąpych jedynie i niedostatecznych mogły nauce dostarczać faktów. Od kiedy wszakże meteorologia poważne zdobyła sobie w rzędzie umiejętności stanowisko, dostrzegalnie meteorologiczne coraz wyższe obierają dla siebie siedziby. Od lat kilku professor *Palmieri* stale osiedlił się na Wezuwiuszu. Od trzech lat, nieustraszony, a pełen naukowego zapału francuzki jenerał *Nansouty* zbudował sobie na Pic du Midi w Pirenejach, na wysokości dziesięciu tysięcy stóp, maluchne obserwatoryum meteorologiczne, które mu niejednokrotnie lawiny pustoszyły. Wreszcie ubiegłego lata na szczycie Puy de Dôme (4900 stóp) w Owernii, uwiecznionym w nauce pierwszemi doświadczeniami *Pascala* nad ciężkością powietrza, stanęło odpowiednie dzisiejszym wymaganiom nauki obserwatoryum meteorologiczne. Jest ono dziełem p. *Alluarda*, professora fizyki przy fakultecie nauk ścisłych w Clermont-Ferrand. Usiłowania jego, w 1869 r. poczęte, a przeważnem słowem słynnego paryzkiego astronoma, p. *Faye*, poparte, wyjednały w 1870 r. w izbie deputowanych, na przedstawienie ministra oświecenia, pierwszy fundusz dla rozpoczęcia budowy, która ostatecznie kosztem departamentu do skutku doprowadzoną i w dniu 22 Sierpnia roku przeszłego uroczyście podczas zjazdu uczonych w Clermont-Ferrand otwartą została. Obserwatoryum, zaopatrzone w najdoskonalsze narzędzia fizyczne, pozostaje w nieustannym telegraficznym związku z gabinetem fizycznym w mieście, i w każdej chwili daje możność porównywania zjawisk powietrznych, zachodzących współcześnie na dwóch znacznie różniących się wzniesieniem poziomach. Spodziewać się niewątpliwie wypada, że nowe to meteorologiczne obserwatoryum znaczne rzuci światło na wiele kwestyj fizyki, kuli ziemskiej dotyczących, a dla całego ogółu wielce pożądanych.

Nekrologia. W kronice pośmiertnej z ubiegłego półrocza przychodzi nam znowu zapisać kilka głośnych w nauce imion. D. 12-go Stycznia zmarł w Tubindze słynny botanik niemiecki *Hofmeister*, professor tamtejszego uniwersytetu. Również w Styczniu zakończył pracowity i długi, bo przeszło ośmdziesięcioletni żywot, niemiecki fizyk *Poggendorff*, założyciel i wydawca od lat bardzo wielu jednego z najpoważniejszych naukowych dzienników, znanych *Annalów Poggendorffa*. Redakcyą ich objął po nim prof. *Wiedemann*

z Lipska, dotychczasowy redaktor „Beiblätter“ do tego dziennika; a to ze współudziałem professora *Helmholtza*. W Marcu otrzymano smutne wiadomości z Afryki. Znany podróżnik baron *Barth* w przystępie gorączki odebrał sobie życie w Loanda, a doktór *Mohr* zmarł w końcu ubiegłego Listopada w Malanga, niedaleko Gondokoro i źródeł Nilu, dokąd przybył właśnie. Barth wysłany był przez rząd portugalski dla badań geologicznych i botanicznych w koloniach portugalskich w Afryce, a d-r Mohr — przez niemieckie Towarzystwo afrykańskie dla dokończenia podróży exploracyjnéj, któréj wielu już uczonych niemieckich padło ofiarą, a którą jak wyżéj wspomnieliśmy, teraz Nachtigal daléj odbywać ma zamiar. W Marcu zmarł sędziwy admirał angielski, sir *Edward Belcher*, badacz okolic podbiegunowych, znany mianowicie z ostatniéj swojéj podróży w 1852 roku, dla odszukania Franklina odbytéj. Na początku Kwietnia przeniósł się do wieczności d-r *Aleksander Braun* professor botaniki w Berlińskim uniwersytecie i dyrektor tamtejszych ogrodów botanicznych. Prace jego głównie w morfologii roślinnéj dokonane, a mianowicie wielkie jego dzieło o układzie liści w roślinach, w którém podał teoryą tego układu, powszechnie dziś przyjętą, zapewniły mu zaszczytne w nauce miejsce. W Maju Akademia lekarska w Paryżu straciła jednego z najszanowniejszych swoich członków, *Caventou*, professora honorowego przy wyższéj szkole farmaceutycznéj. Wszedł on jako wykładający do szkoły lekarskiéj jeszcze w 1821 roku, mając lat 26, a imię swoje uwiecznił odkryciem *chininy*, którą pierwszy ze współudziałem chemika Pelletier wydobył z kory chinowéj. — W tymże miesiącu, w przejeździe przez Wiedeń zmarł na apopleksyą jeden z pierwszorzędnych dzisiejszych geologów rossyjskich, *Barbot de Marny*, inżenier górniczy i professor geologii w instutucie górniczym w Petersburgu. Zmarły zajmował się szczególnie badaniem formacyi trzeciorzędowych na Wołyniu, Podolu i Ukrainie. W ostatnich latach badał pod względem geologicznym Turkestan i w ogóle nowo nabyte prowincye rossyjskie w Azyi. Przed dziesięciu laty zwiedzał starannie w Warszawie rządowe i prywatne zbiory mineralogiczne i geologiczne, a chlubną o nich wzmiankę pomieścił w urzędowym dzienniku górniczym (Gornyj Żurnał). W 1874 roku uniwersytet w Peterburgu jednomyślnie przyznał mu stopień doktora mineralogii i geologii *honoris causa*.

PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

I. — Le Comte de Plélo, un gentilhomme français, guerrier, littérateur et diplomate, d'après des papiers de famille et les archives du ministère de la guerre et des affaires étrangères, par E. J. B. Rathéry, conservateur à la bibliothèque nationale. Paris, E. Plon et Comp. Imprimeurs-Éditeurs. 1876.

Dzieło powyższe należy do owych rzadkich pośród dzisiejszéj literatury francuzkiéj pojawów, w których cząstka przypadająca dziejom i stosunkom polskim nie składa się, jak bardzo często, z mniéj lub więcéj sentymentalnych frazesów, lecz opiéra się na istotnéj i źródłowo uzasadnionéj znajomości rzeczy. Nim jednakże w sprawozdaniu naszém dojdziemy do owego głównie interesującego nas jądra, niechaj nam wolno będzie poświęcić poprzednio kilka słów wzmianki autorowi dzieła, następnie jego bohaterowi, w epoce, w któréj jeszcze nie wszedł był w żaden stosunek z ludźmi, sprawami i dziejami polskiemi. Co się więc tyczy najpierw *autora*, jest nim zmarły przed niespełna dwoma laty w 68 roku życia uczony, p. Rathéry, który poświęciwszy się badaniom historycznym starodawnego prawa francuzkiego, następnie studyom archeologiczno-etnologicznym, składał liczne owoce swéj pracy bądź-to w osobnych dziełach, bądź-też w najznakomitszych i najpopularniejszych czasopismach francuzkich. Z pomiędzy pierwszych zyskało mianowicie zasłużony rozgłos w świecie uczonym jego dzieło *Histoire des états généraux en France;* z pomiędzy drugich spopularyzowały imię jego w szerszém kole publiczności dwie znakomite rozprawy zamieszczone w *Revue des deux Mondes* pod tytułami: *Chants populaires de l'Italie* i *Chants populaires de l'Angleterre.* Zamianowany podczas drugiego cesarstwa konserwatorem wielkiéj biblioteki cesarskiéj w Paryżu, wszedł natu-

ralnie, w posiadanie dokumentów i materyałów, które go wprowadziły w związek z historyą polityczną kraju i dały jakoby hasło rozpoczęcia działalności jego na polu dziejowém przez podejmowanie prac monograficznych, z których jedną jest właśnie utwór będący przedmiotem naszego rozbioru. Żałować należy, że zgon autora w miesiącu Listopadzie roku 1875 przerwał ten nowy rodzaj naukowo-literackiéj jego czynności, gdyż przy dłuższém trwaniu życia byłby może jeszcze z archiwów i zbiorów bibliotecznych francuzkich wydobył i rozświecił materyał nieobojętny i dla *naszych* dziejów.

Tyle o *autorze.* — Przychodzi teraz w sprawozdaniu naszém kolej na *bohatera* jego dzieła, który, jak zobaczymy niżéj, ma wszelkie prawo do uznania i wdzięczności naszéj narodowéj. Rzecz naturalna, że w szkicu jego żywota *przed* zetknięciem się jego z Polską i Polakami, postaramy się być treściwymi i nie będziemy się wdawali w szczegóły za autorem, który, — powiedzmy to bez chęci ubliżenia jego osobie i jego talentowi pisarskiemu, — rozwadnia nieco rzeczy i wdaje się często w mało zajmujące drobiazgi z życia swego bohatera, kiedy ten jeszcze właściwie nie przedstawia materyału do ogólniejszego zajęcia. — *Ludwik Robert Hipolit de Bréhan, hr. de Plélo*, potomek znakomitego bretońskiego rodu, urodził się w roku 1699. Po odbyciu, zwykłych znakomitym rodzinom francuzkim owego czasu, nauk i po odebraniu nader troskliwego wychowania, wstąpił do służby wojskowej i zyskał stopień pułkownika, jakkolwiek miniona ze zgonem Ludwika XIV epoka wielkich wojen francuzkich nie dawała mu sposobności odznaczenia się na polu walki. Zobaczymy niżéj, jak i gdzie jéj sobie poszukać umiał. Ożeniony w roku 1722 z hrabianką de Mailly, osiadł po ślubie w Paryżu, gdzie się oddał w towarzystwie młodych, światłych ludzi, z wielką gorliwością, pracom i zatrudnieniom naukowym, przedstawiając zarazem, przykładnością małżeńskiego pożycia, zaszczytny i pocieszający kontrast z wyższém społeczeństwem stolicy, którego zepsucie za czasów *regencyi* weszło w przysłowie. Autor rozpisuje się bardzo szeroko nad szczegółami owego życia naukowo-literackiego hrab. de Plélo, którego wartość przecież, sądząc z przytoczonych przez autora prób, *nie* na literaturze polegać miała; niemniéj szeroko rozwodzi się nad sprawami pieniężnemi i długami swego bohatera, przekazanemi mu częściowo w smutném dziedzictwie po ojcu, spowodowanemi w równéj części przez konieczność utrzymania domu na stopie odpowiedniéj ówczesnym zwyczajom arystokracyi francuzkiéj. Wśród takich-to kłopotów i potrzeb naszego bohatera, przychodzi mu, jako szczególna łaska królewska, z rąk ministra spraw zagranicznych, Chauvelin, w roku 1728, nominacya na ambassadora francuzkiego w Kopenhadze. Z nominacyą tą i przyjęciem jéj rozpoczyna się nowa, zwrot w życiu naszego bohatera oznaczająca, epoka. Do tychczas mógł chyba tylko rozkochany w jego osobie optymizm naszego autora odkryć w nim szczególnie dodatnie strony. Rychłe

ożenienie się, trochę literackich zajęć, wiele długów: otóż i wszystko, co znamionuje i odznacza dotychczasowy żywot hrabiego de Plélo, spędzony w Paryżu. Z chwilą objęcia stanowiska poselskiego w Kopenhadze objawia się w nim na prawdę nowy i — nie powiemy zanadto — na prawdę znakomity i wyższy człowiek. Panował wówczas jeszcze w Danii w podeszłym już wieku król Fryderyk IV, brat cioteczny i sprzymierzeniec naszego Augusta II, wśród ciężkiego, niemieckiego otoczenia książąt, generałów i dyplomatów, wśród dworu, tém nudniejszego, im bardziéj przestrzegającego wszelkich form i szykan utrudzającéj życie i pożycie etykiety. Listy o szczegółach pobytu w Kopenhadze są pełne tego rodzaju wrażeń i opisują, z pewną dozą attyckiéj soli, uczty i uroczystości owego dworu, na którym się magnatowi francuzkiemu niepodobna zaaklimatyzować. Urządziwszy sobie jednakże wygodne mieszkanie na *Kongs Nytorv*, tuż, jak powiada, naprzeciw konnéj statui króla Krystyana V, usiłuje nasz bohater pogodzić się ze swym losem, a nadewszystko pełnić swój ambassadorski obowiązek z zaszczytem i korzyścią dla Francyi. Polityka wielka owéj chwili nie dostarcza mu wprawdzie pola do rozwinięcia zbyt rozległéj działalności. Francya pozostaje naówczas w najgłębszym pokoju z Niemcami i całą północną Europą. Zaledwie jakie uchybienie przeciw etykiecie w jakim Wiedniu lub Ratyzbonie daje hrabiemu de Plélo sposobność odwetu przeciw posłowi austryackiemu lub Rzeszy na salonach Kopenhadzkiego Christiansborgu. Sprawa sukcessyi polskiéj odpoczywa również jeszcze, bo król August II zdrów niby-to i na pozór nie zapowiada tak rychłego końca. Czynność tedy żywego i nie lubiącego próżnować umysłu naszego bohatera zwraca się w dwie strony: *po pierwsze*, w stronę pracy dla interesu francuzkiego w sferze handlowéj, *po drugie*, w stronę naukową. Hrabia de Plélo zawiera z jednéj strony z rządem króla Fryderyka IV traktaty handlowe i nawigacyjne, z drugiéj, pośrednicząc na tém samém polu między Francyą a Szwecyą i miastami hanzeatyckiemi, — wchodzi w stosunki z uczonymi, literatami, antykwarzami i archeologami Danii i całéj północy, by zbierać stare księgi, rzadkie rękopisma, skarby naukowe Skandynawii i wzbogacać niemi bibliotekę królewską w Paryżu. Zbiory te, zawdzięczające swój początek zabiegłości hrabiego de Plélo, stanowią, według zaręczenia jego entuzyastycznego biografa, do dziś dnia spory i uznania godny zasób owego pierwszego niewątpliwie w Europie księgozbioru.

Wśród podobnych zajęć i zatrudnień, przerywanych raz po raz wycieczkami na letni pobyt w urocze okolice Kopenhagi, nacechowanemi zawsze niezatartą tęsknotą za Francyą i towarzystwem paryzkiém, ciągnie się żywot naszego bohatera na łonie rodziny, obok kochającéj go serdecznie małżonki. Zgon Fryderyka IV w r. 1730 zmienia bardzo niewiele w jednostajności i spokoju podobnego życia. Trochę ceremonij żałobnych, trochę audiencyj kondolencyjnych, trochę powinszowań: a wszystko znów odbywa się na dworze nowego

króla Duńskiego Krystyana VI tym samym trybem, jakim się odbywało na dworze starego Fryderyka IV. Zgon dopiero Augusta II wprowadza sprawy północy europejskiej w stan zamieszania, najpierw politycznego, później wojennego, i pozwala wyłonić się naszemu bohaterowi, jako postaci wybitnej i czynnej w dziedzinie wielkiej polityki. Autor nie pisze opowiadań dziejów bezkrólewia po Auguście II, lecz monografią o ambassadorze Ludwika XV na dworze duńskim; i dla tego nie można od niego żądać, aby wnikał zbyt głęboko i szczegółowo w rozbiór współczesnych spraw polskich. Cokolwiekbądź, żałować należy, iż zamiast rozpisywania się poprzednio nad sprawami rodzinnemi i finansowemi swego bohatera, nie skorzystał z obfitego, znajdującego się pod ręką, materyału do skreślenia autentycznego i na źródłach opartego obrazu stosunków między Polską a Francyą, między chwilą zgonu Augusta II a dniem elekcyi Leszczyńskiego. Autor jest tu krótkim i summarycznym: opowiada tylko w najogólniejszych zarysach ową podróż z Brestu do Gdańska na statku floty francuzkiej kawalera de Thianges, *udającego* króla Stanisława; ową przeprawę prawdziwego króla Stanisława wskroś Niemiec do Warszawy; fakt jego tamtejszej elekcyi d. 12 Września; wreszcie elektryczne wrażenie, jakie wypadki owe sprawiają na wrażliwym umyśle i sercu reprezentanta Francyi na dworze duńskim.

Kilka słów teraz, dla uwydatnienia uczuć sprawiedliwości szlachetnego charakteru naszego bohatera, o wzajemnym stosunku Francyi i Polski w owej pamiętnej chwili. Jest to, wyznać nam należy nie bez żalu, stosunek wzajemnej nieszczerości, gra ogromnej komedyi *przyzwoitości*, jeśli tak wolno powiedzieć, politycznej, w dodatku słaba wiara głównego aktora w rzeczywistość i prawdziwość swej roli. Jest to już utartym w naszej historyografii przedewszystkiem, a również i w całej naszej literaturze i opinii publicznej komunałem, kląć Francuzów i skarżyć się na ich oszukaństwa polityczne i niesłowność. Może-ż jednakże Polska zawsze i wszędzie zarzutem podobnym miotać w oczy Francyi? i czy Francya nie miałaby powodu odeprzeć, że bywały w pożyciu i stosunkach obu narodów chwile, w których przynajmniej oba nawzajem pod tym względem skwitować się mogą? Nie wdając się w analizę całego prawa dziejowego owych stosunków, w analizę, któraby nas za daleko od naszego specyalnego, niniejszego odwiodła zadania, możemy przecież z wszelką słusznością zastosować ową prawdę do Polski i Polaków podczas bezkrólewia po Auguście II. Ogromna massa narodu *chce* mieć królem Leszczyńskiego. Wpływają na to najrozmaitsze czynniki: moda, urok nadzwyczajnych kolei i cudzoziemczyzny, popularność Francyi, — nie przeczymy, że obok tego i przekonanie, jako wybór Leszczyńskiego jest wyrazem i znamieniem niezależności narodowej. Jest to jednakże entuzyazm zapałkowy, miłość platoniczna, — niezdolna wytrzymać próby ani wobec zagrażającej siły materyalnej zewnętrznej, ani wobec nurtującego rozkładowo we wnętrzu wpływu partykularnych, ma-

gnackich interesów. Wobec zbliżającego się pod Warszawę generała Lacy ulatnia się cały zapał stronnictwa Stanisławowego; jedni jadą za nim do Gdańska, drudzy udają się „na emigracyą“ do Królewca, by tam prowadzić niekoniecznie budujące, zbyt wesołe i hulaszcze życie. Szczupły stosunkowo zastęp poczciwych rębajłów idzie do lasu, by rozpocząć w imię króla Stanisława walkę, ktora może mieć wartość materyału powieściowego, ale która wagi politycznej i strategicznej nie ma. Jakąż zaś rolę pośród owych niepewnych przyjaciół odgrywa sam król Stanisław? Również niepewną. Biedny Stanisław nie wierzy gwieździe własnej; słabych nerwów, równie mało odważnego w trudnych okolicznościach serca, jak mało dojrzałej, w czterech ścianach spokojnej komnaty, rady, — nie umiał on również teraz, jak w czasach burzy wojny szwedzkiej, podtrzymywać godnością własnej postawy gmachu chwiejącej się królewskości swojej. Zamiast z zagrożonej Warszawy cofnąć się w głąb' kraju, ożywić zapał swych stronników, podnieść sztandar swojej sprawy nadstawieniem własnej osoby, pakuje biedny Stanisław w pierwszych dniach Października 1733 bryki, opuszcza stolicę polską, — i z manatkami, damami i inwalidami swej sprawy i swego stronnictwa przenosi się w zakątek gdański, by jedną nogą być niby to jeszcze w Polsce, drugą zaś mieć przygotowaną do ucieczki na okręty francuzkie. Taką-to jest szczerość i taką wiara stronnictwa Stanisławowego i Stanisława samego — we własną sprawę...

A teraz *Francya*, czyż inna i lepsza? Tradycye polityki Ludwika XIV, który słusznie bardzo uważał Polskę za jedno z najważniejszych ogniw systematu francuzkiego wobec Europy; honor króla francuzkiego, interesowany w wyniesieniu jego teścia na tron polski; chęć odzyskania wpływu francuzkiego, utraconego lub zachwianego przez nieszczęsną wojnę o sukcessyą hiszpańską: wszystko to razem skłania kardynała Fleury do podjęcia w notach dyplomatycznych, odezwach, korrespondencyach, manifestach, niby-to sprawy Stanisława Leszczyńskiego; ale gdy chodzi o poparcie słów brzęczącą monetą czynów, pokazuje się, że akcya prawdziwa Francyi rozwija się nad Renem, we Włoszech, w zabiegach około ostatecznego zyskania nabytku Lotaryńskiego, względem Polski zaś kończy się rzecz cała na platonicznej tylko miłości i na bezpłodnych demonstracyach, których niemniej kardynał Fleury, jak minister spraw zagranicznych, Chauvelin, nie chcieliby widzieć branemi i traktowanemi zbyt na seryo. Niema wątpliwości, że kilkadziesiąt tysięcy żołnierza francuzkiego, wylądowanego pod Gdańskiem, wystarczało najzupełniej, aby przechylić wahającą się między Sasem a Leszczyńskim w Polsce szalę na korzyść drugiego. Ministrowie francuzcy nie zdobywają się tymczasem w stanowczej chwili na nic lepszego, jak na kilka okrętów z załogą dwutysięczną, której dowódzcy nadto mają tajemną instrukcyą, aby czasem nie brali swego zadania zbyt na seryo i nie wystawiali powierzonej sobie wyprawy na nieochybną

zatratę. A więc nieszczerość ze strony Polski, nieszczerość ze strony Francyi, i nieszczerość ze strony głównego bohatera téj wielkiéj tragi-komedyi, Stanisława Leszczyńskiego: istne-to urzeczywistnienie *Faux-Bonshommes* Dumasowych.

Tymczasem, podobnie jak w Polsce, pojawia się między dzielniejszéj dłoni i lepszéj woli szlachtą kilku poczciwych i dobréj wiary rębaczy, podejmujących z bronią w ręku obronę Stanisławowéj sprawy, tak i Francya zdobywa się na jeden szlachetniejszy tylko i wznioślejszy pod tym względem okaz. Jest nim nie kto inny, jeno bohater dzieła, z którego zdajemy tu sprawę, — ambassador Francyi na dworze duńskim, hrabia de Plélo. On jeden, — ku nieszczególnemu zadowolnieniu, ku wyraźnemu kwasowi kardynała Fleury i minisrta spraw zagranicznych Chauvelina — bierze sprawę wyniesienia Stanisława na seryo, widzi w niéj wielki interes polityczny Francyi, upatruje honor panującéj dynastyi. Osadzenie króla na tronie polskim z ramienia Francyi jest dlań znamieniem i synonymem zarazem zwycięztwa wpływu francuzkiego na północy Europy; jest daléj dowodem żywotności, dzielności i troskliwości o cześć własną rodu Burbonów. Podobném usposobieniem, podobném zapatrywaniem się na rzeczy tchną wszystkie jego poufne listy i urzędowe depesze, których autor jego żywota przytacza sporo. Równocześnie opracowuje hrabia de Plélo memoryał, w którym przekłada rządowi francuzkiemu dwa sposoby ocalenia Stanisławowéj sprawy: *albo* należy, według niego, wyprawić eskadrę francuzką na morze Baltyckie, z armią, wynoszącą 15,000 ludzi przynajmniéj, któraby wylądowała, pod Gdańskiem i podała rękę, odparłszy Sasów i Rossyan, partyzantom Stanisławowym, *albo* też, zatrudniając Austryą i Rossyą nad Dunajem, starać się wskroś krajów północno-niemieckich rzucić silny sukurs francuzki do Polski. Plany te i memoryały były tém kwaśniéj przyjmowane w Paryżu, że, jak nie po raz pierwszy powiadamy, kierownicy polityki francuzkiéj bardzo dalecy byli od myśli traktowania sprawy polskiéj na seryo. A jednakże nastąpił wypadek, który ich zmusił moralnie do udawania choćby tylko chęci czynu! Wypadkiem tym była obrona Gdańska.

Zacna niemiecka ludność nadbaltyckiéj metropolii hanzeatyckiego związku wzięła również na seryo sprawę Stanisława, a jakkolwiek oblegana i bombardowana przez wojska saskie pod dowództwem Adolfa księcia Weissenfels, przez rossyjskie pod wodzą feldmarszałka Münnicha,—stawia nienaruszenie świetny, będący naówczas przedmiotem podziwu całéj ucywilizowanéj Europy, opór. Król Ludwik XV wystosował wskutek tego do Gdańszczan list dziękczynny; ale nawet obojętność ministrów francuzkich widziała, że ów piśmienny akt zadowolenia i grzeczności nie starczy, a reprezentanci francuzcy, Monti przy boku Stanisława w Gdańsku, de la Chétardie w Berlinie, nadewszystko zaś nasz bohater Plélo w Kopenhadze,

wołali natarczywie o pomoc dla Gdańska. Posłuchajmy w tym względzie ich głosów. Fleury wyprawił w Kwietniu roku 1734 dwie fregaty, jednę o 60, drugą o 46 działach, pod dowództwem kapitana du Barail — najpierw do Kopenhagi, następnie do Gdańska. Wobec tego pisze Monti do Plélo, pod dniem 15 Kwietnia: „Dziewięć fregat trzeba było wyprawić. Wszystko to składa się na fatalność, którą zaledwie pojąć można. Jesteśmy na najlepszéj drodze do utracenia wszelkiej powagi w Paryżu przez niewolę króla polskiego, i przez zgubę Gdańska, który tak łatwo ocalić było można.... Nie ogłaszam jeszcze téj wiadomości (o pomocy, którą mu oznajmiano), ponieważ w położeniu, w jakiém się znajdujemy, trzy bataliony i dwie fregaty są przedmiotem bardzo mało znaczącym. Trzeba starać się przekonać króla polskiego, Polaków i Gdańszczan, że nam przybywa znaczniejsza pomoc. Dwór francuzki nie może uniknąć jéj wysłania, jeżeli chce ocalić honor króla i narodu“. — Plélo pisze w tym samym duchu do kardynała Fleury pod dniem 20 Kwietnia. „Nie mogę ci, Panie, wyrazić radości, jaką mi sprawiłeś, donosząc, że nietylko statki transportowe są obecnie na morzu, lecz że eskadra wyruszy w pierwszych dniach Maja“. — Pod dniem 24 Kwietnia czytamy następny list jego: „Panie, są to okoliczności, w których należy zwyciężyć lub umrzéć... Jeżeli tu będziemy mieli wkrótce 12 lub 15,000 żołnierza do wylądowania i kilka statków bombardyerskich, zdaje mi się, że cię będę mógł zapewnić, iż wydobędziemy się w przeciągu trzech miesięcy z wszelkich kłopotów i północ będzie drżała na długo. Jakaż sława dla Francyi, Panie, jeżeli to nastąpi, lecz także jaki wstyd, jeżeli nasi żołnierze, za słabi, aby dać pomoc Gdańskowi, przybędą tylko, aby uczestniczyć w jego upadku lub być upadku świadkami!“ — Pod dniem 1 Maja stają się owe nalegania jeszcze natarczywszemi. „Przysyłajcie nam jak najprędzéj flotę; możemy tylko liczyć na siebie samych. Pragnąłbym nadewszystko, aby P. Duguay-Trouin miał to dowództwo; samo imię jego starczy za eskadrę. Zresztą trzeba nam człowieka śmiałego, któryby nie miał ochoty oglądania tak prędko Brestu. — Jeżeli przyślecie śpiesznie dwadzieścia do 25 okrętów królewskich i 20 do 25 tysięcy regularnego wojska, zaręczam na pewne, że spędzimy wkrótce Rossyan z morza i lądu, że król polski będzie spokojnym na swym tronie przed upływem sześciu miesięcy, a północ będzie drżała na długo. Wiecie oddawna, jakie pod tym względem były moje pojęcia. Wypadki dały mi aż nazbyt słuszność; pozwólcież mi więc przypomnieć je sobie i przedstawić na nowo, że trzeba usiłowań szybkich i nadzwyczajnych. Otwartość mojéj mowy jest wytłomaczenia godną wśród okoliczności, w których chodzi o honor króla, wasz, i całego narodu. Całe Niemcy i Włochy, odebrane cesarzowi, nie podniosłyby nigdy tyle znaczenia naszego, ile niewola króla polskiego i upadek Gdańska wyrządziłyby nam wstydu i poniżyły nasze imię“. — Nikt bardziej

z pewnością od ministrów francuzkich nie czuł się zakłopotanym przez podobne położenie rzeczy i podobne nalegania niedogodnego ambassadora, zwłaszcza, że honor Francyi i króla nie pozwalał pozostawiać Gdańska i zamkniętego w nim Leszczyńskiego bez pomocy, a tymczasem oddawna powzięte postanowienie nakazywało im nie poświęcać na tę uboczną dla interesu francuzkiego sprawę zbyt wielkich ofiar w ludziach i pieniądzach.

Sposobem wyjścia z podobnego dylemmatu była, jak już zauważyliśmy wyżej, *zbrojna demonstracya.* Pod dniem 13 Kwietnia 1734 przygotowano w portach Calais, Brest i Dunkierce, prócz kilku statków transportowych, dwie fregaty: *Achilles* o 65 działach, pod dowództwem kapitana du Bavailh, naczelnika całej wyprawy morskiej, i *Gloire* o 40 działach, pod dowództwem hrabiego Goutles, i wsadzono na nie trzy bataliony po 650 ludzi z pułków Périgord, Blaisois i La Manche, oddając dowództwo siły lądowej brygadyerowi de Lamotte i pułkownikowi de Blaisois. Eskadra ta znalazła się między 22 Kwietnia a 4 Maja w porcie Kopenhadzkim, przyjęta z pewnem grzecznem zakłopotaniem przez obawiającego się mocarstw północnych króla Duńskiego Krystyana VI, z żalem i rozpaczą w sercu przez hrabiego de Plélo, który w listach poufnych klnie niedołężność polską i złą wolę francuzką, a na zewnątrz nadrabia miną i wyprawia eskadrę wraz z siłą lądową, jaka była, w sam dzień św. Stanisława z portu Kopenhadzkiego ku Gdańskowi. Był przekonany, iż jeźli nic innego, to przynajmniej honor francuzki wyjdzie cało i zdrowo z tego przedsięwzięcia. Tymczasem, kiedy waleczni Gdańszczanie, właśnie na dniu 11 Maja, stoczyli bohaterski bój z Sasami i Rossyanami na Hagelsbergu, w nadziei odsieczy francuzkiej, którą im zapowiedziano niezawodnie na dzień następny,—rozumiał właśnie tegoż samego dnia dowódzca expedycyi, generał Lamotte, że uczyni zadość instrukcyom i intencyom, wyprawiającego go w zamiarze demonstracyi a nie boju, rządu francuzkiego, jeśli, pokazawszy się w obliczu Fahrwasser, zrobi na lewo w tył zwrot i puści się znow do Kopenhagi. Voltaire, mówiąc o tej wyprawie, wspomina wyraźnie, „że generał de Lamotte nie wierzył, aby jego missya była na seryo.“ Bohater naszego opowiadania dowiedział się o odwrocie posiłków francuzkich z następnego listu posła francuzkiego Monti, przy boku Stanisława, z Gdańska 19 Maja 1734 r.:

—„Cóż powiesz o naszych panach, którzy przybywają 10 wieczorem do portu podczas pięknej nocy, jakąśmy mieli, a w której nieprzyjaciel stracił do 2000 ludzi? Lądują 12-go: donoszą mi, że chcą się oprzeć na Fahrwasser, które jest wyspą bezpieczną prawie tuż pod działami Weichselmünde, — a nie czekając więcej odpowiedzi, nie powiedziawszy ani jednego słowa panu Stackelbergowi (komendantowi Weichselmünde z ramienia Stanisławowego), wsiadają na okręty, po kryjomu, w nocy z dnia 14 na 15 Maja i wracają ku wam! Król

polski jest pogrążony w najgłębszym smutku; sądź o moim! Całe miasto jest we łzach. Pomoc, tak długo oczekiwana, która czyniła tyle zaszczytu królowi, wybiera się z Francyi, aby wyjść na pośmiewisko całej Europy. Posyłam ci list otwarty do P. Duguay-Trouin. Na miłość Boską, niech przybywa i nie słucha złych gadanin pana de Lamotte i innych. Będą za nie odpowiedzialni Bogu, Królowi i narodowi. Wisła nie widziała nigdy sztandarów francuzkich; trzebaż, by przybywały, aby następnie uciekać. Żałuj mnie; co powiedzą teraz Stany Szwedzkie, i jak piękną sławę gotują ci panowie dla broni Króla".

Mimo to byliby zapewnie, tak kanclerz kardynał Fleury, jak minister spraw zagranicznych Chauvelin, zgryźli w milczeniu ów afront gdański i nie starali go się obmywać krwią francuzką, gdyby im, ku powtórnemu zakwaszeniu humoru, nie była stanęła na przeszkodzie szlachetna fantazya i uczciwa drażliwość bretońskiego szlachcica. Za ukazaniem się brygadyera Lamotte w porcie Kopenhagi, przyszło między nim a hrabią de Plelo do gwałtownego zajścia. Plelo zainterpellował go surowo o powody, jakie go mogły skłonić do powrotu bez żadnej próby wylądowania. Odebrał odpowiedź, że łatwo robić w gabinecie plany podobnej wyprawy, lecz nie łatwo je wykonać. „A ja pokażę ci możność ich wykonania!" zawołał zapalny Bretończyk. „W imię Króla, Twego i mego pana, którego tu miejsce zajmuję, nakazuję ci: ruszaj za mną!" Odtąd bierze na siebie Plelo dowództwo wyprawy, postanawia choćby krwią własną odkupić skażony honor Francyi; widzi nadzwyczajność swej decyzyi, ale tłómaczy ją w obec siebie i innych niemniej nadzwyczajnemi okolicznościami. „N. Panie! — pisze pod dniem 20 Maja z pokładu *Achillesa* w porcie Kopenhadzkim — Wasza K. M. odebrałeś w ostatniej mej depeszy wiadomość o szczęśliwem wylądowaniu naszych pierwszych wojsk pod twierdzą Weichselmünde. Ten sam żołnierz wrócił wczoraj do tutejszego portu, nie pokazawszy się nieprzyjacielowi, z powodów, które W. K. Mość znajdziesz wyszczególnionemi w memoryale, skreślonym przez P. de Lamotte; memoryał ten będę miał honor przesłać W. K. M. przy pierwszej sposobności. Wyznaję, N. Panie, że powody te nie zdały mi się wystarczającemi, aby usprawiedliwić podobne *zstąpienie* na okręty, lub lepiej powiedziawszy, podobny odwrót. Hańba, jakaby ztąd mogła spaść na naród, i następstwa, jakieby ztąd mogły wyniknąć dla bezpieczeństwa Króla Polskiego, dotknęły mnie nawet tak mocno, że uważałem sobie za obowiązek powziąć decyzyą, którą tylko natarczywa konieczność usprawiedliwić może, to jest: zwrócić żołnierzy i samemu stanąć na ich czele. Winienem nie ukrywać W. K. Mości, że podejmujemy przedsięwzięcie tem ryzykowniejsze, iż Rossyanie skorzystali prawdopodobnie z naszego oddalenia, aby utrudnić nasze usiłowania. Idziemy jednakże umyślnie wszyscy, raczej aby zginąć, aniżeli powrócić choćby z najlżejszą plamą. Zobaczysz nas tylko zwycięzkimi, lub,

jeśli pozostaniemy, będzie to przynajmniéj w sposób godny prawdziwych Francuzów i wiernych poddanych W. K. Mości“..... „W. K. Mość będziesz z pewnością zadziwiony, skoro się dowiesz, że pułki Périgord i Blaisois wróciły wczoraj do tutejszego portu pod eskortą fregat *Achillesa* i *Gloire*, i to nie zrobiwszy nic na korzyść Gdańska. Nigdy, N. Panie, broń W. K. Mości nie doznała sroższéj obelgi. Strach paniczny przejął tak mocno żołnierzy i oficerów, nawet nie wyjmując dowódzców, że tego bez drżenia nie podobna wypowiedziéć. Udałem się natychmiast na pokład do pana de Barailh, gdzie nie mogłem się powstrzymać od wyrażenia z wszelką otwartością uczuć moich panu de Lamotte. Znalazłem jednakże człowieka zadziwionego, bredzącego i zupełnie niezdolnego do jakiegobądź energiczniejszego postanowienia. Inni dowódzcy znajdywali się prawie w tém samém usposobieniu ducha. Jedynie tylko oficerowie marynarki pokazali się i pokazują jeszcze godnymi służyć W. K. Mości. W ostateczności tak przykréj pozostawał mi jeden tylko środek: stanąć na czele żołnierza i ruszyć na nieprzyjaciela. Wiem wszystko, co się da powiedziéć o podobném postanowieniu, które nie znajduje przykładu. W. K. Mość poleciłeś mi czuwać nad swemi interesami, a najważniejszym ze wszystkich jest: nie pozwalać na zbezczeszczenie narodu, któremu rozkazujesz. Wybieramy się więc, N. Panie, z okrętami *Achillesem*, *Gloire*, *Fleuron*, *Brillant*, *Astrée*, czterema statkami transportowemi i kilkoma korwetami do wylądowania oraz z pułkami Périgord, Blaisois i de la Marche... Wasza Królewska Mość będziesz miał wkrótce o nas dokładniejsze wiadomości“...

W równoczesnym liście do kardynała Fleury był jeszcze energiczniejszym. „Postanowienie — pisał — jakie powziąłem, jest nadzwyczajnem, lecz wypadek, który je wywołuje, jest jeszcze nadzwyczajniejszym. Wstyd i hańba tego, co się stało, mogą być tylko zmazane zupełném zwycięztwem lub wszystką krwią naszą. Skoro będziesz poinformowany zkądinąd o wszystkich szczegółach tego fatalnego zajścia, przekonasz się, że postanowienie, do którego przystępuję, jakkolwiek może anormalne, było przecież koniecznie potrzebném. Trzeba było głowy naszym żołnierzom, aby ożywić ich odwagę. Odwaga pana de Lamotte zawodzi najzupełniéj od czasu jego wyprawy; inni nie więcéj warci. Wyznaję, że mi zbywa na wielu rzeczach, aby temu niedostatkowi zadosyć uczynić, lecz przynajmniéj nie braknie pomiędzy niemi odwagi, a stopień, jaki zajmuję, posłuży mi do przeszkodzenia skutkom rad bojaźliwych. Znajdujemy się w położeniu, w którém trzeba zwyciężyć lub umrzéć. Jeżeli nie pójdziemy, Król polski będzie wzięty, a ponieważ obecność moja jest konieczną, aby kazać iść naprzód, uważałem, iż nie należy się wahać ani chwili. Cokolwiekbądź nastąpi, Król zobaczy, że jestem godny mu służyć“.

Czułe jeszcze było listowne pożegnanie z małżonką, z którą się osobiście żegnać z umysłu nie chciał. „Byłbym niegodnym imienia Francuza i Twojéj miłości, gdybym nie uczynił tego, co winienem

w podobnéj okoliczności. Mam serce zbyt zbolałe, aby ci powiedzieć więcéj“.

W ten sposób staje expedycya francuzka, pod rozkazami hrabiego de Plélo d. 23 Maja pod Weichselmünde, złożona z wyżéj wymienionych okrętów i około 2000 ludzi żołnierza lądowego. Cztery bataliony francuzkie rozłożyły się pod Fahrwasser; Plélo i dowódzcy expedycyi stanęli w twierdzy Weichselmünde, zkąd obserwowali stanowisko nieprzyjaciela i usiłowali wejść w stosunki z oblężonymi w Gdańsku. Zamiarem hrabiego de Plélo było: téjże saméj nocy jeszcze uderzyć na szańce rossyjskie i saskie; komendant jednakże Weichselmünde Stackelberg przedstawiał, że lepiéj będzie porozumiéć się z posłem francuzkim, Montim, w Gdańsku, i skombinować z nim wycieczkę, któraby nastąpiła równocześnie z atakiem od morza. Zamach podobny ułożono na 27 Maja rano, a tymczasem wyprawia jeszcze Plélo z owéj strażnicy Weichselmündzkiéj dwa listy, pełne otuchy i silnego postanowienia, — jeden do Króla duńskiego, drugi do Króla francuzkiego.

Rano dnia 27 Maja, równocześnie z odezwaniem się strzałów wycieczki gdańskiéj, wyruszyli Francuzi ze swego obozu pod Fahrwasser, i uderzyli w lesie bukowym i dębowym na szańce rossyjskie, które im zamykały drogę do Gdańska. Plélo szedł ze szpadą w ręku obok chorążego pułku Blaisois.... Francuzi rzucili się z wściekłą odwagą rozpaczy na szańce rossyjskie; ogień jednakże z szańców idący był zbyt straszny, nieprzyjaciel broniący ich zanadto przemagający liczbą, pozycya szturmujących zbyt odsłonięta, — aby o powodzeniu było można marzyć. Niektórzy z Francuzów, między innymi sam Plélo, wdarli się w obręb szańców, jedynie na to tylko jednakże, by tamże poledz śmiercią walecznych. Po kilkugodzinnym boju nakazał brygadyer de Lamotte, pozostawiwszy połowę swoich na placu spotkania, odwrót do obozu pod Fahrwasser, i równocześnie wsiąkła i wycieczka Gdańska napowrót do miasta. Dnia następnego zażądał dowódzca francuzkiéj expedycyi zawieszenia broni i wydania poległych, na co się feldmarszałek rossyjski Münnich z wszelką gotowością zgodził. Przy poszukiwaniach na pobojowisku znaleziono trupa hrabiego de Plélo, z nogą strzaskaną od kuli karabinowéj, z szesnastu ranami od bagneta w brzuch i piersi, z cięciem od pałasza w głowę. Świetniéj i ofiarniéj nie podobna się było wywiązać z przyrzeczenia zwycięztwa lub śmierci.... Ciało, złożone przez wiernego sługę w ołowianą trumnę, powróciło do Kopenhagi, przyjęte z serdecznym żalem całéj ludności, z nigdy nie utuloną rozpaczą małżonki, która na to tylko wraca do Francyi, by wkrótce, z wyjątkiem jedynéj pozostałéj córki, stracić wszystkie dzieci, i w ponurym smutku zstąpić do grobu.... On sam pochowany w Bretanii, w kościele wsi Saint-Bihi, w pobliżu miasta Saint-Brieuc, gdzie łaciński na nagrobku napis opowiada jego tragiczny zgon pod Gdańskiem.

Piękna to, choć małoznana postać. Na tle epoki, ludzi i wypadków, przedstawiających same tylko fałsze i słabości, — człowiek energii, odwagi, silnego postanowienia, zdolny spłacić własnem życiem uroczyście dane słowo. Widzi jasnem okiem interes Francyi w podjęciu sprawy Stanisława Leszczyńskiego; podejmuje ją z całym zapałem i szczerością, a gdy spostrzega, że kraj jego i ziomkowie w obronie tej sprawy narażają cześć sławną, śpieszy ofiarnie i bez targu, by krwią i życiem własnem, jeśli nie zwycięztwo, to honor okupić Francyi. Autorowi żywota jego należy się wdzięczność, że podobnie piękną postać wydobył z zapomnienia, należy mu się i z naszej strony, choćby przez wzgląd, że bohater, ginąc dla Stanisławowej sprawy, jest istotnie, tak ze strony Francyi, jak ze strony Polski, szczerze, serdecznie i z dobrą wiarą poświęcającą się sprawy tej ofiara.

II. Cours graduel et complet de Chinois parlé et écrit. par le Comte Kleczkowski, ancien chargé d'affaire de France à Pekin. Volume Ier. Paris, 1876. p. LXXII, 102. et 116, 2.

Bibliografia dzieł elementarnych, naukę języka chińskiego początkujących, przedstawia się na Zachodzie dość skromnie. Liczba podręczników niezbędnych dla sinologa jest jeszcze nader ograniczoną, pomimo, że pomnażające się z rokiem każdym stosunki ze wschodem azyatyckim, czynią znajomość mowy największego na świecie państwa koniecznością pierwszego rzędu w dyplomacyi, missyach religijnych i wyprawach handlowych. Literatura francuzka posiada podobno dwa tylko słowniki dawniejsze, i trzeci, zgasłego zawczesnie Callery'ego, ledwie zaczęty. Z dwójcy tej wytrącić jeszcze trzeba dykcyonarz ojca Basile, wydany przez Guignesa, jako łączący w sobie wszelkie niedogodności formatu, układu, rozmiaru i pisowni. Słownik tedy francuzko-chiński księdza Perny pozostaje bez współzawodnika. Sławę europejską posiada słownik portugalski, (łacińsko-chiński) ojca Gonzalvesa; szkoda, że należy do białych kruków wydawniczych. Nareszcie dykcyonarz Wells-Williamsa (1874, Szang-hai) policzyć trzeba do szacownych, ale wyłącznych nabytków wielkobrytańskich, z powodu zbyt gorliwego zastosowania do pisowni wyrazów chińskich—wymowy i toniki angielskiej. Obficiej nieco prezentuje się dział grammatyczny. Wymieniamy tu: Abla Remusata: *Les éléments de la gramm. chin.*, Pawła Perny: *Gramm. de la langue chin.* i Stanisława Julien *Syntaxe nouvelle.* Z chrestomatyj, znane są Tomasza Wade: *Documentary series.*

Praca p. Kleczkowskiego, professora paryzkiéj szkoły specyalnéj języków wschodnich żyjących, p. n. *Wykład stopniowy i całkowity języka chińskiego*, przeznaczoną jest zatém do wypełnienia luki znacznéj w językoznawczém piśmiennictwie ludów zachodnich. Jest to wprawdzie pierwsza tylko część dzieła, które się ma składać z czterech wielkich tomów, lecz część stanowiąca, pod pewnym względem, całość sobie wystarczającą. Daje nam tu autor, oprócz poglądu na naturę Chińczyków i ich literaturę, originalny tekst tysiąca z górą zdań i okresów wyjętych z *Arta China* ojca Gonzalvesa, odbitych starannie na 106 tablicach i ułożonych szeregiem postępowym, od mniéj do coraz więcéj złożonych. Oryginał wyświetlają dwa równoległe tłómaczenia: literalne i literackie, wraz z potrzebnemi przypisami dla trudniejszych lub ważniejszych zdań. Lista 214 kluczy albo pierwiastków (liter), kończy tom ten pierwszy.

W dziele swém autor nie rozwiera nowych widoków na naukę języka chińskiego w ogólności. Obojętny na uczone teorye, które też niekiedy traktuje z przekąsem, wytknął on sobie cel zgodny przedewszystkiem z powołaniem jego profesorskiém. Sprawę zasadził na tém: jak drogą najkrótszą i najpewniejszą uposażyć ucznia summą wiadomości i wyobrażeń niezbędną do natychmiastowego po skończeniu studyów wejścia w zażyłe porozumienie z mieszkańcami Państwa Niebieskiego? Trzydziestoletnie obcowanie z przedmiotem, długi pobyt w Chinach w charakterze pełnomocnika Francyi, kilkuletnie w końcu doświadczenie nauczycielskie, — pozwoliły mu zapanować nad materyałem tak dla Europejczyka niepokornym i sypkim. Metody swéj jednak profesor wielkiemi obietnicami nie okłada. Zastrzega i powtarza, że nauka języka chinskiego wymaga usiłowań długich, cztero- lub pięcioletnich, stałych i bezprzerwnych, bodaj dwugodzinnych na dobę, lecz bezwarunkowo-każdodziennych. Pod koniec przecież swéj przedmowy p. Kleczkowski, jakby zmiękczony widokiem tylu obostrzeń i pogróżek, któremi najeżył drogę do świątyni Konfucyuszowéj, oświadcza: „Wszelakoż, gdybym był pewien, że lat kilka mam jeszcze przed sobą, lat kilka, — bowiem są zwłoki, których najmocniejsze postanowienie skrócić nie zdoła — i gdyby przekonanie o użyteczności dzieła dało mi, w braku talentu, moc doprowadzenia przedsięwzięcia do skutku według założonego planu, zgodziłbym się może powiedzieć, że książka moja uczyni naukę języka chińskiego równie łatwą i dostępną, jak dziś łatwą i dostępną jest nauka języków niemieckiego lub rossyjskiego“.

O naturze tego języka dać tu będziemy w możności, idąc za wskazówkami uczonego ziomka, niejakie tylko, powierzchowne zapewne, wyobrażenie. — Niezależnie od prostéj ciekawości, jaką w nas niewątpliwie obudza mowa kilkuset milionów ludzi, różniących się od nas religią, pojęciem, obyczajami i wychowaniem, niemała także i korzyść leży w rozważaniu kształtów myśli tak dalekich i obcych własnym naszym formom myślenia: przez

podobne-to bowiem ocieranie się wyobrażeń danych o wyobrażenia rdzennie z niemi sprzeczne, pogląd nasz czyści się i trzeźwieje. Nie jedno zagadnienie własne rozświetla się daleko łatwiéj przez proste rozsunięcie nad niém ciasnego widnokręgu, niźli przez ciągłe u stóp jego wiercenie się i rozgląd.

Język chiński nie zna alfabetu, nie posiada przypadków, czasów, trybów. Jest ideograficznym, jednozgłoskowym, hieroglificznym, w tém rozumieniu, że rzecz każda, każde pojęcie wyraża się w nim za pomocą figury pewnéj, *znaku* sztucznie złożonego z rysów pojedyńczych. Sens tych znaków, wyjąwszy 214, zwanych rdzennemi czyli pierwiastkowemi i mających wartość stalszą nieco, zależy głównie od stanowiska, jakie z nich każdy zajmuje względem innych figurek sąsiednich i bliźnich. I tak np. znak *kien*, odpowiadający w odosobnieniu takiéj saméj niemal ilości wyobrażeń, jakąbyśmy wyznaczyć mogli naszemu wyrazowi *mnogość*, przybiera wobec znaku *ograniczenie* przymiot *oszczędności*, położony zaś przed cechą *chudy*, oznacza *skąpstwo*. Logika tu niezaprzeczona; lecz to jeden z rzadkich tylko wyjątków solidarności związkowéj hieroglifów chińskich. Pospolicie kombinacya figurki danéj z jéj pobocznicami nie zależy od żadnéj zgoła reguły logicznéj. Weźmy znak *thień*: ze znakiem *khi* rodzi on pojęcia czasu, powietrza, niebios, oraz niekiedy, w stosunku do cech całego zdania, daje początek wyobrażeniom pary, humoru, gniewu; lecz tenże sam *thien*, stowarzyszony z innemi znowu rysami, częstokroć nie posiadającemi wyraźnego charakteru, daje nam kilkadziesiąt pojęć tak różnych, jak Bóg jedyny i zniszczenie. Racyi tych połączeń i wynikających z nich znaczeń daremniebyśmy szukali dzisiaj. Powody etymologiczne zaginęły tu w mgle wieków; obecnie każdy znak języka chińskiego przedstawia jakby całą jednę kategoryą idei, jakby kątegoryi téj ogół i szczegóły, jéj rozgałęzienia i konsekwencye. Nie da się zaprzeczyć, że początkowo znaki owe, mniéj liczne, były graficzném odbiciem, odwzorem przedmiotów materyalnych; przekonywamy się o tém, rozpatrując się w znakach prostych słońca, człowieka, ryby, żółwia, wozu, podwoi, gwiazdy, siekiery i t. p. W miarę atoli jak się stosunki społeczne, a przez nie i umysłowe, rozpościerały coraz szerszemi kręgami rozwoju, musiała i mowa narastać odpowiednio w głąb i wszerz. Działo się to w sposób dwojaki. Najpierw, przez ożenkowo-pochodnie przeistaczanie się samych znaków dawnych na nowe, na takie np. jak znak *yo* lub *yao* (blask) będący zlaniem znaków: słońce, skrzydło, ptak; powtóre zaś, przez gromadzenie się przy figurach, zarówno pierwotnych jak i pochodnych, wyobrażeń stosunkowych, czyli wynikających ze wzajemnego wpływu jednych znaków na drugie (nie zaś z ich połączenia) jak to np. postrzegamy przy znaku słońce, które obok znaków: człowiek i oko, tworzy pojęcie światła, w zestawieniu zaś ze znakami roślina i wzrost daje pojęcie ciepła. Wszystkie te modyfikacye wewnątrz- lub zewnątrz

znakowe bogaciły i gmatwały zasób języka chińskiego w długim szeregu lat; każdy wyraz jest dziś jakby wierzchołkowém streszczeniem własnéj swéj historyi. A że zmiany, którym figurki ulegały w przeszłości, były nader liczne, odbywały się zaś bynajmniéj nie w sposób organiczny, to jest od natury samych-że znaków zależny, ztąd dla ogółu cały ów balast dziejowy, łączący od spodu obecną summę wyrazów jakby labiryntową siatką jedności i wspólności, nie istnieje wcale. Uczony piśmiennik, strawiwszy w tych podziemiach życie całe, poznać może niektóre z ich kurytarzyków; prosty śmiertelnik, dla którego dolne owe piętra na głucho zamurowała niewiadomość, ma przed sobą tylko wór bierek i kształtów bezpodstawnych. Słowem, wszystkie te symbole i hieroglify podobne są, we względzie swéj genezy i zastosowawczego użytku, do przenośnych a różnokształtnych kopców mogilnych, w których spoczywają, snem indywidualnym uśpione, familie pojęć, wyobrażeń, myśli, słów. Żaden z nich nie posiada sam przez się stanowczego znaczenia; dopiéro w skutek obcowania tych kopców z sobą, zmartwychpowstają z nich bohaterowie i niewiasty, starce i niemowlęta, i wszyscy razem głos zabierają. Tworzy się tym sposobem gatunek obrad towarzystwa wzajemnéj pomocy, w których, żeby się dowiedzieć o co chodzi, trzeba zaczekać na zsummowanie, na bilans posiedzenia.

Ileż tych kopców liczy język chińskich? Liczy ich od czterech do pięciu tysięcy, które professor Kleczkowski zredukować uważa za możebne do trzech tysięcy. Ponieważ jednak każdy ze znaków przypuszcza w przecięciu co najmniéj cztery zastosowania różnorodne, dla należytego więc poznania mowy téj interesującéj, wypada uczniowi przyswoić sobie, zapamiętać od dwunastu do piętnastu tysięcy obrazków ideograficznych. Jest to już trudność nie mała. Że zaś z drugiéj strony znaczenie zdań i wyrażeń, jakeśmy o tém wspomnieli, promienieje dla umysłu dopiéro z samego szyku, z takiego lub innego uszeregowania znaków, ztąd nie dziw, że dla nowo wstępującego w te krainy, przedstawiają się one Saharą piasków ruchomych, bez brzegów, dna i ujęcia. I tém w istocie byłaby mowa chińska, gdyby śród jéj zasp i trzęsawisk nie wiły się tu i owdzie ścieżki ubite, nie zieleniły gdzie niegdzie oazy, — gdyby na powierzchni nie było żadnych już zgoła reguł przewodnich. Ale się rzecz ma nieco inaczéj.

Napomknęliśmy o 214 pierwiastkach znakowych. Prof. Kleczkowski uważać je pozwala za gatunek ojców rodzin w etymologicznem społeczeństwie chińskiem, jak to zresztą wypada i z saméj ich nazwy *tse-pu*, zarząd, ojcowstwo znakowe. Są to symbole, posiadające, okrom wyłącznéj swéj wartości, jeszcze i znaczenie naszych nagłowków rozdziałowych, pod które podprowadzić można, gruppa za gruppą, wszystkie symbole, składające powszechność języka chińskiego. Gruppa pierwsza występuje tu z przymiotem ogólnym, którego grafika opiéra się na jednéj tylko szramie, na jednym rangowym

rysie. Gruppy ostatniéj, dwuchsetnéj czternastéj, charakterem konstytucyjnym jest figura, sformowana z siedmnastu aż kresek. Dla jasności grammatyki chińskiéj niczego więcéj nad podział ów nie trzeba byłoby wymagać, gdyby ojcowskie rangi same jedne podwładnymi swymi, potomstwem swém, rządziły. Ale, niestety, są obok nich połowice ich, elementa żeńskie, matczyne, *tse-mu*, których ilość podaje autor na tysiąc dziewięćset trzy. Są to rysy przeważnie dźwiękowe, dodawane do pierwiastków męzkich, w celu uspecyalizowania tych ostatnich. Pierwiastki np. *niao*, *yu* i *mu* wskazują prawie zawsze, że się rzecz toczy około jakiegoś ptaka, ryby, drzewa —w ogólności. Otóż pewien rys żeński, złączony z jednym z trzech powyższych symbolów ojcowskich, wyznacza najczęściéj głosową naturę znaku utworzonego tą drogą, tudzież gatunek ptaka, ryby, drzewa — lubo i tutaj się zdarza, że wszystkie te uszczególnione właściwości przychodzą na świat bez współudziału wykreślników żeńskich.

Bądź co bądź, znaczenie hieroglifu, zawarowane stanowiskiem jego w okresie, wyjaśnione obok tego wskazaném dziedzictwem po mieczu i kądzieli, uforemnia się jeszcze na podstawie tak zwanego skandowania. Język chiński, powiedzieliśmy, jest ideograficznym, symbole zaś jego zmieniają w nim charakter, stosownie do związku z symbolami pobocznemi. Zdarza się zaś, że niektóre z tych rysów, przy rozmaitych kombinacyach, głos tracą, stają się niememi: naturalném jest tedy, że to, co znika w przejściu z języka pisanego w język mowny, musi koniecznie pozyskać w żywém słowie odpowiednie wynagrodzenie. Wynagrodzeniem tém są tony. Jest ich siedm, z których główniejsze: równo-wysoki, równo-nizki, wznoszący się, spadający i krótko-urywany. Zapewnia atoli prof. Kleczkowski, że w nauce języka chińskiego tony owe nie grają roli ważnéj; więc i my poprzestajemy na prostéj o nich wzmiance.

Do reguł również odnieść wypada dwie oryentujące wskazówki, wysnute z rozważania architektonicznych usposobień języka chińskiego. Pierwszą nazywają uczeni prawem antynomii i równoległości. W podstawie języka tego nie zdaje się ona leżéć i uświęcił ją jedynie zwyczaj, mocniejszy niekiedy od natury saméj, jako niezbędną okrasę i jako kwiecie literackie, jako śmietankę rozwojowych właściwości monosyllabizmu i ideografii. W moc tradycyjnéj jakby umowy, zdania chińskie i okresy rozbijają się zawsze na dwie symetryczne połowy: świetlaną i cienistą, dodatnią i ujemną, wnośnikową i wnioskującą. Jeżeli we wstępnéj połowie frazesu użyło się wyrazu *czarny*, trzeba w połowie drugiéj użyć nieodwołalnie *biały*, nie zaś *czerwony* lub *zielony*. Jeżeli się po téj stronie umieściło pięć znaków, użycie po stronie tamtéj sześciu lub siedmiu będzie dowodem nieuctwa i niewiadomości grubéj. Skoro się rzekło: *słońce świeci we dnie*, i nie dodało się: *lecz nie świeci w nocy*, można się zawczasu pożegnać z dyplomem na bakałarza chińskiego!

Wskazówka druga, mniej ogólna, ściślej się natomiast wiąże z dzisiejszemi przymiotami głównemi, zasadniczemi mowy. Wiemy w jakim-to porządku monosyllabizm obecny się wykształcił. Z kilkuset materyalnych odwzorów rzeczy widzialnych (słońce, siekiera, podwoje etc.) wyrósł on na pagórkowate pasmo ustosunkowań oderwanych, ponawijanych na kołeczki symboliczne bez dostojeństwa indiwidualnego. Całość tego rozwoju, z wykreślnemi powodami historycznemi i z wynikową powierzchnią obecnej konstytucyi narzecza, ma postać ogromnej piramidy, obróconej cieńkim a realnym swym wierzchołkiem w dół, ku przeszłości, szeroką zaś podstawą, abstrakcyjnie-idealną, w górę, ku teraźniejszości. Nawskroś teraźniejszości zatem swego języka, osnutej na stosunkach i przymiotach rzeczy, spogląda Chińczyk w ciemną i głęboką studnię rzeczy samych. Łatwo się tedy tłómaczy, że umysł jego, wyćwiczony w takiej gimnastyce wzrokowej, tysiącami odcieni zasnutej, postępujący zawsze od ogółu stosunków do szczegółu faktów, stale i regularnie chwyta w siebie i z siebie wyrzuca: pierwej scenę niż akcyą, pierwej kontur niż charakterystykę, pierwej gromadę lub otoczenie niż indywiduum. Odbłysło to i na budowie zdań, w których Chińczyk myśl swą, uczucie lub obraz zamyka. Najdalsze pojęcia rozwiesza on naprzód, najbliższe pod koniec. Zaczyna od subjektywnego kopania grobu dla objektu, który często w głowie się jeszcze nie narodził, kleci dlań później trumnę, następnie ściele prześcieradło śmiertelne, a nareszcie zawija w nie swe dziecię. Gdy chce powiedzieć naprzykład, że ludzie po większej części są źli — stawia znaki: *świat*, *krańce*, *powierzchnia*, *całość*, *połowa*, *człowiek*. *bynajmniej*, *dobry*; gdy oświadczyć pragnie, że okręt przybył, maluje: *ocean*, *jazdę*, *mienie* (mieć) *okręt*; gdy naucza dziecię, że drobne drzewa rosną na wierzchołkach gór, kreśli symbole: *wierzchołek*, *góra*, *krzak*, *miara*, i t. p.

Tyle o języku; przezeń wstępuje się w społeczną i filozoficzną sferę chińszczyzny. W rzędzie wielu innych określeń mowa pewnego narodu jest gościńcem, jest i wrotami do jego obwodów literackich i naukowych. Im wrota te są szersze, wspanialsze, dostępniejsze, im gościńce te są przestronniejsze, gęściej i naturalniej w rozmaitych kierunkach pokratkowane, tem większe ożywienie panuje po zakątkowych dzielnicach obwodów, tem mniej w nich nieużytków i pustkowia, tem normalniej biją umysłowe tętnice narodu, tem silniej i czerstwiej twórczość zapładnia mu ziemię, wody i powietrze. I na odwrót.

Literatura chińska na swój ład illustruje prawdę tę obrazową.

Jest ona przedewszystkiem obfitą, i gdyby ilość umysłowej produkcyi stanowić miała o bogactwie literatury, Chiny chlubnie wytrzymałyby najsurowsze porównanie z Europą całą, zwłaszcza w zakresie romansów i powieści. Wychodzi ich tu więcej, niż w Anglii i Niemczech razem wziętych; są one poczytniejsze jeszcze, a nie

mniej wyuzdane od francuzkich, w dodatku zaś, kosztują mniej bez porównania niżli włoskie i hiszpańskie: za groszy dziesięć masz tu wyborną trzytomową nowellę. Sztuki teatralne leją się także kaskadami nieustającemi, co się tem tłómaczy, że w Chinach przedstawienia sceniczne oddawna się stały rozrywką nieodstępną nietylko miast, lecz i wiosek. Jedne i drugie, romanse i utwory dramatyczne, „odznaczają się — zapewnia autor nasz — wielką siłą wynalazczości i postrzegawczości; niejedna komedya osnutą jest na sytuacyach, którym-by przyklaśnięto na wszystkich scenach z tej i tamtej strony Atlantyku". Nie brak też Chińczykom encyklopedyj dwiestu i trzystu-tomowych. Dział, traktujący o rolnictwie, przeważyłby niechybnie wytwory tegoż rodzaju na starym... (śmiech porywa Chińczyka na wzmiankę, że Europejczycy okrawek swej ziemi starym śmią nazywać)... na starym i nowym lądzie. To samo ze sztukami mechanicznemi, to samo z medycyną. Nareszcie literatura właściwa, filozoficzna, estetyczna i moralno-polityczna, pod żadnym już względem nie ustępuje literaturze scholastycznej plemion semicko-aryjskich. Pod żadnym — co znaczy, że i pod względem jakościowym.

Jakościowy ten kapitał do jakiej-że mianowicie dochodzi wysokości? Czem w gruncie rozporządza cały ten ogrom wiedzy chińskiej? — Odpowiedź na to pozwalamy sobie otulić w liść przenośni drobnej.

Podróżnik zwiedzający ogród aklimatyzacyi w Lasku Bulońskim z upodobaniem spędza chwilkę odpoczynku przed tak zwanem aquarium. Zajmujący bo też to światek, ten światek drobnych zwierząt, wiecznie krążących po przestworzach wodnych. Każde indywiduum razy kilkadziesiąt na godzinę opłynie cały obszar swego oceaniku, a jednak na żadnym punkcie nie zawadzi o żadnego towarzysza z ciżby tej wędrownej. Ileż ewolucyjnych stosunków ztąd powstaje, ile nieprawidłowych i dowolnych zmian! Ale rzućmy do aquarium obce jakie ciało, kamyk np. Jednej chwili całe to państwo żyjątek zemknie się w zastępy prostolinijne, dośrodkowo skierowane ku przybyszowi. Wszystko razem najregularniej kłębić się zacznie do koła nieruchomej już grudki — uporczywie, długo, ciągle, do znużenia. Kamyk staje się jakby punktem centralnym powszechnego ciążenia, otoczenie zaś — jakby nieustającym punktu tego komentarzem.

Odczytując uwagi prof. Kleczkowskiego o cywilizacyi chińskiej, mniemaliśmy, że czem owo akwaryum w zwyczajnym swym stanie, tem być musiały pojęcia i mowa Chińczyków w końcu wieku V-go przed Chrystusem; a czem ten kamyk i otaczające go jestestwa, tem się dla nich stała religia Khong-tse'go (Konfucyusza) i jej wieczysty komentarz — obecna literatura chińska.

Lubo nie jest wcale pewnem, żeby pisma Konfucyusza dochowały się do dni naszych; lubo są poszlaki dowodne, że nauka jego zaraz

w początkach uległa zmianom niemałym, poczynionym przez uczniów i kontynuatorów mędrca, przez Tseng-tse, Tse-sse i głównie przez Meng-tse (Menciusza), tego Ś. Pawła urzędowéj religii chińskiéj (urodz. w r. 371 przed Chryst. w sto siedem lat po śmierci Konfucyusza), — to jednak niepodpada wątpliwości, że treść Khong-tseizmu, treść pierwotna, oryginalna, stanowi podziśdzień pestkę wiary, nauki, moralności i ustaw chińskich. Dokoła niéj to się obraca, z niéj światło, z niéj ciepło czerpie wiedza kilkuset milionów ludzi, dobijających się do tego źródła poprzez wszystkie mgły i trudności swéj mowy.

Niepodobna było dotąd ściśle oznaczyć, jakie jest pochodzenie doktryny Konfucyusza. „O ile wierzyć mamy księgom chińskim — powiada prof. Kleczkowski — *pierwszy ten mędrzec ludzkości* (jak go nazywają swoi), nie rościł nigdy prawa do autorstwa swéj nauki, nie utrzymywał, że ją stworzył, począł w sobie. Nigdy téż nie przypisywał jéj boskich początków. Owszem uczynił wiadomém, że ją wydobył z podań ludowych, z rozproszonych złomków poezyi i filozofii, tradycyjnie społeczność obiegających, z pieśni, hymnów, przypowieści, baśni“. Lecz czy fragmenta te dostały się Konfucyuszowi z Biblii, ze źrodeł semickich, jak to gotów autor przypuścić, czy téż może Mędrcowi nad Mędrce przyniosły je z nad Gangesu echa hymnów wedyjskich, lub do stóp mu wyrzuciły wiatry i fale egipskie, albo téż, gdyby się to okazało nieprawdopodobném, czy nie byłyby one pozostałością podań plemienia starożytniejszego jeszcze od Chińczyków, a przez nich podbitego? Zagadki te rozwiąże nam zapewne niebawem lingwistyka porównawcza. Dziś jedyną hypotezą, jaka w przedmiocie tym dałaby się uzasadnić konsekwencyami swemi, zgodnemi z całością umysłowego rozwoju Chin, jest ta, że „ziarna owe zdrowego rozsądku“, z których urosła nauka Khong-tse'go, nie są, nie były rodowo-chińskie. Świadectwem zaś w téj mierze najsilniejszém, byłby właśnie sam język chiński, jego duch, natura, z duchem i naturą konfucyonizmu nie mające właśnie nic wspólnego, jednoszczepowego.

W sprawie wytycznych właściwości mowy ideo-graficznéj powtarzać się już nie będziemy. Wiemy na jakich zawiasach ustosunkowania obracają się wszystkie jéj furtki pojęć falisto rozbujałych, nigdy twardego gruntu pod sobą nie pewnych i podejrzliwemi zezami rzucających się na cztery strony świata za sensem rzeczywistym. Rdzennie innym jest charakter doktryny Konfucyusza. Doktryna ta, od tyla wieków i podziśdzień będąca świecznikiem, modłą umysłową i religijną, społeczną i polityczną, wyobrażeń, obyczajów i urządzeń miliardowego niemal mrowiska ludzi; doktryna zawierająca, bez mała, to wszystko, co rozum, sam sobie zostawiony, wymyślić zdoła egoistycznie mądrego, najbezpieczniéj pewnego, najrzetelniéj rozważonego dla niezaczepnéj konduity w życiu; doktryna, która w krótkim czasie po swém powstaniu potrafiła ściągnąć ku

sobie wszystką materyą kosmiczną rodzimie chińskich usposobień, zagarnąć ją do najdalszych obłoczków skrzydłami swemi, cisnąć w ruch wiekuisty pod swe koła i rzeszota, i zrealizować tym sposobem prawdziwe *perpetuum mobile* jedności zupełnéj, jedności całkowitéj, w pięć kardynalnych cnót (ludzkość, prawość, uprzejmość, roztropność i szczerość) zapatrzonéj, a osadzonéj na pięciu również kardynalnych obowiązkach (poddanego względem monarchy, syna względem ojca, żony względem męża, brata młodszego względem starszego, i przyjaciela względem przyjaciela) — jedności z końca w koniec jak pył przenikającéj najściślejsze zazębienia stosunków indywidualnych, a jednak nigdy dla państwa nie dość silnéj: — doktryna ta, powiadamy, jest najpiękniejszym aerolitowym kawalcem *pozytywizmu* materyalistycznego, jaki kiedykolwiek wpadł w środek żywiołów podmiotowie roztrzęsionych i rozwianych chaotycznie. Bez kwestyi, na powierzchni onego aerolitu, nowa atmosfera, atmosfera czystéj chińszczyzny, swoję przedewszystkiém pieczęć wycisnęła, okwaszając go tak, iż z wierzchu wygląda jakoby śród niéj powstał i urósł. Język, w którym pisaną jest ewangelia khongtseizmu, językiem jest bezspornie chińskim; trzynaście ksiąg świętych, ksiąg klassycznych, zawierających spuściznę nauki Konfucyusza, nosi na sobie wszystkie dwanaście czy téż dwadzieścia cztery tysiące szrubek, klapek i łusek przestawnych, według których Chińczyk umysłowe i uczuciowe swe konwenanse ściąga i rozciąga. Szczególniéj zaś dobitnie odrysowały się na téj bryle mądrości konfucyuszowéj, dwuskładowe te wzajemnice frazeologiczne, o których nadmieniliśmy poprzednio, — parzystość owa zabójcza, wyraźnie z dwóch różnych pierwiastków zrodzona, która z obiegu i wymiany myśli chińskiéj precz wyrzuca co najmniéj połowę wyobrażeń i zjawisk świata rzeczywistego, połowę tych mianowicie zjawisk i wyobrażeń, które się bez kalectwa podprowadzić nie dają pod żadną podobną dwuramienność antynomiczną. Tém nie mniéj przecież, a raczéj tém pewniéj właśnie, aerolit sam do obcego świata należy, z obcych stref wziął swą krew i ciało, obcemi zmysłami patrzy na umysłowe usposobienia ludu, pośród którego się dostał.

Inaczéj bowiem, to jest, jeżeli nauka Konfucyusza nie jest obcoplemienną, jeśli się nie cudzą ujrzała wśród narodu, który zhołdować miała, to w moc czego spełniła tam wszechpochłaniającą tę centralizacyą uczuć, poglądów, energii, przed którą blednie nawet zachodni nasz centralizm? Ażeby przewrót podobny mógł się dokonać, na to trzeba było jednéj z najpotężniejszych dźwigni, jakie kiedykolwiek ludzkość z posad wzruszyły. Dźwignią taką w wypadku naszym mogło tylko być powszechne owo prawo psychologiczne, które, wyczerpującą się i w jednym kierunku przesiloną do krańców, działalność ludzką przed wszystkiemi prądami samozachowawczości w kierunku odwrotnym. Jakiemiby zaś kolejami prawo to zastosowanie swe znaléźć miało w życiu plemion chińskich, odważamy się okazać

to krótką parallelą, wyciągniętą między własnem naszém (piszącego) doświadczeniem problematyczném, a przypuszczalnie pewnemi losami cywilizacyi khong-tseistycznej.

Oto są, przypuśćmy, nasze lata młodości, lata rozwoju przeważnie zmysłowego, organicznego, które spędzamy pod strzechą ojczystą bez trosk i kłopotów, spokojni i siebie pewni, bo osadzeni na ciasnym lecz twardym gruncie wychowania domowego. Naród każdy, a więc i naród chiński, ma również wiek podobny, choć takowy tonie zwykle w niepamięci przeddziejowej: jest to okres instynktowego, zwierzęcego naboru i chłonięcia w siebie zasobów przyrodzonego istnienia. Lecz lata te przemijają; niebawem bieg wypadków wykoleja nas z tej naturalnej podstawy i pędzi w zamieć złocisto-rozbłyśniętych i szeroko-rozigranych ideałów. Dla narodów doba to również nieunikniona, epoka to bohaterstwa, wyjścia na widownię historyczną, tworzenia się słowa w pieśni, religii, czynie, na co też, jako na zdarzenie pewne, wskazują u siebie i annale chińszczyzny przedkonfucyuszowej. Na nieszczęście, peryod trzeci uderza w nas klęskami; wysforowaliśmy się na oderwane nagle od rzeczywistości przestworza pragnień, dążeń i pojęć ogólnych; braknie nam przewodnictwa, kierunku, ładu, — za czém idzie rozprzężenie, za rozprzężeniem zaś—nieprzeparta, reakcyjno-psychologiczna potrzeba działalności śród warunków skupionego, ustalonego otoczenia, bodajby przyszło po warunki te wrócić do dawnej, wązkiej ale oparcie dającej podstawy. Przeszedł i Chińczyk przez to piekło, najpierw anarchii, później gwałtownej żądzy stanięcia na czémś okrzepłém, choćby okrzepłością tą miał być kamień mogilny, jak tego dowodzi fakt ślepego rzucenia się rozcieńczonej i rozproszonej jego mowy ku pierwszej wysuniętej płycie khong-tseistycznego zbawienia. Stało się! zadość się w końcu stało prawu przesilonej jednostronności! Mamy nareszcie tę pożądaną glebę ocalenia, jest na czém stopę postawić...

Kładka atoli paralleli naszej usuwa się tu naraz.

Bo gdy my, wróciwszy na swoje poletki, rozważnie, jako przystało po takiém doświadczeniu, zaczynamy z gruntu tego, błędem i zasługami praojców użyznionego, więc własnego naszego, więc posłusznego, sypać społeczne podwyższenia coraz szerszego, coraz postępowszego rozwoju; z monosyllabizmem chińskim dzieje się tymczasem wręcz przeciwnie — i to jest drugie fundamentalne podparcie hypotezy naszej o obcokrajowem pochodzeniu religii khong-tseistycznej. Dwa tysiące lat z okładem zużył już Chińczyk na to, by tytaniczną pracą i wytrwałością aerolit swój zmiękczyć i anemią swego słowa zażegnać; dwadzieścia dynastyj arcykapłanów wsadził na tron i z tronu zrzucił w malignie gromadzkich usiłowań nad podźwignięciem płyty; zapalał koło niej (za cesarza Szeu z dynastyi Tszyn) ognie komunistyczne, któreby sto młodych światów w dym obróciły; to znowu ołtarze dla niej stawiał i w prochu się przed nią tarzał;

16*

potoki krwi, rzeki łez nad nią wylał; owiał ją wszystkiemi kadzidłami modłów, na jakie tylko duch ludzki zdobyć się może — i cóż? bryła pozostała na miejscu, nieprzejednana, nieprzebłagana, chłodna; *słowu* nie dała się uprosić—przeciwnie, wciąż je tylko nęciła, wciąż je tarła, wciąż zeń wyciskała resztki żywotnych soków indywidualizmu, aż póki w końcu nie zatoczyła go do koła siebie wirowym tańcem szelestów bezwłasnowolnych i suchych, jako się kiedyś, zdaniem Herb. Spencera, zatoczą planety do koła słońc swych wytlałych.

Tłómaczenia zjawiska tego szukajmy gdzie chcemy, zawsze w końcu przyjść musimy do przeświadczenia, że nauka Konfucyusza i umysłowość chińska z dwóch obcych, z dwóch różnych wypłynęły źródeł—i nie tylko z obcych sobie, lecz z niepojednalnych; gdyż, podnosząc na chwilkę jeszcze tylko jedną już stronę urwanéj paralleli naszéj, zróbmy u jéj końca odwrotne przypuszczenie. Dajmy na to, że na realny grunt własny, *nie* powróciliśmy rzeczywiście ze skołatanéj wycieczki w urocze krainy ideałów, że nam w poprzek zamiarom stanął właśnież język relacyjnie na wsze strony rozszastany. Pragnienie ustalonéj, stężałéj podstawy nie opuściło nas przez to bynajmniéj,—owszem, wzrosło jeszcze. Pod parciem jego, têm natarczywszém, im dłuższym i energiczniejszym będzie nasz skrupuł, chwycimy w ostatku niechybnie za pierwszy kęs roli obcéj. Dobrze jeśli trafimy na obcą tylko; uprawie ducha, jego potrzebie postępowych assymitlacyj, nie zaszkodzi to wcale, często nawet wielkiemi korzyściami się opłaci. Lecz jeśli wpadniemy na grunt, do kopalń radykalnie pazurom naszym niedostępnych, a dla płuc za ciężkich, — cóż się wówczas z nami stanie?

Stanie się to, co się istotnie stało z literaturą chińską — i to jest trzecie, ostatnie podparcie hypotezy naszéj: wytworzymy w około siebie tryb czucia, myślenia, i wyrażania się okwaskowy, dwójmienny, insynuacyjny, alluzyjny, opiumowo-usypiający, *ideograficzno-realnostkowy*.

Nie mamy tu odpowiedniego miejsca na szczegółowe okazy i próbki tego piśmiennictwa. Zadanie to zresztą nie nasze i przedmiot należy bądź do historyi powszechnéj literatury, bądź do historyi filozofii. Sprawozdawca, chcąc być wyczerpującym, wkraczałby w atrybucye nie-swoje.

III. **Wiadomości statystyczne o mieście Lwowie**, zebrał i opracował *Tadeusz Romanowicz*, Lwów 1876 r.

Ubodzy jesteśmy w materyały do statystyki Galicyi; ztąd od czasu obudzonego przekonania, że koniecznie liczyć się z sobą

musimy, zbieramy i notujemy skrzętnie wszelki materyał tego rodzaju, choćby nawet tylko pośrednio obchodzić nas mogący. Że zaś co najmniéj taki interes miéć może dla nas statystyka miasta Lwowa, zbyteczna chyba dowodzić.

To miasto, jakkolwiek ludnością zaledwie w $^1/_3$ równające się Warszawie, a pod względem innych materyalnych zasobów nawet i tego nie dochodzące, znane u nas najwięcéj z różnych swoich dziwactw i wszelakiego warcholstwa, opisywane najwięcéj przez humorystów,—po bliższém wejrzeniu w jego życie i stosunki, okaże się nam w świetle daleko może poważniejszém, niż dotąd je widziéć chciano; okazać się może, iż młodociana ta społeczność posiada niektóre rzeczy takie, które nie na zabawę i śmiechy, ale i na naśladowanie zasługują. Tak np. mniéj niż 100-tysięczny Lwów posiada już dobrze uorganizowane biuro statystyczne, na które jakoś 300-tysięczna Warszawa zdobyć się nie może. Środków zapewne nie brak, przekonania o potrzebie takiéj instytucyi chyba także; musimy więc wierzyć, że są jakieś przeszkody, niezależne od woli, a w każdym razie czasowe, przemijające: oczekując zatem o ile można rychłego ich usunięcia, przypatrzmy się cokolwiek rezultatom jéj działalności w bratniém mieście.

Wydanie niniejsze jest właściwie sprawozdaniem z jednego 1874 r. i to tylko częściowém. Z kolei jest ono drugiém. Pierwszy rocznik statystyczny wyszedł w r. 1874 i obejmował wiadomości o spisie ludności, dokonanym we Lwowie, podobnie jak w całém państwie Austryackiem, d. 31 Grudnia 1869 r. oraz, o ruchu ludności, stanie ekonomicznym, umysłowym i sanitarnym miasta w r. 1873 w porównaniu z laty poprzedniemi. Wydawca zapowiedział uzupełnienie obrazu statystycznego miasta w następnym roczniku. Obietnicy téj wprawdzie dotąd nie dotrzymał; rocznik obecny, obejmuje prawie te same rubryki co poprzedni, z wyłączeniem najważniejszéj części tego ostatniego t. j. statystyki ludności; treścią jest więc nawet uboższy od swego poprzednika, nie zawiera jednak mniéj szczegółów zajmujących.

Z danych o ruchu ludności w r. 1874 dowiadujemy się, że w ciągu tego roku urodziło się 3442, nie licząc nieżywo-narodzonych, zmarło 3839, z czego wynika naturalny ubytek ludności 447 osób. Rezultat ten, jakkolwiek niepomyślny, stosunkowo jest mniéj niekorzystnym, niż rezultat z r. poprzedniego, w którym, z powodu grasującéj epidemii, przewyżka zmarłych wynosiła blizko dwa razy więcéj: 842. I rezultat ten dwóch lat 1873 i 1874 nie jest wcale wyjątkowym. Lwów bowiem, podobnie jak i Warszawa, należy do liczby miast tak niekorzystnie postawionych pod względem sanitarnym, że ludność ich utrzymuje się głównie napływem obcych. Zresztą r. 1874 był pomyślniejszy w tym względzie dla Warszawy niż dla Lwowa, albowiem podczas gdy w tém ostatniém mieście było 13% przewyżki zmarłych nad urodzonymi, w Warszawie przeciwnie, okazało się 16%

więcéj urodzeń. Różnica ta wszakże wynika poczęści z odmiennego sposobu obliczania; mianowicie z niewyróżnienia nieżywo-urodzonych w Warszawie i pozamiejscowych z liczby zmarłych. Po wytrąceniu tych ostatnich z liczby zmarłych we Lwowie, okaże się i w tém mieście przewyżka urodzeń.

Stosunkowa wszakże liczba tak urodzeń jak i zmarłych we Lwowie, w porównaniu z Warszawą jest uderzająco małą. Na 10000 dusz ludności przypada:

	w Warszawie	we Lwowie
Urodzeń	642	357
Zmarłych	551	382

Wszelako rok 1874 dla obu tych miast był pod tym względem wyjątkowym.

Szczególnym zbiegiem okoliczności na ten sam rok przypadło dla Warszawy maximum bezwzględne urodzeń (od r. 1862), a minimum bezwzględne (od r. 1857) dla Lwowa. Normalny zaś stosunek (z 10 lat dla Warszawy a 14 dla Lwowa) jest taki:

	Urodzeń	Zmarłych	Stosunkowa przewyżka urodzeń
w Warszawie	447	429	3,7%
we Lwowie	437	393	10%

Czyli, że ostatecznie rezultat pod względem sanitarnym wypada na korzyść stolicy *Nadpełtewskiéj*.

Stosunek urodzeń nieślubnych w obu tych miastach jest następujący:

	Warszawa	Lwów
	na 100 ogólnej liczby urodzeń	
r. 1874	$41_{,77}$	$37_{,34}$
Stan normalny	$17_{,60}$	$39_{,84}$

Tak znaczna liczba urodzeń nieślubnych we Lwowie pochodzi ztąd, że do niéj zaliczone zostały urodzenia, które nastąpiły w związkach starozakonnych, zawartych jedynie wyznaniowo a z niezachowaniem

przepisów prawa Cywilnego. Ztąd też i pochodzi, że we Lwowie najwięcéj jest urodzeń nieślubnych pomiędzy żydami, w Warszawie przeciwnie, najmniéj. I tak: na Katolików przypada we Lwowie urodzeń nieślubnych, w stosunku $23,_{97}\%$, na Ewangelików $9,_{52}\%$, na Żydów $70,_{67}\%$. Cyfry te świadczą oczywiście nie o rozwiązłości Żydów Lwowskich, ale o ich ciemnocie i oporze, jaki stawiają urządzeniom nowoczesnym. Sprawozdanie też zaznacza (s. 14); że kontrola aktów Stanu Cywilnego ludności żydowskiéj we Lwowie jest bardzo utrudniona.

Pod względem płci, męzka ma przewagę tak w urodzeniach (średnio $51,_{63}\%$ r. 1874, $50,_{17}\%$) jak i w śmiertelności ($54,_{02}\%$ r. 1874, $53,_{05}\%$ średnio). Rok 1874 był niekorzystny dla płci męzkiéj, która liczyła więcéj niż kiedykolwiek zmarłych a mniéj urodzonych. Pod względem wieku blizko $^1/_4$ ($23,_{9}\%$) zmarłych przypada na jednoroczne niemowlęta, podczas gdy w stanie średnim stosunek ten jest $28,_{93}\%$, co jednakże tłómaczy się stosunkowo małą liczbą urodzeń (s. 45). Z kolei największa stosunkowa liczba zmarłych przypada na starców (od 60 r.) $14,_{12}\%$; w téj klasie przeważa płeć żeńska ($51,_{4}\%$) podczas gdy pomiędzy niemowlętami—męzka ($51,_{36}\%$). Stosunki te są pomyślniejsze niż w Warszawie, gdzie na niemowlęta przypada 34% zmarłych, na starców tylko 10%; zbliżają się zaś do cyfr, jakie przedstawia Wiedeń, gdzie niemowląt umiéra 30%, starców $14,_{3}\%$.

Pod względem pory roku maximum zmarłych przypadło r. 1874 na Marzec $10,_{34}\%$, minimum na Wrzesień ($7,_{58}\%$). Tak samo i w stanie normalnym, gdzie najzdrowszym miesiącem okazuje się obok Września, miesiąca najpogodniejszego, także Lipiec, miesiąc najjednostajniejszéj temperatury (śmiert. $7,_{34}\%$ rocznéj); najniezdrowszym zaś jest Marzec, miesiąc największych zmian temperatury i stanu barometru (śm. $10,_{11}\%$). Stosunek 4-ch pór roku jest następujący:

	Stan średni ($18\frac{57}{72}$)	r. 1874
Zima . . .	$24,_{01}\%$	$24,_{95}\%$ rocznéj śmiertelności
Wiosna. . .	$28,_{53}$	$26,_{26}$
Lato . . .	$22,_{80}$	$23,_{58}$
Jesień . . .	$22,_{66}$	$22,_{12}$

Porównanie liczb z r. 1874 ze średniemi prowadzi do ważnego wniosku o wpływie temperatury i pogody na stan sanitarny, przy uwzględnieniu wypadków obserwacyj meteorologicznych, zamieszczonych (acz niedokładnie) w niniejszém sprawozdaniu. W stanie średnim śmiertelność w lecie jest prawie taka sama jak w jesieni, porze roku najzdrowszéj. Wszakże w r. 1874 okazuje się znaczna różnica na niekorzyść lata. Upały i nadzwyczajna susza, jakie panowały tego roku, niepomyślnie oddziałały na stan sanitarny. Przeciwnie, wiosna, najniepomyślniejsza dla zdrowia, która w r. 1874 była ciepła a wilgotna, wypadła lepiéj niż zwykle.

Z wykazu przyczyn patologicznych śmierci okazuje się, że najwięcéj ofiar zabrały choroby piersiowe mianowicie: *gruźlica* ($22,_{58}$%) i *zapalenie przyrządu oddechowego* ($10,_{47}$%). *Apopleksya* zabrała we Lwowie $1,_{77}$%, w Warszawie tylko $0,_{87}$%, *śmierć gwałtowna* (od ognia, wody i t. p.) we Lwowie $1,_{80}$%, w Warszawie $0,_{8}$%, *śmierci w połogu* było we Lwowie 38, w Warszawie 105; samobójstw we Lwowie 29, w Warszawie tylko 25. Nadmienić wszakże należy, że cyfry powyższe co do Warszawy (z wyjątkiem samobójstw) są bardzo niedokładne, dla zupełnego braku statystyki lekarskiéj.

Pod względem płci, męzka więcéj stosunkowo od żeńskiéj ulegać się zdaje chorobom *piersiowym*, *zapaleniu mózgu* i *apopleksyi;* ta ostatnia zaś, *chorobom przyrządu trawienia*, *sercowym* i *puchlinie* (Hydrops).

Podług professyi, *gruźlicy* ulegali najwięcéj rzemieślnicy, chorobom *przyrządu trawienia* — więźniowie, *puchlinie* i *chorobom serca* — handlujący, *zapaleniu mózgu* i *żółtaczce* — właściciele i kapitaliści. W klasie *ubogich* najwięcéj stosunkowo zmarło na *uwiąd schyłkowy* (marasmus senilis), *śmierć gwałtowna* najwięcéj zabrała ofiar z *professyj umysłowych* (v. tabl. XXVIII s. 35).

Małżeństw zawarto 806, stosunkowo do ludności 80 na 10000, podczas gdy w stanie średnim 94 w Warszawie 90. Podług miesięcy, najwięcéj przypada na Luty $16,_{5}$%, Listopad $15,_{38}$%; Październik $15,_{35}$%; najmniéj na Grudzień $1,_{24}$% i Marzec $2,_{43}$%. Cyfry te zgodne są z normalnemi i nie wymagają objaśnienia.

Podług wieku małżonków maximum dla płci męzkiéj przypada na 24 — 30 lat ($40,_{35}$%), dla płci żeńskiéj, na młodsze od 24 r. ($32,_{13}$%) mężczyzn zaś w tym wieku ożeniło się $8,_{57}$%. Zasługuje na uwagę, że prawdopodobieństwo wyjścia za mąż dla kobiet mających lat 30 okazuje się większém niż dla młodszych (24—30 r.); udział tamtych wynosi $28,_{91}$%, tych zaś tylko $26,_{61}$%. Z osób 40-letnich więcéj wychodzi za mąż niż się żeni: płeć męzka liczy tu $9,_{42}$%; żeńska $9,_{69}$%. Sprawozdanie nie wyjaśnia tych szczególnych wypadków, które zdają się być zboczeniem od normalnego porządku rzeczy.

Podług wyznania $63,_{55}$% małżeństw zawarto w obrządku łacińskim $26,_{11}$%—w greko-katolickim, a tylko $8,_{25}$% w Mojżeszowym, podczas gdy ludność tego wyznania stanowi we Lwowie blizko 30%. Z tego wszakże nie należy wnosić o mniejszéj skłonności żydów do stanu małżeńskiego; przeciwnie, związków tam więcéj niż w innych wyznaniach, tylko z pominięciem przepisów prawa Cywilnego.

Kombinacya wieku z wyznaniem okazuje, że najmłodziéj w małżeństwo wstępują żydzi, gdzie młodszych od 24 lat żeni się $13,_{45}$% a wychodzi za mąż $44,_{23}$%; podczas gdy u katolików cyfry te są $6,_{45}$% i $35,_{41}$%. Uderzającém jest, że w wyznaniu greko-katolickiém *maximum* kobiet wychodzących za mąż liczy więcéj niż 30 lat ($40,_{53}$), ta jednak nieprawidłowość objaśnia się szczupłością liczby.

Pod względem stanu cywilnego małżonków przypada:

	we Lwowie		w Warszawie	
	płci męzk.	płci żeńsk.	płci męzk.	płci żeńsk.
Osób poprzednio zostających w celibacie.	$82,_{63}$	$85,_{73}$	$79,_{8}$	$85,_{3}$
Osób stanu wdowiego	$17,_{37}$	$14,_{27}$	$20,_{2}$	$14,_{7}$

Stosunki małżeńskie są bardziéj prawidłowe we Lwowie niż w Warszawie, gdzie z jednéj strony więcéj kawalerów pozostaje w celibacie, z drugiéj, więcéj niż we Lwowie, a zdaje się więcéj niż w innych miastach ([1]) kojarzy się związków pomiędzy *kawalerami a wdowami*. Małżeństwa takie stanowią we Lwowie $8,_{56}$%, w Warszawie—przeszło 11%, najmniéj pożądane są one dla społeczeństwa, jako wywoływane najczęściéj rachubą i zawierane w nieproporcyonalnych warunkach wieku. Zasługuje na uwagę, że małżeństw takich r. 1874 nie było wcale pomiędzy żydami, jak również małżeństw wyjątko-nieproporcyonalnych co do wieku (monstruose Ehen podług *Wappäusa*). W mniejszym wszakże stopniu nieproporcyonalnych było dosyć, mianowicie takich, w których żona starsza od męża $17,_{4}$%, w których mąż o 20 lat starszy $8,_{92}$%.

Nową zupełnie rubrykę w obecnym roczniku stanowi dział o stowarzyszeniach, traktowany szczegółowo, do czego przyczynia się może i to, że sam sprawozdawca jest, jak wiadomo, członkiem bardzo wielu stowarzyszeń Lwowskich. Dzieli je na 8 klass: 1) obejmuje te, których zadaniem jest oświata, nauki i sztuki; tych jest 14, liczą członków 5075 z kapitałem 305065 złr. Pomiędzy temi najważniejsze są 4 ruskie, posiadające 268 tysięcy złr. majątku. 2) Stowarzyszenia ekonomiczne; tych jest 3, liczą 2061 członków i 132873 złr. kapitału. 3) Mające na celu zabawę, jak kasyna, kluby, resursy i t. p.; tych jest 14, liczących 3690 członków i 42505 złr. kapitału. Pomiędzy temi są 3 ruskie, 3 żydowskie i 1 czeskie. 4) Stow. wzajemnéj pomocy, kredytowe, zaliczkowe i t. p. Tych jest 19, liczą 10612 członków i 570869 złr. k.; pomiędzy niemi 1 ruskie i 1 niemieckie. 5) Stowarzyszenia wyłącznie wyznaniowo-żydowskie, mające na celu wzajemną pomoc, dobroczynność, religijność i t. p. Takich jest 37 pod różnemi nazwiskami hebrajskiemi. 6) Stow. dobroczynne bez różnicy wyznania; jest ich 6, liczą 817 członków i 25528 złr. k. 7) Polityczne; tych pisze się 3, a właściwie egzy

([1]) Por. Statystyka m. Warszawy p. Witolda Załęskiego Cz. I.

stuje tylko 2: żydowskie (Schomer Izrael) i ruskie (Rada). Do 8-éj klassy zalicza sprawozdawca „stowarzyszenia różne“, które do żadnéj z powyższych klass zaliczyć się nie dały—czemu się nie dziwimy, gdyż cały ten podział zbytkiem systematyczności nie grzeszy. Np. w kl. 3-éj obok resursy i kasyna figuruje żydowskie Stowarzyszenie wzajemnéj pomocy *Jad Charuzim*. Takiegoż rodzaju stowarzyszenie rzemieślnicze *Gwiazda* mieści się w 3 i w 4 kategoryi i t. p.

Wszystkie te stowarzyszenia (105) liczą razem 27678 członków i 1145729 złr. majątku; największa ich część jest świeżéj daty. Tab. chronologiczna (str. 50) pokazuje, że w r. 1850 istniało tylko 7, a po r. 1867 powstało zupełnie nowych 74. Znaczna liczba wyłącznie żydowskich stowarzyszeń świadczy o silném zasklepieniu się téj części ludności i odosobnianiu od reszty krajowców.

Dział ekonomiczny przedstawia rezultat r. 1874 jako względnie dosyć pomyślny; świadczą o tém: znacznie zwiększony, w porównaniu z poprzedniemi laty, obrót handlowy, ruch na kolejach żelaznych, zwiększona konsumcya przy niepamiętném od wielu już lat zniżeniu cen artykułów żywności. Zmniejszył się wprawdzie w porównaniu z poprzednim rokiem ruch poczt i telegrafów, co sprawozdawca tłómaczy skutkami przesilenia giełdowego r. 1873 i wystawy Wiedeńskiéj. Liczb tego działu nie przytaczamy, dla niemożności porównaniu ich z Warszawskiemi, bez czego na nie wiele przydaćby się mogły.

Dział finansowy obejmuje liczby z r. 1873. Budżet Lwowa z tego r. zamyka się, jak zwykle, deficytem. Wydatki wynoszą 831761 złr., dochody 821551. Deficyt pokryty jest operacyami finansowemi. Stosunkowo do lat poprzednich rezultat wydaje się dosyć pomyślnym.

Dział oświaty szczególnie interesujący, ponieważ rzuca światło na stan umysłowy, a nawet moralny, tamecznéj społeczności.

Rok szkolny $187^4/_5$ w porównaniu z poprzednim $187^3/_4$ przedstawia następujące cyfry:

	r. $187^3/_4$	r. $187^4/_5$	Stosunkowa różnica
Liczba uczniów w szkołach niższych . . .	5563	6149	$+10,_{53}$%
„ średnich . . .	2187	2244	$+ 2,_{6}$
akademii technicznéj . . .	325	327	—

Braknie liczb dotyczących uniwersytetu Lwowskiego. Frekwencya szkolna, jak widzimy z wykazu, zwiększyła się tylko w szkołach niższych; w średnich stosunkowo do r. poprz. pozostała prawie niezmienną, stosunkowo do r. 1872 zmniejszyła się o $8,_{14}$% co sprawo-

zdawca usiłuje wytłómaczyć przepełnieniem klass z powodu niedostatecznego lokalu. Zasługuje na uwagę ubytek dosyć znaczny w szkołach realnych, wprost przeciwnie temu, co widzimy w Warszawie. Tak w akademii technicznej stosunkowo do r. $187\frac{2}{3}$ ubyło 8% w gimnazyum realnem—aż $19,_{34}\%$. Rezultat saméj frekwencyi okazuje się także niezupełnie pomyślnym, mianowicie stosunkowo do roku poprzedniego zwiększyła się liczba *klassyfikowanych bez promocyi* i wcale *nieklassyfikowanych* t. j. takich, którzy opuścili szkołę w ciągu roku szkolnego. Z czterech gimnazyów Lwowskich najpomyślniejszy rezultat okazało w 1874, podobnie jak i lat poprzednich, gimnazyum t. z. *Dominikańskie* z językiem wykładowym Niemieckim, uczęszczane głównie przez żydów. Liczba klassyfikowanych z promocyą stanowiła w niem $89,_{47}\%$, podczas gdy w gimnazyum realnem promowano zaledwie połowę ($52,_{63}\%$).

Pod względem języka ojczystego w szkołach średnich było $68,_{8}\%$ Polaków, $15,_{91}\%$ Rusinów, $9,_{14}\%$ Niemców, $6,_{15}\%$ innych. Stosunkowo do r. poprz. przybyło żydów, którzy pod względem języka figurują w dwóch ostatnich kategoryach, rzadko kiedy zaliczając się do kategoryj krajowców języka polskiego. Podobnyż stosunek widzimy także w akademii-technicznej. W ogóle popęd do oświaty zwolna objawiać się zaczyna pośród zamożniejszych klas ludności żydowskiéj, która jednakowoż nie łączy się z krajową, ale się germanizuje. W massie ludowej silnie trzyma się duch zasklepienia. Z liczby 1953 dzieci żydowskich, uczęszczających do szkół, tylko 733 czyli $37,_{53}\%$ uczęszczało do szkół ogólnych. Fanatyzm ten bez porównania słabszy jest u płci żeńskiéj, któréj blizko 76% uczęszczało do szkół ogólnych. Zasługuje także na uwagę i to, że do szkół klasztornych żeńskich uczęszczało 298 (a więc blizko $\frac{1}{2}$ całkowitéj liczby uczennic) izraelitek.

Cyfry w téj książce dobrze są opracowane; żałować tylko należy, że znaczenia ich należycie nie uwydatniono przez porownanie z innemi miastami, co dla Redakcyi, znajdującéj się w styczności z innemi biurami statystycznemi (o czém wspomniano w przedmowie do Rocznika) nie było trudném. Wypada także zwrócić uwagę, że nie wystarcza porównanie roku sprawozdania z poprzedzającym, ale należało zestawić jego cyfry z przecięciowemi pewnego okresu lat, co przecież nie przedstawiało wielkich trudności.

Język tekstu jest dobry; tylko trudno się pogodzić z niektóremi wyrazami technicznemi galicyjskiego autoramentu np. *udar* (apopleksya) *ciepłota* (temperatura). Wyraz *poród* wydaje się źle użytym; dobry jest może w medycynie, ale nie w statystyce. Podobnież nie mówi się *poniżenie* cen, ale *zniżenie* i t. p.

RUCH NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

— *St.* — **Estetyka Fechnera.** Znany od dawna ze swych prac filozoficznych professor Lipskiego Uniwersytetu, Gustaw *Fechner*, twórca psychofizyki, od kilku lat poświęca się specyalnie studyom estetycznym. Prawda, że już dawniéj, bo jeszcze w r. 1839, pisywał artykuły z dziedziny krytyki artystycznéj, a późniéj (1865 r.) występował przeciwko przecenianiu tak zwanego prawa *cięcia złotego* Zeisinga (zob. w tym względzie przekład polski estetyki *Lemkego)*, ale dopiéro w ostatnich czasach zajął się ściśle naukowém opracowaniem estetyki. Mamy tu głównie na myśli dwie większe prace Fechnera, z których pragniemy zdać obecnie krótką sprawę:

1) *Zur experimentalen Aesthetik. Erster Theil.* IX-ty tom rozpraw matematyczno-fizycznego oddziału towarzystwa naukowego saskiego. 1871 r. str. 553 do 635.

2) *Vorschule der Aesthetik.* 2 tomy. Lipsk, 1876 r.

Pierwsza z tych prac ma na celu wykazać podstawę estetyki, jako nauki *ściśléj*, t. j. nauki, podlegającéj experymentowi, miarze i rachunkowi. Fechner nazywa ją tutaj częścią *zewnętrznéj psychofizyki* mającéj za zadanie określić naukowo stosunek między *bodźcem* i *wrażeniem.* Upodobanie i niesmak są *wrażeniami* wywoływanemi w duszy naszéj przez pewne *bodźce* t. j. przez piękne lub szpetne przedmioty — i dla tego, według autora, estetyka, jako nauka ścisła, dążyć winna przedewszystkiém do określenia przyczynowego związku między pewnemi bodźcami i pewnemi estetycznemi wrażeniami, będącemi wynikiem ich działania na naszę duszę.

Z powyższych uwag jednak nie należy wyprowadzać wniosku, jakoby Fechner należał do zwolenników jednostronnego empiryzmu, zaprzeczającego wszystkiemu, co przewyższa zakres zmysłowego doświadczenia. Podobny pogląd sprzeciwiałby się zasadniczym dążnościom tego uczonego, który pomimo całéj ścisłości swych badań bronił zawsze, z właściwém sobie ciepłem, idealnych interesów

ducha ludzkiego. Od jednostronnego empiryzmu ocala Fechnera na polu estetycznem jasne rozróżnienie dwóch składowych pierwiastków estetycznego wrażenia, jakiemi są: pierwiastek *prosty*, *bezpośredni*, oparty, że tak powiem, na psychofizycznej prawidłowości,—i pierwiastek pośredni,—czyli, jak go Fechner nazywa, *assocyacyjny* lub *kombinacyjny*, polegający na pewnym *idealnym dodatku*, na pewnej *treści* duchowej, którą zazwyczaj łączymy z pierwiastkiem zmysłowym, która ten ostatni opromienia, nadając mu wartość wyższą dla całego naszego życia wewnętrznego. Otóż badanie tego pierwiastku assocyacyjnego Fechner wyłącza z zakresu *experymentalnej* estetyki i zwraca tutaj całą swoję uwagę wyłącznie tylko na ów pierwiastek *bezpośredni*, psychofizyczny. Proste porównanie objaśnia bliżej myśl badacza. Jak działanie *muzyki* na nasze uczucie, mówi Fechner, zależnem jest od pewnej, ściśle określić się dającej prawidłowości, do której dźwięk zastosować się musi, aby mógł się stać przedmiotem estetycznego upodobania; tak też podstawą każdego innego wrażenia estetycznego są pewne zasadnicze pierwiastki, które same przez się, mocą swej objektywnej prawidłowości, powodują upodobanie lub wstręt i przez to przybierają znaczenie środków dla wywołania wyższych, bardziej skomplikowanych wrażeń estetycznych. W zakresie muzyki wiemy dobrze czem się różni *ton*, jako pierwiastek estetyczny od *szmeru*, nie posiadającego żadnej wartości estetycznej; na czem polega *harmonia* dźwięków w różnicy od *dysharmonii*, co jest *takt*, *rytm*, *melodya* i t. d. Co zaś do innych wrażeń estetycznych, to dotąd nie zostały jeszcze wykazane owe pierwiastki estetycznego upodobania, i dla tego ocena odpowiednich przedmiotów, czyli bodźców, zależną jest zazwyczaj od subjektywnej dowolności t. j. od pierwiastków assocyacyjnych, łączących się mniej lub więcej przypadkowo z bezpośredniem wrażeniem. Otóż wykazanie podstaw pierwotnego, bezpośredniego upodobania lub niesmaku, nie tylko w muzyce lecz i we wszystkich innych wrażeniach estetycznych, jest głównem zadaniem estetyki doświadczalnej, według Fechnera.

Obecna, pierwsza część przyczynków do experymentalnej estetyki zawiera w sobie tylko, obok uwag wstępnych i wiadomości historyczno-krytycznych, wykład głównych zasad *metodologicznych* dla tego rodzaju badań. Fechner nazywa te badania *experymentalnemi*, *doświadczalnemi*, dla tego, że według jego poglądu, określenie owych pierwiastków upodobania lub niesmaku estetycznego uskutecznionem być może tylko na zasadzie doświadczenia psychofizycznego, a mianowicie na zasadzie obserwacyi faktu: jakie wrażenie na różnych ludzi wywierają te lub owe zasadnicze formy, barwy, dźwięki i t. d. Ztąd za podstawę dla oceny upodobania lub niesmaku w pewnych formach, barwach, dźwiękach i t. d., powinno służyć, według Fehnera, nagromadzenie możliwie wielkiej liczby pojedynczych sądów o odnośnych wrażeniach estetycznych; *miarę* zaś dla oznaczenia *stopnia* upodobania lrb niesmaku w danych formach

podaje większa lub mniejsza liczba korzystnych lub niekorzystnych sądów tego rodzaju. Gdyby szło o udowodnienie wyższości estetycznéj *tonu*, *rytmu*, *harmonii*, nad bezładnym, dysharmonijnym *szumem*, natenczas, mówi Fechner, musielibyśmy się odwołać do sądu większości ludzi. Nie czynimy tego ztąd tylko, że wyjątki w tym względzie tak są rzadkie, iż nie stanowią żadnéj instancyi przeciwko powszechnemu sądowi estetycznemu. Chcąc tedy się przekonać, czy te lub owe elementarne formy przestrzeniowe, podziału, układu i t. d. mają istotnie wartość estetyczną i w jakim stopniu, należy przedstawić te formy o ile można największéj liczbie jednostek, zaznaczyć ich sądy estetyczne i z porównania tych sądów wyprowadzić wniosek ostateczny. Oto *metoda doświadczalnéj* estetyki Fechnera.

Nie będziemy obecnie rozbierali krytycznie podstaw téj metody; sam autor wytyka pewne niedostatki takiego powszechnego głosowania w kwestyach estetycznych: on sam przyznaje, że sądy tego rodzaju zależą zawsze zarówno od stopnia wykształcenia jednostki, jak i od różnicy pierwiastków assocyacyjnych, które, pomimo wszelkich starań, nie zawsze dają się zupełnie usunąć; wreszcie sam Fechner ogranicza powyższe głosowanie do zasadniczych form, których ocena nie wymaga wyższego wykształcenia, ani téż nie przedstawia zbytniéj trudności przy odosobnieniu wpływów assocyacyjnych. A przy takich zastrzeżeniach z autorem zgodzić się należy na to, że sama wiadomość: jakie formy zasadnicze budzą powszechniejsze upodobanie, w każdym razie nader jest pouczającą dla estetyki i może ją ochronić od zarzutu, powtarzanego aż do znudzenia przez subjektywistów, iż sąd estetyczny nie posiada żadnych przedmiotowych powszechnych zasad, gdyż zależy wyłącznie od dowolności jednostek.

W pierwszéj z przytoczonych prac, Fechner stosuje swoję metodę, tylko dla przykładu, do *cięcia złotego* Zeisinga; wykazuje, że stosunek między mniejszą i większą częścią tego podziału może być w przybliżeniu wyrażony stosunkiem 3 : 5, 5 : 8, 8 : 13, i t. d. że pomimo niezaprzeczonéj estetycznéj doniosłości cięcia złotego w pewnych szczegółowych wypadkach, nie można mu nadać znaczenia proporcyi estetycznéj *par excellence*, gdyż symetrya, podział na równe części, kwadrat, koło i t. d. posiadają powszechniejsze znaczenie estetyczne. Nie mogąc się wdawać w szczegółowe rozwinięcie poglądów Fechnera w tym przedmiocie, powiemy tylko, że druga część jego *doświadczalnéj* estetyki, mająca w sposób szczegółowy zastosować metodę doświadczalną do pierwiastków estetycznego upodobania,—dotąd jeszcze nie wyszła na widok publiczny.

Podczas gdy przyczynki do *estetyki doświadczalnéj* mają tylko na celu zbadanie *pierwiastków* estetycznego upodobania, o ile ono zależy od *bezpośredniego* działania zewnętrznych przedmiotów na duszę ludzką, — *estetyka ogólna* obejmuje, według Fechnera, *cały*

obszar wrażeń estetycznych, a zatém obejść się nie może bez uwzględnienia pierwiastków *assocyacyjnych*, dopełniających pierwiastki bezpośrednie swą treścią duchową. Otóż opracowaniu zasadniczych kwestyj tak pojętéj *estetyki ogólnéj* poświęcone jest dwutomowe dzieło Fechnera p. t. *Vorschule der Aesthetik.*

Dzieło to nie posiada formy systematycznéj, lecz składa się z licznego szeregu oddzielnych rozpraw, pozostających jednak w związku pomiędzy sobą i mających na celu rozjaśnienie wszystkich głównych zadań estetyki.

W rozdziałach wstępnych autor zastanawia się przedewszystkiém nad *metodą* i zasadniczemi pojęciami estetyki. Co do *metody* wykazuje, że dotąd zazwyczaj opierano całą estetykę na ogólnych definicyach piękna lub sztuki, lub na pojęciach metafizycznych Boga, Istoty Najwyższéj, z których te definicye wyprowadzono. Postępowanie to, nazywane zazwyczaj metodą dedukcyjną, lub spekulatywną, nosi u Fechnera imię *estetyki z góry* (*Aesthetik von Oben*). Autor nie zgadza się ze zwykłém traktowaniem téj metody, ale jéj bezwzględnie nie odrzuca. Przyznaje on, że przedstawienie rzeczy szczegółowych ze stanowiska zasad ogólnych nader może być cennėm i rozjaśnić takie strony, jakich zatopiony w szczegółach empiryk nigdy nie odkryje. Ale z tém wszystkiém *zasady ogólne* nie spadają z nieba, lecz trzeba je pierwej wytworzyć na podstawie powolnego pochodu *z dołu* do góry. Dopiero gdy estetyka na podstawie rozbioru *szczegółowych* stosunków estetycznych utrwali *zasady ogólne*, dopiero wtedy metoda dedukcyjna będzie miała w niéj prawdziwe naukowe znaczenie, gdyż ze swéj strony zdoła rozjaśnić wiele kwestyj szczegółowych, niedostępnych dla badacza, pozbawionego pewnych *zasad ogólnych.* Dla samego zaś wykazania tych zasad ogólnych potrzeba pochodu *indukcyjnego*, *empirycznego*, czyli według terminologii Fechnera, potrzeba *estetyki z dołu* (*Aesthetik von Unten*). Takiéj-to estetyce poświęca obecne dzieło.

Przystępując daléj do rozbioru zasadniczych pojęć estetyki, autor zwraca przedewszystkiém uwagę na istotę *upodobania i niesmaku* estetycznego. Istotę tych pierwiastków psychologicznych poczucia piękna określa, jako wrażenia *przyjemności* lub *nieprzyjemności* (*Lust und Unlust),* wynikające z umysłowego rozpatrywania niższych przedmiotów, t. j. według Fechnera wrażenie przyjemności lub nieprzyjemności samo przez się nie ma jeszcze charakteru estetycznego; dopiero rozpatrywanie przedmiotu jakiegoś, jako przyczyny wrażeń przyjemnych lub nieprzyjemnych, wyradza *upodobanie* lub *niesmak* w znaczeniu estetyczném. Stosownie do tego, w następstwie, nazywa *pięknėm* to wszystko, co wywołuje w nas *upodobanie* t. j. to, co naszemu umysłowi przedstawia się bezpośrednio jako źródło *przyjemności* i *uciechy.* Dla bliższego określenia *piękna* porównywa je następnie z pojęciami *dobra*, *prawdy*, *pożytku* i t. d. wykazując bardzo trafnie, że chociaż wszystkie te pojęcia nie stanowią *pozytywnego*

znamienia piękna, chociaż piękno może się bez nich obejść, — z tém wszystkiém jednak wszelkie *zaprzeczenie* tych pojęć pociąga za sobą bezpośrednio *niesmak*, a wszelkie połączenie tych pojęć z przedmiotem pięknym samym przez się — *podnosi* jego piękność. Okoliczność ta daje autorowi późniéj pochop do nader pouczających uwag nad estetyczném prawem *pomocy*, które na tém polega, że czynniki, które same przez się nie posiadają zbyt wielkiego znaczenia estetycznego, w odpowiedniém połączeniu i na odpowiedniém miejscu spowodować mogą wrażenia przewyższające znacznie ich oddzielną wartość estetyczną. Tak np. *rytm* i *rym* same przez się posiadają nie wielką doniosłość estetyczną, jak się to pokazuje ze słuchania wierszy w nieznanym języku, lub z bezmyślnego rymowania wyrazów w języku nawet znanym; pomimo to jednak znaczenie rytmu i rymu w poezyi jest nadzwyczaj wielkie,—używane w sposób właściwy i na właściwém miejscu, zdolne są one udzielić pomocy estetycznéj, przewyższającéj znacznie ich doniosłość w stanie odosobnionym. Otóż podobnéj *pomocy* estetycznéj udzielają *pięknu* wszystkie *dodatnie* czynniki ducha ludzkiego, gdy są użyte na miejscu właściwém, choćby nawet ich bezwzględna wartość *estetyczna* była nie zbyt wielką lub nawet żadną.

Po bardziéj szczegółowém rozjaśnieniu pierwiastków estetycznych, autor mówi pokrótce o *prawach* estetycznych w ogólności i przechodzi następnie do przeglądu głównych tych praw, co stanowi rdzeń całego dzieła. Wskażemy tutaj tylko *prawa* najgłówniejsze, témbardziéj, że sam autor nie chciał *wszystkich* praw rozbierać, ani przedstawiać ich w porządku *systematycznym.*

Pierwsze *prawo*, na które Fechner uwagę zwraca, pozostaje w ścisłym związku z jego *psychofizyką;* jest to prawo *progu estetycznego* (*Prinzip der aesthetischen Schwelle*). Według tego prawa, własności przedmiotów same przez się, t. j. sama ich *jakość* nie wystarcza dla wywołania wrażenia estetycznego; do tego potrzeba nadto aby ta jakość, te własności, działały na nas z pewną *siłą*, wywoływały w nas pewien *stopień* natężenia, t. j. aby się łączyły z pewnemi pierwiastkami *ilościowemi*, zdolnemi wznieść dane wrażenie ponad próg estetyczności. Bez pewnéj téj siły, bez pewnéj ilości pojedynczych momentów estetycznych, wrażenie nie przekracza tego progu estetycznego; mija się zatém ze swoim celem. Prawa tego Fechner zresztą bliżéj nie rozbiera; wspomina tylko daléj, równie urywkowo, o przytoczoném powyżéj prawie *pomocy estetycznéj*, przechodząc wreszcie do bardziéj znaczących praw, t. j. do tak zwanych przez niego *trzech najwyższych praw formalnych*, jakiemi są: prawo *jednolitego połączenia mnogości*, prawo *zgodności* i prawo *jasności*. Treść tych praw zrozumiałą jest sama przez się i dla tego zbyteczném byłoby wdawać się w ich określenia podane przez Fechnera; powiemy tylko, że autor prawa te obszernie roztoczył i że przytém posił-

kował się licznemi przykładami, objaśniającemi w sposób nader pouczający szerokie zastosowanie tych praw w estetyce.

W procesie działania przedmiotu pięknego na duszę ludzką, Fechner rozróżnia, jak już wspomniano, dwa zasadnicze pierwiastki: *prosty* czyli *bezpośredni* i *assocyacyjny*. Nad tym ostatnim, jako bardziéj z życiem połączonym, zastanawia się najpierwéj i w sposób wyczerpujący (T. I, str. 86 do 157). Za punkt wyjścia służy autorowi przykład, który tutaj przytoczymy dla tego, że objaśnia on najlepiéj myśl jego. Na czém polega upodobanie estetyczne, jakie znajdujemy np. w *pomarańczy?* dla czego prawdziwa, świeża pomarańcza podoba się nam lepiéj od naśladowanéj z drzewa? Otóż, według Fechnera, wyłącznie dla tego, że prawdziwa pomarańcza kojarzy się z naszemi pojęciami o ojczyźnie tego owocu, o pięknéj Italii, która była i jest krainą tęsknoty dla każdego, kto o niéj zasłyszał; gdy tymczasem kula drewniana, przedstawiająca choćby jak najwierniéj pomarańczę, rozbudza działalność naszéj fantazyi w zupełnie innym, mniéj estetycznym kierunku. Ten jeden przykład pokazuje, że upodobanie nasze w przedmiotach w znacznéj części zależy od myśli, wyobrażeń, pojęć, uczuć i t. d. jakie w sposób naturalny z danym przedmiotem w umyśle naszym się kojarzą. Jestto właśnie *prawo assocyacyi estetycznéj*. Każdy przedmiot piękny zarówno całością swoją jak i za pomocą swych części składowych wywołać może w duszy naszéj nieskończoną liczbę najrozliczniejszych assocyacyj, z których jedne dochodzą dość wyraźnie do naszéj świadomości, drugie zaś, nieprzekraczając często jéj progu, odczuwane bywają przez nas bezwiednie, wpływając wspólnie z tamtemi na nasze wrażenie estetyczne. Tajemniczą łączność wszystkich tych, że tak powiem, drgań assocyacyjnych, tak świadomych jak i bezwiednych, wywołanych w duszy naszéj działaniem pewnego przedmiotu, Fechner nazywa bardzo trafnie jego *barwą duchową* (geistige Farbe). Takim sposobem każdy przedmiot posiada dla nas swoję *barwę duchową*, łączącą się z bezpośredniém wrażeniem estetyczném. Rzecz naturalna, że ta *barwa duchowa* zależna jest od najrozliczniejszych warunków indywidualnego rozwoju: od stopnia oświaty, od wieku, płci, charakteru, doświadczenia i t. d.; jéj istotą jest *podmiotowość*, subjektywność. Ale pomimo to Fechner wykazuje, że i tutaj istnieją już pewne *ogólnie ludzkie* pierwiastki, zdolne wynieść wrażenie estetyczne poza zakres jednostkowéj dowolności.

Za podstawę dla udowodnienia tego zdania służy mu charakter assocyacyjny, czyli koloryt duchowy różnych *barw* i *linij* zasadniczych. Tak zwaną w zwykłéj estetyce *symbolikę* barw, Fechner wyprowadza w sposób nader pouczający, lubo nieco pobieżny, właśnie z owych pierwiastków assocyacyjnych. Barwa *zielona* obudza w nas zawsze pewną świeżość,—bo przypomina wiosnę, łąkę, ogród, gaj. Barwa *czerwona*, jako barwa krwi, wywołuje wrażenie siły, potęgi, życia, bo się kojarzy z myślami o władzy nad życiem i śmier-

cią, o ruchu i życiu. Barwę *niebieską* napotykamy na niebie podczas dni pogodnych, na morzu i jeziorach, gdy są spokojne; nic więc dziwnego, że się dla nas kojarzy z wrażeniem spokoju i łagodności i t. d. Pod względem *linij*, autor zwraca głównie uwagę na linie *wklęsłe* i *wypukłe*, oraz *poziome* i *pionowe*. Linie *wklęsłe* napotykamy w naturze wszędzie w połączeniu z pewną treścią, która je wypełnia. Wszelkie *wklęsłości* na ziemi wypełniają się przy lada sposobności wodą; kielich kwiatów napełnia się rosą; ręka wyciągnięta wklęsło żebrze o datek i t. d. Ztąd pochodzi charakter assocyacyjny czyli barwa duchowa linii wklęsłéj w ogóle: przedstawia się nam ona zawsze jako potrzebująca wypełnienia; wklęsła linia sama przez się zawsze jest niezupełną, niesamodzielną. Przeciwnie, linia *wypukła;* ta wstępuje w świat samodzielnie, oddalając od siebie wszystko, co na drodze napotyka; rzecz naturalna, że w naturze martwéj rzadko ją napotykamy; tém większe znajduje zastosowanie w życiu. Pierś dumnego *nadyma* się; pięść, gdy grozi, pokazuje swoję stronę wypukłą; tarcza odwraca się do wroga stroną wypukłą; most wypukłością swoją przeprowadza przechodnia przez rzekę; z parasola wypukłego deszcz spada i t. d. Nic dziwnego, że z linią wypukłą kojarzy się bezpośrednio myśl odporu, siły, przeciwdziałania. Co się wreszcie tyczy *położenia przedmiotów* i to nie ulega wątpliwości, że linia *pozioma* ma znowu przeważnie charakter *spokoju*; wszystko spoczywające, osłabione, nie zdolne utrzymać się samodzielnie, układa się do poziomu. Przeciwnie linia *pionowa*, jest linią życia, ruchu, samodzielności, bo wszystko co żyje i stoi na nogach, w téj linii nam się przedstawia.

Powyższe szczegóły wystarczają dla scharakteryzowania, w jaki sposób Fechner stosuje prawo assocyacyi do estetyki. Dodamy tylko, że w przebiegu rozpraw nad tym przedmiotem rozwija zasadę swoję coraz szerzéj, objaśniając z tego stanowiska estetyczne wrażenie przyrody w ogóle, pięknéj okolicy, różnych dzieł sztuki i t. d.

Pomimo wszelkiéj doniosłości, jaką Fechner przyznaje prawu kojarzenia się myśli i uczuć w estetyce, dalekim jednak on jest od przesady wyprowadzania całego obszaru wrażeń estetycznych z tego tylko źródła. Pierwiastek bezpośredni, czyli prosty, odgrywa u niego równie ważną rolę, jak się to już okazuje z jego przyczynków do estetyki doświadczalnéj. W obecném dziele stara się Fechner udowodnić, że pierwiastek ten znajduje najrozleglejsze zastosowanie w *muzyce*, która, według niego, ze wszystkich sztuk najwolniejszą jest od dodatków assocyacyjnych; w sztukach zaś, działających na wzrok, pierwiastek ten znajduje swój wyraz przedewszystkiém w ich *linearnych* formach. Okoliczność ta doprowadza do rozbioru zasadniczych form piękna, działających bezpośrednio, — bez dodatków assocyacyjnych—na wzrok. Napotykamy tu powtórzenie tego, co już w rozprawie o doświadczalnéj estetyce powiedzianém było, wraz z pewnemi uzupełnieniami, dotyczącemi *cięcia złotego*.

W końcu tomu pierwszego znajdują się ciekawe rozprawy nad stosunkiem *celowości* do piękna, nad *porównaniami* i wreszcie nad *smakiem estetycznym*.

Tom drugi dzieła poświęcony jest *sztuce*. Scharakteryzowawszy dostatecznie ogólne stanowisko autora, i nie mając z drugiej strony na celu zbyt szczegółowego rozwinięcia jego poglądów, podamy tu tylko w krótkości napisy głównych rozpraw tego tomu. Na czele stoi rozdział o sztuce i jej klasyfikacyi, czyli raczej o zbyteczności tej klassyfikacyi; dalej rozprawa o stosunku treści i formy w sztuce, następnie szereg rozpraw o stosunku natury do sztuki. Kwestya: o ile sztuka może być naśladowaniem natury lub nie?—stanowi główną treść tych rozpraw. Autor dochodzi w tym względzie do wniosku (str. 41 i nast.), że zarówno *idealny* jak i *realny* pogląd mają racyą bytu w sztuce, o ile się nawzajem nie wyłączają, i wykazuje na przykładach, że spójnia ta wszędzie i zawsze w sztuce istniała. Szereg dalszych rozpraw traktuje o *charakterystyce*, *stylu*, *idealizowaniu* i *symbolizowaniu*, o *wzniosłości* i t. p. Rozprawa o *malowaniu posągów* odznacza się tylko tem, że Fechner w sposób dość dziwaczny broni tego połączenia malarstwa z rzeźbiarstwem,—odrzuconego, jak wiadomo, prawie jednozgodnie przez dawniejszych i nowszych estetyków. Zakończenie dzieła stanowi szereg rozpraw, poświęconych rozbiorowi różnych praw estetycznych, znajdujących swoje zastosowanie przeważnie w sztuce, jako to: *prawo kontrastu*, *estetycznego następstwa i estetycznéj zgodności; prawo łączenia wrażeń*, *wprawy*, *zobojętnienia*, *nawyknienia i przesycenia; prawo odmiany*, *prawo środka estetycznego*, *oszczędności w użyciu pomocy estetycznych* i t. d. W charakterze dodatku zamieszczoną jest rozprawa pouczająca o wymiarach obrazów w galeryach.

Treść powyższa dzieła oraz samodzielne naukowe stanowisko autora świadczą dostatecznie o doniosłości i pożytku tej pracy. Możemy ją polecić wszystkim, którzy w estetyce nie szukają rozrywki, zabawy, lecz przedewszystkiem *nauki*, krytycznego poglądu na sprawy *piękna*.

— *K.* — **Aleksander Maine o pozytywizmie.** Jeden z najgłośniejszych dziś pozytywistów szkoły angielskiej, Szkot, Aleksander Main, z okazyi pewnej recenzyi francuzkiej, zamieszczonej w *Revue Philosophique* r. z., w której autor porównywa metodę angielską z francuzką w kwestyach filozoficznych na niekorzyść tej ostatniej,— ujął się za metodą swojego kraju, a co większa, ogłosił niejako manifest pozytywizmu angielskiego. Dzisiaj, gdy, jak to mieliśmy sposobność kilkakrotnie zauważyć, pozytywizm nietylko uczy i buduje, ale i obałamuca, ciekawą i może pożyteczną będzie rzeczą dowiedzieć się z ust znakomitego przedstawiciela nauki pozytywnej, jak się w kraju pracy i postępu zapatrują na ten przedmiot; i dlatego posta-

nowiliśmy streścić widoki Maina, mieszczące się w jego replice ogłoszonéj w temże samém czasopiśmie (Nr. 9 z r. 1876).

Zdaje się temu myślicielowi, że metoda pozytywna angielska może słuszniéj niż francuzka rościć prawo do tytułu naukowéj i filozoficznéj, jakkolwiek i tamtéj zasług nie ujmuje. Bo jeżeli rozumowanie jest silne i dokładne, to powinno być posuniętém do ostateczności, a umiarkowany wzgląd na fakta jest poprostu niedorzecznym; ci bowiem, którzy umiarkowane tylko znaczenie przypisują faktom, bywają zazwyczaj nieumiarkowanie przywiązanymi do fikcyi. Wymowa szacowną jest, byle była wyrazem prawdy, inaczéj jest ona gorzéj niż bezużyteczną. Zastarzałe uczucia ludzkości winny być traktowane z głębokim szacunkiem przez wszystkie systemata; ale przekonania czysto osobiste jednostek na nierównie mniejszy zasługują wzgląd.

W podobném zestawieniu zawiera się nietylko podniesienie zalet metody angielskiéj badań, ale zarazem lekka i nader wytworna krytyka metody dzisiejszych spirytualistów francuzkich, jak Caro, Janet, Nourrisson i t. p. Użycie hypotezy, według Maina, jest żywiołem nieodzownym wszelkiéj metody filozoficznéj, w któréj wyszukiwanie przyczyn stanowi formę najwydatniejszą; i pozytywizm też, usilnie nalegając na nieodzowną konieczność sprawdzania na każdym kroku obserwacyi, zawiera w sobie najdoskonalszą wodzę przeciw nadużyciu hypotez. Metoda angielska nie zachęca zapewne paradoksu; ale może nie jest od tego, ażeby z większemi względami obchodzić się z jakimś paradoksem pozornym, występującym obecnie wśród starć naukowych, niż z uprzedzeniami dawnemi, nie mogącemi przytoczyć innych powodów swego bytu nad to, iż istnieją oddawna, oraz, iż tu i ówdzie doznawały poparcia od jakiéjś powagi niezaprzeczonéj, lubo nie-niezaprzeczalnéj, jak Plato, Arystoteles, Kant lub Hume.

Jeżeli nauka polega na wiernem wystawieniu faktów, w porządku, w jakim one powstają lub powstać mogą rzeczywiście; jeżeli zadaniem jéj jest systematyzowanie staranne wiadomości: toż chyba dobrowolnie i z uszczerbkiem dla siebie nie chcemy poświęcić jéj przekonań czysto osobistych, gdyby nawet te były niewiedzieć jak silne i niewiedzieć z jakim zapałem wygłaszane. Ale prawdę powiedziawszy, w krytyce, skierowywanéj przeciw nieumiarkowanemu zamiłowaniu Anglików do faktów, przeciwnicy ograniczają się na powtarzaniu błędnego sądu tych, w mniemaniu których pozytywista bynajmniéj nie zwraca uwagi na fakta, nie mające związku ze wzrokiem, słuchem, smakiem, dotykiem, jadłem lub piciem; oraz, że faktom uczucia najwznioślejszym, dążnościom moralnym, spekulacyom umysłowym, prawdom powszechnym, odmawia względu, wypuszcza je z rachunku i pozwala im chodzić samopas. Mniemanie to jest błędne.

Pozytywizm, przynajmniej angielski, nie jest żadnym *kodeksem doktrynalnym*, ale poprostu *metodą*. Tak się o nim wyraża Main; i oto charakter, który poważne organa prassy polskiej zawsze mu przypisywały, przeciwko jednookiemu zagorzalstwu świeżych neofitów. Metoda ta, dla każdego zdeklarowanego pozytywisty, równie jak dla Maina, jest niczém więcéj, tylko silną protestacyą przeciwko téj fałszywéj i bezpłodnéj, jak ją nazywa, metafizyce, która przetrwała tak długo i dotąd jeszcze ma sporo stronników. Metafizyka, jest to, według niego, systemat, który, niezdolny wyrodzić żadnéj prawdy czystéj, płodnym był w smutne błędy; systemat, ograniczający się na budowie słów, wypracowanéj i uciążliwéj, w któréj abstrakcye uosobistniano z niezmordowaną gorliwością, a treści i substancye stwarzano z zapałem szlachetnym; systemat, w którym przymioty przeobrażano na bytniki rzeczywiste, a to z niczém niezmieszaną ufnością, i w którym ogromny a mglisty świat złudzeń wznosił się na miejscu tego trwałego bytu, jaki nareszcie dzisiejsza umiejętność zaczyna rozpoznawać we wszechświecie. Ile w sobie prawdy, ile przesady i zapomnienia zawiera ta zacięcie wroga opinia o metafizyce, nie mamy zamiaru rozbierać, pozostawiając głos samemu pozytywiście o jego metodzie.

Owoż, wbrew takiéj protestacyi, pozytywizm nie posuwa grozy swéj zbyt daleko: nie jest to system czysto negacyjny, ale zarazem wzywający gorąco ku faktom. Jedyną rękojmią, jakiéj żąda od wszelkiéj przedstawionéj sobie doktryny, choćby najnadzwyczajniejszéj, jest to, ażeby polegała na doświadczeniu. Jeżeli niektórzy z jego adeptów ograniczyli do zbytku dziedzinę doświadczalną, odmawiając w niéj miejsca wszelkiemu faktowi niepoświadczonemu przez zmysły, wina niech spada na nich samych, a nie na systemat któremu hołdują, krzywdząc go wszakże przez to, że niedokładnie naturę jego pojęli. Wzruszeniom wszelkim, wszystkiemu, co w nich poznać można przez rozbiór, wszystkiemu co można prawowicie zawnioskować z ich istnienia, przyjacielską rękę podaje pozytywizm. Jak wszędzie indziéj, tak tu, pyta on poprostu: czy wzruszenia te a te istotnie uczuwać się dają; czy uczuwane są tak, jak powiadacie; czy wolno wam z ich istnienia wyciągać takie a nie inne wnioski? Cóż rozsądniejszego od podobnego szeregu zapytań? Cóż niedorzeczniejszego nad odmawianie im odpowiedzi?

Téj jednak odmawiała, zdaniem Maina, którego nie podzielamy, ponieważ mija się ono z rzeczywistością,—stara metafizyka;—i teraźniejsi jéj przedstawiciele, jak utrzymuje, idą po téj samej drodze, przytaczając, że prawdy, jakie ona przedstawia, są rzeczywiście faktami, ale należącemi do zakresu, w którym nie gospodarują zmysły. Pozytywizm te rzekome prawdy wyklucza raczéj niżeli im przeczy, nie mogąc zgoła sprawić tego, ażeby mu je wyłuszczono w słowach zrozumiałych; często nawet spotyka je wyrażone w sposób zawierający najoczywistszą sprzeczność.

Istnienie więc i natura Boga, nieśmiertelność duszy indywidualna, obowiązek, dusza, duch, doskonałość, wolność i wszystkie inne prawdy, do których dawni metafizycy i teologowie z ich szkoły przywiązywali wartość główną, — naznaczając im i słusznie pierwsze miejsce pomiędzy prawdami, — wchodzą całkowicie w zakres *dobrze zrozumianego* pozytywizmu; a metoda jego zdolną jest spojrzeć tym zagadnieniom w oczy, nie truchlejąc z obawy lub słabości. Jeżeli doktryny te mogą się wytłómaczyć na język przystępny, słucha on ich cierpliwie; jeżeli można dowieść, że są to prawdy *znane* lub *uczuwane*, to on je przyjmuje nazawsze. Jeżeli niektórzy jego adepci, z powodu tych zagadnień najwznioślejszych ze wszystkich, oświadczyli lub dali przynajmniej do zrozumienia, że pozytywizm uważa podobne rzeczy za przechodzące jego doniosłość, to i tu niech nagana spadnie na tego, kto się z podobnèm zdaniem wysuwa: nie na mistrza, lecz na ucznia niedowarzonego.

Jakżeż tu więc daleko jesteśmy od pozytywizmu Comte'a i Littrego, którzy kwestye te zbywali drwinami, zabraniając wyraźnie dotykać ich wszystkim obywatelom rzeczypospolitéj pozytywnéj, pod grozą złego cywizmu i pod klątwą odszczepieństwa. Ale niebawem posłuchamy zdania o tych koryfeuszach samego manifestanta.

Metoda pozytywna może więc dotykać wszelkiéj kwestyi, zdolnéj wyrazić się w języku mającym jakieś znaczenie,—i żadna inna metoda nie jest od niéj podatniejszą. Znosi ona, prawda, niecierpliwie *wyrazy*, uczucia zamącone, myśli bezładne; ale nie przeczy, że wszelkie wyrazy mają jakieś znaczenie, że uczucia najciemniejsze przedstawiają coś, że myśli najbezładniejsze mogą mieć jakiś sens istotny. Ale usiłuje ona tłómaczyć wyrazy na myśli jasne, uczucia na fakta sprawdzone, a myślom nawet nadawać trwałą podporę z *rzeczy*. Pod tym względem, usługi, jakie ona wyświadczyła naszemu wiekowi, są już ogromne; a przeznaczoną jest odegrać dobroczynniejszą jeszcze rolę w wiekach przyszłych, tembardziéj, iż wkrótce zaczną się przekonywać ludzie, że wielu z tych, co połączyli swą sprawę ze sprawą pozytywizmu, zbyt słabo są uzbrojeni do walki, a inni znowu, którzy niby zaprzysięgli mu zabitą nienawiść, spostrzegą, iż byli pozytywistami całe życie, a jeśli odeszli od obozu swego przywódcy, to tylko skutkiem pośrednictwa niezdarnych lub chytrych przyjaciół sprawy pozytywistycznéj.

Jest to błędem,—powiada Main, — a nawet impertynencyą, mięszać pozytywizm z systematem Comte'a. Metoda pozytywna sięga owego czasu, gdy pierwszy fakt, dobrze poświadczony, został wyraźnie spostrzeżonym i wiernie zbadanym; gdy tymczasem zastosowania téj metody, jakie poczynił Comte, datują w trzech czwartych od wczoraj, a jutro mogą być przekonane o nicość. Zasługą Comte'a jest, że ujął metodę, że poznał jéj wartość transcendencyjną i pracował według niéj jak mógł: błędem to przekonanie lub przynajmniéj jego wyznanie, że metoda i właściwe jéj zastosowania muszą trwać

albo upaść razem; błąd to do wybaczenia, ale którego z pewnością niema potrzeby ani przedłużać, ani powtarzać. Pozytywiści, jako i wszyscy dzielni a gorący pracownicy postępu, powinni się przygotować na to, iż będą bici i wyszydzani przez leniwych stronników systematu filozoficznego czysto konserwatywnego: ale czas statecznie rozważyć, że pozytywizm (przynajmniéj angielski) i Comte'yzm niekoniecznie są rzeczą jedną i tą samą. Szkodliwa to rzecz i zgubna oznaczać wielki systemat filozoficzny imieniem jednego człowieka i wnosić ztąd pośpiesznie, że się go zna całkowicie.

Jeżeli Comte był czasami równie pozytywnym w swych zaprzeczeniach jak w twierdzeniach, jeżeli czasem to tylko do swych faktów dopuszczać był rad, co się mogło udowodnić z łatwością, a najwznioślejsze rzeczy odrzucał dla tego, że osobiście niezdolnym był ich ująć, — jeszcze to nie racya do wniosku, że każdy, co w téj chwili ujmuje a czynnie rozwija jego metodę, już tem samém uświęca wszystkie jego nadzwyczajne wykluczyny i całkowity jego zastosowań inwentarz wali sobie na grzbiet. Lewes, naprzykład, nie zaprzeczy zapewne, by go pomieszczono w rzędzie pozytywistów najwydatniejszych; ale ktokolwiek uważnie przeczyta jego „Zagadnienia o życiu i myśli“, spostrzeże natychmiast, że systemat jego, równie jak Herberta Spencera, pod wielu względami najżywotniejszemi od systemu Comte'a różni się szerokiém miejscem, jakie w filozofii swéj nadaje budowie idealnéj, oraz ważnością, jaką przywiązuje do uczucia. Zdania także Lewesa głęboko się różnią od zdań Comte'a; zwalniają się one od wszelkich zaprzeczeń wykluczających, od wszelkich kłopotliwych zastrzeżeń Comte'a, gdy jednocześnie spekulacya najdonioślejsza postępuje w jego systemacie bez przeszkody.

Istnieje, zapewne, jakaś filozofia pozytywna, którą doprawdy nazwać można filozofią ludową, zimna nie do wytrzymania, a w swéj najwyższéj nawet temperaturze trzymająca się dziesięciu stopni poniżéj zera; jest także umiejętność pozytywna, niezmiernie rada niewykraczać poza surowy materyał nauki, chełpiąca się tém, że obstaje przy faktach, nie dotykając teoryi, tak jak gdyby teorya była czém inném, niż uogólnieniem faktów, i jak gdyby fakta mogły mieć najmniejsze znaczenie naukowe, bez zastosowania ich do utworzenia jakiéjś hypotezy czynnéj, mogącéj doprowadzić do odkrycia faktów nowych. Jeżeli astronom bez pobożności — powiada Main — jest waryatem, byłoby sprzecznością, jeśli nie czémś więcéj, przypuszczać człowieka naukowego bez filozofii. Ale za tę filozofią bez ducha, za tę umiejętność okulawioną—metoda pozytywna bynajmniéj nie jest odpowiedzialną. Podobne systemata są parodyą pozytywizmu, i żaden systemat, mający rzeczywiście życie w duszy, nie może się czasami ustrzedz od takiéj parodyi. Stronnicy takiego ciasnego pozytywizmu dobrowolnie ograniczyli swój widnokrąg, wcale nie będąc obciążeni ciężarem wykluczeń, narzuconych przez metodę, któréj się niby trzy-

mają. Jeżeli się zamknęli, uwięzili i zamurowali, to bynajmniéj nie w skutek, ale wbrew raczéj swego własnego systematu.

Programatu tego nie opatrzyły wprawdzie inne podpisy, prócz samego Maina, ale niemniéj uznać go można za wyraz opinii wszystkich koryfeuszów pozytywizmu angielskiego, który zatém z tego, co o sobie powiada, wnosząc, tak dalekim zdaje się być od materyalizmu jak i od spirytualizmu, równie jak od wszelkiego systematu zakreślonego z góry. To neutralne jego zachowanie się nadaje mu wszelką swobodę sądu, o ile namiętność nie rzuci go w nadużycia, albo nieudolność—w szarlatanizm. Lecz prawy ten pozytywizm wyrzeka się z góry solidarności z podobnemi objawami: sąd bezstronny pokaże, o ile tego dotrzyma. Tymczasem z programatu tu przedstawionego okazuje się, że on nie wyłącza z zakresu swego żadnych faktów ludzkość obchodzących, a nie wyłączając przedmiotów dotychczas pozostających w wyłączném zawiadywaniu metafizyki, nie wyłącza i jéj saméj. Nienawiść zaś jego dotyczy nie metafizyki, ale raczéj jéj metody dotychczasowéj. Potępia on drogi, któremi chodziła, i przedsiebierze drogę nową, tęż samę, którą stosował do fizyki, to jest drogę obserwacyi faktów i doświadczenia, stosującego się do badań rzeczy podpadających pod zmysły i narzędzie, zarówno jak do spekulacyi czysto umysłowych. Czy na téj drodze, w zastosowaniu do pojęć i potrzeb najwznioślejszych ducha, będzie miał powodzenie takie, jakiego doznał w świecie materyi?—przyszłość to dopiero pokaże. Metafizyka pozytywna zaledwie dziś zaczyna kiełkować, tak, iż nic jeszcze o niéj powiedzieć nie można.

Ale jeżeli pozytywizm ceni doświadczenie, czyli rozumowanie ścisłe i na faktach oparte, musi przyznać zarówno wartość i tym dowodzeniom, które bronią się przeciw wszelkiemu posądzeniu o pozytywizm, i przeciwnie, stają pod sztandarem metafizyki dawnéj, z całym przyborem środków doświadczalnych umysłowych. A takiemi mianowicie są, naszém zdaniem, we francuzkiéj szkole, dowodzenia dwóch głównych koryfeuszów spirytualizmu, Caro i Janeta, z których opiniami nie można się nie liczyć. Ostatniego zwłaszcza ostatnie dzieło: „Przyczyny celowe“ nie zawiera ani jednego szczegółu puszczonego na wiatr, osadzonego na piasku: wszystko tam motywowane ściśle, a zwrócone dla ugodzenia w samo serce materyalizmu. O tak-to prowadzonych badaniach programat Maina wyrzekł, że wbrew opędzaniu się przed nazwą, są pozytywistycznemi: jeżeli tak jest, to nie mogąc nic co do metody zarzucić takim dziełom, jak to, o którym mówimy, pozytywizm znalazłszy w nim argumenta nader zwycięzkie, musiałby podać rękę przeciwko materyalizmowi, jako przeciw wrogowi wspólnemu obu systematów, a więc i nauki saméj.

Main też niewiele się wzdraga, jest owszem za połączeniem obu kierunków. Metoda angielska, duchem francuzkim przejęta; angielskie poszukiwanie pierwiastków nieosobistych, połączone z zapałem francuzkim dla ruchów osobistych; przywiązanie Anglików do swych

zdań, ożywione łatwością Francuzów do przypuszczania zdań jeszcze nieudowodnionych i nie mogących być udowodnionemi nigdy; fakta angielskie, strojne we wdzięk francuzki: — zdają się być Mainowi kombinacyą płodną, i nie wątpi on, że podobny wypadek jest rzeczą do zrobienia. Jak widzimy, metody niemieckie w filozofii nie zostały tu wcale uwzględnionemi.

— *Ł.* — Pan **B. P. Hasden**, redaktor Rumuńskiego Przeglądu Naukowego, wychodzącego w Bukareszcie p. t.: „Kolumna Trajana", ogłosił świeżo broszurkę, przedmiot której stanowią badania językowe p. Baudouin'a de Courtenay, Warszawianina, obecnie professora filologii porównawczéj w uniwersytecie Kazańskim, odnoszące się do śladów słowiańszczyzny w narzeczach italskich. P. Baudonin de Courtenay, wychowaniec i b. stypendysta niegdyś Szkoły Głównéj Warszawskiéj, wystąpieniami swojemi przeciw téj *Alma Mater*, drukowanemi przed parą laty w pismach tutejszych, a nawet w rossyjskich, nie zalecił się wprawdzie ze strony zbyt sympatycznéj; nie upoważnia to przecież do lekceważenia jego zasług na polu nauki, jakoż z zadowoleniem winniśmy tutaj zaznaczyć, że p. Hasden, który jest autorem wielce cenionéj „Historyi Krytycznéj Rumunów", i rozmaitych pism historycznych i filologicznych, bierze pracę p. Baudouina nad mową rezańską za punkt wyjścia do swych poszukiwań, i takowe w znacznéj części na niéj opiera. Broszurka, o któréj mówimy, nosi nadpis następujący: „Baudouin de Courtenay si dialectul slavoturanic diu Italia. Notita de B. P. Hasden". (Bucarest, 1876; nova typographia laboratilos Romani). Autor zajmuje się głównie porównywaniem wpływu słownictwa włoskiego na język rezański, a słowiańskiego na język rumuński. Wielce ciekawém jest tu spostrzeżenie, że wszędzie, gdzie wyraz włoski wcisnął się do rezańskiego narzecza, do rumuńskiego wszedł natomiast odpowiedni wyraz słowiański. Przytaczamy tu na chybi trafi kilka przykładów: *włoski* amabile, *rezański* amabile, *rumuński* prijeten; *wł.* condannare, *rez.* kondanat, *rum.* osandire; *wł.* degno, *rez.* degn, *rum.* destojnic; *wł.* dolore, *rez.* dolör, *rum.* bola; *wł.* liberare, *rez.* liberat, *rum.* slobodire; *wł.* vescovo, *rez.* vescul, *rum.* vladica; *wł.* ora, *rez.* oro, *rum.* ces, i tak daléj i tak daléj, lubo p. Hasden robi przytém uwagę, że italianizmy w mowie rezańskiéj są nierównie liczniejsze od slawizmów w rumuńskiéj. Pod względem składni, samoistność języka rumuńskiego jeszcze jest większą; uchronił się on bowiem zupełnie od wszelkich wpływów słowiańskich, gdy tymczasem składnię rezańską uważać można za czysto włoską. Wniosek, jaki wyciąga ztąd autor, jest następujący: — Jeżeli italianizmy rezańskie nie wynikły ze zmięszania się etnograficznego Słowian z Włochami, tedy tém bardziéj slawizmy rumuńskie nie pochodzą z połączania Rumunów ze Słowianami, lecz jedynie z blizkości zobopólnych ich stosunków

sąsiedzkich. Przy tej sposobności przypominamy, że p. *Davorin Trsteniah* w Lublanie wydał przed trzema laty ciekawe dziełko o wpływie mowy serbskiej (dalmackiej) na język włoski. Praca ta ma tytuł: „Slovenski elementi venetscini"; — szkoda tylko, że zmysłu krytycznego brak w niej zupełny.

— *L.* — **Charles Merivale,** słynny autor „Historyi powszechnej Rzymu" (*General history of Rome*), wydał świeżo drobną rozmiarem, lecz wielce zajmującą monografią, p. t.: *The roman triumvirates*, w której ze zwykłem mistrzowstwem traktuje okres historyi rzymskiej od śmierci Sylli aż do przewrotowego zwycięztwa cesarza Augusta, a zatem przeciąg czasu czterdziesto-sześcioletni. W sądzie autora o Cyceronie zaznaczyliśmy z przyjemnością różnicę od szorstkiego i pogardliwego niemal o nim zdania Mommsena; Merivale wyraża się o nim ze czcią i uznaniem, nie tylko jako o pisarzu i mówcy, lecz także o człowieku i mężu stanu, gdy tymczasem Mommsen pod dwoma temi ostatniemi względami zbywa go z oburzającem lekceważeniem, i na polu nawet literatury ledwie tylko formalne gotów mu jest przyznawać zasługi. — „Cycero — mówi Merivale — wprawdzie z wyjątkiem jednego czy dwóch wypadków, a i wtenczas tylko na chwilę, nie stanowił w rzeczypospolitej istotnej potęgi; wszakże jako mąż stanu przekazał on potomności przykład miłości ojczyzny, na który zawsze z pociechą powoływać się będą mogli czciciele cnoty publicznej. Obywatelskiego stanowiska swojego nie porzucił on do ostatniej godziny, i wzbogacił dzieje ludzkości wzorem, o którym rzec można, że go podziwiali Bogowie, bo wzorem zacnego człowieka, walczącego z przeciwnościami losu; — jednocześnie z drugiej też strony szacunek, jaki wyznawali dlań zawsze jego ziomkowie, zarówno współcześni mu, jak i z późniejszych pokoleń, stanowi rys pojednawczy w twardym i samolubnym charakterze narodu rzymskiego".

— *L.* — W końcu roku zeszłego ukazał się piąty, ostatni tom dzieła, o którem krytyka jednomyślnie wyrzekła, że jest ono jednem z najznamienitszych, jakiemi poszczycić się może dziejopisarstwo naszej epoki. Mówimy tu o *Historyi zdobycia Anglii przez Normandów, jego przyczynach i skutkach* („The history of the Norman conquest of England, its causes and its results"; Oxford, 1876), przez *Edwarda Freeman'a*. W przedmowie do obszernej tej pracy, obejmującej około 250 arkuszy druku, autor słusznie upomina się o zasługę, że prawdy nigdy nie tylko nie ukrywał, lecz owszem wydobył na wierzch mnóstwo drobnych szczegółów i faktów, o których dotąd nikt nie wspomniał; nie taił ich wtedy nawet, gdy one zdawały się zostawać w sprzeczności z własnym jego poglądem, przez co postawił czytelników w możności rozciągania samodzielnej kontroli nad

całą jego metodą. Ostatni tom tego dzieła poświęcony jest głównie skutkom tego zajęcia Anglii przez obcych zdobywców, jego wpływowi na politykę, religią i literaturę, mianowicie za panowania królów normandzkich, następców Wilhelma, aż do śmierci Stefana de Blois (1554 r.).

We wstępie traktuje p. Freeman obszernie ciekawe zabytki zwane *Domesdaybooks*, zawierające wielki kadaster, ułożony z rozkazu Wilhelma; następnie opowiada panowanie Wilhelma Rudego, Henryka I Beauclerc i króla Stefana, a kończy na koronacyi Henryka II, którego wstąpienie na tron zamyka okres, zwany właściwie normandzkim. Daléj zastanawia się nad wpływem zajęcia Anglii na jéj stosunki zewnętrzne, nad zmianami jakie ono spowodowało w zakresie władzy królewskiéj i w samym zarządzie kraju, w jego stanowisku społecznem, w języku i w literaturze, w budownictwie i innych tym podobnych objawach życia narodu. W ostatnim rozdziale nakoniec autor kreśli w rysach szerokich ogólny charakter rozwoju za dynastyi anglo-saxońskiéj, aż do wstąpienia na tron Edwarda I (1265 r.). *Dodatek* obejmuje kilkadziesiąt mniéj więcéj obszernych przypisków, które, tak samo jak w tomach poprzednich, rozwodzą się bardziéj szczegółowo nad pojedynczemi ważniejszemi kwestyami; wymieniamy z nich ciekawe poszukiwania nad śmiercią Wilhelma Rudego, nad przybyciem Żydów do Anglii, nad handlem tego kraju z Niemcami, nad średniowiecznym językiem angielskim i t. p.

Ostatnie zwłaszcza rozdziały tego piątego tomu, zawierające obraz społeczny Anglii w jedenastém stuleciu, budzą niezmierne zajęcie, jakkolwiek autor, ze zbytecznéj może skromności, wymawia się od kompetentności co do niektórych traktowanych tu przez niego przedmiotów. W porównaniu z obszerném opowiadaniem panowań Edwarda Wyznawcy i Wilhelma I, dzieje samych królów normandzkich być może zresztą, iż są zanadto skrócone, tak iż żałować wypada, że Freeman nie dał raczéj szóstego tomu, któryby większą w tym względzie ułatwił mu równomiarność. Cokolwiekbądź, jego dzieło uważać należy za najważniejszą pracę źródłową nad objętym w niém okresem dziejowym; przyćmiła ona zwłaszcza zupełnie dawniejszą francuzkiego historyka Augustyna Thierry'ego, którego powierzchowna dorywczość dopiero przy tém porównaniu występuje w całéj swéj jaskrawości.

— *L.* — Jako dowód zboczeń umysłowych i mrzonek, do jakich w swéj jednostronności dochodzą częstokroć hyper-erudyci niemieccy, posłużyć może dziełko p. *Antoniego Krichenbauera*, dyrektora gimnazyum w Berlinie, wydane tamże w roku bieżącym, p. t.: „Die Irrfahrt des Odysseus, als eine Umschiffung Afrika's erklärt". Już przed trzema laty tenże sam autor, na kongresie filologów

w Królewcu odczytał swoje „Przyczynki do Uranologii Homera“ (Beiträge zur Homerischen Uranologie), w których starał się dowieść w sposób „przekonywający“, że Iliada poprostu tylko jest zbiorem danych astronomiczno-geograficznych, w którym Helleni epoki bohaterskiéj złożyli całą swą wiedzę o gwiazdach niebieskich i połączonych z niemi pojęciach chronologicznych. Obecnie, na podstawie wypadków, do których p. Krichenbauer doszedł w téj pracy, usiłuje nauczyć nas, że „Odysseusz popłynął z Egiptu do południowéj Arabii; że wylądował na przylądku Guardafui i na wyspie Abdel Kuri; że ztamtąd udawszy się na wyspy Seszelskie i Rodriguez, dotarł aż do krainy południowo-podbiegunowéj, zkąd zwracając się na północ, między Gornerą i przylądkiem Teno, mijając Bufadery, dostał się do Teneryffy, daléj do Palma Gomera, oraz z powrotem znowu na Teneryffę, nakoniec zaś na morze Śródziemne i do Grecyi zachodniéj“. Kilka te słów powinny wystarczyć na scharakteryzowanie całéj książki uczonego autora; do takiego rezultatu bowiem dojść może jedynie, ktoby zupełnie nie chciał zwracać uwagi na dotychczasowe zdobycze nauki, pod względem powstawania epopei ludowéj, i kto kilku danym astronomicznym lub geograficznym, nie mogącym rościć pretensyi do ścisłéj wiarogodności, taką przypisywałby wagę, że utraciłby z tego powodu wszelki pogląd na prawdziwą istotę eposu. Autor sprawę swoję tém jeszcze pogorszył, że dla poparcia swojéj teoryi, najzwyczajniejszym pojęciom czasu całkiem opaczne nadał znaczenie; u niego np. ημας nie znaczy *dzień*, ani νὺφ *noc*, ale pierwszy jest *latem*, a druga *zimą*. Gdyby na nim polegać, doszłoby się do tego, że poemata Homera nie mają celu innego, prócz tylko mistyfikacyi, bo czytelnik nie wiedziałby nigdy, czy najprostsze pojęcie ma brać w znaczeniu właściwém, czy też w przenośném. Tyle już się naszarpano biednego Homera, ale z dziwactwami takiemi nikt podobno dotąd nie występował; chcąc je wszystkie wyliczyć, chyba należałoby całą książkę przepisać. Poprzestajemy na kilku szczegółach przytoczonych; o krytyce naturalnie mowy być tu nie może.

— *St.* — **Studies on English Art.** London. 1876. Stronnic 239. Pod tym tytułem znany angielski krytyk artystyczny i redaktor londyńskiego pisma *Academy*, Fryderyk *Wedmore*, ogłosił szereg studyów nad sztuką angielską. Wobec prawie zupełnego braku gruntowniejszych dzieł, dotyczących tego przedmiotu, praca *Wedmore'a* jest bardzo pożądanym przyczynkiem dla miłośników sztuki. Zauważyć jednak należy, że i ona nie wyczerpuje przedmiotu; wielu z pierwszorzędnych mistrzów angielskich autor nie uwzględnia wcale, a w wyborze swoim kierował się widocznie zupełnie przypadkowemi względami. Tak np. nie wspomina *Lawrence'a; Turnera* jako malarza pomija zupełnie, a mówi tylko o jego pracach szty-

charskich; o *Wilsonie*, *Westcie*, *Landseerze* i wielu innych napotykamy tylko wzmianki ulotne i t. d. Za to studya nad takimi artystami, jak malarze: Tomasz *Gainsborough* (1727 — 1788), Jozua *Reynolds* (1723—1792), jak pejzażysta, głowa szkoły Norwich'skiéj John *Crome* (1769—1821); jak akwarelista Tom *Girtin* (1773—1802), illustrator *Stothard* (1755—1834), jak znakomity rzeźbiarz *Flaxman* (1755—1826) i wielu innych mniéj znakomitych — nader są pouczające i odznaczają się głębszym na sztukę poglądem.

— *St.* — Fryderyk *Pecht*, malarz i krytyk, wydał szereg studyów nad sztuką niemiecką bieżącego wieku p. t. *Deutsche Künstler des neunzehnten Jahrhunderts. Erste Reihe.* Nordlingen 1877. Stronnic VI i 298. Na czele téj pracy napotykamy obszerne studyum nad *Corneliusem*, którego autor stawia obok Lessinga, Göthego i Schillera, jako jednego ze wskrzesicieli sztuki niemieckiéj. Po wszechstronnéj, pouczającéj charakterystyce Corneliusa, autor poświęca drugie studyum słynnemu illustratorowi Ludwikowi *Rifterowi*, który tak skutecznie przyczynił się do popularyzowania najznakomitszych utworów poezyi niemieckiéj. Z pomiędzy innych rozdziałów zasługują na szczególną uwagę studya nad Ludwikiem *Knausem*, Maurycym *Schwindem*, Anselmem *Feuerbachem* i Fryderykiem *Prellerem.* Jako przedstawiciela rzeźbiarstwa, autor obrał Ernesta *Rietschla*, z dziedziny zaś budownictwa rozpatruje szczegółowo działalność na tém polu Goltfrieda *Sempera.* Całość, jak wszystkie tego rodzaju prace Pechta, napisana jest stylem pełnym życia i dowcipu, i wykazuje nadto szeroką znajomość technicznych warunków sztuki.

— *St.* — Znani badacze angielscy na polu sztuki włoskiéj, *Crowe* i *Cavalcaselle*, wydali obecnie w Londynie specyalne dwutomowe dzieło nad Tycyanem p. t. „*Titian*, his life and times".

— *L.* — Od 1 Stycznia r. b. wychodzi w Lipsku nowe kwartalne czasopismo filozoficzne, p. t.: „Vierteljahrsschrift für wissenschaftliche Philosophie", którego wydawcą jest R. Avenarius, przy współudziale pp. C. Göring'a, M. Heintze'go i W. Wandt'a. Pismo to postawiło sobie za zadanie popieranie tego mianowicie kierunku w dzisiejszym rozwoju nauk przyrodzonych i w ogóle empirycznych, który powstaje z silną reakcyą przeciw dotychczasowéj jedynie metodzie filozofii spekulatywnéj, wszakże zagadnień jéj nie tylko że nie odpiera, lecz owszem po części przyjmuje takowe za swoje, i na swój

tylko sposób dąży do ich rozwiązania. W artykule wstępnym zeszytu pierwszego redaktor, p. Avenarius, wykazuje stanowisko, jakie według niego w epoce tegoczesnéj filozofia zająć powinna względem całego szeregu nauk doświadczalnych i ich rezultatów. Przedewszystkiém więc filozofia, by sama utrzymać się mogła na wysokości nauki, ma obowiązek pochwycenia danego materyału w pojęcia ogólne i zestawienia z nich ustroju organicznego. Tyle co do *formy;* co do *treści* zaś filozofia, nie przyjmując nic w siebie, coby nie było wynikiem dyscyplin empirycznych specyalnych, uogólniać ma te wyniki i nie zajmować się również niczém, co tylko jest specyalnością, szczegółem. Wypadkiem ostatecznym takiéj metody ma być *całość* wszystkich pojęć przedmiotów, przez naukę empiryczną podanych; to bowiem najogólniejsze pojęcie, według którego określa się charakter filozoficzny nauki, będzie pojęciem wyłącznie *naukowo-filozoficzném.* Zacząwszy od pytania: czy filozofia może nie być nauką? — autor kończy drugiém pytaniem, jakoby wnioskiem z twierdzeń powyższych: czy nauka może być czém inném, jak filozofią? Oprócz téj pracy, zasadniczéj dla *Kwartalnika,* pierwszy zeszyt, który mamy przed sobą, mieści jeszcze rozprawę *Paulsen'a:* „O stosunku filozofii do nauki", rzecz opartą na podstawie historyczno-filozoficznéj, — daléj artykuł *A. Riehl'a:* „Logika tegoczesna w Anglii", właściwie pogląd krytyczny na dzieło W. Stanley Jevons'a, p. t.: „Zasady nauki, traktat o Logice i metodzie naukowéj" (*The principles of science, a treatise on Logic and scientific method;* London, 1874, 2 vol.); — następnie *Wandta:* „O zagadnieniu kosmologiczném", roztrząsanie rozpoczęte na skalę szeroką, w którém autor spożytkował wszystkie najnowsze badania, do rezultatu jednak nie dochodzi żadnego, — nakoniec traktacik Kolbe'go: *Z życia Cefalopodów,* ożywiony dość gwałtowną krytyką kategoryj Kantowskich. Krótki już ten spis rzeczy wskazuje, że nowa publikacya założyła sobie cele poważne i drogi w części choć nowe, a ztąd wolno mieć nam nadzieję, że nauka, tegoczesny zwłaszcza jéj rozwój, rzeczywisty z niéj odniosą pożytek.

— *L.* — Pod tytułem: *Zeitschrift der Gesellschaft für Erdkunde zu Berlin,* towarzystwo geograficzne Berlińskie wydaje już od lat kilku, pod redakcyą prof. Koner'a, niepospolitéj wartości czasopismo miesięczne, zasługujące pod wieloma względami na niemniejsze rozpowszechnienie, niż słynne „Geographische Mittheilungen" Petermann'a. Zwracamy tu mianowicie uwagę na znajdującą się w zeszycie drugim tomu jedenastego rozprawę Kiepert'a: „Zur Kartographie der europäischen Türkei", w chwili właśnie obecnéj wybornie pomocną dla wszystkich, pragnących się zoryentować na widowni wy-

padków wojennych. Dołączona zwłaszcza mappa Bułgaryi, Bośnii i Hercegowiny uważaną być może za arcydzieło jasności i ścisłości kartograficznej. Na uznanie zasługują również przekłady odnośnych nazw, wyrażeń i zwrotów mowy tureckich. W tymże zeszycie znajduje się dalszy ciąg opisu „Wypadków naukowych wyprawy okrętu *Gazela*", opracowanego przez dra Bogusławskiego, na zasadzie sprawozdań pp. Schleinitz'a, Hüsker'a i Naumann'a; z pomiędzy różnorodnych prac, pomieszczonych w rzeczonym opisie, do najciekawszych zaliczyć można studyum o Kerguelach, owym zbiorze wysp strefy bieguna południowego, przedstawiającym zarówno dla geologa, jak dla meteorologa, niezmiernie wysokie zajęcie.

— *Ben.* — **Deszcz i grad.** Powszechnem prawie było dotąd zdanie fizyków, że w chmurach znajduje się woda w kształcie baniek, we środku wydrążonych, i że tylko w ten sposób mogą się one utrzymać w powietrzu. W tem mniemaniu utwierdzało wszystkich spostrzeżenie, że tylko na takich chmurach widzimy tęczę, z których rzeczywiście deszcz spada, a takie właśnie chmury poznajemy z dala po smugach, ciągnących się z góry ku ziemi. Mniemają, że deszcz powstaje przez to, iż w skutek oziębienia następuje coraz dalsza kondensacya waporów wodnych. Już dawniej jednak zauważyli angielscy fizycy, że nawet drobne kropelki wody mogą się utrzymać w powietrzu, jeżeli nie mogą przezwyciężyć przeszkody, którą im stawia powietrze, tak-samo, jak cząstki ciał stałych, tworzących proch, dym i t. p. Dalej starano się wykazać, że tęcza powstać może także na przestrzeni, zapełnionej takiemi najdrobniejszemi kropelkami, ale tak będzie bladą, iż jej nikt na ziemi nie zdoła spostrzedz. Wykazano zarazem, że kondensacya sama z powodu ochłodzenia zanadto małe zmiany w objętości wywołaćby mogła.

Professor *Osborne Reynolds* miał niedawno wykład bardzo ciekawy w tym przedmiocie w *Manchester* w „*Literary and Philosophical Society*". Zdaniem jego, woda znajduje się w atmosferze w kształcie *bardzo małych kropelek.* Jeżeli kropelki te względem siebie pozostają w jednakowem oddaleniu, t. j. jeżeli chmura pozostaje w spokoju, lub w całości na każdym punkcie z jednakową szybkością się porusza, wówczas deszcz powstać nie może. Skoro jednak kropelki się zbliżą do siebie i o siebie uderzają w skutek wiru w chmurze, lub szybkiego ochłodzenia chmury w najwyższych jej strefach, wówczas kropelki się powiększają, przezwyciężają opór powietrza, padają, a padając powiększają się przez pochwycenie tych kropelek, na które w drodze natrafią. *Tak samo powstaje grad, jeżeli kropelki są w lód zamienione.* Do postawienia tej teoryi spowodowało profesora Reynoldsa rozpoznanie kształtu i wewnętrznego

ustroju gradu; grad bowiem ma kształt ostrokręgu, szczyt jego słaby i zazwyczaj uszkodzony, podstawa bardzo gęsta i zbita, co wszystko przemawia za powiększaniem się w taki sposób, jaki powyżéj przytoczono. Krople deszczu nie mogą oczywiście tworzyć ostrokręgu, a zwiększając się, muszą zachować postać kulistą, chociaż swą dalszą powierzchnią uderzają o drobne kropelki, znajdujące się poniżéj na obszarze, przez który spadają, i chociaż kropelki te na dolnéj powierzchni z niemi się łączą.

PRZEGLĄD DZIEJÓW WSPÓŁCZESNYCH.

Cała w chwili obecnéj uwaga zajęta jest dwiema sprawami, które, tak jedna jak druga, należą do rodzaju „wielkiéj polityki“.

W dwóch miejscach rozegrywają się dramata olbrzymiéj doniosłości.

W Turcyi krew się leje; we Francyi toczy się walka o przekonania polityczne.

Tu i tam idzie o byt. *To be or not to be.* Zaciętość jednaka, pomimo różnicy w sposobach i w celach.

Obowiązkiem jest naszym rozpatrzéć obie sprawy, zaczynając od téj, która nas bliżéj dotyczy i obchodzi, to jest, od sprawy wschodniéj.

Sprawa wschodnia, któréj pojawienie się na widowni dziejowéj ginie w pomroku bardzo odległéj przeszłości, to ma do siebie, że jasną nie była nigdy. Przedstawiała się ona i przedstawia pod postacią zagadki, do rozwiązania któréj gabinety szukają klucza, lecz znaleźć go nie mogą. Ztąd też jedne i te same racye sprowadzają na polu téj sprawy następstwa odmienne, tak, że powiedziéć można, iż działają tu nie racye tkwiące w niéj, lecz racye istniejące poza nią, otaczające ją do koła, racye, rozważanie których nie doprowadza do uchwycenia nici przewodniéj. I tak, naprzykład: porównywając wojnę obecną z wojną, która wszczęła się była lat temu dwadzieścia cztery, widzimy, że tak tę jak tamtę wywołały przyczyny, nie różniące się pomiędzy sobą pod względem istoty rzeczy: — czemuż wówczas na pomoc Turcyi pośpieszyła połowa Europy? czemu obecnie Turcya opuszczoną została przez sprzymierzeńców najserdeczniejszych? Wypadek ten pochodzi nie zkąd inąd, jeno ztąd, że racye, do działania dyplomacyą pobudzające, upatrywać należy nie w Konstantynopolu, nie na Bałkańskim półwyspie, lecz w Petersburgu, w Londynie, w Wiedniu, w Berlinie, w Paryżu, w Rzymie. W roku 1853 Francya posiadała na czele swojém Napoleona, potrze-

bującego laurów; Niemcy głosu nie miały; nie istniała jeszcze Italia zjednoczona. Czasy zaś dawniejsze wywołują wspomnienia Nawaryna, gdzie trzy mocarstwa, Rossya, Anglia i Francya, w bratniém przymierzu szły przeciwko potędze ottomańskiéj, podkopując podwaliny onéj. Jeszcze dawniéj, Rossya wiązała się z Austryą. Słowem, od czasu jak zadanie rozstrzygnięcia sprawy wschodniéj przeszło z Austryi na Rossyą, ta ostatnia, ile razy uciekała się do *ultima ratio*, za każdym razem inną na jaw wyprowadzała kombinacyą polityczną. Wczorajsi sprzymierzeńcy stawali się przeciwnikami jutrzejszymi. Wszakże od czasu pewnego, w toku processu tego postrzegać się daje moment przełomowy, od którego datuje przejście dawniejszéj przeciwniczki Turcyi, Anglii, do obozu ottomańskiego. Czém-że się to stało?

Dwa są polityki rodzaje: polityka zasad i polityka interesów. Wobec sprawy wschodniéj pierwsza najmniejszego nie ma znaczenia, pomimo że dyplomacya posługuje się nią, czerpiąc z niéj hasła odpowiednie. Rola jéj jest czysto militarna. Austrya w czasach dawniejszych nie rozpoczynała przeciwko Turcyi akcyi wojennéj bez porozumienia się uprzednio z podległemi berłu sułtanów ludami słowiańskiemi, bez przyrzekania im wyzwolenia, bez zwoływania pod sztandary swoje chrześcian, których wzywała w imię zasady chrześciańskiéj, zapominanéj regularnie przy traktowaniu o pokój, bez względu na to, jakiém było, pomyślném czy też niepomyślném, zakończenie wojny. Z polityką zasad Austrya tak się mało żenowała, że w jednym i tymże czasie przyrzekała wyzwolenie chrześcianom wyznania wschodniego w Turcyi i najsurowiéj prześladowała u siebie chrześcian innego, aniżeli państwowego obrządku. Również i w odniesieniu do Anglii nie ma co i wspominać o polityce zasad; gabinet wielkobrytański nie powołuje się zresztą na nią. Wysuwa on naprzód interesa Anglii i w imię ich oświadcza się za utrzymaniem całości Turcyi.

Postawienie się to gabinetu wielkobrytańskiego zarysowało się dopiéro w drugiéj ćwierci dziewiętnastego wieku. Zdeterminowały je postępy, które czyni Rossya na Wschodzie, mianowicie zaś, na pograniczu chińskiém i na wybrzeżach morza Kaspijskiego, zagrażając tam handlowi, tu—posiadłościom Anglii. W kierunku tym interesa Anglii i interesa Rossyi wchodzą w styczność, która ze względu na to, że to ostatnie mocarstwo ma za sobą korzyści, wynikające z położenia geograficznego, może w przyszłości stać się dla Wielkiéj Brytanii wielce szkodliwą. Perspektywa ta spokoju nie daje angielskim mężom stanu. „Polityka, to przezorność". Przezorność nakazuje niebezpieczeństwu zawczasu zapobiedz, czego uczynić nie można inaczéj, jeno niepozwalając Rossyi wzmacniać się w podstawach, to znaczy, w tych punktach, które ułatwić jéj mogą posuwanie się naprzód w kierunku wschodnim. Do rzędu punktów takich należy półwysep Bałkański z przyległościami — z ciężącemi ku niemu lądami

i morzami: z Małą Azyą, przez którą inżenierowie angielscy wytyczają już linią kolei żelaznéj, mającéj połączyć Londyn z Madrasem; z morzem Śródziemném, które się otwiera na przekop Suezki. Dla Anglii bez porównania dogodniéj jest i bezpieczniéj, ażeby miejsca te pozostawały raczéj w posiadaniu niedołężnéj Turcyi, aniżeli pełnéj sił i zasobów żywotnych Rossyi. Zapatrując się na sprawy wszelkie, a szczególnie na polityczne, przez pryzmat interesów, nie przypuszcza ona i przypuszczać nie może, ażeby gabinet petersburski, w zajściach swoich z państwem Ottomańskiém, miał na widoku co innego, nie zaś zajęcie faktyczne, a przynajmniéj obsadzenie polityczne dróg, prowadzących na daleki Wschód, rozszerzając w ten sposób podstawę działań, mających na celu handlowe i polityczne z Anglią spółzawodnictwo.

Że spółzawodnictwo to istnieje, to najmniejszéj nie ulega wątpliwości i, zaprawdę, nader dotkliwym byłby dla Anglii cios, gdyby Rossya, podbiwszy półwysep Bałkański, zawładnęła przez to samo Bosforem, Dardanelami, Archipelagiem i zaszachowała Egipt. W razie takim szala spółzawodnictwa na jéj stanowczo przychyliłaby się korzyść.

Wzgląd ten, bardzo zresztą ważny w znaczeniu politycznem, uczynił Anglią wiernym Turcyi sprzymierzeńcem.

Dzięki względowi temu, wytworzyła się w 1853 groźna przeciwko Rossyi koalicya, do sprowadzenia któréj potrafiła Anglia bardzo zręcznie wyzyskać okoliczności owoczesne, wciągając Francyą do wygrzebywania kasztanów z ognia, neutralizując Austryą i obezwładniając Prusy.

Byłoby się to samo powtórzyło i obecnie. Anglii na ochocie nie zbywało. Zagrożona Turcya znalazła ją przy boku swoim, ale — samę jednę. Okoliczności się zmieniły. Francya sekundować jéj nie może. Zlepek włoski, zanadto jeszcze słabo stojący na nogach, nie może stawać w obronie interesów angielskich. Zjednoczone Niemcy zbyt świeżo mają w pamięci przysługę sąsiedzką, którą im gabinet petersburski wyświadczył, ażeby się użyć dały przeciwko Rossyi, rozwijającéj działalność na polu mniéj więcéj obojętnem dla gabinetu berlińskiego. Pozostawała do zużytkowania Austrya, spółzawodniczka Rossyi na polu sprawy wschodniéj, najbliższa Turcyi sąsiadka, strażniczka wybrzeży dalmackich, spoglądająca z utęsknieniem ku ujściom Dunaju i ku żyznym rozłogom, które-by się jéj tak bardzo przydały. Austrya dała-by się pociągnąć, gdyby nie Niemcy, gdyby nie Włochy, gdyby zresztą nie wchodzący w skład aglomeratu austryackiego Słowianie, których przywiązać do siebie nie umiała i którzy z téj racyi gorąco sympatyzują ze sprawą, wypisaną w znaczeniu hasła na sztandarach rossyjskich. Austrya, zniewolona, dzięki Słowianom, u siebie, w domu własnym, neutralizować porywy wojny domowéj, w niepomyślnych znajduje się warunkach do przedsiębrania wojny nazewnątrz, wojny w obronie

18*

Turcyi. Gabinet przeto londyński, rozpatrzywszy się w sytuacyi i sprawdziwszy ją przez markiza Salisbury, nic nie miał lepszego do uczynienia, nadto, że dołożył usilności całéj do zażegnania burzy. Uchwycił się konferencyi, jako deski zbawienia, i wyprawił markiza w objazd po stolicach dla zgromadzenia materyału, potrzebnego do szachowania Rossyi, występującéj w charaktrze obronicielki ludów uciśnionych. Niestety! materyał tego rodzaju nie był, z wyżéj wyłożonych powodów, do znalezienia. Hasło, pod którém występowała Rossya, przedstawiało się nader jaskrawie. Opinią publiczną w Anglii saméj oburzały okrucieństwa, których dopuszczała się Porta, poskramiając zachcianki buntownicze poddanych swoich. Śmierć tragiczna Abduł-Azisa i szaleństwo Amurata nie przyczyniły się bynajmniéj do popierania zabiegów pokojowych gabinetu londyńskiego. Rachowano na pojedynczść Wysokiéj Porty, na skłonność do ustępstw. Przerachowano się jednak. Nacisk na nią we względzie tym ze strony konferencyi, w łonie któréj szezególną natarczywością odznaczał się pełnomocnik angielski, nie doprowadził do rezultatu pożądanego, wymusiwszy jeno konstytucyą, będącą raczéj rękawicą rycerską, aniżeli satysfakcyą polityczną. Pozostało przeto gabinetowi londyńskiemu jedynie tylko to, aby, poruczając pupillę własnemu jéj losowi, poszukiwać na innéj drodze ubezpieczenia dla interesów angielskich. Ztąd urodziła się depesza lorda Derby z d. 6 Maja, zawierająca warunki pewne, pod któremi Anglia zobowiązuje się zachowywać ścisłą neutralność, warunki określone dość niejasno, a mające na celu powytyczać punkta, przed któremi wstrzymać się powinny w pochodzie swoim zwycięzkie kolumny wojsk rossyjskich— warunki niepraktyczne i niewłaściwe, uzupełniane wysyłką floty do zatoki Bezika i wojsk lądowych na wyspę Maltę, połączoną z ustawiczném a usilném kołataniem do podwoi gabinetu wiedeńskiego o spólność akcyi. Kołatanie to trwa od pierwszéj chwili rozpoczęcia się nad Dunajem kroków nieprzyjacielskich. Napróżno! Austrya oglądać się musi na Berlin, ten zaś z iście filozoficzną obojętnością przypatruje się pojedynkowi krwawemu, który się odbywa w zawartych szrankach.

Anglii chodzi o Turcyą, o całość i nietykalność państwa tego; Niemcom chodzi o zlokalizowanie wojny. Ten jest powód, dla którego Niemcy przytrzymują Austryą, która, inaczéj, mogłaby z nastręczającéj się okazyi wyciągnąć korzyści niejakie dla siebie. Wmieszanie się atoli Austryi do akcyi wojennéj pociągnęłoby za sobą wmieszanie się i innych mocarstw, sprowadzając na Europę pożar ogólny, którego ugaszenie nie przyszłoby zapewne z łatwością. Sama Anglia, z pewnością, nie pragnęłaby tego. Położenie jéj we względzie tym nader jest trudne, tém bardziéj, że jak się zdaje, dopuściła się ona olbrzymiego błędu politycznego, usuwając się sama i odciągając inne mocarstwa od proponowanéj przez Rossyą zbiorowéj egzekucyi postanowień, zapadłych na konferencyi Kostantynopolitańskiéj. Czyniąc

to, ręce sobie związała i dziś z niespokojnie bijącem sercem przypatrywać się musi rozwojowi wojny, która, prowadząc wojska rossyjskie z jednej na drugą linią obronną, w jakie hojnie natura uposażyła państwo Ottomańskie w Europie i w Azyi, zaprowadzić je w końcu może do stolicy padyszachów i na szlaki dróg żelaznych, wytyczanych przez inżenierów angielskich. W polityce błędy nie popełniają się bezkarnie. Anglia doznaje tego na sobie w chwili obecnej. Lord Beaconsfield winszować sobie może nawarzenia piwa, co zachwiało znacznie popularność jego w kraju i zagraża Anglii niemałemi w przyszłości przykrościami. Oszczędzenie jej onych polega na podstawie nader chwiejnej, na energii odpornej, którą rozwinąć może Turcya — na energii, którą ona w momentach ostatnich w rzeczy samej rozwinęła niespodzianie.

Powodzenia oręża tureckiego, tak w Azyi, jak w Europie, zadziwiły powszechnie, zwłaszcza, że nastąpiły po faktach, znamionujących, jeżeli nie zupełny upadek na duchu, to opieszałość, przechodzącą miarę zwykłej opieszałości tureckiej. Niema w tem jednak zadziwiającego nic. Rzecz to była do przewidzenia. Państwo tureckie, na podbojach urosłe, było i jest nawskróś militarnem. Oręż stanowi główną jego podstawę — podstawę, która, gdy wszystkie części maszyneryi państwowej psuły się nie do naprawienia, sama jedna pozostała w stanie, dopuszczającym reparacye odpowiednie. Jakoż padyszachowie nie zaniedbywali tych reparacyi. Od r. 1826 państwo Ottomańskie weszło na drogę reform, które wszystkie miały wyłącznie na celu siłę zbrojną, doskonaloną stopniowo, stosownie do wzorów, jakie Europa podawała. Każdy z sułtanów poczynając od Mahmuda II, ba nawet od Selima III, dokładał do budowli tej po cegiełce. Mahmud II, po zniesieniu Jańczarów, założył fundamenta armii tureckiej, posiłkując się takimi ludźmi, jak generał Chrzanowski, jak Moltke, dzisiejszy feldmarszałek pruski, i inni. Pod panowaniem syna i następcy Mahmuda, Abdul Medżyda, wydoskonaloną została piechota. Nawet niedołężny, ograniczony, w rozwiązłości pogrążony Abdul-Azis przyczynił się niemało do podniesienia wartości siły orężnej Turcyi, faworyzując szczególnie marynarkę i artylleryą. Za jego też czasów uzupełnioną została organizacya na wzór pruskiej, ćwicząca w wojennem rzemiośle całą do noszenia oręża zdolną ludność muzułmańską. A że rasa turecka jest z natury intelligentną, że pojęcie tajemnic rzemiosła wojennego nie należy do zakresu wysokiej filozofii; więc też siła zbrojna turecka z niewielkim trudem doprowadzoną być mogła do stopnia doskonałości, potrzebnej w ruchach strategicznych i w obrotach taktycznych. Niezupełnie przeto jest słusznem zadziwienie, przebijające się w prassie zachodnio-europejskiej, gdy do wiadomości jej doszły sukcessa, jakie osiągnął w Azyi Muktar Pasza, w Europie Osman i Sulejman. W tem niema nic zadziwiającego. W chwili, gdy wodzowie tureccy zdołali zgromadzić i do boju wyprowadzić siły,

wyrównywające siłom przeciwnika, wnet szanse się zrównoważyły i zwycięztwo dla Turków możliwém się stało. Rzecz, w razie takim, redukuje się do znaczenia zadania, którego rozwiązanie nie przedstawia trudności nieprzełamanych, zależąc od warunków ściśle określonych, fizycznych i moralnych. Żołnierz turecki jest żołnierzem bardzo dobrym. W pochodach wytrwały, w boju waleczny, żywi się lada czém i ze wzorową cierpliwością czeka na żołdy, które rzadko rąk jego dochodzą: byle więc na czele swojém miał, nie już dobrych, ale niezłych generałów, to pewnym być można z jego strony spełnienia powinności wojskowéj nie gorzéj, niż ze strony żołnierza pierwszéj lepszéj z armij europejskich, od których armia turecka nie daleko odbiega pod względem tak wyrobienia technicznego, jako téż uzbrojenia.

Niemniéj przeto powodzenie oręża tureckiego powszechne w Europie wywołało zdziwienie. Zdziwienie zapanowało i w Konstantynopolu, co widać nie tylko w korrespondencyach, adresowanych ze stolicy Turcyi do dzienników zachodnich, ale najbardziéj, w wylewie uczuć, jakim młody sułtan pozdrowił wodza hufców, które walczyły pod Plewną. „Pozdrawiam—pisze Abdul-Hamid—wszystkich generałów, oficerów i żołnierzy, dzieci moje własne, których waleczność i boje heroiczne napełniają zadowolnieniem i radością serce ich padyszaha. Oby Allach użyczył im szczęścia i pomyślności wiekuistych".

Słusznie młody władca wiernych odwołuje się do Allacha we względzie wynadgrodzeń, na które wojownicy tureccy zasłużyli; albowiem, najpierw, wynadgrodzenia nie mogą oni oczekiwać od kogo innego, tylko od Allaha; powtóre, wyznać należy, iż nie kto inny, jeno Allah, hetmanił im do chwili odwołania Abdul-Kieryma i powierzenia dowództwa naczelnego Mehmet-Alemu. Turcy działali do owego czasu bez jasno określonego planu. Allah przeto Turcyą strzegł, wprowadzając w umysły nieprzyjaciół jéj lekceważenie przeciwnika. Nie—żołnierz turecki nie zasługuje na lekceważenie. Stanowi on ostateczną dla państwa Ottomańskiego ucieczkę, jedyną deskę zbawienia, deskę, która nie jest tak wątłą, jak się na pozór wydaje.

Wątpić nie można, że *à la longue* Rossya weźmie nad Turcyą górę. Wojna nie odbywa się samymi tylko żołnierzami, ale oraz i zasobami, tak w ludziach, jak w materyałach, jak zwłaszcza, w pieniądzach, owym nerwie wojennym, brak którego dotkliwie się odbija na operacyach, chociażby najtrafniejszych i najzręczniejszych. Pod względem zasobów Turcya na żaden sposób nie może iść w porównanie z Rossyą. Zasoby jéj prędzéj czy później wyczerpnąć się muszą, sprowadzając taki moment, w którym zabraknie naraz środków do dalszego popierania wojny. Moment ten atoli nastąpić może późniéj raczéj, aniżeli prędzéj. Jeżeli państwo konające, dotknięte rozprzężeniem wewnętrznėm, szarpiącém wszelkie jego siły żywotne,

i w chwili rozprzężenia tego narażone na wojnę wielką, potrafiło wojnie tej podołać, — to przypuszczać się godzi, że siły odporne starczą mu na długo.

Objaw ten siły odpornej stanowi wielką dla gabinetu londyńskiego pociechę. Muktary, Mehmet-Alowie, Osmany i Soliman-baszowie naprawiają błędy polityczne, popełnione przez angielskich mężów stanu, którzy nie potrafili ani wojny zażegnać, ani Turcyi dopomódz, nie potrafili być ani z Rossyą, ani przeciw Rossyi, nie potrafili zresztą neutralności wymuszonej osłonić pozorami racyonalnemi. Bodaj czy nie po raz pierwszy zdarza się Anglii coś podobnego, Anglii, która słynęła mądrością stanu i na zewnątrz zazwyczaj występowała jako jeden mąż. Obecnie dzieje się inaczej. W Anglii samej, w opinii publicznej i w parlamencie, działają dwa prądy: jeden niepewny, wahający się, występujący z warunkami i zastrzeżeniami, których zdefiniować nie umie, drugi, na czele którego stanął Gładstone, wyraźnie a stanowczo oświadczający się przeciwko Turcyi. Ten ostatni powściąga gabinet w zapędach jego. Nie można tego kłaść na karb zwyczajnej walki stronnictw. W Anglii, wobec polityki zewnętrznej, walka stronnictw umilka zazwyczaj. W czasie wojny wschodniej, 1853—56, ster rządu w Wielkiej Brytanii dzierżył w rękach swoich gabinet mieszany, złożony w połowie z Torysów, w połowie z Wigów. Była niezgoda co do sposobów, lecz nie co do celu ogólnego. Tu zaś, w odniesieniu właśnie do celu ogólnego, zachodzą różnice wyraźne: podczas kiedy lord Beaconsfield jest za utrzymaniem całości państwa Ottomańskiego, stronnictwo przeciwne idzie tak daleko, że się domaga wyrzucenia Turków z Europy. Domaganie się to zaznaczyć chyba należy na karb ducha czasu.

Mówiąc o wojnie wschodniej, toczącej się obecnie, wyznać potrzeba, że pomimo, iż łączą się z nią interesa najważniejsze, nie zajmuje ona opinii publicznej w Europie w takim stopniu, w jakim zajmowaćby powinna, bodaj dla tego już samego, że wpływ jej odbija się na wszystkich niemal gałęziach handlu i przemysłu. Spadnięcie papierów rossyjskich, austryackich i tureckich wielką w obroty pieniężne perturbacyą wprowadziło. Dało się to czuć w pierwszych zwłaszcza chwilach. Mimo to postrzegać się daje pewna obojętność dla przebiegu procesu krwawego, toczącego się w Bałkanach i w górach Armenii. Względna ta obojętność pochodzi ztąd, że równocześnie z wojną na Wschodzie wybuchło najmniej spodziewane przesilenie we Francyi, w której, jak się zdawało, rzeczy weszły już były na tor porządku, rokującego krajowi rozwój spokojny. Gabinet, na czele którego stał Juliusz Simon, wszelkie dawał rękojmie. Porządek ten atoli nie był po myśli stronnictwom monarchicznym, które upatrywały w nim zatratę nadziei i widoków swoich, opierających się całkowicie na osobistości marszałka-prezydenta, przewodniczącego rzeczypospolitej, pomimo wstrętu, jakim przejmuje generała

Mac Mahona ta forma rządu. Większość w izbie prawodawczéj wyraźnie republikańska; senat złożony w połowie z republikanów, w połowie zaś gromadzący w łonie swojém legitymistów, orleanistów i bonapartystów, z dodatkiem grona tak zwanych konstytucyonalistów, wyznających republikanizm okolicznościowy; napór zresztą opinii publicznéj, oświadczającéj się za formą rządu, do któréj kraj już przywykał: wszystko to, razem wzięte, przedstawiało się stronnictwom monarchicznym pod postacią tak groźną, że wyczekiwanie końca próby, to jest roku 1880, w którym kraj powołanym być ma do nadania sobie ostatecznéj formy rządu, wydało się im zgubą oczywistą. Perspektywa zguby owéj sprowadziła zamach Szesnastego Maja. Błahy pozór posłużył prezydentowi Rzeczypospolitéj do odebrania steru władzy panu Jul. Simon, a powierzenia go ludziom tak zwanego „porządku moralnego“, księciu de Broglie, panu de Fourtou i innym. Że zaś z ludźmi tymi izba iść nie mogła, więc co najśpieszniéj rozwiązaną została. W ślad za tém nastąpiło gorączkowe dezorganizowanie służby publicznéj we wszystkich jéj gałęziach i zawzięte gaszenie ducha republikańskiego we wszelkich objawach; zmienianie prefektów, podprefektów, merów, sędziów pokoju, rozwiązywanie rad municypalnych i naznaczanie na ich miejsce komissyj, rozwiązywanie klubów, stowarzyszeń i kółek, zamykanie kawiarni i szynków, odbieranie konsensów, wytaczanie procesów dziennikom, etc. etc., aż do szykan bez celu, takich naprzykład, jak wydalenie ze służby lekarzy na liniach kolei żelaznych i powstrzymywanie wydawania prenumeratorom dzienników, uchybiających przepisom formy na adressach, gdy te zawierają w sobie nazwisko familijne bez imienia chrzestnego adresanta. Cały zachód ten przedsiębranym jest w widoku wyborów przyszłych, ktore według brzmienia prawa zarządzone być winny najpóźniéj we trzy miesiące po rozwiązaniu izby. Rządowi przysługuje prawo przyśpieszenia tego terminu. Lecz gabinet księcia de Broglie potrzebuje przygotować się do wyborów, i dla tego termin odkłada jak najdaléj, obsadza wszystkie miejsca oficyalne swojemi kreaturami i wprowadza osławione za czasów drugiego cesarstwa kandydatury oficyalne, usiłując w ten sposób w łonie izby przyszłéj posiąść większość monarchiczną i pod egidą téj większości dojść do wyrocznego roku 1880. O to się teraz rzecz rozbija. Gabinet księcia de Broglie w środkach nie przebiera, działając śmiało i rezolutnie. Walka wrze na całéj przestrzeni Francyi. Republikanie, zblizka naciskani i od wszelkiego wpływu urzędowego odsadzeni, zajęli stanowisko odporne, wygłosiwszy hasło, którém jest ponowny wybór tych wszystkich deputowanych, co w izbie rozwiązanéj stanowili większość republikańską. Na to się zgodzili, tego się trzymają i w godnym idą szyku, popierani przez wszystkie organa opozycyjne opinii publicznéj. Stanowi to ich potęgę; ta zaś ma przeciwko sobie najpierw rząd, rozporządzający środkami olbrzymiemi, następnie koalicyą stronnictw monarchicznych, która mogłaby być

groźną, gdyby nie piastowała w łonie swojém sprzeciwieństw pomiędzy wyznawcami legitymizmu, orleanizmu i bonapartyzmu, rozbitymi na frakcye i odcienie. Jest legitymizm czysty, wierzący w Henryka V i w nic więcéj; jest legitymizm dopuszczający skojarzenia linii Burbonów starszéj z młodszą; jest orleanizm, przyjmujący to skojarzenie i jest orleanizm odcienia d'Aumalowskiego, który dziecko d'Aumale'a forytuje na prezydenta rzeczypospolitéj, wyznaczając mu tu rolę, jaką w swoim czasie odegrał Napoleon III; jest bonapartyzm *à la* Cassagnac i bonapartyzm *à la* Rouher i bonapartyzm *à la* Plonplon — pierwszy szereguje się pod cesarzewiczem, drugi pod cesarzową, trzeci pod księciem Napoleonem Hieronimem. Znalazłoby się odcieni więcéj jeszcze śród stronnictw przeciwko rzeczypospolitéj skoalizowanych, ale i wymienienie tych już dostateczném jest do wykazania niezgody, panującéj w obozie manarchicznym a objawiającéj się gwałtownie w odpowiednich organach prassy. Dzienniki legitymistyczne zajadle występują przeciwko aliantom swoim, bonapartystom, którzy, ze swojéj strony, równą im odpłacają monetą, szarpiąc się przytém pomiędzy sobą. Przedmiotem niezgody głównym, jak na teraz, są kandydatury oficyalne. Każde ze stronnictw pragnie na własną korzyść wyzyskać poparcie rządowe, celem osiągnięcia, jeżeli już nie większości, to przynajmniéj powagi w przyszłéj izbie. Z tego powodu rząd w niemałym znajduje się kłopocie. Wszystkim dogodzić — czyż sposób? Jak dotychczas, w mianowaniach zwłaszcza urzędników, rząd zdaje się faworyzuje bonapartystów, udzielając im część lwią w rozdawnictwie posad. Bonapartyści przeto trzymają przodek, który, przypuszczać należy, utrzymają też i w czasie wyborów. Zachodzi jednak pytanie — pytanie wielkie, zajmujące nie tylko opinią publiczną we Francyi, ale i gabinety zagraniczne, pytanie, które zwraca na siebie uwagę powszechną w Europie: czy z wyborów, mających, jak wieść niesie, odbyć się w połowie miesiąca Września, wejdzie do izby większość monarchiczna, czyli też republikańska?

Pytanie to opiera się całkowicie na wyborcach wiejskich — na chłopach francuzkich, stanowiących liczebnie massę ogromną.

A chłop francuzki — to zagadka. Co on postanowił? czy co postanowił? — nie wiadomo. Według twierdzenia tych, co bliżéj znają lud rolniczy francuzki, żadne nań podziałać nie zdołają wpływy, nie wyjmując wpływu księdza, który z nim w codziennéj pozostaje styczności. Wszelkie przeto konjunktury i domysły, co do rezultatu wyborów przyszłych, byłyby w chwili obecnéj przedwczesnemi. Republikanie pełni są otuchy, a czy się nie mylą, to czas pokaże; w każdym jednak razie nie może ich spotkać gorszego nic, nad to, że stosunek stronnictw w izbie przyszłéj pod względem liczebnym ułoży się w ten mniéj więcéj sposób, jak w izbie, która się zgromadziła była w Bordeaux, w celu ratyfikowania traktatu pokoju, zawartego z cesarstwem niemieckiém. Izba taka dociągnie do r. 1880

i marszałek Mac-Mahon wybędzie swój czas na krześle prezydyalném. Jeżeli atoli z wyborów wyjdzie większość republikańska, to, w razie takim — co się stanie? drugie pytanie, nie mniéj ważne, aniżeli pierwsze, i nie mniéj zajmujące umysły, które wiedzą o tem, że wszystko, co się robi dziś, robi się dla jakiegoś jutra. Nie wiadomo, czy marszałek Mac-Mahon, dokonywając w d. 16 Maja swojego *„coup d'état“*, czy, jak chcą niektórzy *„coup de tête“*, zastanowił się nad doniosłością i możliwemi jego następstwami. Przypuszczać raczéj należy, że się nie zastanawiał wcale. Najserdeczniejsi przyjaciele jego, przyznając mu wszystkie cnoty, przyznają oraz wszystkie zalety,— z wyjątkiem jednéj, która się pospolicie „rozumem“ nazywa. Nieobecność zalety téj, bez któréj, jak widzimy, na wysokiém stanowisku obchodzić się można, sprawiła zapewne to, że naczelnik państwa zezwolił na zamach stanu dla tego jedynie, iż dał się na krok ten wyciągnąć. Stało się. Co się jednak stanie późniéj? Jeżeli opozycya cała, w pełnym a może i zwiększonym komplecie, wejdzie do izby napowrót, będzie to nie co innego, jeno wyraźne i stanowcze *votum* nieufności, dane przez kraj, nie gabinetowi Broglie-Fourtou, ale wprost naczelnikowi państwa, marszałkowi Mac-Mahon. Cóż marszałek pocznie wówczas? Jest to pytanie, natury nader delikatnéj. Pozycya marszałka stanie się nadzwyczaj trudną i niesłychanie drażliwą. Kiedy dzisiejszy prezydent rzeczypospolitéj francuzkiéj, będąc jeszcze generałem dywizyi pod Sebastopolem, zdobył na czele pułków swoich wyżynę Małachów, przesłał wodzowi naczelnemu wyrazy następujące: *„j'y suis et j'y reste“*. Pamiętne te wyrazy przypominają mu dziś, odnosząc je do ewentualności wyborów republikańskich: *Il y est et il y restera* do końca, bez względu na nic. Konstytucya nie zmusza go do ustępowania z krzesła prezydyalnego wobec nieufności narodu. Jest przeto nadzieja, że waleczny generał wytrwa na stanowisku swojém do roku 1880, i że do roku 1880 Francya nie będzie mogła na drodze legalnéj zrzucić ze siebie skorupy, włożonéj na nią przez sejm, który nie posiadał mandatu do takiego jéj przystrajania.

Z ogólnego punktu spoglądając na awanturę Szesnastego Maja, wyznać potrzeba, że była ona zgoła niepotrzebną, wprowadzając wewnątrz kraju zamieszanie i obezwładniając Francyą nazewnątrz. Same jeno stronnicze zapędy mogły wywołać coś podobnego. Stało się to w sposób tak nagły, tak niespodziany i tak zadziwiający, że z uwagi na rozwijającą się w tym właśnie czasie wojnę wschodnią, podejrzewano biorący w ręce swoje ster rządu gabinet o plany polityczne, daleko sięgające. Pomawiano pana de Broglie o intencye wojownicze, skierowane przeciwko Niemcom, o chęć przyśpieszenia chwili odwetu w porozumieniu z Austryą, z Bawaryą, z Saksonią i z innemi państwami, którym dolega hegemonia Prus. Dziś jednak wiemy, co sądzić o intencyach onych i chęciach wspaniałych. Rzecz się zredukowała do właściwych jéj rozmiarów. Dla Francyi, a przez nią

i dla ludzkości, szkoda tego czasu, straconego na dogodzenie fantazyi ludzi krwi gorącej, i tej energii, marnującej się na szamotania wewnętrzne. Francya coś lepszego i coś użyteczniejszego do czynienia miała.

Owóż przedstawiliśmy z punktu ogólnego dwie sprawy, turecką i francuzką, agitujące się w Europie w chwili obecnej. Ani jedna, ani druga rozstrzygniętą nie jest. Francuzka rozstrzygnie się sama przez się, bez nacisku z zewnątrz, bez interwencyi. Turecka jednak?... Co do tej ostatniej, zapytać wolno: czy się rozstrzygnie? Z podziwienie wzbudzającą zręcznością gabinet petersburski prowadził ją do chwili wybuchu wojny, usuwając z drogi swojej wszystkie trudności i przeszkody, które głównie polegały na tém, ażeby z pomiędzy Rossyi a Turcyi usunąć pośrednictwa wszelakie. I dopiął tego. Turcya do rozprawy krwawej wystąpiła z platoniczną gabinetu londyńskiego przyjaźnią, do której tenże przyznawać się otwarcie nie chce. Rossyi przeto nie przeszkadza nic do rozstrzygnięcia kwestyi wschodniej raz i na zawsze. Może dążyć do celu wprost. Czy jednak na drodze tej nie znajdą się przeszkody jakie, tego w chwili obecnej przewidzieć nie sposób. Czekajmy—zobaczymy.

Wobec dwóch tych spraw maleją wszystkie inne, nie wyłączając groźnego bezrobocia, co się zdeklarowało śród obsługi dróg żelaznych w Stanach Zjednoczonych, a o którém, gdyby nie wojna w Turcyi i nie walka we Francyi, byłoby do pisania dużo. Bezrobocie to przeto kilku zbędziemy słowy. Oznacza ono, że te same dolegliwości społeczne, na jakie choruje Europa, dotykają i Amerykę, i że tak tu, jak tam nie obmyślano jeszcze na nie odpowiedniego lekarstwa. Rząd Stanów Zjednoczonych wysłał przeciwko zbuntowanym robotnikom wojsko, które przywróciło nadwerężony porządek. Do sposobu tego uciekają się i w Europie. Nie prowadzi on atoli do niczego, jeżeli pominiemy rozdrażnienie, wytwarzające w łonie społeczném dwa wrogie obozy. Zwycięztwo pozostaje przy władzy; rozdrażnienie pozostaje w umysłach — i niepokoje ponawiają się za okazyą pierwszą lepszą. Tak się działo wczora, tak się dzieje dziś, tak się dziać będzie długo jeszcze, dopóki siła rzeczy nie sprowadzi słusznego ustosunkowania pomiędzy kapitałem a pracą, dwoma wrogami, których natura i interesa zobopólne nakłaniają do porozumienia jak najwszechstronniejszego i przyjaźni jak najserdeczniejszej.

Przenosząc wzrok na państwa europejskie, z pominięciem Francyi, Rossyi i Turcyi, postrzegamy wszędzie ciszę i spokój. Cisza w Anglii, cisza we Włoszech, cisza w Niemczech, cisza na półwyspach Pirenejskim i Skandynawskim, cisza w Hollandyi; w Belgii stronnictwo liberalne usiłuje wydrzeć władzę z rąk stronnictwa katolickiego; w Szwajcaryi zatargi wyznaniowe zeszły z porządku dziennego; w Austryi sejmy krajów koronnych przystępują do czyn-

ności obradowych, a czynnościom tym wtórują mityngi polityczne i zgromadzenia ludowe, z których jedne wzywają rząd do wystąpienia orężnie przeciwko Rossyi, inne wzywają rząd do wystąpienia orężnie przeciwko Turcyi. Pierwszych instygatorami głównymi są Węgrzy, drugich Czesi. Sejm galicyjski otworzył się pod laską nowo zamianowanego marszałka, którego, głęboką dyplomacyą nacechowane, przemówienie nie zadowoliło nikogo.

Bibliografia.

A. Książki.

Abgarowicz Adolphe. De l'inaliénabilité du fonds dotal en droit romain et en droit français, thèse pour le doctorat. Paris, imprim. Gauthier-Villars, libr. Larose, 1877, w 8-ce, str. 114.

Adamkiewicz Alb. dr. Die Natur und der Nährwerth d. Peptons, eine experimentelle Untersuchung zur Physiologie d. Albumins. Berlin, Hirschwald, 1877, w 8-ce, str. VIII i 128.

Alth Alojzy dr. Sprawozdanie o kamykach dnia 20 Sierpnia 1876 r. w Uhrynie podczas burzy spadłych. (Odbitka z tomu IV Rozpraw Wydziału matem.-przyr. Akad. Umiej.). Kraków, druk. Uniw. Jagiel., 1877, w 8-ce, str. 17.

— Sprawozdanie z badań geologiczno-antropologicznych, przedsięwziętych w tak zwanéj „Smoczéj Jamie“ na Wawelu w Krakowie. (Odbitka ze Sprawozdań Komissyi antropologicznéj Akad. Umiej.) Kraków, druk Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 5 i 1 tabl.

B. M. Album kandydatek do stanu małżeńskiego, z notat starego kawalera. (Biblioteka utworów humorystycznych, wychodząca staraniem redakcyi Harapa, tom I). Kraków, druk. W. Korneckiego, 1877, w 8-ce, str. 98.

Bartoszewicz Julian. Dzieła, tom I: Historya literatury polskiéj, potocznym sposobem opowiedziana. Wydanie 2-gie powiększone. Tom I. Kraków, nakł. Kazimierza Bartoszewicza, druk. W. Korneckiego, 1877, w 8-ce, str. XVI i 400.

Bernatowicz F. Pojata, córka Lizdejki, albo Litwini w XIV wieku, romans historyczny, tom I i II, III i IV. Lwów, nakł. A. J. O. Rogosza i F. H. Richtera, druk. A. J. O. Rogosza, 1877, w 8-ce, str. 253 i 1 nl., 259 i 1 nl.

Berthet E. Romans przedhistoryczny, opowiadania z życia pierwotnych plemion ludzkich, przełożył i wydał H. Kuczalski: część I. Paryżanie epoki kamiennéj; II. Osada nawodna; III. Założenie Paryża. Warszawa, druk. Józefa Sikorskiego, 1876, w 8-ce, str. 421 i 4 nl.

Bierzyński Roman. Symbolika historyi, rzecz autora dzieła „Somatologie de la femme". Warszawa, druk. Czerwińskiego i Sp., 1877, w 8-ce małéj, str. 70 i 2 nl.

Blick, Ein, in die Zukunft, Betrachtungen über die politischen und militärischen Verhältnisse Österreich-Ungarns und Russlands mit Bezug auf einen Krieg. Kaschau, Verlag und Druck von K. Werfer, 1877, w 8-ce dużéj, str. 55.

Str. 33 — 41: Die Karpathen; str. 41 — 51: Die strategischen Verhältnisse Galiziens zu den benachbarten Kriegsschauplätzen.

Boistel A. Wykład prawa handlowego, przełożył z francuzkiego Stefan Godlewski, kandydat praw (Biblioteka umiejętności prawnych). Warszawa, nakł. Biblioteki, druk. S. Orgelbranda synów, 1877, w 8-ce, str. VI, 462 i VIII.

Borkowska Aleksandra, z **Chomętowskich**. Wspomnienia z przeszłości, obrazki poświęcone młodemu wiekowi, wydanie 2-gie. Warszawa, druk. E. Skiwskiego, 1877, w 8-ce małéj, str. 3 nl., 272 i 1 rycina.

Broeker Stanisław. Pamiętniki z wojny hiszpańskiéj (1808—1814) ..... b. oficera b. legionów francuzko-polskich, tłómaczone z oryginału niemieckiego przez córkę jego Paulinę Cybulską. Warszawa, druk. J. Ungra, 1877, w 8-ce, str. XVI, 339, 1 nl. i VIII.

Bronikowski Aleksander. Mysza wieża wśród jeziora Gopła, powieść słowiańska z pierwszéj połowy IX wieku. Lwów, nakł. A. J. O. Rogosza i F. H. Richtera, druk. A. J. O. Rogosza, 1877, w 8-ce, str. 120.

Bukwar russkij dla polskich dietiej, po rasporiaż. warsz, ucz. Okruga; wydanie 2-gie. Warszawa, nakł. i druk rządowy, 1876, w 8-ce, str. 80 i 2 (drukowano 30,000 egzemplarzy).

Callier Edmund. Słów kilka o legionach polskich. Poznań, nakł. księgarni E. Calliera, druk. J. I. Kraszewskiego (dr. W. Łebiński), 1877. w 8-ce, str. 8.

Carey Anna. Z dziedziny przyrody, życiorysy: kawałka węgla, ziarnka soli, kropli wody, ułamka zardzewiałego żelaza i bryłki krzemienia, przełożyła z angielskiego Anastazya Dzieduszycka. Warszawa, nakł. M. Orgelbranda, druk. S. Orgelbranda synów, 1877, w 16-ce, str. 128 i 2 ryciny.

Chamski M. D. Nasze życie, powieść współczesna w trzech częściach. Tom I, nakł. i druk. J. Buszczyńskiego, 1877, w 8-ce, str. 296.

Codex epistolaris saeculi decimi quinti 1384—1492, ex antiquis libris formularum, corpore Naruszeviciano, autographis archivisque

plurimis collectus opera Augusti Sokołowski et Josephi Szujski. (Monumenta medi aevi historica, res gestas Poloniae illustrantia, tomus II) Kraków, nakł. Akad. Umiej., druk. Czasu, 1876 (1877), w 4-ce, str. LXX, 158, 368.

Cybulski Józef. Zbiór 40 piosenek teatralnych, zeszyt I. Warszawa, druk J. Ungra, 1877, w 8-ce, str. 39 i 1 nl.

Czerny Franz dr. Entdeckungsgeschichte der Gabun-und Ogowe-Länder und die Ogowe-Quellen (Separatabdruck aus d. Zeitschrift der Gesellschaft f. Erdkunde, Bnd. XI). Berlin, 1876, w 8-ce, str. 209—238 i 241—279.

Dembickij Władisław. Soczynitieli Attid, Οἱ τῶν Ἀτθίδων συγγραφεῖς: I. Fiłochor, afinskij istoryk-bogosłow konca IV i naczała III stol. do r. Chr., Biografia, literaturnyje trudy, pierewod i objasnienije gławniejszych otrywkow po otnoszeniju k afinskim drewnostiam. Warszawa, druk. J. Noskowskiego, 1877, w 4-ce, str. 94 i 2 nl.

Déroulède Paul. L'Hetman, drame en cinq actes en vers, (Théâtre national de l'Odéon, première représentation le 2 février 1877). Paris, imp. Martinet, librairie Calman Lévy, 1877, w 32-ce, str. 150.

— Toż, tamże, 10-e édition, 1877, w 32-ce, str. 150.

— Toż, tamże, 14-e édition, 1877, w 32-ce, str. 154.

Długoszewski Łucyan. W sprawie założenia dla emigracyi osady polskiéj niezależnéj w Oceanii, jako dodatek do Listu otwartego Korczaka, wydanego w r. 1875 w Krakowie w druk. W Korneckiego. Gromada wysp oceanu Spokojnego w Melanezyi, wyjątek ze znakomit. dzieła: Das neue Buch der Reisen und Entdeckungen von Fr. Christmann und Richard Oberländer, przełożył ..... Kraków, A. Dygasiński, nakładem A. Korczaka (druk. i nakład W. Korneckiego), 1876 (1877), w 8-ce, stron. 81 i mapa Nowéj Gwinei.

Dumas Aleksander (ojciec). La San Felice, romans, tom II. Warszawa, nakł. i druk. Przeglądu tygodniowego, 1877, w 16-ce, str. 188.

Dzieduszycka Anastazya. Jak sobie dziatwa radziła, opowiadania nauczające dla czytelników od lat 9 do 12. Warszawa, nakładem Maurycego Orgelbranda, druk. Wł. Dębskiego, 1877, w 16-ce, str. II i 199.

Ebers G. dr. Córka króla egipskiego, powieść tłómaczona z niemieckiego przez P. Wilkońską, 3 tomy, Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, drukarnia K. Pillera, 1877., w 8-ce, str. 132, 158, 177.

Ehrenberg G. Renta trzydziestoletnia, zastosowana do emerytury. Kraków, nakł. i druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w małéj 8-ce, str. 32.

Engeström Lars von. Minnen och anteckningar af ....., utgifna af Elof Tegnér, andra bandet. Stockholm, F. & G. Beijers förlag,

A. L. Normans boktryckeri-aktiebolag, 1876, w 8-ce, str. VI, 434 i 1 nl.

Fabian Oskar dr. prof. O rozciągalności i sprężystości lodu. (Odbitka z t. IV. Rozpraw Wydziału matem.-przyrod. Akad. Umiej.). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 18 i 1 tablica.

Faleński Felicyan. Sama jedna, opowiadanie. Warszawa, Gebethner i Wolff, druk. J. Sikorskiego, 1877, w 8-ce, str. 200.

Feigel Longin dr. (ze Lwowa). Poród nagły w wychodku czy dzieciobójstwo? (Odbitka z Dwutygodnika medycyny publ.). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce większéj, str. 8.

Fligier Cornelius dr. Zur praehistorischen Ethnologie Italiens. (Aus dem Jahresberichte der öffentl. Oberrealschule in der Josephstadt in Wien. Schuljahr 1876/77). Wien, A. Höldner, Druck von L. C. Zamarski, 1877, w 8-ce, str. 55 i 1 nl.

Friedlein D. E. 12. Katalog monet i medali polskich, które nabyć można w składzie antykwarskim księgarni ..... w Krakowie, rynek Nr. 11. Kraków, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce, str. 58.

Gałęzowski X. Traité iconographique d'ophtalmoscopie, comprenant la description des différents ophtalmoscopes, l'exploration des membranes internes de l'oeil et le diagnostic des affections cérébrales et constitutionelles, par ..... professeur libre d'ophtalmologie. Corbeil, imp. Crété fils, Paris, lib. J. B. Baillière et fils, 1877, w 8-ce dużéj, str. VIII, 286, 30 figur w tekscie i 113 figur na 20 kartach chromolitografowanych.

Gasztowt V. Notre espérance. Lagny, imp. Aureau. 1877, w 8-ce str. 8.

Gerson W. Współczesne kierunki malarstwa, odczyt na dochód osad rolnych, miany w Warszawie d. 28 Marca 1876 r. Warszawa, autor, druk. M. Ziemkiewicza, 1876, w 12-ce, str. 44.

Gloger Z. 572 (573) Krakowiaki ze źródeł drukowanych i ust. ludu. Warszawa, nakł. J. Noskowskiego, 1877, w 16-ce, str. 153.

Gloger Zygm. i **Radzimiński-Luba** Zygm. Poszukiwania archeologiczne w powiecie Ostrogskim we Wrześniu r. 1876. (Odbitka ze Sprawozdań Komisyi antropologicznéj Akad. Umiej.). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877 w 8-ce, str. 4.

Głos Najświętszego dzieciątka Jezus do dzieci w ziemiach polskich, czyli wiadomość o „dziele św. dziecięctwa Pana Jezusa“ dla ratowania dzieci w krajach niewiernych. Kraków, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 16-ce, str. 76.

Górski Stanislaus. Conciones in maximo totius regni Poloniae conventu apud Leopolim de republica habitae a. d. 1537, wydał dr. Wojciech Kętrzyński (Odbitka z Archiwum Komisyi historycz.). Kraków, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce dużéj str. 87.

Gramlewicz Stephanus Posnaniensis. Quaestiones Claudianeae, dissertatio inauguralis philologica ad summos in philosophi haonores

rite impetrandos. Vratislaviae, typis F. W. Jungferi, 1877, w 8-ce, str. 34 i 2 nl.

Gryf. Do bratniego narodu, z powodu przedstawienia Hetmana w paryzkim teatrze Odeonie. Paris, imprim. Reiff, 1877, w 4-ce str. 8.

Gualdo Ludwik. Konstancya Gerardi, powieść, przełożył z włoskiego Edward Sulicki, tom I i II. Warszawa, wydawnictwo M. Glücksberga, druk S. Orgelbranda synów, 1877, w 8-ce małéj, str. 141 i 115.

Guttmann Paweł dr. Nauka sposobów klinicznego badania narządów piersiowych i brzusznych razem z laryngoskopią, przekład z 2-go wydania niemieckiego dokonany przez uczniów Uniw. Jag. d-rów Jana Filewicza, Eugeniusza Neumanna i Bolesława Skórczewskiego, pod kierownictwem d-ra Aleksandra Kremera i docenta d-ra St. Pareńskiego. Wydanie Stowarzyszenia do wydawnictwa dzieł lekarskich polskich w Krakowie. Warszawa, druk. J. Ungra, 1877, w 8-ce, str. 343 i III.

H..... Marya. Cztery pamiątki dla Wojtka i Marysi, napisała Marya H....., z ryciną. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, Kraków, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce małéj, str. 72.

Hirschberg Aleksander dr. Kronika klasztoru Trzemeszeńskiego i spominki o Łaskich, wydał ..... (Odbitka z III tomu dzieła Monumenta Poloniae historica). Lwów, druk. Zakładu im. Ossolińskich, 1877, w 4-ce, str. 13.

Historya o szlachetnéj a pięknéj Magelonie, córce króla z Neapolu, i o Piotrze rycerzu hrabiem (tak!), różne przygody, smutki i pociechy, nieszczęścia i szczęścia, przy odmianach omylnego świata reprezentująca. Wadowice, nakł. i druk. Fr. Foltyna, 1877, w 12-ce, str. 88.

— piękna o cierpliwéj Helenie, córce króla Antoniusza, cesarza tureckiego (tak) z Konstantynopola (Carogrodu), która będąc u dworu, póżniéj przez 22 lat pielgrzymując, wielkie utrapienia i nędze cierpliwie i mężnie znosiła. Wydanie 10. Wadowice, nakł. i druk. Fr. Foltyna, 1877, w 12-ce, str. 60.

Hoffmann Franciszek. Czas, to pieniądz, opowiadanie, wolno przełożył Wł. L. Anczyc. (Powiastki dla młodzieży, II). Warszawa, nakł. Altenberga i Robitschka, druk. Al. Ginsa (1877), w 16-ce, str. 188. 75 kop.

Hofmanowa Klementyna z **Tańskich.** Dzieła, wydanie nowe pod redakcyą Narcyzy Żmichowskiéj, z dodaniem życiorysu i objaśnień, tom XI i XII. Warszawa, nakł. Spółki wydawniczéj księgarzy, druk. J. Ungra, 1877, w 8-ce, str. 298 i 1 nl., 477 i II.

Hołowczyc Szczepan ks. Raport wizyty generalnéj południowo-wschodnich wydziałów szkolnych, odprawionéj imieniem Komissyi edukacyjnéj w r. 1782, wydał dr. Władysław Wisłocki. (Odbitka z Archiwum Komissyi dla historyi literatury i oświaty w Polsce, tom I). Kraków, druk. Czasu, 1877, w 8-ce dużéj, str. 50.

Hoppe F. Ortsnamen der Provinz Preussen III—IV. (Separat-Abdruck aus der Altpreuss. Monatsschrift, Band XII—XIV). Königsberg, 1876/7, w 8-ce, str. 24 i 9.

Humiecki M. dr. (w Krośnie). Aforyzmy na tle przyrody. Lwów, nakł. autora, druk. Instyt. stauropig., 1877, w 8-ce, str. 3 nl. i 121.

Hurel A. ks. Flawia, obrazy z życia chrześcian w IV wieku, przekład A. B. Warszawa, M. Orgelbrand, druk. Wł. Dębskiego, 1877, w 8-ce małéj, str. 331 i II.

Index seminum, quae hortus botanicus c. r. Cracoviensis mutuo commutanda offert e colectione anni 1876. (Na końcu: dr. Czerwiakowski, horti director; L. Schwarz, hortulanus Univ.). Cracoviae, typ. Uniw. Jag., 1877, w 4-ce wielkiéj, str. 18.

Jabłonowski Aleksander. Lustracye królewszczyzn ziem ruskich Wołynia, Podola i Ukrainy, z pierwszéj połowy XVII wieku, wydał..... (Źródła dziejowe, tom V). Warszawa, Gebethner i Wolff, druk. E. Skiwskiego, 1877, w 8-ce, str. 2 nl. C. 226 i 2 nl.

Jakubowski Maciéj Leon prof. dr. Szpital św. Ludwika w Krakowie na łóżek 72. (Odbitka z Dwutygodnika medycyny publicznéj). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce dużéj, str. 10.

Jankowski Edmund. Kwiaty naszych ogrodów, t. j. opis i hodowla kwiatów gruntowych wraz z zasadami tworzenia kobierców kwiatowych, wzorami kląbów, przykładami rysowania ich i obsadzania, z 355 figurami. Warszawa, nakł. G. Sennewalda, druk. J. Ungra, 1877, w 8-ce dużéj, str. 410, IV i tablic XIII.

— Krzew winny, jego hodowla w gruncie i budynkach, przez..... kandydata nauk przyrodniczych, starszego ogrodnika ogrodu pomologicznego w Warszawie, z 34-ma drzeworytami. Warszawa, druk. J. Sikorskiego, 1877, w 12-ce, str. 136 i 1 nl.

Jastrzębowski Ludomił. Rzecz o chwastach i o sposobach ich wytępienia. Warszawa, druk. J. Noskowskiego, 1877, w 8-ce, str. 4 nl. i 47.

Jaworski H. Wspomnienia Kaukazu, część I: Rys historyczny Kaukazu. Poznan, nakł. J. K. Żupańskiego, druk. Handkiego i Chocieszyńskiego, 1877, w 8-ce, str. 142.

Jeleński Jan. Żydzi, Niemcy i my, wydanie 2-gie. Warszawa, druk. J. Noskowskiego, 1877, w 8-ce, str. 82.

Jerzykowski Stanisław dr. (z Poznania). Przewodnik dla felczerów, Siostr miłosierdzia i w ogóle dla osób zajmujących się pielęgnowaniem chorych. Warszawa, druk. Gazety lekarskiéj, 1877, w 8-ce, str. III, 148 i IV.

K. T. Czego naszemu miastu potrzeba? dla użytku obywatelstwa napisał radny miasta Lwowa. (Przedruk z Gazety narod.). Lwów, druk. Gazety nar., 1877, w 16-ce, str. 54.

Kabała czyli odkrycie tajemnic przyszłości za pomocą kart, wy-

danie 2-gie. Bochnia, nakład. i druk. W. Pisza, (1877), w 24-ce str. 18.

Kaczkowski Antoni dr. Teoretyczna i praktyczna nauka homeopatyi, dla lekarzy i światłéj publiczności opracowana podług d-rów G. H. G. Jahra, Konstantego Heringa, Franc. Bartmanna, Clotar Müllera, B. Hirschela, Artura Lutzego, J. Kafki i podług własnych doświadczeń, wydana w dwoch częściach. Lwów, nakł. wydawcy, druk. E. Winiarza, 1877, w 8-ce, str. CXLIV, 572, 1 nl., popiersie wydawcy i 696.

Kadler Ludwik dr. O leczeniu przymiotu (syfilis) bez pozostawania w mieszkaniu i odrywania się od codziennych zajęć, czyli o perypatetyczném leczeniu przymiotu. Warszawa, Wł. Banarski, druk. J. Noskowskiego, 1877, w 8-ce, str. 15.

Kantecki Antoni ks. dr. Pius IX, jego żywot, cierpienia i czyny, na uczczenie jubileuszu 50-letniego jego biskupstwa dla wiernych katolików Polaków napisał..... z ryciną Ojca św. Poznań, nakł. wydawnictwa ks. Fr. Bażyńskiego (Władysława Simona), czcionkami T. H. Daszkiewicza, 1877, w 8-ce małéj, str. 11 nl. i 204.

Karasowski Moritz. Friedrich Chopin, sein Leben, seine Werke und Briefe, 2 tomy. Dresden, Verlag von F. Ries, Druck von W. Bensch, 1877, w 8-ce, str. 5 nl., 228, 206, 1 portret i 1 podobizna.

Karta teatru wojny 1877. Lwów, nakł. Towarzystwa przemysłowego, w zakładzie litograficznym Towarzystwa, 1877, fol. wielkie, z kolorowanemi granicami 40 cnt.

a **Kempis** Tomasz. O naśladowaniu Chrystusa ksiąg cztery, przekładania Tadeusza Matuszewicza, wyd. 5-te. Toruń, nakł. i druk. E. Lambecka, 1877, w 16-ce, str. XIII, 306 i 1 rycina.

Kiełczewski A. 27 der gebräuchlichsten Melodien zu 33 katholischen Kirchenliedern, 2-te Auflage. Posen, Merzbach, 1877, w 8-ce, str. 16.

Kirkor A. H. Badania archeologiczne 1876 roku: 1. Sprawozdanie z wycieczki w r. 1876 i wykaz zabytków; 2. O grobach kamiennych na Podolu galicyjskiém; 3. Zdanie sprawy z wycieczki do Mokrzyszowa. (Odbitka ze Sprawozdań antropologicznych Akad. Umiej., tom I). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 33.

Kitkiewicz A. ks. Konferencye zawierające w sobie wyjaśnienie głównych artykułów religii chrześciańsko-katolickiéj ze stanowiska liturgiczno-społecznego, przez ..... rektora seminaryum wileńskiego, z rękopisów pośmiertnych zebrane i do druku podane od (tak!) X. I. G. N. Kraków, nakł. wydawcy, druk. W. Korneckiego, 1877, w 8-ce, str. 186.

Kliszewski Ignacy. Na włoskiéj ziemi, nowella. (Osobne odbicie z Kuryera krakowskiego). Kraków, nakł. autora, druk. Czasu. 1877, w 8-ce, str. 120.

Koehler Klemens dr. (z Kościana). Praktyczny poradnik dla matek, podług 12 wydania dra Chavasse: Advice to a mother, opracował..... Poznań nakł. M. Leitgebra i Sp., czcionkami J. Leitgebra, 1877, w 8-ce, str. IV i 155.

— Przypadek trądu plamistego kaleczącego. (Odbitka z Przeglądu lekarskiego). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 10.

Kopernicki J. dr. Nowy przyczynek do antropologii przedhistorycznéj ziem polskich. (Odbitka z I tomu Sprawozdań Komisyi antropologicznéj Akad. Umiej.). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 24 i 3 tablice.

Treść: O grobie niecialopalnym na cmentarzysku przedhistorycznem w Kwaczale; O kościach i czaszkach ludzkich z kurhanów w Radziminie na Wołyniu; O kościach i czaszkach ludzkich z wykopalisk przedhistorycznych na Podolu galicyjskiém.

— Wiadomość o zakładzie kąpielowym u wód słonych jodobromowych w Rabce w r. 1876. Kraków, nakł. Jul. Żubrzyckiego, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce. str. 15.

Korczyński dr. prof. Kierunek i zadanie balneologii spółczesnéj w ogóle, w szczególności zaś balneologii krajowéj i Komisyi balneologicznéj, rzecz miana na posiedzeniu Komisyi balneolog. Tow. lek. krak. dnia 9 Marca 1877. (Odbicie z Przeglądu lekarskiego). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 12.

Kosiński Ad. Am. Przewodnik heraldyczny, monografie kilkudziesięciu znakomitszych rodzin, spis rodzin senatorskich i tytuły honorowe posiadających. Wydanie drugie. Kraków, druk. i nakł. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 16-ce, str. XIV, 722.

Kosiński Amilkar we Włoszech 1795—1803 r., zbiór materyałów do historyi legionów polskich we Włoszech. Poznań, nakł. J. K. Żupańskiego. druk. J. I. Kraszewskiego (dr. W. Łebiński) 1877, w 8-ce, str. 5 nl., XCV, 446, 2 nl., 2 tabl. i 1 mapa.

Kośmiński Stanisław. Wykaz rzeczy zawartych w 72 tomach Pamiętnika Towarzystwa lekarskiego warszawskiego z lat 1837—1876, ułożony przez..... członka i bibliotekarza Tow. lek. warsz. Warszawa, nakł. Towarzystwa, druk. E. Skiwskiego, 1877, w 8-ce, str. XIV, 347 i 4 nl. (A—D).

Krasuski M. Rozbrat myśli i ujemne strony naszego piśmiennictwa. Lwów, nakł. autora, z drukarni ludowéj, 1877, w 8-ce, str. 2 nl. i 66.

Kraszewski J. I. Boleszczyce, powieść z czasów Bolesława Szczodrego, t. I i II. (Powieści historyczne, V). Kraków, nakł. Spółki wydawniczéj księgarzy w Warszawie, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce, str. 211 i 199.

— Masław, powieść z XI wieku, 2 tomy, (Powieści historyczne, IV). Kraków, nakł. Spółki wydawniczéj księgarzy w Warszawie, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce, str. 220 i 206.

— Sekret pana Czuryły, historya jeszcze jednego rezydenta

według podań współczesnych opowiedziana. Warszawa, nakł. M. Glücksberga, druk. S. Orgelbranda synów, 1877, w 8-ce, str. 184.

Kraszewski J. I. Żeliga, powieść. Lwów, księgarnia polska, 1877, w 8-ce, str. 408.

Kremer Józef. Dzieła, tom I (tytuł tymczasowy), arkusz 1 — 14 i 1—12. Warszawa, nakł. i druk. S. Lewentala, 1877, w 8-ce, str. 224 i 192.

Król Z. prof. Fauna kaleopterologiczna Janowa pod Lwowem. (Odbicie z t. XI. Sprawozd. Kom. fizyogr. za r. 1876). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 31.

Krupa J. Wykaz roślin zebranych w obrębie W. ks. krakowskiego oraz w puszczy Niepołomickiéj w r. 1876. (Odcicie z tomu XI Sprawozdań Komisyi fizyograficznéj za r. 1876). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 45.

Krzyżanowski W. ks. Katedra płocka i jéj biskupi. Płock, druk. rządu gubernialnego, 1877, w 8-ce, str. 2 nl., 180 i 4 nl. 1 rub.

Kwartalnik Kłosów, pismo naukowe i literackie pod kierunkiem redakcyi Kłosów, rok pierwszy tom I. Warszawa, nakł. i druk. S. Lewentala, 1877, w 8-ce. str. 331 i 1 nl.

Treść: Koleje dziejowe zrzeszania się politycznego Słowian północnych do połowy XV wieku, przez Aleksandra Jabłonowskiego; Baruch Benedykt Spinoza jako filozof i statysta, przez Kazimierza Kaszewskiego; Historya rzemiosł, rzemieślników i rzemieślniczych wyrobów w Polsce, od czasów najdawniejszych aż do końca XVIII wieku, przez W. A. Maciejowskiego; Narcyza Żmichowska, studyum literackie, przez Piotra Chmielowskiego; O właściwości sądów pokoju i sądów gminnych w sporach wekslowych 250 rs. niedochodzących, przez Hipolita Chwaliboga; Wiadomości z nauk przyrodniczych i stosowanych, przez profesora Karola Jurkiewicza; Przegląd dziejów współczesnych; Bibliografia, przez d-ra Wł. Wisłockiego.

La Fontaine. Bajki, z rysunkami Gustawa Doré (86 wielkich i 500 mniejszych illustracyj). Warszawa wydawnictwo i druk J. Noskowskiego, 1876. w 4-ce dużéj, str. 831, rubli 12, w oprawie rs. 15, rs. 15 i 20 kop., rs. 17 i 50 kop.

Laskowski Stanisław. Na czém zależy pomyślność naszego owczarstwa? Poznań, nakład. i czcionkami N. Kamieńskiego i Sp., 1877, w 8-ce, str. 2 nl., 46 i 1 nl.

Lercel Władysław. Gramatyka języka polskiego dla użytku szkół elementarnych, wydanie 3-cie poprawne. Kraków, nakł. J. M. Himmelblaua, druk. Czasu, 1877; w 8-ce, str. VII i 112.

Librowicz Zygmunt. Zaczarowany szlafrok, głupstwo sceniczne w 1 akcie. Warszawa, Gebethner i Wolff, druk. K. Kowalewskiego, 1877, w 8-ce małéj, str. 1 nl. i 44.

Liguori Alfons św. Rozmyślania o siedmiu boleściach Najśw.

Maryi Panny, tłómaczenie z włoskiego przez ks. J. B. Delerta. Poznań, nakł. T. Daszkiewicza, czcionkami J. Leitgebra, 1877, w 16-ce, str. 54.

Lutostański B. dr. Iwonicz, rok 1876: Szpital zdrojowy w Iwoniczu. Kraków, nakł. zakładu zdrojowo-kąpielowego, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1876 (1877), w 4-ce, str. 21.

Łomnicki M. prof. Sprawozdanie z wycieczki zoologicznej, odbytej na Podolu w r. 1876, pomiędzy Seretem, Zbruczem a Dniestrem (Odbitka z tomu XI Sprawozdań Komisyi fizyograficznej Akad. Umiej.). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 29.

Łoziński Walery. Ludzie z pod słomianej strzechy, spisał na przykład ludowi prostemu Walenty ze Smolnicy. 3-cie wyd. Lwów, nakł. Komitetu wydawn. dziełek ludowych pod przewodnictwem Alf. Młockiego, I związkowa drukarnia, 1876, w 8-ce, str. 1 — 24 i 117 — 133 (w innych egzemplarzach str. 1 — 40 i str. 133).

Łukaszewicz Jos. Von den Kirchen der Boehmischen Brüder im ehemaligen Grosspolen, aus dem Polnischen übersetzt vom Superint. Pfr. G. W. Theodor Fischer. Polnisch-Gratz, Streisand, 1877, w 8-ce, str. VI i 204.

Majer J. prof. dr. i **Kopernicki** Iz. dr. Charakterystyka fizyczna ludności galicyjskiej na podstawie spostrzeżeń dokonanych za staraniem Komisyi antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie. (Osobne odbicie ze Sprawozdań Komisyi antropologicznej, tom I). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1876 (1877), w 8-ce, str. 185 i 1 nl.

Marczewska Aleksandra. Ignaś z Dubiecka, opowiadanie dla dzieci od 10 do 15 lat wieku, w dwóch częściach z przypisami. Warszawa, druk. Fel. Krokoszyńskiej, 1877, w 16-ce, str. 96.

Markgraf Hermann dr. Annales Glogovienses bis zum J. 1493, nebst urkundlichen Beilagen, Namens des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens herausgegeben (Scriptores rerum Silesiacarum, X). Breslau, J. Max et Comp., Druck von R. Nischkowsky, 1877, w 4-ce, str. XV i 166.

Marlès de. Histoire de Pologne, nouvelle édition, revue et corrigée (Bibliothèque de la jeunesse chrétienne, collection nouvelle). Tours, impr. et lib. Mame et fils, 1877, w 8-ce, str. 160.

Materyały antropologiczno-archeologiczne, wydawane staraniem odpowiednich sekcyj Komissyi archeologicznej i antropologicznej Akademii umiejętności w Krakowie, zeszyt I. (Zbiór wiadomości do archeologii krajowej, tom I dział I). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 68 i 6 tablic.

Mecherzyński Józef. O kształcie obręczy kół na drogach żelaznych, napisał..... b. uczeń Instytutu technicznego w Krakowie i szkoły specyalnej w Liège, pomocnik naczelnika dépôt na kolei kijowsko-brzeskiej. Kraków, nakł. autora, druk. Uniw. Jag., 1877, w 4-ce, str. 23 i 1 nl.

Merunowicz Teofil. Rozwój miasta Lwowa, uwagi i wnioski

(Radzie miejskiéj poświęca autor). Lwów, nakł. Wł. Bełzy, druk. K. Pillera, 1877: w 16-ce, str. 150, 1 nl. i 1 plan litogr.

Mery-Józef. Rafael i Fornarina, z francuzkiego przełożył Arkadyusz Kleczewski. (Odbitka z Kroniki rodzinnéj). Lwów, nakł. K. Wilda, druk. K. Pillera, 1877, w 8-ce małéj, str. 134.

Mewes Ad. dr. Chrześcianin i Żydówka, czyli serce i złoto, powieść na tle prawdziwych współczesnych wypadków napisana, przełożył i opracował Wł. Sabowski, tom I. Kraków, nakł. S. Landaua, druk. W, Korneckiego, 1877, w 8-ce, str. 317.

Meyer Gust. & Wilh. **Hinrichs**. Der eiserne Ueberbau der Warthe-Brucke bei Posen im Zuge der Posen-Kreuzburger Eisenbahn (Aus der Zeitschrift f. Bauwesen). Berlin, Ernst & Korn, 1877. fol., str. 16 i 8 tablic.

Mickiewicz Adam. Mémorial de la légion polonaise de 1848 créée en Italie, par..... publication faite d'après les papiers de son père, avec une préface et notes par Ladislas Mickiewicz, tome I. Paris, imp. Lahure, lib. du Luxembourg, 1877, w 18-ce, str. XLIV i 540.

— Monsieur Thadée de Soplica, ou le dernier procès en Lithuanie sui generis, récit historique en douze chants, 2-e partie (Poëtes illustres de la Pologne au XIX-e siècle). Paris, imp. Plon & Cie, 1877, w 12-ce, str. 323.

Mohort Julian. Listy do przyszłéj narzeczonéj. Lwów, nakł. autora, druk. A. J. O. Rogosza, 1877, w 8-ce, str. 60.

Monniot P. Niepoprawna Nina czyli pierwsza spowiedź, przekład polski Anieli B. Warszawa, Gebethner i Wolff, Kraków, druk. Wł. Ludwika Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce małéj, str. 145, 1 nl. i 3 ryciny.

Morawski Adam. Po za krajem. (Zuawi papiezcy, wyd. 2-gie). Kraków, nakł. autora, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce, str. 292.

Morawski Maryan ks. T. J. Filozofia i jéj zadanie. (Odbitka z Przeglądu lwowskiego). Lwów, nakł. autora, z druk. ludowéj, 1877, w 8-ce, str. 336.

Morawski Teodor. Dzieje narodu polskiego w krótkości zebrane, tom IV: Królowie obieralni, Sasi, wyd. wtóre. Poznań, nakł. J. K. Żupańskiego, druk. J. I. Kraszewskiego (dr. W. Łebiński), 1877, w 8-ce, str. 345.

Morzkowska Walerya. Przeciw wodzie, powieść przez Waleryą Marrené. Warszawa, nakł. M. Glücksberga, druk. S. Orgelbranda synów, 1876, w 8-ce, str. 201.

Nencki M. dr. prof. Über die Zersetzung der Gelatine und des Eiweisses bei der Fäulniss m. Pankreas. Bern, Dalp i Comm., 1876, w 4-ce, str. 39 i 1 tablica.

Niemcewicz J. U. Śpiewy historyczne, wydanie nowe (Biblioteczka kieszonkowa, II). Lipsk, E. Ł. Kasprowicz, druk. H. Militkiego i Nowaka w Pradze, 1877, w 16-ce, str. 4 nl., 166 i 2 nl.

Nowosielski Teofil. Grzeszki Parnasowe, garstka poezyj lirycznych i humorystycznych. Warszawa, nakł. autora, druk. S. Orgelbranda synów, 1877, w 8-ce, str. VIII i 112.

Orzeszkowa Eliza. Pampalińscy, powieść. Warszawa, nakł. i druk. Przeglądu tygodniowego, 1876, w 16-ce, str. 720.

Paschalis. Uwagi i modlitwy stosowne do pobożnego rozpamiętywania męki najdroższéj Zbawiciela naszego, oraz tajemnic życia, zaśnięcia i wniebowzięcia matki jego, w górach sławnéj Kalwaryi Zebrzydowskiéj, podług dawnéj książki, niegdyś przez W. O..... ułożone, a teraz przez ks. J. M. poprawione. Wadowice, druk. i nakł. Fr. Foltyna, 1877, w 12-ce, str. 296, III i 1 rycina.

Paszkowski Seweryn ks. Katechizm w przedmiocie opieki nad nierozumnemi żyjącemi istotami a mianowicie nad zwierzętami domowemi. Kraków, nakł. autora, druk, Czasu, 1877, w 8-ce, str. 46

Pawiński Adolf. Stefan Batory pod Gdańskiem w r. 1576/7, listy, uniwersały, instrukcye, wydał i szkicem historycznym poprzedził......(Źródła dziejowe, tom III). Warszawa, Gebethner i Wolff, drukarnia Skiwskiego, 1877, w 8-ce, str. 4 nl., LXXII, 360 i 15 nl.

Piesni rymsko-katoliczeskija cierkownyja, pierew. s polskago. Petersburg, typ. A. Kotomina, 1876, w 8-ce, str. 52 i 49 (drukowano 4000 egzemplarzy).

Pilat Tadeusz dr. O kompetencyi ustawodawczéj w sprawach kultury krajowéj (Przedruk z Przeglądu sądow. i administr.). Lwów, nakł. autora, druk. ludowa, 1877, w 8-ce, str. 23.

Poczet członków Towarzystwa tatrzańskiego dnia 22 Maja 1877 roku. Kraków. druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 4-ce, str. 16.

Polkowski Ignacy ks. Skorowidz do Pamiętnika religijno-moralnego, wydawanego w Warszawie od r. 1841 — 1862. Warszawa, druk. Czerwińskiego i Sp., 1877, w 8-ce, str. 104. (drukowano 150 egzemplarzy).

Popiel Antoni. Wychów królików. Kraków, nakł. wydawcy, druk. Wł. L. Anczyca i Sp , 1877, w 8-ce, str. 45 i 1 nl.

Popławska Marya z **Łosińskich.** Obrazki z życia dla młodocianego wieku, wydanie 2-gie. Warszawa, M. Orgelbrand, druk. Wł. Dębskiego, 1877, w 8-ce, str. 1 nl. i 173.

Potocki Albert. Nosce te ipsum, études d'après nature, par..... membre de sociétés naturalistes et archéologiques. Paris, F. Roy, Sceaux, impr. Charaire, 1877, w 8-ce, str. 88.

Prasa peryodyczna w Królestwie kongresowém (Odbitka z Dziennika polskiego). Lwów, nakł. Dzien. polskiego, 1877, w 8-ce, str. 31.

Prawa i zwyczaje zakładu wychowawczo-naukowego Krakowskiego księży Piarów (na końcu podpisany: ks. Adam Słotwiński, rektor zakładu wychowawczo-naukowego). Kraków, nakł Zakładu, druk. W. Korneckiego, 1877, w 8-ce, str. 23.

Prochaska Antoni. Polska i Czechy w czasach husyckich aż do odwołania Korybuta z Czech, studyum z historyi polsko-czeskiéj (część I, Odbitka z tomu VII Rozpraw Wydziału hist. fil. Akad. Umiej.) Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 137.

Program nasz przez * * *. Kraków, nakład Fr. Heimbergera, druk. W. Korneckiego, 1877, w 8-ce, str. 36.

Projekt reorganizacyi Towarzystwa rolniczego Krakowskiego. Kraków, nakł. Towarzystwa, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce, str. 27.

Prokop ks. Kapucyn. Czuwajcie a módlcie się, czyli zbiór najpotrzebniejszych modlitw. Warszawa, nakł. Wł. Banarskiego, druk. J. Ungra, 1877, w 16-ce, str. 224.

Przezdziecka *Laure de.* Poésies d'outre-tombe de..... seconde partie en français et en polonais. Paris, impr. Martinet, 1877, w 8-ce, str. 104.

Przypomnienia praktyczne ogrodnicze, koleją miesięcy ułożone przez gorliwą miłośniczkę ogrodnictwa. Warszawa, M. Orgelbrand, druk. Wł. Dębskiego, 1877, w 8-ce małéj, str. 68.

Rabbinowicz R. N. Kritische Uebersicht der Gesammt und Einzelnausgaben des Babilonischen Talmud seit 1484. München, Rosenthal, 1877, w 8-ce wielkiéj, str. 132.

— Histoire sainte (Ancien Testament). Paris, l'auteur, impr. Reiff, 1877, w 18-ce, str. 580.

Radziwill Edm. Prinz. Ein Besuch in Marpingen, nebst einem Anhang, enthaltend alle Correspondenzen und Actenstücke, welche über die Marpinger Angelegenheit in letzter Zeit in der „Germania" erschienen sind (Aus der „Germania"), 2-te Auflage. Berlin, Verlag der Germania, 1877, w 8-ce dużéj, str. 54.

Rafalski i Frendler. Warszawski rocznik adresowy firm handlowych, przemysłowych i rękodzielniczych, z dołączeniem adresów znakomitszych firm prowincyi, powiększony kalendarzem rocznym i wiadomościami pożytecznemi na rok 1877. Warszawa, druk. Aleksandra Ginsa, 1877, w 8-ce, str. 14 nl., 136, A — R, 208, 44 nl., XXI i VI.

Ranke Leopold. Historya papieży i papiestwa, przekład Walerego Przyborowskiego, tom X. Warszawa, nakł. i druk. Przeglądu tygodn., 1876, w 16-ce str. 162.

Rembieliński Gustaw. Machiny parowe w zastosowaniu do potrzeb rolnictwa i machiny rolnicze (Odbitka z zeszytu II tomu IV

Encyklopedyi rolnictwa), Warszawa, druk. J. Bergera, 1876, w 8-ce wielkiej, str. 135 z rycinami w tekscie.

Rewizija Kobrinskoj ekonomii, sostawlena w 1563 h. Korolewskim rewizorom, Dimitriem Sapiehoju, z prisowokupleniem aktow Oriesławskago ziemskago suda, otnosiaszczych sia k Kobrinskoj archimandrii. Wilno, typ. A. E. Syrkina, 1876, w 4-ce, str. XII, 387 i 56.

Rocznik warszawski literacki, poświęcony oświacie, literaturze, bibliografii i księgarstwu. Rok piąty, 1875. Warszawa, nakł. wydawnictwa S. Czarnowskiego, druk. A. Pajewskiego, 1877, w 8-ce, str. IV, 284, i 1 portret.

— LVIII Krakowskiego Towarzystwa dobroczynności z r. 1876. Kraków, nakł. Towarzystwa, czcionkami Czasu, 1877, w 8-ce, str. 73 i 1 nl.

Od str. 3 — 12: Wspomnienie św. p. Floryana Sawiczewskiego, d-ra medycyny i chirurgii, skreślił dr. Władysław Ściborowski.

Rodoć M. Piosnki i gawędy humorystyczne, zeszyt III. Kraków, nakł. Feliksa Florkiewicza, druk. W. Korneckiego, 1877, w 8-ce, str. 48.

Rozwadowski Ferdynand dr. Studie über die Natur und das Wesen der Wassersucht und d. Diabetes mellitus, und deren Behandlung. Wien, Graeser, 1877, w 8-ce, str. 33.

Róża czarna, nowella. Warszawa, druk. J. Bergera, 1877, w 8-ce małej, str. 138 i 1 nl.

Rzewuski Henryk. Adam Śmigielski, star. gnieźnieński. Warszawa, nakł. i druk. S. Lewentala, 1877, w 8-ce, str. 238 i 1 nl.

— Zaporożec, powieść. Warszawa, nakł. i druk. S. Lewentala, 1877, w 8-ce, str. 359.

Sacher-Masoch. Das Vermächtniss Kains, Novellen zweiter Theil: Das Eigenthum I—II Band, 3-te Auflage. Bern, G. Frobeen et Cie, Leipzig, Druck von Giesecke & Devrient, 1877, w 8-ce, str. 510 i 2 nl., 555 i 1 nl.

— Skazka o szczasti, iz galickich nrawow. Kijów, typ. I. Zawadskago, 1877, w 8-ce, str. 34.

Sawicki-Stella Jan dr. Rady dla młodych mężatek. Lwów, nakł. W. Bełzy, 1877, w 16-ce str. 176 i 4 nl.

Schwartz Marya Zofia. Dzieci pracy, przekład ze szwedzkiego przez S. M., dwa tomy w jednym. Warszawa, nakł. i druk. J. Kaufmana, 1877 (1876), w 16-ce, str. 156 i 344.

Ściborowski Władysław dr. Wspomnienie ś. p. Floryana Sawiczewskiego, d-ra medycyny i chirurgii, magistra farmacyi, profesora chemii i farmacyi w Uniwersytecie Jagiellońskim, zasłużonego członka Rady ogólnej Towarzystwa dobroczynności (Odbicie z Rocznika LVIII Tow. dobr.). Kraków, nakł. autora, druk. Czasu, 1877, w 8-ce, str. 12.

Semita in Aengsten, authentisches Schreiben eines polnischen

Rabbiners an den Verfasser der „Sittenlehre des Talmud und des zerstörenden Einflusses des Judenthums im Deutschen Reiche“. Berlin, Verlag und Druck v. M. A. Niendorf, 1877, w 8-ce, stronic 22.

Skarbek Fryderyk hr. Dzieje Polski, część II: Królestwo Polskie od epoki początku swego do rewolucyi listopadowéj. Wydanie pierwsze pośmiertne. Poznań, nakł. J. K. Żupańskiego, czcionkami M. Marxa, 1877, w 8-ce, str. XVIII, 314 i 2 nl.

Skiba Edward dr. Teoretyczne wyznaczenie wpływu siły ciężkości na odkształcanie się prętów wyciąganych lub ściskanych w kierunku długości. (Odbitka z tomu IV Rozpraw Wydz. matem. przyr. Akad. Umiejęt.). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 17.

Skobel F. K. prof. dr. O skażeniu języka polskiego w dziennikach i w innych pismach, osobliwie w Galicyi, spostrzeżenia i uwagi..... poczet III-ci. Kraków, nakł. D. E. Friedleina, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. VI, 1 nl. i 175.

Słów, Kilka, o Przewodniku heraldycznym wydanym w Krakowie drukiem i nakładem Wł. L. Anczyca i Sp. 1877 r. Poznań, czcionkami J. Leitgebra, 1877, w 8-ce, str. 31.

Smoczyński Wincenty ks. dr. Rzym. jego kościoły i pomniki, upominek pielgrzymom polskim, z planem miasta, Kraków, nakł. autora, druk. Czasu, 1877, w 16-ce, str. VIII i 480.

Sokołowski Alfred dr. Beiträge zur Lehre von der chronischen Lungenschwindsucht. Berlin, Enslin, 1877, w 8-ce dużéj, str. VIII i 122.

Sprawozdanie Komisyi konkursu dramatycznego krakowskiego z r. 1877. (Osobne odbicie z afisza teatralnego). Kraków, druk. Czasu, 1877, w 16-ce, str. 13.

— Dyrekcyi c. k. wyższego gimnazyum w Samborze za rok szkolny 1876. Lwów, I związkowa druk., 1876, w 8-ce, str. 48.

Treść: De Horatii et Augusti necessitudine, quae ex carminibus lyricis intelligitur, scripsit prof. Aemilianus Paszkiewicz; Wiadomości szkolne, przez dyrektora.

— Z wystawy płodów gospodarstwa wiejskiego 1874 roku w Warszawie, przekład z rossyjskiego. Warszawa, druk. Karola Kowalewskiego, 1876, w 8-ce, str. IV, XII 408, z litografiami i planami.

— Kuratoryi szkoły rolniczéj Czernichowskiéj za rok 1875/6. Kraków, nakł. Towarzystwa roln. Krakowskiego, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce, str. 12.

Stadnicki Kazimierz hr. Koryjat Gedyminowicz i Koryjatowicze. (Odbitka z tomu VII Rozpraw Wydz. filozof. hist. Akad. Umiej.) Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 146.

Stanley H. Jak odszukałem Livingstona, podróż podług przekładu H. Loreau. Lwów, nakł. Gubrynowicza i Schmidta, czcionkami K. Pillera, 1877, w 8-ce, str. 195 i 4 nl.

Statut biblioteki uczniów prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 7 i 1 nl.

— Krakowskiego Towarzystwa technicznego. Kraków, nakł. Towarzystwa, druk. Czasu, 1877, w 4-ce, str. 4 nl.

— Towarzystwa muzycznego w Krakowie. Kraków, nakł. Towarzystwa, druk. W. Korneckiego, 1877, w 8-ce, str. 14 i 1 nl.

Steiner Jan dr. prof. Rys nauki o chorobach dzieci, dla uczących się i lekarzy z wydania 2-giego poprawionego i pomnożonego przełożyło na język polski grono lekarzy Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod kierunkiem d-ra Macieja Leona Jakubowskiego, c. k. prof. n. pedyatryi, i d-ra Józefa Oettingera, c. k. prof. n. historyi medycyny. Kraków, wydanie Stowarzyszenia do wydawnictwa dzieł lekarskich w Krakowie, druk Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. XVI, 394 i 1 nl.

Straszewski Maurycy dr. O zadaniach i stanowisku filozofii wobec dzisiejszej umiejętnej wiedzy, wykład publiczny wygłoszony w dniu 6 Lipca r. 1872 przy habilitacyi na docenta filozofii w Uniwersytecie Jagiellońskim. Wydanie 2-gie poprawione i dodaniem uwag i objaśnień uzupełnione. Kraków, nakł. i druk. Wl. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce małéj, str. 2 nl., 59 i 2 nl.

— Bronisława Trentowskiego Panteon wiedzy ludzkiéj (Przedruk z N-ru 6 Przeglądu krytycznego r. 1875). Kraków, nakł. autora, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce małéj, str. 22 i 1 nl.

— D-ra Alberta Stoeckla Logika na język polski przełożona przez Wład. Miłkowskiego (Przedruk z N-ru 6 Przeglądu krytycznego r. 1875). Kraków, nakł. autora, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce małéj, str. 14.

Strzelecki Antoni. Gospodarstwo pastewne jako środek podniesienia rolnictwa krajowego, tom II. Warszawa, nakł. redakcyi Biblioteki rolniczéj, druk. J. Kowalskiego, 1876, w 8-ce, str. IV, 413 i 167.

Sybilla odkrywająca tajemnice przyszłości za pomocą kart, wydanie nowe. Bochnia, nakł. i druk. W. Pisza (1877), w 24-ce, str. 18.

Szczepański Tytus dr. Sprawozdanie z ruchu i postępu w zakładzie zdrojowo-kąpielowym w Żegestowie w czasie pory zdrojowéj w r. 1876. Kraków, nakł. zarządu zdroj.-kąpiel. w Żegestowie, druk. W. Korneckiego, 1877, w 8-ce małéj, str. 29.

Szekspir. Dzieła dramatyczne, tom III: Król Henryk czwarty, część I i II, przekład Stanisława Koźmiana. Poznań, nakł. J. K. Żupańskiego, druk. J. I. Kraszewskiego (dr. W. Łebiński), 1877, w 8-ce, str. 358 i 2 nl.

— Dzieła dramatyczne, wydanie illustrowane ozdobione 545 drzeworytami rysunku H. C. Selousa, przekład St. Koźmiana, J. Paszkowskiego i L. Ulricha, z dodaniem życiorysu poety i objaśnień

pod redakcyą J. I. Kraszewskiego, tom 3: Komedye. Warszawa, nakł. Spółki wydawniczej księgarzy, druk, S. Orgelbranda synów, 1877, w 8-ce dużej, str. 763 i 1 nl.

Treść: Burza, przekład Józefa Paszkowskiego; Dwaj panowie z Werony, przekład St. Koźmiana; Figle kobiet (Wesołe kumoszki windsorskie), przekład J. Paszkowskiego; Miarka za miarkę, przekł. L. Ulricha; Komedya omyłek, przekł. L. Ulricha; Wiele hałasu o nic, przekł. L. Ulricha; Stracone zachody miłości, przekł. L. Ulricha; Sen nocy letniej, przekł. St. Koźmiana; Kupiec wenecki, przekł. J. Paszkowskiego; Jak wam się podoba, przekł. L. Ulricha; Ugłaskanie sekutnicy, przekł. J. Paszkowskiego; Wszystko dobre, co kończy się dobrze, przekł. L. Ulricha; Wieczór Trzech Króli, lub Co chcecie, przekł. L. Ulricha; Zimowa powieść, przekł. L. Ulricha.

Szlejden M. J. prof. Czém Żydzi byli dla cywilizacyi? rozprawa ..... przetłómaczył S. P. Warszawa, nakł. redakcyi Izraelity, druk. M. Ziemkiewicza, 1877, w 8-ce małéj, str. 41.

Szlosser F. K. Dzieje powszechne, tom XVII (Biblioteka hist. XVII). Lwów, nakł. księgarni polskiéj, I związk. druk., 1877, w 8-ce, str. 658.

Szujski Józef dr. Statuta antiqua Collegii majoris, wydał..... (Odbitka z Archiwum Komissyi dla historyi literatury i oświaty w Polsce, tom I). Kraków, druk. Czasu, 1877, w 8-ce dużéj, str. 20.

Szumańczowski Ludwik. O kierunku, do jakiego hodowlę bydła rogatego zwrócićby należało. Kraków, nakł. autora, druk. Czasu, 1877, w 8-ce, str. 28. 25 cnt.

Temple Rudolf. Der Gębirgsstock Babia Góra in dem galizischen Bieskiden. (Aus d. Mittheilungen der k. k. geographischen Gesellschaft, 1876). Wien, w 8-ce, str. 17.

— Ueber den Gründungs-Urbeginn der Stadt Krakau, eine ethnologische Studie (Aus d. Mittheilungen der k. k. geographischen Gesellschaft, 1877). Wien, w 8-ce, str. 24.

Thackeray Miss. Wioska nad morzem, powieść, przekład z angielskiego M. P., tom I i II. Warszawa, wydawnictwo M. Glücksberga, druk. S. Orgelbranda synów 1877, w 8-ce małéj, str. 126 i 112.

Tissot Wiktor. Podróż po zaborach pruskich, tłómaczenie z francuzkiego. Warszawa, nakł. i druk. J. Ungra. 1876/7, w 8-ce małéj, str. 477 i 2 nl.

Tolstoj Dm. A. gr. Rymskij katolicizm w Rossii, istoryczeskoje izsledowanije, 2 tomy. Petersburg, nakł. i druk. W Demakowa, 1876/7, w 8-ce, str. VIII i 538, III, 438 i 139. 6 rubli.

Trembecki Onufry dr. Sprawozdanie o ruchu i postępie zakładu zdrojów leczniczych w Szczawnicy w r. 1876. Kraków, druk. Uniw. Jagiel. 1877, w 8-ce, str. 35.

Tuszyński Józef. Zbiór szkiców taboru kolejowego wraz z częściami składowemi wozow, ułożył podług wzorów królewsko-węgierskiéj kolei państwowéj..... inżynier mechanik kolei żelaznéj Arcy-

księcia Albrechta (drugi tytuł niemiecki). Lwów, nakł. wydawcy z zastrzeżeniem (*tak*) przedruku, I. związk. druk. 1877, w 4-ce podłużnéj, tablic 30 (litografowanych).

Ujejski Kornel. Żywe słowa Jeremiego, 1863 — 1877. Lwów, nakładem Karola Wilda, druk. E. Winiarza, 1877, w 8-ce, str. 2 nl. i 119.

Waliszewski K. Obrazki z życia wiejskiego (wierszem). Warszawa, druk. J. Sikorskiego, 1877, w 8-ce, str. 92.

Walkowski Józef ks. Wspomnienia o kościele metropolitalnym w Gnieźnie, o jego ołtarzach, kaplicach, pomnikach i osobach tymi (*tak*) pomnikami zaszczyconych, na pamiątkę dziewięćsetnéj rocznicy jego istnienia napisane w r. 1865 przez ks. kanonika..... a w r. 1876 wydane przez autora Katedry gnieźnieńskiéj (ks. I. Polkowskiego). Gniezno, nakł. i druk. J. B. Langiego, 1876, w 8-ce, str. 3 nl., 256 i 3 nl.

Wąsowicz Mieczysław Dunin. Rodziny: trawowate, ciborowate i sitowate na górnym Szlązku, zebrał i spisał..... magister farmacyi. (Odbitka z tomu XI Sprawozdań Komissyi fizyogr. za r. 1876). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. 20.

— Ueber die Monocyancrotonsaeure und ihre Zersetzungsproducte, Inaugural-Dissertation zur Erlangung der philos. Doctorwürde, vorgelegt der philos. Facultät der Universität Freiburg in Baden. Freiburg in Baden, Universitäts-Buchdruckerei, 1877, w 8-ce, str. 35.

Weichsel-Niederungen, Die unteren, und ihre Eisgangs-gefahren. Danzig. Kafemann, 1877, w 8-ce dużéj, str. 40 i 2 litografowane plany w 4-ce dużéj i poprzeczném folio.

Wierchratskij Iwan. Znadobi do słowara južnorusskago. Lwów, druk. im. Szewczenki, 1877, w 8-ce, str. 2 nl. i 88.

Wiktor I. K. Kilka przypadków moczówki cukrowéj (diabetes mellitus) ze szczególném uwzględnieniem leczenia, z kliniki lekarskiéj prof. d-ra Korczyńskiego. Medycyna warszawska, Nr. 9 — 10 i 12 — 14 z d. 3 Marca — 7 kwietnia 1877 r. (do działu czasopism).

Wójcicki Kazimierz Władysław. Klechdy, starożytne podania i powieści ludowe, zebrał i napisał..... illustrowane rysunkami Andriollego, Gersona, Kostrzewskiego, Xaw. Pillatego, Sypniewskiego, Witkiewicza, rytowane na drzewie przez Gorazdowskiego, Holewińskiego, Schübelera, Styfiego, Zajkowskiego i drzeworytnię warszawską. Wydanie 3-cie pomnożone. Warszawa, druk. S. Lewentala, 1876, w 4-ce, str. XXVI, 237 i 2 nl., z portretem autora.

Wydżga Joannis, praesulis quondam Warmiensis, Series episcoporum Warmiensium, typis monasterii Olivensis S. O. C. primum promulgata a d. 1861, jam appropinquante jubilaeo pontificali semisaeculari Pii papae IX, neć non recurrente nono consecrationis anniversario Philippi episcopi Warmiensis, typis officinae Warmien. denuo edita et ad nostra usque tempora continuata (a d-re Fr. Hiplero) die 3 maji festa Inventionis s. crucis anno a partu Virginis

1877. Brunsbergae, ex officina Warmiensi, impr. J. C. Pohl, prostat apud Huye, 1877, w 8-ce małej, str. 16.

Wykład snów nocnych, z dołączeniem liczb na loteryą stawiać się mających, oraz o własnościach planet i grze punktowej. Wadowice, nakł. i druk. Fr. Foltyna, 1877, w 12-ce, str. 71.

Z. S. Z. D. Pierścionek, jałmużna sieroty przez . . . . ., na korzyść chorych ziomków na tułactwie. Paris, librairie Reiff, w 12-ce, str. 22.

Zaborowski Stanisław. Tractatus de natura jurium et bonorum regis, et de reformatione regni ac ejus Reipublicae regimine, quem in lucem edidit..... regni Poloniae thesauri notarius, ex rarissima editione authentica opera Michaëlis Bobrzyński nunc iterum editus. (Odbitka z tomu V Starodawnych prawa polskiego pomników). Cracoviae, sumptibus Academiae litterarum, typis Vl. L. Anczyc et Comp., 1877, w 4-ce, str. 9—96.

,, *Zakład* rolniczy w Czernichowie. Kraków, druk. Wł. L. Anczyca i Sp., 1877, w 8-ce, str. 14, 4 i 2 nl.

Treść: Instrukcya czyli przepisy dla szkoły rolniczej Czernichowskiej, ułożone według statutu z r. 1865, przejrzane i zastosowane do statutu z r. 1876; Regulamin dla uczniów zakładu rolniczego w Czernichowie; Dla wiadomości starających się o przyjęcie do szkoły rolniczej w Czernichowie.

Zakrzewski W. Jak należy wydawać zbiory listów i aktów historycznych z wieku XVI-go lub późniejszych, referat odczytany na posiedzeniu Komissyi histor. Akademii Umiejętności w Krakowie, dnia 24 Marca 1877 r. (Dodatek do tomu VII Rozpraw Wydz. hist. filozof.). Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. XXX.

Zaleski Józef Bohdan. Pisma, wydanie zbiorowe przejrzane przez autora, tom I—IV (Biblioteka polska, tom VII—X). Lwów, nakł. Gubrynowicza i Schmidta, druk. J Dobrzańskiego i K. Gromana, 1877, w 8-ce, str. 1 nl., 280, 302, 227, 247.

Zalewski Kazimierz. Złe ziarno, komedya w 3 aktach. (Odbitka z Niwy). Warszawa, druk. Władysława Dębskiego, 1877, w 8-ce, str. 80.

Zaleski Stanisław ks. T. J. Psychologia samobójstwa, przez S. Z. (Odbitka z Przeglądu polskiego). Kraków, druk. Czasu, 1877, w 8-ce, str. 54 i 1 nl.

-- Mowa żałobna na pogrzebie św. p Maurycego hr. Dzieduszyckiego, miana w kościele katedralnym we Lwowie dnia 24 Kwietnia 1877 r. Lwów, z druk. ludowej, 1877, w 8-ce, str. 19.

Załuski Karol. Obraz Iwonicza (drukowano jako rękopis 1850 r.). Kraków, nakł. Michała hr. Załuskiego, druk. W. Korneckiego, 1877, w 4-ce, str. 11.

Zbiór wiadomości do antropologii krajowej, wydany staraniem Komissyi antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie, tom I.

Kraków, druk. Uniw. Jag., 1877, w 8-ce, str. X, 68, 181, 136, 2 nl. i 6 tablic litogr.

Treść: I-szy dział antropologiczno-archeologiczny: 1. Sprawozdanie z badań geologiczno-antropologicznych dokonanych w tak zwanéj Smoczéj Jamie na Wawelu, przez prof. Alojzego Altha; 2. Poszukiwania archeologiczne w powiecie Ostrogskim, przez Zygm. Glogera i Zygm. Luba-Radzimińskiego we Wrześniu r. 1876; 3. Sprawozdanie i wykaz zabytków złożonych w Akademii Umiejętności z wycieczki archeologiczno-antropologicznéj w r. 1876, przez A. H. Kirkora; 4. O grobach kamiennych na Podolu galicyjskiém, przez A. H. Kirkora; 5. Zdanie sprawy z wycieczki do Mokrzyszowa odbytéj w Listopadzie r. 1876, przez A H. Kirkora; 6. O grobie niecialopalnym na cmentarzysku przedhistoryczném w Kwaczale, podał dr. I. Kopernicki; 7. O kościach i czaszkach ludzkich z kurhanów w Radziminie na Wołyniu, przez d-ra I. Kopernickiego; 8. O kościach i czaszkach ludzkich z wykopalisk przedhistorycznych na Podolu galicyjskiém, przez d-ra I. Kopernickiego; 9. Sprawozdanie J. N. Sadowskiego o rozbiorze chemicznym niektórych zabytków bronzowych ze zbioru uniwersyteckiego, dokonanym przez hr. Jerzego Szembeka. II-gi dział antropologii w ściślejszém znaczeniu: Charakterystyka fizyczna ludności galicyjskiéj na podstawie spostrzeżeń dokonanych za staraniem Komissyi antropol., wypracowana przez prof. d-ra J. Majera i d-ra Iz. Kopernickiego. III-ci dział etnologiczny: 1. Rzecz o mowie ludu wielkopolskiego, skreślił Oskar Kolberg; 2. Słowniczek prowincyonalizmów w okolicach Krakowa, Bochni i Wadowic, zebrał dr. Władysław Kosiński; 3. Prowincyonalizmy mowy polskiéj w Drohobyczu i jego okolicach, zestawione i porównane z językiem ruskim, staropolskim i narzeczem kaszubskiém, przez prof P. Parylaka w Stanisławowie; 4. Nazwy weselne, wyrażenia i przedmioty używane przy godowych obrzędach ludu na przestrzeni byłéj Rzeczypospolitéj, zebrał Zygmunt Gloger; 5. O imionach używanych u ludu, przez Mateusza Gralewskiego; 6. Zabobony i mniemania ludu nadnarwiańskiego, tyczące się ptaków, płazów i owadów, zebrał Zygm. Gloger w latach 1865 — 1875; 7. Kilka słów do etnografii Tucholców i mieszkańców wsi wołoskich w ziemi sanockiéj na podgórzu karpackiém, zebrał dr. Tadeusz Żuliński; 8. Zagadki i łamigłówki górali bieskidowych, spisane w okolicach Rabki przez d-ra I. Kopernickiego; 9. Zagadki zebrane we wsiach: Dymin, Kostomłót, Masłowa, Sukowa, Zagórze, przez ks W. Siarkowskiego.

Zeissberg H. R. dr. Kleinere Geschichtsquellen Polens im Mittelalter, eine Nachlese von..... Aus dem Archiv für oesterr. Geschichte Band LV besonders abgedruckt. Wien, K. Gerolds Sohn, 1877, w 8-ce, str. 167.

Ziemssen prof. Patologia i terapia szczegółowa. Choroby narządu oddechania (choroby płuc), przekład dzieła..... Handbuch

der Krankheiten des Respirations-Apparates, Leipzig, 1877, przez d-ra Tomasza Świérza, członka Towarzystwa lek. krak., lekarza w Skawinie, tym III-ci z drzeworytami w tekście (Biblioteka umiejętności lekarskich, wydanie redakcyi Gazety lekarskiéj). Warszawa, druk. Gazety lek., 1877. w 8-ce str. IV, II. 608.

Żmichowska Narcyza (Gabryela). Czy to powieść, dzieło pośmiertne (Odbitka z Wieku). Warszawa, druk. J. Noskowskiego, 1877, w 8-ce, str. 248.

Żmurko Laur. prof. Ueber Kriterien höherer Ordnung zur Unterscheidung der relativen Maxima und Minima bestimmter Integrale bei vorhandenem Systeme zweifelhafter Nachbarwerthe (Denkschriften der k. Akademie der Wissenschaften). Wien, Gerold's Sohn in Comm., 1876, w 4-ce, str. 8.

B. Ważniejsze prace w czasopismach.

Baraniecki Maryan. Wydział matematyczno-przyrodniczy Akademii umiejętności w Krakowie w latach 1873 — 1876. Ateneum warszawskie z Kwietnia — Maja 1877, w 8-ce, str. 164 – 172, 364 — 376.

Bełcikowski Adam. Król Władysław Warneńczyk, dramat w pięciu aktach oryginalnie wierszem miarowym napisany. Bluszcz warszawski, Nr. 1—17 z dnia 3-go Stycznia – 25 Kwietnia 1877.

Benoni Carl dr. Der Einfluss der Axendrehung der Erde auf das geographische Windsystem. Petermann's Mittheilungen aus Justus Perthes Geographischer Anstalt, Gotha, 1877, w 4-ce, zeszyt III str. 93 - 106.

Boczyński J. O potrzebie reformy w wychowaniu naszych kobiet. Niwa warszawska z dnia 15 Maja 1877, w 8-ce, str. 718—728.

C. Don Alfonso d'Este kandydatem do korony polskiéj i jego poseł, poeta Guarini roku 1575, przez C. Przegląd polski z Maja 1877, Kraków, w 8-ce, str. 195 – 211.

Celichowski Zygmunt dr. Przyczynek do życiorysu Pawła Piaseckiego. Tydzień lwowski, Nr. 30—31 z dnia 1 do 8 Kwietnia r. 1877.

Chałubiński T. dr. O pedagogiczném znaczeniu nauk przyrodniczych w humanitarném wychowaniu. Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego warszawskiego, zeszyt I z r. 1877, w 8-ce, str. 6—12.

Chmielowski Piotr. Dziesięć lat z dziejów wychowania w Polsce XVI wieku: Wstęp, Jędrzéj Glaber z Kobylina, Marycki, Modrzewski, Herbest, Lorichius, Erazm Gliczner. Bluszcz, Warszawa, Nr. 9 – 15 z dnia 16-go Lutego – 11 Kwietnia 1877.

— Próby nowego przekładu Iliady. Ateneum z Kwietnia 1877, Warszawa, w 8-ce, str. 140—163.

Czekanowski Aleksander. Mittheilungen über die Expedition an die untere Tunguska. Russische Revue, St. Petersburg, 1877, w 8-ce, zeszyt II str. 170 do 182.

— Uebersichtlicher Bericht über die wissenschaftlichen Errungenschaften der mir anvertrauten Expedition an die untere Tunguska und den Olenek, und Ergebnisse meines zweiten Besuches an der Olenek-Mündung und an der Lena. Russische Revue, Petersburg, 1877, w 8-ce, zeszyt II str. 183—190.

— Das nördliche Central-Sibirien, zwischen Jenissei und Lena, umfassend das Quellgebiet der Tunguska, Wilui, Olenek, nach den astronomischen und topographischen Aufnahmen und Erkundigungen von..... 1876. (Maasstab 1: 4,800,000). Petermanns Mittheilungen aus Justus Perthes Geographischer Anstalt, Gotha, 1877, zeszyt III. karta w 4-ce podłużnéj z objaśnieniami na str. 92—93.

Doebner Richard dr. Ueber schlesische Klosterarchive. Zeitschrift d. Vereins f. Geschichte und Alterthum Schlesiens, Breslau, 1877, w 8-ce, tomu XIII zeszyt 2, str. 469 486.

— Ueber Schlesiens auswaertige Beziehungen vom Tode Herzog Heinrich IV bis zum Aussterben der Premysliden in Böhmen (1290—1306). Tamże, str. 343—367.

Dzieduszycki Maurycy hr. Nieprzeliczeni, studyum psychologiczne. Przewodnik nauk. i lit. z Marca — maja 1877, Lwów, w 8-ce, str. 213—227, 313—331, 420—439.

Dzięadzielewicz Józef. Krawędź wyżyny podolskiéj między Świrzem a Gniłą Lipą. Kosmos zeszyt II i III. Lwów, 1877, w 8-ce, str. 41—47, 125—138.

Fredro Aleksander hr. (ojciec). Myśl moja (z pozostałych papierów). Czas krak. Nr. 75 z d. 1 Kwietnia 1877.

— Brytan-Bryś, bajęda dramatyczna w 4 aktach wierszem. Biblioteka warszawska z Kwietnia i Maja r. 1877, w 8-ce, str. 1—32, 244 — 274.

Goldberg Henryk. Filozofia i wiedza. Ateneum z Marca r. 1877, Warszawa, w 8-ce, str. 558—577.

Grabowski Bronisław. Bośnia i Hercegowina pod względem historycznym, według źródeł słowiańskich i niemieckich. Kłosy warszawskie, N-er 617—620 z dnia 26 Kwietnia—17 Maja 1877.

Hankiewicz Klemens dr. Ueber den Accent der Verba im Kleinrussischen. Archiv für slav. Philologie II Band II Heft, Berlin, 1877, w 8-ce, str. 289—296.

Helmersen G. von. Bericht über die in den Jahren 1872 bis 1876 in den Gouvernements Grodno und Curland ausgeführten geologischen Untersuchungen zur Kenntniss der dort vorkommenden mineralischen Brennstoffe, Bulletin de l'Académie impériale des sciences de St. Pétersbourg, 1877, w 4-ce, tome XXIII str. 177—249.

Ilnicka Marya. Narcyza Żmichowska, życiorys. Bluszcz warszawski, N-er 4—16 z dnia 24 Stycznia—18 Kwietnia 1877 r.

Iskrzycki Maxymilian. Zu den Scholien der Odyssee (auf Grund einer in der Krakauer Universitatsbibliothek befindlichen Odyssee-Handschrift). Zeitschrift für oesterr. Gymnasien zeszyt II z r. 1877, Wien, w 8-ce, str. 83 - 100.

Jarochowski K. Sprawa Kalksteina 1670—1672. Ateneum ze Stycznia—Marca 1877, Warszawa, w 8-ce, str. 1—31, 282—327, 517 - 557.

Józefczyk Andrzej. Wpływ szkoły na wykształcenie charakteru uczniów. Szkoła lwowska, Nr. 9 — 12 z dnia 3 — 24 Marca 1877.

K. Gabinet archeologiczny przy Uniw. Jag. w Krakowie, przez K. Biblioteka warszawska z Marca r. 1877, w 8-ce, strona 485 - 490.

K. A. Institut Osolinskich wo Lwowie. Sławianskij Sbornik, tom III otd. II z r. 1876, Petersburg, w 8-cc, str. 41—43.

Kantecki Klemens Dyrektor (Bogusławski) w kłopotach, kartka z dziejów sceny polskiej. Gazeta lwowska, N-er 85—86, 89—93 z dnia 13—23 Kwietnia 1877 r.

— Król bez tronu (Stanisław Poniatowski). Gazeta lwowska, N-er 114 — 117 z dnia 18 — 23 Maja 1877.

Kasparek Franciszek prof. dr. Kobieta i jéj stanowisko w rodzinie, społeczeństwie i państwie, wyjątek z dzieła p. t. Prawo polityczne ogólne, z uwzględnieniem prawa politycznego austryackiego. Gazeta sądowa warszawska, N-er 14—18 z dnia 7 Kwietnia do 5 Maja 1877 r.

— Metoda badania w naukach politycznych, wyjątek z dzieła p. t. Prawo polityczne ogólne, z uwzględnieniem prawa austryackiego. Przegląd sądowy i administracyjny, Lwów, N-er 4, 6, 8 - 10, 13. 17 i 19, z dnia 24 Stycznia — 9 Maja 1877.

Kaszewski Kazimierz. Baruch-Benedykt Spinoza. Gazeta polska, Warszawa Nr. 42—44 z dnia 22—24 Lutego 1877.

Kentrzynskij Wojtiech. O Mazurach, s polskago pierewieł kandidat warszawskago Uniwiersitieta W. Niedzwieckij. Sławianskij Sbornik, tom III otd. III, z r. 1876, Petersburg, w 8-ce, str. 48—68.

Kościół w Lignowie, przyczynki do dziejów krzyżackich w Prusiech. Warta poznańska, Nr. 146 — 152 z dnia 15 Kwietnia — 27 Maja 1877.

Kramsztyk Stanisław. Eter i jego znaczenie w fizyce. Ateneum z Kwietnia 1877, Warszawa, w 8-ce, str. 121—139.

Krestjanie w Polsze na kanunie posledniago jeja razdieła, polskaja politiczeskaja brosziura 1790 goda. (Uwagi praktyczne o poddanych polskich względem ich wolności i niewoli. W Warszawie, u Dufoura, 1790), pierewod sdiełan magistrom pietierburgskoj duchownoj Akadiemii P. A. Czerwiakowskim. Sławianskij Sbornik, tom III, otd. III, z r. 1876. Petersburg, w 8-ce, str. 69 — 139.

Liske X. dr. Filip Avril i pobyt jego w Polsce 1687 — 1689. Niwa z dnia 15 Marca 1877, Warszawa, w 8-ce, str. 405—421.

Łapicki Julian. Wielka i mała własność ziemska w Królestwie Polskiem. Ateneum z Marca 1877, Warszawa, w 8-ce, str. 625—657.

Makuszew W. W. Obszczestwiennyje i gosudarstwiennyje woprosy w polskoj litieraturie XVI wieka. Sławianskij Sbornik, tom III, otd. I z r. 1876, Petersburg, w 8-ce, str. 27—121.

— Sledy russkago wlijanija na staropolskuju piśmiennost'. Tamże, str. 166—182.

Mertens F. (in Krakau). Ueber die Determinanten, deren correspondirende Elemente Apq und Aqp entgegengesetzt gleich sind. Journal für reine und angewandte Mathematik, Berlin, 1877, w 4-ce, tomu LXXXII zeszyt III i IV, str. 207 211.

Miłkowski Zygmunt. Słowiańszczyzna południowa, pogląd społeczny, skreślił Teod. Tom. Jeż. Ateneum warszawskie z Marca do Maja 1877, w 8-ce, str. 499 — 516, 44 — 62, 300 — 317.

Niewiadomski Wincenty. Obrazy z życia zwierząt: I. Budownictwo ptaków. Niwa warszawska z d. 15 Maja r. 1877, w 8-ce, str. 709 — 718.

Nowakowski Leon dr. Die Copulation bei einigen Entomophthoreen. Botanische Zeitung, Leipzig, Nr. 14 z dnia 6 Kwietnia 1877.

P. Kazimierz Dzikie pola. Przewodnik nauk. i lit. z Marca do Kwietnia 1877, Lwów, w 8-ce, str. 251—272, 346—369.

Pilat Tadeusz dr. Do „Reformy stosunków wiejskich": VII, O ankiecie ekonomicznéj II. Przegląd polski z Maja r. 1877, Kraków, w 8-ce, str. 274—301.

Paul C. M. & **Tietze** Emil dr. Studien in der Sandsteinzone der Karpathen. Jahrbuch der k. k. Geologischen Reichsanstalt, Wien, 1877, w 4-ce, Nr. 1, str. 33—130.

Petrow Alexander & **P. Żiteckij.** Die Niederlage Bogdan Chmielnicki's bei Beresteczko am Flusse Styr 1651 in gleichzeitiger poetischer Bearbeitung. Archiv für slav. Philologie II Band II Heft, Berlin, 1877, w 8-ce, str. 297—307.

Radliński J. Starożytność Wschodu, według nowo odkrytych źródeł: król Assurbani-pal i biblioteka jego. Biblioteka warszawska z Kwietnia i Maja 1871, w 8-ce, str. 77—83, 288—306.

Rościszewski Z. dr. O rysiu europejskim czyli ostrowidzu. Szkoła, Lwów, w 8-ce, Nr. 6 — 10 z dnia 10 Lutego do 10 Marca 1877 r.

Schmidt F. Biographische Skizze von Alexander Czekanowski. Russische Revue, St. Petersburg, 1877, w 8-ce, zeszyt II str. 164 — 169.

Siemieński Lucyan. Książę Karol de Ligne i jego stosunek z Polską. Przegląd Lwowski z dnia 1 Marca — 1 Kwietnia 1877 r., w 8-ce, str. 257—267, 329—338, 393 —405.

— Pogadanka o piórze i pisaniu. Przegląd polski z Kwietnia 1877, Kraków, w 8-ce, str. 79—100.

— Słowik, pogadanka przyrodniczo-literacka. Kronika rodzinna, Warszawa, Nr. 6 i 7 z dnia 15 Marca—1 Kwietnia 1877.

Sobieskiéj Teresy Kunegundy (elektorowéj bawarskiéj) Listy, podał J. T. L. Biblioteka warszawska z Maja r. 1877, w 8-ce, str. 275—288.

Sofokles. Filoktet, tragedya, tłómaczył Kazimierz Kaszewski. Ateneum warszawskie z Maja r. 1877, w 8-ce, str. 247—299.

Stadnicki Jan. Do „Reformy stosunków wiejskich": V, O budowlach publicznych. Przegląd polski z Marca i Kwietnia 1877, Kraków, w 8-ce, str. 421—439, 135—149.

Stanecki Tomasz prof. dr. O cyklonach. Kosmos zeszyt IV z r. 1877, Lwów, w 8-ce, str. 166—181.

Straszewski M. dr. Filozofia Spinozy i dzisiejszy panteizm Biblioteka warszawska z Lutego—Maja 1877, w 8-ce, T. I: str. 215—222, 321—329, T. II: 33—55, 219—243.

Struve Henryk. Rzut oka na pierwszy okres historyi filozofii w Polsce. Ateneum warszawskie z Maja r. 1877, w 8-ce, str. 318 — 332.

Suryn Felicyan. Mestwin, książę Pomorza gdańskiego, opowiadanie historyczne. Tygodnik illustrowany, Warszawa, Nr. 60 — 61 z dnia 17—24 Lutego 1877.

Świeżawski Ernest. Przyczynki do dziejów medycyny w Polsce. Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego warszawskiego r. 1877, w 8-ce, zeszyt I, str. 13—20.

Tarnowski Stanisław hr. O pośmiertnych komedyach Fredry, Przegląd polski z Kwietnia 1877 r., Kraków, w 8-ce, str. 10 — 134.

— Odczyt o poezyi romantycznéj, miany w Warszawie w dniu 24 Marca r. b. Kronika rodzinna Nr. 7 z dnia 15 Kwietnia i Czas krakowski, Nr. 90—91 z dnia 21—22 Kwietnia 1877.

— Druga i czwarta część Dziadów; Grażyna (2-gi i 3-ci odczyt). Biblioteka warszawska z Maja r. 1877, w 8-ce, str. 185—209.

Tatomir L. Cieplice i wrzące źródła wulkaniczne. Szkoła, Lwów, Nr. 4—15, z dnia 27 Stycznia—14 Kwietnia 1877 r.

Tyniecki Wł. prof. Wycieczka na Podole w r. 1875, z 4-ma tablicami litografowanemi. Kosmos zeszyt I i II, Lwów, 1877, w 8-ce, str. 1—19 i 47—68.

Weinberg Aleksander Maryan dr. Warszawska woda do picia pod względem sanitarnym. Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego warszawskiego r. 1877, w 8-ce, zeszyt I str. 41—103.

Weinert Aleksander. Wyjaśnienie co do dawnych ulic Warszawy, jako odpowiedź na krytykę p. Wilhelma Kolberga Wiek warszawski Nr. 73—76 z dnia 3—6 Kwietnia 1877 r.

Witkowski Ludwik dr. Ueber Gehirnerschütterung, von..... Assistenten der psychiatrischen Klinik zu Strassburg i E. Archiv

für pathologische Anatomie und Physiologie, Berlin, 1877, w 8-ce, tomu LXIX zeszyt III i IV, str. 498—516.

Załęski Witold. Śmiertelność Warszawy za ostatnie trzy lata, 1873—1875. Niwa z dnia 15 Marca — 15 Kwietnia 1877. Warszawa, w 8-ce, str. 443 — 452, 529 — 535, 582 — 590.

Dnia 1 Czerwca 1877 roku.

Dr. W. W.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

S. Lewental.

SPIS RZECZY.

OD WYDAWCY.

Wypuszczając w początkach roku bieżącego na widok publiczny pierwszy tom *Kwartalnika Kłosów*, wyłuszczyliśmy obszernie powody, które nas do przedsięwzięcia tego wydawnictwa skłoniły.

Powody te, nie przeczymy, dotąd trwają w swéj sile, a jednak, lubo nie bez szczerego żalu, zniewoleni jesteśmy dzisiaj na tomie drugim tę publikacyą zawiesić.

Myśl powzięta od dawna, do obowiązku urzeczywistnienia któréj zawsześmy gorąco się poczuwali, na nieszczęście wprowadzoną została w życie w chwili, dla poważnych prac naukowych najmniéj przyjaznéj

Nie chodzi tu o stronę materyalną jedynie, która oczywiście w czasie obecnym, zaprzątniętym sprawami ogólniejszego zajęcia, dotkliwie także musiała szwankować (dość tu będzie powiedzieć, że gdy koszta przedsięwzięcia, nie wliczając w to żadnych korzyści, unormowane zostały w stosunku tysiąca pięciuset prenumeratorów, cyfra ich nie dosięgła i dwustu), — ale stratą dla *Kwartalnika* niepowetowaną grozi ta okoliczność, że prace znanych zaszczytnie w naszéj literaturze naukowéj pisarzy, skoro od razu w szersze kółko czytelników nie wnikną, łatwo przejść mogą całkiem niepostrzeżone, a tém samém cel całego wydawnictwa zostanie chybiony. Odraczamy więc nasze przedsięwzięcie do epoki pomyślniejszéj dla publikacyj podobnego rodzaju; a tymczasem prenumeratorowie Kwartalnika, którzy nań złożyli przedpłatę, czy to za cały rok, czy też za trzy kwartały, mogą rozporządzać według swéj woli przewyżką należności półrocznéj.